

# a

# 1

(147) 2017

# akcent

literatura i sztuka • kwartalnik



Wiersze A. Frajlich, E. Ostrowskiej, M. Południak, H. Kozaka i in.

- Wobec śmierci i cierpienia – narracje T. Chabrowskiego, J. Kobego, Ł. Suskiewicza
- Szkice o Madeju, Miriamie i Grabińskim
- Wizerunek księdza w kulturze polskiej XXI wieku (Oszejca, Guzowski, Szymik)
- Listy Hertza do Andrzejewskiego
- Teorie spiskowe w ujęciu U. M. Benki
- Janusz Józefowicz – wirtuoz tańca z Lublina
- Andrzej Strumiłło – artysta szczęśliwy

***akcent***

Zespół redakcyjny  
MONIKA ADAMCZYK-GARBOWSKA  
JANINA HUNEK  
ŁUKASZ JANICKI  
ELŻBIETA KUDYBA  
LECHOSŁAW LAMENSKI  
WALDEMAR MICHALSKI  
TADEUSZ SZKOŁUT  
JAROSŁAW WACH (sekretarz redakcji)  
BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI (redaktor naczelny)

Lamanie  
MAC Arkadiusz Makowski

Stale współpracują:

Edward Balcerzan, Bogusław Biela (Francja), Jarosław Cymerman,  
Marek Danielkiewicz, Ewa Dunaj, Józef Fert, Anna Frajlich (USA),  
Ludwik Gawroński, Anna Goławska, Andrzej Goworski, Edyta Ignatiuk,  
Magdalena Jankowska, Alina Kochańczyk, István Kovács (Węgry), Marek  
Kusiba (Kanada), Jerzy Kutnik, Eliza Leszczyńska-Pieniak, Jacek Łukasiewicz,  
Łukasz Marcińczak, Anna Mazurek, Wojciech Młynarski, Dominik Opolski,  
Wacław Oszejca, Mykoła Riabczuk (Ukraina), Sergiusz Sterna-Wachowiak,  
Jarosław Sawic, Małgorzata Szlachetka, Jerzy Święch, Wiesława Turzańska,  
Jan W. Woś (Włochy), Aleksander Wójtowicz, Aneta Wysocka, Bohdan Zadura

Czasopismo patronackie **Instytutu Książki**  
wydawane na zlecenie  
**Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego**

Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego.

Numer zrealizowano przy pomocy finansowej  
**Miasta Lublin**



Partnerem medialnym „Akcentu” jest **Radio Lublin S.A.**



PL ISSN 0208-6220

NR INDEKSU 352071

© Copyright 2017 by „Akcent”

**a**

rok XXXVIII

nr 1 (147)

2017

# **akcent**

literatura i sztuka

*kwartalnik*

Na pierwszej stronie okładki:  
Andrzej Strumiłło: *Muszla i romb*, olej na płótnie, 100 x 100 cm, 1986 r.

Na czwartej stronie okładki:  
Andrzej Strumiłło: *Okno*, olej na płótnie, 140 x 100 cm, 1984 r.

**Adres redakcji:**

20-112 Lublin, ul. Grodzka 3, III piętro  
tel. 81 532 74 69

e-mail: akcent\_pismo@gazeta.pl  
www.akcentpismo.pl

Stronę www prowadzi Anna Goławska

Wersja pierwotna (referencyjna) czasopisma to wersja drukowana.

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.  
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają  
urzędy pocztowe, Ruch S.A., Pol Perfect Sp. z o.o., Kolporter S.A.,  
Garmond Press S.A. i Ars Polona.

Zamówienia na prenumeratę realizowaną przez RUCH S.A.  
można składać bezpośrednio na stronie [www.prenumerata.ruch.com.pl](http://www.prenumerata.ruch.com.pl)  
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: [prenumerata@ruch.com.pl](mailto:prenumerata@ruch.com.pl)  
lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803  
lub 22 717 59 59 – czynne w godzinach 7<sup>00</sup>–18<sup>00</sup>.  
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Cena prenumeraty krajowej na okres jednego roku wynosi 38 zł.

Pieniądze można wpłacać także bezpośrednio na konto wydawcy:  
Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent” Bank PEKAO SA, V O w Lublinie  
nr rachunku: 50 1240 1503 1111 0000 1752 8667  
lub przekazem pocztowym pod adresem redakcji,  
podając wyraźnie adres prenumeratora  
i zaznaczając na odwrocie przekazu „prenumerata Akcentu”.

**W USA „Akcent” rozprowadzany jest przez księgarnię:**

EK Polish Bookstore („Nowy Dziennik” Polish Daily News)  
70 Outwater Lane; Garfield, NJ 07026

**We Francji sprzedaż prowadzi:**

Librairie Polonaise (Księgarnia Polska), 123 Bd St. Germain, 75006 Paryż

**Wydawcy:**

**Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent”, 20-112 Lublin, ul. Grodzka 3**

**Instytut Książki, Dział Wydawnictw**  
02-086 Warszawa, al. Niepodległości 213  
tel. 22 608 23 74, tel./fax 22 608 24 88  
e-mail: [czaspatron@instytutksiazki.pl](mailto:czaspatron@instytutksiazki.pl)

Nakład 1000 egz. Druk ukończono 7 lutego 2017 r.  
Druk: AW Partner

Cena zł 10,- (w tym 5% VAT)

## Spis treści

- Anna Frajlich: *wiersze* / 7  
Janusz Koby: *opowiadania* / 10  
Tomasz Kłusek: *Przeznaczenie i bunt. Rzecz o pisarstwie Bogdana Madeja* / 19  
Eda Ostrowska: *Facecje* / 31  
Łukasz Suskiewicz: *Kręgi* / 36  
Małgorzata Południak: *wiersze* / 42  
Urszula M. Benka: *Dyskretny urok spisku* / 46  
Rafał Rutkowski: *wiersze* / 53  
Tadeusz Chabrowski: *Błazej. Epilog* / 57  
Henryk Kozak: *wiersze* / 68  
Piotr Łopuszański: *Życie dla ideału. Zenon Przesmycki (Miriam)* / 73  
Jan Władysław Woś: *Fartowny interes* / 84  
Piotr Machul: *wiersze* / 89  
Bogusław Bakula: *Stefan Grabiński – pisarz polski, ukraiński  
czy środkowoeuropejski* / 91

### DOCIEKANIA

#### Wizerunek księdza w kulturze polskiej w XXI wieku. Część II

- Łukasz Janicki: *Wstęp* / 100  
Wacław Oszajca SJ: *W służbie Kościołowi* / 101  
Ks. Krzysztof Guzowski: *Gdzie szukać prawdy?* / 103  
Ks. Jerzy Szymik: *Wizerunek i bogobojność* / 105

### PRZEKROJE

#### Nie tylko analitycznie...

Elżbieta Tabakowska: *Obiektyw ze zmienną ogniskową* [Aneta Wysocka „Fakty – język – podmiotowość. Stylistyczne osobliwości reportaży Ryszarda Kapuścińskiego”]; Wojciech Kaliszewski: *Stanisław August i ludzie jego epoki* [„Pamiętniki Stanisława Augusta i ich bohaterowie”]; Jan Lewandowski: *Powinowactwa estońsko-polskie* [Jaak Kaplinski „Ojcu”]; Ewa Dunaj: *Ważna rozmowa o poezji* [Zbigniew Chojnowski „Kanon prywatny. Książki poetyckie 1981-2015”]; Bogdan Rogatko: *Miłosny dialog w listach Wisławy Szymborskiej i Kornela Filipowicza* [Wisława Szymborska, Kornel Filipowicz „Najlepiej w życiu ma twój kot. Listy”] / 108

#### Prozaicy, prozaicy...

Edyta Ignatiuk: *Duchowa chryпка, duchowe otłuszczenie* [Jacek Dehnel „Krivoklat”]; Małgorzata Szlachetka: *Dwie Warszawy i gwałtowne cięcie noża* [Szczepan Twardoch „Król”]; Marcin Klimowicz: *Świadomość melancholijna* [Miłosz Waligórski „Kto to widział”]; Tomasz Kłusek:

*Tęsknota do najprostszych wartości* [Stanisław Weremczuk „Ciemność”];  
Ewa Dunaj: *Ból i zachwyty* [Jadwiga Mizińska „Wróż”]; Wiesława Turżańska: „*Jeden za wszystkich, wszyscy za alkohol*” [Daniel Radecki „Wszyscy jesteście hipsterami”] / **125**

## **PLASTYKA**

*W życiu trzeba pracować. Rozmowa z Andrzejem Strumiłłą* / **143**  
Anna Hałata: *Akumulacje. Kolekcja grafiki Tadeusza Mysłowskiego* / **154**

## **TEATR**

Aleksandra Puculek: „*Lublin to ważne miejsce...*” *O drodze artystycznej Janusza Józefowicza* / **159**

## **SOCJOLOGIA**

Grzegorz J. Kaczyński: *U źródeł nowej socjologii, czyli Luigi Sturzo na tle epoki* / **168**

## **ARCHIWUM**

„*Zawieszani na końcu jakiejś gałązki...*” *Listy Zygmunta Hertza do Jerzego Andrzejewskiego* / **179**

## **CZYTANIE PETERSBURGA**

Ewa Dunaj: *Zwycięstwo* / **188**

## **BEZ TYTUŁU**

Leszek Mądzik: *Niebo i piekło* / **190**

## **NAMIĘTNOŚCI**

Marek Danielkiewicz: *Nie opuszczaj mnie...* / **191**

## **NOTY**

Jarosław Sawic: *Ob. Wieś z Lublina – rzecz o Wiesławie M. Pawłowskim* / **193**

*Tadeusz Chabrowski (1934-2016)* / **196**

## **Noty o autorach / 198**

## **Contents and Summaries / 206**

ANNA FRAJLICH

## *Wilno Mickiewicza*

*Ryszardowi Krynickiemu*

Dotknęłam bramy  
którą on zatrzasnął  
lub może  
inni za nim zatrzasnęli  
przeszedł między wzgórzami  
jak niegdyś morena  
i jak morena  
ślady  
zostawił na ziemi.

Wilno, 30 VI 2016

## *W samolocie*

Jeszcze Quebec  
i Boston  
kto wie  
nad iloma przelecimy  
miastami  
nic o nich nie wiedząc  
mapa jest jak horoskop  
niby odczytana  
a jednak kryje w sobie  
tajemniczą wiedzę

te pola i te źródła  
te martwe jeziora  
nigdy się nie odsłonią  
swą pełną istotą

lecimy jak w niebycie  
choć wiemy dokąd.

30 czerwca 2016 r.



## *Już czekają konie*

*Godze i Piotrowi Chełkowskim*

Ciężko porzucac  
miasto pełne spełnień  
gdzie każda z ulic  
jest domową rzeką  
gdzie przestwór nieba  
wlewa się do okien  
i w gobeliny wpisuje się ścięciem

ale przed bramą  
już czekają konie  
a dalej nowe miasta  
i ulice  
i znów na ścianach  
załsnią perskie wzory  
i niebo w oknach  
blaskiem się rozświeci.

Nowy Jork, 29 lipca 2015 r.

## *Po przebudzeniu*

Ucieka sen w krainę snów  
już tylko widzę jego cień

czy wróci kiedyś  
przyjdzie znów

a przecież był  
błądziłam w nim  
od drzwi do drzwi  
jak błądzi ten  
kto wierzyć chce  
w realność złud  
że sen to jawa

chleb to głód.

Nowy Jork, 23 lipca 2014 r.

## *Miłość*

Śni mi się mój kochanek  
– końcowy egzamin z polskiego –  
czasem we śnie lekko

dopieszczam interpunkcję  
czasem z nóg powala mnie koszmar  
– poszłam na egzamin bez egzaminu  
w domu nie ma nikogo  
Władek gdzieś w drodze  
a mój wypieszczony tekst  
wyleguje się w jakimś pliku

co na to Freud?  
I czemu miłość jest taka bezwzględna

10 maja 2015 r.

## *Kotysanka*

*Władkowi*

Uśnij  
uśnij kochanie  
żebyś miał siłę wstać  
kiedy słońce już wstanie  
żeby zacząć szukanie  
tego czasu  
co minął  
tego dnia  
który zbladł.

10 czerwca 2014 r.

## *Jabłka?*

To nie jabłka tylko pomarańcze  
rosły wtedy w Ogrodach Edenu  
Ewa dała jedną Adamowi  
stąd wywodzi się większość problemów

jabłka tylko w Kazachstanie rosły  
prosto z drzewa zjadały je konie  
w kale swoim po świecie rozniosły  
twarde pestki kwaśnych jabłek niestrawione

kiedy owoc ci дам zielony  
to nie raj, ani Ewa, ni Adam

tylko koniom cwałującym po ziemi  
dziękuj w duchu  
że jabłko zjadasz.

*Anna Frajlich*

JANUSZ KOPY

## Bari

Patrzy na mnie i mówi:

– Nie było cię chyba z miesiąc...

Znam to na pamięć, spokojnie odpowiadam: – Nie miesiąc, a tydzień, o, zobacz w zeszytce, dokładnie jest taka sama przerwa jak twojego drugiego syna.

Powołałem ten zeszyt do życia z pół roku temu, taki rodzinny dokument rejestrujący wizytowanie mamusi. Wpisujemy pod datą swych odwiedzin, co chcemy lub co uważamy za ważne. Mamy już drugi zeszyt.

Patrzy na mnie.

– We czwartek nie byłem, bo gdy już wychodziłem do mamusi, zadzwoniła Alina, abym nie przyjeżdżał, że już jest. Więc nie było mnie tydzień, jest wtorek, wtorki i czwartki są moje.

Wtedy ona: – A na grobie ojca byłeś?

Znowu pyta jak ponad tydzień temu, po zaduszkach. Wtedy odpowiedziałem, że po powrocie ze wsi byłem, ale na wszystkich świętych nie, bo wtedy byłem właśnie na wsi. Tłumaczyłem, że nie do końca jest aż tak ważny sam fakt obecności w te święta na grobie, ważna jest pamięć, szczególnie, gdy się w ciągu roku jest w tym miejscu po wielokroć.

I mówię, że wtedy zapaliłem kilka ważnych dla mnie lampek pod drzewem naprzeciw mego wsiowego okna, a zapalając każdą z nich, myślałem o tym kimś ważnym dla mnie. Potem wielokrotnie spoglądałem na te lampki z okna nocą, że to może znacznie więcej niż szybkie odwiedziny na grobach w ciżbie jak na jakimś odpuszcie.

A ona znowu pyta, czy byłem w tej kaplicy, co leży ten ksiądz. – Nie mam, nie chodzę do kościoła, wiesz o tym – odpowiadam, wiedząc, co nastąpi.

– Dlaczego nie chodzisz, tam biją czy co?

Temat mantra. – Nie chodzę od bardzo dawna, przestałem, jak jeszcze mieszkałem na Smolnej, już po bierzmowaniu.

– I co, źle ci było, że kazaliśmy ci chodzić na religię?

Ja ponownie, spokojnie: – Nie, sam chodziłem. Do bierzmowania do św. Krzyża nikt mnie nie gonił przecież.

– Do Trzech Krzyży!

– Nie, mam, św. Krzyża, na Krakowskim, zaraz za pomnikiem Kopernika po lewej, po schodach, z Chrystusem z krzyżem, tam gdzie Alina miała pierwszą komunię. Na plac Trzech Krzyży chodziliśmy w niedzielę, bo bliżej.

– I co, tak ci było źle, że przestałeś chodzić?

– Tak, mamusiu, tak mi było źle, że przestałem chodzić. Nie zgadzało mi się, że wy również chodziliście do tego samego kościoła.

– Że niby co, kurwiłam się, tak!?! Ciężko pracowałam w kiosku!

– Nie, nie kurwiłaś się. Ale postępowaliście tak, że nic mi się z tym waszym kościołem i wami nie zgadzało.

– A co niby się nie zgadzało, no powiedz, co!?

Patrzę na nią, w oczy. Wiem, że w takich chwilach, już coraz rzadszych niestety, sięga do pamięci bez problemu. Jak coś jej nie pasuje, to po sekundzie wahania udaje idiotkę, znam to na pamięć. Taka rejterada przed odpowiedzialnością, ale jednocześnie przed samozagładą w obliczu rychłego już końca. Sam na pewno nie wiem jeszcze, czy to, co w takich momentach widzę w jej oczach, to furia czy prawdziwy strach. Klasyczna wściekłość czy jednak obawa, że przyjdzie jej za to zapłacić. Że już zaczyna płacić w ostatnich chwilach świadomości i jest to cena zbyt wysoka, aby warto pozostawać z tym sam na sam, spoglądać sobie samemu w oczy. To pryszcz, że powoduję ten strach właśnie ja, przecież zawsze byłem „zły”, a na pewno zawsze było ze mną najwięcej kłopotów. To już teraz nieważne, jakie jest to „zawsze”, czy od kiedy. Ważne, że to „zawsze” krzyczy, że najbardziej boli.

– Zawsze dostawałeś największego kotleta!!!

Jakże mocno pamiętam ten jej rozpaczliwy wyrzut. Ja, niewdzięczny, tak się odwdzięczam za największego kotleta.

– Mamusiu – odpowiadam jak zawsze – przecież Alina, młodsza ode mnie o ponad rok, zawsze była „niejadkiem”. – I wygrzebuję z pamięci: – Pamiętasz, jak jeszcze na Siennickiej sąsiad z parteru, z klatki obok, chyba Wiśniewski, przebierał się za śmierć i przychodził do nas straszyć Alinkę, żeby jadła?

Spojrzała na mnie takim przesywającym wzrokiem... a to swołocz, pamięta, jak to możliwe, że pamięta... Ja dalej: – A Karol przecież był ode mnie zawsze młodszy o pięć lat. Kto więc miał dostawać z naszej trójki największego kotleta? Nie dostawałem go największego dlatego, że tak wyróżniałaś mnie z naszej trójki, a teraz jestem taki niewdzięczny – po prostu zjadałem największą porcję jako największa gęba.

– Czego ty ode mnie chcesz, no powiedz, przecież stoję nad grobem, kołowata, dobij mnie i już, nie męcz mnie!

To fraza używana jak koło ratunkowe, kiedy w głowie chyba zaczyna jej tłuc na alarm, że właśnie czuje pustkę pod nogami, że albo trzeba zrobić ze mnie matkobójcę albo z siebie kompletnie kołowatą. Nie ma innego ratunku. Wiem o tym, znam to; kiedyś krzyczała „nalejcie mi wrzółku do gardła!” – widzę to, a widzę jako ciągle jeszcze premedytację, a więc przy zmysłach użytą. Stara sztuczka, ale wariatką to ty nie jesteś, o nie, nie dam się na to nabrać, mamusiu. Mam prawo, aby dać ci szansę na może jeszcze jakąś zmianę w tej twojej fatalnej edycji, więc ciągnę spokojnie:

– Rozmawiamy, mamusiu, o ważnych sprawach, czas najwyższy, sama zadajesz pytania, a ja tylko udzielam na nie prawdziwych odpowiedzi. Myślisz, że mi było wtedy lekko, że z powodu waszego postępowania zerwałem z kościołem, bo był również waszym kościołem?

– Jakiego naszego postępowania!!!

– A pamiętasz Barego, mojego psa?

– Daj mi święty spokój, zostaw mnie w spokoju! Chcesz mnie zabić, mnie, stojącą nad grobem! Wynoś się!

„OK, mamusiu” – odpowiadam zawsze wtedy spokojnie, gdy woła „wynoś się” i po prostu wychodzę, od razu, już bez żadnego słowa. Gdy jestem jeszcze w korytarzu, wrzeszczy histerycznie za mną z pokoju:

– W jakim stanie mnie zostawiasz, w jakim stanie mnie zostawiasz!!!

...Bari, mój ukochany pies, piękny i mądry wilk. Miałem czternaście lat, miałem akwaria, a zachciało mi się psa, już upatrzonego. Wiedzieli, jak

kocham te moje rybki hodowane w trzech akwariach, więc matka postawiła warunek – jak zlikwidujesz akwaria, będzie pies – dla spokoju z moją nową zachcianką. Matka rządziła w tych sprawach, ojciec udawał, że tak musi być. On, cwaniak poza domem, starczało mu to, po cholere szukać zwady z żoną, która w sekundę dostawała szału. Patrzył, jak likwiduję akwaria, wynosił je puste do piwnicy. I gdy już było posprzątane po moich rybkach, które za darmo oddałem do sklepu na Nowym Świecie i do zoo, i gdy zapytałem o psa, usłyszałem:

– Czyś ty zwariował? W moim domu pies?!!! Wybij to sobie z głowy!

Nie wybiłem. Oplakałem rybki raz jeszcze, oplakałem malutkiego wilczka z budowy obok, oplakałem wszystko, w co wierzyłem. I ten sam Bóg, do którego razem chodziliśmy co niedziela o dziewiątej rano, nic nie wskórał, a prosiłem. Nie było więc już miejsca dla niego, bo coś tu bardzo mi nie pasowało.

I bolało. Ale została jeszcze większa pustka po rybkach i obiecany psie. Ta bolała wtedy najbardziej. Dziadek w święta dawał setkę, została mi połowa, poszedłem na budowę, wybrałem sobie największego z trzytygodniowych maleństw i wróciłem z nim, w środku zimy, za pazuchą, na piersi, do domu. Był wrzask, ale trzymałem go mocno i tak z nim poszedłem spać i tak spaliśmy razem co najmniej pierwsze dwa tygodnie. Bardzo płakał, ja też, bo bałem się ranka, pójścia do szkoły. Powiedziałem, że jak coś się z Barim stanie, to już mnie nie zobaczycie. Bari został. Byliśmy dla siebie wszystkim w tym przewróconym na łeb świecie – jego też – i zrozumiał to bardzo szybko.

Wszędzie mogłem z nim pójść, a styk śródmieścia, Smolnej, Okólnika i Powiśla był wtedy bardzo wojujący. Szedłem parkiem architektów, trzymając Barego za karabińczyk smyczy przy samym karku – miał wtedy już rok – a naprzeciw chyba czwórka żuli szła. Coś słyszałem, że pogonimy chłopca z pieskiem, grzecznym pieskiem tak na oko, idącym cicho i grzecznie przy nodze gówniarza. Ale mi pod karabińczykiem już wtedy wrzało, mrucało, słyszał, rozumiał niebezpieczeństwo. Gdy byli z pięć-sześć metrów, nacisnąłem karabińczyk, bez słowa, a on bez żadnego dźwięku strzelił w ich środek jak kamień, a oni rozbiegli się jak kule bilardowe. Ale zaraz potem padli na ziemię, przykrywając głowy i wyjąc ze strachu, błagali: zabierz psa. A Bari czujnie podbiegał i króciutko skubał w nogę tego, co za bardzo się ruszał. Tyle lat, a tak to pamiętam. Machał ogonem, gdy szybko spoglądał na mnie, czy tak może, wyraźnie ten finał go bawił. Na moje krótkie „Bari!” natychmiast był przy mnie, patrząc i pytając, co dalej. Odtąd wiedziałem i on wiedział, że zawsze z nim mogę czuć się bezpiecznie.

Był gwiazdą, gdy przychodzili goście.

– No, daj mu kawałek kiełbasy, no daj! – brylował ojciec. Wpierw nauczyłem go nie brać jedzenia z prawej ręki, potem od obcych. Gdy się uczył, patrzył mi w oczy, leciutko przekrzywiając głowę.

Tak kiedyś patrzył na mnie, gdy wróciłem w podłym humorze ze szkoły i siedząc na łóżku w pokoju, patrząc w tę przekrzywioną psią głowę niemal krzyknąłem: – I co się tak, durna pało, patrzysz, lepiej byś mi przyniósł kaptcie! – Zawinął się do korytarza i za chwilę rzucił mi kaptcie pod nogi, bardzo z siebie zadowolony. Możliwe? Oczywiście, niemożliwe. No, chyba że tak się po prostu zdarzyło.

I ten mój Bari, gdy miał nieco ponad półtora roku, gdy rozdzielono nas w wakacje – bo ja już byłem w Zamościu, a ojciec miał z nim dojechać – ten mój Bari już do mnie nie dojechał. Matka kazała ojcu pozbyć się psa

i on to polecenie wykonał. Opowiadał, jaki to najdzielniejszy był mój Bari, gdy robiono mu testy jak innym psom, na człowieka z kijem i na strzał, to Bari jako jedyny na strzał nie skulił ogona, tylko dostał furii. Mój ojciec to opowiadał w mojej obecności wtedy w Zamościu, i potem wielokrotnie przy wódkach, jakiego to miał wyjątkowego psa, którego z dnia na dzień odebrał swemu synowi, pierworodnemu, na rozkaz jego matki. Miałem piętnaście lat. Straciłem mego Barego i rodziców, wcześniej Boga. Tak to precyzyjnie ustawiła moja matka.

Więc gdy słyszałem jeszcze na klatce, za drzwiami, jej skowyt „w jakim stanie mnie zostawiasz!” – wtedy szczególnie, po tej rozmowie, choć i po wcześniejszych, z byle histerycznych powodów, jak i później, wiedząc, że może nie do końca udaje, że może jednak jest słabsza niż sądzę, że różnie za moment może być – odchodziłem w spokoju, bez emocji i z czystym sumieniem.

## Zawodnik

Zobaczył mnie dopiero, gdy stanąłem przy jego łóżku. Leżał bez ruchu z jedną rurką w nosie i drugą w kutasie. Patrzył na mnie z napięciem. To był kolejny, trzeci lub czwarty wylew, tym razem chyba już ostatni, jak mówił mi prowadzący lekarz. Trzy zawały i trzy wylewy i tak przekraczały limit szczęścia z dużą nawiązką. Nie zawsze po poprzednich awariach odwiedzałem go w szpitalu, otrzępywał się szybko, wychodził taki sam jak przed. Jakby jeszcze nie ujrzał tam gdzieś, pomiędzy, że czas najwyższy coś zacząć zmieniać, szczególnie tam, gdzie może okazać się nagle, że jest już za późno.

Patrzyłem na niego, nic nie mówiąc. On też milczał, i tak miało pozostać, bo ten wylew był blisko ośrodka mowy. Było już za późno na rozmowę, tę najważniejszą, z którą tak często się spóźniamy. Patrzyłem mu więc w oczy i myślałem. Zauważyłem, że mrugam dość często, a on prawie nie. Coś trzeba było powiedzieć, skoro zapomniałem zwykłego „dzień dobry” czy choćby „cześć”. Powiedziałem więc:

– Nie zdążyliśmy porozmawiać.

A byłoby o czym. Pierworodny z walczącym z nim ojcem, przez całe długie lata. Po co ci to było, do cholery, pytam go wzrokiem, bo nieuczciwością byłoby mówić, skoro on nie może ani słowa. Oddechy tylko, ja powoli, on chyba szybciej. I oczy. Czy cokolwiek z nich odczytam?

Co zrobić z tą całą wiedzą o energiach, empatii, przebaczeniu, gdy zderzasz się z życiem naprawdę? Już bez czasu na ewentualne poprawki, nagle dzieje się wielkie, prawdziwe, jedyne „teraz” i jeśli „teraz” do tej pory było teorią, to właśnie teraz przestaje nią być. Jest wszystko razem, klarowne, zdarzenie po zdarzeniu, tamten ból i tamto cierpienie widzisz jak w przeźroczystym hologramie, za nim w tle twarz głównego aktora tych zdarzeń. Patrzy na ciebie, wie, co widzisz. Ale nie reaguje, bo ma szczęście już nie decydować, czy i jak ma zareagować. Cierpi teraz z powodu tego komfortu, teraz może zdecydowałby się na spowiedź, cholera wie. To nie jest uczciwe, to nie jest uczciwy układ, myślisz tak i wiesz, że masz rację. Na bok litość, to zbyt tani chwyt na takie „teraz”. Na pewno widzi to samo.

Co bolało najbardziej? Czy on też o tym myśli, od czego zacząłby przeproszać swego syna? Za psa Barego, którego sprzedał na rozkaz matki, gdy mia-

łem piętnaście lat? Czy może potem, gdy miałem trzy lata więcej i już prawo jazdy i wiozłem go razem z wujkiem Józwek i narzekali na tylnym siedzeniu na swoich synów. Musiałem wypadać gorzej od Andrzeja, bo Józef nagle skwitował, że gdyby miał takiego swołowca, to by go chyba udusił. Mój stary nie odpowiedział mi, aby udusił wpierw swego, nie kazał mi się zatrzymać, a wujkowi wypierdalać z samochodu, nie. Pamiętałem to również Józwekowi, którego już nigdy nie nazwałem wujkiem. Dziadek, jego ojciec, rzadko używał słowa „swołowca”, bo było ono w jego słownictwie najmocniejsze. Kiedyś, kilka lat przed śmiercią, nagle, w jednej z naszych niestety bardzo rzadkich rozmów, powiedział, że nigdy się nie spodziewał, że Józef to taka swołowca. Był powód – Józef pospołu z synem Andrzejem, który miał na imię jak dziadek, wykonali między sobą kilka darowizn. Czyli dziadek darował im najlepsze kęsy swego majątku. Oczywiście notariusz się nie połapał...

Na stypie dziadka Andrzej podszedł z wyciągniętą ręką, „jesteśmy w końcu brejdakami” – powiedział, a ja, patrząc mu w oczy, cicho odpowiedziałem „spierdalał”. Wiedziałem, że to właściwy czas na rozliczenie się z Józwek. Musiałem wracać szybciej do Warszawy, w domu czteromiesięczny syn, trzeci miesiąc stanu wojennego, śnieg, z Zamościa kawałek. Napisałem na karteczce krótko: „pamiętasz, jak jechaliśmy razem we trójkę i powiedziałaś ojcu, że takiego swołowca byś udusił? Dziadek jakiś czas temu powiedział mi: myślałem, że Józef to najlepszy człowiek pod słońcem, a okazało się, że to taka swołowca. Jesteśmy kwita”. Waldek, brat cioteczny, drugi taki inny jak ja w tej rodzinie, na moje „czy da Józwekowi karteczkę ode mnie, jak pojedę”, z rozradowaną gębą odpowiedział, nie wiedząc, co w niej, że z największą przyjemnością. Matka potem pytała, co tam Józwekowi napisałem, bo płakał. Z Józwek po trzynastu latach byliśmy kwita.

Trzy lata po tym, jak Józef wyzwiał mnie od „swołowcy”, ojciec ponownie zadbał o swój ojcowski wizerunek. Moją pierwszą prawdziwą miłość, Krysię, nazwał kurwą. Bo przyjechała w wakacje do mnie do Szwecji, gdzie byłem na studenckich saksach. Odpowiedziałem mu wtedy, że jest skończonym chujem, bo wie, że nie dostanie od syna w mordę, a powinien, bohater. Teraz już nie taki kozak jak wtedy, leży bezbronny, z kutasem na wierzchu, patrzy, wie? Po tamtej „kurwie” nie odzywałem się do niego ponad trzy lata, zmarniał jakoś szybko. Aż musiałem, bo matka dostawała ataków padaczki w awanturach, wskazując wspólną ich znajomą, że się z nią „ślizga”. Powiedziałem wtedy ojcu jedno zdanie tylko, że albo zrobi z tym porządek, albo won z domu. Uspokoilo się, ale nie między nami.

Zaplatają się te nasze migawki, jemu też? Stan wojenny miał i nasze od-słony, oj, miał. Nie udało mi się namówić żony na wyjechanie wcześniej do Szwecji i tam urodzenie naszego syna. Wszystko było załatwione, ale ona chciała urodzić jeszcze blisko swej matki. I urodziła mi syna w połowie listo-pada. My paszporty już mieliśmy, synek, ze zdjęciem na poduszce, też miał swój zaraz po dwu tygodniach. Wyjechać, wyjechać... Zośka, że jeszcze święta z rodziną, ja dygot. Nagle bach, wojna. Szok, wszystkie nadzieje przekreślone, pozytywny australijski interview i układ z konsulem Australii w Szwecji również, klęska, dół. Nagle dowiaduję się, że 12 grudnia ojciec wsiadł z mym młodszym bratem do samochodu i zdążyli przed północą dojechać do niemieckiej granicy. Uchronił jednego syna przed stanem wojennym, drugiemu nie puścił pary z gęby, wiedział przecież o naszych planach. Co prawda ojciec Zosi, pułkownik sztabu generalnego WP, też musiał wiedzieć, od razu zniknął, zostając gdzieś w Polsce komisarzem, lecz on nie miał interesu mówić,

jego kariera była ważniejsza. Ale dla mego nie znalazłem usprawiedliwienia, znowu zabołało. Najmocniej?

Pół roku później. Przyjaźnię się z Marianem, klasyczną ścieżką wojenną, mieszkał blisko kościoła księdza Popiełuszki. Jego stary całe życie w MSW, pułkownik, ostatni ponad rok już poza, w domu, po amputacji nogi. Wcześniej po przeciwnych stronach barykady, teraz zaczęli rozmawiać. Siedzę u Mariana, a on, patrząc mi w oczy, mówi cicho: „mój stary zna twojego”. W głowie trzask, po chwili odpowiadam spokojnie „nie pierdol”. On też spokojnie, że pewne, że w stopniu majora. Głowa już wie wszystko, wyświetla nagle, jednocześnie niemal, obrazki z dzieciństwa. Miałem może dziesięć lat, jak ojciec gdzieś pod Sztutowem krzychał na milicjanta „pasek pod brodę, gówniarzu, jak ze mną rozmawiasz!”. Jaki dumny byłem! Też następną kadr, że był z niego taki kozak w swojej okolicy. Chwalił się przy wódce, tam, w domu dziadków na wsi, jak to pod koniec wojny miał wyroki od wszystkich. Ale jak płynęliśmy po Bugu puchówką, kilka kilometrów od jego rodzinnej wsi, i łódkarz opowiadał coś z czasów wojny, to ojciec się nawet nie odezwał. Nie rozumiałem; jak to, facet był trochę starszy od ojca, co to jest pięć kilometrów, dlaczego nie pociągnął tematu, on wtedy taki zawodnik przecież? Przy tamtych, swojskich, wiejskich wódkach też słyszałem, jak to w latach sześćdziesiątych, gdy był już dyrektorem i miał kierowcę, to obaj mieli pistolety. No i dom na Smolnej, w którym mieszkaliśmy. Ludzie z KC, wywiadu, nikogo przypadkowego. I jak mnie służby próbowały nakłonić do wzajemnych kontaktów, to padło określenie, że jestem „z takiego dobrego domu”. I jeszcze inne klocki, teraz od razu do siebie pasujące, choćby to niedawne konwojowanie do granicy mego brata z legitymacją majora SB w kieszeni. Tego samego dnia czekałem w domu na powrót ojca z pracy, poprosiłem go do kredensowego pokoju, usiedliśmy naprzeciw przy stole i zapytałem: znasz Bońkowskiego? Nie odpowiedział natychmiast, ale spokojnie, jakby z namysłem, że nie i dlaczego pytam. A ja, bo on ciebie zna, i wyszedłem. Nigdy do tej rozmowy nie wracaliśmy. Ja, bo już wszystko było jasne, on, bo nie starczyło mu odwagi, aby trzydziestoletniemu synowi opowiedzieć, jak takiego kozaka jak on jednak, kurwa, złamali. Miał szansę, do cholery, miał szansę. Przecież Marian swemu wybaczył, bo jego miał odwagę ze swojego esbeckta mu się wypowiadać. I tak już zostało.

Czy to dlatego tak teraz patrzył? Zastanawiałem się, jakimi słowami tamto zamknąć, już niemal byłem gotów, gdy jednak wstrzymał mnie jakiś ślad strachu, jakiejś rozpaczliwej prośby w jego spojrzeniu. Ach tak, cholera, już wiedziałem, to nie o nas chodziło! Jakie figle płata to popieprzone życie!

Dziadek, jego ojciec, po śmierci babci został sam i dawał sobie jakoś radę, dzielił przecież duży dom ze swoją córką, ale tylko do wylewu. Córka nie miała ochoty „niesesnym”, leżącym ojcem się opiekować, tym bardziej że wcześniej mój ojciec, jak zawsze kozak, zapowiedział, że nic z ojcowizny chcieć nie będzie. Załatwił dziadkowi opiekę na stałe, ale na warunkach siostry; zabrał dziadka z jego domu na drugą stronę wsi, do samotnej kobiety, zawsze samotnej, mającej zasłużoną opinię wsiowej puszczalskiej, już mocno wiekowej, niewiele młodszej od dziadka.

Tyle o tym wiedziałem, aż w styczniu 1979 r. pojechałem odwiedzić dziadka, z ojcem i Zośką, która miała zostać moją żoną za dwa miesiące. Była zima, mróz jak siemasz. Weszliśmy do małej chałupki, która jednym rogim stała na zamarznętym rozlewisku. Bez sieni, od razu kuchnia, byle jaka drewniana podłoga ze szparami, przez które widać było klepisko, dalej



przechodziła w pokój, tam między deskami był lód. W tej drugiej części, nad lodem, stało łóżko, a w nim leżał dziadek. Pod jakimś brudnym piernatem, w jakiś łachach, w przekręconej na bok pilotce na głowie.

Na blacie kuchni właśnie stał obiad – na fajerkach smażyło się kilka jabłek. Jedynę ogrzewanie to ta wiejska kuchnia. Cały plan akcji to jakieś piętnaście metrów kwadratowych, mało, kurza chatka. Dziadek już wtedy słabo poznawał ojca, śmiał się głupawo, bez kontaktu. Lecz jedno kojarzył. Baba skarżyła się na niego, że niedobry, że wyzywa ją, że ciężko z nim, chciała po prostu wyciągnąć więcej kasy. Ojciec na to ostro upomniał dziadka – mówiłem już, jak będziesz niegrzeczny, to pójdziesz do zakładu! To właśnie dziadek rozumiał, w oczach panika, pełna potulność. Gdy wróciliśmy, po raz trzeci mieliśmy ze sobą męską rozmowę. Niemal od ręki załatwił dziadkowi specjalny szpital w Otwocku, ale dla dziadka był to niestety wyrok. Miał tak zakodowane groźby ojca o „zakładzie”, że zabiły go one w niespełna dwa tygodnie, nawet nie zdążyłem tam go odwiedzić. Ojciec wiedział o tym i wiedział, że ja o tym wiem. Teraz też wreszcie już obaj wiedzieliśmy, co mi chce powiedzieć swoimi oczami, podobnie tak wtedy patrzył na niego jego ojciec.

A więc o to chodzi. Nie chcesz do zakładu. Patrząc mu w oczy, nie unikałem lekkiego, niemal niedostrzegalnego, kilkakrotnego kiwnięcia głową. I powiedziałem:

– Wiem już, OK.

Aż wstrzymałem oddech po tych słowach, obserwując go i myśląc, jak to się w życiu przeplata, co dajesz, to dostajesz. I tak powinno być, inaczej byłoby nieuczciwie przecież! Chyba tak właśnie myślałem, nie protestując, gdy matka informowała mnie, że z ojcem sobie teraz nie da już rady, że trzeba załatwić „jakieś miejsce”. Wiedział już czy czuł tylko? Czy powiedziała mu wprost, to możliwe? Patrząc nadal na niego, odpowiedziałem sobie – mogła. Między moim psem kiedyś i tym bezradnym strzępem człowieka nie było przecież żadnej różnicy. Znowu wraca mój wilk Bari i oni oboje, teraz właśnie, jak to się miesza. Pies i człowiek, i ktoś drugi podejmujący decyzje. Patrzymy na siebie, ja ponownie lekko kiwam głową, bo już wiem, co powiem. Bari. Mówię wreszcie:

– Nie myśl już o tym, zostaniesz w domu. Obiecuję.

Jakby coś w jego oczach się zmieniło, tylko „kurwa” żadnych łez, pomyślałem. Nie zazdrościłem mu tego jego „teraz” ze mną w roli głównej, jednocześnie sędzią, katem lub wybawcą. Nie chciałem już tego przedłużać, musiałem wyjść, wziąć kilka oddechów z niebem nad sobą. Położyłem na chwilę moją dłoń na jego bezwładnej ojcowskiej dłoni, kiwnąłem głową i wyszedłem.

Dotrzymałem słowa. Tamto nasze „teraz” nie było pojednaniem ani wybaczeniem, tylko ostatnim naszym doświadczeniem, dla mnie najważniejszym. I nie chciałem rozmieniać go już na drobne. Nie miałem więc do siebie żalu, kiedy nagle zadzwoniła matka i gdy niedługo potem krótko, bez wzruszenia patrzyłem na ciało, które było moim ojcem.

## **Kiedyś mieliśmy...**

Gdy zdecydowałem, że jednak królewskie, a nie żubr – taka sama świetna cena: 1,79 z butelką (TESCO – TANIO!) – zadzwoniła komórka. Spojrzałem na wyświetlający się numer; albo znowu wysiadła identyfikacja, albo ktoś nieznamy. Ale zaraz potem słyszę bardzo znajomy głos:

– Mówi Kasia, słuchaj, kiedyś mieliśmy... – przy „kiedyś” już złowrogie potrójne piknięcie i zanim zdążyłem się odezwać, że pada bateria – cisza. Spojrzałem na gasnący ekran, tam jeszcze tylko „be inspired” – i martwo.

Kasia, zawsze tak – Kasia. Miłym, ustawionym ciepłym głosem, bez względu na sprawę, szczególnie gdy w obecności Sary. Kiedyś mieliśmy...? Co takiego kiedyś mieliśmy, aby wydawać pieniądze na komórkę o dziewiątej wieczorem? Nie byłem pewien. Próbowałem sobie przypominać, co mieliśmy.

Biorąc pod uwagę stan aktualny Kasi, mej byłej, z czym dzwoniła...? Może:

– Mówi Kasia, słuchaj, kiedyś mieliśmy takich znajomych, pamiętasz, mieszkali na dalekim Bemowie, a teraz właśnie... – Może niekoniecznie o tych chciała zapytać, może o innych. Mieliśmy nawet wielu wspólnych znajomych, głównie z mojego rozdzielnika, ale wszystkie kontakty zaczęły się sypać jak domki z kart równoległe z naszym rozsypującym się małżeństwem. Taki standard. Zaraza ta objęła też rodzinę, ale z niewielką korektą – ci jednak skoro mieli już nadal utrzymywać stosunki, to wybierali stronę słabszą, pokrzywdzoną. Albo podobną do nich, czyli Kasię. Jej twarz, jej skargi nie budziły wątpliwości, kto jest winien. Ten, którego musieli tolerować, ale teraz – starczy. Chyba tym razem Kasi nie chodziło o to. Może więc:

– Mówi Kasia, słuchaj, kiedyś mieliśmy tak świetny kontakt, nawet seks, pamiętasz...? – Stop, ponosi mnie dobry humor, chyba ten z gatunku stary satyr. Pamiętam? Tak, pamiętam. Szczególnie na początku. Seksem rządzi głowa, dlatego potem już było mocno z górki. Jeszcze na Kozłej, pamiętam, jak mówiła, odrywając się na moment od czynności, która i mi odpowiadała, że mogłaby być chyba dziwką. Ale potem, po rozwodzie już, gdy spotkała się z Małgosią, jak przyjaciel z przyjacielem, żeby było normalnie, dla dobra wszystkich – a dla dzieci szczególnie, bo przecież znały się przedtem – wtedy, w kawiarni pod Małgosi domem, gdzieś w środku swojej zakłamaney, serdecznej gry powiedziała nagle, że... zawsze byłem kiepski w łóżku. Małgosia, inna niż ona, nie zareagowała, patrzyła i słuchała zdumiona kobiety, z którą byłem lat... dwadzieścia? Nie odpowiedziała np.: ciekawe, ja mam z nim w tygodniu tyle orgazmów, ile dziewięćdziesiąt procent kobiet nie ma w rok – może coś z tobą było nie tak? Nie pamiętam, abym w jednym podejściu nie zgubiła się z liczeniem, a gubię się gdzieś chyba po czterech. Nie powiedziała, choć miała na końcu języka, bo jest z innej półki niż moja była, Kasia. Przecież nie po to się spotkały. Dajmy więc spokój i tej opcji. Skąd miałyby napaść Kasię teraz takie wspominki. Nie, nie – więc może:

– Mówi Kasia, słuchaj, kiedyś mieliśmy dwójkę dzieci, mamy już jedno, to, które gdzieś wyjechało.

Podjęłam taką decyzję. Dla jej dobra. Nie zdążysz mnie swoim zwyczajem ukarać, za chwilę i ja będę razem z nią. Nie pozdrawiaj Kacpra, zrobię to sama, stamtąd. O tobie też nie zapomnę, obiecuję... – Czy z nią jest tak źle, czy raczej ze mną? Czy byłaby zdolna? Moja paranoja po ostatnich dwóch miesiącach jej wprowadzenia się do pokoju Sary i pozostaniu w nim po ulokowaniu chorego na Alzheimera dziadka w ośrodku – czy...? Po zmienienu pokoju córki w relikwiarz matki, po wymieceniu wszystkich śladów po mnie, łącznie ze wszystkimi zdjęciami Sary z jej dzieciństwa i wstawieniu w to miejsce zdjęć kochanej, skrzywdzonej mamy ze mną, z okresu naszego narzeczeństwa lub wcześniejszych. Byłaby zdolna? Może po reakcji kuratorki, która wczoraj wyraźnie podzieliła moje zaniepokojenie stanem Sary, czyli efektem wpływu matki. Może jednak rzeczywiście chorej i zagrażającej

córce? Na zwróconą jej krytyczną uwagę zareagowała ostatnio zaskakująco histerycznie. Po raz pierwszy zgubiła rolę, w ważnym momencie rozmowy. Nie, kuratorka tak szybko by nie uderzyła, z dnia na dzień, nie. Rozmawialiśmy wczoraj, a miała przecież konsultować swoje wnioski i złożone przeze mnie pismo ze swoją przełożoną. Nie, za szybko. Przegoniłem te myśli jak najdalej, aż nie dowierzając, że mogły powstać.

Małgosia, widząc jakieś klatki przeskakujące po mojej twarzy, gdy pchałem w ślad za nią wózek z zakupami, zapytała czy jednak nie chcę oddzwonić z jej telefonu. Nie chciałem, ale też ocknąłem się nieco. Bo pomyślałem, że może sprawa jest prozaiczna, np.:

– Mówi Kasia, słuchaj, kiedyś mieliśmy taką farelkę, do podgrzewania powietrzem, zabrałaś ją gdzieś, a teraz jest mi potrzebna, bo muszę wysuszyć Sary uprane rzeczy, na jutro rano, jedzie na obóz, inaczej nie zdążę... – Dlaczego pomyślałem o tej farelce? Fakt, kiedyś ją zabrałem, już po rozwodzie, z jej łazienki naszego podzielonego mieszkania. Ta cholerna farelka ciągnąca dwa tysiące wat była włączona w tej jej już łazience niemal non-stop. Tak jak pralka, dwa prania dziennie, bo dzieci po jednym założeniu czegokolwiek zrzucały to z siebie na podłogę, a matka wołała to prać, niż uczyć dzieci, że po zdjęciu ubrania należy je... itp. A więc prała wszystko cały czas, w koło Macieju, i nie chciało to w tempie prania schnąć, więc ta farelka zmieniała łazienkę w suszarnię, a moje kieszenie w dziurawe skarpety. Bo choć mieliśmy płacić czynsz i energię po połowie i pomimo że dostawała wtedy 1800 złotych na dziecko, to za mieszkanie i energię przez pierwszy rok po rozwodzie nic nie płaciła. – Co mi zrobisz? – sycząc z radości pięćdziesiąt centymetrów od mej twarzy, pytała. Była zima, nie mogłem nie zapłacić. Gdyby wyłączyli prąd, padłoby i ogrzewanie, a mieliśmy własne centralne, na gaz, ale sterownik na prąd. No i pracownia, mój i jej chleb. Miała rację. Zabrałem więc wtedy tę cholerną farelkę. Teraz miałaby o nią pytać? Po siedmiu latach? Jest środa, Sarze grozi wyjazd na obóz, chyba w piątek...

Postanowiłem nie dzwonić z komórki Małgosi. Widziałem ostro, jak Kasia, moja była, nie traci okazji i z odpowiednim grymasem mówi Sarze: ojciec mnie usłyszał i się rozłączył, sama widzisz... Nawet jeśli tak – nie dzwonię – i nie zadzwoniłem.

Po powrocie podłączyłem telefon do ładowarki. Bez paniki, po pół godziny nie włączyłem, zadzwonił od razu – poczta głosowa plus wiadomość SMS. Słyszę moją córkę: „Mam nadzieję, że ci się komórka rozładowała. Oddzwonię, czekamy”. Ton polecenia. „Mam nadzieję...” – groźba, że wie, że to ona kontroluje sytuację. Żeby nie podskakiwał, bo może być jeszcze gorzej niż jest. Córka piętnaście lat do ojca. Zaraz potem czytam SMS-a: „Telefon się rozładował? Potrzebuję na obóz farelkę, bo tam podobno jest bardzo chłodno i wilgotno. Jeśli ją masz, to proszę podrzuc ją jakoś. Z góry dziękuję”. 21.26, czyli pół godziny po telefonii mamy i tyleż samo po nagraniu wiadomości. Wysłane z gadu-gadu, z jej nowego, dotąd tajnego dla mnie e-konta.

Bo Sara, moja córka, po prostu potrzebuje farelki. „Ma nadzieję”, że nie rozłączyłem rozmowy z matką, za którą skoczyłaby do gardła każdemu, a mnie pierwszemu. Nie – ma nadzieję, że wszystko OK, że to tylko bateria. Nie oddzwonię, a jutro, jak będzie chciała, to sprawdzi jedną z opcji swego ojca.

– Mówi Kasia, słuchaj, kiedyś mieliśmy... Mieliśmy syna i córkę, oni mieli matkę i ojca.

*Janusz Koby*

TOMASZ KLUSEK

## Przeznaczenie i bunt

### Rzecz o pisarstwie Bogdana Madeja

Dnia 6 lipca 1962 roku zmarł William Faulkner, wybitny pisarz amerykański, autor sagi Południa, a dokładniej mówiąc – jednego z północnych okręgów stanu Missisipi. Kraina ta we *Wściekłości i wrzasku*, *Absalomie, Absalomie*, *Światłości w sierpniu* oraz wielu innych książkach Faulknera to wyimaginowana Yoknapatawpha. Wyimaginowana, ale tylko w sensie beletrystycznego przetworzenia rzeczywistych miejsc, sytuacji i ludzi z ojczystego dla pisarza regionu Stanów Zjednoczonych. Na przykładzie twórczości Faulknera doskonale widać, że literackie przypowieści, parable i moralitety najlepiej osadzać w konkretnych realiach, wyzyskując lokalny koloryt. Wtedy twórca pisze o tym, co zna z autopsji, a reszta jest już sprawą talentu, inteligencji, doświadczeń i przemyśleń.

Krakowskie „Życie Literackie” pożegnało laureata Nagrody Nobla z 1949 roku krótką notką, w której uwypuklono znaczenie, jakie dla jego twórczości miały powieści Henryka Sienkiewicza, niezbyt wyraźną czarno-białą fotografią oraz tłumaczeniem tytułowego opowiadania ze zbioru *Zejdź, Mojżeszu*<sup>1</sup>. Autorem przekładu był – zatrudniony podówczas w charakterze drobnego urzędnika w lubelskim „Energomontażu” – Bogdan Madej. Jego nazwisko pojawiło się w cenionym tygodniku społeczno-kulturalnym pośród takich znakomitości jak Jan Błoński, Waław Kubacki czy Bolesław Taborski. Tłumaczenie opowiadania o skazanym na karę śmierci Samuelu Worshamie Beauchampie, czarnoskórym zabójcy policjanta, można potraktować jako debiut prasowy późniejszego autora *Maści na szczury*<sup>2</sup>. Co prawda w kompendiach typu *Polscy pisarze współcześni. Informator 1944-1968* (1970) czy *Mały słownik pisarzy polskich* (1981) mowa jest o opowiadaniach Madeja ogłoszonych na łamach prasy już w 1958 roku, jednak nie były to chyba teksty istotne, skoro sam pisarz za swój właściwy debiut prozatorski, a nie translatorski uznawał *Listy z Italii*, zamieszczone w osiemnastym numerze tygodnika „Zwierciadło” z 1964 roku<sup>3</sup>.

Tak jak Faulkner również i Madej miał swoją Yoknapatawphę. Były nią południowo-wschodnie rejony Polski, a właściwie – Rzeszowszczyzna i Lubelszczyzna. W opowiadaniach składających się na *Młodych dorosłych ludzi* (1964) refleksje autora nie zostały wyraziście wpisane w kontekst topograficzny, chociaż i tam w *Wawrzynie dla bohatera* wielokrotnie pada nazwa Chełm, a w *Jednym z transportu* bohater ucieka z pociągu, którym Niemcy przewozili Żydów z jakiegoś miasteczka na Lubelszczyźnie do obozu koncentracyjnego. W niemal wszystkich późniejszych utworach (z wyjątkiem na przykład *Pięknych kalalii albo dojrzewania miłości* z 1974 roku) miejsce akcji jest już

<sup>1</sup> W. Faulkner: *Zejdź, Mojżeszu*. Tłum. B. Madej. „Życie Literackie” 1962, nr 28, ss. 3, 5-6.

<sup>2</sup> K. Batora: Bogdan Madej (w): *Współcześni polscy pisarze i badacze literatury. Słownik biobibliograficzny*, t. 5. Pod red. J. Czachowskiej i A. Szalagan. Warszawa 1997, ss. 237-238. Autorka hasła pisze o opowiadaniu *Zstęp, Mojżeszu*, podczas gdy w „Życiu Literackim” zatytułowane jest ono *Zejdź, Mojżeszu*. Taka była propozycja Madeja. Natomiast *Go Down, Moses* przetłumaczyła jako *Zstęp, Mojżeszu* Zofia Kierszys w książkowym wydaniu zbioru opowiadań Faulknera z 1966 roku.

<sup>3</sup> Również w leksykonie *Pisarze współcześni regionu lubelskiego* Jana Smolarza z 1999 roku za debiut Madeja uznaje się tłumaczenie *Zejdź, Mojżeszu* Faulknera.

mocno zarysowane i odgrywa istotną rolę. W *Uczcie* (1965) mamy zatem Łowisko i Górno, wioski na Rzeszowszczyźnie, w *Konstelacji* (1968) Lublin i Chełm, w *Maści na szczury* (1977) pojawia się natomiast wieś Krzemień, położona chyba gdzieś na Lubelszczyźnie, choć prawdopodobnie niemająca nic wspólnego z miejscowością o tej nazwie w okolicach Janowa Lubelskiego. W zbiorze opowiadań *Półtraktat o lewitacji* (1997) pisarz przewyciężył charakteryzując go wcześniej niechęć do autobiografizmu, tym samym w jego prozie musiały się nasilić wątki regionalne. Z wyjątkiem *Wielkiej bitwy na trakcie do raję* co rusz powracają w tym tomie nazwy takich miejscowości jak Łowisko, Kamień, Rudnik nad Sanem, Górno, Nienadówka, Sarzyna, Stalowa Wola, no i oczywiście Lublin. W tytułowym opowiadaniu znajduje się też niezwykle plastyczny opis Grodna – miasta, w którym Madej spędził lata wczesnego dzieciństwa. Jeszcze inaczej jest w wydanym w 2002 roku – już po śmierci autora – zbiorze opowiadań *Abonament*. W tekstach tych co prawda często jest mowa o Lublinie, ale mają one raczej charakter kronikarski i mogą budzić wiele zastrzeżeń co do swej wartości literackiej.

Wspominając spotkanie z Arturem Sandauerem pod koniec lat 80., Madej pisał:

*Sandauer pytał o wszystko. Co napisałem? Kiedy? Gdzie i co wydałem? Dlaczego dotąd się nie zetknęliśmy? Co ukończyłem i gdzie? Kiedy mu powiedziałem, że nie mam matury, długo nad tym rozmyślał i po moich wyjaśnieniach, dlaczego tak się stało, wyraził ubolewanie. Wyższe wykształcenie, powiedział, daje niezbędny europejski szlif. Znów ubawiony zaprotestowałem i powołałem się na przykład Faulknera. Z miejsca zaczęliśmy rozmawiać o jego twórczości. Sandauer słuchał mnie uważnie i jeszcze uważniej mnie obserwował. Kiedy mu powiedziałem, że trochę tłumaczyłem Faulknera, był zaskoczony.*

– Skąd pan zna angielski?

*Powiedziałem, że jestem samoukiem.*

– I tłumaczył pan Faulknera?

– Nie tylko. Innych autorów też.

– *Coś podobnego! – krzyknął do żony – Słuchaj! On się sam nauczył angielskiego i tłumaczył Faulknera! Niesłychane!*<sup>4</sup>

Niesłychana była cała droga życiowa Bogdana Madeja. Przymuszony do przerywania nauki w liceum ogólnokształcącym w Sokołowie Małopolskim, mając niespełna osiemnaście lat, rozpoczął pracę jako brakarz w Hucie Stalowa Wola. Nieostrożne wypowiedzi – a były to przecież wczesne lata 50. – poskutkowały donosami do miejscowego Urzędu Bezpieczeństwa. Potem były dwumiesięczne przesłuchania i przyszły pisarz otrzymał coś w rodzaju wilczego biletu. W każdym razie próby przeniesienia się do innej szkoły spełzły na niczym i trzeba było podjąć pracę, a następnie odbyć trzyletnią służbę wojskową w marynarce wojennej. Wszystko to sprawiło, że Bogdan Madej początkowo nie mógł, a potem już prawdopodobnie nie chciał podnosić swojego formalnego wykształcenia. Poprzestał na trzech klasach liceum. Zmieniając zawody i miejsce zamieszkania, uprawiał „selfmademaństwo”. Jest to określenie autorstwa Henryka Berezę, które stosował w odniesieniu do innego prozaika – Zygmunta Trziszki. Samoedukacja, brak zaufania do jakichkolwiek autorytetów i niesamowita energia w dążeniu do zaspokojenia kulturalnych aspiracji wbrew wszelkim uwikłaniom w codzienność i szarżowne życia to zasadnicze cechy selfmademana. *Komuż bowiem w dzisiejszych czasach chce się „siebie robić” samemu, gdy można, rezygnując z wszelkiego wysiłku, dać „się zrobić” przez innych*<sup>5</sup> – pisał Berezę o Trziszce, ale słowa te niewątpliwie da się też odnieść do autora *Pięknych kalalii*.

<sup>4</sup> B. Madej: *Jego wysokość* (w:) „Śnił mi się Artur Sandauer”. *Rozmowy i wspomnienia*. Pod red. J. Barana. „Hereditas Polono-Judaica” 2. Kraków 1992, ss. 120-121.

<sup>5</sup> H. Berezę: *Selfmademaństwo* (w:) tegoż: *Taki układ*. Warszawa 1981, s. 325.

Język angielski był przynajmniej początkowo najważniejszym elementem „selfmademaństwa” Madeja. Lektura w oryginale tekstów Williama Faulknera, Ernesta Hemingwaya, Johna Steinbecka usensowniała egzystencję tego kontrolera jakości i zaopatrzeniowca w Stalowej Woli, pracownika PZU w Nisku, urzędnika w Lublinie, Rzeszowie, Chełmie i Rejowcu. Następnym etapem były próby samodzielnego tłumaczenia utworów angielskich i amerykańskich pisarzy. Przekłady musiały być na tyle dobre, że ich autora wpisano na listę tłumaczy Państwowego Instytutu Wydawniczego<sup>6</sup>. W 1968 roku ukazała się w PIW-owskiej serii Klubu Interesującej Książki powieść amerykańskiego pisarza Douglasa Woolfa *Ucieczka* w przekładzie Bogdana Madeja. Woolf podejmował w niej temat starości w społeczeństwie amerykańskim. Książka stanowiła wyraz buntu przeciw marginalizacji wiekowych ludzi i traktowaniu ich jako swoistego balastu. Przekład spotkał się z przychylnym przyjęciem, ale Madej już w połowie lat 60. uznał, że praca translatorska nie do końca go satysfakcjonuje, i postanowił przede wszystkim samemu pisać.

Jesienią 1964 roku Krzysztof Teodor Toeplitz kupił w księgarni dziesięć książek, aby na podstawie lektury tych na chybił trafił wybranych publikacji zapoznać się z kondycją ówczesnej prozy tworzonej przez młodych autorów. Pośród utworów Ernesta Brylla, Wiesława Dymnego, Bohdana Drozdowskiego, Leona Wantuły, Władysława Terleckiego i innych znalazł się również debiutancki tom opowiadań Bogdana Madeja *Młodzi dorosli ludzie*. Toeplitz swoje przemyślenia opublikował w nowo powstałej naówczas warszawskiej „Kulturze”, którą założono w miejsce zlikwidowanych w 1963 roku „Nowej Kultury” i „Przeglądu Kulturalnego”. W swym tekście *Młodym dorosłym ludziom* poświęcił jednak niewiele miejsca. Za dzieła mocno wybijające się ponad przeciętność uznał *Ciotkę* Brylla i *Opowieści prawdziwe* Dymnego. Wspólną cechą wszystkich wspomnianych utworów prozatorskich, owej – według określenia publicysty – „literatury martwego sezonu”, jest charakterystyczny klimat: *Tym klimatem jest niewątpliwie aura naturalizmu. Dochowaliśmy się literatury penetrującej życie i obróconej aż nazbyt może demonstracyjnie w stronę prostego człowieka. Jest to jednak, wbrew przewidywaniom, literatura o skróconej perspektywie intelektualnej lub też szerszej – literatura bez swojej podstawowej funkcji: bez mitologii. Nie trzeba chyba argumentować, że tradycyjną funkcją pisarstwa jest mitotwórstwo. To mity współczesne, nie zaś jedynie narastający zasób obserwacji stanowią linię przewodnią piśmiennictwa. Od tej postawy jednak stroni wyraźnie moich dziesięć książek. Stroni przez swój programowy antyintelektualizm, swój antypsychologizm, swoją prowincjonalność*.

Trudno zgodzić się z Toeplitzem, który hurtem potraktował tak różne książki jak wspomniane wcześniej utwory Brylla i Dymnego czy choćby *Pożar* Władysława Terleckiego i właśnie *Młodych dorosłych ludzi* Madeja. Zarzut ograniczenia się do obserwacji, braku ambicji intelektualnych i rezygnacji z tworzenia własnej mitologii w odniesieniu do opowiadań Madeja świadczy co najwyżej o tym, że autor tekstu w „Kulturze” niezbyt dokładnie zapoznał się z publikacją, o której wyrażał tak kategoryczne sądy. Nieco więcej racji miał już chyba Stefan Melkowski, gdy zarzucał Madejowi niedoceniecie konkretnego i tworzenie czegoś, co określił jako „jednowymiarowe alegorie”<sup>8</sup>. Toeplitz mówił o antyintelektualizmie prozy Madeja, natomiast Melkowski zarzucał jej przeintelektualizowanie. Toeplitz znajdował więc u Madeja tylko obserwację, a nie dopatrywał się żadnej idei, z kolei zdaniem Melkowskiego Madej tworzył parable – czy też raczej czytanki jako ich wynaturzone wersje – nie wyzyskując w odpowiedniej mierze zmysłu obserwacji. Realia były w tym wypadku tak deformowane, aby mogły stanowić

<sup>6</sup> Informacja podana przez Bogdana Madeja w filmie *Półtraktat o lewitacji*, zrealizowanym przez Adama Kulika w oddziale lubelskim TVP w 1999 roku.

<sup>7</sup> K. T. Toeplitz: *10 książek*. „Kultura” 1964, nr 46, s. 3.

<sup>8</sup> S. Melkowski: *Przyprawienie w rodzimym wydaniu młodzieżowym (w:) tegoż: Oczekiwanie i zapowiedzi*. Łódź 1980, s. 142.

uzasadnienie z góry powziętej tezy. Wydając negatywny sąd o *Młodych dorosłych ludziach*, za wzorcową realizację literackiej paraboli Melkowski uznał opowiadanie *Bardzo starzy oboje* Kazimierza Brandysa: *tekst, który równie dobrze jest opowieścią o niedzielnym przedpołudniu dwojga staruszków spędzonym w czerwcu 1964 roku na werandzie domku w Podkowie Leśnej, jak i historią dziejów Polaków w ostatnim półwieczu, przypowieścią o rodzeniu się i umieraniu, esejem na temat samotności itd., itd.*<sup>9</sup>

Największym zrozumieniem prozy Madeja wykazał się Henryk Bereza. Najpierw powitał on *Młodych dorosłych ludzi* pozytywną recenzją w siedemnastym numerze „Nowych Książek” z 1964 roku, a później w pierwszym numerze „Twórczości” z 1969 roku poświęcił Madejowi szkic pod tytułem *Postawa*, który przedrukowany został w tomie *Prozaiczne początki*. W artykule tym pisał: *Młodzi lub niezupełnie młodzi ludzie z opowiadań Bogdana Madeja nie są gniewni ani wściekli na sytuację, choć dla żadnego z nich nie jest to sytuacja taka, jakiej by chciał. Ludzie Bogdana Madeja wypróbują siebie w takiej właśnie sytuacji. Jeśli nawet nie są dojrzały, to są w trakcie zdawania egzaminu z dojrzałości. W sytuacjach zawsze trudnych, a niekiedy najtrudniejszych. Nie bez powodu obecny debiutant w literaturze (rocznik 1934) nie stroni od sytuacji wojennych, choć nie są to sytuacje, których by mógł bezpośrednio i osobiście doświadczyć. Nie zawsze zależy mu też na pełnym autentyzmie tych sytuacji. Czasem są to sytuacje modelowe, niejako wypreparowane na użytek tej próby, w której człowiek powinien się wykazać charakterem i dojrzałością. Wojna jest naturalną domeną takich sytuacji. Dla nich sięga Madej w czas wojny zarówno wtedy, gdy okoliczności wojenne swobodnie modeluje, jak i wtedy, gdy czasem dba niemal o dokumentalną autentyczność opowieści*<sup>10</sup>.

Warto umieścić debiutancki tom opowiadań Madeja, a także dwie jego powieści z lat 60., tj. *Ucztę* i *Konstelację*, w pejzażu rodzimej literatury tamtego okresu. *Piękne kalalie* rozpoczynają już nowy etap w twórczości Madeja i będą wymagały nieco innego podejścia. Otóż zwykle się mocno rozdziela debiutantów z drugiej połowy lat 50. i tych, którzy rozpoczęli działalność literacką w pierwszej połowie lat 60. Pierwsi są określanymi jako przedstawiciele pokolenia „Współczesności”, drudzy zaś jako mali realisci. Podział ten jest bardzo uproszczony i przy dogłębnej analizie trudno byłoby go utrzymać. Już choćby z tego względu, że o zaliczeniu pisarza do pierwszej lub drugiej grupy najczęściej decyduje debiut książkowy, a przecież wielu późniejszych małych realistów publikowało swoje teksty na łamach prasy literackiej właśnie w latach 50. i rzeczą przypadku było, że komuś udało się wydać książkę w roku 1959, a jego równolatkowi dwa czy trzy lata później. Kryterium chronologiczne w przypadku tak krótkiego czasu nie może być przecież nazbyt znaczące. Również wczytując się w utwory poszczególnych pisarzy, można mieć wątpliwości. To, co miało charakteryzować przedstawicieli pokolenia „Współczesności”, łatwo odnaleźć u autorów następnej generacji – i na odwrót. Pisał na ten temat Jan Błoński, który powątpiewał, że w literaturze „pokolenia, jak króliki, żyją lat pięć”<sup>11</sup>. Wyzwalanie się ze schematów socrealizmu rozpoczęło się jednak nieco wcześniej, bo już w roku 1954, a na pewno w kolejnym, pojawiły się tego symptomy. Także rok 1959 czy 1960 nie kończy rozrachunków z socrealizmem w literaturze. W pierwszej połowie lat 60. powstają utwory, w których tego rodzaju tematyka zajmuje poczesne miejsce. I nie jest tak tylko w przypadku pisarzy starszej generacji, uwikłanych wcześniej w stalinizm. Odnosi się to również do autorów młodszych.

Nie wnikając w istotę sporu między Michałem Sprusińskim i Adamem Augustynem dotyczącego debiutów z pierwszej połowy lat 60., trudno nie przyznać, że Bogdan Madej przekraczał mały realizm zarówno w rozumieniu

<sup>9</sup> Tamże, s. 142.

<sup>10</sup> H. Bereza: *Postawa* (w:) tegoż: *Prozaiczne początki*. Warszawa 1971, ss. 216-217.

<sup>11</sup> J. Błoński: *Realizm jako zaproszenie do drzemki* (w:) *Czy „mały realizm”?* Wybór i oprac. J. Kajtoch i J. Skórnicki. Warszawa 1967, s. 396 (pierwodruk artykułu: „Współczesność” 1966, nr 7).

autora *Arkadii małej stabilizacji*, jak i jego adwersarza. Sprusiński w tej głośnej przed laty polemice zarzucił małym realistom, że tworzą „literaturę bez niepokojów”, w której nikt „nie atakuje czytelnika treścią ani formą”. Proza ich jest miąka intelektualnie, nie dorównuje ani pamiętnikom, które mogą stanowić dokument socjologiczny, ani prawdziwie wartościowym dziełom literackim. Powieści i nowele małych realistów zbyt „natrętnie szeleszczą papierem”<sup>12</sup>. Wszystkie te zarzuty odpierał w tekście *Obrona arkadyjczyka* Adam Augustyn, mocno podkreślając odrębność małych realistów od pokolenia „Współczesności”. Zdaniem Augustyna mitologię poprzedników zakwestionowano, gdyż mit odrębności, mit nieszczęścia, mity erotyczne i mit lumpenproletariusza *zostały doszczętnie wyeksploatowane, do końca, do obrzydzenia*<sup>13</sup>.

Światopogląd pokolenia „Współczesności” był jakąś spóźnioną polską wersją egzystencjalizmu. Właściwie można to samo powiedzieć o większości małych realistów, a już na pewno o tych, którzy nie chcieli realizować programu przedstawionego w artykule *Proza pracy* przez Witolda Nawrockiego. W drugim numerze „Współczesności” z 1964 roku wystąpił on z postulatem powrotu do tematyki pracy w literaturze. Po dywagacjach filozoficznych i psychologicznych, ekscesach obyczajowych, którymi przesycone były utwory Moniki Kotowskiej, Magdy Lei, Eugeniusza Kabatca, Stanisława Stanucha, Marka Hłaski, Aleksandra Minkowskiego, Andrzeja Brychta, Marka Nowakowskiego i wielu innych, należałoby podjąć na nowo problematykę pracy. Nie tak jednak jak w czasach socrealizmu, gdyż wówczas nie udało się uniknąć przeróżnych błędów i wypaczeń. W ujęciu Nawrockiego mały realizm był w pewnym sensie kontynuacją socrealizmu, ale z uwzględnieniem przyczyn niepowodzeń prozy z okresu wdrażania planu sześcioletniego. A jednak czytając po latach utwory zaliczane do nurtu małego realizmu, trudno nie uznać, że większość pisarzy nie dała się przekonać do propozycji Nawrockiego. W tych tekstach praca wcale nie jawi się jako coś najważniejszego w życiu człowieka. Jest raczej smutną koniecznością i środkiem do zdobycia odpowiedniej pozycji życiowej, gdyż innych sposobów niestety nie ma. Upraszczając: bohaterowie książek przedstawicieli pokolenia „Współczesności” pracowali nierzetelnie bądź nie chcieli pracować wcale, gdyż jako spadkobiercy egzystencjalizmu nie dostrzegali żadnego sensu w codziennym trudzie, tymczasem bohaterowie prozy małych realistów najczęściej pracują, ale tylko dlatego, że muszą, a gdyby tylko mogli, też robiliby coś zupełnie innego i to najczęściej gdzieś daleko od miejsca, w którym przyszło im egzystować. Wbrew optymistycznym deklaracjom z utworów małych realistów tchnie wszechogarniającym smutkiem i tęsknotą. Tak zbiegały się drogi pokolenia „Współczesności” i małych realistów.

Twórczość Bogdana Madeja da się odczytywać w opozycji względem zarówno jednych, jak i drugich. Opowiadania z *Młodych dorosłych ludzi* stanowią rodzaj dekalogu pisarza, a wyłaniający się z ich lektury system wartości świadczy o jego odrębności. Urodzony w 1934 roku Madej mógłby zadebiutować we „Współczesności” albo zostać małym realistą. Zresztą opowiadanie *Miecz i kądziel*<sup>14</sup> znalazło się w *Almanachu Młodych. Proza i poezja 1962/3* pośród utworów takich wzorcowych małych realistów jak Stanisław Hłaski, Krzysztof Coriolan, Witold Oliwa, Andrzej Twerdochlib czy Kazimierz Palma. O ile jednak mali realiści szukali za wszelką cenę

<sup>12</sup> M. Sprusiński: *Arkadia małej stabilizacji* (w:) *Czy „mały realizm”?*, dz. cyt., s. 380 (pierwodruk artykułu: „Życie Literackie” 1965, nr 16).

<sup>13</sup> A. Augustyn: *Obrona arkadyjczyka (O krytyce młodej literatury polemicznie)* (w:) *Czy „mały realizm”?*, dz. cyt., s. 390 (pierwodruk artykułu: „Życie Literackie” 1966, nr 7).

<sup>14</sup> Jest to nieopozbawiona dramatyzmu opowieść z życia lotników. Posłużyła ona Andrzejowi Twerdochlibowi do stworzenia scenariusza filmowego. Twerdochlib połączył wątki z *Mieczy i kądzieli* z powieścią Jerzego Korczaka *Jak na niebie, tak i na ziemi*. Na podstawie tego scenariusza Julian Dziedzina nakręcił w 1973 roku film *Na niebie i na ziemi*. Później sfilmowano jeszcze trzy opowiadania Madeja: *Pan W. (Pan Waclaw z Maści na szczyry)*, reż. Krzysztof Gruber (1985); *Kurs na lewo*, reż. Paweł Unrug (1986); *W środku Europy (Żydzi, Tatarzy, inni z Półtraktatu o lewitacji)*, reż. Piotr Łazarkiewicz (1990). Podpisana też była umowa z telewizją na realizację *Prywatnej rzeczy Alfreda Cunga*. Opowiadanie to zamieszczono w 1997 roku w zbiorze *Półtraktat o lewitacji*. Do realizacji filmu nigdy jednak nie doszło.



świętego spokoju i nie chcieli poprawiać świata, to Madej charakteryzował się jakimś wewnętrznym niepokojem. Pisarza nie dręczyły co prawda otchłanie metafizyki, ale za to nie dawały mu spać niepokoje etyczne. Dosłownie, nie tylko w przenośni, gdyż obarczony pracą i innymi obowiązkami, musiał zapewne zarywać noce, by pisać. Zwłaszcza że mnóstwo czasu zabierało mu samodokształcanie. Ciekawostką niech będzie, że z języka angielskiego w sokołowskim liceum otrzymał ocenę niedostateczną. Ile samozaparcia i wysiłku wymagało późniejsze opanowanie tego języka, i to w stopniu, który pozwalał na tłumaczenie wybitnych pisarzy? Literaturę od początku do końca traktował poważnie, wyznaczając jej rolę swoistego reflektora rozjaśniającego mroki i cienie człowieczego losu. *Nie rezygnując z gromadzenia realiów, wyznaczając ściśle miejsce i czas akcji, steruje w kierunku dużej metafory i jej podporządkowuje tok narracji*<sup>15</sup> – pisał o Madeju Michał Sprusiński. Tak jest choćby w *Domu* i *Świcie*, dwóch wstrząsających opowieściach o antywojennej wymowie. W tej pierwszej autor jako jeden z nielicznych w ówczesnej polskiej literaturze pisarzy poruszył objęty znową milczenia proceder gwałtów dokonywanych przez polskich żołnierzy na niemieckich kobietach.

Kondycja społeczna predysponowała Madeja do odgrywania w literaturze roli naturszczyka. Człowiek formalnie mizernie wykształcony, pracujący na różnych podrzędnych posadach na prowincji, zmieniający często miejsce stałego pobytu powinien znać się tylko i wyłącznie na tym, co można by określić jako jego własne bytowanie. Pojawiali się tego rodzaju naturszczycy od czasu do czasu w literaturze, pisali o tym, co widzieli i słyszeli, nie siląc się na żadną głębszą refleksję czy zmaganie się z problematyką, która przekraczałaby horyzont ich widzenia i myślenia. Takim próbom literackim przypisywano zawsze walor pewnego rodzaju dokumentu, często przymykając oko na niedoskonałości warsztatowe. Madej wyłamuje się z roli, jaką miał do odegrania wedle zamysłów tych, którzy pragnęli mu patronować u progu jego kariery pisarskiej. Nie chciał występować na literackiej scenie w przebraniu naturszczyka. W debiutanckim tomie nie ma właściwie śladu autobiografizmu. Tak samo w *Uczcie* i *Konstelacji*. Niebagatelną rolę odegrała tu zapewne Zofia Hoffmanowa, która była wieloletnią opiekunką Madeja i redaktorką książek w Państwowym Instytucie Wydawniczym<sup>16</sup>. Wspominając perypetie z *Pięknymi kalaliami*, zaświadcza o tym Marek Nowakowski: *W późnych latach siedemdziesiątych z Czytelnika przenieśliem się do PIW-u i moją redaktorką została pani Zofia Hoffmanowa. Była świetna, czuła literaturę naprawdę, szanowała odrębność stylistyczną autorów, bardzo czujna na każdy błąd, usterkę; teksty przygotowywała do druku w postaci nieskazitelnej. Jej ulubieńcem, któremu matkowała, został Bogdan Madej, pisarz z Lublina. Było to około 1972 roku i powieść Madeja traktująca metaforycznie w zakamuflowanej formie o wydarzeniach Marca 1968 roku została zatrzymana przez cenzurę. Pisarz postanowił ją przemyścić na Zachód i wydać u Giedroycia. Pośredniczyłem w przekazaniu tekstu do Paryża. Pani Zofia bardzo się martwiła o dalsze losy swego podopiecznego. Po druku książki w Instytucie Literackim w Paryżu Madej został umieszczony na czarnej liście autorów zakazanych. Popadł w niebyt. Trzymał się dziarsko. Cały nasz spisek dotyczący książki odbywał się w całkowitej dyskrecji i tylko my we troje braliśmy udział w grze. Pani Zofia jako wytrawna konspiratorka z czasów KPP umawiała się z nami na ulicy i tam zapadały najważniejsze decyzje*<sup>17</sup>. Kto wie, czy to właśnie nie jej mądryemu wpływowi na pisarza, zwłaszcza w początkach jego twórczości, zawdzięcza się, że nie wpadł on w koleiny prymitywnego autobiografizmu?

Madej dość długo i konsekwentnie unikał wątków autobiograficznych w swojej twórczości. W rozmowie z Heleną Zaworską przyznał, iż natrętny

<sup>15</sup> M. Sprusiński: *Nowe debiuty*. „Życie Literackie” 1964, nr 51, s. 8.

<sup>16</sup> B. Madej: *Jego wysokość*, dz. cyt., s. 120.

<sup>17</sup> M. Nowakowski: *Nekropolis*. Warszawa 2005, s. 87.

autobiografizm zaciemniałby sens tego, co chciał wyrazić<sup>18</sup>. Oczywiście nie znaczy to, że doświadczenia życiowe, ludzie, których się spotyka, czy miejsca pobytu są bez znaczenia. Wprost przeciwnie: własne doświadczenia powinny ulegać daleko idącym przetworzeniom, służyć jako materiał do literackiej eksploracji. Szczątki osobistych przeżyć da się na pewno odnaleźć na kartach powieści i opowiadań, ale kryją się tam pod gęstą siatką symboli, deformacji i przekształceń, jakim uległy na skutek refleksji i konfrontacji z przemysłami innych osób. Ważny jest dla Madeja temat, a nie sam autor:

H. Z.: (...) *Czy pan, tak zasadniczo i konsekwentnie rezygnując z wyrażania własnej osobowości i własnych losów w literaturze – nie rezygnuje z czegoś ważnego, czegoś świadomie lub nieświadomie nie przemilcza?*

B. M.: *Nie wiem, czy coś zostało przez to stracone. Sądzę, że nie. W tej chwili się zastanawiam, bo pani zapytała, ale sam nigdy o tym nie myślałem. Może to jest założenie podświadome, ale uważam, że w tym typie literatury, jaki uprawiam, osoba autora nie jest potrzebna.*

H. Z.: *Dlaczego? Tyle pan mówi o wiarygodności, a jest to w końcu najbardziej wiarygodne doświadczenie, jakie pan zna. Pana osobowość, los, nieopowtarzalność mają prawo być zaświadczone.*

B. M.: *Może jestem literackim kwakrem czy mormonem. Mówiłem pani, że byłem zafascynowany Faulknerem. Oderwanie się od niego kosztowało mnie wiele pisarskiego trudu. Faulkner powiedział, że autor jest niepotrzebny, nieistotne jest nazwisko Szekspira, ważne jest tylko to, co Szekspir napisał<sup>19</sup>.*

Bohater *Uczty* miał pierwowzór w rzeczywistości. W rozmowie z Zaworską pisarz wyznał, że najpierw myślał o wiernym odtworzeniu losów człowieka, który próbował opuścić rodzinną wieś i osiąść w mieście. Te przynosiny jawiły mu się jako niesamowity awans społeczny, przerwanie odwiecznego kręgu chłopskiego bytowania, na jaki skazał go i pokolenia jego przodków los. Wszystkie jednak wciąż sprzysięgało się przeciw tym zamiarom i obracało je wniwecz. Autor przyznał, że musiał zrezygnować z pierwotnego zamysłu i posłużyć się dość daleko idącym przetworzeniem wyjściowego materiału. Dlaczego? W rozmowie z Zaworską nie ma o tym mowy, lecz w artykule Macieja Podgórskiego w „Kamieniu” znajdziemy słowa Madeja, który wyjaśniał: *modelem był żyjący człowiek, ale ja go trochę poprawiłem, bo on był niekonsekwentny, nie pomagał faktycznie swoim dążeniom<sup>20</sup>.* *Uczta*, wbrew temu, co stwierdza Zaworska, nie jest powieścią edukacyjną, ale rodzajem przypowieści. Autor, posługując się scenariem podrzeszowskiej wsi, podejmuje temat przeznaczenia człowieka. Pośród pól i lasów, w wiejskich chatkach rozstrzyga się problem, który dręczył ludzkość od dawna, może nawet od zarania jej dziejów. Chodzi o to, co u antycznych autorów przybierało nazwę fatum, a u Faulknera rozpościerało się nad Yoknapatawphę w postaci „doom” – tragicznego przeznaczenia. Czy Stanisław Grabski, główny bohater powieści, nie jest pewnego rodzaju wcieleniem Sofoklesowego Edypa? Czy istota ludzka może przeciwstawić się losowi? Madej odrzuca banalne odpowiedzi w stylu, że człowiek może wszystko, jeśli tylko będzie chciał. Wszak osiągnięcie celu nie zależy wyłącznie od woli osoby. Wyzwolenie jest możliwe, ale jedynie w aspekcie indywidualnym. Cała maszyna społeczna, w której przyszło jednostce egzystować, zniewala ją dogłębnie, deprawuje i niweczy ambitne zamiary.

Warto tu przytoczyć dość długi, ale niezwykle znamienity cytat. Narrator, wiejski nauczyciel, spotyka Stanisława i wiodą taką rozmowę:

<sup>18</sup> W czasie gdy Bogdan Madej rozmawiał z Heleną Zaworską, miał już w swoim dorobku kilka opowiadań o wyraźnie autobiograficznym charakterze, m.in. *Syna walczącej Europy* (okres dzieciństwa w czasie wojny) i *Żydów, Tatarów, innych* (nauka w sokołowskim liceum). Opowiadania te wraz z innymi tekstami również z mocno podkreślonymi wątkami autobiograficznymi weszły do zbioru *Półtraktat o lewitacji* z 1997 roku. Zbiór *Abonament* z 2002 roku otwiera autobiograficzne opowiadanie *Szaletstwo раннего miasta*, w którym autor powraca do Leszna z wczesnych lat 50., kiedy to uczył się tam w liceum handlowym. Przy okazji warto wspomnieć o dwuczęściowym cyklu wspomnień Madeja *Między Niennem i Sanem*, który został opublikowany w 2 i 3 numerze „Kresów” z 1995 roku.

<sup>19</sup> H. Zaworska: *Dojść do słowa. Rozmowa z Bogdanem Madejem*. „Odra” 1988, nr 4, s. 63.

<sup>20</sup> M. Podgórski: *Potrzeba wysokich wymagań*. „Kamena” 1971, nr 1, s. 5.

– Dwa lata temu – powiedział – czytałeś nam sztukę Szekspira. Nie pamiętam nawet, jak się nazywała, jak się nazywał ten duński królewicz, ale myślałem, że miał rację, kiedy zabił Poloniusza i...

– Hamlet – powiedziałem – Poloniusza – poprawiłem go bezwiednie.

– Kiedy go zabił i powiedział stryjowi, że Poloniusz jest na uczcie.

Nie pamiętałem i spojrzałem pytająco na Stanisława.

– Pamiętasz? – powiedział – Ludzie króla nie mogli odnaleźć ciała Poloniusza, więc król spytał Hamleta, gdzie Poloniusz, i on powiedział: na uczcie. Przypomniałem sobie.

– Na kolacji – poprawiłem znowu.

– Na uczcie? Gdzie? zapytał stryj.

– Na kolacji – powiedziałem, lecz Stanisław niecierpliwie potrząsnął głową.

– Możliwe – powiedział – ale to była uczta. O ucztę chodzi, a nie o zwykłą kolację. I wtedy Hamlet powiedział, nie tam, gdzie on je, tylko tam, gdzie jego jedzą.

– Tak – powiedziałem wyczekująco.

– Myślałem o tym. Pożyczyłem od ciebie tę książkę, żeby to dobrze przeczytać. Myślałem o tym, że moje życie jest taką ucztą, na której jestem tylko potrawą. Teraz jest inaczej. Wiem, że pojedę do Leżajska, i wiem, że mam po co.

Więc myślał o życiu jako uczcie i pochylając się nad synem, który za trzy tygodnie kończył dopiero pierwszy miesiąc, czuł, że przestaje być potrawą<sup>21</sup>.

W *Uczcie* cały czas mówi się o podrzeszowskich wsiach: Łętowni, Łowisku, Górnie, Jeżowym, ale tak naprawdę czytelnicy niewiele się o nich dowiadują. Jak sądzę, nie dlatego, że autor nie potrafił pokazać tych miejsc w sposób obrazowy, ale dlatego, że po prostu nie chciał. Wszyscy tu mówią mniej więcej jednakowym językiem: i chłopci, i wiejscy nauczyciele, a nawet sam narrator. *Uczta* to jednak nie rodzajowe obrazki z życia wsi polskiej, lecz opowieść o przechodzeniu ludzi ze wsi do miast, o tak zwanym awansie społecznym. Nie bez powodu chyba książka owa nawiązuje tytułem nie tylko do Szekspira i *Hamleta*, ale również do sławnego dialogu Platona – mamy wszak do czynienia z rodzajem swoistej rozprawy filozoficznej.

Do tematu przeznaczenia powrócił pisarz w opowiadaniu *Półtraktat o lewitacji*. Narrator spotyka staruszkę obdarzoną zdolnością odczytywania przeszłości. Pyta kobietę o śmierć swojego stryja Szczepana, który został zabity w czasie wojny przez Niemców. Czy mógł tego uniknąć? Kobieta odpowiada, że jakkolwiek postąpiłby Szczepan, musiał zginąć, gdyż taki los był mu pisany – nie ma znaczenia, czy pozostałby w zajętej przez Rosjan Grodnie, czy też uciekł do Generalnej Guberni. To los wydał na bohatera wyrok śmierci, a Niemcy bądź Rosjanie byli tylko wykonawcami.

*Konstelacja* jest najbardziej lubelską z książek Bogdana Madeja. Piotr, były więzień obozu koncentracyjnego na Majdanku, postanawia pozostać po wojnie w Lublinie i rozpocząć pracę jako przewodnik wycieczek w muzeum na terenie miejsca kaźni. Wraz z Piotrem i będącą z nim w związku Anną czytelnicy przemierzają ulice miasta. Jest to Lublin wczesnych lat 60. XX wieku, a reminiscencje sięgają także lat 50. i nawet 40. Oto spotkanie przy dawnym rektoracie UMCS na placu Litewskim, jeszcze przed pożarem tego budynku w 1960 roku, później koniak i kawa w restauracji „Lublinianka”, wreszcie – film Ottona Premingera *Anatomia morderstwa* z Jamesem Stewartem w roli głównej oglądany w kinie „Wyzwolenie”. Trolejbusy z pantografami i miejskie autobusy, za szybami których „Lublin wtłoczony w ciemność”. W pogodne dni tłumy, które spieszą na basen przy ulicy Lubomelskiej albo do parku z muszlą koncertową. W księgarniach słowniki Larousse’a, Robert Penn Warren, Carson McCullers, John Steinbeck i *La nausée* Jeana-Paula

<sup>21</sup> B. Madej: *Uczta*. Warszawa 1965, ss. 238-239.

Sartre'a. Ten miejski katalog jest tak obszerny, że Bereza nazwał *Konstelację* „widokówką z Lublina”<sup>22</sup>.

Powieść nie jest odkrywcza ani pod względem treści, ani pod względem formalnym. Nie znaczy to, że była utworem chybionym. Realia codzienności zostały sugestywnie odtworzone, portrety psychologiczne są pogłębione, kompozycja jest właściwie bez zarzutu. To książka, w której autor konsekwentnie rozwinął wszystko, co było dobre w *Młodych dorosłych ludziach*. A przecież już sam debiutancki tom był zbiorem udanym. Madej podjął w *Konstelacji* temat ludzi zarażonych śmiercią i jako kolejny z całego szeregu twórców doszedł do konkluzji o niemożności wyzbycia się bagażu doświadczeń wojennych. Rację miał Tadeusz Kłak, gdy stwierdzał w „Kamienie”: *Teren, po którym Madej porusza się w „Konstelacji”, jest bardzo trudny, w poważnej mierze wykorzystany przez jego poprzedników, ale przecież co pewien czas te same sprawy jawią się w innym świetle, wymagają odmiennego przedstawienia*<sup>23</sup>. Zapewne istniały w polskiej literaturze lepsze próby uporania się z tą problematyką, niemniej i głos Madeja był czymś istotnym.

O ile *Konstelacja* stanowi zwieńczenie pierwszej fazy pisarstwa Madeja, o tyle *Piękne kalalie* rozpoczynają nowy etap. Sam autor twierdził, że z chwilą postawienia ostatniej kropki w *Konstelacji* zakończył się spontaniczny okres jego pisania<sup>24</sup>. Nie do końca można się z tym zgodzić, gdyż proza Madeja od początku była mocno wyspekulowana i spontaniczności było w niej raczej niewiele. Stanowiło to nawet zaletę. Jeśli przez spontaniczność będziemy rozumieć to, że autor w momencie tworzenia nie do końca uświadamia sobie metody pisarskie, to ostatecznie można by się zgodzić. Ale przecież i dużo potem, w czasie pisania *Maści na szczury*, Madej pozostał autorem w powyższym sensie spontanicznym. W rozmowie z Sandauerem wcale się z tym nie krył:

*W jakimś momencie, podczas pierwszej naszej rozmowy, oczy mu się nagle rozjaśniły, jakby wchłonął w nie nagle wiele błękitu z bladego wiosennego nieba. Zachichotał i pokręcił głową.*

– Nie mogę się zorientować – powiedział – jak pan to zrobił?

Byłem zaskoczony.

– Co ja zrobiłem?

– No – powiedział i przyjrzał mi się. – Jak pan tę „Maść na szczury” napisał?

– Nie wiem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą, ale byłem zaskoczony pytaniem.

– Coś podobnego! – powiedział Sandauer jeszcze raz i znów przyglądał mi się badawczo, jakby zdziwiony, że mogłem te opowiadania napisać<sup>25</sup>.

Koniec owej spontaniczności był tak naprawdę końcem dominacji tematyki dotyczącej problemów etyki indywidualnej. Maciej Podgórski słusznie zauważył, że trzy pierwsze publikacje książkowe Madeja stanowią próbę odpowiedzi na jednostkowe pytania egzystencjalne. Podgórski wyczekiwał z niecierpliwością na moment, w którym autor *Konstelacji* zmierzy się z tym, co można określić uwarunkowaniem społeczno-historycznym: *Tak czy inaczej literatura Madeja poruszała się dotąd na kameralnej i właściwie ahistorycznej płaszczyźnie, gdzie człowiek wobec świata znacząco: człowiek wobec najbardziej przyległych doń atrybutów jego losu oraz wobec drugiego człowieka. Wielce byłbym ciekaw, co też bezkompromisowość pisarska i rozwaga podesuną Madejowi, kiedy on wreszcie zmierzy się z problemem: człowiek wobec historycznie, społecznie określonej szerszej rzeczywistości?*<sup>26</sup>

Wydarzenia Marca 1968 okazały się przełomowe dla twórczości Madeja o tyle, że pisarz znacznie poszerzył krąg tematyczny poprzez uzupełnienie

<sup>22</sup> H. Bereza: *Postawa*, dz. cyt., s. 222.

<sup>23</sup> T. Kłak: „Konstelacja” Madeja. „Kamena” 1969, nr 4, s. 11.

<sup>24</sup> M. Podgórski: *Potrzeba wysokich wymagań*, dz. cyt., s. 5.

<sup>25</sup> B. Madej: *Jego wysokość*, dz. cyt., s. 121.

<sup>26</sup> M. Podgórski: *Potrzeba wysokich wymagań*, dz. cyt., s. 5.

etyki indywidualnej etyką społeczną. To wyjście ponad poziom jednostkowej moralności i próba analizy sposobów funkcjonowania państwa spowodowały konflikt z cenzurą. W październiku 1970 roku autor złożył w Państwowym Instytucie Wydawniczym maszynopis powieści *Piękne kalalie albo dojrzwiane miłości*. Już w styczniu następnego roku otrzymał odpowiedź odmowną. Późniejsze próby spełzły na niczym. Powieść ze względów cenzuralnych nie mogła być wydrukowana. Madejowi sprzyjała i próbowała w miarę swoich możliwości pomóc Zofia Hoffmanowa. Co więcej, ówczesny dyrektor PIW-u Andrzej Wasilewski także był za drukiem książki, ale nie zdołał przemóc bariery cenzury. Aluzje były zbyt przejrzyste, wymowa polityczna jednoznaczna. W końcu Wasilewski zrezygnował ze zmagania z urzędem na ulicy Mysiej, a po latach wspominał *Piękne kalalie* jako jeden z tytułów, z którymi PIW miał szczególne kłopoty w cenzurze. Te inne tytuły to *Rozmowy z katem* Kazimierza Moczarskiego, *Żart* Milana Kundery i *Do piachu* Tadeusza Różewicza<sup>27</sup>.

Dopóki Madej ograniczał się do prób odpowiedzi na pytanie, jak powinien żyć człowiek, jego utwory były przez cenzurę przepuszczane; z chwilą kiedy zaczął pytać, jak powinno funkcjonować państwo, przestały być drukowane. Historia powtórzyła się też w przypadku zbioru opowiadań *Masć na szczury*. Złożony w styczniu 1976 również w PIW-ie tekst został odrzucony<sup>28</sup>. Autor zdecydował się na wydanie swoich książek w Instytucie Literackim w Paryżu. Publikacje u Jerzego Giedroycia zamknęły Madejowi drogę do krajowych wydawnictw i czasopism. Tu mógł drukować tylko w tzw. drugim obiegu, poza cenzurą. W lubelskich „Spotkaniach” wydał pod koniec lat 70. esej *Polska w orbicie Związku Radzieckiego*.

Janina Katz w recenzji *Pięknych kalalii* w paryskiej „Kulturze” zestawiała ten utwór z innymi powieściami wydanymi w Instytucie Literackim, tj. z *Zatrzymanym do wyjaśnienia* Stanisława Wygodzkiego i *Cudowną meliną* Kazimierza Orłosia<sup>29</sup>. Zdaniem recenzentki żadna z tych książek nie mogła się ukazać w kraju ze względu na swą dwuwarstwowość – w każdej z nich realistyczna sytuacja była tylko pretekstem do snucia metaforycznych wątków o bardzo jednoznacznej wymowie politycznej. Sens przedstawianych wydarzeń, miejsc, ludzi nie wyczerpywał się jedynie w pełnieniu funkcji deskrypcyjnej. To właśnie metaforyzacja fabuły z góry skazywała powieść Madeja na niebyt na krajowym rynku wydawniczym. Alegoria jest zawsze bardziej demaskatorska niż realistyczny opis jakiegoś konkretnego przypadku. Można sobie wyobrazić sytuację, w której ktoś ukazuje nadużycia wysokiego rangą urzędnika partyjnego, dajmy na to, na szczeblu wojewódzkim, a utwór taki przechodzi przez cenzorskie sito. Przypadek zdemoralizowanego aparatczyka poszedłby na karb tego, że partia posługuje się tylko ludźmi, a ludzie, jak wiadomo, to nie anioły. Zdarzyć się więc może od czasu do czasu jakiś zbłąkany komunistyczny prominent. Najważniejsze, że góra partyjna czuwa, wyłapuje takich osobników i pozbywa się ich ze swoich szeregów. Partia jako całość jest natomiast nieskalana, nie błądzi i bezustannie wiezie naród do ustroju szczęśliwości. Powstawały takie książki i filmy, a nawet w niektórych okresach były silnie propagowane i rozpowszechniane.

Jednak Madej nie opisał jedynie jednostkowego przypadku. Janina Katz zwraca uwagę na biblijny początek *Pięknych kalalii*. Ewa kusi Marka – takie imiona mają główni bohaterowie – jabłkiem. Jest tu ono nie tylko symbolem pokusy erotycznej, ale posiada znaczenie wręcz polityczne. Oto grupa fanatyków, która przejęła władzę nad miastem, uznała jabłko za szkodliwy przeżytek. Na ich miejsce winny wejść do użytku kalalie, ale nie wchodzą, bo nikt nie potrafi stworzyć takich owoców. Kalalii nie ma, a za

<sup>27</sup> L. Żuliński: *Foksal 17*. Warszawa 2006, s. 85.

<sup>28</sup> K. Masłoń: *Bez barw ochronnych. Rozmowa z Bogdanem Madejem*. „Życie Warszawy” 1987, nr 86, s. 5.

<sup>29</sup> J. Katz: *Czekając na kalalie*. „Kultura” 1974, nr 5, s. 138.

spożywanie jabłek grożą kary. Czuwa nad tym wszystkim wydział ogrodnictwa. Ukazane przez Madeja miasto staje się metaforycznym obrazem państwa totalitarnego, ogrodnicy to policja polityczna, jabłka to symbol normalności, a kalalie – dogmatyzmu i obłądnej ideologii. Pierwszy bunt przeciw władzy nie powiódł się, ale nie oznacza to końca walki. Cała nadzieja w młodych ludziach, takich jak Marek i Ewa.

Dwuwarstwowość zostaje też zachowana w *Maści na szczury*. Pierwiastek realistyczny ulega tutaj wzmoczeniu, choćby przez bardzo udaną próbę sparodiowania gwary wiejskiej. Janina Katz wyznaje: *od „Konopielki” Edwarda Redlińskiego nie czytałam niczego, co brzmiałoby tak autentycznie*<sup>30</sup>. Wzmocnieniu pierwiastka realistycznego towarzyszy osłabienie jednoznaczności metafory. Dokonuje się jej uniwersalizacja. Jeżeli w *Pięknych kalaliach* metaforyczna optyka obejmowała wyłącznie praktyki totalitarnego państwa, to w *Maści na szczury* chwyt ten ma znaczenie bardziej ogólne, ponadustrojowe. Dlatego opowiadania z *Maści na szczury* w dużej mierze nadal zachowują aktualność. *Pochówek* jest gorzką satyrą na pazerność człowieka, *Kurs na lewo*<sup>31</sup> mówi o funkcjonowaniu klik, które tworzą skorumpowani urzędnicy, *Podkowy* i *Maść na szczury* to teksty o społeczeństwie zbiurokratyzowanym do granic absurdu. W *Panu Waclawie* podąża Madej śladem Marka Nowakowskiego i przedstawia wizję społeczeństwa, w którym resztki honoru i solidarności zachowują przestępcy, a tak zwani porządni obywatele żyją w oparach kłamstwa i obłudy. Utwór ten odczytać można jako modelowe studium mechanizmu rozbijania solidarności grupowej za pomocą trzech metod: zastraszenia, przekupstwa, szantażu. W faulknerowskim z ducha opowiadaniu *Głęboką nocą. Walc*, które drastycznością dorównuje *Azyłowi* i *Światłości w sierpniu*, pisarz demaskuje najbardziej mroczne instynkty drżemiące w człowieku – zdaje się wręcz mówić: świat jest pełen ludzi takich jak Joe Christmas, zbrodniarz ze *Światłości w sierpniu*. niewiele trzeba, aby te mroczne instynkty wyzwołyły się w człowieku. W *Maści na szczury* autor sięgnął – jak sam to określił – dna ludzkiego bytowania, wręcz piekła<sup>32</sup>.

Porównując *Piękne kalalie* i *Maść na szczury* z wydanym już po śmierci Madeja zbiorem opowiadań *Abonament*, trzeba stwierdzić, że te ostatnie teksty w żaden sposób nie dorównywały utworom opublikowanym niegdyś w Instytucie Literackim. W *Abonamencie* nie ma już właściwie dwuwarstwowości, zamiast ujęcia metaforycznego pojawia się czarno-białe widzenie świata. W *Pięknych kalaliach* też istniał dość schematyczny podział na dobrych i złych, ale był osłabiany przez groteskę. W *Abonamencie* tak jaskrawe uproszczenia nie znajdują już żadnego usprawiedliwienia, zwłaszcza że miała to być literatura realistyczna o kronikarskim charakterze. Być może opowiadania owe posiadają pewne walory jako rodzaj kroniki lat 80., ale większe sproblematyzowanie tematów i unikanie hasłowości lepiej przysłużyłyby się realizacji artystycznych zamysłów. Dziwić też może, że spod pióra autora, który zwykle bardzo dbał o formę swoich utworów, wyszły teksty skomponowane tak niestarannie, z nieprzekonującymi portretami psychologicznymi, osadzone w realiach rodem z telewizyjnych przekazów. Zamykające zbiór opowiadanie *Zwiastun*, mające stanowić diagnozę sytuacji, w jakiej znalazł się kraj po transformacji ustrojowej, jest zdecydowanie najsłabsze w całej książce. Na szczęście *Abonament* to jedyna tak słaba publikacja w dorobku twórczym Bogdana Madeja. Pisarz ten powinien być oceniany nie przez

<sup>30</sup> J. Katz-Hewetson: *Lekkostrawny naród*, „Kultura” 1977, nr 10, s. 105.

<sup>31</sup> Wielce znamienne były losy tego opowiadania: zaanonsowane przez redakcję „Twórczości” w lipcu 1974 roku jako tekst przeznaczony do druku w jednym z najbliższych numerów, zaraz w następnym numerze miesięcznika zniknęło z tylnej strony okładki, gdzie drukowano owe anonse. Redakcja wywiązała się z obowiązku wobec czytelników w sposób nieco osobliwy, drukując *Kurs na lewo* niemal po ośmiu latach od zapowiedzi, w majowym numerze „Twórczości” z 1982 roku. Jednak wówczas zdjęto już z Bogdana Madeja peerelowską anatemię i znów mógł publikować w oficjalnych wydawnictwach i czasopismach. I tak: wiosną 1983 roku ukazało się pierwsze krajowe wydanie *Maści na szczury*. Paryska „Kultura” przywitała je notką, w której wyraziła żal, że „Czytelnikowski” wydanie pozbawione jest informacji, iż książka po raz pierwszy ukazała się w Instytucie Literackim („Kultura” 1984, nr 5, s. 158).

<sup>32</sup> H. Zaworska: *Dojść do słowa...*, dz. cyt., s. 60.

pryzmat *Abonamentu*, a *Maści na szczury*, stawiającej go w rzędzie najwybitniejszych prozaików polskich doby powojennej.

W 1974 roku opublikowano w „*Twórczości*” zapis dyskusji o literaturze XXX-lecia. W rozmowie wzięli udział Henryk Bereza, Zbigniew Bienkowski, Tomasz Burek, Tadeusz Drewnowski i Andrzej Kijowski. Bereza i Kijowski zaprezentowali dwa diametralnie różne stanowiska. Bereza twierdził, że interesuje go literatura jako literatura, a więc jako rozwój form artystycznych, zmiany w stylu i języku, natomiast Kijowski oznajmił, że literatura w tym ujęciu nie zajmuje go w ogóle, szczególnie jeśli chodzi o prozę. Epika musi służyć czemuś więcej, realizować określone idee, gdyż w przeciwnym wypadku staje się kolekcją rozpoetyzowanych form prozatorskich bądź towarem, który nie służy do niczego, a wtedy trudno się dziwić, że nie znajduje nabywców. Zdaniem Kijowskiego taki los słusznie spotkał młodą literaturę po roku 1956, bowiem zasłużyła ona sobie na to nie tylko nieudolnością, ale i bezideowością. Krótko mówiąc: literatura popaździernikowa zawiodła pokładane w niej nadzieje. Henryk Bereza zajął zupełnie inne stanowisko. Dopatrzył się przełomu w wystąpieniach prozaików około roku 1960. Od tego czasu literatura zaczęła być ważna właśnie jako literatura, a nie jako wyrazicielka takiego czy innego światopoglądu<sup>33</sup>.

Wczytując się w prozę Madeja, trudno nie zauważyć, że był on zwolennikiem koncepcji Andrzeja Kijowskiego. Literatura powinna być wyrazem buntu człowieka wobec przeznaczenia, bez względu na to, czy przybiera ono postać antycznego fatum, czy też współczesnych determinizmów społecznych. Tak właśnie przedstawia się wielka idea Bogdana Madeja, której podporządkował całą swą twórczość. Paradoksalnie zdaje się to potwierdzać Bereza, oponent Kijowskiego, a jednocześnie uważny czytelnik książek lubelskiego pisarza: *To jest właśnie taka proza, która narzuca się przede wszystkim swoimi treściami, nie swoją formą. Madej stroni od wszelkich eksperymentów formalnych, niewiele go one obchodzą. Madej poddaje się gwałtownej potrzebie wypisania się. Ta potrzeba jest autentyczna i towarzyszy jej konieczna w takiej sytuacji współczesna kultura literacka w wydaniu – to najbliższe skojarzenie – raczej amerykańskim niż jakimkolwiek innym. Znać w prozie Madeja ślady lektur amerykańskich, co nie oznacza jednak żadnego naśladownictwa. Bogdan Madej pisze po swojemu. Przede wszystkim prosto, jędrnie i barwnie. Słowa u niego niczym nie zaskakują, ale są takie, jak gdyby nic nie utraciły ze swej znanej i wypróbowanej wartości. Są to słowa prawdziwe, które znaczą to, co mają znaczyć. To bardzo dużo, bo przecież od literatury nie należy chyba nic więcej wymagać jak tylko tego, żeby słowa były prawdziwe*<sup>34</sup>.

Tomasz Kłusek

<sup>33</sup> O literaturze XXX-lecia rozmawiają: Henryk Bereza, Zbigniew Bienkowski, Tomasz Burek, Tadeusz Drewnowski, Andrzej Kijowski. „*Twórczość*” 1974, nr 7, ss. 48-79.

<sup>34</sup> H. Bereza: *Postawa*, dz. cyt., s. 219.

---

## Książki nadesłane

Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2016

Wojciech Młynarski: *Od oddechu do oddechu*. Poezje. Ss. 478.

Leonard Młodinow: *Nieświadomy mózg. Jak to, co dzieje się za progiem świadomości, wpływa na nasze życie*. Przełożyła Julia Szajkowska. Ss. 326.

---

EDA OSTROWSKA

## *Facecje*

(fragment poematu)

Śniłam sen  
nie zbudziłam się  
jeszcze  
ostrzem  
w tykwie tkwię

spałam długo  
kroiłam grubo  
soliłam szczerze  
jadłam świeżą  
wątrobę

a jeśli cyganie  
zgubili granie  
jest szansa  
że carte blanche  
dostanie

teraz rozumiem  
może człowiek  
z przeżycia  
wpaść do miednicy  
do gówien

poszła z nosa  
pierwsza rosa  
krew mózg siara  
para  
kaloszy

już płacę  
dwa rżące  
ogiery  
na cztery  
ręce

*Tadejowi Karabowiczowi*

w kalesonach  
łatanych  
z kwiatu



wiśni zalecasz się  
do Apollina

czy to pora  
Amora  
obudzić  
wadzi się  
igła busoli

Wawrzyn Literacki  
grzmotnij  
do pieca  
zleca się  
iskry

jeszcze trzeba  
do ognia  
podłożyć  
kilka noży  
nierdzewnych

*Jackowi Fertowi*

dłaczego  
kiedy  
nożyce krzywo tną  
żywopłot  
milczy jego alter ego

natrzeć uszu  
paliuszem  
godziło się  
bo chodziłeś  
w pióropuszu

ludzi sukcesu  
traktuj z grymasem  
nie masz przyjaciela  
gdzie trele  
dandysa

pozostaje życzyć  
abyś w trzewikach  
jedwabnych  
wskakiwał do fontanny  
z Beatrycze

po pieszczocie  
przelotnej  
chwili  
umyj szyję  
pod prysznicem

z rozmowy  
tej schowam  
zioła lecznicze  
na bronchit dusznicę  
ból głowy

Edyś  
szła kiedyś  
prosto na lwa  
kamiennego koła  
gospodyń

wiatr uderzył  
w mózdzierze  
głos  
pod włos  
najeżył

rosną koszty  
bez litości  
i na gwoździach  
wieszam obraz  
nagiej kości

bierz od dzieci  
bez selekcji  
zanim mózg  
sadza rdza nóż  
z oka wyleci

jedni z bagien  
liście grabią  
innym mały zwija się  
w trąbkę bądź w ryjek  
albo robi szpagat

stawiam  
na ławie  
beczkę z kapustą  
dla tych co jedzą tłuste  
potrawy

zdechnie krowa  
bez słowa  
padnie wół  
byleby nakryty stół  
balował

stop  
stu  
obowiązkom

zdjęcie  
zrób

stóg siana  
leży od rana  
do południa  
ze studni  
bije łuna

kiedy śpię  
głowa toczy się  
po zmijach  
i rozwija  
tren

anioł  
ze zwiastowaniem  
omija  
na milę  
wracaj baranie

skosztuj  
dupiastą  
garść bakalii  
i niesforne  
loki Kaśki

duża radość  
popychadłom  
w małym palcu  
zwyrodnialcom  
czyni zadość

niech słońce i księżyc  
w jednym  
orszaku staną  
związani  
gordyjskim węzłem

sparz cytrynę  
mój synu  
na miłosne  
z cytrusem  
zaręczyny

wspomnij  
chabry  
w życie  
rozpalone lice  
gromnic

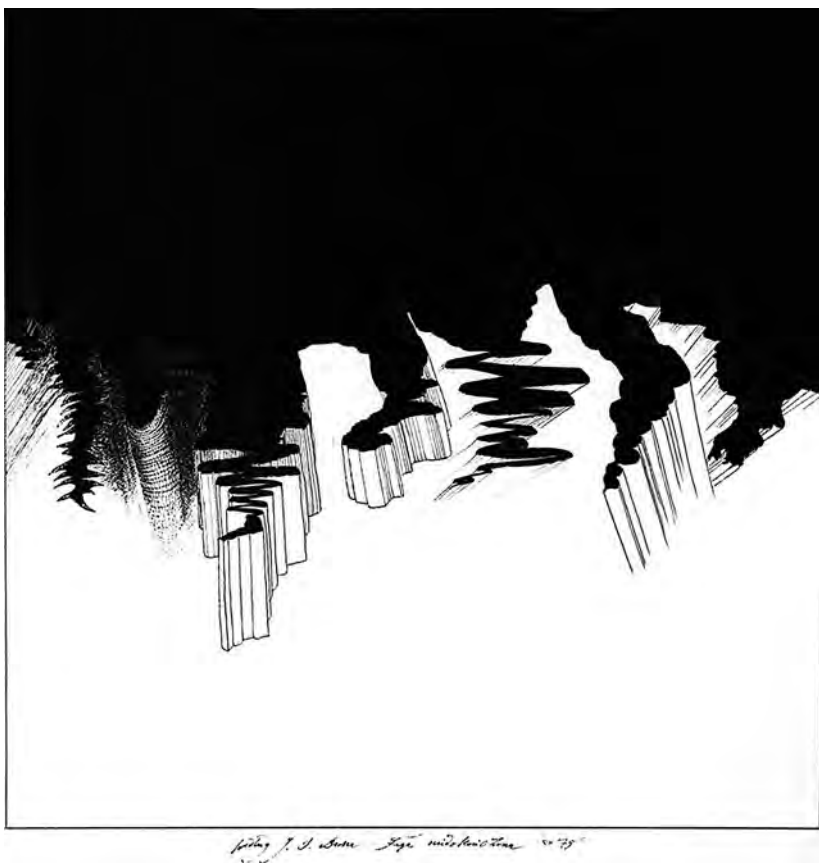
pozdrawia  
piórko pawia  
z woliery  
i Zefirek  
co z nim się zabawia

szybko wracaj  
bo już płacze  
kos  
wytrzymaj nos  
smarkacza

kiedy piał kogut na rauszu  
bez nutki flauszu  
lisy z pieczystym  
zmykały w pysku  
szkoda tych czasów

*Eda Ostrowska*

Lublin, listopad 2011  
po ośmiu redakcjach



Andrzej Strumiłło: *Według J. S. Bacha fuga nieskończona*, tusz na papierze, 1975 r.

## Kręgi

Kapitulacja w 1939 roku zastała mego dziadka na terenie dzisiejszej Ukrainy, gdzie, jak sobie wyobrażam, musiał być mocno zagubiony. Nie był już człowiekiem młodym – miał trzydzieści siedem lat i służył w artylerii w stopniu szeregowca. Przez wiele lat mieszkał we Francji, gdzie, jak mówił memu ojcu, a mój ojciec powtórzył mnie, spotkało go wiele niesprawiedliwości, i gdzie, jak twierdził, można się spodziewać wszystkiego, lecz na pewno nie wolności, równości i braterstwa.

Mój dziadek, jak opowiadał mój ojciec, został pomówiony o kradzież przez Belga, który nie miał żadnego interesu, by mego dziadka pomawiać. Pracował w hucie, w warunkach, których człowiek współczesny nie może sobie wyobrazić. Mój dziadek owego Belga pobił, gdyż był, jak wspomina mój ojciec, impulsywny, i należał do tych, którzy z powodu impulsywności cierpią, gdyż nigdy im nie przynosi korzyści. Właśnie z powodu impulsywności mój dziadek we Francji nie zagrzał nigdzie miejsca, tylko przenosił się z miasta do miasta, z pracy do pracy, by w każdej, wcześniej czy później, znaleźć kolejnego Belga, z którym, z takich czy innych względów, popadał w konflikt, i z tego konfliktu nigdy nie wychodził zwycięski, bowiem gdy już pobił swojego Belga, to mój dziadek, a nie Belg, zostawał wyrzucony z pracy i musiał przenosić się w inne miejsce.

Moja babcia, kobieta tak milcząca, że prawie niema, towarzyszyła memu dziadkowi w peregrynacji przez Francję, z huty do huty, gdzie mój dziadek nokoutował kolejnych Belgów, co stanowiło bezpośredni asumpt do kolejnej przeprowadzki. I co wykluczyło możliwość uzyskania przez mego dziadka obywatelstwa francuskiego.

Czy gdyby mój dziadek nie był człowiekiem impulsywnym, zostałyby we Francji na stałe? Czy mój ojciec wówczas urodziłby się w roku 1940 jako Francuz? Czy wtedy urodziłbym się – powiedzmy – w Marsylii? Kim byłbym dzisiaj, gdyby mój dziadek nie był porywczym wieśniakiem ze skłonnością do przemocy?

Gdyby mój impulsywny dziadek nie bił każdego napotkanego Belga, nie utknąłby na Ukrainie w 1939 roku jako zdemobilizowany artylerzysta. Bowiem byłby wówczas Francuzem, dajmy na to gdzieś w Bretanii, gdzie popijałby wino i obżerał się serem. Wyobrażam go sobie jako bohatera serialu *Allo, allo* –stereotypowego żabojada, któremu towarzyszą salwy śmiechu. Lecz mój dziadek nie został we Francji, bowiem Francja wolała naturalizować nieco mniej impulsywnych imigrantów. Gdyby mój dziadek potrafił bardziej ugodowo rozwiązywać konflikty, zamiast od razu bić konfidentów (Belgów), nie utknąłby na Ukrainie, gdzie, jak przypuszczam, nie miał zbyt wielkiej nadziei na przeżycie.

Na przełomie września i października 1939 roku memu dziadkowi zwałił się na głowę pięprzony dwudziesty wiek. I wówczas w 1939 roku mój dziadek

nie mógł wiedzieć, że już mu nigdy nie odpuści. Pieprzony dwudziesty wiek już nigdy z mojego dziadka nie zejdzie, podobnie zresztą jak z reszty Europy. Co więcej: osaczy go jeszcze ciaśniej, co będzie, jakbyśmy powiedzieli dzisiaj, doświadczeniem granicznym. Mój dziadek wtedy nie mógł przypuszczać, że pieprzony dwudziesty wiek nigdy się nie skończy. Będzie trwał, mimo iż kalendarzowo zacznie się dwudziesty pierwszy.

Po demobilizacji żołnierze robią wszystko to, co zwykle żołnierze robią po demobilizacji, opowiada mój ojciec. Zakopują karabiny. Niszczą baterie z dział, by nie zostały przejęte. Dowódca przeprowadza coś w rodzaju ostatniej odprawy. Przemawia do żołnierzy. Czy wyobraża sobie, co z nimi będzie? Ilu z nich nie dożyje końca tygodnia, końca miesiąca, końca wojny? Mówi im, że mogą wracać do domów. Ilu z nich już nie ma domów? Ilu z nich już nazajutrz zostanie rozstrzelanych w lesie i nikt nigdy nie znajdzie ich ciał. Żony jeszcze długie dziesięciolecia będą wyczekiwały pukania. Napiszą dziesiątki pism, na które nikt nie odpowie.

Przerażeni żołnierze gromadzą się wokół dowódcy, który mówi, że mogą wracać do żon i dzieci. Ilu z nich już nie ma żon ani dzieci, tylko jeszcze o tym nie wie? Tęsknią do ludzi biologicznie unicestwionych. Wieczorami oglądają zdjęcia, nie podejrzewając, że kobiety, pozujące w letnich sukienkach, uśmiechnięte, szczęśliwe, udusiły się pod gruzami albo wykrwawiły postrzelone. Albo dzieci – umalowane, poważne, upozowane na małe księżniczki lub małych huzarów...

Mój dziadek, opowiadał mój ojciec, lepiej czuł się wśród koni niż wśród ludzi. Co, jak przypuszczam, mogło tłumaczyć, dlaczego związał się z kobietą tak milczącą, że prawie niemą. Kobieta, która przewracała oczami, unosiła brwi, wruszała ramionami, lecz konsekwentnie milczała. Jeżeli o coś ją pytano, wskazywała na dziadka, który odpowiadał w jej imieniu. Biorąc pod uwagę, że pięćdziesiąt lat później razem odkręcał kurki gazu, zastanawiam się, czy moja babcia mówiła, kiedy była sama z moim dziadkiem. Czy o odkręceniu gazu zadecydowali razem? Czy też apodyktycznie dziadek dyktował milczącej kobiecie, co ma robić? Czy mógł zadecydować o jej życiu? Wstał pewnego dnia i powiedział: „szykuj się, kobieto”.

W 1939 roku mój dziadek nie wie jeszcze, co to gaz ziemny. Nie przypuszcza, że będą istnieć urządzenia, w których będzie można piec jak w piecu, a w razie, jeśli będzie się starym, zmęczonym i wystraszone, można nie zapalić płomienia.

W 1939 roku mój dziadek konno wracał z Ukrainy. Konia otrzymał, gdyż potrafił się nim zajmować lepiej od innych. Spał, jak twierdził mój ojciec, w stogach siana, aż zatrzymał się w jakiejś wsi, gdzie nocował u gospodarzy, z którymi znalazł, jak to się mówi, wspólny język.

Mój ojciec nie wie, czy ludzie, u których się zatrzymał, byli Polakami czy Ukraińcami. Wie jednak, że przyjęli mojego dziadka i ostrzegli, że jeśli będzie jechał konno drogą, zginie, ponieważ lasy, co charakterystyczne dla czasu i miejsca, pełne były bandytów, tylko czekających na samotnych jeźdźców, o których nikt się nie upomni. Dlatego sytuacja mojego dziadka, jak można sobie wyobrazić, była nie do pozazdroszczenia.

Owi gospodarze zaproponowali mojemu dziadkowi, aby zamienił swojego konia (silnego, rasowego) na umierającą chabetę z wozem, która to zamiana – paradoksalnie – miała być dla mojego dziadka zbawienna.

Mój dziadek, co podkreśla mój ojciec, nigdy nie miał zmysłu do interesów i nigdy nie wykorzystywał szans, które przynosiło mu życie. Gdyż, jak

twierdzi mój ojciec, każdemu człowiekowi życie przynosi szanse, lecz jedni umieją je wykorzystać, inni nie. Mój dziadek należał do tych drugich. Jeżeli miał okazję zrobić interes, nie korzystał, czym, jak przekonuję ojca, obciążył genetycznie przyszłe pokolenia, które to przekonanie mój ojciec odpędza jak owada – machnięciem, bowiem mój ojciec (urodzony w 1940) nadal wierzy, że przechodzi chwilowy kryzys.

Lecz wówczas na Ukrainie, w chałupie cwanych chłopów, którzy marowali życzliwość, kalkulując, co będzie dla nich korzystniejsze: wydanie przybłądy bandytom czy wymuszenie na nim absurdalnej wymiany, mój dziadek swoją szansę wykorzystał. I nazajutrz (już jako ukraiński chłop), powożąc chabetą w stanie agonalnym, zmierzał na zachód.

Po drodze spotkał innego człowieka z dwoma dziewczynkami, który, zupelnym zbiegiem okoliczności, jak twierdził mój ojciec, również zmierzał do Częstochowy. Ów człowiek z dwiema dziewczynkami dołączył do mojego dziadka i odtąd jechali razem, przez kraj, gdzie nie obowiązywało żadne prawo, a w którym, jak na złość, pełno było rzek, przez które musieli się przeprawiać. Dziadek opowiadał mojemu ojcu, że ów człowiek bardziej przypominał zwierzę niż człowieka. Kierował się wyłącznie strachem. Dziadek, który czuł się lepiej w towarzystwie koni niż ludzi, zdecydował się podróżować razem ze względu na dzieci. Choć, jak później opowiadał mojemu ojcu, strach tamtego człowieka mógł zgubić ich wszystkich. Człowiek, który zrobi wszystko, by przetrwać, jest zagrożeniem nie tylko dla siebie.

Czy milcząca kobieta, która była matką mojego ojca, odezwała się, kiedy mój dziadek wrócił z Ukrainy? Kiedy pewnego dnia stanął w drzwiach jak zjawa z zaświatów. Jako ktoś, kogo, przynajmniej trochę, już oplakano. Ktoś, kto zgodnie z zasadami prawdopodobieństwa nie powinien stawać w drzwiach, chyba że niebiańskich. Ktoś, kto zgodnie z zasadami prawdopodobieństwa powinien zostać zjedzony przez lisy w ukraińskim lesie. Co mówi milcząca z natury kobieta, gdy w drzwiach staje ktoś, kto powinien istnieć już wyłącznie na zdjęciach?

Czy milcząca kobieta powiedziała coś w stylu: „dzięki Bogu, że żyjesz, jestem najszczęśliwsza na świecie”. Moment był taki, że powinna się przełamać i coś wydukać. Oto wrócił człowiek, który – uwzględniając kontekst – nie powinien wrócić.

Dziadek spędził w domu tylko jedną zimę, gdyż już na wiosnę musiał uciekać, zadenuncjowany przez sąsiada.

Mojego dziadka poszukiwano, lecz na tyle niemrawo, że przez nikogo nie niepokoiony oddał się do pobliskiego lasu, gdzie funkcjonował – tak zwany – ruch oporu. Mój dziadek resztę wojny spędził w lesie, gdzie, jak twierdził ojciec, nie wiadomo, czym się zajmował, chociaż przy odrobinie wyobraźni można się domyślić.

W każdym razie tamtej zimy 1940 roku, mój dziadek został w domu, gdzie spłodził syna – mojego ojca. Kiedy świat oszalał, kiedy dwudziesty wiek zasysał na coraz większą skalę, zataczając kręgi jak rozszałały żywioł, mój niewzruszony dziadek, tuż po powrocie z Ukrainy, gdzie według wszelkich zasad prawdopodobieństwa powinien zginąć, gdzie musiał pozbyć się najpierw działo, potem munduru, a na końcu konia, jakby nigdy nic, przycupnięty w oku cyklonu, zapłodnił swoją milcząca żonę (moją babkę), która, jak można przypuszczać, nawet nie stęknęła. Posłusznie pozwoliła, by ledwie ocalony małżonek sprawił jej kolejny kłopot, chociaż już na wiosnę 1940 roku musiał uciekać do lasu, zostawiając ją samą: 1) bez środków do życia, 2) wśród donoszących sąsiadów,

3) z trójką dzieci, w tym z niemowlakiem. I, jak to w takich sytuacjach bywa, przyszła zima stulecia, którą moi dziadkowie spędzali oddzielnie – dziadek w lesie, w – tak zwanym – ruchu oporu, gdzie jeśli coś mu groziło, to najwyżej odmrożenia, a babcia w domu, z trójką dzieci.

W połowie lat osiemdziesiątych mój ojciec znalazł dziadka i babcię martwych w łóżku, ubranych w odświętne ubrania, które wiejskim zwyczajem zakładali wyłącznie w niedzielę. I jak się okazało, założyli je także w środę, kiedy postanowili się zagazować.

Próbuję sobie wyobrazić: czy przed zagazowaniem, dziadek się ogolił? Czy zagotował wodę, namydlił twarz, umył brzytwę? Czy babka posprzątała mieszkanie? Czy wypełnili rytuały, jak prymitywne, zabobonne plemiona?

Mieszkali w ceglonym domu, na przedmieściach, gdzie w rogu stał jeszcze piec kaflowy, o którym mówiono, iż należy go rozebrać, bo Żydzi w takich piecach ukrywali złoto.

Po wojnie mój dziadek został kolejny raz zadenuncjowany, zapewne przez tego samego sąsiada, lecz po przesłuchaniu go wypuszczono. Dlaczego? Co musiał zrobić, by wypuszczono go z miejsca, z którego raczej nie wypuszczano?

Mój dziadek lepiej czuł się wśród koni niż wśród ludzi. Dlatego zaproponowano mu pracę woźnicy w instytucji aprowizacyjnej. Powoził platformą, rozwożąc towary do sklepów. Przed świtem, jak opowiadał mój ojciec, wyjeżdżał platformą załadowaną towarami, którą jeździł od sklepu do sklepu, czasami tak pijany, że nie mógł zsiąść z kozła.

Mój drugi dziadek, od strony matki, prowadził wówczas sklep. Jest rok 1947 i moi rodzice jeszcze się nie znają, mój ojciec ma lat siedem, a moja matka w styczniu dopiero przyszła na świat. Będzie musiało minąć kolejnych dwadzieścia siedem lat, aby mogli się poznać. Oboje będą, jak na ówczesne realia, dojrzałi. Będą – tak zwanym – późnym związkiem, z którego urodzi się jedno dziecko.

Zapewne moi dziadkowie również się nie znali. Mój dziadek od strony matki w przeciwieństwie do mojego dziadka od strony ojca umiał wykorzystywać – tak zwane – życiowe szanse. Dlatego w 1947 roku kupił od Żyda Arona Szyłmana kamienicę za kwotę 500.000 złotych. W tym samym roku na mocy wyroku Komisji Specjalnej do Walki ze Szkodnictwem został skazany na miesięczne więzienie za spekulacyjne zawyżanie ceny sera tyłżyckiego.

Wyobrażam sobie, że ów ser tyłżyki mógł przywieźć mój drugi dziadek. Wyobrażam sobie ich spotkanie: dziadek od strony ojca, skryty, już dwukrotnie zadenuncjowany, woli konie od ludzi. Uważa na słowa. Rozwożąc produkty, raczej milczy. Pomaga zanieść skrzynki. Pozwala napęłnić sobie kieliszek, lecz języka mu to nie rozwiązuje.

Dziadek od strony matki natomiast pchany jest wichrem koniunktury. Korzysta z szans, które przynosi mu życie. W czasie wojny przeprowadził się ze wsi do miasta, gdzie odczuwał permanentny głód, jaki często odczuwają wieśniacy w mieście. Gdyby mój dziadek żył współcześnie, zapewne jak krwinka w krwiobiegu popłynąłby do serca – Warszawy, by brać więcej tam, gdzie jest więcej. Podobnie jak współczesne krwinki mój dziadek po wojnie uchwycił wiatr stały. I gdy można było kupić kamienicę od Żyda, za dobre – jak przypuszczam – pieniądze, kupił. Kupił też sad, który spadnie mojej matce jak manna z nieba czterdzieści lat później.

Zastanawiam się: skąd mój dziadek od strony matki miał w 1947 roku pieniądze? Miał wówczas dwadzieścia osiem lat. Kilka lat wcześniej przyjechał ze wsi, skąd nie przywiózł niczego oprócz ubrania, jakie miał na sobie. Kiedy



zdobył kapitał na zakup kamienicy i sadu? Co robił w trakcie wojny? Moja matka wyjaśnia: „zawsze był przedsiębiorczy”.

No tak.

Wyobrażam sobie, jak mój dziadek od strony ojca wnosi do sklepu dziadka od strony matki ser tyłżycki. Obaj nie mają pojęcia, że zostaną kiedyś swatami. Nie pałają do siebie sympatią – są z zupełnie innej gliny. Niby płyną z tym samym prądem, lecz inaczej. Mój dziadek od strony ojca, stawiając ser na ladzie mojego dziadka od strony matki, nie przypuszcza, że ten drugi trafi z powodu owego sera do zakładu penitencjarnego. Nie przypuszcza również, że wnuk ich obu siedemdziesiąt lat później będzie czytał wyrok, na mocy którego mój dziadek od strony matki poszedł siedzieć.

Oczywiście mój dziadek od strony matki nie nacieszył się majątkiem, który zgromadził. Zaledwie kilka lat prowadził sklep we własnej kamienicy, nim go znacjonalizowano. I dopiero jego dzieci po 1989 roku odzyskały ów majątek, już z całym etosem utraconego dziedzictwa. Niczym szlachecki ród, który wraca – dajmy na to – na Wołyń, tak moja matka z siostrami odzyskiwała, co jej się święcie należało. Co było jej wianem, przeszłością, rodzowym dobrem, srebrną zastawą i portretami przodków w galowych mundurach.

Roifa sobie podobne fantasmagorie, mimo że ojciec woził ją do wsi, z której pochodził. Do której ona później woziła mnie. I która nie różniła się niczym od innych polskich wsi, to znaczy: była to nędzna, taplająca się w błocie polska wieś, gdzie młode chłopaki zabijali się na motorach, a stare chłopcy pili i bili żony. Wieś, po której hasały stada zmongolonych z powodu pokrewieństwa kundli. Gdzie w niedzielę zarzynało się kurę na rosół i dla uciechy dzieci pozwalało jej się biegać jeszcze z urzniętym łbem, z którego broczyła gęsta jucha; i co wrażliwsze mieszkanki owej wsi komentowały, że dzieciom takich głupot nie powinno się pokazywać, a małżonkowie owych delikatnych kobiet rechotali, z czerwonymi od wody gębami, i wrzeszczeli: „niech się gówniarze ucą”.

Samo to powinno mojej matce wskazywać, iż owo dziedzictwo, o którym bajdurzył – zapewne – mój dziadek, żadnym dziedzictwem nie było, tylko aktem założycielskim kłamstwa, jak każde bajdurzenie o starych, dobrych czasach. I to, że mojemu dziadkowi udało się, w sprzyjających okolicznościach, kupić od Żyda kamienicę, nie zmieniało faktu, że urodził się w chałupie z klepiskiem, w brudzie, wśród zwierząt.

Mój dziadek od strony ojca po wojnie został furmanem. A następnie, wraz z rozwojem motoryzacji, magazynierem. Jako furman rozwodził towary konną platformą. I jak sobie wyobrażam: gadał do koni, mówił im wszystko to, czego obawiał się powiedzieć ludziom, odkąd go dwukrotnie zadenuncjowano.

Jednocześnie każdego dnia sporządzał protokół szkody na dwie butelki wódki. Wpisywał do protokołu, że butelka pękła i nie nadawała się do konsumpcji. Na szczęście mój dziadek był na tyle spostrzegawczy, że zauważył uszkodzenie i zapobiegł tragedii. Tylko dzięki jego czujności jakiś nieszczeniwy konsument nie zadławił się szkłem.

Czemu nie wyrzucono go z powodu alkoholizmu? Czemu godzono się, by towary woził pijany furman?

Konie znały drogę, więc – jak przypuszczam – same jechały od sklepu do sklepu, gdzie sprzedawcy zabierali towary, gdy mój pijany dziadek mamrotał na koźle, skąd złorzeczył pieprzonemu dwudziestemu wiekowi, złorzeczył Belgom, Francuzom i Ukraińcom. Złorzeczył armii Hallera, w której walczył jako osiemnastolatek, co, jak sobie ubzdurał, zostanie doniesione władzom.

Dlatego kiedy pijany opowiedział o tym komuś, później bał się. Wierzył, że w latach sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych może pójść do więzienia za to, co robił w roku 1920. W każdej chwili spodziewał się aresztowania, zżerany strachem, coraz bardziej pijany, udręczony.

Kiedy człowiek, który walczył w dwóch wojnach, który widział śmierć, uciekał z Ukrainy, mieszkał w lesie, działał w – tak zwanym – ruchu oporu, zaczyna się bać? Dlaczego? Czemu, kiedy jego życie zwolniło, przyszedł strach? Czego nie opowiedział mojemu ojcu? Co widział w 1920, na Ukrainie, w lesie?

Ojciec mówi: „nie miał żadnego powodu, aby się zabić, załatwiłem mu francuską emeryturę...”

Odwiedzam dom, w którym umarł, zabierając ze sobą wiecznie milczącą kobietę. Czy nie mogła ten jeden raz wyłamać się z istic zakonnych reguł milczenia i powiedzieć: „daj spokój, człowieku! Moglibyśmy jeszcze trochę pożyć”. Zamiast tego posłusznie przebrała się w niedzielne ubranie i położyła w łóżku. Pod ślubnym zdjęciem, które zrobiono we Francji. I które wróciło razem z nimi. I które wieszali nad każdym łóżkiem, w którym spali. Na którym mężczyzna z krzaczastymi brwiami stoi obok drobniutkiej kobietki. Nawet nie usiłują się uśmiechać – jak dwie makabryczne lalki.

Mój dziadek – jak przypuszczam – wypił jednego lub dwa dla odwagi. Następnie zdmuchnął płomień.

Lukasz Suskiewicz

---

## Książki nadesłane

### Wydawcy różni

István Kovács: *Honwedzi, emisariusze, legionści. Słownik biograficzny polskich uczestników Wiosny Ludów na Węgrzech 1848-1849*. Przełożył z języka węgierskiego i posłowiem opatrzył Jerzy Snopek. Polska Akademia Umiejętności, Kraków 2016, ss. 1005+54 ilustr. + mapa.

Algis Kaleda: *Ieškant poetinės Vilniaus tapatybės / W poszukiwaniu poetyckiej tożsamości Wilna / In Search of Poetical Identity of Vilnius*. Vilniaus universiteto leidykla, Vilnius 2016, ss. 109+4 nlb.

*Maestri della polonistica italiana. Atti del convegno dei polonisti italiani 17-18 ottobre 2013*. A cura di Marina Ciccarini e Piotr Salwa. Accademia Polacca delle Scienze, Roma 2014, ss. 206. Seria: Conferenze, t. 129.

Margaret Atwood: *Czarczi pomiot. „Burza” Szekspira opowiedziana na nowo*. Przełożył z angielskiego Łukasz Witczak. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2016, ss. 325.

Georges Perec/Oulipo: *Podróże zimowe*. Tłumaczenie Jacek Giszczak. Wstęp Jacques Roubaud. Posłowie Anna Wasilewska. Wydawnictwo Lokator, Kraków 2016, ss. 460+3 nlb.

Amos Oz: *Opowieść o miłości i mroku*. Przełożył z hebrajskiego Leszek Kwiatkowski. Wyd. 2 poprawione. Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2016, ss. 653.

Salvatore Maugeri: *Governance, czyli nowy styl zarządzania*. Przełożył z francuskiego, opracował i słowem wstępnym opatrzył Grzegorz J. Kaczyński. Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Szczecińskiego „Minerwa”, Szczecin 2015, ss. 167.

Piotr Gutowski: *Stare i nowe. Esej o roli jednostkowych podmiotów, zmiany i wątpienia w religii*. Fundacja „Dominikańskie Studium Filozofii i Teologii”, Kraków 2016, ss. 108.

MAŁGORZATA POŁUDNIAK

## *Trzy dni po Halloween*

Odnajduję twoje zakładki w książkach  
razem z przepisem na łososia z grilla i irlandzki gulasz.  
Lubię ciszę. Kiedy czytam wiersze o wymordowanych  
wilkach, przerobionych na beczki angielskiej whiskey  
drzewach, zastanawiam się, ile krwi napoiło wrzosa.

Dzikość znaczy granicę niemocy, jakbym przebywała  
w innym świecie i odkrywała szkodniki. Jeden po drugim.  
Lśniące łuski. Cienie wchłaniające przeszkody, nomadycznie  
określone wejścia i wyjścia.

Siedzimy blisko siebie w jaskrawym kręgu światła  
odbitym od bazaltowych kształtów zatopionych w torf.  
Wilgotny zakątek, zimną zalewany oceanem. Po drugiej stronie  
wody góruje Achill. Widzę dzieci wypadające matkom z rąk.

Snąją się wśród płasów i każą mieć się na baczności.  
Jacy oni byli? W miejscu zapomnianym przez Boga. Kurne chaty,  
przechylające się nad kamiennymi murkami talerze czarnego bzu.  
Nucimy zapomniane śpiewy. W oddali ujada pies. Sąsiadka wpatrzona  
w *Żony Hollywood*. Po drugiej stronie sterczy budynek zabity deskami.

Turyści wysyłają kartki. Spiętrzone, zielone fale albo skoki  
ze spadochronu. Widać wycięte Éire. Różowe kwiaty,  
dwie strony skały.

## *Zmienność rzeczy*

Związki rozmyślań uwalniające cząstki – przyglądam się im,  
wirują w pamięci dzień po dniu. W porządku, który sprowadza  
formę do tradycji. Łapczywość, z jaką dzieci przepływają Liffey.  
Lekkomyślność, kiedy coś ukrywają za firanką.

Przez zimno przechodzi ciemność, przez sól łąz pęcznieje skóra. Nie mogę  
tego dotknąć, uzdrowić. Czytam o metodach zaskoczenia, o czasach roszczeń  
do roszczeń. Za wiele czułych słów wydrukowano w obowiązujących  
definicjach miłości.

Sierść kota, bardziej gładka w oczekiwaniu na filiżankę herbaty.  
Mruganie do siebie, mruczenie. Drobne kroki, coraz więcej  
rozmazanych owadów na szybie. Nieustępliwość,  
z jaką oszukujemy siebie widoczkami w sepii.  
Rodzaj smutku – nie móc wyjść i się zachwycić. Uwolnić.

## *Wybór opowiadań*

Bo kiedy mówisz do mnie: *posłuchaj*, zasypiam.  
Przenoszę się z miejsca na miejsce, byle nie dorosnąć.  
Któregoś dnia w gęstym zapachu cedru pszczoły  
zatopią się i tak zostaną. Leniwie zakwitną białe kwiaty,  
nie znam ich nazwy. Będziesz powtarzał: *spójrz na górę,*  
*nie śpij, spójrz na jej kształt.* Wklęsły profil, jak kadłub Titanica.

Coraz więcej o historii, wodospadach, zieleni,  
która zasklepia rany, pęcznieje od nadmiaru.  
Kiedyś tam wejdziemy, na szczyt zalany mgłą.  
Przejdziemy przez wszystkie opuszczone jaskinie.  
Po prawej stronie ocean zmyje ślady. Pęcherzyki  
powietrza, doły wypełnione mleczną pianą.

Więc tak, napisałam, że jestem stara i sentymentalna.  
Lubię do znudzenia Mullaghmore, mity, legendy,  
celtycki patos. Murale z Yeatsem, jakby podtrzymywały  
hrabstwo na duchu. Kamienie ciężące na połamanych  
kościach. Nazwy zamków. Ich lotność. Kaskady deszczówki  
w październikowy wieczór. Jesteśmy bezpieczni  
aż do zimowej fali wiatru, który nie ma dna.

## *Noc uderza do głowy*

Przed zaśnięciem układałam litery o łagodnych kształtach.  
Tłumaczę głowie drogę, prostuję nierówności, wspominałeś w nich  
żonę. Zawsze tam stała, dotykając fałd spódnicy, albo można było  
ją spotkać przy stole kreślarskim. Odtruwała okoliczne jeziora, rzeki, lasy.

Mnóstwo ceremonii pogrzebowych, wędrowanie pomiędzy światami.  
Obarczone ciężarem ręce, tajemnice tułaczy, do których miała słabość.  
Rano zatrzymał mnie deszcz i w kłęb zwinięty kot. Znużony udręką  
obserwowania. Zwykłych spraw.

Mieszkam na granicy Connaught. Nie muszę sobie wyobrażać  
protestantów i katolików na tej samej ulicy, w jednym barze.  
Wszyscy na jedną modłę sączą czarne stouty. Później nagle pożerają,  
podgryzają palce, uszy. Krew kapie na niebieskie kołnierze koszul.

Po południu wynurza się wiersz. Ma to samo znaczenie, kształt, który przepadł we mgle. Jadę do Portlick. Łapię ostatnie promienie, nasłuchuję szczekania psa i kiedy wracam, potykam się o kamień, wystające korzenie. Rozmyślam o królowej Medb. O wrogach wrogów, widzę, że ślepną. Nikną.

## *Skłonności*

Nie mam dobrej kondycji, przestawiam litery, zdania. Odsłaniają siatkówkę oka, mięśnie, nad którymi tracę kontrolę. Tik-tik. Później łkam kilka godzin, kołysząc się na boki. Pętelki na wyprutych nitkach, supelki. Rano szłam przez pola torfowe, do lasu, później pod górę.

Pomarszczona zieleń udawała liście, a w nich wyblakłe odbicie, echo gdzieś ponad. Dzwonek telefonu. Prawdziwy ciężar. Sterczące włosy, wrzosa od wiatru roznoszą kwiaty w zakamarki nocy. Dłonie wypełnione miękką skórą, pamięcią ust, ciała. Twardniały, rodziły się na nowo.

Z kołysanek, zapisanych poematów. Ze słowników, idiomów, pokręconych sentencji. Pomyłek. Później podkreślałam słowa na kursie z literatury angielskiej. Znam już wszystkie nazwiska z pisemek. Ciągną się, zakłócają dzień, myślą tropy. Wiatr od Morza Irlandzkiego robi swoje. Żyję zuchwale, i mimo skurczów tańczę. Pokonuję codzienny opór.

## *Osadzony krajobraz opadający w morze*

Gdybym pisała o żabkach albo paniach w odpowiednim wieku, byłabym jak miedź w kieszeni. Ogromnie przygnębiona. Wytarta, zarysowana z każdej strony. Byłoby miło. Dziewczyny naciągają lniane obrusy i składają na trzy łokcie. Nareszcie mogę odetchnąć, zobaczyć świat przez mgłę.

Nie jestem od tego, by gładko przechodzić przez sny. Wydeptane noce, powietrze wypełnione naszym zapachem, ziemią spod drzew. Zwykle dni nie są czymś nowym. Przenikają jeden w drugi. Czasami zatrzymuję się w Dublinie. Piję kawę na moście Joyce'a i liczę pokonujących wpływ Liffey. Zamykają kafejki. Robi się coraz ciemniej.

A coraz jaśniej od centrum. Od dna, gdzie wilgoć definiuje miasto. Kraj zimą bez słońca. Latem przesiąknięty powietrzem

o nucie torfu, czarnego bzu. Chociaż się tu nie urodziłam,  
kursuję po wyżynach wschodnich, górach Wicklow. Wymawiam irlandzkie  
imiona, przedstawiam się po angielsku albo twierdzę, że jestem  
stąd. Znikam w głębiach wyspy, w kierunku oceanu.

*Małgorzata Południak*



Andrzej Strumiłło: Z cyklu *Psalmy*: *Czemu przechwalasz się swoim złem, wojowniku?*  
*Łaska boska trwa nieustannie*, olej na płótnie, 180 × 120 cm, 1988 r.

URSZULA M. BENKA

## Dyskretny urok spisku

*Może powieszą mnie kiedyś ludzie serdeczni za te prawdy, których istotę powtarzam lat około dwanaście, ale gdybym miał dziś na szyi powróż, to jeszcze gardłem przywartym chrypiałbym, że Polska jest ostatnie na globie społeczeństwo, a pierwszy na świecie naród.*

*Kto zaś ma jedną nogę długą jak oś globowa, a drugiej nogi wcale nie ma, ten – o! – jakże ułomny kaleka jest!*

Cyprian Kamil Norwid: *Do Michaliny Zaleskiej*

Polska jest dzisiaj chaosem, ale czy chaosem jest świat? Studia nad jakąkolwiek z dziedzin historii naturalnej przeczą temu wnioskowi. Im pilniej i szczegółowej wnikamy w istotę zjawisk kosmicznych, przyrodniczych, paleontologicznych, takich choćby jak wielkie permskie wymieranie gatunków, im lepiej poznajemy budowę pszczelego żądła, im mocniej zastanawiamy się nad powodami braku żądła u trutni – tym częściej natykamy się na prawa wręcz matematyczne.

Słowa „matematyka” używam z szacunkiem dla precyzji tej dyscypliny wiedzy, ale mając też na uwadze jej sakralność, dziś ponownie odkrywana po okresie dominacji intelektualnej wrażliwości czy percepcji (trudno mówić o wrażliwości, gdy nie ma percepcji, a więc – innymi słowy – gdy tracimy zmysły). Już przed tysiącami lat matematykę uprawiano teoretycznie – jej zasady wykorzystywano przy budowie piramid, kanałów, obliczaniu zmian na firmamencie. A przecież mowa o epoce mityczno-bajecznej: sam Empedokles, wulkanolog, zmartwychwstawał wiele razy pod różnymi (zwykle zwierzęcymi) postaciami; podobnie wracał do życia Pitagoras, aczkolwiek jego wcielenia, wywodzone od pewnego herosa spod Troi, były antropomorficzne – w każdym razie powiła go dziewica, handlarka pierścieniami na wyspie Samos. A zatem – jak to bywa u pszczoł – partenogeneza.

Co się zaś tyczy pszczelich samców – bez żądeł są bezbronne. Dociekając przyczyn tego faktu, możemy go wpierv z patosem opisać: trutnie niosą tylko życie, a nie śmierć. Odruchowo nasuwa się zwrot upoetyczniony: natura je takimi uczyniła, Bóg je takimi stworzył, podobnie jak morderczymi postanowił uczynić pszczele samice. Stąd tylko krok do innego obwieszczenia: to samice przynoszą śmierć, zgrozę, grzech pierworodny; to one otwierają puszkę Pandory. Obserwując pszczeli taniec miłosny, widzimy królową, która wabi kochanków, wybiera jednego, dopuszcza do swego łona, a następnie zakłuwa bez litości. Pozostałe trutnie także umierają – bez miłosnego zbliżenia. Gdyby im nadać rysy ludzkie, otrzymalibyśmy romanse, sagi, byliny albo mity. W zbliżeniu obiektywu moglibyśmy ujrzeć bladego kochanka Filona, który umiera ze smutku pod wielkim rozłożystym jaworem – księżyc już zaszedł, psy się uśpiły, z ciemności dochodzi klaskanie szczęśliwszych młodzieńców i słychać odgłosy jak z piosenki *Je t'aime*, a wzgardzonemu Filonowi pęka serce. Inny odrzucony kochanek chwytą za sztylet, który z pasją Romea wbija sobie w serce. Jeszcze inny – jak Gustaw z *Dziadów* – szaleje, błąka się pośród

grząskich chaszczu, gdzie taplają się dziki; potężny odyniec szarżuje, szabłą kaleczy jądra chłopca, ten zaś pada na ziemię i wykrwawia się na śmierć.

To przecież mit o Adonisie, jeden z najważniejszych w całym basenie Morza Śródziemnego – opowieść, która przeniknęła do Biblii i zagościła w literaturze, choćby w *Józefie i jego braciach* Tomasza Manna. W powieści tej animowana została nawet jedna ze scen święta Adoniów: wieśniaczki wybiegały na pustkowie, wołały, szlochały, a znalazłszy zmaltretowane zwłoki, zasypywały je kwieciami i opłakiwały, potem zaś radowały się, bo oto dokonywało się zmartwychwstanie. Inny przykład: pokazywana pielgrzymom w Jerozolimie grota Bożego Narodzenia czczona była dawniej jako grota Adonisa. Jej ściany są białe i bywa nazywana „grota mleczną”. Czemu? Bo krzyk betlejemskich matek podczas rzezi niewiniątek spowodował, że Najświętsza Panienska, karmiąca właśnie Dzieciątka, poderwała się w zgrozie, a mleko z usteczek Jezuska oblało skalne ściany.

Dotykam kwestii rozpoznawania związków tak misternych i nieprzewidywalnych, że odtwarzanie ich ex post w większości dawnych kultur było samo w sobie aktem religijnym. Aby spisać (wyśpiewać, a wcześniej stworzyć!) odpowiednią mityczną historię, bard, druid, skald, homer czy did poddawał się wstępnym rytuałom, wykonywał zaś pieśń nie byle kiedy ani gdzie, lecz w obecności wodza-pomazańca. Śpiewaka słuchano w oszołomieniu podobnym do stanu, w jakim dzisiaj fani przeżywają na koncercie występ swojego idola. Zresztą samo greckie słowo „idol” znaczy „bożek”. W osobie barda uobecnia się boska siła.

Jasne, możemy temu zaprzeczać. A jednak także pewnym tekstom w kulturze chrześcijańskiej, jeśli recytowane są publicznie, towarzyszyć musi rytuał uprawniający o identycznej strukturze. Na przykład Ewangelię wolno odśpiewać jedynie kapłanowi w stanie łaski uświęcającej, odpowiednio – aż do drobnych szczegółów – ubranemu, który nie dotyka leżącej przed sobą na pulpicie księgi, nie wnosi jej, bo czyni to za niego zakonnica – w istocie poślubiona Chrystusowi niewiasta, też ubrana od stóp do głów wedle reguły. Kapłanowi nie wolno ani o jeden wers przeciągnąć śpiewanej paraboli, nie może nic w niej pominąć. Nawet muzyka została skomponowana w natchnieniu i pod analogicznymi warunkami, słuchacz zaś powinien pozostawać w rytualnej pozycji i wypowiadać jedynie określone słowa.

W baśniach, sagach i bylinach nazywano takie antyfony zaklęciami. Od ewangelicznych formuł różniły się tylko tym, że podczas ich wygłaszania blask bił nie z ołtarza, tylko z tygla, a jako naczynia używano nie cyborium, lecz kociołka albo czary. Napój jednak pozostawał od tysięcy lat ten sam – wino.

\*

Wysłałam od życia i śmierci pszczoł, a doszłam aż do mszy. Moje skojarzenia nie są nieuprawnione, mają swoistą logikę, swoje przyczyny bliższe i dalsze, znane mi i nieznanne, poznawalne i takie, których nigdy nie zrozumieć. Oczywistym odruchem jest redukcja. Zamachnięcie się brzytwą Ockhama. Usuwanie zbędnych bytów. Pierwszy cios spadłby na przyczynę sprawczą i przeciął wszelkie antropocentryczne analogie między życiem pszczoł a ludzi. Po takim cięciu wywód zyskałby znamiona naukowości i desakralizacji. Opisując Kosmos, odrzucamy natomiast wstępne pytanie o cel – dlaczego powstał? Big Bang – ale po co? Jaki zamysł, jaka idea, perspektywa tu się jawi? W jakim celu istnieje czas, atrybut i właściwość przestrzeni? A przynajmniej – po co istnieje w Mgławicy Andromedy ten czerwony olbrzym Betelgeuse, który może w każdej chwili eksplodować, siejąc kosmiczne spustoszenie (lub może już dawno eksplodował i tylko światło niosące ową wiadomość jeszcze do nas – wraz z katastrofą – nie dotarło)?

To pytania naiwne, absurdalne, uniemożliwiające zastosowanie naukowych procedur zarówno badania, jak i analizy. W mitach i historiach sa-



kralnych są jednak oczywistością. Czemu? Ponieważ się niekiedy nasuwają. Nasuwają się same. Stajemy wówczas jak Ali Baba przed Sezamem: właśnie, dopiero co, odkryliśmy, że siwa skała za miastem pod wpływem pewnego szczególnego dźwięku ujawnia furtkę, której istnienia wcześniej nie podejrzewaliśmy. Opukiwanie skał w poszukiwaniu skarbcza? Bez sensu! Jednak w wypadku Ali Baby doszło do dialogu bohatera ze skałą, górą albo po prostu – miejscem.

Taki dialog jest – wyczuwamy to – naturalny, ponieważ wynika z samych właściwości tych elementów bytu, jakimi są ubogi drwal Ali Baba, w którego lepiance szaflik to już istna fanaberia, oraz skała i w niej brama, a za bramą wewnątrz góry. Ileż tu znaczeń, ileż ciśnie się domysłów: czemu Ali Baba akurat tego dnia, o tej godzinie znalazł się w pobliżu Sezamu i utrafił na porę, gdy zjawili się tam rozbójnicy? Mogli się przecież minąć. Albo mógł być jeszcze zajęty ścinaniem drzewa, odgłosy siekiery mogły przywabić rozbójników, którzy by drwała schwytali i zabili.

Moment zdarzenia sakralnego zawsze jest zakorzeniony w Kosmosie, o czym informowała nas Gwiazda Betlejemaska, być może zresztą gdzieś indziej sięjąca gigantyczne spustoszenie jako supernowa, jako eksplozja. Nie-wykluczone więc, że jakieś kosmiczne byty doznawały Armagedonu w tych chwilach, kiedy w grocie Adonisa szły w niebo słodkie śpiewy pastuszków, słodkie beczenia owieczek, rozkoszne mruczenia osłatek i cielątek, a Panna Czysta – że uboga była – rąbek z głowy zdjęła, w który Dziecię owinąwszy, siankiem je nakryła. A może nasz zapowiedziany *Apokalipsą św. Jana* Armagedon też zbiegnie się z misterium zbawienia innych – pozaziemskich – istot?

\*

Czas ma wymiar mistyczny, samo pisanie wierszy o zegarach sugeruje wrażliwość na sacrum. Napotykamy zresztą intrygujące – choćby tylko spekulatywnie – asocjacje, jak tę, że w 1821 roku urodziło się trzech geniuszy: Charles Baudelaire, Fiodor Dostojewski i Cyprian Kamil Norwid. Można doszukiwać się tu wspólnych nici, można też oczywiście zwracać uwagę na różnice. To samo dotyczy miejsc z ich hermesową „nieprzypadkowością”. Drogami, ścieżkami koneksji wydarzeń wiedzie nas lekkostopy Hermes. To on powiódł rodziców Charles’a, Fiodora i Cypriana w objęcia, rozpałił zmysły kochanków, ewentualnie ukoił ich – zrozumiały, być może – opór, wskutek czego Caroline, Maria i Ludwika stały się brzemienne. O kobietach tych można napisać romans, swoiste *Noce i dnie*. Można, wczuwając się, próbować odgadnąć, z jakich powodów Caroline dała Charlesowi nie życie, ale *krótki błysk między nicością a nicością*, w czasie trwania którego modlił się: *Nie karz mnie w mojej matce i nie karz mojej matki z mojego powodu... Daj mi siłę, abym (...) stał się świętym (Mon coeur mis à nu)*. Fiodor też potrafił ukorzyć się przed szatanem w swojej religijnej pasji, jednocześnie mówiąc: „Gdybym miał do wyboru Chrystusa i prawdę, wybrałbym Chrystusa”. A Cyprian?

*Owszem, – śmierć sama i jej piekiel-krater*

*Cóż są?... – rzecz wielka lub licha:*

*W miarę do tego, jak? jaki bohater?*

*Dopełnił swego kielicha –*

Może zatem dopiero te trzy kosmosy zebrane w pęk, w bukiet kwiatów zła, biesów, Żydów polskich oddają – na trzy sposoby – odgórny zamiar, cel, zamysł, a nawet spiskowanie... Tylko czyje? Wiara mówi, że Bóg jest jeden jedyny. Biblia mówi, że każdy naród wybrany jest jak kobieta tylko w klejnoty ubrana, która rozkłada się przy trakcie świątynnym na poduszkach i rozchyła przechodniom gołe uda. Biblijny Bóg w sprawie Hioba spiskował z szatanem. Karl Gustav Jung wymawia to Stwórcy w złości, wzgardliwie i z obrzydzeniem.

Można też dociekać znaczenia roku 1821 przy pomocy numerologii, w szczególności próbując zrozumieć to, że ci trzej wyklęci, żałośni i szaleni artyści oddawali się – równie szczerze, bezkompromisowo i namiętne, a zarazem równie mistrzowsko pod względem artystycznym – tak różnym, wręcz groteskowo odmiennym, rozmyślaniami! Dostojewski głosił najwyższe przeznaczenie Rosji w misterium zbawienia świata, z politowaniem ustosunkowując się do solipsyzmu, socjalizmu i naukowości. Tymczasem Rosja zachwyliła świat zdobyczami w sferze nauki, pierwszym człowiekiem na orbicie okołozemskiej! Kilka dekad trwało zdyszanego doganianie tych osiągnięć przez Zachód właśnie na polu tajemnej wiedzy fizyków i inżynierów – Dostojewski był zresztą absolwentem Wojskowej Szkoły Inżynierskiej w Petersburgu. Przesłanie Baudelaire’a było bardziej pacyfistyczne, odrzucał bowiem wszelkie imperialne koncepcje i mógłby zapewne z Pierre’em Bezuchowem oddawać się studiom okultystycznym. Jakkolwiek też ciągnęło go w mrok. A Norwid, jeden z tych paru wyjątkowych umysłów XIX-wiecznej Europy, po podróży do Ameryki przepowiedział, że Rosja i Stany Zjednoczone – czyli z perspektywy Londynu i Paryża traktowane z pogardą peryferie świata – w XX wieku dumnie poniosą sztafetę cywilizacji. Cóż, przepowiednia owa całej polskiej emigracji – z Adamem Mickiewiczem, Adamem Czartoryskim, Joachime Lelewelem i chyba nawet Juliuszem Słowackim – wydawała się idiotyczna.

Tak więc syn Marii, wcielony w Iwana Karamazowa, rozmawiał z szatanem, syn Caroline pisał litanie do szatana i erotyki o padlinie, a syn Ludwika opiewał powieszenie na szubienicy Murzyna Johna Browna.

Możemy też drążyć niekonsekwencje takich jak powyższy wywodów. Zbyć to wszystko wzruszeniem ramion, okrąglą formułką o dekadencji i fin-desièclizmie lub skierować się w inną stronę – w stronę bólu i przecuć poetów antycypujących stulecie wojen i zbrodni, jakich ludzkość jeszcze nie znała. Bardowie, skaldowie, druidzi i vatesi! Nic mi wprawdzie nie wiadomo o specjalnych praktykach ascetycznych Dostojewskiego – poza faktem, że odbył podróż do piekła, na Sachalin, gdzie u krawędzi euroatlantyckiego świata poddany został psychicznie i cielesnie alchemii do łez pięknego krajobrazu oraz katongi. Wiem, że rodak Dostojewskiego, pod niektórymi względami bliski mu duchowo Aleksander Sołżenicyn, już na wolności w Vermonte celebrował własne, specjalne święto łągiernika-katorżnika: udawał się w las (ten sam las, co od Vermontu rozciąga się aż do Białowieży) i rąbał pnie, po czym, strudzony, siadał w swoim domu przy zbitym z desek stole i spożywał w liturgicznym wręcz – cynowym, a nie ceramicznym – talerzu bałandę, zupę łągierną. Taką, jaką karmiono zeków – zakluczonych. Norwid doświadczył innych cierpień, był mianowicie głuchy na paryskim bruku. To epoka sprzed wynalezienia aparatów słuchowych, co więcej – pozbawiona elementarnej delikatności wobec osób niepełnosprawnych. Epoka, kiedy Johann Wolfgang von Goethe powiadał, że człowiek przeraża zwierzęta swoją zwierzęcością. No i Norwid był ignorowany. Mickiewicz nie dostrzegał w nim poety – co najwyżej intruza, maniaka, zarozumialca. A Baudelaire lubił się kochać. Jak lubił? Tak, jak ujęła to później jedna polska poetka: „mój chłopak mnie nie kocha, on mnie boli”.

Świat jest w samej rzeczy jak koronka. Miejsca, czas i wydarzenia odciskają się w nas, rzeźbią w człowieku błyskami swoich świetlistych ostrzy, dlatego uskuteczniło rytuał podróży. Udawano się do miejsc oświecających. Wyrocznie obwieszczwały, co się stanie, co jest zapisane na nieubłaganie twardym dysku predestynacji i jak możemy odroczyć wyrok lub okpić trzy prądki, płącąc ich nici – a podróż niepewnymi drogami dawnych epok zawsze była splataniem wątków.

\*

Metafizyczna postawa bez przeszkód tedy rzuca mosty nad szczelinami, jakie kopie rygoryzm metodologii, a pogłębia nasza osobista próżność,

domagająca się, abyśmy wygłaszali jedynie stwierdzenia nieomyślne. Jeśli kierujemy się próżnością, wejdziemy na jedną z dwóch ścieżek. Obie przypominają ruchome chodniki w podziemiach metra, bo szalony marsz nimi postępuje bardzo szybko, co jest wygodne i nawet zabawne – jedyny problem to niemożność swobodnego zejścia z traktu i korekty przyjętego kierunku. Wstępując na pierwszą z tych ścieżek, opuszczamy sferę, w której możliwe jest myślenie w sposób irracjonalny, wciskamy się w coraz ciaśniejsze korytarzyki specjalizacji zawodowej, podejmujemy coraz węższe, przyczynkarskie studia, bez szansy na spojrzenie syntetyczne, druga zaś oddala nas od posługiwania się rozumem. Obie – powtórzymy – ogrodzone są bandami, nad obiema zalega niski sufit. Znajdujemy się w jakichś podziemiach, w labiryncie o pozornie komfortowej bezproblemowości. Chodnik niesie nas, mkniemy, trasa bywa urozmaicana wstępowaniem na schody ruchome, do rozmaitych wind, przy czym wcale się nie gubimy – przeciwnie: prawidłowe oznakowanie powoduje, że po niedługim czasie wynurzamy się znowu na świeże wielkomiejskie powietrze w pożądanym dzielnicy.

Tu, wyzwoleni z apokalipsy indywidualnej, przystępujemy do zbiorowej. Apokalipsa – jak komunizm – jednoczy wiernych. Wszak dzisiaj nasz świat też się rozpada – albo już rozpadł. Wychodząc ze stanu całkowitej beznawy i bezsensu, opuszczając trzewia wielkomiejskiego metra, tworzymy w swoim umyśle świat, który ma znaczenie. Nowy świat, w którym mamy władzę i możemy być pewni zbawienia – bez norwidowskiego piekła-krateru, bez baudelairowskiej pustki i smierdzących zbrodni biednego Fieda. Jeśli napotkamy takich jak my – zbyt niecierpliwych, aby poprzestawać na naukowym przyczynkarstwie, zbyt leniwych, aby przemierzać nudnawe stacje *Boskiej komedii* – i w dodatku mamy jeszcze, w przeciwieństwie do Norwida, wyostrzony słuch, uszy czujnie nastawione, zaczynamy myśleć zbiorowo w kategoriach apokalipsy. Apokalipsa – nadzieja uciśnionych! Europa rozpeknięta, zalewana falą uchodźców, o jakich statystyczny młody Polak dowiaduje się z hejtów, bo nic mu nie mówi termin „lampa Aladyna”. Szkoła i katecheza milczały o „lampie”, o „Sezamie”, o „przygodach Sindbada”, zwłaszcza o tej, w której wznosząc się pod niebiosa (ludziom w pewnym odległym mieście raz w roku wyrastały skrzydła) z pełnym zachwytem wołaniem, że wielki jest Bóg (Allah akbar), powodowało się tylko upadek z wysokości.

Pożądanie apokalipsy wyczuwałam już, oglądając w amerykańskiej telewizji relacje z pierwszej wojny w Zatoce Perskiej. Ceniony dziennikarz Ted Koppel pokazywał na elektronicznej planszy punkty ruchome, punkty znikające, przepyttywał ekspertów w studiu przystrojonym w gwiazdzisty sztandar, a telewidzom brakowało obrazków mniej surrealistycznych. Takich choćby jak eksplodująca Jerozolima. W dniu 11 września 2001 roku mogli się już jednak natrzeć, bo walące się wieże World Trade Center były w tym czasie jedynym prezentowanym na antenie newsem i miały największą w historii telewizyjnych programów oglądalność. Ludzkość gapiła się w ekrany. Taka wizja – powiadają w książce *Paranoja polityczna. Psychopatologia nienawiści* Robert S. Robins i Jerrold M. Post – staje się *antidotum na amoralne postępowanie, sprzeczne z nakazami religii*<sup>1</sup>. Bo rozpacz rodzi nadzieję. Podobnie jak paranoiczne urojenia nadają sens życiu jednostki znajdującą się na skraju psychicznej dezintegracji, tak i zbiorowa wizja apokalipsy i ostatecznego zbawienia odgrywa rolę kompensacyjną w grupach społecznych zagrożonych rozpadem<sup>2</sup>. Ostatnimi czasy wiele pisano, pisałam także ja, o faktyczności zagrożenia rozpadem naszego społeczeństwa, nie będę więc powtarzać owych stwierdzeń. Ten esej zaczęłam od akapitu poświęconego chaosowi: chaos przeżywany i doświadczany przez mężne serce nie przestaje zadawać bólu, lecz ma w sobie coś, co sprawia, że symboliczna

<sup>1</sup> R. S. Robins, J. M. Post: *Paranoja polityczna. Psychopatologia nienawiści*. Tłum. H. Jankowska. Warszawa 2007, s. 147.

<sup>2</sup> Tamże, ss. 147-148.

górze Golgota nie przesłania wesela w Kanie Galilejskiej – swojej prefiguracji. Jęki krzyżowanych nie zagłuszają sprośnych a chwackich przyśpiewek na weselisku. W przypadku skrótów pogrążamy się jednak w labiryntach pychy, także moralnej; Golgota – mówiąc metaforycznie – przesłania nam nawet Tabor i przeistoczenie Pańskie. Nie ma więc przeistoczenia, jest natomiast łącząca chciwość prawdy, „całej prawdy”. Pragnienie poprowadzenia rozumowania aż do pierwszej przyczyny. Czyli – do uknutego spisku. To staje się rodzajem „księgi losu” i mitycznego początku w sytuacji, gdy skowyczą się o mit, ponieważ rzeczywiste mity zbiorowe zostały ku pokrzepieniu serc podrasowane, poprawione, pozamieniano w nich suplikacje z happy endem. Zamiast mitu – zdeintegrowana papka wydarzeń. Zamiast nieugiętych mitycznych struktur – chaotyczny, łatwo przyswajalny zbiór metawydarzeń.

Brak struktur mitycznych to przypadłość społeczeństw konających i nieradzających sobie z wolnością. Taki stan wywołuje dojmujące poczucie winy. By je stłumić, w okresach społecznego i politycznego zamętu niezrównoważony psychicznie osobnik, starający się usilnie nadać sens własnemu istnieniu, będzie gromadził wokół siebie zwolenników, by wprowadzić w życie swoją wizję zbawienia i ustanowić odpowiadający tym emocjom system społeczny. Jeśli wykazuje zdolności przywódcze i potrafi się utożsamić z podatną na sugestie częścią społeczeństwa, osobnik taki *ma wszelkie zadatki, by stworzyć charyzmatyczny kult religijny przepojony apokaliptyczną mentalnością. Urojenia porządkują nie tylko jego własny świat, ale i innych zranionych jednostek, których świat się rozpada. Paranoik pełni funkcję diagnosty zbiorowości*<sup>3</sup> (wyr. – U. M. B.).

To jest właśnie szybki marsz podziemnym chodnikiem, który w mgnieniu oka transportuje nas w rejony hermetycznie odgródzone od rzeczywistości i zarazem pełne skowytu o mit, a jednak posępne. Jesteśmy wszak w podziemiach. Właśnie tu doznawane upokorzenia, zawody oraz rozczarowania okazują się zniewagami i profanacjami, niedostatek zaszczytów i sympatii postrzegany jest jako podłość. Konkurent zamienia się we wroga. Nawet to, że ominęły nas represje, może być odczytane jako potwarz i pogarda. Przypomniano niedawno w którejś z gazet rozmowę, jaką jeszcze w PRL-u odbył pewien ubek z jednym z opozycjonistów. Opozycjonista nie potrafił ukryć, że poczuł się dotknięty, gdy kolega, którego cenił i wspierał, nie wąpiąc zresztą ani przez chwilę w jego lojalność, nazwany został najzdolniejszym w gronie przeciwników władzy. Podkreślam: nie chodzi, broń Boże, o rozmowę mającą skaptować do współpracy. Ubek po prostu odnotował ten natychmiast powściągnięty cień niezadowolenia, tłumionej rywalizacji. W podziemiach, o jakich tu mówię, nawet takie drobne, mimowiedne dyskomforty nabierają głębokich znaczeń i są uogólniane, a osoba, która je wywołuje, budzi niechęć, wręcz wrogość, ponieważ ściąga jak magnes wszystkie inne analogiczne sytuacje, sprasowuje je w kosteczkę i nadaje im własną twarz.

Czyż nie tak oddziałują czarne dziury, które przyciągają i przyciągają, wchłaniając na koniec całe mgławice? Polityczni paranoicy o wielkim znaczeniu w historii, tacy jak Hitler albo Stalin, a w starożytności Tyberiusz albo Kaligula, dadzą się porównać do czarnych dziur. Fascynuje mnie analogia psychiki ludzkiej i nocnego nieba; zapewne i tu, i tu prawa rządzące są nam w równym stopniu nieznanne, na żadną z tych sfer nie jesteśmy w stanie popatrzeć z zewnątrz, w żadnym sposobie wychycić rzeczywiste zależności. Opisujemy je w rezultacie bardzo fragmentarycznie, subiektywnie.

\*

Mikroapokalipsy, kiedy świat bawi się w najlepsze, a ginimy tylko my, dawno rozpoznano jako ukonkretnione źródła ideologii spiskowych. Lecz dlaczego porażka sięga właśnie po pewne mity i dlaczego wywołuje ową zmienną niezaradność połączoną ze stawianiem sobie oczywistych pytań

<sup>3</sup> Tamże, s. 149.

weryfikujących tezę? Czy to tylko obawa przed chaosem, trzymanie się pewnika jak tonący brzytwy? Mam wrażenie, że sednem jest właśnie wadliwość przywołanego mitu, a dokładniej: pewnego zniekształcenia tegoż mitu. Polski mit mickiewiczowski o „Chrystusie narodów” bez wątpienia ma kilka mankamentów: otóż jest w nim neurotyczna negacja śmierci. Golgota bez śmierci, ze śmiercią na niby, na chwileczkę – to absurd. Ewangeliczny mit o Golgocie odmalowuje śmierć Zbawiciela z realizmem, punktuje kolejne stopnie degradacji w kategoriach socjalno-ludzkich (od fazy pokazania skazańca ludowi u boku prokuratora po fazę wyśmiewania i wreszcie porzucenia na pastwę ptaszysk, które już przycupnęły w sąsiedztwie miejsca egzekucji). Tryumf zmartwychwstania i zwycięstwo nad śmiercią nie mają wszak już tej sensualnej wyrazistości. Wyraziste są postaci drugo- i trzecioplanowe: Magdalena, Piotr zapierający się Chrystusa, niedowierzający Tomasz. Główna postać, kreślona tajemniczymi hieroglifami, jest mgłą. Mit Polski-Golgoty odwraca to do góry nogami: my o śmierci prawie nic nie mówimy. Negujemy ją: „jeszcze Polska nie umarła”, gdy umarła. Powtarzamy to w słowach hymnu już jako obywatele wolnego kraju, w najradośniejszych sytuacjach, np. po zwycięstwach polskich sportowców – wtedy bowiem pojawia się to niestosowne „jeszcze nie zginęła”. Podobnie – wręcz obelżywie – może ono brzmieć przy okazji sporów politycznych, na wiecach, demonstracjach, ponieważ partner sporu określany jest „poetycko” jako ktoś zagrażający życiu. Sprawy drobne a głośne, choćby sukcesy sportowe, kwestie światopoglądowe, przywołując śmierć Polski, uzurpują sobie rangę „być albo nie być”.

Problem polega na zanegowaniu psychicznej wartości rozpaczki. Na skracaniu czasu przeżywania tego, co kojarzy się z degradacją. Pospieszne zmartwychwstanie powoduje, że w naszej podświadomości zalega poczucie winy, które płynie stąd, iż wykręciliśmy się żalobie sensualnej, konkretnej, umieszczając ją na wysokich piętach abstrakcji, a to poczucie winy jest z kolei kompensowane nadmiernymi celebracjami. Stawiamy pomniki i tablice ku czci męczeństwa wojennych bohaterów, nie chcąc nic zgoła wiedzieć o tym, jak realnymi, niesztampowymi osobami byli za życia. Tego rodzaju wywyższanie to odruch bezwiednej zawiści; jest wrogiem, bo odmawia prawa do prawdy.

Teorie spiskowe i apokaliptyczne zawsze mają jakiś rdzeń prawdy, nie zostaje ona jednak nazwana po imieniu, lecz jest przykrawana pod kątem mitu, rozumianego właśnie tak, jak konkretna psychika się domaga. W świecie zdeintegrowanym, bez jednoznaczności, rozpoznajemy to, co w tych teoriach absurdalne, po zakazach poznawczych. Zakaz wstępu na cmentarze, do więzień i szpitali, zakaz poznawania statystyk to przekaz: będziecie zabijani. O ile zajdzie potrzeba, nadarzy się okazja. Zakaz zasięgania informacji o wydarzeniach poprzedzających nieszczęście powiadamia: nie wolno wam stosować profilaktyki. Zakaz zestawiania czegokolwiek z kimkolwiek – pod pretekstem zarzutu irracjonalności – powiadamia: nie będziecie rozpoznawali mitu.

Mieć prawo do mitu to mieć prawo do błędu, a więc człowieczeństwa. Bóg w *Fauście* mówi do Mefistofelesa przyjaźnie: *Nie czuję do takich jak ty nienawiści*. Jeśli ta perełka wypada z relikwiarza romantyzmu, zostajemy już bez relikwii, a jedynie z *Romantycznością*. Rok 1821 także zostanie ogołocony z klejnotów głębszej znajomości biesów, kwiatów zła, z listu do Michaliny Zaleskiej.

Urszula M. Benka

RAFAŁ RUTKOWSKI

## *Wywołuję siebie z ruin*

Wywołuję z siebie ruiny jakbym  
strzepywał z ubrań piach i chociaż  
nie skamieniałem to jestem bardziej  
kruchy więc jaśniej mogę widzieć

mimo że to przez dziury i prześwity  
mimo że pęknięcia zniekształcają sufit  
podejdę do drzwi i otworzę widzialność  
tego co pode mną i tego co we mnie

wszystko takie nienowoczesne chociaż  
komputery za oknem słycać obce dźwięki  
patrzę na pocztówkę i jakbym widział  
prawdziwy świat który wyleciał jak krew

z urwanej ręki i rysował się tą farbą  
jeszcze raz jakby specjalnie dla mnie  
a i tak coś nie tak jakieś to nieświeże  
dookoła zmieszane budynki z drzewami

pola z miastami i zalegający w przetyku  
beton czy to ziemia smutna czy roztańczona  
aż tak bardzo że zapomniała że poza murami  
własnego ciała tańczy jedynie na orbicie

## *Wskrzyszam*

Otwieram drzwiczki od pieca i wkładam  
rękę na samo dno nic nie widzę czuję tylko  
pustynny piach wchodzę więc śmielej mijam  
rozpalone grzałki i schodzę schodami niżej

natknąłem się na małe guziki od munduru  
zestaw petów i pojedyncze włosy schodzę  
jak po czarnej płycie gramofonowej nogi  
już wpadły mi w jej rynsztoki nie tak łatwo

wyjść stopy powoli rozkładam się jak w łóżku  
i zanurzam od tyłu głowę przyszedłem

do tego miejsca tak jak ludzie chodzą  
do lasu ale chcę zabrać nieco płomykowi

z cudzej może nie do końca wypalonej  
głowy nauczyć się czegoś może przełykać  
a może zwyczajnej rozmowy która wyrasta  
z monologów więc płynę trochę dalej

zobaczyć czy igła przejdzie coś przeczyta  
z tych strzępków wyleżanych materaców  
które układają się w słomę i w łąkę  
aż wystają ręce więc kładę się w ręce

i idę przez taki las aby pomachać językiem  
popisać na klawiaturze może nauczyć komputer  
coś wskrzeszać jak czasami to robię  
z tym że jak ja coś wskrzeszę to tylko sobie

## *Potwierdzenie*

Kiedy wychodzę z domu to chodzę  
po szklanym szerokim warkoczcu i czuję się  
dosięgnięty w papierowych rękawiczkach  
z których wyczytać nic nie mogę więc

chodzę żeby się ubrudzić żeby na tym  
pogiętym papierze osadziły się czarne ślady  
i już będzie napisane już będzie pełne  
dlatego też kładę się na ziemi i doceniam

całe miasto jako bardzo porządną makietę  
i bardziej wierzę w rzeczywistość w jej sukienki  
rozpuszczone włosy które tworzą każdego dnia  
inny znak jakby zodiaku którym sobie wróżę

ulice kołnierzyki do szczęścia do przejścia  
w stronę eleganckiego sklepu drzwi do sklepu  
matki wszystkich rzeczy w kuchni pokoju  
i całym mieszkaniu wszystko to czuję

na swojej zapisywanej skórze nawet kościoly  
jak drewniane kwiaty układają się w zmiętych  
piwnicach moich rękawiczek restauracje  
galerie handlowe studzienki kanalizacyjne

analogicznie jak usta korpus i oczy jeszcze  
tylko głowa nogi i ręce czyli kolejne budynki  
do przejścia i wracam cały ubrudzony  
zdejmuję rękawiczki i myślę że nie jestem wcale  
zmyślony

## *Wnętrza mieszkańców*

*wszystkiego nauczyłem się od drzewa*

Schodzę na parter między miastami  
rozkładam manatki i widzę że ludzie  
wywróceni na drugą stronę to także drzewa  
pełne gałęzi liści i owoców

czasem wywracam powieki żeby to zobaczyć  
może właśnie tak widzą nas zmarli  
kiedy nasze ubrania i przedmioty codziennego użytku  
mamy ukryte za skórą

dwa światy różnią się pewnie też otoczeniem  
niebo ulice wieżowce samochody wnętrza mieszkań  
dla wywróconych są ukryte oni mają co innego  
cały ten ich świat jest wewnątrz nich

napisany na którymś kawałku  
zastygniętego spojrzenia z którego  
tylko jedno oko jest ich drugie nasze

żeby to zobaczyć zakopałem w ziemi  
połowę głowy i poczułem że przesadziłem

nie będę się już wysiłał wyprzedzać  
obrazy

## *Sznurek*

Codziennie rozwiązuję się i zawiązuję  
i z powrotem aż bolą palce paznokcie  
łamią się znowu mocniej  
aby zacisnąć i trudniej było rozwiązać

nocą przez sen jestem liną  
rociągnięty zapleciony tylko  
z podstawowych nici

rankiem węzełek pod wieczór plecionka  
a w smutku i w radości  
taki że jak pociągniesz to się sam rozwiąże

w zmęczeniu kulka z węzłów  
albo bycie na kabestanie  
na kołowrotku to raczej byłaby wojna  
albo zmartwychwstanie



jestem zwyczajnym sznurkiem mam  
swoje prawa i dwa końce  
narodziny i śmierć spokojnie

idę podciągnąć żagle albo spuścić trumnę  
zwiną mnie potem na ręce i tak ogólnie  
prócz tego wszystkiego co potrafię

mogę być na czyjejs szyi wariografem  
choć wolałbym się wtedy urwać

jak patrzę czasem z góry na marionetki  
to sobie myślę jaki jestem świetny  
jak wiele potrafię i poprowadzić umiem

a teraz zawiązać się i rozwiązać tylko  
to czuję.

## *Ciała stałe*

Stałem przy miejskim zegarze  
zaczęłam cofać czas i zobaczyłem  
jak znikają ludzie przestraszyłem się  
zaczęłam więc przyspieszać czas

zaczęli znikać bardziej może  
to znikanie różniło się od siebie  
może i miało w sobie jakąś narrację  
ale nie zmienia to faktu że czułem się

jak śmierć grająca na zegarku swoją  
jedyną melodię schowany przed  
światem uświadomiłem sobie ileż  
o zmarłych i nienarodzonych

wiedzą drzewa budynki kamienie  
pełne przedmiotów muzea fabryki  
nagrobków zabawek nawet coraz więcej  
o zmarłych wie internet to w nim

znalazłem więcej informacji o drzewie  
genealogicznym niż we wspomnieniach  
zagubionych księgach metrykalnych  
i ponoć wieczystych

więc patrzę na te ciała stałe i pytam się  
coraz mocniej pytam się nieożywionego  
płactwa dlaczego nie widuję zmarłych  
i dlaczego mnie kiedyś inni nie zobaczą

*Rafał Rutkowski*

## Błazej. Epilog\*

Do roku 2014 podchodziłem zabobonnie, zdawało mi się, że nigdy nie dożyję do osiemdziesiątki, którą miałem osiągnąć 11 listopada. Zosia była ode mnie dwa lata starsza, więc – myślałem – na pewno tymi sprawami nie będzie zaprzętać sobie głowy. Ale pewnych obsesji, skojarzeń nie można wypłoszyć z głowy.

Po moich imieninach, które przypadają 28 października, poszedłem do doktora Stawiarskiego na badania okresowe. Wiedziałem, że ciśnienie skacze mi jak wiewiórka z gałęzi na gałąź i czasami na zakazanych wysokościach. Po miniwylewie półtora roku wcześniej i to podczas ważnej rozmowy z młodym poetą z Polski i trwającym potem kilka godzin szokującym rozkojarzeniu myśli nie mogłem się pozbierać. Miałem więc powody, by przy zwiększonych dawkach lekarstw przedłużyć sobie życie, nie alarmując zbytnio Zosi.

Daty urodzin oczekiwałem jak kot, który czeka na upatrzoną mysz, zajęętą gryzieniem kawałka sera, bardzo ostrożnie, ale na czterech łapach. Kiedy jedenasty listopada mijał, a ja z Zosią i naszymi wnuczkami, ich uroczą mamą Toni i naszym synem Tomkiem świętowaliśmy moją osiemdziesiątkę, czułem się jak milioner wygrywający szczęśliwe numery na loterii.

Kilka tygodni potem podłoga pod stopami zaczęła nam się marszczyć. W sobotni poranek 3 grudnia nasza psina Fifi wgramoliła się do łóżka, domagając się, by wyjść z nią na spacer. Chciałem chociaż jeszcze przez następne pół godziny drzemać przytulony do Zosi, ale Fifka nie dawała nam spokoju. Leniwie wyslizgnąłem się spod kołdry. Ulice były zavalone puszystym śniegiem przynajmniej na półtorej stopy, który ciągle jeszcze prószył z matowego nieba. Wróciłem do przedsionka, by włożyć gumowe buty. Fifka szalała z uciechy, skacząc z jednej zasy w drugą. Gdy już zrobiła siusiu, ruszyliśmy z powrotem. Po drodze kłaniałem się sąsiadom odsypującym śnieg plastikowymi szuflami przed swoich domów.

Otwierając drzwi, zobaczyłem wychodzącą z łazienki Zosię. Z dziwnym wyrazem twarzy zatrzymała się i rzuciła w moją stronę:

– Sprawdź, proszę, chyba znów mam krew w moczu.

W toalecie ujrzałem przyczynę jej lęku, na który moje ciało zareagowało natychmiast. Poczulem ostre ukłucie w sercu. Zmarznięte policzki szybko zaróżowiła napływająca do głowy krew. W moim wieku ciało reaguje na naturalne zagrożenia szybciej od niemrawego mózgu. Zupełnie mechanicznie zdejmowałem ubranie, które narzuciłem na siebie, żeby wyprowadzić psa. Pod jeszcze ciepłą kołdrą przytuliłem się do Zosi całą rozpiętością ciała. Szukaliśmy siebie dotykiem warg, palcami rąk i powierzchnią brzucha. W ciągu ostatnich trzech tygodni krwawienie pojawiło się po raz czwarty – znak, że złośliwy rak się rozprzestrzenił, nadżera błonę pęcherza.

\* Jest to jeden z końcowych fragmentów powieści autobiograficznej, którą Tadeusz Chabrowski pisał do ostatnich dni swego życia.

Do śniadania, które z reguły przygotowywałem, przynosząc z pobliskiego Lunch Boxu kawę i jajecznicę robioną na parze z dodatkiem dwóch pasków boczku na osobę, dokroiłem pomidora i lekko poproszyłem go cebulką. To śniadanie nigdy nas nic nie kosztowało, bo Zosia była inicjatorką założenia „rodzinnej lanczonetki” – jak ją nazywaliśmy – i jej współwłaścicielką. Jako właścicielka budynku\*\* udostępniała darmowo przestrzeń, gaz i elektryczność. Pomysł był dobry, bo w krótkim czasie okazało się, że dochody w zupełności wystarczają na utrzymanie powiększającej się rodziny naszego syna. Tomek zajął się prowadzeniem sklepu, robił zakupy i co jakiś czas wprowadzał innowacje, które przysparzały nowych klientów. Toni, jego żona, prowadziła buchalterię.

Weekend nie był radosny. W poniedziałek po śniadaniu zadzwoniliśmy do dra Plawnera, by ustalić termin najbliższej wizyty. Pani Jola, jego sekretarka, troskliwie dopytywała o okoliczności. Były podobne jak poprzednio, co oznaczało, że dzieje się coś niedobrego, ale niestety, na wizytę trzeba było czekać cały tydzień.

Nieobecność lekarza bardzo nas zaniepokoiła; żeby przerwać krwawienie, potrzebny był Ciprofloxacyn, sprzedawany w aptece tylko na receptę. Nie zwlekając, zadzwoniłem do naszego lekarza rodzinnego doktora Romana Ostrowskiego z prośbą o wysłanie recepty do Polish American Pharmacy przy Leonard Street. Ten jednak dał nam do zrozumienia, że wolałby tego nie robić. Ponieważ krwawienie się powtarza – mówił – należy do sprawy podejść poważnie i znaleźć lekarza chirurga. Polecił, byśmy skontaktowali się z dr Elizabeth Kavalier.

Taka ocena sytuacji jeszcze bardziej pogłębiła nasz zły nastrój. Nie brzmiało to zbyt optymistycznie, a przez lata nabraliśmy do dra Ostrowskiego zaufania – już raz bowiem, blisko pięć lat temu, gdy przechodziłem rutynowe badania i utyskiwałem na problemy z oddawaniem moczu, natychmiast zlecił szereg dodatkowych testów. Tak wyszło na jaw, że rak prostaty czynił spustoszenie w moim organizmie. W ciągu tygodnia znalazłem się na stole operacyjnym w szpitalu Cabrini na Manhattanie i, dzięki Bogu, uniknąłem większych komplikacji.

Doktor Kavalier, do której niezwłocznie zadzwoniliśmy, mogła nas przyjąć już w czwartek rano. Grzebiąc w koszyczku z Zosi lekarstwami, znalazłem kilka tabletek Ciprofloxacynu pobranych z apteki 29 listopada, czyli półtora miesiąca wcześniej. Z wypisanych dwudziestu tabletek zostały cztery, widocznie nie było potrzeby brać ich do końca. Ciprofloxacyn jest antybiotykiem zwalczającym bakterie w pęcherzu i umożliwiającym wykonanie cystoskopii, czyli obejrzenia pęcherza od wnętrza, co pozwala lekarzowi na postawienie wstępnej diagnozy. Te cztery tabletki ucieszyły Zosię niepomiernie; potrzebne jej było jakieś wrażenie działania przed wizytą u nowego urologa.

Wizyta na Manhattanie miała nieco inny przebieg niż podobne wizyty u lekarzy na Greenpoincie. Biuro mieściło się na drugim piętrze, z przestronną

---

\*\* Dla dociekliwych czytelników słowo wyjaśnienia, dlaczego właścicielką domu była tylko Zosia. Otóż dwadzieścia lat temu, nie mając jeszcze własnego zakładu optycznego, dorabiałem na życie jako optyk, wynajmując część gabinetu u optometry Davida Hana.

W małym pomieszczeniu na zapleczu jego gabinetu, odgradzony kotarą, miałem biurko, walizkę z oprawkami, duże lustro, w którym klienci oglądali swoje twarze w nowych ramkach. Pewnego dnia zgłosiła się do mnie z receptą ogromna Afroamerykanka. Podstawiłem jej krzeselko przeznaczone dla klientów. Nim zdążyłem wrócić za biurko, krzeselko załamało się i kobieta gruchnęła całym ciężarem swojej sempiterny na podłogę. Było wiadomo, przynajmniej dla Zosi, że klientka w krótkim czasie wniesie sprawę o odszkodowanie.

Bycie współwłaścicielem domu było mi więc zupełnie nie na rękę. Zosia nie musiała za moje niedopatrzenie czy też za ten nieszczęśliwy wypadek ponosić kosztów. Zresztą nie stało się to w naszym budynku, ale w biurze dra Davida Hana mieszcącym się w budynku, którego właścicielem był jeszcze ktoś inny. Adwokat, do którego zgłosiła się Zosia, podzielał jej rozumowanie, ale na wszelki wypadek radził, by dla uniknięcia problemów w przyszłości przepisać dom na nią. I tak zostało do tej pory.

poczekalnią, w której było przynajmniej tuzin raczej wygodnych obitych ceratą foteli. Przez duże szyby zajmujące połowę północnej ściany można było spoglądać na przechodniów i ruch kołowy na 54. ulicy. Grube szyby izolowały od ulicznego hałasu i trąbienia taksówek. Szybko zorientowałem się, że jest tu grupa specjalistów i podanie nazwiska lekarza, do którego się przyszło, przyspiesza albo spowalnia czekanie w kolejce. Trzy sekretarki i męzczyzna weryfikujący ubezpieczenia byli bardzo oficjalni i może przez to – raczej powolni. Minęło sporo czasu, nim załatwiliśmy wszystkie formalności i opłaty.

Obserwowałem pacjentów, którzy znajdowali się w poczekalni. Przeważały kobiety, przeważnie starsze, ale nie brakowało i młodych. Pomyślałem, że każda z tych osób przyszła tu z tajonym problemem wywołanym przez jej ciało. I każda pewnie zastanawiała się, czy specjalista okaże się pomocny. Na stoliku leżał egzemplarz „New York Timesa”, którego poszczególne sekcje zostały porozbierane przez pacjentów czekających na wywołanie ich nazwiska. Udało mi się w końcu złapać część sportową gazety od faceta około sześćdziesiątki, którego poproszono, by nasiusiał do plastikowego pojemniczka opatrzonego jego nazwiskiem.

Zosia siedziała obok mnie skupiona, od czasu do czasu podnosząc powieki, by sprawdzić, co się dzieje na sali. Próbowałem ją wytrącić z głębszego zamyślenia, robiąc krytyczno-humorystyczne uwagi pod adresem pacjentów lub pielęgniarek, które co jakiś czas wychylały z korytarzyka wiodącego do poszczególnych gabinetów swoje ładnie wymalowane twarze lub okazałe biusty. Ale Zosia nie podejmowała moich zaczepek...

Do gabinetu dr Elizabeth Kavalier Zosia była proszona trzykrotnie. Podczas wstępnej rozmowy lekarka zasypywała ją pytaniami. Do rutynowych w takich wypadkach pytań o ogólny stan zdrowia dochodziły dodatkowe, dotyczące częstotliwości pojawiania się krwi w moczu.

Przysłuchiwałem się tej rozmowie w milczeniu, błędząc oczami po gabinecie i ścianach. Porównywałem w myślach obecną twarz lekarki z tą, którą pokazuje na stronie internetowej, przynajmniej o dwadzieścia lat młodszą. Życie nawet na najbardziej gładkiej twarzy potrafi wyźłobić głębokie koleiny i utemperować każdy, nawet bardzo powabny uśmiech, dołożyć sporą dozę smutku do układu naszych ust i do naszych spojrzeń.

Kończąc rozmowę, dr Kavalier zaproponowała, że zacznie diagnozę od wzrokowej oceny wnętrza pęcherza moczowego, czyli od cystoskopii. Poprosiła Zosię o przejście do następnego pokoju, ja zaś miałem wrócić do poczekalni.

Usiadłem więc przy oknie i przypomniałem sobie, że w plecaku mam książkę *Wrogowie publiczni*, na której stronach pojedynkuje się ze sobą dwóch najbardziej znanych współczesnych francuskich pisarzy: Michel Houellebecq i Bernard-Henri Lévy. Książkę tę kupiłem półtora roku temu na dworcu kolejowym w Warszawie, żeby mieć co czytać w pociągu do Częstochowy. Była tak inna od tych, jakie zwykle czytam, że natychmiast spróbowałem wczuć się w nastrój wytworzony przez pisarzy, którzy przez lata wymieniając listy, starali się diagnozować świat. Przeczytałem ją, będąc jeszcze w Polsce, podczas kolejnych wypadów pociągiem do Lublina i Krakowa. I od tamtej pory utknęła na dobre na półce do ponownej lektury. Rano machinalnie wrzuciłem ją do plecaka, zakładając, że urozmaici mi czas spędzony w poczekalni u lekarza.

Zosia pojawiła się po dwudziestu pięciu minutach. Z jej miny wywnioskowałem, że nie był to przyjemny zabieg. Zresztą nigdy nie jest, kiedy obcy element pojawia się w zakamarkach naszego ciała.

– Co dalej? – zapytałem niepewnie.

– Musimy trochę poczekać – odparła. – Pani doktor przeanalizuje zdjęcia.

Nie zamęczałem jej dodatkowymi pytaniami, bo wszystkie byłyby bez sensu. Podłożyłem tylko swoją rękę pod jej ramię, żeby nie musiała się opierać o drewnianą poręcz fotela.

Kiedy nas ponownie poproszono do gabinetu, zauważyłem, że Zosia posuwała się drobnym krokiem i prawą ręką szukała oparcia na moim lewym ramieniu. Miałem mieszane uczucia, kiedy usiedliśmy przy biurku dr Kavalera. Z jej wypukłych stalowych oczu nie potrafiłem odczytać ani na jotę tego, co nam miała za chwilę zakomunikować.

Przez chwilę nie odzywała się, wyszukując właściwe obrazy na ekranie komputera. Robiła to dość sprawnie, ale od czasu do czasu komputer domagał się więcej szczegółów, by pokazać właściwe okienko. Siedzieliśmy jak na niemym filmie, na którym zmieniają się obrazy, ale dźwięk nie dochodzi. Po pięciu minutach wszystkie klisze były na miejscu i w zasięgu pojedynczego kliknięcia.

I wreszcie się do nas odezwała. Z dość zwięzłej wypowiedzi dowiedzieliśmy się, że nowotwór już się rozprzestrzenił i zajmuje prawie jedną trzecią powierzchni pęcherza. Chwilę potem dr Kavalier zaczęła wskazywać na zdjęcia, na których można było dostrzec różne plamki i zaognienia tworzące rodzaj liszaju na wewnętrznych ściankach pęcherza.

Ilość tych informacji, przekazanych nam naraz i w taki – naukowy – sposób, świadomość, że te fotografie zostały zrobione zaledwie pół godziny temu – to było przytłaczające. Poczulem smutek i strach, zrozumiałem, że nadchodzi coś naprawdę groźnego. Odruchowo przytuliłem się do Zosi i ucałowałem jej dłoń. Odpowiedziała mi, poddając się mojemu gestowi. Mieliśmy uczucie, że nad naszymi głowami wali się sufit. Zanim wyszliśmy, Zosia zapytała o prognozy na przyszłość.

– Nie wiemy jeszcze, jakiego typu jest ten nowotwór – odpowiedziała dr Kavalier. – Może być tylko na powierzchni nabłonka, nienaciekający i miejmy nadzieję, że z takim mamy do czynienia. Można go przy pomocy chemioterapii mocno zredukować, a nawet całkowicie zaleczyć.

Gdyby się okazało, że jest to nowotwór płaski, ale nasiąkający na błonę i mięśnie pęcherza, wtedy zalecane jest rozwiązanie radykalne, czyli usunięcie pęcherza.

Mówiła to wszystko z niemal kamienną twarzą, a przecież była to dopiero wstępna wizyta! Nie wiedziałem, co nas jeszcze czeka, ale czułem, że musimy być odważni. Przypuszczam, że dr Kavalier, mówiąc nam to wszystko tak wprost i bez ogródek zakładała pewną trzeźwość umysłu z naszej strony. Łatwo w tej sytuacji można było popaść w depresję, albo zrezygnować z jej usług i wrócić do doktora Plawnera, który prawdopodobnie postawiłby mniej rygorystyczną diagnozę. Ale czy będąc nad przepaścią można grymasić, że droga ocalenia będzie wiodła przez coraz bardziej wyboiste ścieżki i wyrwy?

Usunięcia pęcherza Zosia lękała się najbardziej. Zdawało się jej, że jest to najbardziej okaleczająca operacja, pozbawiająca kobietę na resztę życia prawidłowej i elementarnej potrzeby wydalania moczu. Bała się niekontrolowanych odruchów i związanych z tym zapachów. Po operacji prostaty zacząłem nosić specjalną pieluchę, co było nie tylko fizyczną niedogodnością, ale też i dowodem zdrady mojego własnego ciała. O tym wiedziała tylko Zosia. Teraz i ona sama miała – być może – wprowadzić w swoje życie ten nieprzyjemny – by nie powiedzieć – upokarzający zwyczaj zabezpieczania się przed przykrymi skutkami choroby.

Do domu wróciliśmy taksówką. Nie było powodu, żeby po takiej dramatycznej wizycie wałęsać się subwayem, schodzić do podziemia i znów wspinać się po schodach. Dla nas tunele mroku, skrzywienia kół o szyny, wyczekiwania na następną kolejkę nadziei dopiero miały się rozpocząć.

Następne trzy tygodnie nie zaznaczyły się niczym szczególnym, ale też i nie skakaliśmy z radości. Niby próbowaliśmy wrócić do rytmu dni z poprzedniego okresu, kiedy nie ciążyła nad naszymi głowami świadomość, że zdrowie Zosi jest zagrożone. Nie zawsze się nam to udawało, choć Zosia pilnie zajmowała się domowymi sprawami, prawie co drugi dzień wysyłając mnie do banku, bym płacił rachunki za gaz i elektryczność, uiszczając opłaty hipoteczne za dom czy ubezpieczenie lub zaniósł czek dla miasta za cokwartalne podatki.

Wychodziłem chętnie. Po drodze zatrzymywałem się na kawę, by przeczytać kilka artykułów z „Polityki” lub „Newsweeka”. Nowe wiadomości, obojętnie – dobre czy złe – rozgrzewały na jakiś czas moje myśli. Czasami na marginesie gazety zapisywałem załączek nowego wiersza, w który późnym wieczorem wkładałem resztki swojej energii, żeby ożył, wzbił się pod sufit.

Dni były szare, monotonne, czekaliśmy jeszcze na kontakt z onkologiem doktorem Bruckhorstem, do którego skierowała nas doktor Kavalier. Był on związany z Lenox Hill Hospital, uważanym za jeden z lepszych szpitali na Manhattanie. Dopiero po tygodniu skontaktowaliśmy się z jego sekretarką. Wizyta została wyznaczona na 16 stycznia. Była to jedna z najbardziej intrygujących w moim życiu wizyt lekarskich, mimo że dotyczyła Zosi, a nie mnie. Trwała prawie dwie godziny i uświadomiła mi, że choć spędziłem z Zosią blisko 48 lat pod jednym dachem, istniały takie sprawy w jej życiu, o których nie miałem zielonego pojęcia.

Kwestionariusz pytań, według którego Bruckhorst zadawał pytania, powstawał zapewne podczas jego trzydziestodwuletniej praktyki jako lekarza chorób nowotworowych u kobiet. Pytania dotyczyły sposobu odżywiania w różnych okresach życia, picia trunków i palenia papierosów, życia seksualnego, otyłości, diet skutkujących zbyt szybkim zrzucaniem nadwagi, ciąży i okoliczności związanych z porodami, przebytych operacji i ewentualnych komplikacji. Była także mowa o fizycznej sprawności łędźwi, ramion i kręgosłupa, a także wytrzymałości na zimno i wysoką temperaturę.

Najwięcej pytań dotyczyło jednak długoletniego palenia papierosów przez Zosię i takich powikłań jak astma, częste zapalenia oskrzeli, choroby serca i krążenia.

Przysłuchując się tym wszystkim pytaniom, nie za bardzo domyślałem się, do czego mogą prowadzić, jaką leczniczą strategię na ich podstawie będzie można zaplanować. Jak się potem okazało, były konieczne do ułożenia właściwej gamy chemicznych składników potrzebnych do wyrugowania nowotworowej tkanki w pęcherzu.

Pierwsza sesja chemioterapii została zaplanowana dopiero na 4 lutego, a to dlatego, że Zosia musiała przejść jeszcze kilka dodatkowych badań według specyficznych poleceń onkologa.

Wizyty u doktor Kavalier były teraz rzadsze. Ograniczały się do pobierania moczu i wprowadzania wziernika poprzez cewkę moczową do pęcherza, by wzrokowo ocenić, jak zachowuje się nowotwór po coraz mocniejszych dawkach chemii.

Obowiązkowo raz w tygodniu, zwykle w piątki albo w soboty, odprowadzałem Zosię na badania krwi. Bruckhorst potrzebował najnowszych danych na temat liczby białych i czerwonych krwinek, by przed środową wizytą

w jego gabinecie skomponować odpowiedni koktajl, który miał uśmiercić nowotwór. Był w tym dobry, przezornie roztropny, śledzący pilnie najnowsze wyniki eksperymentów ogłaszanych w medycznych pismach.

Ja także, na własną rękę i na swoim poziomie, sięgałem po materiały z wyższej półki i na ile mogłem, wczytywałem się w artykuły o często dopiero co odkrytych w laboratoriach metodach, po czym przynosiłem mu te wieści, zadając dziesiątki pytań. Bruckhorst nie pozwalał się zaskoczyć żadnymi nowinkami, które mu przynosiłem i cierpliwie wszystko tłumaczył.

Na terapię dojeżdżaliśmy linią E, a ponieważ gabinet naszego onkologa mieścił się niedaleko stacji metra, Zosia nie miała okazji za bardzo się zmęczyć. W poczekalni na dziewiątym piętrze nie było dużego tłoku, najwyżej trzy albo cztery osoby. Czasami trzeba było zaczekać 10 lub 20 minut na fotel wyposażony w akcesoria potrzebne do obsłużenia pacjenta przybyłego na zabieg chemioterapii. Przy fotelu znajdowały się stojak na kroplówkę, instrument do mierzenia ciśnienia, butla z tlenem, i szafeczka z wacikami, tamponami i plastrami.

Koktajl przygotowywany przez doktora Bruckhorsta dostarczano Zosi w formie kroplówki, która kapała do żyły czasami godzinę, czasami dwie. Często po pierwszej dawce następowała druga, zwykle jako dodatek, uzupełnienie do pierwszej.

W początkowej fazie zabiegu, zaraz po usadowieniu Zosi w fotelu i podłączeniu do kroplówki, rozmawialiśmy o domowych sprawach – listach z rachunkami, do których trzeba tylko przykleić znaczki i wrzucić do skrzynki, zakupach, które trzeba było zrobić. Czasem do omówienia była jakaś nadzwyczajna kwestia, jak ten telefon z Polski od Romka Kłosowskiego, który zadzwonił o czwartej nad ranem, dopytując się, kiedy przyjedziemy do Warszawy.

W miarę jak chemikalia z plastikowego worka nad jej głową dostawały się do krwiobiegu, Zosia mrużyła powieki, popadała w sennność i nasze rozmowy się kończyły. Czasami odnotowywałem grymas na jej twarzy, skurcz jakiegoś ścięgna, niechciane poruszenie ręki lub nieartykułowany dźwięk wydobywający się z jej lekko rozchylonych warg.

Sięgałem wtedy do plecaka po książkę, przecierałem okulary i zaczynałem wodzić oczami po czarnych liniijkach na stronie. Wiele zależało od tego, w jakim nastroju byłem i jak reagował mój mózg. Jeśli akurat był rześki jak po kąpiel, siadałem głębiej w fotelu i razem z autorem bujałem w obłokach jego narracji.

Któregoś razu przyniosłem sobie *Kubusia Fatalistę* Diderota, jednego z genialnych encyklopedystów francuskich, którego zacząłem czytać dopiero dziesięć lat po wystąpieniu z klasztoru. Nigdy się przy tej lekturze nie nudziłem i co jakiś czas sięgałem po nią na nowo. Filozofia Kubusia była bardzo zbliżona do tej, jaką nasiąkłem w zaciszu klasztornych murów. I mnie uczono, że zwykłemu śmiertelnikowi włos z głowy nie spadnie bez przyzwolenia Opatrzności Boskiej, która nad wszystkimi roztacza bardzo szczegółową opiekę. Zasada Kubusia była podobna, bowiem twierdził, że wszystko, co spotyka człowieka w życiu, było już od dawna zapisane na wstęgach niebieskich w górze. Ale on umiał z tej zasady wyciągnąć praktyczne wnioski, czego ja, po szesnastu latach pobytu w klasztorze, nie potrafiłem.

Kubuś, zaciągając się do wojska, moralności praktycznej nauczył się od kapitana, któremu służył. Ten wbijał mu do głowy: jeśli napadnie cię pięciu opryszków, a w górze jest napisane, że sobie z nimi poradzisz, wyciągaj broń i strzelaj jak popadnie. Jeśli podoba ci się jakaś kobieta, a na wstędze życia jest

zapisane, że będziecie się wdzięczyć do siebie w stogu siana, nie trać czasu, ale bierz się do czynu. Będzie szczęśliwa, że cię spotkała.

Ja swojej klasztornej moralności uczyłem się od ascetów i anachoretów, którzy o życiu praktycznym nie mieli zielonego pojęcia. Pouczali mnie, jak zwalczać nieczyste pokusy, jak unikać gapienia się na kobiety, nie zwracać uwagi na ich obcisłe stroje i krótkie spódniczki. Wystąpiłem w końcu z klasztoru i poślubiłem kobietę, która bardzo mi się podobała, a nasze flirtowanie przed ślubem ograniczyło się zaledwie do siedmiu spotkań, z czego połowa odbyła się w towarzystwie innych osób. Od tamtej pory spędziłem przy jej boku prawie 48 lat, nie rozglądając się specjalnie za innymi kobietami. Jeśli któraś bardzo mi się podobała, pisałem o niej wiersz. Kubuś Fatalista w mojej sytuacji zapewne by powiedział: „gdybym miał władzę nad sobą, ani bym się cieszył, ani martwił, co bądź by mi się trafiło; ale ponieważ rządzę się jeno porywem, zapominam o naukach kapitana, dlatego coraz częściej śmieję się i płaczę jak głupiec”.

Zamierzałem przeczytać ten fragment jeszcze raz, gdy weszła pielęgniarka Ms. Alice, żeby sprawdzić, ile płynu jeszcze zostało. Mruknęła pod nosem:  
– Jeszcze 15 minut.

Nie było sposobu, żeby za każdym razem, kiedy pojawiała się w pokoju, nie obejrzeć jej rubensowskich bioder i proporcjonalnie bujnych piersi. Zazwyczaj ubrana była w szarobeżowe dzinsy i luźną pomarańczową bluzkę. Domyślałem się, że doktor Bruckhorst, który był wysokim i dobrze zbudowanym mężczyzną, nie tolerowałby filigranowej, zwiewnej młódki o pokolorowanych policzkach i piskliwym głosie. Ms. Alice była tu bardzo na swoim miejscu.

Po jej wyjściu zająłem się Zosią, próbowałem ją łagodnie rozbudzić, przygotować do powrotu do domu. Dopytywałem się, jak jej ciało reaguje na te trująco-lecznicze toksyny. Czy wymuszona drzemka przynosi jej jakąś ulgę? Zwykle po takim zabiegu nie była skora do rozmów. Pomagałem jej przejść długim korytarzem do windy i przy wyjściu z budynku lokowałem w możliwie wygodnym miejscu, a sam łapałem taksówkę.

Dojazd do polskiej dzielnicy na Greenpoincie nie był zbyt skomplikowany dla taksówkarzy. Wystarczyło jechać dwie przecznice tą samą ulicą, by znaleźć się na moście Queensboro, wciąż tak nazywanym, mimo że już dawno przemianowano go na most Edwarda Kocha, jednego z nowojorskich burmistrzów o polsko-żydowskich korzeniach. Po przekroczeniu mostu należało skręcić w prawo w Jackson Ave, po czym za chwilę skręcić w lewo na Pulaski Bridge, który prowadził do McGuinness Boulevard. Tu, na szóstym świetle, instruowaliśmy taksówkarza, by skręcił w prawo i jeszcze raz w prawo, na Eckford Street. Nasz dom znajdował się w połowie ulicy. Taki powrót taksówką z Manhattanu kosztował nas zwykle około 20 dolarów. Nasze wizyty u onkologa i urologa zaczęły się mnożyć, bo nowotwór, który zaatakowali lekarze, powodował różne dodatkowe komplikacje w całym organizmie. Zosia z tygodnia na tydzień traciła na wadze; wysiłki, żeby namówić ją do częstszego jedzenia, spełzały na niczym. Po kolejnych wizytach u dra Bruckhorsta zaczęły wypadać jej włosy. Była coraz słabsza i bardziej anemiczna. Mimo tych dolegliwości zacięła się wewnętrznie, że przetrzyma wszystkie uboczne skutki chemioterapii, byleby tylko nie usunięto jej pęcherza.

Trzeciego marca, we wtorek, po pięciu tygodniach intensywnej terapii, w czasie wizyty u dr Kavalera usłyszeliśmy, że może się to udać. Nowotwór zaczął się kurczyć i powoli zniknąć. Po konsultacji obu lekarzy postanowiono przystąpić do następnego etapu jeszcze bardziej zróżnicowanej chemicznie terapii.



Kolejne wizyty pochłonęły pięć tygodni i były jeszcze trudniejsze dla Zosi, ale też dla mnie. Robienie zakupów, częste zmienianie pościeli i jej pranie, sprzątanie i gotowanie, jak również wypełnianie wszelkich dokumentów związanych z funkcjonowaniem domu zaczęło mnie męczyć fizycznie i psychicznie. Nie miałem w tym zbyt dużej wprawy, a przecież musiałam to wszystko robić, żeby pomóc Zosi dojść do siebie. Byłem tak zmęczony, że wizyty u lekarzy zacząłem traktować jak wypoczynek. Kiedy dożylnie wsączano Zosi kolejną porcję płynu, miałem czas na mały oddech i możliwość przeczytania kilku stron z *Kubusia...*, którego maksyminy życiowe coraz częściej przypadają mi do gustu. Po uszkodzeniu kolana podczas jednej z potyczek przy boku swojego Kapitana, Kubuś stwierdził: *każdy chirurg stara się przeciągnąć chorobę, ile może; inaczej mniej zarobi*. Pomyślałem, że to może być prawdą i w naszym przypadku, że Zosia jest już o krok od wyzdrowienia.

Ale moje lęki zaczęły się mnożyć, kiedy zaczęto ją wysyłać do coraz to nowych specjalistów. Czułem, że wpadliśmy w jakąś pajęczą sieć lekarzy i że z tej matni już się nie wydostaniemy. Rachunki za wizyty i lekarstwa zaczęły dawać się nam we znaki. Ubezpieczenie Blue Cross i Blue Shield było dobre tylko w okresie, kiedy oboje byliśmy zdrowi. Podczas przewlekłej choroby i pobytu w szpitalach okazało się beznadziejne. Przy wypisywaniu z Lenox Hill Hospital wręczono nam dziewięć recept na lekarstwa, które miałem Zosi podawać w różnych porach dnia. Wiedząc, że w domu nie będzie można podłączyć jej kroplówki i ze względu na słaby apetyt i niechęć do picia w niedługim czasie może dojść do odwodnienia, pobiegłem natychmiast do apteki. Na połowę z tych lekarstw musiałem czekać kilka godzin, a suma do zapłacenia wyniosła ponad 1500 dolarów, czyli więcej niż oboje pobieraliśmy z naszego Social Security miesięcznie. Ugięły się pode mną nogi. Nasze oszczędności zaczęły topnieć jak kostki lodu wrzucone do szklanki z gorącą herbatą.

Już pod koniec drugiego miesiąca intensywnej chemioterapii, a na pewno w połowie trzeciego, organizm Zosi objawiał coraz większe odstępstwa od normalności. Przede wszystkim zaczęła wolniej kojarzyć, zapomniała w połowie zdania wątki albo imiona osób, o których mówiliśmy. Fizyczna niezdolność wychodzenia na spacer – nie mówiąc o pójściu po zakupy – coraz częściej była powodem jej irytacji. Po raz pierwszy zdarzyło się to, kiedy poszliśmy do laboratorium przy Greenpoint Avenue na pobranie krwi. Ponieważ trzeba było dość długo czekać, wysłała mnie do banku, by wpłacić pieniądze na konto. Mieliśmy się spotkać w połowie drogi, czyli na rogu Meserole Avenue i Eckford Street. Po wyjściu z banku, nim doszedłem do umówionego skrzyżowania, zadzwonił telefon. Zosia, niemal płacząc, wołała, że zdołała pokonać tylko jedną przecznicę i nie ma sił dojść do domu.

Pobiegłem co tchu, żeby ją spotkać. Siedziała na schodkach przed trzykondygnacyjnym budynkiem, a w oczach miała lęk. Powrót do domu odbył się w żółtym tempie, trzymała się kurczowo mojego ramienia i co jakiś czas szukaliśmy dogodnego miejsca, żeby mogła usiąść i odpocząć.

Ten przymusowy spacer zrobił na nas duże wrażenie. Oboje uświadomiliśmy sobie, że rozpoczęła się dla nas późna jesień i od tej pory taka bezradność będzie coraz częściej paraliżowała ambitne plany poczynione na ten tydzień i na wszystkie następne.

Nadszedł kwiecień. Podczas kolejnej wizyty u dr Kavalera dowiedzieliśmy się, że nowotwór w pęcherzu prawie zniknął. Po ostatniej wizycie chemioterapeutycznej będzie czas, by zrobić pełną ewaluację.

W drodze powrotnej postanowiliśmy wstąpić do naszego rodzinnego lekarza Romana Ostrowskiego. Przebadał nas dokładnie, zmierzył ciśnienie, ale głównym tematem rozmowy było oczywiście zdrowie Zosi i negatywne skutki chemioterapii, której on sam nie był najgorliwszym zwolennikiem. Twierdził, że usunięcie pęcherza jest co prawda radykalnym zabiegiem, ale najbardziej skutecznym w walce z nowotworem.

– Życia nie można przedłużać w nieskończoność – dodał. – Czasami jest lepiej umrzeć wcześniej, by nie wikłać się w nieprzewidziane konsekwencje i cierpienia, jakie może spowodować przewlekła choroba.

Jego uwagi były dość cierpkie i niezbyt sympatyczne dla nas, szczególnie dla Zosi, ale potraktowaliśmy je jako gorzkie lekarstwo, które może nam pomóc w końcowej fazie, gdy trzeba będzie podjąć jakieś ostateczne decyzje.

Trzeci i ostatni etap leczenia miał trwać tylko do końca kwietnia. W trakcie podawania Zosi kroplówek czytałem *Fabrykę Absolutu* Karela Čapka.

Książkę tę wyszabrowałem od jednego z kolegów podczas mojego pobytu w Warszawie, kiedy byłem tam stypendystą Fundacji Kościuszkowskiej. Przeleżała na półce przez wiele lat i teraz jako lektura niezobowiązująca dostała się do mojego plecaka. W sytuacji, w jakiej się obecnie znajdowałem, radykalny, wręcz absurdalny z perspektywy Kościoła katolickiego tytuł wydawał mi się jeszcze bardziej bezkompromisowy. Ale gdy spojrzałem na Zosię siedzącą w medycznym fotelu, ze spuszczoną głową i z igłą wepchniętą głęboko w żyłę w jej już i tak nadmiernie pokłutym ramieniu, radykalizm Čapka nagle przestał mnie razić.

Čapek jak każdy utalentowany pisarz predysponowany do reprezentowania swojego pokolenia posługiwał się parabolą i niczym złotousty prorok przepowiadał czasy, w których przypadło nam żyć.

Bohater jego opowieści inż. Rudy Marek przez 20 lat głowił się, jak wyprodukować tanią energię i stworzyć całkiem nowe druciki do żarówek. W końcu wymyślił nowy karburator, w którym dokonuje się pełne spalanie materii i równocześnie następuje produkcja Absolutu. Jego kolega ze studiów, G. H. Bondy, obecnie prezes założonej przez siebie spółki MEAS, kupuje od niego patent, by zająć się masową produkcją karburatorów zasilanych czymkolwiek, ale wytwarzających też boską materię.

W niedługim czasie następuje trzystuprocentowy wzrost produkcji na całym świecie. Zwiększa się produkcja miedzi, krzemu i żelaza, nawozów azotowych i opon. Nadmiar wszystkiego odstrasza ludzi od dóbr materialnych, ale nadmiar Absolutu powoduje, że ludzie jak owce lgną na powrót do religii. Z tygodnia na tydzień przybywa coraz więcej nowych kapliczek i kościołów, papież nie nadąża kanonizować nowych świętych. Wybuchają epidemie religijne, których cywilne państwo nie jest w stanie kontrolować. Lecą paździory z publicznie obnażonych ateistów. W powietrzu czuje się podmuch zstępujących z otwartych przestworzy hufców anielskich.

Moja religijność została w tym momencie mocno zadraśnięta, i to ze względu na stan zdrowia Zosi. Jeśli bowiem uzna się, że przenośnia Karela Čapka o nadprodukcji rzeczy łącznie z Absolutem jest sensowna, to jakież to problem dla tegoż Absolutu polepszyć stan zdrowia ludzi chorych na raka, znajdujących się teraz w szpitalach, kuśtykających na kulach albo paradujących po ulicach w wózkach na baterie?

Boże kochany, to przecież jedno wielkie małe chcenie dla Absolutu, które w najgorszej sytuacji nie kosztowałoby więcej niż jeden cent, a gdyby się okazało, że tych konających na raka jest więcej po domach, więc nieobję-

tych jeszcze statystyką, najwyżej półtora centa! Czy to tak dużo na sakiewkę znanego bilionera, który dla zwykłej uciechy oglądania puszcza codziennie w ruch tysiące, miliony galaktyk, gasi i zapala złote dolarówki słońc, wysypuje z rękawa trylion srebrnych księżyców podobnych do amerykańskich ćwierćdolarówek.

Jako istoty sezonowe, na jeden czy dwa kwartały doczesności, nie mamy się czym przed Bogiem chwalić. Mimo że staraliśmy się w życiu być skromni i pomagaliśmy innym, pies kulawy nie czepiał się naszych ręcznie pranych koszul. Przebaczyliśmy wrogom, którzy dławili się kamieniami wycelowanymi w nasze okna. Czemu więc teraz, gdy dni robią się coraz krótsze, a podziurawiona jak sito pamięć szwankuje, Bóg rozprzestrzenia nad naszymi głowami mroki, dręczy ciała i tak na wpół żywe?

W dawnych czasach mnisi dopiero po dziewięćdziesiątce układali się do snu w trumnach, by przed ranną modlitwą nie trudzić innych zsypaniem ich prochów do urny. Zosia swoją osiemdziesiątą trzecią wiosnę obchodziła dopiero co – 7 kwietnia, a w genach po matce ma depozyt, by dożyć przynajmniej do dziewięćdziesiątki. Jej odporność na dolegliwości ciała wprawdzie osłabła, a dawna asertywność powoli zmieniała się w wadę i przekorę typową dla geriatrycznej populacji, ale woli życia jest w niej jeszcze dużo. Czemu więc Boże Ojczye spieszysz się z jej przedwczesnym odejściem?

Wejście Ms. Alice zbudziło mnie z drzemki, przypuszczam, dość długiej i na pewno męczącej, bo zabrało mi parę sekund, nim zorientowałem się, gdzie jestem. Lewą ręką trzymałem kurczowo książkę Čapka. Widocznie zmęczony udużnioną fabułą wołałem droczyć się z Absolutem, niż śledzić, co się wydarzy na kolejnych stronach.

Wracając do domu taksówką, próbowałem Zosi opowiedzieć, jak się droczyłem we śnie z Absolutem o jej dłuższe życie. Uśmiechając się delikatnie jak przez mgłę, powiedziała:

– Nie musisz się droczyć. Moja mama żyła 98 lat. Myślę, że sama sobie poradę.

\*

Wyniki badań po trzech miesiącach chemioterapii były typowym niejednoznacznym sofizmatem medycznego pocieszenia. Werdykt brzmiał: wnętrze pęcherza jest czyste, wygląda, że nowotwór się wycofał. Po miesiącu dowiemy się, czy wycofał się na dobre, czy tylko wsiąkł w błonę i mięśnie pęcherza. Jeśli okaże się, że kryje się w tkance mięśni, będzie wskazane usunięcie pęcherza. Na razie należy cieszyć się życiem, dużo wypoczywać i dbać o siebie.

Opuszczając gabinet dr Kavalera w czwartek 30 kwietnia, nie mieliśmy zbyt wielu powodów do radości. Uderzyło mnie zdanie: „na razie należy cieszyć się życiem”. Ale jak mogłem się nim cieszyć bez wtulania się w ciało żony? Albo zasnąć w spokoju, gdy robak egzystencjalnej niepewności panoszył się w głowie? To zdanie wypowiedziane przez lekarzkę sugerowało, że mamy się jednak przygotowywać na najgorsze. Już wiedziałem, że jeśli część tej samej całości zostanie naruszona, reszta także będzie czekać na rychłe konanie. Pozostawało nie myśleć, nie zastanawiać się.

Nie próbowałem też prowokować Zosi do głośnej refleksji, bo czułem przez skórę, że ocieramy się myślami bez krztyny delikatności. Namotanego kłęбка emocji, którego twarde jądro stanowiły maleńkie odległości od zdarzenia do zdarzenia, gromadzone w ciągu prawie 50 lat życia, nie będzie łatwo rozpe-

tlić. Komuś z nas będzie musiał wyrwać się z piersi krzyk bez znieczulenia, podobny do ryku zarzynanego wołu.

Następne dwa miesiące upłynęły nam na drobnych robótkach przy domu. Nie ulegliśmy namowom syna, by pojechać na trzy tygodnie do Meksyku i tam wypluskać się wodzie i wygrzać w słońcu. Nie byliśmy pewni, czy po intensywnej chemioterapii Zosia wytrzyma lot samolotem. A zresztą – doszliśmy do wniosku – w momentach bytowego zagrożenia, najprzyjemniejsze są kąty, które się dobrze zna.

Nie ma potrzeby wyliczać czynności, które jak pacierz powtarzały się w naszym życiu każdego dnia. Wspomnę te, które były przedmiotem specjalnej troski Zosi. Po przebudzeniu dbała, by Fifi – jej ulubiona psina – nie nasiusiła na podłogę. Trzy deski przy drzwiach już się lekko wygarbiły, zraszane jej siuszkami. To narzucało na mnie obowiązek wychodzenia z nią każdego poranka na spacer. Zależnie od pogody i mniej czy bardziej rozregulowanego żołądka Fifi spacerowałem dookoła bloku z plastikową torebką. Po powrocie Fifka biegła do Zosi po pieszczoty i na poranne umizgi.

Mylem ręce i zabierałem się do robienia śniadania: kasza manna na mleku z odrobiną miodu, kawa, jajecznica i bajgiel z Lunch Boxu, albo twaróg z bagietką i herbatą. Dodawałem owoce – winogrona, truskawki lub maliny. Z naszego ogródka przynosiłem rzodkiewki, i wczesne, jeszcze nie całkiem czerwone poziomki. Te ostatnie odkładaliśmy dla wnucząt: Chloe i Łukasza.

Poranne wiadomości czerpaliśmy z „New York Post” i „Wall Street Journal”, które dostarczano nam do domu. Zaprenumerowaliśmy dwa tytuły, gdyż lektura jednego powodowała drobne niesnaski przy wymianie przeczytanych stron.

Robiło się coraz cieplej. Któregoś dnia Zosia sprowadziła specjalistę od drzewek owocowych. Martwiła się, czemu nasza czteroletnia jabłonka przestała rodzić. Nic o tym jej pomysłu nie wiedziałem, ale z przyjemnością słuchałem niewątpliwie świetnie wykształconego ogrodnika. Wyjaśnił nam, że do ogródka nie przylatują pszczoły i w tym leży cały problem. Nasz ogród otaczają wysokie budynki, a w pobliżu nie ma innych drzew owocowych. Kwiatów jabłonki nie ma więc kto zapylić i dlatego przestała rodzić. To proste wyjaśnienie napełniło mnie dziwnym smutkiem...

Moim kolejnym zadaniem stało się więc wykarczowanie czteroletniego drzewka. Zabrałem się do tego leniwie, bo musiałem pomyśleć, jak to zrobić, by nie uszkodzić skrzywionego kręgosłupa. Pół godziny przed wzięciem w dłoń narzędzi zostawiałem pod jabłonką lekko niedokręcony szlauch, a cieknąca z niego woda zmiękczała ziemię. Zaczynałem od dziubania kilofem, potem wygarniałem szpadlem grudy. Drugiego dnia nadziałem się na korzenie, które trzeba było ponacinać piłą elektryczną. Kiedyś obito mi się o uszy, że korzenie drzew sięgają mniej więcej tak głęboko, jak wysoko sięga korona. Trochę mnie to zmartwiło, bo obrys korony miał już ponad cztery metry. Pod koniec tygodnia wywlokłem nieplodne drzewko z korzeniami.

Było mi tego zielonego stworzenia szkoda. Kupiliśmy je w Home Depot cztery lata temu jako sadzonkę drzewka McIntosh, z doczepionym do gałązki obrazkiem czerwonych i lśniących jabłuszek. Myślałem wtedy, że na stare lata będziemy mieli za oknem własną rajską jabłonkę, pod którą wnukom Chloe i Łukaszkowi będziemy opowiadać bajki o podstępnych wilku i małej Małgosi, niosącej koszyczek z kolacją dla chorej babci, i o srogim archaniele z mieczem, który pierwszych rodziców, czyli babcię i dziadka, wyprosił z Raju.

*Tadeusz Chabrowski*

HENRYK J. KOZAK

## *Ogólnie o Józku K.*

Nie ma już czasu czyta tylko  
Krótkie powieści  
Nie ma też  
Planów

Nie zaprzyjaźnia się nawet  
Z balkonowymi ptakami  
Godzinami przesiaduje  
W Ogrodzie Botanicznym  
Obserwuje  
Zastanawia się kto ma rację  
Darwin czy kreacjoniści  
Chociaż wie że to już rozstrzygnięte  
Dawno i bez jego  
Udziału

Wolałby pewnie przesiadywać  
W ogrodach Madrytu  
Czy Barcelony  
Albo z wysokiego brzegu  
Patrząc na Bajkał  
Ale Botanik jest blisko  
I nic nie kosztuje

Był tam i tu wie  
Że tam i tu  
Już nie będzie  
Nie odwiedzi też wielu  
Szkolnych przyjaciół  
A oni jego

Jest niby u siebie ale  
Jest też emigrantem  
I imigrantem

Jest też obywatelem  
Lecz nie drugiej  
Kategorii  
Jest sklasyfikowany trochę niżej  
Ale jeszcze łapie się  
Na podium

Ogólnie rzecz ujmując to  
Nie ma już czasu na starania  
O status  
Czy uznanie

Zresztą dobrze mu z tym  
Na szczęście

## *Tacy piękni młodzi*

Nieprawdopodobne mówię szczerze jestem bogaty  
Zdrowy  
I jak nigdy dotąd  
Szczęśliwy  
I wolny

Mogą to poświadczyć pieczęcią  
Wójt z Podlasia  
Starosta biański  
Prezydent miasta ale też  
Policja  
Sąsiadka z najwyższego piętra  
I Grzegorz M. z Białej Podlaskiej

Żyję więc z ochotą  
I zachłannie

Mam starych zgorzkniałych przyjaciół z którymi  
Zdarza mi się pić do rana  
Nawet z tymi  
Którzy bez naszej zgody  
Wypięli się na nas  
I poumierali

Niektórych mógłbym zastąpić  
Ale wtedy nie było to możliwe  
Bez zgody pewnego pana  
I się nie udało  
Chociaż tak naprawdę  
To nawet nie próbowałem

Tacy byli młodzi śliczni  
Dużo jeszcze chcieli  
I ciągle zadziwieni  
A świat był wówczas ogromny  
A oni tacy mali  
I tak mało mieli

Widujemy się czasami  
Na placu Litewskim

Spotykamy w teatrze  
Bibliotece  
Czy galerii  
Dwa razy w roku  
Jeżdżę też w okolice Ludwina  
Do cerkwi

Nie ukrywam  
Także pragnę  
Żeby o mnie pamiętali

## *Elektrolity*

Z przeszłością lecz  
Już bez przyszłości  
Pieniędzy  
I przyjaciół  
Szczęśliwie jednak zakwalifikowany  
Przez Opatrzność i Naturę  
Do klanu długowiecznych  
Za karę  
I w nagrodę jednocześnie  
Doposażony obficie  
W dobre geny  
Przez Matkę  
Z piątku na sobotę  
Uzupełnia elektrolity

Pobudza  
Zmęczone serce  
Kurczący się mózg

Potrzuje ich  
Jak płuca  
Leśnego czy łąkowego  
Powietrza  
Oczy nieograniczonej płotem przestrzeni  
A krew  
Fizycznej miłości

Odpoczywa w niedzielę

Na mszy  
Modli się za bliźnich wrogów  
I martwi się że wszystkich  
Przeżył chociaż  
Jest przekonany że zasłużenie  
Pod wieczór idzie na długi spacer do Botanika

Albo na Czechowskie Górki  
Psa nie ma  
Towarzyszy mu alter ego tylko  
O pięćdziesiąt lat młodsze

## *Wiersz pacyfistyczny*

Martwię się panie ministrze generale  
Że nie dam rady dźwigać  
Karabinu  
Gdy pańscy ludzie  
Powołają mnie pod broń

Dręczy mnie myśl  
Że nie zdołam trafić granatem w czołg  
I nie wyskoczę z samolotu nawet jeśli  
Rozpościerać się będzie pode mną moja  
Kwiecista  
Polska łąka

Do tego  
Ja chyba już nie chcę  
Tonąć w błocie  
I umierać ze strachu  
Z bólu i rozpacz  
W okopie  
Jak mój dziad ojciec i wuj

Ja już nawet nie umiem  
Rozpoznać wroga  
Bo po czym  
Kolorze skóry  
Czy oczu

Za miedzą żyje mój najlepszy przyjaciel  
A trochę dalej za rzeką  
Mam wśród obcych  
Sad  
I dom

Boję się panie generale że nie weźmie pan pod uwagę  
Moich argumentów  
I lęków  
I że każe pan wpisać w odpowiednią rubrykę  
Obserwować tchórz



# Topola

W lutym 1953 roku  
Gdy wracałem ze szkoły  
Przez pola w zawiei  
Pogryzł mnie głodny  
Wściekły pies  
Nazajutrz  
Ojciec zabił go i zakopał za stodołą  
Pod topolą

Wyrosła wyjątkowo dorodna  
Strzelista  
Może dlatego  
Prędko zasiedliła ją jemiola  
I zadziwiająco że wciąż pnie się ku niebu gdy po dwóch jej siostrach  
Nie ma już śladu  
Roztrzaskały je czerwcowe pioruny  
I spłonęły w chlebowym piecu

W dziupli zadamowił się dzięcioł czarny  
A na wierzchołku od lat kilkudziesięciu  
Budują gniazdo sroki  
Zimą żywi owocami jemioly stada ptaków  
Z żółtymi brzuskami i czubami na głowie  
I sikory owadami latem  
A puchem moszczą swoje gniazda  
Podwórkowe wróble i szpaki

W wakacje często  
Siadam pod nią na stołeczku ojca  
I już bez strachu  
Wypalam na cześć młodości  
Papierosa

Henryk J. Kozak

---

## Książki nadesłane

**Wydawnictwo Znak**, Kraków 2016

Jerzy Jarniewicz: *All you need is Love. Sceny z życia kontrkultury*. Ss. 335.

Emily Dickinson: *Wiersze wybrane*. Przekład Stanisław Barańczak. 2016, ss. 285.

**Towarzystwo Przyjaciół Sopotu**, Sopot 2016

Biblioteka „Toposu”, t. 131, 132, 133

Dorota Filipczak: *Wieloświat*. Poezja. Ss. 39.

Teresa Tomsia: *Kobieta w kaplicy*. Poezja. Ss. 71.

Stefan Wadzyński: *Ślady, kroki*. Poezja. Ss. 42.

---

PIOTR ŁOPUSZAŃSKI

## Życie dla ideału

Zenon Przesmycki (Miriam)

Zenon Przesmycki jest obecnie człowiekiem mało znanym. Sto lat temu odgrywał niebagatelną rolę jako redaktor pism literackich: „Życia” i słynnej „Chimery”, a po pierwszej wojnie jako minister kultury, wreszcie – akademik literatury. Dziś w Warszawie, gdzie chodził do gimnazjum i studiował prawo na rosyjskim uniwersytecie, nie ma nawet ulicy swego imienia.

Już w okresie międzywojennym nowe pokolenie literackie odrzuciło estetykę promowaną przez Miriam-Przesmyckiego. Co więcej: starało się go ośmieszać. Gdy na łamach „Wiadomości Literackich” Antoni Słonimski zaczął drukować swoje *Kroniki tygodniowe*, od samego początku Miriam stał się obiektem jego niewybrednych ataków.

Słonimski zarzucał dawnemu redaktorowi „Chimery”, że nie ogłasza zapowiadanych jeszcze przed pierwszą wojną światową dzieł Cypriana Kamila Norwida. Kpił z namaszczonej powagi Przesmyckiego, jego łysiny, a nawet pseudonimu. Już w pierwszej kronice ironizował: *Miriam, który od kilkunastu lat nie może wydać cudzego tomu poezji, wykwita co pewien czas, aby przybrany w cylinder (...), sięgnąć po jakieś zaszczytne stanowisko lub tekę ministerialną. Ten mężczyzna o kobiecym imieniu nie może być nawet spensjonowany, bo – jak fama głosi – ma już pensję ośmioklasową*<sup>1</sup>. Dodajmy, że właścicielką pensji była raczej żona Miriama – Aniela.

Dwadzieścia lat wcześniej taki atak byłby niemożliwy. Przesmycki, potomek szlacheckiej rodziny z Podlasia pieczętującej się herbem Paprzyca, był niezwykle szanowany i ceniony jako krytyk, odkrywca Norwida, znawca literatury i kultury, tłumacz poezji francuskiej, łowca talentów i promotor wielu artystów (m.in. Leopolda Staffa, Bolesława Leśmiana, Marii Komornickiej, Bronisławy Ostrowskiej, Adama Półtawskiego, Edwarda Okunia).

Jeszcze młodzi Julian Tuwim z Antonim Słonimskim w okresie studiów odwiedzili Przesmyckiego z prośbą o zgodę na publikację jego tłumaczenia *Statku pijanego* Rimbauda w studenckim piśmie „Pro Arte”. To właśnie ten przekład zafascynował Tuwima, który elementy futurystyczne swych wierszy i rewolucyjność obrazowania zaczerpnął od Walta Whitmana i – za pośrednictwem Miriama – Arthura Rimbauda. Także tytuł studenckiego periodyku nawiązywał do tytułu zbioru pism Przesmyckiego.

Edward Kozikowski, sekretarz Związku Zawodowego Literatów Polskich, był pod wrażeniem wiedzy Przesmyckiego o zawiłościach prawa autorskiego. Stefan Żeromski, który specjalnie dla „Chimery” napisał *Powieść o udatym Walgierzu*, Miriama uwielbiał i podziwiał jego czytanie. Chciał nawet nazwać imieniem Przesmyckiego projektowaną przez siebie Akademię Literatury Polskiej.

Młodsze pokolenie pokpiwało z pozy Miriama, jego powagi i tego, jak celebrował własną osobę. Hanna Mortkowicz-Olczakowa szydziła z Przesmyckiego, że podczas dyskusji na temat estetyki odkleił mu się tupecik.

<sup>1</sup> A. Słonimski: *Kronika tygodniowa nr 1*, „Wiadomości Literackie” 1927, nr 24 (z 12 czerwca); przedr. tegoż: *Kroniki tygodniowe 1927-1931*. Łomianki 2001, s. 3.

Podobno był to temat niewybrednych żartów Żeromskiego. Klóci się to jednak z relacją Jana Lechonia, który twierdził, że Stefan Żeromski Miriamą *uwielbiał ponad istotną, zresztą naprawdę istotną wartość*, być może zauroczony jego „wspaniałą pozą”<sup>2</sup>.

W 1929 roku Słonimski znów wziął na cel dawnego redaktora „Chimery”: *Miriam wdzięcznie zasnęła, a sen ma twardy, choć zdawać by się mogło, że się już wyspała przez szesnaście lat drzemki nad jednym arkuszem „przypisków” do Norwida. Czas już, aby do misternego (na głowie) przedziału sennej Miriam wtargnął jakiś celnik i odebrał zatłamszone bezkarnie, zamarynowane, ukryte przed czytelnikiem wiersze Norwida*<sup>3</sup>.

Kim był bohater tych ataków? Czy zasłużył na publiczne lżenie, czy na zaszczyty? Na prowokacyjne słowa Słonimskiego nie odpowiadał. Na stroniczne wspomnienia Mortkowicz-Olczakowej nie mógł odpowiedzieć, bo gdy je pisała, już nie żył. Warto przypomnieć postać redaktora „Chimery” choćby z tego powodu, że jego współpracownikami, a następnie przyjaciółmi, byli poeci i pisarze wielkiej rangi: Leopold Staff, Bolesław Leśmian, Jan Lemański, Edward Porębowicz, Jan Lorentowicz, Antoni Lange i Stanisław Przybyszewski ze swą żoną Dagny.

Przesmycki urodził się w Radzynie Podlaskim w 1861 roku. Ojciec przyszłego redaktora, zamożny ziemianin, posiadał na Podlasiu majątek, matka natomiast, Maria z Przanowskich, pochodziła ze szlachty lubelskiej. Zenon korzystał z zasobów rodziny, kształcąc się, a następnie oddając pasjom kolekcjonerskiej i redaktorskiej.

Dorastał w atmosferze rozpamiętywania klęski powstania styczniowego. To wtedy pozytywiści rzucili hasło pracy u podstaw i wzywali do porzucenia mrzonek niepodległościowych.

Przesmycki ukończył IV Gimnazjum w Warszawie, które mieściło się przy Alejach Ujazdowskich. Już w młodości był czytany dzięki zasobnej bibliotece w domu rodzinnym. Inteligent w pełnym tego słowa znaczeniu. Dla niego – jak dla Anatola France’a – obcowanie z książką było czymś oczywistym, koniecznym, stanowiło treść życia. Znał języki obce i dość wcześnie zajął się tłumaczeniem literatury francuskiej. Cenił poetów niezwykłych, o ciekawym życiorysie i wykwintnej strofie. Tłumaczył symbolistów, m.in. Charles’a Baudelaire’a, Arthura Rimbauda, Maurice’a Maeterlincka. Na uniwersytecie działał w Kółku Słowiańskim – wtedy właśnie zainteresował się literaturą czeską.

Studując na rosyjskim Uniwersytecie Warszawskim, napisał pracę dyplomową z zakresu prawa międzynarodowego, za którą otrzymał złoty medal. Przed Przesmyckim otwierała się zatem możliwość zrobienia prawniczej kariery w państwie cara. Odrzucił tę szansę i zajął się... pisaniem wierszy, tłumaczeniami i poszerzaniem horyzontów umysłowych.

W 1884 roku ogłosił swoje utwory liryczne we wspólnym wydawnictwie *Z chwil wolnych* (opublikowanym nakładem czterech autorów, dziś – oprócz Miriamy – całkiem zapomnianych). Rok później w Grodnie ukazała się jednodniówka, na łamach której młody poeta wystąpił obok pisarzy uznanych: Elizy Orzeszkowej, Bolesława Prusa, Marii Konopnickiej, Wiktora Gomulickiego i Józefa Kraszewskiego. W 1893 roku w tomie *Z czary młodości. Liryczny pamiętnik duszy 1881-1891* zamieścił m.in. dekadenccki wiersz *W co wierzyć?*, w którym znalazło się niefortunne zdanie: „Wszystko zbrzygane rozczarowań kalem”. Wkrótce uznał, że wybitnym poetą nie będzie, więc poświęcił się tłumaczeniom i propagowaniu wielkiej literatury światowej.

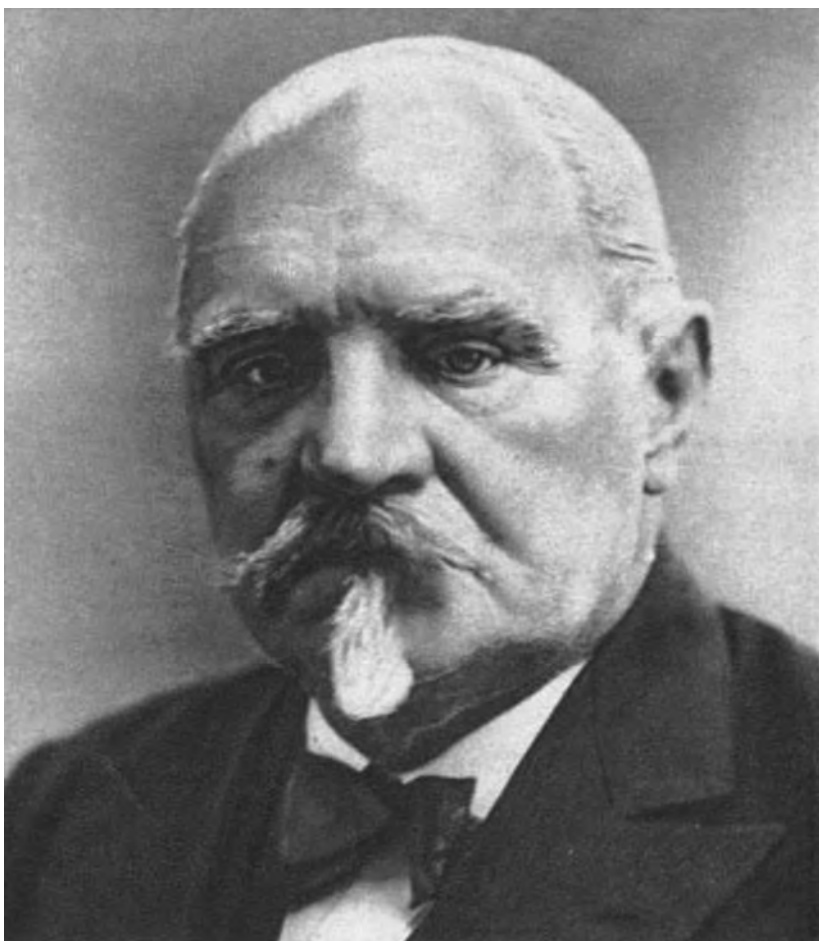
Publikował w „Kurierze Codziennym”, pisywał noty o pisarzach dla „Wiadomości Bibliograficznych”, a w „Tygodniku Mów i Powieści” zamieścił prze-

<sup>2</sup> J. Lechoń: *Serce Ojczyzny* (w:) tegoż: *Portrety ludzi i zdarzeń*. Warszawa 1999, s. 174.

<sup>3</sup> A. Słonimski: *Kronika tygodniowa* nr 56. „Wiadomości Literackie” 1929, nr 42 (z 20 października); przedr. tegoż: *Kroniki tygodniowe 1927-1931*, dz. cyt., s. 149.

kład czeskiego opowiadania *Pan nauczyciel*. Współpracował z popularnymi w owym czasie pismami: „Bluszczem”, „Kłosami” i „Krajem”. Wreszcie – od stycznia 1887 roku – został redaktorem naczelnym warszawskiego tygodnika „Życie”. Miał wtedy 25 lat. Nazwa owego pisma to jedno ze słów kluczowych okresu Młodej Polski. Miriam, redagując od 1887 roku „Życie”, rozpoczął nową epokę w naszej literaturze. I chociaż pozytywizm miał się jeszcze dobrze, nadal trzymając „rząd dusz” – w najlepszej formie był Henryk Sienkiewicz, który właśnie kończył *Pana Wołodyjowskiego*, a był przed *Rodziną Połanieckich* i *Quo vadis?*; Prus dopiero od września drukował w odcinkach *Lalkę*, najważniejszą powieść XIX stulecia; pisały Eliza Orzeszkowa i Maria Konopnicka – to Miriam, Antoni Lange, a w Krakowie Kazimierz Przerwa-Tetmajer zaczęli uprawiać poezję w nowym duchu: początkowo ogarnięci młodzieńczym pesymizmem tworzyli dekadentkie wiersze i poematy, następnie upodobali sobie symbolizm i nieokreślone aluzje odnoszące się do absolutu. Dla Miriama takim absolutem była sztuka. To on na łamach „Życia” powoli odchodził od literatury zaangażowanej społecznie w stronę „sztuki dla sztuki”. Wyprzedził w tym o blisko 10 lat Stanisława Przybyszewskiego.

Jako redaktor „Życia” Przesmycki podkreślał jeszcze narodowy charakter literatury. Sztuka miała doskonalić moralnie i dawać odbiorcom zadowolenie, a nawet szczęście. Wydawał w tym czasie „Biblioteczkę »Życia«”, w której ukazały się przekłady utworów Percy’ego Bysshe Shelleya, Heinricha Heinego i *Antologia prowansalska* Edwarda Porębowicza.



Zenon Przesmycki (Miriam)

Samemu redaktorowi działalność pisma przyniosła raczej kłopoty. Użerał się z rosyjską cenzurą, która skreślała co mocniejsze sformułowania. Carscy urzędnicy nie przepuścili nawet zupełnie niewinnym notom. Gdy władzom nie spodobała się krytyka przedstawienia cyrkowego, wydawcy „Życia” zostali ukarani grzywną 2000 rubli. Zgnębiony warunkami panującymi w Warszawie Przesmycki wyjechał do Wiednia i Paryża, gdzie podjął studia filozoficzne. Czytał wszystko, co było ważne w literaturze zachodniej – zarówno dzieła z zakresu filozofii, jak też szeroko pojętej kultury, literatury i sztuki. Znał najnowsze pisma literacko-artystyczne ukazujące się we Francji i w Austrii.

W latach 90. XIX wieku głównym obszarem jego działalności były przekłady. Tłumaczył Arthura Rimbauda, Paula Verlaine’a, literaturę czeską. Eseje z tomu *Harmonie i dysonanse*, w których bez ogródek wypowiadał się na temat polskiej literatury, krytyki i prasy, nie spodobały się wielu pisarzom i krytykom. Bo Miriam ostro mówił, co myśli. Nie owijał w bawełnę, nie liczył się z tym, że narusza ustalone reguły, interesy, stosunki. Nie bał się włożyć kija w mrowisko.

Studia filozoficzne sprawiły, że zainteresował się filozofią romantyzmu i odkrył niemal zupełnie zapomnianego polskiego myśliciela Józefa Hoene-Wrońskiego, z którym był powiązany rodzinnie przez małżeństwo z Anielą Hoene.

Rozpoczął wojaże po kraju i niemal całej Europie w poszukiwaniu rękopisów filozofa. Pragnął nawet napisać książkę o Wrońskim, ale nie zrealizował tego zamiaru. Powrócił do kraju pod koniec stulecia z kufrem rękopisów filozoficznych i... nagle odłożył sprawę wydania pism Wrońskiego na później, a z dużą energią zabrał się do stworzenia w Warszawie czasopisma dla elity artystycznej. Dość szybko zebrał grono wybitnych współpracowników (m.in. Wacława Berenta, Leopolda Staffa, Bolesława Leśmiana i Marię Komornicką). Z pismem współpracowali wspaniali artyści: Józef Mehoffer, Franciszek Siedlecki, Stanisław Wyspiański, Edward Okuń, Jan Stanisławski oraz krewny Miriam – Adam Półtawski. W „Chimerze” prezentowano utwory znakomitych pisarzy i poetów obcych, którzy nie byli znani nad Wisłą – artystów elitarnych, oryginalnych, jak choćby autor *Na wspanak* Joris-Karl Huysmans, Christian Dietrich Grabbe, a z twórców polskich np. Stanisław Przybyszewski czy Tadeusz Miciński.

„Chimera” w eleganckiej szacie graficznej przynosiła utwory najwybitniejszych ludzi pióra początku XX wieku: Władysława Reymonta, Stefana Żeromskiego, Leopolda Staffa, Bolesława Leśmiana, Bronisławy Ostrowskiej, Wacława Berenta, Edwarda Porębowicza. Niemal cała poezja młodopolska znalazła tu swą trybunę. Przypominano Norwida, a z autorów zachodnich – Fryderyka Nietzschego, Josepha Conrada. Miriam zamieszczał też reprodukcje prac Albrechta Dürera, Gustawa Moreau, Arnolda Böcklina, miedziorytów Giovanniego Batisty Piranesiego, akwafort Maxa Klingera.

Jak pisał Adam Wallis, Miriam pozostawał pod wpływem idei Johna Ruskina i Williama Morrisa. W artykułach *Walka ze sztuką* i *Los geniuszów* przedstawił program pisma. Opowiadał się za sztukę symboliczną, która wyzwalać miała odczucia duchowe, metafizyczne i niemal religijne. Twierdził, że literatura popularna nie jest sztuką. Tępił autorów za schlebianie gustom „tłumu”. Polemizował też z pozytywistami, którzy zaprzęgli wartości estetyczne do promowania idei postępu, pracy u podstaw. Jak pisał, prawdziwa sztuka, rozumiała tylko dla „arystokracji ducha”, odnosi się do wieczności, a nie spraw codziennych. To Miriam wpłynął na kształtowanie się talentu Bolesława Leśmiana – był dla młodego poety autorytetem, z którym przyszły autor *Sadu rozstajnego* niezwykle się liczył, któremu zwierzał się ze swych literackich planów i z którym do końca życia się przyjaźnił.

Redakcja „Chimery” mieściła się początkowo przy ul. Książęcej 7. Tego budynku już nie ma. Następny adres – od połowy 1902 roku – to Nowy

Świat 22. Tu siedziba pisma znajdowała się najdłużej. W redakcji „Chimery” odbywały się frapujące dyskusje o sztuce, prezentowano wystawy malarstwa (m.in. sztukę japońską ze zbiorów Feliksa Jasińskiego). Przesmycki słynął jako świetny gawędziarz. Może dlatego sam niewiele pisał. Po dyskusji zapraszał kolegów na biesiady, zakrapiane wykwintnymi winami, których był smakozsem i znawcą. Uwielbiał takie spotkania połączone z dyskusjami o sztuce – trwały one nieraz do białego rana.

Nieoficjalną siedzibą redakcji była słynna kawiarnia, a raczej mleczarnia „Udziałowa”, miejsce spotkań warszawskiej bohemy. Lokal mieścił się na rogu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich – tam, gdzie dziś znajduje się jeden z empików. Bywali tu postawny Franciszek Fiszer i malutki Bolesław Leśmian. Wpadali Reymont i Miciński, który szokował słuchaczy opowieściami, że nago chadza po górach. Z Krakowa przyjeżdżał Kazimierz Przerwa-Tetmajer. Stefan Żeromski poznał tu swą późną miłość, Annę Zawadzką, uczennicę warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych. W „Udziałowej” przesiadywali Jan Le-mański i Jan Lorentowicz. Miriama nie widywano. Był w redakcji albo w drukarni, doglądając staranności druku i robiąc korekty, albo też odpoczywał na łonie natury w swej „Samotni” w Chyliczkach pod Warszawą.

„Chimera” miała być początkowo miesięcznikiem. Po roku zaczęły się kłopoty i wyszło tylko 6 numerów. Później pismo ukazywało się coraz rzadziej (za to po kilka numerów w jednym obszerniejszym zeszytce). W sumie w latach 1901-1908 (ostatni zeszyt wyszedł w 1908 roku, a nie – jak widnieje na okładce – w roku 1907) opublikowano 30 zeszytów. W latach 1903 i 1907 „Chimera” nie wychodziła. Jaki był nakład? Janusz Sowiński w *Sztuce typograficznej Młodej Polski* podawał, że wynosił 2900 egzemplarzy, co wydaje się liczbą nieco zawyżoną. Autorka monografii o Przesmyckim Grażyna Legutko i pisząca o „Chimerze” Anna Szczepańska twierdzą, że było to ok. 600 zwykłych egzemplarzy i dodatkowo 20 wtywnych. Wiadomo, że pismo nie zawsze zdobywało nabywców. Paki z niesprzedanymi tomami leżały w redakcji, a potem w mieszkaniu Miriama.

Za wydawanie „Chimery” hołd składali Przesmyckiemu krytycy, pisarze, redaktorzy innych pism, którzy wręcz dopraszali się o egzemplarze. Miriam jednak rzadko dawał „Chimerę” kolegom z innych redakcji, uważając, że mogą ją kupić. Natomiast z przyjemnością obdarowywał poetów i pisarzy: Micińskiego, Staffa, Leśmiana, Żeromskiego, Berenta.

„Chimera” była pismem wyjątkowym: bogata, elitarna, o wspaniałej szacie graficznej, którą tworzyli Józef Mehoffer, Edward Okuń i Franiczek Siedlecki. Układ typograficzny zaprojektował Adam Półtawski, zostawiając obszerne marginesy i miejsca na zdobne inicjały. Przesmycki żądał od drukarzy dokładnego realizowania poleceń. Słyszał wtedy od fachowców: „nie da się”. Gdy pokazywał, jak mają zrobić odbitki, i czuwał nad starannością wykonania, okazywało się, że jednak „da się”. Stary Anczyc przekonywał Miriam, że ma za duże wymagania. Przesmycki odpisał: *Nie są to żadne cuda ani arcydzieła, tylko elementarna, pospolita, najzwyczajniejsza schludność w robocie drukarskiej.*

Gdy bierze się do ręki egzemplarze „Chimery”, odczuwa się przyjemność z dotyku świetnego papieru wytwarzanego dla Miriama w fabryce „Pilica”, można podziwiać piękny krój czcionek, bogato zdobione karty tytułowe, inicjały i ilustracje. Takiej przyjemności nie daje oglądanie skanów (pismo Miriama zostało zdigitalizowane).

„Chimera” wydawana była z myślą o najbardziej kulturalnej części społeczeństwa. Wzorem „Życia” Miriam ogłaszał co celniejsze utwory w osobnych tomach. W „Bibliotece »Chimery«” opublikowano teksty Hugo von Hofmannsthal, Juliusza Zeyera, Stefana Żeromskiego i japońską bajkę Władysława Reymonta. Ukazały się też *Dusza dostojna* Fryderyka Nietzschego, *Krucjata dziecięca* Marcela Schwoba i *Biesy* Marii Komornickiej.

Grażyna Legutko podkreślała „zadziwiająco spójny światopogląd estetyczny Miriamą”<sup>4</sup>, który odrzucał młodopolski pesymizm, przeciwstawiając mu wiarę w ideały, żądał autonomii sztuki, a nawet jej prymatu nad innymi dziedzinami życia.

Przesmycki do swej chimery o piśmie dla ludzi kulturalnych dokładał z własnej kieszeni. Był to heroizm człowieka pragnącego podnieść poziom estetyczny warstw najwyższych, inteligencji, ludzi sztuki, którzy do tamtego czasu tkwili w wąskim kręgu spraw polskich, a nawet lokalnych, często nie mając pojęcia o nowych prądach literackich i artystycznych na świecie.

Od swoich współpracowników wyjeżdżających za granicę Miriam żądał nadsyłania korespondencji, a przynajmniej wiadomości listownych o nowych ważnych książkach i wystawach malarstwa. Sam też urządzał w redakcji wystawy sztuki (drzeworytu japońskiego ze zbiorów Feliksa Jasińskiego, dzieł impresjonistów).

Od początku istnienia pisma los nie był dla niego łaskawy. W budynku „Chimery” w kwietniu 1901 roku popełnił samobójstwo sekretarz redakcji Stanisław Korab-Brzozowski, zakochany w Dagny Przybyszewskiej, żonie autora *Synagogi szatana*. Ona sama zginęła w maju, zamordowana przez innego kochanka, Władysława Emeryka. Tak oto mścił się satanizm, opiewany przez zaprzyjaźnionego z Miriamem Przybyszewskiego. Wkrótce sam Przybyszewski, uwikłany w kilka romansów jednocześnie, w tym z żoną Jana Kasprowicza, przestał pisać do „Chimery”. Druk powieści *Synowie ziemi* urwał się nagle. Oburzony Miriam zerwał stosunki z „Przybyszem”.

Rok później w tajemniczych okolicznościach zmarła współpracująca z „Chimerą” Kazimiera Zawistowska. Obie nieprzeciętne kobiety – Przybyszewską i Zawistowską – uczczono w 9. numerze „Chimery”. Parę lat później na chorobę psychiczną zapadła była żona drugiego sekretarza redakcji, Jana Lemańskiego – zdolna poetka i krytyczka literacka Maria Komornicka.

Miriam był autorem bardzo pozytywnej recenzji *Snów o potędze* Leopolda Staffa, która pozwoliła młodemu poecie wstąpić na drogę do sławy. Jak pisały edytorce listów Staffa: *Miriam dokonał więc faktycznego wprowadzenia Staffa do poezji. Utorował mu drogę na młodopolski Parnas*<sup>5</sup>.

Bolesław Leśmian zamieścił w „Chimerze” swoje symbolistyczne wiersze oraz prozę poetycką *Legendy tęsknoty*, Waclaw Berent publikował powieść *Próchno*. Podobno Berent chciał – jak Przybyszewski – pisać po niemiecku (a był pochodzenia niemieckiego), i to Miriam nakłonił go do języka polskiego. Tak przynajmniej twierdziła Maria Danilewiczowa. Z kolei Adam Grzymała-Siedlecki zdradził, że pierwotny tytuł *Próchna* był inny. Powieść miała się nazywać *Uwiędli*. Znany do dziś tytuł wymyślił właśnie Miriam.

„Chimera” była atakowana za... niemoralność, estetyzm i oderwanie od problemów życia. Wśród krytyków znaleźli się pozytywista Piotr Chmielowski i socjalista Stanisław Brzozowski, przeciw pismu występował też Julian Marchlewski, w roku 1920 członek niedoszłego rządu bolszewickiego w Polsce. Brzozowski uważał, iż nie ma w kraju człowieka gorzej przygotowanego do promowania obcych kultur niż Przesmycki. Nie była to prawda – właśnie Miriam, jeden z najlepiej wykształconych i odczytanych ludzi w Polsce, był osobą najwłaściwszą. Brzozowski kierowała osobista niechęć. Atak na Miriam wywołał skandal. Pisarze współpracujący z „Chimerą” ogłosili w „Tygodniku Ilustrowanym” protest. Podpisali się pod nim m.in. Waclaw Berent, Jan Kasprowicz, Władysław Reymont, Stefan Żeromski. Również Tadeusz Miciński i Bolesław Leśmian – chociaż nie złożyli swych podpisów – solidaryzowali się z redaktorem.

Tadeusz Boy-Żeleński we wstępie do *Antologii Młodej Polski* przypomniał, że w „Chimerze” Kasprowicz ogłosił swoje *Hymny*, Żeromski *Powieść*

<sup>4</sup> G. Legutko: *Zenon Przesmycki (Miriam) – propagator literatury europejskiej*. Kielce 2000, s. 6.

<sup>5</sup> L. Staff: *W kręgu literackich przyjaźni. Listy*. Warszawa 1966, s. 299.

o udałym *Walgierzu*, bajki zamieszczał tam Jan Lemański, wiersze drukowali młodzi wówczas poeci Staff, Ostrowska, Leśmian i Zawistowska. Boy chwalił wartość przekładów i szatę graficzną: *można powiedzieć, że było to jedno z najpiękniejszych wydawnictw europejskich tego typu*<sup>6</sup>. W 1905 roku „Chimera” otrzymała najwyższe odznaczenie na wystawie sztuki stosowanej w Krakowie.

Kilkakrotnie rozchodziły się wieści, że Miriam kończy wydawanie „Chimery”. Jednakże po zawieszeniu działalności pismo odradzało się i znów ukazywało w pięknej szacie. W 1904 roku Przesmycki bał się, że zostanie „wzięty w kamasze” i trafi na front wojny rosyjsko-japońskiej. Na szczęście udało mu się z tego wymigać. Jednakże borykając się z trudnościami finansowymi, Miriam zamknął pismo w 1907 roku. Ostatni numer ukazał się z rocznym opóźnieniem, ale zawierał wiele ciekawych utworów.

W 1907 roku, ostatnim roku działalności pisma, siedzibę „Chimery” przeniesiono na ulicę Widok 13. Tu też mieszkał Przesmycki ze swą żoną do roku 1913, kiedy to przeprowadził się na Mazowiecką 4.

Miriam wkrótce kupił posiadłość w Chyliczkach pod Warszawą (obecnie w granicach Piaseczna), gdzie hodował róże i jabłonie. Sprowadzał nowe odmiany grusz z Normandii, maliny z Anglii, róże z Lyonu. Darowywał je swoim przyjaciołom, udzielał rad, co należy sadzić w ogrodach. Gdy Stefan Żeromski kupił dom w Konstancinie, konsultował się z Miriamem w sprawie drzewek. Dla wydawcy Jakuba Mortkowicza Przesmycki zawsze miał jakieś smaczkowe owoce ze swego sadu.

Dom swój nazwał „Samotnią”, lecz ażylem nie cieszył się długo. Pewnego razu robotnicy kolejowi rozebrali parkan i ułożyli tory kolejowe. Przez posiadłość Miriama przeszła odnoga kolejki. Prasa opisywała niedole Przesmyckiego i wkrótce naczelnik powiatu musiał usprawiedliwiać się z tego postępku.

Po zakończeniu działalności „Chimery” Przesmycki nigdy nie wrócił do wydawania czasopisma literackiego. Linię estetyczną głoszoną przez Miriamę starały się kontynuować inne periodyki: „Witeź”, „Sfinks” i „Museion”, ale już bez tak pięknej szaty graficznej i tylu świetnych nazwisk autorów.

Miriam w 1908 roku wziął udział w uczczeniu zmarłego rok wcześniej Stanisława Wyspiańskiego i znalazł się w komitecie obchodów setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego. Działał też w Warszawskim Towarzystwie Artystycznym i stworzył koncepcję nowoczesnego muzeum sztuki.

Był kolekcjonerem dzieł sztuki (o kolekcjonerach napisał artykuł w „Chimierze”). Lubił otaczać się pięknymi przedmiotami. Nie zważał na to, że trwa Wielka Wojna, ludności doskwiera głód, Niemcy wprowadzili kartki na żywność i rekwirują nawet mosiężne kłamki. Żył w świecie ideału.

Krytyk i redaktor literacki „Nowej Gazety” Jan Lorentowicz był pod takim wrażeniem wiedzy i godności Przesmyckiego, że powtarzał jego poglądy, a także sposób bycia do tego stopnia, iż nazywano go „sub-Miriamem”. To, co w „Chimierze”, adresowanej do elity artystycznej, głosił Przesmycki w sposób zawiły, Lorentowicz wykladał w sposób jasny na łamach „Nowej Gazety”. Kilkakrotnie pisał pochlebnie o nowych numerach „Chimery”. Promował swego mistrza z dużym powodzeniem.

Natomiast Bolesław Leśmian na tyle wierzył w autorytet Miriama, że konsultował z nim nie tylko tytuł swego debiutanckiego tomu wierszy, ale i jego zawartość. To Przesmycki pomógł poecie skomponować pierwszy zbiór i zdecydował, żeby nazwać go *Sad rozstajny*. Jednakże oddziaływanie Miriama na Bolesława Leśmiana było nie tylko inspirujące, ale też przytłaczające. Poeta dość długo nie umiał się wyzwolić spod wpływu swego mistrza i zadebiutował dopiero w wieku 35 lat, tomem przenikniętym estetyką symbolizmu i parnasizmu, podczas gdy Młoda Polska zaczynała już odchodzić.

<sup>6</sup> T. Żeleński (Boy): *Wstęp do „Antologii Młodej Polski”* (w:) tegoż: *Pisma*. T. 6. *Szkice literackie*. Warszawa 1956, s. 261.



Nic dziwnego, że krytyka nazwała wówczas Leśmiana epigonem. Autor *Znikomka* kolejnych tomów wierszy już nie będzie konsultował z Miriamem. Zacznie mówić własnym, oryginalnym głosem, ale stanie się to dopiero w dwudziestoleciu międzywojennym.

Przyjaciele podkreślali dobroć, życzliwość i ogromne odczytanie Przesmyckiego. Miriam pielęgnował przyjaźnie, choć znajomi narzekali na jego gadulstwo. Z Leśmianem zażyłość trwała 40 lat. Z Edwardem Porębowiczem jeszcze dłużej. Zenon Przesmycki wspierał także finansowo pisarzy i poetów Młodej Polski. Pożyczał, a raczej dawał na wieczne nieoddanie gotówkę Jerzemu Żuławskiemu, Bolesławowi Leśmianowi i Stanisławowi Przybyszewskiemu.

Przed 1914 rokiem Miriam rozpoczął druk dzieł zebranych Norwida, jednak pracy nie dokończył z powodu wojny. W okresie międzywojennym wydał jeszcze kolejny tom utworów oraz przekłady poezji francuskiej.

Przesmycki należał do nielicznych dziś pasjonatów, którzy własny majątek przeznaczyci na ocalenie dzieł polskich twórców. W bibliotekach i archiwach prywatnych wyszukiwał rękopisy Norwida mimo kłód rzucanych pod nogi przez zawistnych strażników i „opiekunów” owych skarbów. Gromadził też pamiątki po autorze *Quidama*, jego rysunki. W 1904 roku wydał specjalny, norwidowski tom „Chimery”, w którym ukazały się drukiem nieznane twory poety, m.in. *Klaskaniem mając obrzękłe prawice, Kleopatra, Vade-mecum, Promethidion* we fragmentach oraz listy. Na ogół uważa się, że to Miriam odkrył Norwida. Nie jest to prawdą, bowiem o Norwidzie przychylnie pisali wcześniej Władysław Mickiewicz i Wiktor Gomulicki. Ale to Miriam wylansował Norwida, wydając przed wybuchem pierwszej wojny światowej trzy tomy pism poety, a w latach 30. jego kolejne twory.

W grudniu 1917 roku Przesmycki znalazł się w Komisji Sztuk Pięknych w resorcie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego rządu powołanego przez Radę Regencyjną. W odrodzonej Polsce mianowany został podsekretarzem stanu w Ministerstwie Ochrony Kultury i Sztuk Pięknych. Od stycznia 1919 roku do czerwca roku 1920 pełnił obowiązki ministra kultury i sztuki w rządach Ignacego Jana Paderewskiego i Leopolda Skulskiego. To najmniej znany okres działalności Przesmyckiego. Gdy wraz z całym rządem ustąpił, ministerstwo kultury zlikwidowano.

Według autorów pracy *Ministrowie Polski Niepodległej 1918-1945* przez miesiąc gorącego roku 1920 Przesmycki był jeszcze członkiem rządu Władysława Grabskiego, co kłóci się ze wspomnieniami Edwarda Kozikowskiego, wieloletniego sekretarza Związku Zawodowego Literatów Polskich. Hanna Mortkowicz-Olczakowa określiła pracę Miriam w ministerstwie jako nieudolną. Tymczasem przez ten krótki okres dokonał sporo. *W swojej działalności zwracał dużą uwagę na rozwój sztuki stosowanej. Popierał zakładanie szkół artystycznych edukujących w tej dziedzinie. Zajmował się sprawami rozbudowy przemysłu artystycznego. Angażował się również w problemy ochrony muzealnej najbardziej cennych zabytków polskiej kultury i sztuki (...). Z jego inicjatywy podjęto pod koniec listopada 1919 roku akcję wykupywania dzieł sztuki polskiej (lub mających związek z Polską) z muzeów i pałaców wiedeńskich<sup>7</sup>.*

W 1920 roku, na Wszchedzielnicowym Zjeździe Literatów Polskich, gdzie powołano Związek Zawodowy, Miriam – obok Fryderyka Zolla i Jana Jakuba Litauera – był jednym z autorów ustawy o prawie autorskim. Zadbał w tym projekcie nie tylko o interesy wydawców, ale przede wszystkim twórców. Ustawa weszła w życie w 1926 roku.

W 1924 roku Marian Hemar w „Wiadomościach Literackich” kpił w jednej z satyr z Przesmyckiego jako poety, wydawcy i ministra. Słonimski w tymże tygodniku w 1935 roku proponował *wyprowadzić jubileusz dwudziesto-*

<sup>7</sup> *Ministrowie Polski Niepodległej: 1918-1945*. Red. M. Baumgart, H. Walczak, A. Wątor. Szczecin 2001, s. 330.

lecia niepracowania Miriam nad Norwidem i poprosić Piniego, by zechciał przemawiać<sup>8</sup>.

Oskarżano Przesmyckiego o przetrzymywanie rękopisów Norwida, ukrywanie ich przed czytelnikami, co nie było prawdą. Miriam bowiem za własne pieniądze skupował owe rękopisy, następnie je opracowywał, by wreszcie opublikować. Prace nad przypisami i skompletowaniem materiału trwały jednak długo. Miłośnicy Norwida niecierpliwiili się. Obiecanych przed pierwszą wojną światową kolejnych tomów dzieł poety nie dostawali. Dopiero w grudniu 1932 roku Miriam wydał obszerny zbiór pism Norwida.

Tymczasem Tadeusz Pini postanowił opublikować utwory Norwida bez porozumienia z Miriamem, który wykupił od rodziny poety prawa autorskie. W 1934 roku nakładem spółki „Parnas Polski” ukazał się tom utworów Norwida w opracowaniu Piniego. Edytor niespecjalnie rozumiał poezję autora *Vade-mecum*. Przypisy nie rozjaśniały czytelnikom kontekstu, a były słownikowymi objaśnieniami niektórych wyrażzeń. Pini nie tłumaczył specyfiki języka twórcy *Czarnych kwiatów*. Miriam oburzył się na fakt takiego wydania utworów Norwida, po pierwsze dlatego, że nie został zapytany o zgodę, a miał prawo wyłączności, po drugie zaś – z powodu braku fachowości edytorskiej.

I znów Przesmycki stał się obiektem skandalu. Był atakowany, choć naruszenia prawa dopuścił się ktoś inny. W „Zecie” krytykował go Jerzy Braun, znany z kampanii „likwidacji Boya”. Słonimski w „Wiadomościach Literackich” wolał bronić Piniego niż poprzeć Miriamę z przyczyn czysto politycznych i osobistej urazy (za pogardliwą zgodę na druk Rimbauda). W *Kronice tygodniowej* z 16 września 1934 roku pytał o postawę Miriamy: *Jaki jest sekret tego literackiego harpagona? Czyżby była to zarozumiałość nadętej ropuchy, pogarda dla świata, który jest niegodny Norwida, bo Norwida godzin jest czytać tylko Miriam? Czyżby to zarozumiałe mniemanie, że przypisy ważniejsze są od wierszy?*<sup>9</sup>. Ani słowa o skandalu z wydaniem Piniego.

Przesmycki tymczasem wytoczył proces Piniemu i wydawcy utworów Norwida. Po długich bojach – dzięki pomocy adwokatów Jana Lesmana (czyli Jana Brzechwy) i Gustawa Beylina – sprawę wygrał.

W 1933 roku Miriam został mianowany członkiem Polskiej Akademii Literatury. W „Wiadomościach” rozpoczęto kampanię przeciw tej instytucji, choć wcześniej tygodnik apelował o jej utworzenie. Jednakże kiedy do PAL weszli nie Tuwim, Słonimski, lecz poeci dalecy od środowiska redakcji (Leśmian, Staff, Miriam), „Wiadomości Literackie” zaczęły zwalczać zarówno samą akademię, jak i niektórych jej członków, łącznie z prezesem Wacławem Sieroszewskim, sekretarzem Juliuszem Kadenem-Bandrowskim, a także Wacławem Berentem.

Różnie patrzono na dokonania Przesmyckiego. Szanowano go za promowanie sztuki i wydawanie „Chimery”, chociaż nie zawsze ceniono program pisma. Podkreślano rolę, jaką odegrał w promowaniu twórczości Norwida, natomiast jako o działacza i polityku pisano o Miriamie źle. Mortkowicz-Olczakowa uważała, że *działalność Przesmyckiego jako ministra okazała się fiaskiem i kompromitacją*<sup>10</sup>. Zarzucała mu „megalomanię” i „niedołęstwo”, twierdziła, że *z biegiem lat uwierzył widać, że jego udziałem jest wieczność (...) i nabrał absolutnej pogardy dla mijających godzin, które go wcale nie dotyczyły. (...) Tomy Norwida czekały nie dokończone w drukarniach, rękopisy nikomu*

<sup>8</sup> A. Słonimski: *Kronika tygodniowa nr 232*, „Wiadomości Literackie” 1935, nr 13 (z 31 marca); przedr. tegoż: *Kroniki tygodniowe 1932-1935*. Łomianki 2001, s. 308.

<sup>9</sup> Tenże: *Kronika tygodniowa nr 210*, „Wiadomości Literackie” 1934, nr 38 (z 16 września); przedr. tegoż: *Kroniki tygodniowe 1932-1935*, dz. cyt., s. 249.

<sup>10</sup> H. Mortkowicz-Olczakowa: *O Miriamie-Przesmyckim* (w:) teże: *Bunt wspomnień*. Warszawa 1961, s. 73. Edward Kozikowski łączył ustąpienie Miriamy z funkcji ministra z kampanią przeciw istnieniu ministerstwa, zapoczątkowaną przez „sfery pravicowe”. Kampania owa *prowadzona była od pierwszego niemal dnia utworzenia tego resortu i mogła obrzydzić życie nawet Miriamowi, który okazywał duże opanowanie i rozumną powściągliwość* (E. Kozikowski: *Zenon Przesmycki [w:]* tegoż: *Więcej prawdy niż plotki. Wspomnienia o pisarzach czasów minionych*. Warszawa 1964, s. 198). Jest to wątpliwe, gdyż osobiście wydaje się, aby prawica zwalczała własnego ministra w pravicowym rządzie.

niedostępne, przez nikogo nie oglądane spoczywały w domowym ukryciu. A ich odkrywca i wydawca zapadał coraz głębiej w ową niepojętą inercję...<sup>11</sup>

Sprawa została tu przedstawiona tak, jakby wydawca nie miał żadnego wpływu na edytora. A przecież Mortkowicz mógł wyznaczyć Miriamowi nieprzekraczalny termin publikacji tomów ineditów i gdyby Przesmycki go nie dotrzymał, wystąpić o zwrot poniesionych kosztów składu i druku. Tak nie zrobił. Za to córka Mortkowicza napisała w latach 60. bardzo tendencyjne wspomnienie. A przecież – jak sama przyznała – dostała od Miriama dwa razy *drobiazgi z nieprzebranych zapasów ineditów Norwidowskich*. Raz był to rysunek piórkowy, przedstawiający głowę Wandy, raz nieznaną tekst, który miał się ukazać w jednodniówce Koła Polonistów<sup>12</sup>.

Przyczyną niechęci Hanny Mortkowicz-Olczakowej może być fakt, że po samobójczej śmierci wydawcy (który zbankrutował), Miriam zdecydował się opublikować nieznane utwory Norwida razem z Leopoldem Welliszem, który został sponsorem. W 1937 roku własnym nakładem rozpoczął edycję wszystkich pism Cypriana Norwida. Tymczasem po wojnie sama Mortkowicz-Olczakowa wydała przygotowany przed laty tom Norwida i nie musiała już płacić honorarium jego edytorowi, który nie żył.

Ponadto z przekąsem twierdziła, że do śmierci Miriam kazał się nazywać ministrem. A przecież taki jest w Polsce zwyczaj, by do czcigodnych rozmówców zwracać się, honorując ich najwyższym nadanym im tytułem: prezydenta, premiera, ministra, choćby urzędu tego już od dawna nie sprawowali. Bardzo możliwe, że autorka *Buntu wspomnień* usiłowała przyprawić Miriamowi „gębę” z powodów politycznych. Przesmycki był ministrem w gabinetach Paderewskiego i Skulskiego, czyli w rządach prawicowych, gdy tymczasem członkowie rodziny autorki mieli przekonania lewicowe, a niektórzy nawet komunistyczne. Może to powód tak drwiącego opisanie wybitnego krytyka i redaktora? Wspomnienie Mortkowicz-Olczakowej ukazało się za czasów Gomułka.

Po śmierci żony Przesmycki stał się bezradny. Jeszcze szczerzej zamknął się w domu przy Mazowieckiej 4 i obcował ze swymi zbiorami, coraz mniej rozumiejąc grozę nadciągającej wojny.

Marian Piechał odwiedził Miriama w lipcu 1940 roku. Przesmycki, nawiązując do bombardowania stolicy we wrześniu 1939 roku i planowej likwidacji polskich zabytków kultury przez Niemców, powiedział, że chcą oni zgładzić nie tylko żywych, ale i umarłych poprzez unicestwienie ich dzieł.

Miriam pokazał młodszemu koledze gruby tom wierszy Norwida przedziurawiony na wylot, z tkwiącym jeszcze odłamkiem szrapnela. To jednak nie był koniec strat w kolekcji Przesmyckiego. Podczas powstania warszawskiego jego dom zbombardowano, a mieszkanie zostało zniszczone. Rabusie ukradli kolekcję dzieł sztuki wraz z meblami. W piwnicy cudem ocalały rękopisy Norwida i Hoene-Wrońskiego oraz złote dolary.

We wrześniu 1944 roku hitlerowcy wypędzili Miriama z mieszkania. Prerażony staruszek dotarł do domu przy ulicy Kruczej, a stamtąd w październiku trafił do szpitala na Żurawiej 31. Utrata domu i ukochanych zbiorów załamały tego wielbiciela piękna. Zenon Przesmycki zmarł 17 października 1944 roku. Miał 83 lata.

W styczniu 1945 roku kamienica przy Mazowieckiej 4 została podpalona i spłonęła do piwnic. Przepadło wiele egzemplarzy „Chimery”, a także tomy wydrukowanych dzieł Norwida. Spaliła się cała biblioteka Miriama. Ekipa uczonych i bibliotekarzy ze Stanisławem Lorentzem i Wacławem Borowym usiłowała ratować skarby kultury z ogarniętego ogniem miasta. Wydobyli z piwnic naruszone skrzynie ze zbiorami Przesmyckiego. Z Warszawy-widma ocalono autograf poematu Norwida *Vade-mecum* i przejmujący wiersz

<sup>11</sup> H. Mortkowicz-Olczakowa: *O Miriamie-Przesmyckim*, dz. cyt., s. 77.

<sup>12</sup> Tamże, s. 78.

*Fortepian Szopena.* Barbara Koc pisała, że gdy w Milanówku wypakowano rękopisy Norwida, członkowie ekipy, mimo mrozu, odkryli głowy na znak szacunku dla poety i jego wydawcy.

W maju 1945 roku Zenon Przesmycki został pochowany na Powązkach. W Warszawie nie ma tablicy pamiątkowej na fasadzie domu przy Mazowieckiej 4, gdzie Miriam mieszkał, ani przy Nowym Świecie 22, gdzie mieściła się siedziba założonego przez niego czasopisma. Tak oto zwycięża niepamięć po znakomitym redaktorze, odkrywcy dzieł i poetów, twórcy „Chimery”, która do dziś cieszy oko swą elegancją i smakiem.

Piotr Łopuszański



Andrzej Strumiłło: *Kobieta z baru w Palermo*, tusz na papierze, 1957 r.

## Fartowny interes

Wśród ferajny na Brzeskiej i okolicznych ulicach od strony Dworca Wschodniego rej wodził Maniek Gałązka, chłopak charakterny i na schwał. Rosły, jasnowłosey, otrzaskany życiowo. Był dwa lata w wojsku i kilka razy w więzieniu za rozróbki i lekkie pobicia. Wyroki miał niskie, ale w towarzystwie liczyło się, ile razy siedział, a nie jak długo. Dwa, trzy razy w roku bywał nawet w centrum Warszawy. Był spokojnym gościem, można by nawet powiedzieć, że flegmatycznym. Niekiedy czymś zahandlował. Zazwyczaj byczył się całe dni przed bramą. Wiedzano jednak, że lubił sobie od czasu do czasu podgazować na całego i jak był na dużym flicie, zadzierał ze wszystkimi, którzy mu weszli w drogę. Stara Andziakowa, nazywano ją w okolicy pieszczotliwie Sabcią, zajmująca się pokątną sprzedażą wódki na kieliszki, wiedziała o nim wszystko. Byli sąsiadami. Bardzo żałowała, że nie miała takiego syna, a jedynie dziewczuchy. – Chłopak cudo! Bezblędny, bombowy! Z głową do interesów. Do tego jeszcze nikogo i niczego się nie bał. – Maniek był jej ulubieńcem i bohaterem. Wynosiła go pod niebiosa, choć nie była zbyt skora do chwaleń.

– Jego stary – opowiadała – zakitował na serduszko, w czasie awantury z matką. Zdążył jej jednak rozorać twarz widelcem. Do dzisiaj Gałązkowa na czole ma ślady tego pogłaskania. Mojem zdaniem ona za dużo podsłakiwała, a kto to słyszał, żeby kobita nie słuchała swego chłopca. Po śmierci Gałązki w krótkich abcugach znalazła sobie absztyfikanta. Zawsze miała niewąskie zamiłowanie do małżeńskich funkcji. Ten jej nowy facet jest mocny w mordzie, ale wzrostu nie posiada. Prawdziwy karakan! Wacek mu na imię, a na nazwisko Kruk, jest kawalerem z odzysku, popija regularnie, ale po kielichu lubi sobie wałnąć w kimę i spokój z nim. Nie jest ciężki w pozyciu. Tylko gdzie się można pokazać z mężem tak małych rozmiarów bez narażenia się na zgrywy. Hajtnął się z Gałązkową dopiero dwa lata temu. Przedtem żyli na kartę rowerową. Kruk z Mańkiem w domu się nie zauważają i w chałupie spokój. Gałązkowa, nikt jej nie nazywa po nowem mężu Krukowa, za dnia robi pyzy. Opyła je na pobliskim bazarze jako prywatna inicjatywa. Ponadto w okresie letnim zatrudnia się w nocnym życiu. To pudło – dodała ze złośliwym uśmiechem – maluje się jak jakaś pinda, a przecież lata swoje ma, co widać gołym okiem bez sprawdzania w dowodzie osobistem. Maniek choć ma wstręt do tyrania, trzeba powiedzieć, że niekiedy pomaga matce w rozprowadzaniu na bazarze jej wyrobów gastronomicznych. Sprzedaje wszystko, co przyniesie. Ten sukinkot podoba się kobitom, chłopak jak malowanie, i żeby tylko z nim chwilę pogadać, kupowałyby u niego nie tylko pyzy, ale nawet i siano. Wanda, to ta puszczalska żoła z trzeciego piętra od frontu, młoda, a już plotkara, opowiada, że widuje go od czasu do czasu w Skaryszaku. To jej teren urzędowania – dodała ze złośliwym uśmiechem i zmrużeniem oka, żeby nie miał wątpliwości jakie „urzędowanie” miała na

myśli. – Podobno Maniek – kontynuowała z lubością – chodzi tam dołować w krzakach z podłapanymi lalami, które zaprasza na wodę sodową z sokiem malinowym. Ona żałuje, że Maniek jej nigdy nie zaprosi. Chętnie by z nim poszła, nie tylko na wodę sodową. I po prawdzie wcale mnie to nie dziwi. Maniek to przystojniak z fasonem, a to że czasem się upije to normalka. Chłopak od czasu do czasu powinien sobie podgazować. Co to za chłop, co nie pije?

Mijały dni i tygodnie. Nic nie zapowiadało, że zmieni się dość monotonne życie bohatera Saby Andziakowej. W pewne listopadowe popołudnie stało się, co się miało stać. Maniek z metalowym kubłem zszedł do piwnicy po węgiel (w domu nie było gazu i palono w kuchni drewnem i węglem). Zapalił świecę, zrobił parę kroków w piwnicznym korytarzu i stanął jak porażony. Tuż przed nim dyndał na sznurze jakiś mężczyzna. Podniósł świecę do góry, żeby lepiej oświetlić wiszącego, i z przerażeniem rozpoznał w nim Czeska Wronę, znanego pod imieniem Wariata. Spróbował zdjąć wisielca, ale nie dał rady. Przypomniał sobie, że w komórce stała drabina. – Przyda się teraz – pomyślał. Nie zdołał jednak i z drabiny zdjąć Wariata. Była to robota na dwóch, a nie jednego. W końcu nożem sprężynowym, który zawsze nosił przy sobie, przeciął sznur nad głową wisielca. Bezwładne ciało kumpla osunęło się na ziemię. Silnie szarpnął za ramię zmarłego. – Może jeszcze żyje? – Ciało było ciepłe. – Pewnie powiesił się niedawno.

Maniek pobiegł na drugie piętro, żeby zawiadomić rodzinę, co się stało. Został tylko matkę i siostrę wisielca.

– Czesiek nie żyje! – wyrzucił z siebie.

– Przystań się wygłupiać i stroić sobie z nas głupie żarty – powiedziała Wronowa, nie przerywając obierania kartofli. – Czesiek wyszedł po papierosy i zaraz wróci. Nie opowiadaj bzdur. Jak można sobie robić takie chi chi ze śmierci.

– Pani Wronowa, ja nie żartuję. Czesiek się powiesił w piwnicy. Niech skonam, jeżeli nie mówię prawdy!

We trójkę zeszli do piwnicy. Dopiero kiedy Wronowa zobaczyła na ziemi leżące ciało syna, uwierzyła w słowa Mańka. Płacz. Narzekanie na zły los. Matce wtórowała dyszkantem córka.

– Dopiero co wyszedł. Może dziesięć, piętnaście minut temu... Takie nieszczęście! Wczoraj miał odebrać pieniądze od jakichś koleżków. Nie wiem nawet których. Wszystko teraz przepadnie! – zawodziła.

Wezwano pogotowie. Lekarka mogła jedynie stwierdzić zgon. Wkrótce potem zjawiała się milicja. Spisano protokół i zabrano ciało Czeska. Nauczyciel z pierwszego piętra mówił, że do zakładu medycyny sądowej na sekcję zwłok. – Będą jeszcze chłopaka kroić bez potrzeby. Co mu krojenie pomoże? – myślał Maniek. Znali się z Wroną od dziecka. Ostatnimi laty Czesiek był konkurentem jego i matki w branży handlowej. Także i on nielegalnie sprzedawał pyzy na targowisku, ale w przeciwieństwie do Mańka Wrona kilka razy został przyłapany przez milicję. Wszystko kończyło się jednak na zarekwirowaniu towaru, mandacie i groźbie aresztowania. Dwa czy trzy razy Maniek był nawet świadkiem takiego przyłapania:

– Żeby to było ostatni raz! – Grzmiał milicjant. – Jak cię złapię jeszcze raz, to pójdziesz siedzieć na kilka miesięcy. Zrozumiano?

– Zrozumiano, panie Kaczorek, przepraszam, panie władzo, zrozumiano – mamrotał pod nosem Maniek.

Pomimo przyrzeczenia, że zaprzestanie handlować, i zapewnienia, że „zrozumiano”, Czesiek kontynuował sprzedaż pyz. Dzielnicy, wyrozumiały był

z niego człowiek, wielokrotnie przymykał oczy na pokątny handelek Wariata, znał go od dziecka, ale nie zawsze mógł udawać, że nic nie widzi.

Więść o samobójczej śmierci Czeška rozniosła się błyskawicznie wśród mieszkańców kamienicy i okolicznych domów. Takie niecodzienne wydarzenie! Rozprawiano o zajściu, którego bohaterem był Czesiek. W rozmowach jakby zapomniano o jego wadach i przywarach, mówiono o zaletach charakteru, które podobno posiadał. Wyjaśniły się także okoliczności i bezpośrednia przyczyna desperackiego czynu. Przed południem – opowiadano sobie – dzielnicowy znowu przyłapał Czeška na targowisku. Tym razem zniecierpliwiony zamierzał go aresztować, nie był bowiem sam, towarzyszyło mu dwóch plutonowych, ale w radiowozie siedziało już trzech szulerów nabierających łatwowiernych podczas gry w karty oraz jeden zalany w pestkę i jeden doliniarz złapany na gorącym uczynku. Dla szóstego nie było miejsca. Skończyło się więc także i tym razem jedynie na zapłaceniu mandatu i groźbie aresztowania. Tego samego dnia po południu dzielnicowy przyszedł w jakiejś sprawie do dozorczy domu. Najmłodsza siostra Czeška, siedząca w oknie, zauważyła umundurowanego przybysza, którego obecność zazwyczaj niczego dobrego nie wróżyła dla mieszkańców kamienicy. Głośno powiedziała:

– Przyszedł dzielnicowy! Szuka kogoś!

Czesiek, usłyszawszy to, uznał zapewne, że milicjant przyszedł po niego, żeby spełnić swą poranną groźbę aresztowania, i jak oparzony wybiegł z mieszkania. Na usprawiedliwienie powiedział tylko: „Lecę po papierosy!”. Poszedł jednak nie do kiosku, ale do piwnicy, gdzie miał przygotowany sznur „na wszelki wypadek”. Olczakowa mówiła, że kupił powróż u niej w sklepie przed czterema tygodniami. Nie na żarty przerażony groźbą dzielnicowego zdecydował się odebrać sobie życie. Półgłosem mówił sam do siebie:

– Do aresztu mnie nie wezmą! Powieszę się, a do pierdła nie pójde!

Czesiek w patologiczny sposób bał się jakiegokolwiek odosobnienia, a tym bardziej aresztu czy więzienia. I powiesił się. Prawdopodobnie nie był w pełni władz umysłowych i działał w afekcie. Gdyby Maniek poszedł po węgiel do piwnicy choć kwadrans wcześniej, to być może do tragedii by nie doszło.

Po zabranii przez milicję wisielca Maniek powrócił do piwnicy po węgiel. Zapalił świecę. Jego uwagę zwrócił dyndający od sufitu sznur. Mocny konopny sznur.

Może się przyda? – pomyślał. Wszedł na drabinę i odwiązał postronek od haka, do którego był uwiązany. Węzeł dał się odsupłać bez trudu. Zabrał też kawał sznura, który lekarka zdjęła z szyi wisielca. Walał się na ziemi. Po rozwiązaniu supła miał chyba z metr, a może i trochę więcej. Oba kawałki zwinął w kłębek i położył na regale w komórce.

Tymczasem w kamienicy i okolicznych sklepach przez najbliższe kilka dni rozprawiano przede wszystkim o Czešku i jego desperackim czynie. Za życia nie mógłby nawet marzyć o takiej popularności, jaką zyskał po śmierci.

Po stwierdzeniu, że zgon nastąpił w wyniku samobójstwa, prokurator wydał zezwolenie na pochowanie obywatela Czesława Wrony syna Antoniego. Prawie wszyscy mieszkańcy kamienicy przyszli na pogrzeb, przynajmniej wszyscy ci, którzy mieszkali tam od lat. W składkowej stypie uczestniczyło chyba ze trzydzieści osób. Był porządny ochlaj. Wronowa postawiła się i przygotowała gościom ogromny sagan flaków oraz kilka litrów bimbrow. Bawiono się hucznie ze śpiewami prawie do północy. Ktoś, kto nie znał przyczyny spotkania, mógłby sądzić, że to imieniny, a nie stypa. Maniek również w niej uczestniczył razem z matką i swym miniaturowym ojczymem.

Kilka dni po pogrzebie przyszła odwiedzić Mańka jego chrzestna matka Karolkowa Waleria, mieszkająca w sąsiedniej kamienicy na parterze od frontu. Była dobrą znajomą jego ojca. Handlowali razem w okresie okupacji. Przez cztery lata szmuglowali co tylko się dało, przede wszystkim artykuły żywnościowe, za co groziła kara śmierci. Ludzie mimo wszystko ryzykowali. Trzeba było przecież jakoś żyć. Raz nawet Karolkowa uratowała ojca od aresztowania. Był jej za to bardzo wdzięczny i pamiętał o tym także i po wojnie. Chyba z tego powodu zaprosił ją w kumy.

– Maniuś – zagadała przymilnie – podobno masz sznur, na którym się powiesił Czesiek? Mógłbyś mi odciąć ździebko na pamiątkę. Nie odmawiaj.

Maniek nie miał zamiaru odmawiać. Chce mieć pamiątkę, będzie miała pamiątkę. Zszedł do komórki i odciął nożem ze dwadzieścia centymetrów sznura. Karolkowa była uszczęśliwiona, kiedy jej wręczył upragnioną pamiątkę.

– Dobry z ciebie chłopiec! – Zasypała chrześniaka pochwałami i wyniosła się szybko.

Kilka dni później Maniek, filując przed bramą, dowiedział się od kumpli, że Karolkowa sprzedaje malutkie kawałki sznura, na którym powiesił się Czesiek, jako talizmany przynoszące szczęście. W pierwszej chwili rozłościł się ogromnie i o mało co nie trafił go szlag.

– Ta stara cwaniara podeszła mnie, durnia. Powiedziała, że chce mieć pamiątkę po Czešku, a teraz robi interesy za moimi plecami! Ta to ma makówkę do interesów! Zarabia nawet na kawałkach postronka.

Wywiedział się od koleżków i w sklepie spożywczym, ile Karolkowa bierze za jeden talizman. Był zaskoczony wysoką ceną i tym, że znajdowali się chętni, żeby aż tyle zapłacić. – Jeżeli sznur, na którym się ktoś powiesił, rzeczywiście przynosi szczęście, to każda cena jest słuszną! – Zawyrokował jak mędrzec. Maniek postanowił uszczęśliwić ludzi. Tego samego dnia przyniósł sznur do mieszkania, pociął żyłką na dwucentymetrowe kawałki. Przeliczył. Było ich razem 155. Złożył wszystkie w pudełku, gdzie trzymał kamasze od święta. Miał dokładny plan działania, ale będąc ledwo piśmiennym, nie mógł go sam zrealizować. Potrzebny mu był pomocnik. Na drugi dzień od południa filował przed bramą. Chciał porozmawiać z nygusem z trzeciego piętra. Chłopak zwykle pomiędzy pierwszą a drugą wracał ze szkoły. Wszyscy mówili, że jest cholernie zdolny, najlepszy w szkole. Potrafił liczyć jak maszynka. Znał go tylko z widzenia. Chłopak nie uganiał się jak jego rówieśnicy za piłką na podwórku ani nie wywijał koziółków na trzepak, ale – jak mówili – całe dnie siedział nad książkami. Niekiedy widywał go na balkonie, kiedy podlewał kwiaty. Wychowywała go babka. Mieszkali na Brzeskiej od niedawna. Przewidywania Mańka były prawidłowe. Parę minut po pierwszej chłopiec pojawił się przed bramą. Wystraszył się nieco, kiedy Maniek go zagadał.

– Cześć! – Wyrzucił z siebie, starając się nadać swemu głosowi jak najuprzejmiejszy ton. – Mam do ciebie sprawę! Chcesz trochę zarobić? Interes czysty jak łza.

Chłopiec słuchał uważnie. Propozycja go zainteresowała. W domu brakowało ciągle pieniędzy. Zazwyczaj były problemy, żeby jakoś dożyć do pierwszego. Babcia, myślał, bardzo by się ucieszyła, gdyby przyniósł do domu trochę pieniędzy. Byłaby to dla niej także piękna niespodzianka. Spytał więc ostrożnie:

– Co miałbym zrobić dla pana?



– Nie mów mi pan. Dla ciebie jestem Maniek, jak dla innych kumpli. Napisałbyś mi wyraźnie 155 razy na tekturkach kilka słów.

Przygotowany do spotkania wyjął z kieszeni wymiętą kartkę papieru, na której swoimi kulfonami wykaligrafował jak mógł najładniej coś w rodzaju oświadczenia i przeczytał je chłopcu: „Prawdziwy kawałek sznura na którym się powiesił Czesiek Wrona zwany Wariatem. Ten sprawdzony talizman przynosi szczęście w miłości i chroni przed wszystkimi losowymi niespodziankami i katastrofami”.

Chłopiec, upewniwszy się, że chodzi tylko o przepisanie tekstu, zgodził się pomóc Mańkowi. Ustalili wysokość wynagrodzenia. Tego samego dnia Maniek dostarczył mu około dwustu kartoników, które ze ścinków wycygnął od znajomego intrologatora. Przez kilka dni Pawelek, tak nazywał się chłopiec, po odrobieniu lekcji pieczołowicie przepisywał oświadczenie. Pomimo że miał dopiero 11 lat, powątpiewał w poprawność tekstu, ale z nikim o swych wątpliwościach nie rozmawiał, nawet z babcią. Po wykonaniu zamówienia otrzymał swą dołę. Maniek nie zamierzał oszukać chłopaka. – Umowa to umowa. Nawet jeżeli ze szczyłem.

Po odebraniu zapisanych kartoników Maniek zabrał się do dalszej realizacji swego planu. Kupił w sklepie z chemikaliami dwie tubki uniwersalnego kleju i mozolnie do każdego kartonika pod tekstem przyklejał kawałek sznura. W międzyczasie na bazarze i w maglu rozpuścił wiadomość, że w najbliższą sobotę o 9 rano przy wejściu na targowisko od ulicy Targowej rozpocznie się sprzedaż „po przystępnych cenach” talizmanów chroniących od wszelkiego rodzaju nieszczęść, zapewniających powodzenie w miłości i w interesach. W oznaczonym terminie odpierniczony po niedzielnemu (poszedł nawet z tej okazji do fryzjera) zjawił się przy bramie bazaru i rozpoczął sprzedaż niezwykłego towaru. I szło mu lepiej niż z pyzami. Choć cena talizmanów nie była wcale przystępna (brał cztery razy więcej niż Karolkowa), sprzedał wszystkie w przeciągu jednego ranka. Kieszenie miał pełne pieniędzy. Nigdy w życiu nie posiadał tak dużo szmalu! Był zaskoczony, oszołomiony! Wielu chętnych odeszło zawiedzionych i z pustymi rękoma. Wypytywano go, kiedy będzie w sprzedaży następna partia talizmanów. Odpowiedział raz, drugi, trzeci, że już ich nie ma więcej. I nagle jakby w olśnieniu wpadł na pomysł, jego zdaniem nadzwyczajny. Postanowił seryjnie produkować talizmany.

Kilka dni później kupił w Centralnym Domu Towarowym dziesięć metrów sznura mniej więcej takiego, na jakim powiesił się Wariat. Nie mógł przecież czekać, aż ktoś następny popełni samobójstwo. Miał swój rozum i wiedział swoje. Ani przez moment nie wierzył, że noszenie przy sobie kawałka postronka, na którym się ktoś powiesił, może komukolwiek przynieść szczęście i uchronić od zła. Skoro jednak ludzie wierzą w to, to dlaczego nie ma ich zadowolonych? Postronk taki czy inny, jaka to różnica? Maniek był przekonany, że sprzedaż talizmanów to fartowny interes i przyniesie mu furę pieniędzy!

*Jan Władysław Woś*

PIOTR MACHUL

## *Bizancjum*

krzyczy ikona  
w cerkwi mojego serca  
krzyczy i kona

## *wierzę w*

jedyny rzymski  
powszechny apostołski  
szept w katakumbach

## *krzyk*

Rzym noc słycać krzyk  
krzyk dziecka czy kobiety  
mewy westalki

## *wspomnienie*

szybkie spojrzenie  
miłość obcej kobiety  
w jednej małej łzie

## *tajemnica dla M.*

Praga jest Rzymem  
stworzonym tylko dla nas  
nie mów nikomu

## *siedem lat*

ktoś rzucił kamień  
pękło lustro jeziora  
siedem lat nieszczęście

## *w katedrze*

ktoś czyta szeptem  
w katedrze twego ciała  
psalmy bezbożne

## *zimno*

grabarz zmarzył na kość  
więc się grzeje w kostnicy  
na wieki wieków

## *powrót na Wschód*

kraj lat dziecińczych  
Puławy miasto chemii  
znikający punkt

## *pożyczone od mistrza Eckharta*

najgorszy jest czas  
nie ma większej przeszkody  
w drodze do źródła

*Piotr Machul*

---

### **Książki nadesłane**

Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent”, Lublin 2016

#### **Biblioteka Siedemsetlecia**

Łukasz Marcińczak: *Kamienie pachnące szafranem. Eseje lubelskie*. Ss. 189.

*Lublin – miasto poetów. Antologia*. Wstęp, wybór, komentarze interpretacyjne  
Bogusław Wróblewski. Ss. 247.

---

BOGUSŁAW BAKUŁA

## Stefan Grabiński – pisarz polski, ukraiński czy środkowoeuropejski

(geopoetyka twórczości)

Twórczość Stefana Grabińskiego (1887-1936) zmienia w ostatnich latach swoją pozycję w historii polskiej literatury XX wieku ze względu na mniejszy nacisk kładziony na rolę i znaczenie utworów, w których dominował kanon wartości narodowych, obywatelskich i politycznych. Szansę otrzymały w tej sytuacji zjawiska, które z głównym nurtem polskiej literatury, krytyki i myśli literaturoznawczej, przez dziesiątki lat dominującym nad innymi przejawami życia artystycznego, mają mniej wspólnego. Do takich właśnie należy przez długi czas marginalizowana proza Grabińskiego. Współczesny wzrost zainteresowania fantastyką, rolą wyobraźni, nadmysłowości, podświadomości lub nadświadomości z jednej strony, a z drugiej – renesans okultyzmu i gnozy przysparzają Grabińskiemu wielu zwolenników. Pewne zaciekawienie pisarzem widać też na Ukrainie i w Czechach, zresztą z całkowicie różnych powodów. Grabiński – Galicjanin i lwowianin, posiadający związki z ukraińską kulturą religijną poprzez relacje rodzinne – bezsprzecznie zasługuje na uwagę publiczności literackiej na Ukrainie. Czechy, jako historyczny ośrodek środkowoeuropejskiego okultyzmu i hermetyzmu, również nie pozostają całkiem obojętne na dorobek pisarski jednego z największych polskich fantastów, zwolennika metempsychozy i praktyk okultystycznych.

W Polsce w kontekście twórczości Grabińskiego wymienia się nazwiska pisarzy eksplorujących rozmaite sfery literackiej fantastyki. Przypomnijmy Władysława Reymonta jako autora *Wampira* (1911) i *Buntu* (1924), Tadeusza Micińskiego, Władysława Umińskiego, Jerzego Żuławskiego, Antoniego Langego, Bolesława Leśmiana i Wacława Kostkę-Biernackiego – mało znanego przedstawiciela realizmu magicznego w początkach XX wieku. Grabiński to autor w specyficzny sposób związany z atmosferą i literaturą Młodej Polski, a także z dekadencją sferą kultury Austro-Węgier, rzucającą swój zagadkowy czar jeszcze długo po upadku cesarsko-królewskiej monarchii. Głównym tematem, jaki porusza w swych utworach, jest świat wewnętrznych doświadczeń lokujących jednostkę na pograniczu między jawą a snem, między realnością a rzeczywistością ponadmysłową, między racjonalnością a zagadkowością życia, którego opis wymaga uwzględnienia wymiaru duchowego, nie zawsze bezpiecznego i nie zawsze w pełni poznawalnego. Bliska jest Grabińskiemu romantyczna koncepcja sztuki i artysty inspirowana gnozą i hermetyzmem.

Nie oznacza to jednak, że w biografii i twórczości tego pisarza nie można wskazać interesujących cech, które łączą go z szerszym, historycznoliterackim kontekstem jego czasu – z ówczesną konkretną przestrzenią historyczną i kulturową. Są to m.in.: motyw kapryśnego dziania się historii i – w ogóle – opowieści; zagadnienie hybrydycznej tożsamości wynikającej ze złożonej wielokulturowości; problematyka przestrzenności głęboko przenikniętej sobie tylko właściwymi pierwiastkami duchowymi; kwestia tajemniczych,

możliwych wyłącznie do wyrwykowego zlokalizowania miejsc rozgrywania się wydarzeń i narracji – obszarów przesyconych gęstą materią o charakterze psychologicznym, w której przeważają enigmatyczność, wizjonerstwo, strach, a niekiedy również ironia.

Analizie skomplikowanych relacji między przestrzenią, historią, kulturą a podmiotem poświęcona jest nowsza dziedzina badań – geopoetyka. Geopoetyczny kierunek badań robi dużą karierę w środowiskach humanistów zajmujących się – z różnych punktów widzenia – kulturą miasta, ale nie ma najmniejszego powodu, by nie odnosić go do szerszej terytorialności, regionalnej, a nawet ponadetnicznej, wykazującej szczególnie związek z określoną koncepcją kultury czy duchowości. Według twórcy terminu Kennetha White'a geopoetyka to: *studium związków intelektualnych i zmysłowych pomiędzy człowiekiem a Ziemią w celu wykształcenia harmonijnej przestrzeni kulturowej. (...) w słowie „geopoetyka” zawarta jest idea, iż można umiejscowić filozofię, połączyć krainę i filozofię, naturę i kulturę*<sup>1</sup>. Zajmująca się tym zagadnieniem badaczka Elżbieta Rybicka stwierdza, iż w geopoetyce chodzi o to, *by odpowiedzieć na pytania, w jaki sposób przestrzenie i miejsca są przez nas doświadczane i interpretowane, jak kształtują tożsamość jednostkową i zbiorową, płciową i etniczną, jak „upamiętniają” lub subwersywnie kwestionują dominującą kulturę*<sup>2</sup>. Wedle Rybickiej (która podąża za Bertrande Westphalem) geopoetyka zajmuje się również *badaniem interakcji pomiędzy fikcyjnymi, imaginacyjnymi (wyobraźniowymi) a geospołecznymi przestrzeniami oraz ich rolą w determinowaniu tożsamości kulturowych*<sup>3</sup>. W innym miejscu autorka dodaje: *Przedmiotem geopoetyki, w moim rozumieniu i najogólniej ujmując, byłoby zatem topografie – zapisy miejsc w tekstach kultury*<sup>4</sup>.

## Grabiński: relokacja?

Do zagadnień związanych z problematyką geopoetyki, a więc polegających na takim eksplorowaniu literatury, które dotyczy transponowanej w jej obręb przestrzeni, dochodzi kwestia tożsamości wynikającej z kooperacji topografii i myśli. Refleksja owa ma dwojakie oblicze. Mówimy o tożsamości zdeterminowanej przez pochodzenie, miejsce czy klimat językowo-kulturowy oraz o tożsamości niezeterminowanej, ukształtowanej wówczas, gdy twórca staje przed problemem wyboru kultury, języka, literatury, w których chce się realizować. Druga tożsamość staje się problemem dla emigrantów całkowicie zmieniających obszar geograficzno-kulturowy lub dla twórców przesuwających się do innej kultury istniejącej na tym samym obszarze geograficznym. W odniesieniu do Stefana Grabińskiego kwestia owych dwóch tożsamości przedstawia się interesująco i żywo, tym bardziej że jakiś czas temu lwowski pisarz Jurij Wynnyczuk podjął próbę przesunięcia autora *Demona ruchu* do ukraińskiej literatury z uwagi na jego ukraińskie pochodzenie, czyli starał się dokonać zamiany tożsamości pisarza z niezeterminowanej na zdeterminowaną. Powstał tym samym dyskusyjny, acz przecież nienowoty problem, który obok znamion sporu historycznego posiada także wartość z perspektywy geopoetyki. Można, nie po raz pierwszy zresztą, postawić pytanie, czy pochodzenie artysty odbija się w archetypicznej warstwie jego książek. Jakie znaczenie ma tu język twórczości, wykształcenie i profesja autora, rola, jaką odgrywa w kulturze, a wreszcie sama jego wola, będąca świadectwem związków z tą, a nie inną kulturą. Czy można wyodrębnić składniki jego dzieł łączące się z określonymi czynnikami biologiczno-etnicznymi? Historia – przykładowo – Josepha Conrada dowodziłaby, iż na powyższe pytania można odpowiadać w równym stopniu twierdząco, jak też

<sup>1</sup> Cyt. za E. Rybicka: *Geopoetyka (o mieście, przestrzeni i miejscu we współczesnych teoriach i praktykach kulturowych)* (w:) *Kulturowa teoria literatury. Główne pojęcia i problemy*. Red. M. P. Markowski, R. Nycz. Kraków 2006, ss. 470-480.

<sup>2</sup> E. Rybicka: *Geopoetyka...*, dz. cyt., s. 477.

<sup>3</sup> Tamże, s. 478.

<sup>4</sup> Tamże, s. 480.

przecząco. Proste konkluzje w tej kwestii pojawiają się stosunkowo rzadko. Nie udało się jak dotąd stworzyć w historii literatury schematu, z pomocą którego rozwiązywano by łatwo podobne problemy.

Jurij Wynnyczuk wydał w 2001 roku w redagowanej przez siebie serii literackiej niewielki tom przełożonych na język ukraiński opowiadań Grabińskiego pod tytułem *Duchy starego Lwowa* (*Духи старого Львова*). Opatrzył je wstępem, w którym jest wiele stwierdzeń prawdopodobnie atrakcyjnych dla miejscowego czytelnika w kontekście niczym się dzisiaj nieograniczającej reukrainizacji wielokulturowych lwowskich tradycji. Autor szermuje zawiadkami argumentami i uproszczeniami. Jest pewne, że tego typu informacje najszybciej się przyjmują i stają się podstawą ogólniejszych przekonań. Z tego względu warto się na chwilę przy wynurzeniach Wynnyczuka zatrzymać.

W krótkim wstępie do opowiadań zatytułowanym *Zbłąkany syn ukraińskiej literatury* (*Блудний син української літератури*) Wynnyczuk stwierdza, iż: *W historii naszej literatury nieobecne są nazwiska bardzo interesujących pisarzy tylko z tej przyczyny, że tworzyli oni w obcych językach. (...) Stefan Grabiński tworzył w języku polskim, a urodził się w Galicji w Kamionce Strumiłowej<sup>5</sup> w 1887 roku. Jego rodzice byli Ukraińcami wyznania greckokatolickiego. Ojciec, Denis Grabiński, sędzia powiatowy, należał do koła staroruskich patriotów, a brat jego był unickim księdzem. Tak więc w swoim rodzimym drzewie Grabiński nie miał z Polakami nawet wspólnej gałązki<sup>6</sup>.*

Dla czytelników prac o Grabińskim, chociażby pióra Artura Hutnikiewicza, ta informacja jest oczywista. Nie ma tu nic nowego poza stwierdzeniem, że Grabiński pisał w obcym dla siebie języku. Skąd zatem zdecydowane włączenie Grabińskiego w krąg ukraińskiej kultury – zabieg, który zaskakuje, ponieważ pisarz ten nie istnieje w historii ukraińskiej literatury XX wieku, ale może też cieszyć niektórych jej odbiorców, nabierających przekonania, że oto popularny lwowski publicysta i pisarz odzyskał „zbłąkanego”, a unikatowego autora? Trzeba zauważyć, iż skłonność do podobnych transferów daje się zauważyć na niemal całym świecie; nie ma w tej praktyce nic zaskakującego, ponieważ narodowość artysty i przynależność jego dorobku do danego kręgu językowego to nierzadko dwie różne kwestie. Zwłaszcza relacja ukraińsko-rosyjska jest bogata w podobne zjawiska, by przypomnieć choćby twórczość piszących po rosyjsku Mikołaja Gogola czy Grigorija Kwitki-Osnowjanenki. Pierwszy, choć ukraińskiego pochodzenia, został jednak pisarzem rosyjskim, a drugi ukraińskim, choć pisał także po rosyjsku. Wynnyczuk zaznacza, iż: *Polskość Grabińskiego w tym sensie jest wątpliwa, że choćbym nie wiem ile przejrzał różnych przedmów i artykułów, ich autorzy wychodzili ze skóry, żeby potwierdzić jego twórczość jako pisarza polskiego. Ale jeśli on jest takim szczerym Polakiem, to po co dowodzić tego takimi słowami: „jego pisarski dorobek należy, oczywiście, do literatury polskiej”<sup>7</sup>.* Argumentacja słaba, logicznie mało trafna. Mając na względzie całkowity brak ukraińskich tekstów poświęconych Grabińskiemu, tezę Wynnyczuka o „zbłąkanym synu ukraińskiej literatury”, który dzięki staraniom „późnego wnuka” wraca do macierzy, można równie dobrze podważyć za pomocą pokrewnego sposobu rozumowania: skoro o Grabińskim nie pisano na Ukrainie, to znaczy, że nie był Ukraińcem, natomiast skoro już się o nim pisze, to też jest to dwuznaczne, bo przecież gdyby był Ukraińcem, nie istniałaby taka potrzeba.

Wynnyczuk jako wytrawny fikcjotwórca powtarza niesprawdzone wieści, kiedy podaje, że Grabiński próbował zadebiutować w ukraińskich czasopiśmie („Diło”, „Literaturno-Naukowyj Wisnyk”) własną poezją w języku

<sup>5</sup> W Kamionce Strumiłowej urodzili się: Stefania Skwarczyńska – wybitna polska teoretyczka i historyczka literatury, teatrolożka, a także Stanisław Lempicki – polski uczony, pisarz, profesor historii oświaty i szkolnictwa, jeden z przedstawicieli filozoficznej szkoły lwowsko-warszawskiej, oboje pracownicy Uniwersytetu Lwowskiego im. Jana Kazimierza (przyp. B. B.).

<sup>6</sup> Ю. Винничук: *Блудний син української літератури* (w:) С. Грабінський: *Духи старого Львова*. Львів 2001, s. 3 (tłum. własne – B. B.).

<sup>7</sup> Tamże, s. 4 (tłum. własne – B. B.).

ukraińskim, ale nie zyskał żadnego uznania w oczach redaktorów. Podobno na przeszkodzie stanął mistycyzm autora. Ponieważ nie wiadomo na ten temat nic konkretnego, Wynnyczuk może podać właściwie każdą informację, byleby tylko była zgodna z intencją relokowania pisarza. W sumie najważniejsze jest, że... tak przecież mogło być. Artur Hutnikiewicz, najlepszy znawca biografii Grabińskiego, również powtarza wiadomości z drugiej ręki, ale komentując je, ujawnia ich hipotetyczny charakter i nie zdaje się wyłącznie na domysły. Ponadto Wynnyczuk nie mówi o twardych faktach – o tym, że Grabiński ożenił się z Polką, studiował polonistykę, był z zawodu nauczycielem języka i literatury polskiej, orientował się na religię katolicką, której był gorącym wyznawcą, stronił od ukraińskich kół literackich i środowisk politycznych, co jednak wynikało raczej z jego ogólnej niechęci do polityki niż z uprzedzeń narodowych. Można powiedzieć, że więcej polskości trudno byłoby znaleźć nawet w ponadprzeciętnie zdeklarowanym Polaku. Ale to pewnie też mogłoby się autorom pokroju Wynnyczuka wydać podejrzane – czy aby w ten sposób pisarz nie starał się zmylić ukraińskich pogoni narodowych? A mówiąc poważniej: Grabińskiemu atmosfera podgrzewanej w Galicji rywalizacji pomiędzy dwoma środowiskami narodowymi była zupełnie obca. Ideowo, estetycznie i jako człowiek funkcjonował w innych sferach. Przypomina to nieco postawę ukraińskiego poety Bohdana Ihora Antonicza, który dystansował się wobec ukraińskich idei narodowych w międzywojennym Lwowie. Warto przy okazji przeprowadzić historyczno-literacki eksperyment i zapytać o szanse akceptacji twórczości Grabińskiego w ukraińskiej literaturze dwudziestolecia międzywojennego. Biorąc pod uwagę ówczesny układ dominujących w niej nurtów ideowych i artystycznych, a także narodotwórcze przede wszystkim zadania stawiane tej literaturze przez krytyków i ukraińską opinię, można powiedzieć, że szanse na takową akceptację byłyby prawie żadne – że Grabiński pozostawałby zapewne jeszcze bardziej osamotniony jako pisarz i człowiek.

Moją intencją nie jest udowadnianie, że Grabiński nie był i nie będzie ukraińskim pisarzem. Mógłby nim być, tak jak jest pisarzem polskim, mógłby być również twórcą publikującym w dwóch czy nawet w trzech językach, jak Iwan Franko. Na obszarze Galicji nie było to niczym zaskakującym, a Grabiński jako autor jawnie i deklaracyjnie dwukulturowy mógłby uczynić sporo dobrego dla relacji między Polakami a Ukraińcami. Również i dzisiaj.

Jak już wspomniano, na obszarach Rzeczypospolitej wielonarodowość, zwłaszcza w typie znanym jako „gente Ruthenus, natione Polonus”, nie była niczym szczególnym. Mimo to dochodzi czasem do sytuacji, gdy próbuje się udowodnić – z lepszym lub gorszym skutkiem – „czystość” narodową danego autora lub gdy mówi się o jego nieetycznym zawłaszczeniu przez inną nację („kradzieży” twórcy). Bywa, że etniczna przynależność pisarza okazuje się – nie tylko na Ukrainie i w Polsce – czynnikiem wartościującym, a przede wszystkim rozstrzygającym o pozycji, poziomie akceptacji, a nawet wartości jego pisarstwa. Patrząc z innej perspektywy, można też powiedzieć, że istnienie twórców i zjawisk literackich znajdujących się na skrzyżowaniu kultur i języków, przez to zaś podważających nadrzędność jednoznacznych kryteriów narodowych, dodaje wigoru niejednej kulturze europejskiej, a na wschodzie kontynentu zwłaszcza kulturze polskiej.

Polacy nie mają już zasadniczo oporów w mówieniu o litewskich, a ostatnio nawet żydowskich korzeniach Adama Mickiewicza oraz wielu innych pisarzy, którzy uformowali polską literaturę romantyczną i modernistyczną. W literaturze polskiej tworzonej po roku 1918 znaleźć można liczne przykłady na asymilację i dysymilację, przyciąganie, odpychanie oraz krzyżowanie się różnych pierwiastków, które zadecydowały o jej nowoczesnym, artystycznym kształcie. Pierwsze porozbiorowe dziesięciolecie zdominowali poeci polscy pochodzenia żydowskiego (skamandryci i twórcy awangardy

krakowskiej) oraz pisarze pochodzący z obszarów wschodnich, przynoszący z sobą pierwiastki innych żywiołów narodowych (ukraińskiego, litewskiego czy białoruskiego). Bolesław Leśmian i Jarosław Iwaszkiewicz debiutowali po rosyjsku i mogli zostać pisarzami rosyjskimi (informacje o nich pojawiają się w niektórych rosyjskich słownikach literatury), natomiast Leśmian, Julian Tuwim, Jan Lechoń i Antoni Słonimski mogli znaleźć poczesne miejsce w literaturze żydowskiej (pisanej w języku hebrajskim i jidysz).

Pochodzenie Grabińskiego na tle tej mieszaniny etniczno-geopoetycznej nie powinno być zaskoczeniem. Warto przypomnieć postać Maksyma Rylskiego, wybitnego ukraińskiego poety doby sowieckiej, wywodzącego się z polskiej szlachty kresowej. Rylski jest w Polsce mało znany, a przecież jego życie i twórczość stanowiłyby znakomity punkt odniesienia do rozważań choćby o ukraińskości Grabińskiego lub – bardziej nawet – Iwaszkiewicza. W Czechach pojawiają się od dawna opinie, że Franz Kafka to pisarz co najmniej funkcjonujący w aurze kultury czeskiej, który nie należy do literatury niemieckiej, ale do niemieckiej szkoły czeskiej literatury (w celu takiego zaklasyfikowania twórczości Kafki powstał ów termin). Jako dowód przedstawia się chętnie urzędowe i osobiste listy pisane przez autora *Procesu* po czesku w ostatnich latach życia. W ten sposób Kafka stał się ikoną czeskiej Pragi i czeskiej kultury współczesnej. W Europie Środkowowschodniej, mówiąc o twórczej koegzystencji pierwiastków różnokulturowych w dorobku jednego pisarza, przywołuje się klasyczne już przykłady prozy Juliana Strykowskiego, Grigorija Kanowicza, Wasila Bykowa, a ze współczesnych choćby Lajosa Grendela. Sytuacja na Ukrainie sprowokowała w tym kraju debatę na temat tożsamości i przynależności narodowej pisarzy, co powinno ich obligować do zajmowania określonej postawy wobec poważnych zagadnień politycznych. Wypływają też tematy do tej pory przemilczane, których przedyskutowanie wymuszają aktualne wydarzenia polityczne. Taką kwestią jest choćby niedoistnienie we współczesnej ukraińskiej świadomości literackiej zdeklarowanych autorów ukraińskich piszących po rosyjsku (Wołodymyra Rafijenki i innych). Geopoetyka zamienia się tu w geopo-li-e-tykę.

Najważniejszym kryterium służącym określeniu narodowej przynależności pisarza jest zajmowane przez niego miejsce w obrębie danej kultury i w systemie literatury. Tymczasem Grabiński prawie nie istnieje w ukraińskich kontekstach literackim, krytyczno- oraz historycznoliterackim. Tym bardziej zaskakuje, że Jurija Wynnyczuka nie interesuje dwukulturowy, polsko-ukraiński wymiar problemu, ale przejęcie, transfer a priori, bez alternatywy. Grabiński – zdaniem Wynnyczuka – wart jest, aby go relokować w stronę kultury ukraińskiej w ramach procesu odzyskiwania zagrabionego dorobku kultury, powrotu do macierzy! Wynnyczuk wychylił się w stronę koncepcji, którą lansują narodowe środowiska ukraińskie, przekonane, że wszystko, co powstało na terytorium zajmowanym dziś przez Ukrainę, należy włączyć do dziejów ukraińskiej kultury, ponieważ najeźdźcy (Polacy, Rosjanie i inni) tę kulturę rozgrabili, a elity wykorzenili lub wyniszczyli; mówiąc inaczej: to, co można, należy rewindykować i traktować jako wyłączną własność ukraińskiego narodu. Tym samym Grabiński powinien zająć należną sobie pozycję w historii ukraińskiej literatury. Czy za nim powinni pójść inni polscy twórcy związani z Ukrainą poprzez „małoruskie” pochodzenie, miejsce urodzenia, zamieszkiwania lub tematykę twórczości? Jest ich wielu chociażby w samym Lwowie. Postkolonialny abordaż w odniesieniu do polskiej kultury we Lwowie i na Ukrainie Zachodniej nie zaskakuje, ponieważ takie jest dzisiaj nastawienie do wspólnej, historycznej przeszłości – tej chcianej i niechcianej. Lepiej ją mieć z sobą niż przeciwko sobie. Deklaratywnie, na zewnątrz, zmierza się w stronę wielokulturowości, a naprawdę, wewnątrz, działa się na rzecz polityki monoetnicznej. To jednak można zrozumieć, bo Ukraina jako naród i jako państwo wciąż się staje, a jej elity



żyją mitem państwa narodowego, zrodzonym u początków XX wieku. Jak już powiedziano, tendencja ta nie jest wcale marginalna i w innych krajach Europy Środkowej i Wschodniej.

### Grabiński: geopoetyka twórczości

*Dziedzina (Caryna)* z tomu *Szalony pątnik* (1920), przetłumaczona na język ukraiński przez Wynnyczuka w ramach *Duchów starego Lwowa*, jest utworem stosunkowo mało znanym. To nowela fantastyczna w warstwie fabularnej, a autobiograficzna i autotematyczna w warstwie narracyjnej – rodzaj autodefinicji pisarskiej, której nie można zignorować. Bohater *Dziedziny*, artysta Wrześmian (w ukraińskim przekładzie – Weres), doszedł – we własnym rozumieniu – do granic wyrażalności i zdolności sensotwórczej słowa pisanego, a chyba również i aktualnej formy fizycznego istnienia. Nierozumiany przez otoczenie, krytykę oraz publiczność „zamilkł i bezpowrotnie usunął się z widowni świata”<sup>8</sup>. W swojej samotni eksperymentuje, starając się zaprząć siłę własnej imaginacji do pracy kreatorskiej; chce docierać do głębin psychiki twórczej, podebrać najwyższej istocie sekret tworzenia. Wrześmian podejmuje experimentum crucis, w trakcie którego pragnie przemienić byty istniejące w swej jaźni w byty realne.

Wrześmianowa koncepcja tworzenia ma głębokie korzenie filozoficzne i literackie. Eksperymentujący artysta nawiąże do alchemicznej utopii Paracelsusa i poszukiwań doktora Fausta, w sensie literackim zbliży się zaś do Goethego, a z pisarzy późniejszych do Alfreda Kubina i Gustava Meyrinka, nie odrzucając przy tym zapewne wcześniejszych, mrocznych opowieści Ernsta Theodora Amadeusa Hoffmanna i romantyków. A jednak zaniepokojony narrator, porte parole autora, ostrzega: *myśli zrealizowane w pełni mogą stać się groźne i mściwe, zwłaszcza myśli obłąkane. Pozostawione sobie, bez punktu oparcia o rzeczywiste podłoże, mogą być niebezpieczne dla tego, kto je stworzył*<sup>9</sup>.

„Geist ist Teufel” – pisał Goethe w *Fauście*, mając na myśli skłonność do zuchwałości oraz nieliczenia się z prawami natury. W istocie Wrześmianowe experimentum crucis wyzwala iście demoniczne i złośliwe siły, przedrzeźniające patetyczną wizję boskiego szału tworzenia. Szalona wizja artysty zostanie wcielona, ale jednocześnie odsłoni tragiczną sprzeczność między wielkością pragnień a niedoskonałością ich urzeczywistnienia. Powstałe w efekcie wytężonej pracy wyobraźni wampiryczne byty intencjonalne zniszczą swojego twórcę, okazując się gromadą nieostatecznie uformowanych zmór. Finalnym rezultatem tych wszystkich starć siły ducha i potęgi materii (czy też natury) jest niedoskonały, groteskowy „niby człowiek, niby zwierzę, niby roślina” – homunkulus, przypominający jako żywo byty pojawiające się w Leśmianowskich balladach, w żydowskich opowieściach o golemach czy pałubach wyrrywających się do istnienia, ale niedoistniałych, niepełnych, parodiujących klasyczne kanony piękna.

Porażce Wrześmiana towarzyszy nie tylko „komentarz” w postaci groteskowego homunculusa, podważający zuchwałe, symbolistyczne marzenia o sięganiu po nowe przestrzenie oraz wdzieraniu się w tajemnice zarówno natury, jak i Boga, ale także wyraźny komentarz literacki. Odsłania on mało znane oblicze Grabińskiego. Zwykle widzi się w nim manierycznego fantastę, który spóźnił się ze swoją twórczością. Tymczasem podjęta w noweli polemika z Wrześmianem obala przekonanie o anachroniczności czy naiwności pisarza, uparcie jakoby trwającego przy swojej „manierze”. Narrator inteligentnie odsłania rusztowanie tekstu, objaśnia sens zastosowanych rozwiązań, a niektóre z nich wyszydza jako niedojrzałe. Eksponuje to, co w twórczości samego Grabińskiego było zapoznane lub niedostrzegane – autoironię, krytyczną samoocenę, dystans wobec konwencji. Polemika z Wrześmianem, pod

<sup>8</sup> S. Grabiński: *Dziedzina* (w:) tegoż: *Utwory wybrane*. T. 1. Oprac. A. Hutnikiewicz. Kraków 1980, s. 279.

<sup>9</sup> Tamże, s. 282.

którego postacią moglibyśmy widzieć samego autora, aranżuje dyskusję nad zagadnieniem artystycznej świadomości twórcy. Z tego względu należałoby uznać *Dziedzinę* za tekst metaliteracki, demonstrujący zarówno walory pisarstwa Grabińskiego, jak też ironicznie przedstawiane ograniczenia czy mankamenty. Ale to nie koniec dyskusji. Zauważamy u Grabińskiego nieczęstą, lecz wyraźną strategię autotematyczną – dygresyjność przechodzącą w polemikę krytycznoliteracką. W późniejszej nieco nowelce *U Wrześmiana* (z tomu *Cień Bafometa*, 1926) odautorski narrator poniekąd utożsamia się z własnym bohaterem: *Do ostatniej, najpospolitszej kategorii oceniaczy muzy Wrześmianowej należeli specjaliści od „wpływologii”. Zdaniem ich Wrześmian pozostawał pod silnym oddziaływaniem wszystkich możliwych fantastów świata, od papy A. Hoffmanna i E. Poego poprzez Stevensona, Villiersa de L’Isle Adama do współczesnego mu Meyrinka. Wrześmian był tym i tamtym, był nimi wszystkimi po trosze – tylko nie sobą, tylko nie Wrześmianem. Bo jakże inaczej być mogło? Gdzieżby też u nas coś podobnego?*<sup>10</sup>.

„U nas” to znaczy w środowisku polskich krytyków, którzy chętnie odmawiali twórczości Grabińskiego większej wartości (wyjątkiem był największy z nich – Karol Irzykowski, ale w tej sprawie wyjątkowo słabo słyszalny). Do ukraińskiej publiczności Grabiński w ogóle swoich tekstów nie adresował, choć jej zapewne nie ignorował, chorując na brak większego zainteresowania. Grabiński ujawnia się jako czytelnik i znawca literatury grozy, fantastyki, jako czytelnik Ernsta Theodora Amadeusa Hoffmanna, Gustava Meyrinka, Franza Kafki i innych. Broni odrębności własnego pisarstwa, jego artystycznej wartości, oryginalności. Kompromituje nawyk porównywania poprzez doszukiwanie się literackich wpływów i jeszcze gorszy nawyk postrzegania literatury miejscowej jako drugorzędnej.

My jednak musimy w tym momencie obronić kompromitowaną „wpływologię”, gdyż pozwoli ona nieco inaczej spojrzeć na problem Grabińskiego. Gdy autor *Cienia Bafometa* wymienia pisarzy, zajmuje jednocześnie pośród nich miejsce, którego jest w pełni świadomy. Znakomity *Demon ruchu* to niebanalne „opowiadania kolejowe”. Autor zawarł w nim koncepcję zbliżenia świata biologicznego oraz transcendentnego, duchowego, ze światem materii, a także światem techniki, maszyn. Jest w tym bliski Meyrinkowi i Kubinowi. Pewnie też niedaleko mu do Brunona Schulza i jego *Ulicy Krokodyli*. A potem się okaże, że inny lwowianin, Stanisław Lem, zresztą wielki admirator Grabińskiego, uzna fantastyczność literatury – to nic, że już nieco inaczej rozumianą – za jej podstawową wartość. To są pisarze lwowscy, galicyjscy, przejawiający podobne, szczególne cechy, możliwe do wychwycenia poprzez jakąś część wspólną, res comparationis.

W charakterystyce twórczości Grabińskiego zwraca się uwagę na takie elementy jak: mistycyzm; okultyzm; wiarę w wędrówkę dusz; antropozofię; faustyzm albo golemizm; utopizm spirytualistyczny, przekonanie o istnieniu wyższego ładu duchowego; brak stwierdzeń, polemik, oświadczeń wskazujących, iż utwory owe mieszczą się w jakimkolwiek narodowym dyskursie patriotycznym albo że ideologicznie są zorientowane na jakiś dyskurs polityczny czy społeczny. To pisarstwo sytuuje się na antypodach twórczości np. Stefana Żeromskiego. Geopoetycki aspekt dzieł Stefana Grabińskiego nie opiera się na pochodzeniu czy wspólnocie politycznej, ale na specyficznym doborze elementów literackich, które mało znany lwowski pisarz wyławiał ze środkowoeuropejskiego paradygmatu literackiego, rozumianego oczywiście zgodnie z klasycznymi już rekonstrukcjami pióra Milana Kundery, Claudia Magrisa i Aloisa Woldana, a także Ewy Wiegandtowej (mit Austria felix).

Są jeszcze inne elementy charakterystyczne dla Stefana Grabińskiego jako twórcy wpisującego się swoją prozą w szerszy kontekst środkowoeuropejski. Warto podkreślić związki z ówczesnym ekspresjonizmem i kinem. Kino

<sup>10</sup> Tamże, s. 264.

środkowoeuropejskie żyło wtedy szczególną fantastyką i fabułami opartymi na pierwiastku grozy, sięgając w tym zresztą do tradycji jarmarcznych. Fantastyka filmowa w kinie niemych okazywała się całkowicie ponadnarodowa, obojętna na ambicje i spory etniczne. Po roku 1910 w środowiskach artystycznych monarchii austro-węgierskiej dyskutowano na temat książki rysownika i malarza Alfreda Kubina *Po tamtej stronie* (1909). Kubin przedstawił w tej powieści fantastyczną i dekadencją rzeczywistość społecznej utopii, która ulegnie totalnej zagładzie. Swoją twórczością wpłynął na środkowoeuropejskich ekspresjonistów i zwolenników fantastyki różnej maści. W 1913 roku wyświetlano w Europie Środkowej film Hannsa Ewersa i Paula Wegenera *Student z Pragi* (1913), zahaczający o motywy wilde'owskiego sobowtóra i szatańskich mocy przetwarzania, z akcją osadzoną w umownych realiach Pragi. Produkcja owa poprzedziła słynną praską powieść Gustava Meyrinka *Golem* (1914) i nakręcony na jej podstawie film Wegenera z 1920 roku. Utwory Grabińskiego też były przenoszone na ekran. Uwagę zwraca wciąż robiący duże wrażenie film grozy *Kochanka Szamoty* z 1927 roku w reżyserii Leona Trystana, oparty na noweli Grabińskiego pod tym samym tytułem.

Warto podkreślić bardzo szczególny klimat artystyczny łączący – pomimo innych oczywistych różnic – dzieła Kubina, Meyrinka, Ewersa, wiedeńskich, berlińskich i krakowskich ekspresjonistów (formistów), a także praskich nadrealistów, później natomiast utwory kolejno Grabińskiego i Brunona Schulza. Wszystkich tych autorów wiąże ich przekonanie o paralelności i koegzystencji światów; wierzą oni w siłę umysłu jako instrumentu zdolnego do eksploracji światów paralelnych, uważają, że świat, mimo różnic, jest jednością w punkcie wyjścia i w punkcie dojścia, że człowiek to tylko jedna z wielu form bytu, a dynamiczna natura (natura naturata) jest depozytariuszką wiecznych praw nie tylko fizycznych, ale też duchowych. Twórców tych łączy też podobieństwo idei i tematów: ograniczenie estetyki realizmu i nacisk na wizjonerstwo, neuroza jako temat twórczości, przekonanie o możliwości i sensowności transfiguracji, poetyka oniryczna, groza połączona z tragikomiczmem, skłonność do eksponowania odmienności, krytyka bezdusznego świata pieniądza i maszyny, spirytualny utopizm związany z dystansem do współczesnego, kapitalistycznego społeczeństwa.

Zespołem wartości artystyczno-kulturowych wywierającym wpływ na twórczość Grabińskiego może być zatem szczególna geopoetyka ufundowana nie na określonej tradycji narodowej, lecz na bazie specyficznej wielokulturowości, stanowiącej połączenie pierwiastków regionalnych i europejskich, w tym zwłaszcza lokalnych mitów literackich i uniwersalnych tradycji gnostycznych, a również okultystycznych. Literatura ta głównie naciskała na odsłanianie niepenetrowanych wcześniej aspektów ludzkiej psychiki kreującej paralelny świat nadzmysłowości, tajemnicy, grozy i wyjątkowych stanów duszy. Można tu mówić o swego rodzaju fantastyce, ale byłoby to uproszczenie, bowiem w istocie chodzi o szczególny projekt wiążący literaturę z poglądami, zgodnie z którymi świat jest duchową jednością, jak w alchemii czy doktrynach hermetystycznych. W Europie Środkowej naraz pojawiło się sporo pisarzy mniej lub bardziej związanych z tym nurtem. Według mnie twórczość Grabińskiego, wyzbyta szczególnych cech etniczno-geograficznych (choć znajdziemy w niej niemało topograficznych, galicyjskich szczegółów, nic na pewno nie wskazuje na ich ukraińskość) należy niewątpliwie w o wiele większej mierze do nurtu fantastycznej prozy środkowoeuropejskiej (poprzez zainteresowanie tym, co transcendentalne, wątki golemiczne i wampiryczne, poetykę absurdu i grozy) niż do jakiegokolwiek dającego się zdefiniować nurtu etniczno-narodowego. To pozwala czerpać z owego dorobku Polakom i Ukraińcom w jednakowym stopniu. Chciałoby się zresztą, by zamiast tekstu Wynnyczuka, mającego na celu relokację tego pisarstwa, powstała dobra ukraińska monografia o Stefanie Grabińskim jako

twórcy z Galicji i Środkowoeuropejczyku, która ukazałaby jego związki z co najmniej trzema kulturami: polską, ukraińską i niemiecko-żydowską.

W przypadku twórczości Grabińskiego mamy do czynienia z tożsamością hybrydyczną (tak jak ją rozumie Homi Bhabha). Owa tożsamość nie jest jednak hybrydą złożoną z pierwiastków etnicznych i społeczno-politycznych. Można tu mówić wyłącznie o hybrydycznej topografii kultury duchowej i symbolicznej. Grabińskiego „duchy starego Lwowa” funkcjonują w obszarze Europy Środkowej i łączą się z tą jej kulturową – a nie polityczną – przestrzenią, którą zasadnicza część polskiej publiczności, a tym bardziej ukraińskiej, w zasadzie ignorowała. Taka literatura nie mieściła się w kręgu ówczesnych zainteresowań ani opiniotwórczych kół polskich i ukraińskich, ani też aktywnych w Galicji politycznych kręgów syjonistycznych. Twórczość Stefana Grabińskiego wywodzi się z tradycji Alana Edgara Poego oraz niemiecko-żydowsko-okultyzycznej, o czym zdecydował świadomy wybór kierunku estetyczno-filozoficznego oraz literackiego. Zwłaszcza okultyzm wyznacza w tym wypadku krąg ponadnarodowy, wpisując autora w kontekst pewnego stylu środkowoeuropejskiego i światowego filozofowania zakreślony przez takie postacie jak Rudolf Steiner, Helena Bławatska, a później na przykład Franz Bardon. Nazwiska te są powszechnie znane, ale mniej już mówi się, że tradycja okultyzmu literackiego została zniszczona najpierw przez totalizującą estetycznie awangardę, następnie zaś przez totalitaryzmy polityczne. Sądzę, że przede wszystkim w sensie literackim warto byłoby raczej wprowadzić pisarstwo Grabińskiego w przestrzeń badań odnoszących się do zróżnicowanej refleksji o środkowoeuropejskim ekspresjonizmie i nadrealizmie, mówiących o wydających na tych terenach owoce gnostycznych i alchemicznych korzeniach literatury, niż przenosić go z jednej przestrzeni narodowej po to, by przyspilić do drugiej, co nie przysporzy samemu autorowi i jego pracom żadnych korzyści.

Stefan Grabiński, niewyrywany na siłę z kontekstu literatury czy nawet kultury polskiej, mocniej wpisuje się w przestrzenie, które zagospodarowuje geopoetyka wskazująca na zjawisko literatury środkowoeuropejskiej jako fenomenu ponad- czy wielonarodowego. Owa kulturowa i estetyczna przestrzeń wykazuje pewnego typu neutralność wobec indywidualnych zagadnień narodowych lub politycznych, ale ich nie neguje. Oznacza to, że Grabiński nadal pozostaje pisarzem polskim ukraińskiego pochodzenia, ale instrumenty służące lepszemu poznaniu jego złożonej twórczości znajdziemy na obszarach zagospodarowanych przez utwory składające się na literaturę środkowoeuropejską. Projekt literatury środkowoeuropejskiej neutralizuje próby uprowadzania pisarzy z jednego środowiska narodowego do innego. Sprzyja za to budowaniu między nimi relacji poprzez wskazywanie wspólnych cech artystycznych w twórczości autorów na pozór „niezadomowionych” w swoich macierzystych literaturach, ale odnajdujących własne miejsce w języku oraz – albo przede wszystkim – w estetyce i w pewnych krajobrazach, których istotą jest nie konkretna geografia, ale zespół wartości związanych z danym regionem. Literatura środkowoeuropejska to kategoria jakby wręcz stworzona dla takich pisarzy jak Grabiński. Geopoetyka jego twórczości ewokuje tożsamość niezdeterminowaną, której istotą jest topografia duszy środkowoeuropejskiej, uobecnia przestrzenie domyślne, jak u Franza Kafki, zakorzenione nie w geografii jednej, dającej się przywołać przestrzeni, ale wśród wielu miejsc o podobnej charakterystyce, atmosferze, klimacie, nastroju. To wszystko nie pozwala sprowadzić twórczości Stefana Grabińskiego do banalnego sporu o pochodzenie. Sam pisarz wierzył, że najistotniejszy jest punkt dojścia osiągnięty w procesie doskonalenia. Ten zaś ukrywa się w środkowoeuropejskiej geopoetyce.

*Bogusław Bakula*

## Wizerunek księdza w kulturze polskiej w XXI wieku

### Część II

#### Wstęp

Przesłanki, które skłoniły nas do namysłu nad obrazem kapłana we współczesnej kulturze, przedstawiliśmy w poprzednim numerze „Akcentu”. Opublikowana wówczas pierwsza część ankiety wzbudziła duże zainteresowanie. Z uwagą i wdzięcznością wysłuchaliśmy słów arcybiskupa Stanisława Budzika, który podczas spotkania z autorami tego tomu w Radiu Lublin powiedział m.in.:

*Bardzo zainteresowała mnie ankieta „Wizerunek księdza w kulturze polskiej w XXI wieku” i odpowiedzi udzielone przez księdza profesora Alfreda Wierzbickiego oraz ojca Tomasza Dostatniego. W wypowiedzi księdza Alfreda poruszyło mnie nawiązanie do kapłanów, którzy na oczach całego kraju zmagali się z chorobą i cierpieniem, jak ksiądz Jerzy Tischner czy ksiądz Jan Kaczkowski. W 1991 roku papież Jan Paweł II odwiedził ciężko chorego księdza Tischnera. Swoje wrażenie z owego spotkania spisał nieżyjący już dziś koordynator papieskiej pielgrzymki biskup Chrapek: „Jednym z najbardziej wstrząsających momentów pielgrzymki było spotkanie (...) [tych] dwóch przyjaciół, a zarazem dwóch ludzi dotkniętych cierpieniem, spotkanie ludzi, którzy kochając Kościół, na różny sposób przyjęli krzyż. Patrzyłem z podziwem, jak dźwiga go ksiądz profesor: odważnie, z godnością. Ten uścisk, ucałowanie, przytulenie – bo papież przytulił swojego przyjaciela – były jak uścisk dwóch olbrzymów, którzy szukają niełatwych odpowiedzi na trudne pytania, a którzy również podpierają Kościół swoją niemocą”. To piękne, głębokie słowa, że można podpierać Kościół nie tylko tym, czego się dokonało, ale także swoją niemocą, cierpieniem. (...)*

*Z kolei ksiądz Tomasz w swojej – też bardzo interesującej – odpowiedzi nawiązał do wizji Polski jagiellońskiej, która mocno wybrzmiała w papieskiej księżce „Pamięć i tożsamość”, a której cechą charakterystyczną jest wielość, pluralizm, a nie ciasnota i zamknięcie. Jan Paweł II pisał: „wydaje się, że ten jagielloński wymiar polskości przestał być, niestety, w naszych czasach czymś oczywistym”. Ja bym powiedział nawet więcej: zupełnie został zapomniany i jest chyba niedoceniany. W to zapomnienie wpisuje się na przykład nasza obawa przed uchodźcami. A wielka Rzeczpospolita potrafiła łączyć, jednoczyć, pokazać swą wielkość właśnie przez ten dialog religii, kultur, narodowości. (...)*

Dziękując za te – i wszystkie inne – cenne opinie i refleksje, które pozwalają poszerzyć przedstawiony w ankiecie krąg tematów, przypominamy, że o jej wypełnienie poprosiliśmy zaprzyjaźnionych z „Akcentem” duchownych. Interesowały nas zwłaszcza takie zagadnienia, jak: ocena obrazu kapłanów, który kreowany jest obecnie w filmach, książkach, tekstach prasowych i przekazach medialnych, temat aktywności pisarskiej księży, także w kontekście twórczości własnej osoby ankietowanej, czy kwestia wpływu, jaki na wizerunek stanu kapłańskiego mają wypowiedzi i działalność papieża Franciszka. Prosiłmy również o wskazanie istotnych postulatów (projektów reform), które formu-

lowane były w ostatnim piętnastolecu ze strony środowisk świeckich w odniesieniu do życia osób duchownych, i o opinie, jak owe postulaty są przez duszpasterzy odbierane. Ponadto pytaliśmy, czy w kulturze masowej (filmach kinowych, serialach telewizyjnych, literaturze popularnej) pojawiły się ostatnio utwory mające znaczący wpływ na sposób postrzegania księży/kapłanów, a jeśli tak, jakie to były utwory i co zdecydowało o ich popularności; jak wygląda potoczne wyobrażenie na temat codziennego życia duchownego i w czym wyobrażenie to odbiega od rzeczywistości; czego, zdaniem ankietowanego, przede wszystkim oczekują od kapłanów wierni (wzmacniania w wierze, udzielania wsparcia moralnego, zaangażowania w kulturę i kwestie społeczne, politykę, działalność charytatywną, dostarczania wzorów osobowych); z jakimi postawami wobec osób duchownych można się spotkać podczas pełnienia posługi kapłańskiej i jakie z nich obecnie przeważają; jakie powinny być cechy dobrego kapłana, by zyskał szacunek i poparcie społeczeństwa.

Zaznaczaliśmy, że formułowane przez nas zagadnienia mają charakter głównie sugestii, a ostateczną decyzję co do treści i formy wypowiedzi zostawiamy osobom ankietowanym (nie zmienia to – dodajmy – faktu, że już sam wybór jednej kwestii, a pominięcie innych może być przez czytelnika uznany za w pewnym stopniu znaczący). W rezultacie – jak sądzimy – udało nam się przynajmniej zasygnalizować istnienie w dzisiejszym Kościele katolickim w Polsce różnych postaw, opinii, a przede wszystkim – odmiennych osobowości i temperamentów (pamiętajmy oczywiście, że nasza ankieta – w zgodzie z profilem „Akcentu” – adresowana była wyłącznie do księży aktywnych pisarsko, działających w sferze kultury lub nauk humanistycznych). Przypomnijmy, że dotychczas wypowiedzieli się ks. prof. Alfred Wierzbicki, o. Tomasz Dostatni i ks. prof. Jan Sochoń. Kolejne teksty zaprezentujemy w następnym numerze „Akcentu”.

Łukasz Janicki

WACŁAW OSZAJCA SJ

## W służbie Kościołowi

Zacznę od paru zastrzeżeń natury terminologicznej. Nie lubię słowa „kapłan”, bo w chrześcijaństwie kapłanem jest jedynie Jezus Chrystus. My, duchowni, jesteśmy wyświęceni, ordynowani, na starszych Kościoła, czyli wspólnoty ochrzczonych. Tak więc papież, biskupi, prezbiterzy i diakoni to jeszcze nie Kościół, ale służy Kościoła. Istniejemy dla Kościoła, a nie odwrotnie. Nie jesteśmy właścicielami Kościoła, ale zostaliśmy – że tak powiem – powołani do jego obsługi. Sprawujący władzę w Kościele, jeśli czegoś w pierwszym rzędzie winni się wystrzegać, to naśladowania władz świeckich, politycznych. Wszystko jedno, czy będą to cesarze, prezydenci, królowie czy wojewodowie. Przewodniczenie w Kościele polega nie na wydawaniu rozkazów ani nawet nie na sądzeniu i skazywaniu lub karaniu, ale na służbie. Jezus, jako jedyny kapłan, zanim powierzył Kościół apostołom, najpierw umył im nogi i polecił, by postępowali podobnie. Dlatego Kościół nie może być wciąż feudalnym cesarstwem, skupiającym królestwa i księstwa, lecz – jak mówi ojciec święty Franciszek – powinien stać się polowym szpitalem, przygarniającym, gromadzącym grzeszników, z samym papieżem na czele. *Nie powinniśmy się gorszyć. Takie jest życie Kościoła. Wszyscy jesteśmy święci, ponieważ mamy Ducha Świętego, ale wszyscy jesteśmy też grzesznikami* – mówi Franciszek.

Takie podejście – biblijno-soborowe – w polskim społeczeństwie i w polskim Kościele nie dość, że nie znajduje zrozumienia, to w dodatku budzi spory opór. Jesteśmy mocno sklerykalizowani i nie wiem, kto bardziej – kler czy ludzie świeccy. Ktoś nawet powiedział, że taki stan obydwu stronom odpowiada. Łatwiej jest prowadzić punkt usługowy ślubno-chrzcielno-

-pogrzebowy niż parafię pojmowaną jako wspólnota, a nie agregat. Ale aby owa wspólnota powstała, parafia musi przestać być beneficjum, czyli czymś na kształt dawnego folwarku. Wiele do życzenia pozostawiają też relacje proboszcz – wikariusz. Plebania powinna być nie hotelem, ale domem starszych Kościoła, otwartym – jak mówi Franciszek – dzień i noc dla parafian.

Ciekawa rzecz, że znakomicie wyczuli tę potrzebę twórcy seriali: *Plebania*, *Ranczo*, *Ojciec Mateusz*, *Siostrzyczki* czy filmu *U Pana Boga za piecem, w ogródku i za miedzą*. Doskonale obecny stan Kościoła w Polsce opisał w swojej trylogii Jan Grzegorzczak.

Dużo dobrego dałoby polskiemu Kościołowi, gdybyśmy łaskawszym okiem spojrzeli na *Traktat teologiczny* Czesława Miłosza, *Tryptyk rzymski* Karola Wojtyły czy twórczość Leszka Kołakowskiego, zwłaszcza jego esej *Jezus ośmieszony*. Wciąż na cenzurowanym są teolog ojciec Wacław Hryniewicz czy „Tygodnik Powszechny”. Śpią też nasze wydziały teologiczne. Kiedy przeniesione zostały na uniwersytety, myślałem, że teologowie wejdą w dialog z naukowcami zajmującymi się innymi dziedzinami badań. Niestety tak się nie stało i w rezultacie na tym polu dalej działa tylko ksiądz Michał Heller.

Nie doczekaliśmy się również rzetelnej dyskusji – choćby na synodach diecezjalnych – nad zagadnieniem struktury personalno-terytorialnej parafii i diecezji, a także nad tak poważnymi tematami jak odpowiedzialność moralno-religijna chrześcijanina za kształt polityczny kraju, ochronę środowiska, kulturę i życie społeczno-zawodowe. Jeśli już o czymś (powiedzmy) rozmawialiśmy, to o aborcji, gender, czasami o eutanazji, antykoncepcji – i na tym koniec. Niejednokrotnie na takie zawężenie etyki chrześcijańskiej zwracał uwagę Franciszek, ale jego głos najczęściej tylko odbija się od naszych głów czy od murów świątyń i wraca nam do uszu co najwyżej zniekształconym echem.

Oddzielną kwestię stanowi twórczość literacka duchownych, zarówno zakonnic, jak i prezbiterów zakonnych i diecezjalnych, a nawet biskupów. Nie mnie oceniać nasz dorobek, ale zjawisko to mówi samo za siebie – zwłaszcza za sprawą dużej, jak na owo środowisko, liczby publikacji. Dlaczego piszemy? Myślę, że powodów jest sto plus jeden, i tym jednym jest poszukiwanie języka, który mocniej przylegałby do mentalności ludzi współczesnych. A że przy okazji ten i ów z nas osiągnął coś więcej, to znak, że w społeczeństwie nadal żywa jest tęsknota za – mówiąc po miłoszowemu – „drugą przestrzenią”.

Największy kłopot sprawia nam jednak papież Franciszek, mówiąc o klerikalizmie. Temat klerikalizmu podjął już wcześniej Benedykt XVI. Wypominanie tego grzechu polskim biskupom i księżom, ale też jakiejś części katolików świeckich zorientowanych integrystycznie i prawicowo spotkało się z ostrym sprzeciwem. Franciszkowi stawia się wprost zarzut odejścia nie tylko od tradycji, ale i od Biblii.

Ważną rolę odgrywa tu także przeszłość. W latach 80. Kościół pełnił cały szereg funkcji zastępczych – społeczno-politycznych i kulturalnych – co dało duchownym mocną pozycję społeczną, dzisiaj widać, że kosztem autorytetu religijnego. Obecnie obraz księży czy tym bardziej biskupów, a już najbardziej zakonników, z jakim najczęściej można się spotkać w codziennych kontaktach i środkach społecznego komunikowania, rozpięty jest, a właściwie zawieszony, na dwu biegunach. Kapłana postrzega się dziś albo jako kompletnego abnegata, żeby nie powiedzieć: socjopatę, albo jako bezcielesnego anioła, półboga. Wciąż nie może się przebić biblijny obraz księdza, czyli starszego Kościoła, tak jak Paweł Apostoł własnymi rękoma zarabiającego na utrzymanie i mającego świadomość, że jest grzesznikiem, nieszczęsnym człowiekiem, który wie, jak powinien żyć, i wie, że tak nie żyje. Wie jednak przede wszystkim dlatego, bo wierzy, że jego powołaniem jest nie rządzenie, i to na wzór polityka, ale towarzyszenie siostrom i barciom, z poszanowaniem dla ich sumień, czyli wolności. Wciąż o tym przypomina Franciszek i wciąż w naszym kraju za to obrywa.

Jednocześnie coraz wyraźniej widać, że Kościół, tj. wszyscy ochrzczeni świeccy katolicy, oczekują od nas ducha braterstwa, czyli towarzyszenia, a nie nawracania. Jan Maria Vianney mawiał, że jak cię o Boga nie pytają, to o Bogu nie mów, ale żyj tak, żeby cię o Niego zapytali. Współwyznawcy oczekują więc od nas umiejętności dostrzegania religijnego sensu zwłaszcza w wydarzeniach, które wydają się przeczyć dobroci Boga. To dziwne, ale takie oczekiwania, przecież całkowicie religijne, sprawiają nam, duchownym, najwięcej kłopotu, którego próbujemy się pozbyć. Dlatego chętniej podejmujemy się budowy kościoła czy plebanii, a nawet nadmiernego mnożenia nabożeństw, ceremonii quasi-religijnych takich jak święcenie centrów handlowych czy mostów. Unikamy natomiast kontaktów bezpośrednich – twarzą w twarz, a nie tylko na przyjęciach weselnych czy pierwszokomunijnych. Za mało nas w szpitalach, więzieniach, hospicjach, bibliotekach, za dużo zaś w biurach, kancelariach, a i w polityce.

Obecnie zjawiał się jeszcze inny groźny sposób realizowania powołania. Nadarza się nam okazja wykorzystania państwa dla celów kościelnych. Nie zauważamy – czy też nie chcemy zauważyć – że posadzenie polityka na ołtarzu, a biskupa na sejmowej mównicy nic dobrego społeczeństwu nie wróży. Państwa wyznaniowe, które – jak mówi Leszek Kołakowski – chcą zaprowadzić „dyktaturę miłości”, zawsze – jak stwierdza papież Franciszek – swój żywot kończyły źle. Jeśli zatem o coś starsi Kościoła powinni dbać, to o to, by katolicy, którzy należą przecież do wszystkich możliwych partii politycznych, byli ludźmi dialogu i kompromisu, a nie walki na śmierć i życie.

Czy jest się czym szczycić? Polska Caritas, Polska Akcja Humanitarna, Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, wreszcie – lokalne dzieła charytatywne. Wszędzie tam są chrześcijanie, jednak wciąż za mało o nich słychać. Ale o to możemy mieć pretensję do samych siebie. Wiele mediów związanych tak czy inaczej z Kościołem woli kompleksowo zbawiać cały naród i walczyć o Polskę, zamiast pilnować ducha Ewangelii, to znaczy posłuchać ludzi, którzy są przecież ludem Bożym i to przez nich Bóg mówi do nas, starszych Kościoła. Starszych nie wiekiem, ale służbą.

*Wacław Oszajca SJ*

KS. KRZYSZTOF GUZOWSKI

## **Gdzie szukać prawdy?**

Obraz osób duchownych kreowany dziś w filmach, książkach, tekstach prasowych i przekazach medialnych znacznie odbiega od rzeczywistości. Wydaje mi się, że niewiele jest obecnie czasopism, które by się nie poddały ogólnemu trendowi „wybiórczego” traktowania informacji, głównie w trosce o to, aby pismo dobrze się „sprzedało” i było ciekawe. Żądza sensacji uniemożliwia wielu dziennikarzom spokojne i wyważone opisywanie rzeczywistości. Podobnie jest w przypadku literatury. Książki Dana Browna i Paula Coelho nie stanowią rzetelnego źródła wiedzy o świecie, gdyż służą przede wszystkim przekazywaniu określonych poglądów, a nie prezentacji faktów. Dlatego dla poznania rzeczywistości trzeba dziś czerpać wiedzę z pierwszej ręki, bezpośrednio kontaktując się z różnymi osobami oraz czytając publikacje uwzględniające złożoność życia człowieka (wielość pasji, powołań, form zaangażowań społecznych i ewangelizacyjnych) i zwyczajną prawdę o ludzkim losie, w którym przeplatają się – jak wszędzie – światła i cienie naszych możliwości i wyborów. Najodpowiedniejszym źródłem informacji o życiu osób duchownych są ich autobiografie.



W przeciągu ostatnich 20 lat pojawiło się kilka produkcji telewizyjnych pokazujących raczej pozytywny obraz księdza, jak na przykład *Plebania* czy *Ojciec Mateusz*. Serialu komediowego *Ranczo* nie zaliczałbym do grupy filmów, z których można by czerpać wiedzę o stanie kapłańskim, a serial o tematyce kryminalnej *Ojciec Mateusz* więcej mówi o charakterach bohaterów niż o codzienności życia w parafii. W *Plebanii* chyba najbardziej zbliżono się do polskich realiów oraz rzeczywistych spraw, którymi żyją małe społeczności. Nie znam badań, jak filmy owe wpływają na widzów, niemniej odbiór bohaterów jest raczej pozytywny. I choć nie mówią one zbyt wiele o życiu „zwyčajnego” księdza, nawet satyryczny obraz duchownego z *Rancza* nie budzi negatywnych emocji w stosunku do ukazanej na ekranie postaci.

Spotkałem się osobiście przynajmniej z kilkunastoma księżmi i siostrami zakonnymi piszącymi wiersze, znam natomiast twórczość kilkudziesięciu duchownych. Oceniając zjawisko poezji kapłańskiej, trudno przyłożyć do niego jednolitą miarę. Różnorodność jest tu przeogromna – począwszy od form literackich, a skończywszy na tematyce. Gdybym jednak musiał przyjąć jakieś kryterium oceny, to zwróciłbym uwagę przede wszystkim na te utwory, które odsłaniają specyfikę powołania kapłańskiego i z tym związane – owiane tajemnicą – problemy. Poezja kapłańska należy do wartościowych czynników kulturotwórczych. W gronie jej autorów można znaleźć wielu wybitnych ludzi pióra. Mnie w moich wierszach zajmuje przede wszystkim mistyka codzienności i dzięki pisaniu rzeczywiście odkrywam coraz bardziej, że każde dobro i piękno wskazuje na geniusz Stwórcy i Jego miłość. Twierdzę, że poezji nie da się uprawiać bez umiejętności zdumiewania się i zachwytu.

Spśród wielu postulatów kierowanych ze strony osób świeckich bezpośrednio do mnie, ale pod adresem wszystkich duchownych wymienię dwa. Często pojawiają się apele, aby księża głosili homilie na bazie Ewangelii i osobistego doświadczenia Boga, a nie traktowali wiernych „po macoszemu”, forsując swoje poglądy lub beznamietnie czytając z kartki. Poza tym spotkałem się z głosami, żeby podziałów politycznych nie przenosić na ambonę, lecz cierpliwie i z miłością wyjaśniać sprawy, które dotyczą wiary i moralności. Jeden z profesorów KUL przypomina, że ewangelia to „dobra nowina”, a nie nowina zła. Język kaznodziejski jest dziś zbyt skażony żargonem telewizyjnym i gazetowym. Bardzo dobre kazania – zgodne z naukami biblijnymi i powiązane z życiem – głoszą na ogół księża pracujący w małych wspólnotach.

Zazwyczaj słowa papieża Franciszka są odbierane pozytywnie, szczególnie ze względu na ujmującą szczerość papieża i jego prostolinijność. Niektórzy duchowni jednak odczytują wypowiedzi ojca świętego jako zbyt moralizatorskie. Ja uważam, że gdy czyta się je w całości, a nie poznaje jedynie na podstawie fragmentów cytowanych w mediach, ocena może być tylko pozytywna.

Na temat powszechnego wyobrażenia o codziennym życiu osób duchownych trudno wypowiadać się jednoznacznie, gdyż należałoby podzielić potencjalnych respondentów z grona osób świeckich na trzy grupy: a) na tych, którzy należą do wspólnot apostołskich i modlitewnych i mają częsty bezpośredni kontakt z duszpasterzami; b) na tych, którzy informacje czerpią z niedzielnych ogłoszeń oraz c) na tych, którzy dowiadują się o życiu księży z drugiej lub trzeciej ręki. Ja sam mogę stwierdzić, iż nie mam prawie żadnej wiedzy na temat codzienności księży zakonnych i mnichów, gdyż jestem księdzem diecezjalnym i pracownikiem naukowym.

Na pytanie, czego przede wszystkim oczekują wierni od kapłanów, można odpowiedzieć – za papieżem Benedyktem XVI – jednym zdaniem: aby byli specjalistami od spraw duchowych i umiejętnie pomagali ludziom w trudach codziennego życia. Poważani są również duchowni zaangażowani w kulturę i sprawy społeczne, pod warunkiem, że nie czynią tego kosztem duszpasterstwa i obecności w parafii. Wierni cenią ponadto tych kapłanów, którzy troszczą się o parafię w sensie materialnym.

Najważniejszą cechą dobrego kapłana zjednującą mu szacunek i poparcie społeczeństwa jest według mnie świadomość swojej tożsamości. Mój przyjaciel, wybitny teolog włoski Bruno Forte, został kiedyś poproszony przez radę rektorów wyższych uczelni w Hiszpanii o wygłoszenie wykładu inauguracyjnego. W rozmowie prywatnej z prezydentem rady spytał, dlaczego to on akurat został wybrany, skoro wielu akademickich uczonych deklaruje się jako ludzie niewierzący? Otrzymał wówczas odpowiedź: „Ponieważ ksiądz profesor jest wierzącym teologiem, a my chcieliśmy się dowiedzieć, czym naprawdę jest teologia...”. Tu nasuwa się zdanie Jezusa: „Jeśli sól utraci swój smak, czymże ją posolić?”. Świadomość tożsamości budzi szacunek.

Z jakimi postawami wobec osób duchownych zetknąłem się podczas pełnienia mojej posługi i jakie z nich obecnie przeważają? Poza dwoma przypadkami, kiedy pijani mężczyźni zastąpili mi drogę i naubliżali (sytuacje ekstremalne), mogę powiedzieć, że obecnie przeważają postawy pełne szacunku. Rozmawiam z ludźmi o różnych poglądach i zróżnicowanej historii życia. W gronie literatów, którzy znają moją poezję, mam najlepszych rozmówców głównie wśród osób niewierzących. Przeczuję, iż większość ludzi pragnie rozmowy ze mną, bo pragnie słyszeć o Jezusie. Nie ukrywam w relacjach z innymi osobami, że jestem zachwycony ewangelią Chrystusa i pięknem świata będącego dziełem Stwórcy. Gdy ludzie okazują sobie szacunek, doświadczają coś z braterstwa, którego chce też Bóg.

*ks. Krzysztof Guzowski*

KS. JERZY SZYMIK

## **Wizerunek i bogobojność**

Ze sprawą „wizerunku” księży (tego, jak są postrzegani w potocznym wyobrażeniu, co na to postrzeżenie wpływa etc.) trzeba być ostrożnym. Nie chcę problemu deprecjonować – oczywiście: to ważne, jak ludzie nas widzą i czy nas rozumieją. Nie chcę też wzgardliwie dystansować się do kwestii szacunku i poparcia społecznego (jakby mi na nim nie zależało i jakbym miał rzekomo coś ważniejszego na względzie), bo to rzecz istotna (duchowo, społecznie, psychologicznie etc.) zarówno dla księdza, jak i dla wielkiej sprawy, o którą tu chodzi. A jednak wizerunek jest obiektywnie czymś drugorzędnym wobec prawdy, a zbytnia koncentracja na tym, jak jesteśmy odbierani, może być szkodliwa.

Jest tak głównie dlatego, że ksiądz rzymskokatolicki mówi (to, co ma mówić), robi (to, co ma robić) i żyje (tak, jak ma żyć) nie z polecenia ludu (nawet ludu Bożego), lecz z polecenia Jezusa Chrystusa. To znamienne i nie wolno o tym zapominać: ludzie nie wybierają sobie w tym przypadku jakiegoś reprezentanta bądź bohatera, który byłby wyrazicielem ich nadziei lub ideałów i który ich „pociąga w górę” – to Bóg przyciąga ludzi (każdego człowieka) do siebie i posyła do nich człowieka, który ma głosić Jego roszczenia i Jego zbawienie. To fundament niniejszej refleksji.

Istotą sprawy jest nasz – księży – wizerunek w oczach Boga, a nie w oczach ludzi.

Nie, nie uciekam w pięknoduchostwo ani w niepotrzebną metafizykę, by nie odpowiedzieć na pytania. Próbuję tylko je zmodyfikować, a właściwie wyostrzyć i pokazać ich głębszy wymiar.

Chciałbym nawiązać do wspomnianego, prądawnego pojęcia, głęboko związanego z autentycznością postawy religijnej – do pojęcia „bogobojność”. Ksiądz ma być człowiekiem bogobojnym – bać się Boga, nie ludzi. I nie chodzi tu o bojaźń niewolniczą, o strach przed nieobliczalną, wrogą człowie-

kowi potęgą. Taką bojaźń Jezus przekreślił, czyniąc nas swoimi przyjaciółmi. Mam tu na myśli bojaźń, która istnieje w miłości, która lęka się utraty miłości i która nie chce ranić ukochanego. W ten sposób ksiądz musi się „bać Boga”. Bo – jak powiada psalmista – „bojaźń Boża jest początkiem mądrości”. Niestety prawdziwy jest również swoisty rewers tego stwierdzenia: bojaźń ludzka (postawiona przed bojaźnią Bożą) jest początkiem wszelkiej głupoty.

Wolność księdza od strachu przed ludźmi (a tym samym od skłonności do tanich umizgów i pochlebstw, udawania „swojego chłopca” itp. itd.) ma płynąć nie z pychy (poczucia wyższości, pogardy wobec „laików” etc.), lecz podobnie jak bogobojność – z miłości. Bo ksiądz powinien być odważnym i niestrudzonym rybakim. Tak to kiedyś wyraził 27-letni Joseph Ratzinger, głosząc kazanie prymicyjne 24-letniemu koledze: *Ludzi, którzy stawiają opór i zamykają się w ułudzie pozornego szczęścia, masz wyciągać z powrotem na brzeg wieczności. Będziesz to robił w posępną noc wielu niepowodzeń. Będziesz to robił niestrudzenie i bez szemrania, również w gorzkich godzinach dnia, w których wszystko wyda ci się niepotrzebne, a dzieło twojego życia zmarnowane.*

Tylko przez zaangażowanie własnego istnienia i przez ryzyko z tym związane można być pasterzem ludzi. Taka jest stawka – jeśli dajemy mniej, Kościół i wiara będą zanikać. Trzeba dać coś z własnej krwi. Bo Bóg nie potrzebuje księdza, który niczym tuba będzie powtarzał „cudze słowa” (nawet jeśli będą one Boże). Słowo, które duchowny głosi, musi się stać jego własnym słowem, a swój los musi on utożsamić z losem Boga na ziemi – nic mniej. Rzecz jasna, że wtedy będzie ksiądz cierniem w oku swoich czasów jako ten, który duszą i ciałem (żywąc w celibacie – na przykład) ręczy za prawdę Boga i własnym losem ją uwierzytelnia. Nie można wtedy takiego duchownego zignorować, niezależnie od „wizerunkowych” wpadek Kościoła i całej obojętności Boga i spraw Jego na wszelki PR...

I – po tych wyjaśnieniach – odpowiedzi na pytania (przynajmniej niektóre).

Jak oceniam obraz osób duchownych kreowany w kulturze i czy pojawiły się ostatnio utwory o znaczącym wpływie na sposób postrzegania księdza? Nie mam wyrobionej opinii, chyba za mało te sprawy śledzę. Mam wrażenie, że dość lichy wygląda to w kulturze masowej i mediach. Nawet nie dlatego, że mówi się o księżach źle czy dobrze, tylko dlatego, że mówi się strasznie powierzchownie. Ostatnia rzecz, która naprawdę zrobiła na mnie wrażenie (prawdą i artystem) i którą czytałem dwukrotnie (w odstępnie 40 lat) – powieść Georges’a Bernanosa *Pamiętnik wiejskiego proboszcza* – powstała w latach 30. XX wieku.

O aktywności pisarskiej kapłanów jestem bardzo dobrego zdania. Martwi mnie, że nie jest (chyba) w tej chwili w Polsce zbyt wielka. Będąc zarazem duszpasterzem, naukowcem, poetą i dziennikarzem, nie odczuwam z tego powodu żadnego dyskomfortu (poza tym, że doba czasem za krótka i dni w roku jakby za mało). Wręcz przeciwnie: i kapłaństwo, i twórczość pisarska „dzieją się” w tej samej przestrzeni Słowa. Na poziomie najgłębszym, metafizycznym, duchowym, twórczym – jedność słowa i Słowa jest oczywista. Na poziomie praktycznym sprawdza się ona równie dobrze: warto, stojąc na ambonie, mieć za sobą (a właściwie w sobie) zmagania z materią wiersza bądź treści esaju. To pożyteczne dla języka i nie tylko. I odwrotnie: dobrze jest, tworząc (poezję, muzykę), mieć za sobą (w sobie) doświadczenie wiary religijnej – sztuka, która nie odżywia się religią, zaczyna pożerać własny ogon, rakowacieje, umiera. Źródła zarówno sztuki, jak i religii są nadprzyrodzone, od tysięcy lat tak uważają nasi najlepsi. Ja za nimi.

Wyobrażenia potoczne na temat codziennego życia osób duchownych? Generalnie: za mało krwiste. Ale to – przypuszczam – w dużej mierze nasza, duchownych, wina. Bo chowamy się za parawanem funkcji i mało nas

stamtąd widać (to wygodniejsze, a przede wszystkim – mniej boli). A przecież ksiądz cierpi, kocha, tęskni, czuje. Naprawdę żyje. Jest człowiekiem, nie funkcją (funkcjonariuszem).

Czego oczekują od kapłanów wierni? Właśnie tego wszystkiego, co zostało wskazane w ankietywnym pytaniu<sup>1</sup>, i jeszcze wielu, wielu innych cnót, postaw i aktywności... To źle i dobrze. Źle, bo to nie jest możliwe w jednym ludzkim życiu (chyba że jest się świętym Janem Pawłem II, ale tacy ludzie nie zdarzają się zbyt często na tym łożu padole). Widzę nieraz, jak młodzi księża „pękają” od tego nadmiaru oczekiwań. Ale to też dobrze, bo to znaczy, że jest ogromne zapotrzebowanie na bycie księdzem. Lubię powtarzać – za Benedyktem XVI – że gdyby kogoś takiego jak ksiądz rzymskokatolicki nie było, to należałoby go jak najszybciej wymyślić.

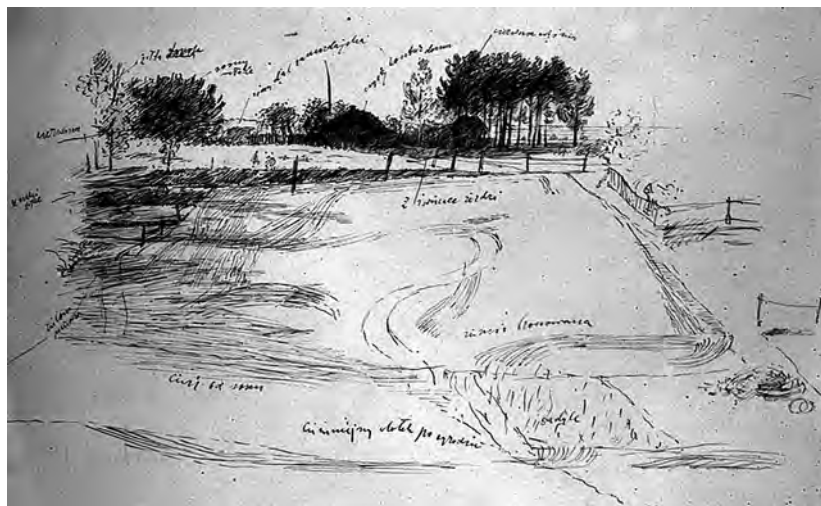
Pomijając media lewicowo-liberalne (bo one oczekują od księży, by się samozlikwidowali, stając się Bartosiami i Obirkami, albo ograniczyli jedynie do działalności charytatywnej i ekologicznej) i pomijając media szmatławie (bo je trzeba pomijać), to od pozostałych oraz od zdecydowanej większości wiernych wypełniających nasze polskie kościoły kierowany jest w moją stronę i w stronę moich braci w koloratkach komunikat cudowny, dzięki któremu chce się żyć i chce się być księdzem. Przekaz ten brzmi mniej więcej tak: chcemy tego, co zrobiłeś ze swoim życiem, a do czego wezwał cię Bóg. Potrzebujemy cię.

Za ten komunikat i jego moc: bądźcie błogosławieni.

*ks. Jerzy Szymik*

Pszów, 27 sierpnia 2016 r.

<sup>1</sup> Pytanie brzmiało: „Czego przede wszystkim oczekują od kapłanów wierni (wzmacniania w wierze, udzielania wsparcia moralnego, zaangażowania w kulturę i kwestie społeczne, politykę, działalność charytatywną, dostarczania wzorów osobowych?” [przyp. red.]



Andrzej Strumiłło: *Dom starego Smigielskiego we wsi Krzyże*, tusz na papierze, 1954 r.

# przekroje

## Nie tylko analitycznie...

---

ELŻBIETA TABAKOWSKA

### OBIEKTYW ZE ZMIENNĄ OGNISKOWĄ

Lektura książki Anety Wysockiej *Fakty – język – podmiotowość. Stylistyczne osobliwości reportażu Ryszarda Kapuścińskiego* przywołuje mi na myśl często przywoływaną wypowiedź tytułowego bohatera tej monografii: *Wszyscy jesteśmy fotografami posługującymi się zmienną ogniskową. Dzięki jej właściwościom, poruszając pierścieniem obiektywu, możemy obraz każdego obiektu czy sceny powiększyć lub zmniejszyć, wyodrębnić albo pominąć. Z pomocą tego właśnie mechanizmu manipulujemy obrazami świata. Jedne utrwalamy, inne skazujemy na niebyt. Ale ponieważ każdy, w każdej chwili i miejscu, ciągle tą zmienną porusza i przedstawia, każda rzecz wygląda na milion sposobów różnie i w związku z tym, na tych milion sposobów jest również widziana i przeżywana (Lapidarium V).*

Właśnie od tego cytatu chciałabym zacząć recenzję, ponieważ jest on niejako streszczeniem głównej tezy monografii autorstwa Anety Wysockiej. W książce tej splatają się trzy główne wątki – trzy nurty współczesnej myśli humanistycznej, o których będzie mowa poniżej. We *Wprowadzeniu* autorka przedstawia przedmiot swoich rozważań i analiz: jest nim ukazywana w reportażach Kapuścińskiego „wizja świata zrelatywizowana podmiotowo” (s. 13). A więc tytułowe fakty oraz indywidualny sposób ich postrzegania – podmiotowość, co stanowi kolejny człon tytułu. Jako badaczka języka i polonistka Wysocka łączy prezentację owej upodmiotowionej wizji z opisem „frapujących właściwości polszczyzny”, za pomocą której Kapuściński taki obraz świata tworzy i utrwała – to trzecie ogniwo tytułu: język. Uznając ukryty w tej formule zamiar aluzyjnego nawiązania do tytułów powstałych wcześniej fundamentalnych prac z dziedziny językoznawstwa antropologiczno-kulturowego, wolałabym jednak nieco inną kolejność członów: fakty – podmiotowość – język. Tytuł odpowiadałby wówczas ściślej porządkowi elementów triady opisującej w naukach kognitywnych przebieg procesów poznawczych: percepcja – konceptualizacja – ekspresja. Takiemu właśnie uporządkowaniu odpowiadają zresztą treści przedstawione w monografii.

Wśród źródeł, które stanowiły inspirację do powstania książki, Wysocka wymienia dwa lubelskie środowiska humanistyczne – swój macierzysty Instytut Filologii Polskiej UMCS w Lublinie oraz „lubelską szkołę” etnolingwistyki, stworzoną przez profesora Jerzego Bartmińskiego. Wpływy te są dobrze widoczne

w monografii, która w cenny na polskim gruncie sposób łączy amerykańską myśl językoznawczą nurtu kognitywistycznego ze zmierzającymi w podobnym kierunku badaniami rodzimych naukowców. We *Wprowadzeniu* autorka podkreśla także swoje związki z kwartalnikiem „Akcent”: współpracę, która zaowocowała rozszerzeniem językoznawczych horyzontów o perspektywę teoretyczno- i krytycznoliteracką. Dzięki kontaktom z redakcją pisma autorka nie tylko zainteresowała się twórczością Kapuścińskiego, ale także przyjęła w swojej monografii stanowisko badacza dostrzegającego, że dokonywanie ścisłego rozgraniczania między materiałami, metodologią i zainteresowaniami nie ma sensu i musi skutkować zajęciem pozycji po jednej lub drugiej stronie muru oddzielającego „językoznawców” od „literaturoznawców”.

Podstawową zaletą książki Wysockiej jest właśnie taka „holistyczna” perspektywa, pozwalająca dostrzegać złożoność zjawisk oraz opisywać ich różnorodne aspekty we wzajemnym powiązaniu.

Metodologię wypracowaną przez badaczy językowego obrazu świata uzupełnia autorka wiedzą na temat gatunku, którym jest reportaż literacki, a także uwzględniając instrumentarium wypracowane w ramach teorii języka znanej pod nazwą językoznawstwa kognitywnego. Wszystkie trzy nurty współczesnej myśli humanistycznej odwołują się do tezy, której poetycką (literacką) artykulację zawiera – jak już powiedzieliśmy – przywołany na wstępie cytat z *Lapidarium V*. Wszystkie też stawiają sobie za cel zdefiniowanie i opis relacji zachodzących między mechanizmami języka a sposobem, w jaki owe mechanizmy wykorzystuje mówiący. Podstawowa teza brzmi, że relacji tych nie da się opisywać w oderwaniu od kontekstu historycznego, społecznego i kulturowego, w jakim użytkownik języka tworzy – i przekazuje – swoją wypowiedź.

Zacznijmy zatem od języka. Adeptci lingwistyki kognitywnej (coraz liczniejsi, także wśród polskich językoznawców) odnajdą w książce Wysockiej fascynujące opisy „frapujących właściwości polszczyzny” – rzecz nader cenna w sytuacji, w której anglocentryzm literatury przedmiotu rzutuje najczęściej na anglocentryzm danych empirycznych. Nie sposób w tym miejscu wymienić wszystkich przypadków szczegółowych, wnikliwych analiz ukazujących niuanse znaczeń i ich kontekstowe konsekwencje, niemal „podprogowo” odbierane przez czytelników, a zarazem istotne dla całości przekazu. Ograniczę się do jednego tylko przykładu. Omawiając „repetycję semantyczną” jako cechę charakterystyczną dla językowego kształtu reportażu Kapuścińskiego, Aneta Wysocka analizuje ciąg „pierwsze pęknięcie, pierwsza szczelina”. Oba rzeczowniki nazywa „blisko-znacznikami”, a następnie ukazuje subtelną różnicę w ich znaczeniu. Tak więc podczas gdy *rzeczownik „pęknięcie” uwypukla fakt naruszenia jednolitości jakiejś powierzchni, (...) słowo „szczelina” eksponuje wolną przestrzeń między dwiema powierzchniami, które wcześniej stanowiły jedną całość* (s. 137). Badacz semantyki kognitywnej mógłby się wprawdzie spierać o to, czy rzeczywiście w metaforycznym użyciu obu słów „odmienny typ obrazowania się zaciera” (s. 137), ale z pewnością przekonałaby go godna wytrawnego kognitywisty analiza znaczeń dosłownych.

W kontekście zjawiska określanego nazwą „repetycji semantycznej” autorka monografii porusza kwestię „synonimii”, ujmując ten termin w wiele mówiący cudzysłów. Zgodnie z założeniami językoznawstwa kognitywnego opowiada się bowiem za brakiem pełnej sinonimii w języku naturalnym: każda zmiana formy nieuchronnie pociąga za sobą zmianę znaczenia. Dostrzegając trudności, jakie na przestrzeni rozwoju teorii językoznawczych sprawiało badaczom uściślenie fundamentalnego dla semantyki pojęcia sinonimii, Wysocka przyjmuje tradycyjną, pojemną definicję autorstwa Stanisława Skorupki. Odrzuca zatem implicite skazoną brakiem logiki definicję „kognitywnej tożsamości” (którą przytacza za Alicją Nagórko: *Przez k o g n i t y w n i e t o ż s a m e* rozumiemy takie niejednakowe

co do formy wyrazy, które mają z blizoną wartość poznawczą, s. 132; wyr. – E. T.); sama jednak nie ustrzegła się pewnego braku konsekwencji. Na stronie 151 pisze: *Słowa tworzące parę „spór”, „kłótnia” to synonimy sensu stricto. Oba dotyczą konfliktu i wymiany zdań. Różnią się jednak sposobem profilowania zjawiska.* Na uwagę zasługują wszakże nie tyle niedociągnięcia wynikające najpewniej z nie dość radykalnego odrzucenia stereotypów utrwalonych przez wcześniejsze sposoby myślenia o języku, ile fragmenty, w których autorka podkreśla znaczenie „synonimii” (lub synonimii) dla badań nad stylem użytkowników języka (ze szczególnym uwzględnieniem form literackich) oraz w których akcentuje znaczenie tego zjawiska jako motywacji do użycia określonych środków retorycznych. A obraz przedstawiany w monografii Wysockiej jest pod tym względem obszerny i przekonujący.

Dostrzegając za sprawą lektury monografii przydatność instrumentarium wypracowanego w ramach kognitywnej teorii języka jako kompletu narzędzi opisu i wyjaśniania osobliwości tekstu (literackiego), wypada więc jedynie żałować, że owego instrumentarium nie wykorzystano w szerszym zakresie. Na przykład omawiając opisany przez Ewę Jędrzejko „parataktyczny łańcuch” *znominalizowanych struktur o „znaczymo stopniu idiomatyczności”* we fragmencie *Cesarza: (...) w całym pałacu zapanowało niepatrzenie, niewiedzenie, w parkiecie utkwienie, po sufitych błędzenie, w czubki butów spoglądanie, przez okno ulatanie* (s. 202; wyr. – A. W. i E. T.), autorka przytacza (za Jędrzejko) wnikliwą analizę semantyczną ciągu, nie dostrzega jednak faktu (lub go pomija), że rzeczowniki odsłowne, usuwając profil czasowy obecny w formach osobowych czasownika, zmieniają procesy w stany i potęgują w ten sposób implikację „»pasywno-negatywnych« stanów psychicznych”, o których pisze Jędrzejko, czyli – jak głosi slogan kognitywistów – „grammar is symbolic” (gramatyka symbolizuje treści). Podobnie, omawiając na stronie 201 enumerację: *[ręce] gniotły, skubały, łaskotały, za gardło chwytaly*, autorka słusznie przypisuje temu ciągowi cechę ikoniczności i dostrzega współbrzmienie słów, szkoda więc, że nie pisze, jakim celem owa wspólnota brzmień ma w tekście służyć. Należy mieć nadzieję, że przekonująco ukazany potencjał teorii okaże się źródłem inspiracji do dalszych badań – zarówno dla samej autorki, jak i dla czytelników jej książki. Widać, że warto!

Monografia Anety Wysockiej jest lekturą interesującą nie tylko dla badaczy reportażu w ogóle i bogatej twórczości Ryszarda Kapuścińskiego w szczególności. I nie tylko dla językoznawców szukających praktycznych zastosowań teorii języka. Jak pokazałam wyżej, zainteresuje także językoznawcę teoretyka: ze względu na wątek, który – choć może się wydawać drugoplanowy z punktu widzenia celów badawczych wyznaczonych sobie przez autorkę – jest świetną ilustracją związków, jakie łączą współczesne językoznawstwo kognitywne wyrosłe na gruncie amerykańskim z tradycyjnym językoznawstwem z epoki poprzedzającej generatywizm. Dobrą ilustracją będzie tu nawiązanie do językoznawczych badań prowadzonych na prozie artystycznej przez Zenona Klemensiewicza (s. 165). Tego typu „produkty uboczne” mają szczególną wagę: pokazują polskim badaczom języka i literatury (szczególnie tym należącym do młodego pokolenia), że fascynacja amerykańskim kognitywizmem i jego europejskimi „odpryskami” płynie nierzadko z błędnego przeświadczenia, że za sprawą kognitywistów dokonana się w językoznawstwie bezprecedensowa rewolucja.

Zdaję sobie sprawę, że chwalać interdyscyplinarność rozważań Wysockiej, jednocześnie skupiam się na ich stronie językoznawczej. Autorka jest lingwistką i jej książka w naturalny sposób ukazuje wiedzę i podejście językoznawcy. Sama także jestem językoznawcą i dlatego w sposób naturalny najbardziej interesujące wydają mi się zagadnienia językowe. Ale u Wysockiej – jak u językoznawców kognitywistów – język i poetyka spletają się w jedną całość. W cytowanych re-

portażach Kapuścińskiego, które stanowią przedmiot analiz, ale także w tekstach „odautorskich”. Określenie użycia spójnika mianem „porządkującej ingerencji” (s. 177) jest trafną twórczą metaforą, a tytuł jednego z podrozdziałów, *Składnia onirycznego zamętu* (s. 182), byłby godny samego bohatera książki.

Analizując reportaże Kapuścińskiego w oparciu o kontekst, w jakim powstały, Wysocka zadaje najważniejsze pytanie, którego rozważenie stanowi ogólną wartość monografii, wykraczającą poza szczególny przypadek oparty na konkretnym materiale językowym. Autorka pyta mianowicie o rzecz ogromnie ważną dla badań dotyczących komunikacji między ludźmi: o relację między prawdą a interpretacją. Punktem wyjścia jest akceptacja założenia – przyjmowanego jako prawda leżąca u podstaw wszelkich interpretacji – o *immanentnie subiektywn[e] natur[ze] procesu poznawczego* (s. 17). W dążeniu do uogólnień (jako warunku sine qua non każdej teorii) badacze języka i komunikacji odwołują się najczęściej do „uogólnionego podmiotu zbiorowego” (czyli podmiotu procesu konwencjonalizacji) – autorka dostrzega jednak niedoskonałość takiego rozwiązania. To „podmiotowa relatywizacja” przesądza bowiem o niepowtarzalnej jakości językowych przekazów. Dowodzeniu tej właśnie tezy poświęca Wysocka swoją monografię. Jeden z wykładników „podmiotowej relatywizacji” stanowią drobiazgowo, oparte na dużym korpusie tekstów, analizy słów kluczy: „but” i „biurko”. Widziane na szerokim tle opisywanych miejsc i zdarzeń, oba pojęcia są jak indywidualne filtry, przez które przenikają ogólne treści. To zderzenie zostaje w książce Wysockiej ukazane w sposób prawdziwie fascynujący.

Powróćmy jeszcze na moment do cytatu otwierającego tę recenzję. Jest w nim mowa o obiektywie zmiennoogniskowym, potocznie nazywanym zoomem. Encyklopedia poucza, że zoom umożliwia *płynną regulację długości ogniskowej, zwykle bez zmiany perspektywy i płaszczyzny ogniskowania*<sup>1</sup>. O takiej „płynnej regulacji” Kapuściński myślał zapewne, budując swoją metaforę zmiennej ogniskowej. Niezmieniona perspektywa jest u Wysockiej tytułową p o d m i o t o w o ś c i ą, natomiast „płaszczyzna ogniskowania” to tytułowe f a k t y. Metaforyczny obiektyw w rękach reportera *przenosi obraz obserwowanego przedmiotu na dalszą część urządzenia* – i to jest tytułowy j ę z y k przekazu.

Zgodnie z etymologią, przenoszony obraz powinien być obiektywny, czyli prawdziwy. W popularnej definicji obiektywu czytamy, że ów „obiektywny” („objectivus” – „odnoszący się do przedmiotu”) obraz ma być „rzeczywisty, choć odwrócony”. Jednak w gruncie rzeczy – jak czytamy z kolei w internecie – *Obraz za obiektywem jest dość daleki od rzeczywistości, jaką dostrzegamy my, a od rzeczywistości obiektywnej jeszcze dalej*<sup>2</sup>. Wysocka poświęca swoją monografię właśnie temu bezustannemu ścieraniu się prawdy z interpretacją, nieuchronnej indywidualizacji subiektywnego obrazu dostrzeganego w pojedynczym obiektywie z obrazem intersubiektywnym, który jest uzgodnioną przez wspólnotę (historyczną, społeczną, kulturową) wersją nieosiągalnej prawdy absolutnej. Spomiędzy wersów spogląda na nas genialny reporter, który w tym starciu dostrzegał sedno swojego zawodu i sens swojej misji.

Dodatkową premią są – jakże bardzo na miejscu w książce naukowej – erudycyjne dygresje, poszerzające perspektywę badawczą autorki i perspektywę poznawcze czytelników: rozważania na temat idiomów, przysłów, słów kluczy.

W jednym z cytowanych przez Wysocką fragmentów Kapuściński pisze: *Jeśli ktoś przeczyta jakiś rozdział i recenzując go, ogranicza się jedynie do problemów, które są tam poruszone, a nie zwraca uwagi na język, jakim o nich pisze, przeżywam to jak osobistą klęskę* (s. 41). To samo, mutatis mutandis, miałaby prawo powiedzieć autorka, gdyby w tym miejscu zabrakło odniesienia do języka, jakim pisze ona o reportażach Kapuścińskiego. Jej książkę dobrze się czyta, co nie jest

<sup>1</sup> Zob. *Obiektyw zmiennoogniskowy*. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Obiektyw\\_zmiennoogniskowy](https://pl.wikipedia.org/wiki/Obiektyw_zmiennoogniskowy) (14.11.2016).

<sup>2</sup> Zob. P. Sychalski: *Co to jest obiektyw...* <http://shtr.eu/2008/05/05/co-to-jest-obiektyw> (14.11.2016).



częste w przypadku prac naukowych. Atrakcyjność tematu i erudycję lubelskiej autorki uwypukla język – klarowny, bogaty, przejrzysty. Troska o czytelnika obnaża brutalną różnicę pokoleń: z pozycji ludzi pamiętających czasy PRL umieszczane w przypisach definicje takich pojęć jak „bikiniarz”, „kontrrewolucja” czy „Komsomol” wydają się redundantne; po zastanowieniu wypada jednak uznać, że przypomnienie „peerelowskich” definicji pochodzących z czasów, w których powstawały omawiane reportaże Kapuścińskiego, jest zabiegiem sensownym i celowym. Można było natomiast zrezygnować z przytaczania definicji pojęć nienacechowanych społeczno-histerycznym kontekstem (np. „hafty”, „akselbanty”, „brokat” i „kaszmir”; s. 96). Pochwalić za to trzeba liczne odwołania do literatury (polsko- i obcojęzycznej) oraz zamieszczoną na końcu tomu bibliografię, która zainteresowanym czytelnikom (a takich z pewnością nie zabraknie) pozwoli poszerzyć wiedzę na temat pojęć tworzących tytułową triadę. Szkoda tylko, że w książce zabrakło indeksu, bo chciałoby się tę nabytą od autorki wiedzę usystematyzować, wracając do szczególnie interesujących i inspirujących fragmentów.

Na koniec pewien semantyczny detal. Otóż w tekście monografii przewija się fraza „wspólnota komunikatywna” zamiast spotykanego częściej terminu „wspólnota komunikacyjna”. W słowniku języka polskiego czytamy, że przymiotnik „komunikatywny” oznacza „zrozumiały, jasny, mający związek z porozumiewaniem się”. To drugie znaczenie dzieli on z pokrewnym semantycznie („synonimicznym”) przymiotnikiem „komunikacyjny”, który zawiera także element znaczenia „dotyczący przekazywania i odbierania informacji”. Wspólnota komunikacyjna to zatem „płaszczyzna intersubiektywnego językowego porozumienia”<sup>3</sup>. Wspólnota komunikatywna natomiast definiowana jest jako zbiorowość ludzi, którzy pozostają ze sobą w kontakcie, co jest możliwe dzięki temu, że posiadają wspólny język i rozumieją używane przez siebie wyrażenia w sensie, jaki im nadają<sup>4</sup>. Tę drobną różnicę semantyczną można zauważyć także w potocznym użyciu obu przymiotników: człowiek komunikatywny to ktoś, kto „ma zdolności komunikacyjne”<sup>5</sup>. Definicja ta określa autorkę *Faktów – języka – podmiotowości* w tej samej mierze, jak i jej bohatera.

---

Aneta Wysocka: *Fakty – język – podmiotowość. Stylistyczne osobliwości reportaży Ryszarda Kapuścińskiego*. Wydawnictwo UMCS, Lublin 2016, ss. 280.

WOJCIECH KALISZEWSKI

## STANISŁAW AUGUST I LUDZIE JEGO EPOKI

Dokonany przez Dominique’a Triaire’a obszerny wybór *Pamiętników* Stanisława Augusta<sup>1</sup> – opublikowany w 2013 roku w polskim tłumaczeniu Wawrzyńca Brzozowskiego, a poprzedzony wydaniem oryginalnej wersji francuskojęzycznej w Paryżu<sup>2</sup> – wzbudził wśród badaczy czasów stanisławowskich duże zainteresowanie. Zarówno bowiem historycy, jak i historycy literatury uzyskali bezpośredni dostęp do istotnego źródła, spisane ręką nie tylko świadka, ale i jednego z najważniejszych uczestników wydarzeń politycznych ostatniego trzydziestolecia

---

<sup>3</sup> M. Skorczyk: *Rozumienie kultury w świetle filozofii komunikacji Karla-Otto Apla*. „Lingua ac Communitas” 2011, nr 21, s. 108.

<sup>4</sup> Por. S. Borawski: *Podstawy idei poznawczej studiów nad dziejami używania języka. Esej o diachronii (w:) Rozprawy o historii języka polskiego*. Red. S. Borawski. Zielona Góra 2005, s. 13.

<sup>5</sup> Por. Mirosław Bańko, słownik PWN.

---

<sup>1</sup> *Pamiętniki króla Stanisława Augusta. Antologia*. Wybór tekstu D. Triaire, przekład W. Brzozowski, wstęp A. Grześkowiak-Krwawicz, red. M. Dąbrowski. Muzeum Łazienki Królewskie w Warszawie. Warszawa 2013, ss. 576 + il.

<sup>2</sup> *Stanislas Auguste. Mémoires*. Red. A. Grześkowiak-Krwawicz, D. Triaire. Institut d’Etudes Slaves, Paryż 2012, ss. 864 + il.

XVIII wieku w Polsce i Europie. *Pamiętniki* króla, mimo iż niedokończone i pełne luk, stanowią bezsprzecznie jeden z najciekawszych dokumentów przedstawiających i komentujących przebieg wypadków decydujących o wewnętrznej i zewnętrznej sytuacji I Rzeczypospolitej. Monarcha przystąpił do spisywania swoich refleksji w momencie szczególnego kryzysu politycznego, który dotknął państwo polskie w wyniku konfederacji barskiej. Nieudana próba porwania Stanisława Poniatowskiego przez konfederatów w 1771 roku, niechęć do tego, jak sprawował rządy, i do niego samego podzielana przez większą część szlachty, brak sukcesów w polityce zagranicznej oraz widmo coraz większej zależności od Rosji skłoniły króla do przedstawienia swoistego obronno-polemicznego wykładu, w którym chciał jasno nakreślić swoją szczegółową wizję państwa polskiego.

Tak pomyślane i redagowane *Pamiętniki* nie spełniły jednak swojej roli ani wtedy, ani później. Nie stały się tarczą obronną polityki Stanisława Augusta z tego przede wszystkim powodu, że nie ukazały się drukiem i nigdy nie dotarły do szerokiego kręgu osób bezpośrednio zainteresowanych tymi wydarzeniami. *Pamiętniki* – przez wiele dziesięcioleci objęte klauzulą ścisłej tajemnicy – leżały zdeponowane i zapieczętowane w carskich archiwach. Dopiero w XX wieku, a więc po przeszło stu latach od spisania, mogły zostać wydane. Ale i wówczas pojawiły się – innego rodzaju – liczne przeszkody. Pierwsza próba publikacji całości królewskich memuarów (pod redakcją Siergieja Goriainowa), podjęta w chwili wybuchu I wojny światowej, nie zakończyła się niestety wydaniem pełnego tekstu. Przez wiele lat ukazywały się zaledwie fragmenty, poszczególne tomy i mocno okrojone wersje. Była to sytuacja niedobra – nie tylko z punktu widzenia badaczy, ale także z perspektywy historii i tradycji polskiej kultury. Tym bardziej więc należy podkreślić znaczenie edycji francuskojęzycznej, która pod redakcją Anny Grześkowiak-Krwawicz i Dominique’a Triaire’a ukazała się w 2012 roku, wyprzedzając – o czym już wspominałem – o rok wydanie polskojęzyczne. Obie publikacje nie są identyczne co do objętości. Wersja oryginalna, francuskojęzyczna, przerasta polską o ponad 300 stron. Autorzy polskiego wyboru zrezygnowali z zamieszczenia w nim wielu dokumentów dyplomatycznych z epoki, które król dołączył do swoich zapisków. To wpływa oczywiście na funkcję obecnego wydania jako źródła historycznego, ale dla czytelników, którzy nie są zawodowymi badaczami, ma znaczenie raczej drugorzędne. Wszystkie różnice zostały zaznaczone w nocie redakcyjnej. Można i zarazem trzeba mieć nadzieję, że nieodległy jest czas, w którym ukaże się całość tekstu podyktowanego przez Stanisława Augusta. Ale już teraz wolno powiedzieć, że obecne wydanie *Pamiętników* w jakiejś mierze – choć z ogromnym opóźnieniem – wypełnia wolę autora, ujawniając jego punkt widzenia na sprawy polityczne i pozwalając mu przedstawić własną interpretację wielu dramatycznych wydarzeń.

*Pamiętniki* poza tym, że ukazują wizję ostatnich lat Rzeczypospolitej nakreśloną przez samego Stanisława Augusta, są jednocześnie niezwykle ciekawym źródłem informacji na temat wielu ważnych postaci z jego otoczenia. Pomiędzy szeroko i szczegółowo rozwijanymi kwestiami dyplomatyczno-państwowymi Poniatowski umieszczał bowiem także wątki osobiste, łącząc je z kontekstem wydarzeń politycznych i państwowych. Uwagi odnoszące się do konkretnych osób, rekonstruowane dialogi, wreszcie – szkice sylwetek przypominające literackie portrety wypełniają niemalą część tekstu królewskich *Pamiętników*. Świat postaci otaczających Stanisława Augusta był niezwykle bogaty i złożony, swoją strukturą przypominał wielopoziomowy układ kręgów, wśród których wyróżnić można krąg domowy, rodzinny, przyjacielski, dyplomatyczny i – co bardzo ważne – kobiecy. Kręgi owe, otaczając króla, nakładają się na siebie, przecinają i tworzą na kartach *Pamiętników* przestrzeń autentycznie żywą i ożywiająca zarazem oficjalną sferę dyplomatyczno-polityczną. Poniatowski, dokonując po latach oceny wielu swoich posunięć oraz wyborów osobistych i politycznych,

szukał przyczyn w dawnych decyzjach ludzi, którzy go otaczali i mieli na niego wpływ. Bardzo charakterystyczny pod tym względem jest jeden z pierwszych komentarzy, które Stanisław August zamieścił w *Pamiętnikach*, wspominając nadopiekuńczość matki: *Nie pozostawiono mi – można rzec – czasu na dzieciństwo, a to tak, jakby z kalendarza wyrwać miesiąc kwiecień. Dziś wiem, że była to niepowetowana strata, nad którą wiele boleję, myślę bowiem, iż skłonność do melancholii, na którą tak często i dotkliwie zapadam, jest skutkiem tejże nienaturalnej i przedwczesnej dojrzałości, która wszakże nie uchroniła mnie od błędów, które były mi pisane, a do tego w najmłodszych latach o mało nie uczyniła mnie heretykiem*<sup>3</sup>. Ten typ wspomnień – odsłaniających wnętrze autora, pisanych przy tym obrazowym stylem – narzuca *Pamiętnikom* charakter bardzo osobistych i niepowtarzalnych wyznań. Król potrafił jednocześnie przedstawiać swoje relacje z innymi ludźmi w zgodzie z oświeceniowym modelem otwartości i braterstwa. Tym samym zapiski ujawniające perspektywę bardzo bezpośrednią, prywatną, pozbawioną dystansu – poniekąd sentymentalną – sąsiadują z fragmentami, w których formułowane są ważne, rzeczowe uogólnienia i podsumowania. Dzięki lekturze *Pamiętników* możemy zatem lepiej poznać samego króla jako człowieka i w nowy sposób przyjrzeć się jego politycznym działaniom. Temu także służył cykl wykładów zorganizowany pomiędzy wrześniem 2013 roku a czerwcem roku 2014 w Łazienkach Królewskich w Pałacu na Wodzie, a więc w miejscu szczególnie blisko związanym z postacią Stanisława Augusta. Wykłady – bezpośrednio inspirowane *Pamiętnikami* – wydano w 2015 roku w formie książkowej, nadając publikacji tytuł *Pamiętniki Stanisława Augusta i ich bohaterowie*. Ten obszerny tom (liczący ponad 350 stron) ukazał się pod redakcją Anny Grześkowiak-Krwawicz nakładem Ośrodka Badań nad Epoką Stanisławowską.

Cykl wykładów oraz książka wymownie świadczą o inspirującej roli *Pamiętników* Stanisława Augusta dla najnowszych badań XVIII-wiecznej historii. Zwrócenie uwagi na grupę wybranych postaci jest z kolei potwierdzeniem tezy, że relacje osobowe są bardzo ważne w rozpoznawaniu problemów dawnych epok. Personalistyczne ujęcie procesów historycznych pozwala bowiem dostrzec ich wyjątkowość i swoistość, czyli te elementy, które były pomijane lub marginalizowane w abstrakcyjnie formułowanych i pozbawionych osobowych akcentów teoriach kierunku rozwoju dziejów.

Tom stanowiący pokłosie wykładów o postaciach z *Pamiętników* Stanisława Augusta składa się z trzynastu tekstów, z których każdy poświęcony został jednemu konkretnemu problemowi lub jednej wybranej osobie. Kolejność zamieszczonych w książce artykułów odpowiada chronologii spotkań w Łazienkach, a całość tworzy przemyślany pod względem kompozycyjnym i merytorycznym cykl. Dwa początkowe teksty stanowią rodzaj wprowadzenia. Pierwszy z nich, autorstwa Agaty Ročko, ukazuje miejsce królewskich *Pamiętników* „na tle pamiętnikarstwa epoki”. W swoich rozważaniach o tematyce historycznej (a częściowo także teoretycznej, bo przybliżają one – co jest absolutnie konieczne – cechy gatunkowe piśmiennictwa memuarystycznego) Ročko rozwija tezę, z której jasno wynika, że wspomnienia Poniatowskiego są wyjątkowe z dwóch co najmniej powodów. Po pierwsze – jak podkreśla autorka – nie ma wielu pamiętników władców z tego okresu, a po drugie, badacze i czytelnicy mają przed sobą zapiski obejmujące blisko czterdzieści cztery lata życia autora i dziejów Polski. Stanisław August, pracując nad swoimi wspomnieniami, nie tylko wiele wysiłku wkładał w przedstawianie wydarzeń, ale także dbał o właściwą i jak najlepszą literacko formę. Sprawą nie bez znaczenia jest ponadto fakt, że *Pamiętniki* powstały w języku francuskim, miały zatem otwartą drogę do ówczesnego wielkiego świata. I z takim zamiarem były dyktowane. Ważne jest także porównanie zapisków Stanisława Augusta z *Histoire du mon temps* Fryderyka II. Z zestawienia tego wynika, że dzieło pruskiego wład-

<sup>3</sup> *Pamiętniki króla Stanisława Augusta...*, dz. cyt., ss. 47-48.

cy miało pierwotnie o wiele węższy zakres merytoryczny i było mniej osobiste, a przez to odznaczało się znacznie bardziej oficjalnym charakterem.

Od ogólnego opisu wspomnień króla przechodzimy do *Galerii portretów w „Pamiętnikach” Stanisława Augusta*. To także refleksja niezwykle istotna z punktu widzenia całościowej charakterystyki memuarów Poniatowskiego, bowiem Teresa Kostkiewiczowa, zwraca uwagę na obecność w nich literackich portretów. Obszerne wprowadzenie w historię tej popularnej – szczególnie w kręgach francuskiej arystokracji – formy stanowi doskonały komentarz do wszystkich „portretów” zawartych w zapiskach polskiego monarchy. W *Pamiętnikach*, które – jak już wspomniałem – wypełnione są wątkami osobistymi, tego rodzaju obrazy literackie stanowią bardzo ważny element kompozycyjny. Stanisław August niektórym postaciom poświęcał szczególnie dużo miejsca. Jak pisze badaczka: *O wyborze decydowało albo szczególne usytuowanie postaci w szeroko pojętej sferze publicznej, albo znaczenie w osobistym życiu autora* (s. 29). Król, kreśląc portrety, czerpał wiedzę z różnych źródeł i brał pod uwagę wiele kryteriów zewnętrznych, ale ostatecznie zawsze sam decydował o tym, czy konkretna postać zasługuje na szersze i bardziej precyzyjne przedstawienie, czy też wystarczy ją wymienić tylko z imienia i nazwiska. Poniatowski potrafił jednym zdaniem oddać charakter danej osoby. Był – jak podkreśla autorka – dobrym obserwatorem i umiał w swoich opisach posłużyć się wieloma środkami artystycznymi. Z tekstu Kostkiewiczowej wynika ponadto, że Stanisław Poniatowski portrety poszczególnych postaci wykorzystywał do celów pragmatycznych, a także – nakierowując uwagę czytelników na cechy, które chciał ukazać jako negatywne albo wyolbrzymić w pochwalnym panegiryku – prezentował pośrednio sam siebie.

Tym samym w *Pamiętnikach* zawarty został także swoisty autoportret ich autora: „ja” królewskie nieustannie wyłania się spoza innych postaci, daje o sobie znać w różnych sytuacjach, obecne jest we wszystkich przedstawionych relacjach. Zofia Zielińska w tekście *Stanisław August – autor i bohater „Pamiętników” w okresie panowania (1764-1795)* ukazuje, jak zmieniało się spojrzenie Poniatowskiego nie tylko na wiele kwestii publicznych, ale także na wiele spraw osobistych. Bardzo często król szukał na przykład pomocy u pani Geoffrin, którą poznał w Paryżu w czasach swojej młodości i która była jego mentorką. W *Pamiętnikach* pisał, że zwracał się do niej w szczególnie trudnych sytuacjach.

Artykuł poświęcony królowi jako bohaterowi *Pamiętników* oparty jest na bogatym materiale historycznym. Autorka opowiada o inicjatywach dyplomatycznych, przygotowywaniu projektów rezolucji, o układach, traktatach i korespondencji. Stanisław August jawi się w świetle tych dokumentów jako ktoś, kto próbuje wytłumaczyć swą rolę w skomplikowanej sytuacji politycznej Rzeczypospolitej. Czytelnicy mogą zapoznać się z szerokim tłem historycznym, które zarysowane zostało w oparciu o całą dostępną dzisiaj wiedzę na temat polityki Stanisława Poniatowskiego. W podsumowaniu, wskazując na powody, dla których król zdecydował się spisać pamiętniki, Zofia Zielińska stwierdza: *Miał żywe poczucie odpowiedzialności za losy państwa i próbował wyjaśnić prawdziwe przyczyny jego tragedii. Pisał nie bez względu na rosyjską cenzurę – liczył na wydanie memuarów. Musimy jednak pamiętać, że tworzył je człowiek załamany, przekonany o tym, że przegrał wszystko, o co w życiu walczył* (s. 85). Poczucie klęski, które królowi niewątpliwie u schyłku panowania towarzyszyło, wpływało także na to, jak Poniatowski przedstawiał i oceniał osoby, z którymi blisko współpracował lub które miały wpływ na przebieg opisywanych wydarzeń. Portret rodziny Czartoryskich ukazany na kartach *Pamiętników* jest tego znakomitą przykładową.

Książka pod redakcją Anny Grześkowiak-Krwawicz pozwala dokładniej przyjrzeć się wybranym bohaterom królewskich zapisków, dzięki czemu spełnia funkcję swoistego przewodnika po tekście Stanisława Augusta. Szczególnie dokładnie zaprezentowano oczywiście te osoby, którzy w życiu władcy odegrały ważną rolę.

Należeli do nich na przykład prymas Michał Jerzy Poniatowski, brat Stanisława Augusta, oraz jego przyjaciel z czasów młodości – angielski arystokrata i dyplomata sir Charles Hanbury Williams. Osobne miejsce w królewskich memuarach zajmują kobiety, którymi król lubił się otaczać. W książce znalazły się portrety Katarzyny II, matki Konstancji z Czartoryskich, siostr władcy, a także Izabeli z Flemmingów Czartoryskiej. Niezwykle ciekawa jest analiza obrazu Anglików i Francuzów, a więc przedstawicieli tych narodów i kultur, które w XVIII stuleciu odgrywały pierwszoplanową rolę w Europie. Anglia i Francja były dla Poniatowskiego istotnym punktem odniesienia, jeżeli chodzi o rozwój cywilizacyjny, nauki filozoficzne i społeczne. Król chciał wiele zastosowanych tam rozwiązań państwowych przenieść na grunt polski.

*Pamiętniki Stanisława Augusta i ich bohaterowie* to książka doskonale przygotowana pod względem merytorycznym. Zdecydowały o tym nie tylko kompetencje autorów, ale także sposób ich podejścia do królewskich zapisków. Odczytano je z wielką starannością, nierzadko zwracając uwagę także na znaczenie spraw drobnych, choć istotnych, a wywód opatrzone przypisami (do tomu dołączono także indeks nazwisk). W efekcie ta złożona i wielogłosowa książka o charakterze analitycznym stanowi harmonijną całość i – co najważniejsze – pozwala czytelnikom, którzy nie mają profesjonalnej wiedzy historycznej, zbudować sobie obraz króla i jego czasów.

Na koniec warto wspomnieć o pięknej szacie graficznej i bogatych, świetnie zreprodukowanych ilustracjach, które stanowią ważne uzupełnienie prezentowanych tekstów i sprawiają, że omawiana publikacja może być wysoko oceniana również ze względu na swe walory estetyczne.

---

*Pamiętniki Stanisława Augusta i ich bohaterowie*. Red. A. Grześkowiak-Krwawicz. Ośrodek Badań nad Epoką Stanisława Muzeum Łazienki Królewskie, Warszawa 2015, ss. 352.

JAN LEWANDOWSKI

## POWINOWACTWA ESTOŃSKO-POLSKIE

W *Wielkiej encyklopedii PWN* estońskiemu poecie Jaanowi Kaplinskiemu (ur. 1941) poświęcono dziesięciowierszową notę, a jego twórczość została określona jako *liryka intelektualno-filozoficzna, skupiająca się na relacjach między współczesnym człowiekiem a przyrodą*. Pod hasłem *Jerzy Kapliński*, a tak nazywał się urodzony w 1901 roku ojciec Jaana, znajdziemy jedynie informacje na temat znanego tancerza i choreografa żyjącego w latach 1909-2003. Wprawdzie już w 1988 roku ukazał się w języku polskim wybór poezji Jaana Kaplinskiego *Pieśń o niechcymym spotkaniu ze szczęściem* (w tłumaczeniu Aarnego Puu), a jego pojedyncze wiersze publikowano od 1970 roku w zbiorowych antologiach i czasopismach<sup>1</sup>, jednak wydaje się, że zarówno bogata gatunkowo i intelektualnie twórczość, jak i aktywność pozaliteracka estońskiego poety zasługują na nieco szerszą prezentację. Dotyczy to także sylwetki jego ojca, któremu poświęcona jest omawiana książka, chociaż wbrew tytułowi syn pisze na jej kartach przede wszystkim o sobie (to swego rodzaju autobiografia, której znaczną część stanowi „rozmowa” z niezującym ojcem, część zaś – dziennik z lat 2002-2003).

Ojciec Jerzego Bonifacego Edwarda (1901-1943?), inżynier metalurg Zygmunt Kapliński, miał korzenie frankistowskie (o Kaplińskich pisała ostatnio Olga Tokarczuk w *Księgach Jakubowych*), a matka Janina, śpiewaczka i aktorka, pocho-

---

<sup>1</sup> W 2013 roku w Gdańsku ukazał się tom poezji Jaana Kaplinskiego *Po drugiej stronie jeziora* (także w przekładzie Aarnego Puu). Kilka wierszy Jaana tłumaczył z angielskiego i opublikował Czesław Miłosz.

działa ze zasymilowanej, patriotycznej rodziny tatarskiej i była córką powstańca styczniowego Bonifacego Dziadulewicza (1844-1901), aktywnego uczestnika życia muzycznego Warszawy, autora nieukończonej biografii Stanisława Moniuszki, z którym pozostawał w bliskich kontaktach. Zanim Jerzy zdał w Warszawie maturę w 1920 roku, zdobywał edukację – domową i formalną – w Petersburgu, Vevey (Szwajcaria), Francji, Moskwie, Kijowie i Warszawie, gdzie po egzaminie dojrzałości wstąpił ochotniczo do 205 Pułku Piechoty. Ranny w nogę, otrzymał medal za wojnę 1920 roku, po demobilizacji zaś podjął studia filologiczne, uwieńczone w 1932 roku doktoratem. Prowadził aktywną działalność zawodową i naukową, a w sierpniu 1933 roku znalazł się na uniwersytecie w Tartu jako opłacany przez stronę polską samodzielny lektor języka polskiego.

Tartuskie lata były dla Jerzego Kaplińskiego czasem największej aktywności na polu dydaktycznym, naukowym<sup>2</sup>, publicystycznym, popularyzatorskim, towarzyskim i osobistym<sup>3</sup>, zwłaszcza że już po roku swobodnie władał językiem estońskim w mowie i piśmie. Z pierwszego estońskiego małżeństwa Kaplińskiego z baletnicą i oszczepniczką Iřą Kõiv urodził się niepełnosprawny syn Zygmunt (1935-1965), z drugiego – zawartego w marcu 1938 roku z tancerką i tłumaczką Norą Raudsepp (1906-1982) – 22 stycznia 1941 roku przyszedł na świat Jaan. 23 czerwca tego roku Jerzy został aresztowany przez NKWD. Istnieją cztery wersje i cztery przypuszczalne daty jego śmierci.

W estońskich realiach powojennych Jaan miał – jak sam pisze – „współtowarzyszy losu”: dzieci, które wychowywały się bez ojców, a często nawet ich nie pamiętały. Po raz pierwszy uświadomił to sobie *pod choinką otoczoną dziećmi, których ojcowie byli nieobecni: polegli na wojnie, stracili życie w więzieniach lub na uchodźstwie. (...) mam w pamięci wyraźny obraz sali z wysoką choinką i siedzącymi pod nią dziećmi ze swoimi mamami i babciami* (ss. 10-11).

Rodzina matki, której Jaan poświęca w książce znacznie mniej miejsca, ale która przecież w znacznej mierze ukształtowała jego osobowość, to przedstawiciele estońskiej inteligencji. Dziadek był absolwentem rosyjskiego seminarium nauczycielskiego w Tartu, początkowo pracował jako nauczyciel, a potem został właścicielem księgarni oraz wytwórni sprzętu sportowego i jednym z najbogatszych ludzi w tym akademickim mieście. Babka pochodziła z rodziny Schulzenbergów, do której należał estoński deputowany do rosyjskiej Dumy Państwowej. Majątek dziadków Jaana dwukrotnie konfiskowały władze radzieckie: po raz pierwszy w roku 1940, ponownie – cztery lata później.

W dłuższych i krótszych biogramach podkreślana jest przede wszystkim rozległość literackiej i pozaliterackiej aktywności Jaana Kaplińskiego oraz wysoka ocena jego różnorodnego gatunkowo dorobku pisarskiego, tworzonego głównie w języku estońskim, ale także angielskim, fińskim i rosyjskim. *Poeta, filozof, ekolog i podróżnik. (...) Pracował jako lingwista, socjolog, botanik i dziennikarz, był posłem do parlamentu (niepodległej Estonii – przyp. J. L.). Sygnatariusz „Listu 40 intelektualistów” z 1980 roku w obronie języka estońskiego w anektowanej przez ZSRR Estonii. Autor wierszy, esejów i prozy, tłumaczony na wiele języków (...). Tłumacz literatury z języków francuskiego, angielskiego, hiszpańskiego, chińskiego (...) i szwedzkiego. (...) Laureat wielu nagród, w tym Vilenica (2001), Max Jacob (2003) oraz (...) Prix Européen de Littérature (2016)*<sup>4</sup>. Dodajmy, że Jaan Kapliński

<sup>2</sup> Biogram Jerzego Kaplińskiego zamieszczono w *Słowniku biograficznym nauki estońskiej* (zob. S. G. Isakov: *Jerzy Kapliński [w:] Eesti teaduse biograafiline leksikon*. Peatoimetaja K. Sillvask, Tallinn 2000, s. 559).

<sup>3</sup> Ostatnio o estońskim etapie życia Jerzego Kaplińskiego pisali: N. Sindecka, *Jerzy Kapliński a Estonia* (w:) *Ludzie, władza, narody, religie. Lubelszczyzna, Polska, Europa*. Red. A. Kidzińska-Król, Lublin 2015, ss. 257-264; J. Lewandowski: *Jerzy Kapliński (1901-?) „Zaginiony na Wschodzie”* (w:) *Ku Niepodległej. Ścieżki polskie i francuskie 1795-1918*. Red. M. Willaume. Lublin 2005, ss. 669-677; S. G. Isakov, T. K. Szor: *Związki uniwersytetu w Tartu ze sprawami polskiej kultury i państwowości w latach 1919-1940* (w:) *Uniwersytet w Tartu a Polacy. Rola doradczyków w polskiej nauce, kulturze i polityce w XIX i XX wieku*. Red. S. G. Isakov i J. Lewandowski. Lublin 1999, ss. 181-185.

<sup>4</sup> Skrót informacji ze strony przedtytułowej.

był ponadto tłumaczem z kilku innych jeszcze języków, w tym z polskiego<sup>5</sup>, oraz poważnym kandydatem do literackiej Nagrody Nobla<sup>6</sup>.

Ta rozległość działalności Jaana znalazła odbicie także w omawianej książce, w której obok podstawowego wątku – „rozmowy” z niezującym ojcem – nie brak refleksji o charakterze historyczno-porównawczym, filozoficznym, (a)religijnym, eschatologicznym czy ekologicznym. Wiele fragmentów opowieści o Jaanie i Jerzym Kaplinskiach dotyczy genealogii i powiązań rodzinnych, przede wszystkim w odniesieniu do przodków w linii męskiej. Mamy też szerokie tło historyczne, obejmujące zarówno losy tartuskiej rodziny Jaana, jak i dzieje estońskiego środowiska intelektualnego od ostatnich lat przed wybuchem II wojny światowej do pierwszych lat XXI stulecia, a także realia życia codziennego<sup>7</sup>. To zarazem świadectwo intelektualnych kontaktów autora – tak estońskich, jak i międzynarodowych.

W tej swoistej autobiografii, w której syn stawia pytania ojcu i opowiada o sobie, sporo miejsca zajmuje wątek polski, dotyczący nie tylko spraw rodzinnych, ale także wrażeń i refleksji o Polsce po roku 1975. Wtedy właśnie Jaan po raz pierwszy znalazł się w kraju ojca, u dalekiej kuzynki, „cioci” Anieli Chałubińskiej (1902-1998), wówczas emerytowanej profesor geografii na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej, która zorganizowała swemu krewniakowi pobyt w Lublinie, Krakowie i Zakopanem. To na kanwie lubelskich kontaktów zawartych w 1975 roku Kaplinski snuje wspomnienia dotyczące środowisk, z którymi miał kontakt w naszym mieście, a także ogólniejsze refleksje.

O najstarszej generacji pisze, że *nie byli oni, również ciocia Aniela, ludźmi dialogu. Nie słuchali innych, brali z ich – czyli w tym przypadku z mojej – opowieści jedynie to, co pasowało do ich wyobrażeń. To, że przybysz z Estonii mógł się różnić, myśleć i odczuwać inaczej niż Polak, było dla nich niezrozumiałe, bardzo możliwe, że coś takiego nigdy by im nie przyszło do głowy* (ss. 50-51).

„*Czy czujesz się choć trochę Polakiem*”, spytała kiedyś ciocia Aniela, a w jej pytaniu dało się odczuć mocne życzenie, bym odpowiedział: tak. Lecz moja estońska proslonijnność nie pozwoliła mi tak odpowiedzieć. Nie pamiętam dokładnie mojej ówczesnej odpowiedzi, lecz jej sens był taki, że *niemal czterdziestomilionowa Polska mnie nie potrzebuje, potrzebuje mnie natomiast milionowa Estonia. Sądzę, że miałem rację. Tak naprawdę nie do końca rozumiem sens tego pytania. Jak można CZUĆ SIĘ Polakiem, Estończykiem, Żydem? Nie śmiem powiedzieć, bym czuł się Estończykiem, choć byłaby to dla mnie najbardziej naturalna definicja.*

*Wiem, czym jest uczucie, gdy człowiek czuje się gdzieś jak w domu, u siebie. Estonia jest moim domem, tu są moje dzieci, estoński jest językiem mojego domu. Moje dzieci są Estończykami* (ss. 51-52).

*Choć i tu jest wiele rzeczy, które nie pozwalają mi w pełni odczuć, że jestem w domu.*

To ostatnie wyznanie przybiera kilkakrotnie konkretny kształt. *Dostało mi się za* (krytyczne, odburzowiające – przyp. J. L.) *teksty napisane o Masingu*<sup>8</sup>, *ale także za inne rzeczy: za brak patriotyzmu, gdy powiedziałem, że Estonia nie potrzebuje Iwangorodu*<sup>9</sup>, *lub że niektórzy Estończycy służyli podczas niemieckiej*

<sup>5</sup> W tłumaczeniu Jaana Kaplinskiego na estoński ukazały się *Przeszłość* (1965) Andrzeja Szczypiorskiego oraz *Ze wspomnień Ijona Tichego* (1967) Stanisława Lema. Nora Kapliński tłumaczyła na estoński m.in. *Pamiętnik antybohatera* Kornela Filipowicza (1966) i wydane w zbiorze *Poola novell* (1974) opowiadania Kornela Filipowicza, Anny Kowalskiej, Eligiusza Mikołajczyka, Stefana Otwinowskiego i Edwarda Stachury.

<sup>6</sup> Drugim estońskim kandydatem do literackiego Nobla był Jaan Kross (1920-2007), którego kilka powieści zostało przetłumaczonych na język polski. W Estonii zarzutowano, że gdyby wysunięto tylko jednego kandydata, to szanse na nagrodę byłyby dwukrotnie większe.

<sup>7</sup> Książka została napisana między październikiem 2002 roku a lipcem roku 2003 i opublikowana jeszcze w tym samym roku (zob. J. Kaplinski: *Isale*. Wyd. Varrak, Tallinn 2003).

<sup>8</sup> Uku Masing (1909-1985) – estoński filozof, tłumacz, teolog, poeta i językoznawca, poliglota (zna 60 języków!), cieszący się powszechnym autorytetem czy wręcz uwielbieniem. Jego twórczość wywarła duży wpływ na literaturę lat 60. Jaan uważał go za swojego mistrza. Polemice z jego twórczością i wpływami poświęcił powieść *Seesama jögi* (2007, *Ta sama rzecka*).

<sup>9</sup> Rosyjska twierdza z XV wieku i miasto na prawym brzegu rzeki Narwy, naprzeciwko zakonnej, a potem szwedzkiej twierdzy w mieście Narwa (Hermanilinn). Na mocy pokoju w Tartu w 1920 roku Iwangorod (est. Jaanilinn) wraz z okolicą (Zanarwie) należał do Estonii. W 1945 roku przyłączony został do RFRR.

okupacji jako kaci. Według jednego z kolegów moje twierdzenia, iż także Estończycy zabijali Żydów, dowodzą, że nie jestem prawdziwym Estończykiem. Ten sam człowiek powiedział raz naszemu wspólnemu znajomemu, że wszystkich Żydów i Rosjan należałoby postawić pod ścianą. Znajomy zapytał, czy także Łotmana. „Tak, Łotmana też” – odparł ów kolega, który z pewnością jest prawdziwym Estończykiem. Mniej więcej to samo mówili w Polsce ci, którzy w wuju Tadeusza<sup>10</sup> widzieli „skrzyżowanie sarmatyzmu i getta”. Faszysta Łaszowski wystąpił podobno na jednym z zebrań PEN Clubu z wnioskiem, aby Boya, Słonimskiego i Krzywicką powieszono... To, że jedni chcieliby inteligentów o odmiennych poglądach lub pochodzeniu rozstrzelać, a inni powiesić, można najprawdopodobniej wytłumaczyć różnicami kulturowymi (s. 85).

Wracając pamięcią do tygodniowego pobytu w Lublinie w 1975 roku, Jaan wspomina kontakty z lubelskimi duchownymi, w tym pracownikami KUL, nie stroniąc przy tym od rozleglejszych refleksji.

W rozmowie wspominałem, że interesuje mnie religia, Kościół katolicki. Było to widocznie po myśli ciotki Anieli – zorganizowała mi spotkania i dała do czytania stertę katolickiej literatury. Mówiąc szczerze, większość owych księży wydała mi się nudna, tak jak większość tej literatury. Mały pobożny świat, który nauczył się dobrze bronić i przedstawiać siebie jako obrońcę narodu, moralności i wszystkiego, co dobre i piękne. Obawiam się, że w tym ostatnim Kościół katolicki mocno się przecenia. Bez niego świat nie uległby upadkowi szybciej niż z nim. Stanie się to moim zdaniem i tak, i tak. Lecz nie z tego powodu, że dziewczyny biorą pigułki lub poddają się aborcji (s. 54).

O jednym z lubelskich księży, werbiście, Jaan napisał: Zaskoczył mnie swym arytmetycznym myśleniem, gdy wyznał, że tak wiele jest wciąż do zrobienia: na świecie jest y ludzi, z tego x w c i q ż nieochrzczonych. Pomyślałem, że byłoby dobrze, gdyby tak zostało (ss. 54-55).

Kaplinski podkreśla różnice w historii Polski i Estonii, nawiązując do swoich polskich korzeni: *Historia i kultura Polski i Estonii są tak odmiennie. Z jednej strony naród, którego imperium rozciągało się kiedyś od Bałtyku do Morza Czarnego, naród, który podbił Moskwę i panował w Inflantach. Z drugiej – naród, który przebudził się i powstał do życia dopiero przed stu pięćdziesięcioma laty, w połowie XIX wieku.*

Nic więc dziwnego, że nie bardzo chcemy pamiętać o czasach wcześniejszych, o wiekach niewolnictwa i pańszczyzny. Jak gdyby historia naszej kultury rozpoczęła się wraz ze Świętami Pieśni<sup>11</sup> – wielkim kulturowym zapożyczeniem od Niemców. Polacy – chciałem napisać „wy Polacy”, lecz zawahałem się: sam przecież jestem po części Polakiem, twoim synem i spadkobiercą – mają co pamiętać. Słynnych królów, dowódców armii, mroczne wydarzenia w historii. Pisarze mają o czym pisać, malarze co malować. Na obrazach stryja Leona<sup>12</sup> (czy mam go nazywać stryjecznym pradziadem?) znaleźć można postaci i sceny z owej bogatej, niekiedy pełnej tragizmu historii. Jest tam hetman Chodkiewicz, który pobił Szwedów pod Dorpatem (Tartu) i Białym Kamieniem (Paide), rządził Inflantami i przez jakiś czas nawet Moskwą, a także stary Ukrainiec Wernyhora, który przepowiedział Rzeczpospolitej upadek (ss. 81-82).

Pojawiający się w cytowanym fragmencie motyw poszukiwania korzeni i tożsamości przewija się przez całą autobiografię. W poszukiwaniach tych istotną rolę odgrywa nie tylko genealogia, ale także fascynacja religiami i filozofią Dalekiego Wschodu (buddyzm, taoizm). Tomasz Lenczewski, genealog, heraldyk i antykwarisz (autor tekstu *Potomkowie wyznawców Franka*), pisał o Kaplińskim: *Zarówno jego różnorodna osobowość, jak i bogaty dorobek intelektualny to nie tylko dar*

<sup>10</sup> Mowa o Tadeuszu Boyu-Zeleńskim, którego przodkowie byli spokrewnieni z Kaplińskimi.

<sup>11</sup> Pierwsze Święto Pieśni odbyło się w 1869 roku. Obchody były organizowane także w okresie radzieckim, kiedy to odgrywały istotną rolę w podtrzymaniu estońskiej świadomości narodowej.

<sup>12</sup> Leon Kapliński (1826-1873) – malarz, działacz polityczny, pisarz i dziennikarz.



wewnętrzny i suma doświadczeń życiowych. To również dziedzictwo pochodzenia, stanowiącego konglomerat wielu kultur i religii, gdzie granice między Wschodem a Zachodem uległy zatarciu i zlewają się w jedną całość.

Interesująca dla polskich czytelników może być także opinia Kaplinskiego o polskiej kulturze: *Kultura polska jest w formie europejska, opiera się mocno na europejskich kanonach, w treści jednak jest bardzo narodowa, polonocentryczna, czasem wydaje mi się nawet, że wręcz zamknięta w sobie w porównaniu na przykład z kulturą czeską, łotewską czy estońską. I chociaż polska arystokracja i inteligencja (dużą jej część, w tym naszych przodków, można by nazwać inteligencją pochodzenia szlacheckiego) znała francuski, niemiecki, a często i angielski, kultura polska jest w moim odczuciu osamotniona, prowadzi dialog sama ze sobą.*

*Wątpię, byśmy znaleźli tu wspólny język, mnie takie poczucie narodowe wydaje się przejawskrawione, przesadne, niepasujące do wielkiego narodu, który mógłby być bardziej otwarty, bardziej nastawiony na dialog z innymi, na dawanie i branie. Polska oczywiście wiele dała i wzięła, lecz poprzez bardzo silne filtry. Tłumaczą to oczywiście wydarzenia historyczne (s. 52).*

Do tematu swoich złożonych relacji z ojczyzną przodków Kaplinski powraca w Przedmowie do polskiego wydania książki: *Jadąc do Polski, wyobrażałem sobie, że będę to powrót odnalezionego po latach syna. Tak się jednak nie stało. Zbyt wiele spotkałem w niej tego, co jest mi obce. Do Polski zbliżyłem się dopiero dzięki Pograniczu, dzięki Krzysztofowi Czyżewskiemu, Czesławowi Miłoszowi i innym (s. 5).*

Orientację w genealogii dziesięciu pokoleń Kaplińskich/Kaplinskiach, licząc od konwertyty Jakuba (1734-1809), ułatwiają dwa zestawienia: *Przodków Jerzego Kaplińskiego* i *Potomków Jerzego Kaplińskiego*. Pierwsze obejmuje 36 nazwisk i pokazuje pokrewieństwo lub powinowactwo Kaplinskiach z takimi m.in. rodzinami jak Wołowscy, Szymanowscy, Brzezińscy, Naimscy, Czyńscy, Grabowscy, Trąmpczyńscy, Dziadulewiczowie, Żeleńscy czy Tetmajerowie. Drugie zestawienie obejmuje 29 osób (stan na 2016 rok), w tym 25 żyjących.

Zarówno krótkie przypisy, jak i zwięzłe informacje o kilkudziesięciu – spośród kilkuset – występujących w tekście osobach, przeważnie przedstawicielach estońskiego życia kulturalnego, ułatwiają rozeznanie w realiach tamtejszej kultury i historii. Zastanawiające, że w całym tekście nie pada nazwisko najbardziej znanego i cenionego w świecie Estończyka – kompozytora Arva Pärti (ur. 1935). Ponieważ odznaczająca się wysokimi walorami artystycznymi książka Jaana Kaplinskiego jest też cennym źródłem historycznym, pożyteczne byłoby umieszczenie w niej indeksu nazwisk, a może i miejscowości.

Wydawcę publikacji, Fundację Ośrodek „Pogranicze”, należy docenić za dobry poziom edytorski, poręczny format tomu, staranne opracowanie graficzne (Krzysztofa Czyżewskiego) i czytelne reprodukcje zdjęć. Książka ukazała się w serii Meridian, o której jednak nie ma więcej informacji, poza tym, że redaguje ją Krzysztof Czyżewski, a za motto służy wiersz Paula Celana, zaczynający się od słów: „Znajduję to, co łączy...”. Czy to początek serii, czy też kolejna pozycja?

Zasługą tłumaczki jest piękna polszczyzna – trzeba przy tym zaznaczyć, że w tekście pojawiają się też utwory poetyckie (w sumie ok. 10 stron), z jednym bodajże wyjątkiem również spolszczone przez Annę Michalczuk. Jest to jej debiut, jeśli chodzi o tak obszerną publikację, jednak tłumaczka ma już w zanzadrużu inne przekłady estońskiej literatury (tym razem chyba bez polskich konotacji), na które szuka wydawców. Michalczuk, absolwentka kierunku filologia polska na Uniwersytecie Wrocławskim, autorka obszernej pracy doktorskiej o recepcji literatury polskiej w Estonii do roku 1940, była lektorką języka polskiego na uniwersytecie w Tartu, opanowała estoński i jak na swój młody wiek prezentuje imponującą znajomość estońskiej literatury i kultury. Jest bodajże jedną z dwu osób w Polsce tłumaczących estońską prozę i poezję (drugą jest wspomniany już Aarne Puu – estoński poeta urodzony w 1948 roku,

a od kilkudziesięciu lat mieszkający w Krakowie, piszący w języku estońskim, polskim i rosyjskim).

Omawiana autobiografia to książka dość nietypowa w bogatej twórczości Jaana Kaplinskiego. Choć ten estoński pisarz (być może przyszły noblista) zaistniał już w Polsce za sprawą dwu wspomnianych wcześniej zbiorów wierszy i pojedynczych liryków drukowanych w antologiach i czasopismach, jego równie wysoko cenione teksty prozatorskie i eseistyczne nadal czekają na polskiego tłumacza i wydawcę.

---

Jaana Kaplinski: *Ojcu*. Z języka estońskiego przełożyła Anna Michalczuk. Pogranicze, Sejny 2016, ss. 358 + il.

EWA DUNAJ

## WAŻNA ROZMOWA O POEZJI

Tom *Kanon prywatny* Zbigniewa Chojnowskiego, poety i literaturoznawcy, obejmuje recenzje książek poetyckich wydanych w przeciągu ponad ćwierćwiecza. Zmieniały się mody i trendy, przechodziły do historii dawne poetyki, koterie, salony, a w ich miejsce pojawiały się nowe. Krytyk, baczny obserwator, przygląda się temu wszystkiemu z dystansu, w swoich wyborach i ocenach nie pomija zaś szerszego kontekstu (bo zmieniały się także czasy, uwarunkowania społeczno-polityczne, a sami artyści dojrzewali – nie tylko twórczo). Do wielu autorów wraca po wielokroć, obserwując ewolucje postawy i języka, rozwój „wyobraźni i wrażliwości”.

Niejednokrotnie recenzja przeradza się w rodzaj polemiki czy dyskusji z poetą, a czasem wręcz staje się okazją do nawiązania otwartego dialogu, w którym Chojnowski wyraża wprost swoje poglądy dotyczące społecznego oddziaływania literatury.

Bo też jest on krytykiem zaangażowanym i świadomym. Przede wszystkim dlatego, że sam, jako poeta, zdaje sobie sprawę z wagi każdego słowa. Ten autor około dziesięciu tomów poetyckich i uczestnik wielu antologii w swoich wierszach próbuje znaleźć uniwersalne przesłanie, a także zawrzeć doświadczenia jednostkowe i społeczne, które mogłyby trafić do jak największej grupy czytelników. Od poetów wymaga więc nie tylko sprawności warsztatowej czy stylistycznej zręczności, ale i odpowiedzialności, dążenia do prawdy, filozoficznych oraz aksjologicznych fundamentów – *domaga się od czytanych poetów konstruktywnej wizji rzeczywistości (...), a nie jedynie dzienników choroby...* Chojnowski sam przyznaje, że „rzadko używa narzędzi krytyki negatywnej”. Zamiast tego po prostu starannie dobiera twórców, których książki poetyckie decyduje się omówić. W swych miniaturach, czasem ledwie naszkicowanych prezentacjach stara się być empatyczny, ale i wymagający; próbuje dotrzeć do sedna, odszukać to, co najważniejsze, unikając zdawkowych pochwał i gładkich formułek. Widać to zwłaszcza wtedy, gdy po latach powraca do któregoś ze „swoich” poetów, w kolejnej recenzji kontynuując rozpoczętą z nim wcześniej rozmowę.

Formuła „prywatnego kanonu”, będąca przecież jeśli nie oksymoronem, to przynajmniej paradoksem, pozwoliła Chojnowskiemu na stworzenie obrazu swobodnego i subiektywnego. Uniezależniła autora od „czynników pozamerytorycznych”, pozwoliła na swobodę zarówno w wyborze recenzji („mozaikowość”), jak i w ich kompozycji. Poeci mało znani i zapoznani sąsiadują tu z twórcami pojawiającymi się na okładkach literackich czasopism, autorzy żartobliwych rymowanek dla dzieci i dorosłych – z artystami „koturnowo” poważnymi. Większość szkiców to teksty już wcześniej publikowane, ale jest też parę napisanych

specjalnie na potrzeby tego zbioru, a całości dopełnienia kilka esejów na temat książek o poezji.

Chojnowskiego interesuje przede wszystkim „rozwój indywidualnej świadomości” twórcy. Z uwagą wsłuchuje się w głos każdego poety, próbując rozpoznać i odkryć jego sposób opisywania siebie i świata. Wiersz może być raz „wędrowaniem”, innym razem „modlitwą”, „obserwacją i kontemplacją”, „rozpoznawaniem źródła cytatu”, „próbą zrozumienia niezrozumiałego” (cytaty z poszczególnych recenzji). Dla Chojnowskiego najważniejsze jest to, że „poeta za pomocą utworu rozmyśla”.

Polifonia głosów, różnorodność stylów i postaw, połączona została tutaj przede wszystkim na mocy subiektywnej decyzji autora zbioru. Ale po *Kanon prywatny* sięgnąć powinni nie tylko ci, którzy są ciekawi gustów i wrażliwości Zbigniewa Chojnowskiego. Prezentowany wybór recenzji, dzięki wnikliwości spojrzenia i precyzji analitycznej badacza, ujawnianej nawet w najbardziej miniaturowych formach, odsłonić może przed czytelnikami nieznane lub zapomniane i niedocenione obszary polskiej liryki. Mamy więc okazję, by przypomnieć sobie (lub wręcz poznać) twórców, których nazwiska skryły się w przykurzonych antologiach, albo książki poetyckie, które wciąż potrafią wzruszać, zachwycać, pobudzać do refleksji, choć pozornie ich czas minął. Wobec „zaniku centrum” i „upadku autorytetów” takie indywidualne, subiektywne rozmowy o poezji stają się coraz bardziej potrzebne i ważne.

---

Zbigniew Chojnowski: *Kanon prywatny. Książki poetyckie 1981-2015*. Wydawnictwo Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, Olsztyn 2016, ss. 680 + 2 nb.

BOGDAN ROGATKO

## MIŁOSNY DIALOG W LISTACH WISŁAWY SZYMBORSKIEJ I KORNELA FILIPOWICZA

Dzięki staraniom wydawnictwa Znak otrzymaliśmy obszerny zbiór listów polskiej noblistki i znakomitego, choć niedocenianego, pisarza. Przez ponad 20 lat tworzyli oni nieformalny związek ludzi zakochanych w sobie, a wzajemnej fascynacji nie ukrywali w swej korespondencji.

Pierwsze listy pochodzą z roku 1966, gdy znajomość dopiero się zaczynała, ostatni list nosi datę 15 października 1985 roku. W korespondencji istnieje luka – brak listów z lat 1982 i 1983. Trudno dociec, z jakich powodów – nie pisali? zaginęły? Kornel w latach 80. nie jeździł, by łowić ryby, i nie tułał się po rozmaitych biwakach – z lat 1984 i 1985 mamy tylko kilka listów, wszystkie od Wisławy do Kornela.

Powyższe zestawienie jest na tyle istotne, że skłania do skupienia się na najobszerniejszym i najciekawszym fragmencie tej korespondencji – z drugiej połowy roku 1968. Wówczas to poetka została przez learkę wysłana do sanatorium „Ciągłówka” w Zakopanem z podejrzeniem gruźlicy i przebywała tam prawie pół roku, od 23 lipca do 21 grudnia.

Filipowicz w lipcu pływał jeszcze kajakiem, ciesząc się na rychłe spotkanie z ukochaną, i zapowiadał w listach, że zjedzą uroczysty obiad u Wierzyńka. W Krakowie zastał list od Wisławy zawiadamiający o jej nagłym zamknięciu w sanatorium o „wieziennym rygorze”. Aby nie popaść w atmosferę peerełowskiego szpitala, Kornel nazwał ten zakład „czarodziejską górą” (pisane małymi literami). Zresztą w miarę lektury listów poetki trudno się było oprzeć wrażeniu, że staje się ona mimowolnie bohaterką powieści Tomasza Manna.

Ale zakopiańskie sanatorium z jego pacjentami to przecież nie Davos, lecz Czarodziejska Góra w krzywym zwierciadle peerelowskiej rzeczywistości. Towarzyski Wisławy z sanatorium nie przypominały w niczym dystygowanej Kławdii Chauchat, towarzyszy trudno porównywać z kuzynem Joachimem czy Settembrinim, a ordynator to nie był elegancki doktor Krokowski, mający bezpośredni stosunek do pacjentów – tylko sama Szyborska daje się wpisać w portret Hansa Castorpa. Jak z tymi ludźmi można było dłużej wytrzymać, gdy brakowało prywatności, a nawet miejsca do pisania? Pozostawały jedynie listy, czasem rozmowy telefoniczne oraz rzadkie, bo reglamentowane przez szpitalny rygor, wizyty Kornela i przyjaciół. A także karmienie wyobraźni literackimi skojarzeniami.

Ratunkiem przed szpitalną beznadzieją stawały się humor, dowcip, wymyślane zabawnych fantazji, zmienianie tożsamości obojga korespondentów. Istnieje blok kilkunastu listów, których pomysł narodził się podczas wspólnych pobytów w Lanckoronie, popularnej wówczas w artystycznym środowisku miejscowości, położonej w malowniczej okolicy kilkadziesiąt kilometrów od Krakowa. Oto niejaki Eustachy Pobóg-Tulczyński jako plenipotent zdaje relację z zarządzania majątkiem hrabinie Lanckorońskiej i oczekuje jej powrotu do rodzinnych włości. Rzekoma powaga i niepokój o losy hrabiny sąsiadują z subtelnym humorem i sytuacyjnym absurdem, dzisiaj rzadko już stosowanym, a obecnym kiedyś np. w Kabarecie Starszych Panów. Taki też humor przenika korespondencję autorki limeryków i wyklejanek oraz jej epistolarnego partnera. Pretekstem do owej dowcipnej „maskarady” było też to, że Filipowicz pochodził z rodziny szlacheckiej herbu Pobóg, a dalsza jego rodzina mieszkała kiedyś w miejscowości Tulczyn. Natomiast w jednym z listów Szyborska informuje, że jej dalekim krewnym jest generał Skąpski, którego zdjęcie znalazła w albumie.

Przytoczmy kilka fragmentów:

12.08.68

*Bardzo Kochany Kornelu!*

*Obie, to znaczy ja i hr. Lanckorońska, dostałyśmy dzisiaj przesyleczkę. Nie wiem, co piękna Heloiza odpisze Panu Tulczyńskiemu, ale ja osobiście muszę zaprotestować przeciw adresowi zwrotnemu, jaki P.T. podał na kopercie. O ile pamięć mnie nie myli, P.T. bynajmniej nie dogasał u Helców, ale padł na posterunku, broniąc dóbr i czci hr. Lanckorońskiej przed bolszewikami w 1920! Pogrzebany pośpiesznie w Kuryłówce, przeniesiony potem został na cmentarz Lanckoroński i pogrzebany w pobliżu grobowca rodzinnego hrabiów.*

(...)

Abacja, 15 IX 08

*Zacny Panie Tulczyński!*

*Milczysz Pan jak zakłęty. Trapię się nawet, czy dostałeś Pan ostatni mój list z instrukcjami? Na Sorrento nie pisz już więcej; zamyślałam nerwowo tam odpocząć, co by się z pewnością stało, gdyby nie przykry zbieg okoliczności, który zrządził, że do mego pensjonatu zjechał ks. Kocio Przeździecki w podróży poślubnej z Melą ks. Badeniówną z domu! Widok tak niedobrej pary przeprawił mnie o atak migreny. Krzywych nóg ani zeza młodej Pani Przeździeckiej nawet ten krociowy posag nie wyprostuje!*

(...)

Abacya 30 IX 08

*To nieładnie, Panie Eustachy, tak życzliwą Ci osobę zaniedbywać! Umieram tu z niepokoju, czy aby co złego się nie przytrafiło? Moje środki są już na wyczerpaniu, przeto tkwić muszę nadal w Abacji, która z kretesem mi już obrzydła, zwłaszcza odkąd ks. Drucki-Lubecki wraz z przyjacielem moim Bispingiem do kraju powrócili (...). Kończąc – bo na lekcją iść za chwilę muszę – usilnie o parę słów Pana*

*proszę – czyś Pan zdrow, biblioteka czy już do ładu jako takiego przyszła i kiedy myślisz Pan zarybić ten staw w Lanckoronie? Jeśli jeszcze nie, to dobrze, bo wolę basen do pływania!*

*Nawiasem mówiąc: koło domu w Lanckoronie, gdzie się zwykle mieszkało, znajdował się odkryty basen, ale wejście do wody wymagało hartu ducha. Otrzeptywało z zimna.*

Poetka nie ukrywała głębokiego uczucia, Kornel je odwzajemniał, choć w sposób mniej wylewny. Podkreślał też epistolarny kunszt Wisławy, niektóre jej listy przyrównywał wręcz do utworów poetyckich. Wisława natomiast krytyczne opinie Kornela o jego twórczości uważała za mocno przesadzone.

W obfitującym w haniebne wydarzenia polityczne roku 1968 nie zabrakło w listach Filipowicza kilku znamiennych passusów. Posłuchajmy:

[23 VIII 1968]

(...)

*Dowiedz się, Kochana, że gdyby nie wypadki w Czechosłowacji, byłabyś jadła poziomki ze śmietaną, kukurydzę i słonecznik i byłabyś usłyszała dużo miłych słów (...), ale jak się dowiedziałem, co się stało, to zapomniałem o poziomkach, kukurydzy, słonecznikach. Kiedy sobie przypomniałem, to już było za późno, a co do miłych słów to też zapomniałem (języka w gębie...).*

*Całuję Cię.*

K.

27 VIII 68

(...)

*Boję się Wisławo, że na długi czas zostaniemy zamknięci wewnątrz naszego bloku i odcięci od świata, nie mówiąc już o tym, że zamkną nam także usta. Chyba że ktoś będzie miał odwagę przyznać się, że dał się nabrać na gigantyczną prowokację, z czego w Pentagonie zacierając rączki w kułak się śmieją...*

*Powinniśmy Wisławo być teraz bliżej siebie, byłoby nam lżej i na pewno weselej. Całuję Cię Kochana mocno – Kornel.*

Zżymał się też Filipowicz, gdy z Wydawnictwa Literackiego otrzymał do korekty *Wybór opowiadań*, z którego bez porozumienia z nim cenzura usunęła opowiadanie o Jonaszu Sternie, jego przyjacielu Żydzie i ideowym komuniście. Powodem musiało być tylko żydowskie pochodzenie bohatera. Jest to przykład, do jakich paranoicznych decyzji dochodziło w tej szaleńczej nagonce antyse-mickiej.

Kornel uwielbiał koty. W jego mieszkaniu zawsze była jakaś psotna kotka. Siedziała na olbrzymim zagraconym biurku i wskakiwała paniom na kolana. Trudno zatem o lepszy tytuł dla listów Szymborskiej i Filipowicza. Nieraz w listach Wisława zwracała się wprost do kotki, a w tym z 5 października 1968 roku pisała: *Kornelu Kochany! Najlepiej w życiu ma Twój Kot, bo jest przy Tobie.*

\*\*\*

Wisława przeżyła Kornela o ponad 20 lat. Gdy rozmawiałem z nim pod koniec 1989 roku o planowanym piśmie literackim, Wisława patrzyła na mnie ze smutkiem. Zdawała sobie pewnie sprawę z raka płuc rozwijającego się u Kornela. Nobla dostała w 5 lat po jego śmierci.

W jej poezji dwa były najważniejsze słowa: „nie wiem” („wiem, że nie wiem” – uważają mądrzy ludzie), ale jednego była pewna – swej miłości do Kornela, która przetrwała lata.

I niech to będzie zakończenie.

---

Wisława Szymborska, Kornel Filipowicz: *Najlepiej w życiu ma twój kot. Listy*. Znak, Kraków 2016, ss. 443.

## Prozaicy, prozaicy...

EDYTA IGNATIUK

### DUCHOWA CHRYPKA, DUCHOWE OTŁUSZCZENIE

Jacek Dehnel od czasu publikacji *Lali*, swojej pierwszej powieści, udowadnia, że jest pisarzem oryginalnym, bardzo sprawnie żonglującym językiem i elementami literackiej tradycji. Upodobanie do stylizacji i prowokacji artystycznej sprawia, że każda kolejna książka Dehnela porusza środowisko literackie i dzieli krytyków na *wielbicieli jego żarliwości, długich, krągłych zdań oraz profesjonalnej roboty pisarskiej – i kontestatorów takiego stylu*<sup>1</sup>. Nie inaczej jest w przypadku najnowszej powieści – wydany w maju 2016 roku *Krivoklat*, pastisz antymieszczkańskiej twórczości Thomasa Bernharda, wzbudził wiele kontrowersji. Recenzenci (m.in. Dariusz Nowacki czy Bartosz Sadulski) podkreślali mistrzowskie wręcz naśladownictwo stylu austriackiego prozaika, zastanawiając się jednak, czy jest to zaleta, czy raczej wada powieści. Dariusz Nowacki pisał na łamach „Gazety Wyborczej”: *Autor „Lali” ponownie manifestuje techniczną wirtuozerię, o której wielu może tylko pomarzyć. Miejmy jednak nadzieję, że czyni to po raz ostatni – świat już się przecież dowiedział, że Dehnel jest nielichym majstrem i wiele potrafi. Bernharda, patrząc od strony formy, imituje tak doskonale, że gdyby ten żył i miał możliwość przeczytania „Krivoklata” w przekładzie na niemiecki, mógłby uznać powieść Dehnela za własną*<sup>2</sup>. Jeszcze mocniej sens językowej zabawy zakwestionował w portalu „Dwutygodnik.com” Bartosz Sadulski, który stwierdził, że *Pisanie Bernhardem nie jest gestem twórczej emancypacji, bez względu na poziom trudności – w przypadku „Krivoklata” to raczej sygnał kapitulacji, bo skoro osi napędową historii i monologu jest jego forma, a ta jest pożyczona, to kim jest autor, jeśli nie aktorem?*<sup>3</sup>.

*Krivoklat* ma formę charakterystycznego dla prozy Thomasa Bernharda monologu – tekst pozbawiony jest akapitów, składa się z długich, wielokrotnie złożonych zdań, z licznymi powtórzeniami. Ten swoisty strumień świadomości stanowi zapis myśli przebywającego w szpitalu psychiatrycznym tytułowego *Krivoklata*. Bohater jest miłośnikiem sztuki, który od lat oblewa kwasem siarkowym arcydzieła malarstwa, gdyż – jak twierdzi – tylko poprzez zniszczenie może uświadomić społeczeństwu ich prawdziwą wartość. Pierwowzorem *Krivoklata* jest Hans-Joachim Bohlmann (1937-2009), który w podobny sposób zniszczył dzieła Rubensa, Rembranta i Dürera, przez wiele lat przebywał też w zakładzie dla umysłowo chorych. Dehnel przyznaje, że stworzony przez niego bohater

<sup>1</sup> A. Wolny-Hamkało: *Seks, kłamstwa i sztuka*. „Polityka” 2011, nr 11 (2798), s. 70.

<sup>2</sup> D. Nowacki: „*Krivoklat*”: dla każdego coś przykrego, czyli dlaczego powieść Dehnela zbiera klapsy. „Gazeta Wyborcza” 2016, nr 143, s. 22.

<sup>3</sup> B. Sadulski: *Naśladowca głosów*. „Dwutygodnik.com” 2016, nr 186, <http://www.dwutygodnik.com/arttykul/6586-nasladowca-glosow.html> (27.12.2016).

to nie jest Bohlmann, a jednak to jest Bohlmann<sup>4</sup>. Pomimo pewnych zbieżności biograficznych Krivoklat to zupełnie odrębny od realnej osoby bohater literacki, ze swoją filozofią, swoją historią i swoją misją.

Dehnel sprawił, że Krivoklat nie tylko wypowiada myśli w sposób zbliżony do Bernhardowskich bohaterów, ale też przyjmuje ich postawę wobec świata. Podobnie jak większość wykreowanych przez Austriaka postaci prezentuje postawę antyspołeczną, jest głęboko rozczarowany rzeczywistością, czemu upust daje w ironicznym, a nawet wręcz sarkastycznym monologu, w którym atakuje dzisiejszą bezduszną, brak dobrego smaku, konsumpcjonizm i głupotę. Podkreśla, że największą jego bolączką jest *konieczność spędzania czasu z idiotami i łajdakami* (s. 60).

Tytułowy bohater kreuje się na jednostkę wybitną, wyrastającą ponad innych (wielokrotnie akcentuje opozycję „ja – większość ludzi”), przez co nierozumianą, a w konsekwencji traktowaną jak szaleniec: *z uznaniem kogoś za wariata większość ludzi radzi sobie w ułamku sekundy, w zasadzie z mało czym większość ludzi radzi sobie tak szybko jak z uznaniem kogoś za wariata* (s. 15). Krivoklat snuje refleksje na temat sztuki, wspomina swoją przeszłość, zasadniczo jednak skupia się na krytyce tego, co go otacza. Pierwszą grupą, która poddana zostaje osobliwej diagnozie, są lekarze psychiatry i personel Centrum Medycznego Zamek Immendorf. Bohater zarzuca im brak empatii, przedmiotowe, nieludzkie wręcz traktowanie pacjentów: *Chorujący (...) żywią naiwną, biorącą się nie wiadomo skąd (...) wiarę, że lekarze są ich sprzymierzeńcami, choćby lekarze przez całe lata traktowali ich nie jak sprzymierzeńców, a jak najgorszych wrogów, którzy wpadli w ich ręce, dzięki czemu można ich z łatwością dręczyć na najróżniejsze sposoby, zarówno psychicznie, jak i fizycznie* (s. 23). Wdrażanie przez lekarzy różnego rodzaju terapii i zabiegów prowadzi zdaniem bohatera do kompletnego wycieńczenia pacjentów: *Chorujący (...) trafiają do pierwszego zakładu całkowicie niemal zdrowi, z, że tak to ujmę, pewnego rodzaju duchową chrypką, ale kolejne lata i miesiące zmieniają ich stopniowo w ludzkie wraki* (s. 23). Najbardziej odrażającym występkiem lekarzy jest jednak według Krivoklata terapia przez sztukę. Metoda ta uderza bowiem nie tylko w ludzką godność – pacjenci zmuszani są do *lepienia bezkształtnych glutów z masy solnej albo gliny, gryzmolenia na niedrogim papierze niedrogimi kredkami świecowymi lub równie niedrogimi ołówkami* (s. 28) – ale przede wszystkim w największą dla bohatera świętość, czyli sztukę: *Sztuka (...) została wpompowana w społeczną kanalizację (...), doprowadzona wprost do najgorszego szamba, natomiast w jej miejsce puszczono na powierzchni najgorszy rynsztok, nazywany dla odmiany sztuką i terapią poprzez sztukę* (s. 72).

Kolejną grupą przyczyniającą się do zepsucia świata są tak zwani „znawcy sztuki”, czyli kustosze muzealni, krytycy, autorzy esejów o sztuce, będący zdaniem bohatera *winni temu, że ludzie oduczyli się spotykać z dziełami* (s. 107). Za dowody winy uznaje Krivoklat między innymi pozbawione smaku i gustu ekspozycje muzealne: *muzealnicy (...) mają bowiem, wbrew obiegowej opinii, fatalny gust, tak zwane obcowanie z dziełami sztuki wcale w nich gustu nie wyrabia, nie wyostrza, przeciwnie, stępieja gust tak, że kiedy widzą cykl, działają jak pierwsza lepsza dekoratorka wnętrz, gorzej, jak pocztowa urzędniczka* (s. 14). Podobnie zły wpływ wywierają książki o sztuce, które „wykorzeniają i wymywają” u czytelników smak: *próbują stworzyć „zastępnik” dzieła w postaci jego ze wszech miar niegodnego opisu i pod to, co odczuwa się przed obrazem (...), podkładają jakieś idiotyczne, a przede wszystkim pozbawione smaku zdania o „powabie jedwabistej miękkości walorów, krzyczących spazmach kontrastów czy pełnym mocy, odważnym przelamywaniu paradygmatu barw* (s. 105), oraz wszelkiego rodzaju popkulturowe gadzety

<sup>4</sup> Jacek Dehnel o swojej powieści „Krivoklat”. <http://www.wydawnictwoznak.pl/wydarzenie/jacek-dehnel-o-swojej-powieści-Krivoklat/3072> (27.12.2016).

z reprodukcjami dzieł sprzedawane w muzealnych sklepikach – w muzealnym sklepie rzucają się na apaszki z dziełem, futerały na okulary z dziełem, przenośne popielniczki z dziełem, piórniki z dziełem, magnesy z dziełem, pocztówki w formacie A, B i C z dziełem, notesy z dziełem, ołówki z dziełem, parasolki z dziełem, filizanki z dziełem, spodeczki z dziełem, wierząc święcie, że (...) będą teraz mieli dzieło zawsze przy sobie (s. 108).

Fakt, że świat wypełniają „idioci i łajdacy”, ma zdaniem Krivokłata jedną przyczynę – „duchowe otłuszczenie”, czyli brak gustu, smaku i zdolności do prawdziwego, głębokiego obcowania ze sztuką: *nie ma znaczenia, że ludzie oddają się tak zwanemu obcowaniu ze sztuką, skoro są jej obcy, nie ma znaczenia, że chodzą do muzeów, że chodzą do nich obsesyjnie, masowo, jak nigdy dotąd w historii, skoro kompletnie rozmijają się z dziełami, skoro nie są w stanie się z nimi spotkać, choćby przelotnie* (s. 144). Sztuka została „ukryta i zozydzona”, zamieniona w popkulturową papkę, która jest masowo, bezrefleksyjnie konsumowana i postrzegana jedynie przez pryzmat materialnej wartości poszczególnych składających się na nią dzieł. Po zdiagnozowaniu „zarazy” Krivoklat przyjmuje na siebie zadanie (a właściwie sam je sobie wyznacza) znalezienia lekarstwa. Postanawia niszczyć arcydzieła, oblewając je kwasem siarkowym, aby w ten sposób zwrócić uwagę na ich znaczenie. Kilkakrotnie podejmowane próby leczenia „duchowego otłuszczenia” uświadamiają bohaterowi, że walczy z wiatrakami – jego czyny kończą się osadzeniem w szpitalu psychiatrycznym, a ich pokłosiem są artykuły w prasie akcentujące straty materialne poniesione w wyniku ataku „Kwasowego Wandala”. Niepowodzenia nie zrażają jednak Krivokłata, uważa bowiem, że *dla sztuki trzeba się czasem poświęcić* (s. 9).

W tłumie „idiotów i łajdaków” Krivoklat dostrzega jedynie dwa jasne punkty, dwie osoby, które nie tylko potrafią go zrozumieć, ale też w pełni podzielają jego wizję świata. Są to tragicznie zmarła żona bohatera i Zeyetmayer – pacjent Centrum Medycznego, artysta, żonobójca. Ustęp poświęcony żonie to zdecydowanie najprzyjemniejszy fragment książki. Ton monologu zmienia się z ociekającego sarkazmem na pogodny, wręcz lekko sentymentalny, zresztą sam bohater stwierdza, że jedenaście lat małżeństwa było jedynym szczęśliwym okresem w jego życiu. Krivoklat wspomina wspólne podróże po muzeach, zwiedzanie wystaw, „spotkania z dziełami”. Na przykładzie swoim i swojej żony przedstawia dwa sposoby podejścia do sztuki: „z głową nabitą” (żona) i „z głową wywietrzoną” (on). Pierwszy z tych sposobów polega na starannym przygotowaniu do spotkania z dziełem poprzez poznanie jego historii, biografii autora, lekturę przewodników i artykułów, drugi natomiast zakłada „skandaliczne nieprzygotowanie do zwiedzania”. Wspomnienie żony jest dla tytułowego bohatera źródłem motywacji – to po jej tragicznej śmierci postanawia rozpocząć misję ocalającego niszczenia arcydzieł. Zupełnie inną rolę w życiu Krivokłata odgrywa Zeyetmayer, który z jednej strony staje się powiernikiem i partnerem do dyskusji o sztuce, z drugiej – symbolem niewoli, w jaką popada sztuka w zakładach dla umysłowo chorych. Zeyetmayer tworzy swoje rysunki potajemnie, kradzionymi z warsztatów terapeutycznych ołówkami, gdyż *uprawianie sztuki poza salą terapii zajęciowej było widziane jak najgorzej, by nie rzec, że zwalczane* (s. 46). Po samobójczej śmierci rysownika Krivoklat ukrywa jego prace, którym przyznaje dużą wartość. Bardzo znamienne jest zakończenie powieści: kiedy Krivoklat powraca do Zamku Immendorf po nieudanej misji (nie mogąc się zdecydować, który obraz zniszczyć, gubi w muzeum butelkę z kwasem i odchodzi, nie wykonując zadania), dowiaduje się, że rysunki Zeyetmayera zostały odnalezione i zniszczone przez personel. W czasie kiedy Krivoklat bez powodzenia próbuje unicestwić znane arcydzieła, chcąc pokazać ich prawdziwą wartość, te nikomu jeszcze nieznanne, które chciał ochronić, giną bez rozgłosu. Jego ostateczna porażka jest więc podwójna.



*Krivoklat* to z pewnością – jak stwierdził w cytowanym wcześniej tekście Dariusz Nowacki – świetny literacki żart. Jeśli jednak, idąc za radą głównego bohatera, „wywietrzy się głowę” z literackich odniesień, powieść ta staje się przejmująco smutną historią o samotności, izolacji i pasji. Jeśli książkę Dehnela odczyta się w kontekście umieszczonych jako motto cytatów z utworów Bernharda, będzie ona gorzką diagnozą mentalności współczesnego człowieka, który nawet jeśli uchroni się przed „duchowym otłuszczeniem”, to cierpi na „duchową chrypkę”. Wydaje się więc, że zarówno sięgnięcie po stary i dobrze znany motyw szaleńca, jak i ubranie go w bernhardowskie szaty oraz osadzenie akcji w austriackiej dekoracji to w przemyślany sposób dobrane elementy Dehnelowskiej prowokacji, zmuszającej do zastanowienia się nad rolą sztuki we współczesnej kulturze.

---

Jacek Dehnel: *Krivoklat*. Znak Literanova, Kraków 2016, ss. 233.

MAŁGORZATA SZLACHETKA

## DWIE WARSZAWY I GWAŁTOWNE CIĘCIE NOŻA

Szczepan Twardoch – laureat Paszportu „Polityki”, Nagrody Fundacji im. Kościelskich oraz dwukrotny finalista Nike i zdobywca nagrody czytelników w tym konkursie z 2013 roku – to pisarz więcej niż popularny. Na tyle powszechnie rozpoznawalny, że stał się ambasadorem marki luksusowych samochodów.

Prawie każda książka Twardocha okazuje się wydawniczym przebojem. Nie inaczej jest z *Królem* – opowieścią, która przenosi nas do Warszawy lat 30. XX wieku. To publikacja ciekawa nie tylko dlatego, że czyta się ją jednym tchem aż do mocnego zakończenia. Istotniejsza jest możliwość odbierania jej (jak każdej dobrej literatury) na kilku poziomach, z których każdy kolejny przenosi nas głębiej i skłania do zadawania następnych pytań. I choć można oczywiście poprzestać już na warstwie pierwszej – zgrabnie skonstruowanej i potoczycie opisaney intrydze kryminalnej – wiele się na tym straci.

Naszym przewodnikiem jest w powieści Twardocha Mojżesz Bernsztajn – siedemnastoletni chłopak, któremu ojca zabił *Żyd o szerokich ramionach i potężnych plecach machabejskiego boksera*. Bernsztajn zostaje wrzucony w obce sobie środowisko żydowskiego półświatka, a wszystko to zaczyna się od fantastycznej pod względem dramaturgicznym sceny bokerskiego pojedynku (fragment naprawdę wart lektury, nawet jeśli kompletnie nie interesują nas tematy sportowe). Z jednej strony nastolatek jest tym światem zafascynowany, z drugiej – boi się odezwać, żeby nie zrobić czegoś niewłaściwego. Na miejsce inicjacji swojego bohatera – może niezbyt oryginalnie, ale trudno – autor wybrał dom publiczny, w którym Mojżesz jest niemy obserwatozem, w duchu pozwalającym sobie na wydawanie sądów. Największe emocje budzi w Bernsztajnie nie tyle patrzenie po raz pierwszy w życiu na roznegliżowane kobiety, ile skosztowanie niekoszernego posiłku. Zakazanego, ale niepokojąco smacznego.

To właśnie z perspektywy Mojżesza oglądamy kolejnych bohaterów – choć drugoplanowych, na tyle jednak ciekawie zarysowanych, że nie wydają się papierowi. Z drugiej strony, nie ma tu psychologicznego pogłębienia portretu – postaci otrzymują akurat te cechy, które pasują do roli, jaką zajmują w społeczeństwie, nic mniej i nic więcej. Bo uwaga czytelnika ma skupiać się na akcji, a nie analizie postępowania bohaterów. Jedynym wyjątkiem jest Jakub Szapiro – to dla niego inni są tłem, na którym błyszczą. Nic dziwnego, że z największym podziwem Mojżesz patrzy właśnie na Szapira, który na pierwszy rzut oka wydaje mu się przepelnio-

nym dumą herosem, niemal z innego świata. Dopiero później uświadamiamy sobie (podobnie jak Mojżesz), kim naprawdę jest Jakub, ale nawet wtedy nie przestajemy go lubić. Szapira idącego przez Kercelek na Woli wszyscy witają uprzejmie. Może te powitania są podszyte strachem, ale przecież haracz regularnie ściągany przez tego apasza od kupców i sklepikarzy to część stałego porządku. Porządku, dla którego alternatywy po prostu nie ma. W dodatku Szapiro nie wstydi się miejsca, skąd wyszedł, co więcej, jest z niego dumny: tutaj czuje się swobodnie, tutaj jest jego mała ojczyzna i wara każdemu, kto będzie chciał to zmienić.

Szczepan Twardoch zżęcznie korzysta z konwencji modnego w ostatnich latach kryminału retro, głównym bohaterem czyniąc jednak nie zmęczonego życiem policjanta, ale charakternego bandytę: elegancko ubranego, w drogim samochodzie, inteligentnego, kierującego się własnym kodeksem honorowym i oczywiście wrażliwego na kobiece wdzięki. Szapiro do zajmowanej pozycji doszedł dzięki swemu sprytowi, ciągle pamięta też smak biedy. Jest w tym coś z filmów o Alu Capone, może nawet bardziej z klimatu nowego serialu BBC *Peaky Blinders*, którego główny bohater Cygan Tommy Shelby zdobywa władzę w przestępczej rodzinie królującej w Birmingham. I do pewnego momentu wierzy, że arystokraci naprawdę mogą go traktować jak równego sobie, jeśli dorówna im bogactwem i wpływami.

Wróćmy jednak do *Króla* i przedwojennej Warszawy. Realia epoki są u Twardocha zarysowane ze szczegółami, bohaterom zdarza się nawet mówić w jidysz. *Zwroty akcji, romanse, gwałty, ćwiartowanie ciał, szantaże, przewroty – podszyte przemocą codzienne życie stolicy* – to słowa z tekstu na okładce. Trafione w punkt, jeśli chce się skusić do zakupu książki fanów powieści sensacyjnych. Można też momentami odnieść wrażenie, że autor chciał w *Królu* zmieścić wszystko, co kojarzy się z realiami lat 30. – łącznie z Berezą Kartuską, światem ówczesnej polityki i charakterystyczną obyczajowością elit stolicy. Elementem spajającym te tak różne elementy ma być intryga związana z Jakubem Szapirą i jego najbliższym otoczeniem. Na koniec jest więc do rozwiązania wiele wątków, a trup ściele się gęsto.

Na szczęście *Król* to nie tylko splot zabawnych i ironicznych dialogów połączony z opisami kolejnych perypetii przestępców z tej mniej eleganckiej Warszawy (został nawet oddany jej zapach). Oglądamy przecież świat, który za chwilę pochłonięty zostanie przez piekło wojny – Atlantyde dzień przed katastrofą. Kiedy czytałam książkę Twardocha, miałam skojarzenie z filmami, jakie amatorskimi kamerami kręcili w latach 30. w Polsce Żydzi. Nad Wisłę przyjeżdżali z Ameryki na wakacje, aby odwiedzić rodziny czekające na wieści z wielkiego świata, a przy okazji zabrać pamiątkową taśmę, na której zostaną uwiecznieni bliscy, sąsiedzi i rynek w rodzinnym sztetlu. Filmy przetrwały, bo ci, którzy stali za kamerami, zabrali klisze za ocean. Nasza świadomość, co z tą społecznością stanie się za kilka lat, sprawia, że każdy ułamek codzienności sprzed Holokaustu – nawet będący literacką fikcją – nabiera wyjątkowej wagi i znaczenia. Trudno o tym nie pomyśleć, czytając, jak Jakub nagrywa swój głos na ówczesny dyktafon. Nieprzypadkowo też Szapiro w swojej ostatniej walce w bokserskiej karierze kładzie na łopatkę falgistę Andrzeja Ziemińskiego i choć w tym momencie jest to zwycięstwo ostateczne, my wiemy, co będzie potem – jesteśmy od bohaterów mądrzejsi.

Koniec lat 30. to czas nasilających się w Polsce nastrojów antysemickich, przejawiających się choćby w hasle „nie kupuj u Żyda” i getcie ławkowym na uczelniach. Spójrzmy tylko na przykładowe tytuły artykułów z „Głosu Lubelskiego” z 1938 roku (pisownia oryginalna): *Gdzie ich nie ma! Penetracja żydów na wszystkie stanowiska; Boykot sklepów żydowskich w Krasnobrodzie* i – najbardziej krzywdzące oskarżenie – *Etyka żydowskiego lekarza. Pacjentka zmarła, bo nie miała czem zapłacić żydowi*. Efektem antysemickiej atmosfery w kraju były przypadki napaści na Żydów i pogromy urządzone przez chrześcijańskich sąsiadów. Wszystko to pojawia się w powieści Twardocha, a można wręcz powiedzieć, że

stanowi rodzaj lejtmotywu. Jest tu nawet mowa o emigracji do Palestyny, gdzie Żydzi będą wreszcie mogli czuć się u siebie.

*Dookoła ringu zgromadziły się dwie Warszawy mówiące dwoma językami, żyjące w osobnych światach, czytające inne gazety i darzące się nawzajem w najlepszym razie obojętnością, w najgorszym – nienawiścią, a zwykle po prostu pełną dystansu niechęcią, jakby mieszkaly nie ulica w ulicę, tylko rozdzielone oceanem – czytamy na początku Króla.* Te słowa będą mottem całej opowieści.

Ale czy tak naprawdę akcja kryminału Twardocha nie mogłaby zostać osadzona także w Krakowie czy we Lwowie, a może nawet w Lublinie, chociaż przed wojną było to miasto dużo bardziej prowincjonalne od wcześniej wymienionych?

Lublin też miał swoją dzielnicę żydowską, która przed wiekami wyrosła wokół zamku, na królewskich terenach nieobjętych *privilegium de non tolerandis Judaeis* (łac. przywilej nieakceptowania Żydów). Sercem tej dzielnicy była ulica Szeroka, gdzie nieprzypadkowo napisy na sklepowych szyldach były tylko w jidysz. Bo raczej nie zapuszczał się tu nikt, kto jidysz nie znał. A przecież zaledwie kilka minut drogi obok znajdowały się ratusz i Krakowskie Przedmieście – główna i najbardziej elegancka ulica Lublina. A więc dwa miasta, które zazwyczaj żyły obok siebie. Czasami tylko ich mieszkańcy przecinali te same drogi: w szkole, na targu, w sklepie.

Kto mógłby być lubelskim Jakubem Szapiro? Może Motyka z ulicy Lubartowskiej 23, którego tak opisała w swoich powojennych wspomnieniach *Mój Lublin* Róża Fiszman-Sznajdman: *Miała też Lubartowska swoje typy z półświatka. Motyka, lubelski Al Capone, miał swoją „rezydencję” w domu oznaczonym numerem 23 albo na placu między Lubartowską a Ruską. Tam też wszystkie swoje interesy przeprowadzał przy pomocy nieodłącznego noża. Był postrachem mieszkańców całej okolicy. My, dzieci, omijaliśmy go z daleka, choć „obowiązkiem” było go znać.* Motyka jeszcze przed wybuchem wojny sam stał się ofiarą nożownika – dostał cios w brzuch i nogę, a na twarzy została mu pamiątka w postaci długiej blizny. Róża Fiszman-Sznajdman pisze, że w czasie II wojny podobno pomagał Żydom.

Nieocenionym i bogatym źródłem informacji o przedwojennym półświatku Lublina jest dawna prasa codzienna. W tym czasie przestępcy byli wymieniani z nazwiska, a nawet podawano ich dokładne adresy. Adam Kopciowski, kierownik Zakładu Kultury i Historii Żydów UMCS, analizował pod tym m.in. kątem wydania „Lubliner Tugblat” – gazety w jidysz drukowanej w Lublinie od 1918 roku do wybuchu II wojny światowej. Ostatni numer ukazał się 8 września 1939 roku, a więc dzień przed największym niemieckim bombardowaniem miasta, kiedy to zostało uszkodzonych lub zniszczonych wiele budynków w śródmieściu i na Starym Mieście. Adam Kopciowski w tomie *Wos hert zich in der prowinc? Prasa żydowska na Lubelszczyźnie i jej największy dziennik „Lubliner Tugblat”* podejmuje m.in. temat wojen między rywalizującymi ze sobą bandami z żydowskiego i chrześcijańskiego półświatka.

Jednym z bohaterów przedwojennych artykułów, o którym wspomina Kopciowski, był złodziej recydywista Szmul Glazer. Na łamach „Lubliner Tugblat” pisano o nim wielokrotnie. Co prawda został złapany na gorącym uczynku, gdy okradał mieszkanie przy ulicy Zamkowej (dziś już nieistniejącej), ale zdołał uciec z więzienia na zamku lubelskim. Przepiłowanie krat przy pomocy pilnika zajęło Glazerowi dwie godziny, następnie po murze opuścił się na zrobionym przez siebie sznurze. W tym czasie domy Podzamcza podchodziły pod samo wzgórze zamkowe, złodziejowi łatwo więc było zniknąć, tym bardziej że na dole czekał na niego współnik. Glazer ponownie wpadł, gdy okradał kobietę w Równem. To tylko dowód, że rzeczywistość często bywa dużo bardziej interesująca niż to, co może wymyślić pisarz.

Po tej dygresji wróćmy do najnowszej powieści Szczepana Twardocha. Istotny element konstrukcji *Króla* stanowi obecność drugiego narratora, który od Warszawy trzeciej dekady XX wieku oddalony jest zarówno w czasie, jak i w przestrze-

ni, ma świadomość gorzkich doświadczeń kolejnych lat i posiada wiedzę, jakiej pozbawieni są tak przedwojenni bohaterowie, jak i narrator z tamtego okresu.

Drugi narrator z początku wydaje się mniej istotny, podobnie jak mniej istotne zdają się jego nieco deliryczne monologi. To przerywniki spowalniające właściwą akcję. Autorowi jest on jednak potrzebny, aby zbudować napięcie i we właściwy sposób zapowiedzieć zakończenie. Nie dziwny się więc, że ten drugi narrator – starszy i dużo bardziej doświadczony życiowo – podaje w wątpliwość to, co przedstawił nam naiwny Mojżesz Bernsztajn. Ale i sam Mojżesz ma wątpliwości, czy wszystko wyglądało właśnie tak, jak to zapamiętał.

Interesujący jest też ostatni zwrot akcji, w efekcie którego poznajemy prawdę. Niezwykłą wagę ma to, kto zdejmuje nam z oczu zasłonę. Zakończenie *Króla* jest jak gwałtowne cięcie noża, po którym pozostaje tylko mrok. Ale czy inny finał był możliwy? To zakończenie otwiera pole do nowych pytań. Pytań, na które nie ma prostych odpowiedzi. Bo wybory nie zawsze są proste, a rzeczywistość rzadko jest czarno-biała.

---

Szczepan Twardoch: *Król*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2016, ss. 429.

MARCIN KLIMOWICZ

## ŚWIADOMOŚĆ MELANCHOLIJNA

Choć pojęcie „Europa Środkowa” ani razu nie pada w najnowszym tomie prozy Miłosa Waligórskiego zatytułowanym *Kto to widział*, wydaje się, że może być dość przydatne do jej opisu. Waligórski – hungarysta i sławista, pracujący między innymi w Serbii czy Słowacji, a także ceniony tłumacz i poeta – ma wszelkie dane po temu, by być uznawanym za specjalistę od kodów kulturowych żywiołu środkowoeuropejskiego.

Mitteleuropa jako mniej lub bardziej utopijny projekt żywotność swą zawdzięczała imperium habsburskiemu i w tej formie umarła wraz z upadkiem c.k. monarchii. Jednak przez cały wiek XX aż do dzisiaj mit Europy Środkowej przywoływany jest od czasu do czasu jako wyraz nostalgicznych westchnień za ideą wielokulturowego tygla – buzującego różnorodnością, ale nigdy niewybuchającego. Mając świadomość naiwności owych rojeń, nie można nie docenić fenomenu współistnienia narodów tej części Europy.

Po co w ogóle przywołuję te geopolityczno-historyczne uwagi, skoro książka Waligórskiego zupełnie o tym nie traktuje? Być może autor nie mówi o tym wprost – w sposób publicystyczno-eseistyczny – jednak jako całość proza tego tomu ma ambicję dotrzeć w głąb środkowoeuropejskiej duszy.

Nasze potoczne wyobrażenia na temat tego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu kilku lat na południe od Polski, a zwłaszcza na Bałkanach, ukształtowane zostały z grubsza przez filmy Emira Kusturicy i książki Andrzeja Stasiuka. I chyba coś w tym jest, skoro postaci te przywoływane są przez Waligórskiego jako poważne źródła inspiracji. Kompozycja tomu nie jest przypadkowa. Rozpoczyna się mocnym bałkańskim akcentem: według mnie najciekawszymi fabularnie *Moczymordkami i ochlapusami*, świetnie zapowiadającymi formalnie, ideowo i – by tak rzec – poetycko całość książki. Wraz z bohaterami lądujemy w samym środku rozedrganej, pulsującej ekstazą zmysłów cygańskiej dzielnicy Nowego Sadu. Narracja – erupcja słowotoku i erudycyjnych asocjacji z różnych poziomów kultury – przywodzi na myśl postmodernistyczne harce, w których nie tyle liczy się to, co dzieje się w świecie przedstawionym, ile to, co dzieje się w samym języku: *Bo powiedzieć o nich „panoptikum”, „menażeria”, ba, „bestiarium” o nich powiedzieć,*

to w istocie nie powiedzieć nic. Za słowami kryły się bowiem ciekawochoy nie z tego świata, nie z tego języka: Cyganie i Romowie, Pepiki i Czesi, Serbole i Serbowie; mężczyźni w sile wieku na kolanach dzieci, dojrzałe kobiety na barana u suchych staruszków; szczeniakiernia z fajkami w nosach, z kolczykami w ustach; w progu kaleka na wózku; amorficzne horrendum w kącie pod mapą Wojwodiny, masa upadłościowa z czymś na wzór spuchłej wargi na czymś w rodzaju biskupiego nosa; niemowlęta okrakiem rozsiadłe na psach bez obroży. Morgi mord, klibry. A wśród nich my: Polacy i Polaczki. Tak właśnie, bo inaczej nazwać tego nie sposób (s. 14).

Tu wszystko jest dziwne, nic nie jest oczywiste, rzeczy przybierają co rusz niespodziewane kształty. Świat, jaki kreśli Waligórski, zmierza beczelnie w stronę nieobliczalności, a sensy wypadają z torów, po których dotychczas poruszały się niezawodnie jak cesarsko-królewska kolej. Ze strony na stronę ogromnieją połacie pustki i braku. W miniaturze *Ostatni dzień* bohater Norton jest człowiekiem złożonym z braku – antyczłowiekiem, pałubą, „wydrążonym ludzikiem”. W obliczu własnego nieistnienia potrafi zdobyć się na manifest melancholika: *Ludzi nie ma / tylko chmury suną po niebie*, by w zakończeniu podkreślić jednak niesamowitość swego odkrycia: *kto to widział / kto to widział*.

Waligórski bowiem dowodzi, że zarówno w planie egzystencjalnym, jak i językowym jesteśmy skazani na ciągle zaklinanie, oswajanie i odraczanie doświadczenia pustki i braku. Wszyscy jego bohaterowie poprzez swą postawę dojmująco nas o tym przekonują. Profesor Sava Uko, bo wie, iż u zarania każdego życia lęgną się lęk, samotność i ból, a że istnieją one przed rozumem i przed językiem, do nich jedynie możemy być w ostatecznym rozrachunku zredukowani. Para bohaterów *Deszczu* oznaczona inicjałami S. i Z., bo co noc śni swe nieziszczalne na jawie pragnienia: władzy i miłości. A także Siil, tłumacz z opowiadania *Dwa*, bo wie, że tekst oryginału jest na zawsze milczący i niedostępny. Bardzo często bohaterowie Waligórskiego próbują oszukać melancholię ucieczką w sen. Tak postępuje pan Rafał, który do tego stopnia zonirował swoje doświadczenie, że podobnie jak bohater *Kartoteki* Różewicza najpierw popadł w rodzaj obłądki, by finalnie osiągnąć stan „ostatecznej nieobecności”.

Czyżby ostatecznie tylko ucieczka w objęcia „wiecznej nieobecności” – Tanatosa – była wyrwaniem się z zakłętego kręgu melancholii? Wiele opowiadań kończy się niepokojąco jednoznacznie: *Pociągnął za spust. Wokół nie było nikogo. Żywej duszy. W środku też* (s. 57); *Dym się rozwiewa, nastaje całkowite zaćmienie* (s. 64). Skoro tyle tu miejsca na sen, musi się też pojawić śmierć – tryumf melancholii.

Jak więc istnieć, gdy w istocie ciągle czyha groźba utknięcia w nieistnieniu? Jak ogarnąć uciekającą wciąż poza horyzont pustkę, jak wypełnić brak, gdy słowa się wyczerpały? *Wróć, ale tak, żeby nie jechać do tyłu, żeby się, broń Boże, nie zapętlić, ponieważ pętla to nieskończoność, a nieskończoność to światło bez cienia, pamięć bez tego, kto pamięta, ślepotą bez człeka, samo Słońce (...). Wieczność, panowie, to żadne życie, wieczność to rymy bez słów, a my musimy mówić, zagadywać strach, językiem wyluskiwać radość. Inaczej nie idzie. Jeśli ktoś chce wrócić do siebie, musi przeć do przodu, choćby tyłem. I nie po kole, nie po prostej, a po spirali aż po jej wierzchołek, po ostatni punkt, który być może, kiedy go osiągniemy, rozszerzy się i nas ogarnie. Kto wie* (s. 30)<sup>1</sup>.

Postulat przekroczenia doświadczenia melancholii wsparty jest tym razem bardzo optymistycznymi wskazówkami. Nieskończoności trzeba się wymknąć, a właściwie wymykać się wciąż i od nowa, trzeba przerwać pętlę melancholijnego powtórzenia ciągłym różnicowaniem. Zagadywanie lęków to domena języka, powinność literatury, która w projekcie Waligórskiego jest czymś na kształt egzorcyzmów. W przywoływanym już opowiadaniu, którego bohaterem jest tłumacz-poeta Siil, przytoczony został jeden z przełożonych przez niego wier-

<sup>1</sup> Czytelnicy Czesława Miłosza bez trudu zauważą, że Miłosz (!) Waligórski nawiązuje tu wyraźnie do zakończenia wiersza *Oczy z tomu Druga przestrzeń: Bez oczu, zapatrzony w jeden jasny punkt, / Który rozszerza się i mnie ogarnia*.

szy. Liryk nawiązuje do cudu opisanego w *Ewangelii św. Marka*: Jezusa uzdrowił opętanych, przepędzając z nich duchy w trzode świń, a zwierzęta rzuciły się do jeziora i zginęły. W wierszu nad jeziorem jest pustka, *jeden tylko drobny / Jeżu / przebiega drogę chrumkając / wpada z impetem w napiętą taflę / błona pęka / tyle go widzieli / drobnym Jeżu jak kamień / w wodę* (s. 100).

Czy wobec tego ofiara Jeża jest daremna, bo nie ma kogo zbawiać? Po estońsku „siil” to „jeż”. Czy Waliński sugeruje zatem, że poetyckie egzorcyzmy mogą zakończyć się pustą ofiarą, są zbędne, przez nikogo niezauważane? Poklask tłumy jest nieistotny, ponieważ Siil o *niebo lepszy wiersz o prawdziwej miłości zabrał ze sobą w dalszą drogę* (s. 100). Być może istnieje szansa, że przynajmniej złe duchy Siila zostaną przepisane do wierszy, a tym samym poeta zostanie oczyszczony z miazmatów trującej żółci.

Kiedy rzeczywistość trudno scalić, bo sensory uleciały i grozi nam otchłan pustki, melancholik może zawsze oszukiwać siebie samego iluzją całości, utkwiением w tu i teraz. Znamienne jest opowiadanie *Teraźniejszy dokonany*, które stanowi apoteozę takiej właśnie kontemplacji. Bohaterowie, chcąc przyspilić niemożliwą do okiełznania rzeczywistość, podglądają w knajpie pewnego rubasznego Bułgara, który całym swoim witalnym jestestwem jest zaprzeczeniem melancholijnej świadomości. Bułgar poddany zostaje drobiazgowym i szczegółolarskim oglądzinom, jakby podglądający chcieli tym aktem usensownić całość kosmosu: *Litery powoli odlatują poza zdania. Słychać tylko skrzywienie krzesła. Bułgar mości się wygodnie, tułów składa na kracastym obrusie, na półleżąc nachyla do ust szklankę i ostrożnie popija, maczając w piance solidnego wusa. Przymyka jedno oko, drugim patrzy na świat przez zamknięte szkłem piwo. Kręci nim przed sobą jak dziecko modelem samolotu. Nie spuszcza oka, spojrzeniem śledzi lot złotego kufelka. (...) Błyszcza mu zęby, szparki oczu i spocone czoło. Na twarzy wraz z kropelkami maluje się wyraz fascynacji i podniecenia. W małym piwie zamyka słońce, puszcza promienie przez pryzmat cieczy i szkła* (s. 69). Ale takie oglądactwo jest niebezpieczne, ponieważ z badacza bardzo szybko można przeistoczyć się w robaka pod mikroskopem. Bułgar, będąc obserwowanym, sam czujnie obserwował i to on ostatecznie zatryumfował, bohaterowie zaś musieli skapitulować. Ich plan przyspilenia rzeczywistości spalił na panewce. Zamiast „stać się sobą”, stają się „dziećmi przeznaczenia”: *Rozpięci w międzyczasie przestępujemy z nogi na nogę. Depcząc, ubijamy ziemię na chwilę obecną, która z kroku na krok powiększa swoje terytorium i w końcu dzieje się tak, że jest tylko teraz, teraz, kiedy siedzimy na zboczu Sas-hegy w dwunastej dzielnicy* (s. 73).

Czy dywagacje o Europie Środkowej znajdują swoje zwieńczenie? To tu właśnie powietrze, ziemia i historia sprzyjają wykwitowi dusz nostalgicznych, melancholijnych. Jednak o ile nostalgia może stać się narzędziem kreowania tożsamości, choćby pasożytującej na utraconym, o tyle melancholia grozi uwięzieniem w pętli nieskończoności. Nie jest jednak pewne, czy Miłosz Waliński tak do końca chce się od melancholii uwolnić, bo zaiste kusząca to pani. Ale czy to się mu jako twórca na dłuższą metę opłaci?

---

Miłosz Waliński: *Kto to widział*. FORMA, Fundacja Literatury im. Henryka Berezki, Szczecin-Bezrzecze 2016, ss. 136.

TOMASZ KLUSEK

## TEŚKNOTA DO NAJPROSTSZYCH WARTOŚCI

Wśród setek bezwartościowych publikacji co roku zalewających rynek księgarski bardzo rzadko pojawia się coś, co wyrasta ponad makulaturową równinę. Zresztą fraza o zalewaniu rynku jest mocno przesadzona, gdyż najczęściej są

to cienkie książeczki w tandetnych okładkach, wydawane w mikroskopijnych nakładach, a i tak nie znajdujące nabywców. Jaki jest cel takiego pisania? Autor uchodzi, przynajmniej we własnym mniemaniu, za pisarza, czasem przydarzy się jakaś recenzja od kogoś zaprzyjaźnionego i jakoś toczy się życie w owym pseudoliterackim półświatku. Te właśnie osoby najgłośniej narzekają, że naród nie czyta. Ale klasyków ludzie czytają. Aby zasłużyć sobie na przywilej przeczytania, trzeba mieć coś do powiedzenia i umieć to wyrazić. Akt lektury nie może być psychoterapią kompensującą niedostatki czyjegoś ego, a rynek księgarski leczniczą dla zakompleksionych frustratów, którzy piszą, gdyż nic innego nie potrafią robić.

Kaziuk Bartosiewicz, bohater *Konopielki* Edwarda Redlińskiego, nagabywany przez swojego syna Józka, powiedział: *On sie pyta, co tu napisane! Ho ho! Tu jest dużo napisane, same ważne rzeczy tu napisane, byle czego sie nie pisze. Pisanie to nie gadanie.* Zdawałoby się, że to elementarna prawda, a jednak bezustannie lekceważona. Kiedyś Artur Sandauer, zniesmaczony kiczowatą pisaniną, apelował, żeby mniej czytać. Dotyczyło to – panoszących się już wówczas – książek przeróżnych grafomanów. Bojkot jest tu najbardziej odpowiednią metodą. Do dewaluacji słowa pisanego przyczynił się w wysokim stopniu internet, ale to już temat na inną okazję.

Szkoda tylko, że pośród czczej paplaniny giną niezauważone publikacje wartościowe. Taki los zagraża *Ciemności* Stanisława Weremczuka. A jest to książka po prostu potrzebna. Autor owej opartej na wspomnieniach powieści daje świadectwo poświadczeniu i wysiłkowi chłopca polskiego w czasach okupacji. To ważne, bo przecież pojawiło się sporo książek i filmów, w których wieś polska przedstawiana jest jako siedlisko ciemnoty i zabobonu, a żyjących tam ludzi ukazuje się jako zapijaczony i krwiożerczy motłoch. Historia bywa zafalszowywana przez epigonów niechlubnej pamięci *Malowanego ptaka* Jerzego Kosińskiego.

Szacunek dla prostego człowieka jest znamioną cechą pisarstwa Weremczuka. Na kartach *Ciemności* przewija się cała galeria postaci pracujących w mozole na chleb powszedni. Są to ludzie z podlaskiej wsi, a więc przede wszystkim Teodor, jego żona Weronika i siostra Celka. Ale również młoda Żydówka Rifka oraz, zaprzyjaźniony z Teodorem, Szmul z Komarówki. Przywołując postać Szymona Pawluka, chłopca z Pereszczówki, który był jednym z przywódców unickiego buntu przeciw caratowi, Weremczuk pisze: *Jakkolwiek jego nazwisko nie weszło do encyklopedii i słowników historycznych, nie ulega wątpliwości, że postać to wybitna, aczkolwiek bez szkół i dyplomów. Przyjęło się, że historię tworzą ludzie wybitni, a tę wybitność daje im przede wszystkim wykształcenie i miejsce urodzenia dalekie od wiejskiej chaty czy obrzeży miasta. Jest to zrozumiałe, bo taką opinię tworzą właśnie ludzie wykształceni, z reguły mający monopol i narzędzia wyobrażenia rzeczywistości. Tymczasem największej przemiany w historii świata dokonali ludzie prości, a nie uczeni w piśmie. Apostołowie byli zwykłymi rybakami, bez akademii i dyplomów, za wyjątkiem jednego celnika ludźmi w pocie czoła pracującymi na chleb powszedni. A jednak to oni pokonali centrum ówczesnego świata, Rzym, ujarzmili narody zwane barbarzyńcami i przemienili świat. Taką moc miało przekazywane przez nich Słowo i świadectwo, bo otrzymali je z wysoka* (ss. 184–185).

Powieściowe Kąty to rodzinna wieś Weremczuka – Derewiczna, natomiast Teodor to jego ojciec – Wiktor. Zresztą większość osób pojawiających się w tym utworze miała swój pierwowzór w rzeczywistości. Nie jest *Ciemność* – co podkreślał pisarz – pamiętnikarskim odtworzeniem tego wszystkiego, co zdarzyło się w czasie II wojny światowej w jednej z podlaskich wsi. Fabuła została skonstruowana na kanwie autentycznych wydarzeń, ale w dziele epickim musiały one ulec beletryzacji i poszerzeniu o elementy fikcji literackiej. Narracja jest trzecioosobowa, ale przemienne uwzględnia różne punkty widzenia. Jest ich wiele, lecz dwa wydają się najważniejsze: Teodora i Zbyszka.

O ile udział Teodora w kampanii wrześniowej z konieczności ograniczył się do użyczenia koni wojsku i pracy w charakterze wozaka, to Zbyszek odznaczył

się w bitwie pod Kockiem. Jako żołnierz 3. Pułku Szwoleżerów Mazowieckich im. płk. Jana Kozieltulskiego otrzymał awans ze stopnia kaprała na plutonowego. Zbyszek i Stefan to przedstawiciele młodego wiejskiego pokolenia, którzy swój udział w konspiracji przypłacili ranami i śmiercią. Niezwykle przejmujące są opisy wędrówki rodziców Stefana po Lublinie w poszukiwaniu dojścia do ludzi, którzy mogliby pomóc w uwolnieniu syna więzionego najpierw na zamku lubelskim, a później w obozie na Majdanku. Na przykładzie Zbyszka i Stefana autor ukazał proces wzrostu świadomości narodowej, jaki dokonał się na polskiej wsi: od indyferentyzmu z okresu powstania styczniowego do patriotyzmu z czasu II wojny światowej. Przyczynili się do tego tacy ludzie jak nauczyciel Walerian Batko i ksiądz Jan Rudnicki. Weremczuk przypomina te zasłużone postaci. Niebagatelną rolę w procesie uświadamiania odegrał też opór unitów wobec prób oderwania ich od Kościoła rzymskokatolickiego i przyłączenia do prawosławia. Dlatego wiele stron w powieści poświęconych zostało historii tego buntu, który jednocześnie stanowił swoistą lekcję polskości.

W późniejszych rozdziałach wzrasta rola Piotra, kilkunastoletniego chłopca, który po śmierci ojca pomaga starszemu bratu Grzegorzowi w prowadzeniu gospodarstwa. Postać Piotra odzwierciedla losy samego autora. Tu już zgadza się niemal wszystko. Na przykład zafascynowanie literaturą, które zaczęło się od lektury drugiego tomu *Potopu* Henryka Sienkiewicza: *Książka przypadkiem została w domu, przed wybuchem wojny któraś z dziewczyn ją wypożyczyła z biblioteki koła Stowarzyszenia Katolickiego Młodzieży. To była pierwsza książka, którą się zauroczył ponad wszelką miarę. Czytał ją po raz szósty i zawsze jakby po raz pierwszy, sam dziwił się sobie. Niestety, to był drugi tom, ciekaw był początku i dalszej części, ale nic nie mógł poradzić, księgozbiór Niemcy zniszczyli, zostały tylko pojedyncze egzemplarze po domach, wypożyczone przed wrześniem 1939 roku (...). Wyobraźnia Piotra pracowała nad wyraz wydajnie, próbował domyślać się, co dalej będzie, snuć różne wątki, ale nic z tego nie wychodziło. Nie miał wyboru, siadał na przyzbie przed domem pod rozłożystymi kasztanami i zaczynał czytać książkę od nowa* (s. 283).

Piotr, czyli Stanisław Weremczuk, musiał dzielić swój czas między pracę a lekturę. Przygoda z literaturą, która zaczęła się od książki Sienkiewicza, zaowocowała studiami polonistycznymi na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, dyplomem zrobionym u prof. Ireny Sławińskiej, a później wieloletnią pracą dziennikarską i pisarską. W publikacji *Lublin i Lubelszczyzna w życiu i twórczości pisarzy polskich* (1974) August Grychowski, charakteryzując pisarstwo Weremczuka, podkreślał wagę motywów ludowych w jego liryce oraz umiejętność poetyckiego zobrazowania procesu wrastania w miasto człowieka pochodzącego ze wsi. Tęsknota za wsią stanowiła myśl przewodnią zbioru *Wierność cieni*, wydanego przez autora *Ciemności* wspólnie z Józefem Wiesławem Ziębą. Wydaje się, że istotną rolę w kształtowaniu oblicza pisarskiego Weremczuka odegrał Zbigniew Jakubik. Ten niesłusznie zapomniany pisarz, autor znakomitych powieści *Czapki na bakier* i *Mój wstrętny brzuch*, prowadził w latach 60. Lubelski Klub Literacki. Wielu pisarzy ze środowiska lubelskiego dużo zawdzięcza Jakubikowi. Obok Weremczuka można wymienić Marię Józefacką, Bogdana Madeja, Waldemara Michalskiego, Zbigniewa Strzałkowskiego czy Matyldę Wełnę.

W Polsce próbowano przez wiele lat dzielić katolików na tych dobrych, a więc świątłych, tolerancyjnych i liberalnych, oraz tych złych – zacofanych i ksenofobicznych. Rzekomymi patronami pierwszych mieli być księża Antoni Marylski i Władysław Kornilowicz, twórcy zakładu dla niewidomych dzieci w Laskach oraz czasopisma „Verbum”, natomiast głównym reprezentantem drugich miał być ksiądz prymas Stefan Wyszyński. Świątły katolicyzm przeciwstawiano katolicyzmowi ludowemu. Jednak przeciwstawienie takie jest nieuprawnione i wyolbrzymia się je sztucznie, aby dzielić wiernych. W tradycji polskiego Kościoła



doskonale mieszczą się i Laski, i Niepokalanów. Znaczenie katolicyzmu ludowego doceniał Jan Paweł II. Stanisław Weremczuk bezustannie podkreślał rangę pierwiastka religijnego w kształtowaniu oblicza duchowego polskiego chłopca. Religijność ludu polskiego jest tak samo ważna jak religijność intelektualistów. Wieś w powieści Weremczuka stanowi wspólnotę, której spoiwem jest z jednej strony ciężka praca na roli, a z drugiej – świadomość więzi religijnej wyrażającej się w obrzędach i modlitwie. Tym tłumaczą się rozbudowane opisy tradycji bożonarodzeniowych i wielkanocnych oraz spotkań grup modlitewnych, które odbywały się w niedzielne popołudnia w celu wspólnego odmawiania różańca. Warto pamiętać, że autor *Ciemności* napisał dwie książki poświęcone sanktuarium licheńskiemu: *Miecze ogniste* (2001) i *Tajemnice Lichenia* (2004).

Stanisław Weremczuk zmarł 6 października 2008 roku w Lublinie. Po ukończeniu studiów przez cały czas związany był z tym miastem. Większości z napisanych przez Weremczuka utworów nigdy nie opublikowano. *Ciemność* zachowała się w postaci elektronicznego zapisu komputerowego. Rozdziały 28-31 zostały uzupełnione na podstawie rękopisów. Książkę przygotował do druku i opatrzył interesującym posłowiem Jarosław Cymerman. Jest to już siedemset dziewięćdziesiąty tytuł opublikowany przez lubelskie wydawnictwo Norbertinum. W powieści trudno nie zauważyć pewnych niedoskonałości kompozycyjnych. Odnosi się wrażenie, że autor zamierzał stworzyć utwór większy, być może sagę chłopską. Kampania wrześniowa i początkowy okres okupacji zajmują tu niepomniernie wiele miejsca. Później akcja nabiera przyspieszenia, co zresztą okazuje się pożyteczne dla dramaturgii dzieła. Opisy żniw, epidemii tyfusu, choroby i śmierci Teodora dają świadectwo klasy pisarskiej Weremczuka. Zważywszy na to, że wiele fragmentów powstawało w czasie choroby autora, tuż przed jego śmiercią, powieść nabiera specjalnej wymowy. Można ją traktować jako swego rodzaju testament pisarza.

*Ciemność* wpisuje się w nurt prozy chłopskiej. Stanowił on bez wątpienia jedno z najbardziej interesujących zjawisk w powojennej literaturze polskiej. Wiesław Myśliwski, kolega Weremczuka ze studenckiej ławy z okresu studiów polonistycznych na KUL, mówiąc o zagubieniu człowieka w meandrach współczesności, stwierdzał: *Zastanawiam się więc, czy powrót do kultury chłopskiej, żywotność jej wartości, jakie nam objawia, nie jest powodowana w gruncie rzeczy tą właśnie sytuacją, czy to właśnie nie współczesna cywilizacja spełnia wobec tej kultury rolę wywoławczą. A mówiąc ściślej, nasza tęsknota moralna za jakimiś najprostszymi, można by rzec – pierwotnymi, ale jednoznacznymi i w miarę stabilnymi kategoriami moralnymi.* I właśnie owa tęsknota do najprostszych wartości jest tym, co łączy lubelskiego pisarza z autorem *Traktatu o łuskaniu fasoli*.

---

Stanisław Weremczuk: *Ciemność*. Do druku przygotował i posłowiem opatrzył Jarosław Cymerman. Norbertinum, Lublin 2016, ss. 340.

EWA DUNAJ

## BÓL I ZACHWYT

*Wróż* to kolejna książka Jadwigi Mizińskiej wydana przez Wydawnictwo UMCS. Podobnie jak w przypadku kilku wcześniejszych publikacji tej autorki, niełatwo ustalić przynależność gatunkową jej nowego utworu, usytuowanego gdzieś pomiędzy literaturą fikcyjną a literaturą faktu. *Wróża* czytać można na wiele sposobów: jest to i quasi-pamiętnik, i dziennik lektur, i wielowątkowy esej, ale także zbiór wspomnień lub powieść (autobiograficzna). Najważniejszą

cechą owej prozy wydaje mi się jej literackość, przejawiająca się poprzez obecność cytatów, zapożyczeń, odwołań i aluzji tworzących wielopoziomowy komentarz do przedstawianych zdarzeń. Pozornie prosta opowieść o kilkorgu mieszkańcach niewielkiej wioski została wyraźnie obudowana kulturowymi archetypami i toposami. To zanurzenie w kulturze, zarówno tej wysokiej (dla przykładu wymienię choćby nazwiska Czesława Miłosza i Emila Ciorana), jak i tej codziennej, potocznej, na którą składają się zwyczaje, obrzędy, rytuały, banalne czynności dnia powszedniego, zmienia opowiedzianą „po prostu” historię Wróza Wojciecha w traktat aksjologiczno-kulturowy.

Sama opowieść snuta jest niespiesznie, fabuła odsłania się fragmentarycznie, rozdział za rozdziałem, jakby czas przeżywania i czas relacjonowania zdarzeń miały się ze sobą zrównać. Uderza szczegółowość, drobiazgowość opisów, przy czym narracja nie skupia się na głównych bohaterach, którzy stanowią ośnowę historii. Bardziej liczy się tło, drugorzędne wydarzenia i postaci – osoby znane tylko z fotografii albo spotkane raz, zapamiętane w jednej scenie, zatrzymane w kadrze, niczym powidoki. Dominującą formą wypowiedzi jest tu miniatura (obrazek), co pozwala czytelnikom na lekturę powolną, nieciąglą, chociaż poszczególne rozdziały tworzą przecież zwartą całość. Ale ważniejsze od wydarzeń zdają się nasycenie emocjami i eseistyczny tok narracji opartej na skojarzeniach. Wspomniane już wcześniej odwołania kulturowe i cytaty (słowa dziadka Mieczkowskiego i sentencja Marii Janion) stawiają znak równości pomiędzy kulturą wysoką a popularną (być może nawet uznając przewagę tej ostatniej).

Cały czas poruszamy się na pograniczu wspomnienia, eseju i prozy fikcjonalnej. Jak napisałam wcześniej, jest to ulubiona forma wypowiedzi autorki, stosowana z dobrym skutkiem od wielu lat, bo Mizińska jest pisarką płodną i ma dużo do (o)powiedzenia. Wybór takiej właśnie formy nie jest, rzecz jasna, przypadkowy. Dzięki niej autorka dociera bowiem do treści uniwersalnych, a czyni to nie za pośrednictwem naukowego dyskursu, lecz poprzez jednorazowe, osobiste doświadczenie, sama stając się obiektem własnej obserwacji i ciekawości badawczej.

Pomimo przewrotnego zastrzeżenia, że *wszelkie podobieństwo do rzeczywistych osób i zdarzeń jest przypadkowe*, czytelnicy mają jak zwykle u Mizińskiej nieodparte wrażenie obcowania z dokumentem – bardzo osobistym i bardzo autentycznym. Jak w wielu wcześniejszych jej książkach najważniejszą bohaterką jest „ja”, nazwane tutaj – Heleną. Można powiedzieć, że nic w tym oryginalnego, pisarz zawsze mówi o sobie, wysnuwa nić narracji z głębi swojej (pod)świadomości. Eksponowane „ja” autorskie nie ma tu jednak nic wspólnego ani z egocentrycznym „ja” Gombrowicza, ani z groteskowym Watowskim *Ja z jednej strony i ja z drugiej strony mego mopsożelaznego piecyka*. W zastosowanej konwencji nie znajdziemy śladu narcyzmu czy prowokacji. Mizińska opowiada o „Helenie” (o sobie) tonem chwilami żartobliwym, czasem lekko i dowcipnie, ale w tle są zawsze spokój i powaga, wynikające z szacunku dla czytelników.

Wybór takiego bohatera jest efektem daleko posuniętej rzetelności, gdyż „ja” to obiekt najlepiej rozpoznany, najdłużej znany, nieustannie dostępny obserwacji, analizie, a jednocześnie zawsze kryjący w sobie tajemnice, niespodzianki, głębinowe warstwy przesłonięte wspomnieniami, skojarzeniami, reminiscencjami lekturowymi, doświadczeniem i wyobraźnią. A zasadniczą treścią „księgi poznania” jest nie autoanaliza, lecz identyfikacja i wartościowanie elementów świata zewnętrznego. W trakcie lektury czytelnicy mają się nieustannie zastanawiać, o kim naprawdę pisze Jadwiga Mizińska. Czy opowiada o sobie i o autentycznych osobach należących do własnej rodziny (jeśli tak, byłoby to imponujące „drzewo genealogiczne”, nie tyle ze względu na rozmiar, ile z uwagi na indywidualności – osobowości wyraziste, choć szkicowane kreską lekką, zaznaczającą jedynie najbardziej charakterystyczne rysy postaci)? A może przy pomocy skrótu – jak w reportażach Melchiora Wańkowicza – przedstawia syntetyczny portret kilku

osób w jednej postaci literackiej albo też stosuje narrację pierwszoosobową jedynie jako literacką konwencję, pozwalającą na włączenie zasłyszanych opowieści we własną historię (bo Mizińska, jak każdy rasowy pisarz, „ma ucho”)? Czy może wreszcie tworzy byty całkowicie fikcyjne, fantomy skonstruowane na użytek opowieści, którymi ilustruje swój wywód?

Tytułowy Wróż to wiejski prorok, który nie każdemu chciał wróżyć, bo gdy czyjaś przyszłość rysowała się w zbyt czarnych barwach, wołał odmówić lub obrócić przepowiednię w żart. Żyjący we własnym świecie iluminacji i objawień Wojciech „nie mieli serca do roboty” (Mizińska konsekwentnie używa gwarowego pluralis), więc gospodarstwem zając się musiała żona – Aniela. Wojciech zaś – wystrojony w papuzie, pstrokate szatki (niczym „ptak malowany”) – budowali kapliczki, rozmawiali, przepowiadali przyszłość, wieszczili... Wokół pojawiają się liczne postaci tła, i to one współtworzą klimat i koloryt tej dziwnej opowieści, której narracja jest prowadzona językiem literackim wymieszonym z gwarą i w której wiejskie odpusty bezpośrednio sąsiadują z radą wydziału lub sesją egzaminacyjną. Każdy chce być „opowiedziany” i każdy musi być wysłuchany, gdyż „każdy ma swoją opowieść”. Pierwszoosobowa narracja staje się więc niepostrzeżenie wypowiedzią chóralną, polifoniczną, w której to, co mówi Helena, jest tylko jednym z głosów.

Helena współdzieli los ludzi, o których opowiada, i współuczestniczy w ich egzystencji. Jest profesorem i pracuje na uniwersytecie, ale jest też wnuczką swojej babki, małą Helenką, kobietą ze wsi, człowiekiem. Postrzega świat tyleż głęboko, co prosto, pierwotnie, naiwnie (w najlepszym rozumieniu tego słowa). Jest postacią szczególną, egzystującą na wielu planach, usytuowaną pomiędzy światami (w „międzyświatach”) niczym wróż Wojciech. Rozumie życie i ludzi nie poprzez mądrość nabytą z ksiąg, lecz poprzez rzadką zdolność utrzymania więzi z własną przeszłością, dzieciństwem, genealogią, źródłem, korzeniami.

Bohaterka i narratorka tej opowieści doświadcza nieustannej wspólnoty z ludźmi, jaką jest przecież codzienna egzystencja, oznaczająca podległość prawom natury, pogody, chorobom, umieraniu, powtarzalnym zdarzeniom i czynnościom, rytuałom, obrzędom, rozmowom. Najważniejszym wykładnikiem tej wspólnoty jest, oczywiście, język. Prosty, służący porozumieniu, „odkłamany”, przekazujący, a nie skrywający, myśli i emocje.

Głównym tematem *Wróża* i osią konstrukcyjną książki jest wątek doświadczenia mistycznego prowadzącego do odzyskania wiary. To jedno zdarzenie musiało jednak zostać obudowane fabułą i polifoniczną narracją, aby umożliwić czytelnikom dotarcie do sedna przeżyć, których efektem staje się „testament znaleziony w wannie”. Budując napięcie i opisując ten niezwykły moment swojego życia, autorka odwołuje się (co byłoby niemożliwe bez wcześniejszego nakreślenia kontekstu) do świetnie znanych symboli, motywów i toposów, takich jak uzdrowienie, kąpiel, utrata wagi (ciało zanurzone w wodzie), zmycie brudu, przemiana, samooczyszczenie, chrzest.

Kluczem do tej powieści są – jak mi się wydaje – emocje. Tylko przy ich udziale można pokusić się o pełne zrozumienie historii *Wróża* (proroka) i jego obserwarki (uczennicy, apostołki). Bowiem według Mizińskiej właśnie emocje stanowią narzędzie do poznania świata. Nie scjentystyczne analizy i dywagacje, nie intuicja i nie iluminacja nawet, ale przeżywanie – głębokie i pozarozumowe (przynajmniej w pierwszej chwili). Później następuje etap analizowania własnych uczuć, ich rozpoznawanie, nazywanie i powtórne (już świadome) doświadczanie, do którego dochodzi w trakcie pisania. Ta metoda, która wydaje się całkowicie oryginalna, łączy cechy naukowego (auto)badania i artystycznej kreacji.

Zawsze uderzała mnie w osobowości Jadwigi Mizińskiej zdolność do dziwienia się i zachwycańcia życiem i sobą jako elementem i odbiciem świata. Przed laty napisałam o niej, że jest jedyną znaną mi osobą, której mądrość nie przerodziła się w zgorzknienie. W życiu i w pisarstwie autorka *Wróża* trzyma się z dala od

polityki, doraźności – i ta perspektywa (dystans, mądry spokój) pozwala jej oddzielać ziarno od plew. Mizińska nie stworzyła szkoły filozoficznej, za co ją zresztą parę razy (z sympatią i w żartach) upominano przy okazji jubileuszu (*Księga przyjaciół*), ale ma wyznawców i uczniów. Ma też własny, oryginalny styl (widoczny w życiu i rozpoznawalny w literaturze). A przecież – jak wiadomo – styl to człowiek.

Wróż jest powieścią i esejem, jest tym wszystkim, o czym napisałam w pierwszych akapitach tego tekstu, ale jest też (a może przede wszystkim) świadectwem otrzymanej od życia lekcji pokory – nauczycielami zaś są Pociągowa, Cioran, Matka, Janion, Bolek, Miłosz, Wróż Wojciech, Tokarczuk i inni. Pomiędzy nimi słychać głos autorki – przepojony bólem i zachwytem, grozą i miłością do ludzi i świata.

---

Jadwiga Mizińska: *Wróż*. Wydawnictwo UMCS, Lublin 2016, ss. 386.

WIESŁAWA TURZAŃSKA

## „JEDEN ZA WSZYSTKICH, WSZYSCY ZA ALKOHOL”

W wydanej w 2016 roku debiutanckiej powieści Daniela Radeckiego *Wszyscy jesteście hipsterami* narrator nie bez kozery trawestuje dewizę Dumasowskich muszkietierów. Dziewiętnastowieczny utwór to przecież opowieść o męskiej przyjaźni, poświęceniu w imię wyższych wartości, a także o porywach serca, wiodących często na manowce. Podobne wątki organizują fabułę książki Radeckiego, w której opowiada on o swoich rówieśnikach – współczesnych trzydziestolatkach. Autor – jak czytamy w notce biograficznej: z zamiłowania i potrzeby inżynier i podróżnik, ale z wykształcenia polonista (absolwent UMCS w Lublinie) – nie stroni od kulturowych nawiązań. Już sam tytuł jego książki przywołuje znany film Marka Koterskiego *Wszyscy jesteście Chrystusami*, poruszający w przejmujący sposób problem alkoholizmu, choć akurat w ujęciu tej kwestii Radecki bliższy jest raczej Johnowi Steinbeckowi jako autorowi *Tortilla Flat*. Opisy pijackich libacji pełne są dosadnego humoru, a alkohol stanowi spoiwo scalające ósemkę przyjaciół już od wczesnych lat liceum. Co więcej, owa „hardrockowa ekipa” z K., będącego *wymierającym miasteczkiem na Dzikim Wchodzie w Polsce B*, do „opróżniania tanich win” upodobała sobie „las stumilowy”, uznając, że *najbezpieczniejszym miejscem na chłanie był teren za tak zwaną Chatką Puchatka – czyli komendą policji* (s. 207).

Dokonując krótkiego przeglądu aluzji literackich pojawiających się w książce Radeckiego, nie sposób pominąć także twórczości autora *Pięknych dwudziestoletnich*, stanowiącej dla *Wszyscy jesteście hipsterami* istotny punkt odniesienia. W debiutanckim tomie opowiadań *Pierwszy krok w chmurach* Marek Hłasko ukazał szarą, pełną brzydoty i zakłamania rzeczywistość wczesnego PRL-u. Młodzi bohaterowie skazani byli na upodlającą pracę, alkohol i beznadziejną egzystencję, a ich marzenia nie miały szans na urzeczywistnienie. Pesymistyczny wydźwięk pogłębiał język – prowokacyjnie brutalny, nasycony wulgaryzmami i gwarą środowiskową. Podobny klimat i styl odnajdujemy w prozie Radeckiego, portretującej bylejakość życia w małych miasteczkach po transformacji ustrojowej: *Prowincja, prowincja, prowincja. Spokojny dom starości, umieralnia pokoleń i zakład pogrzebowy marzeń o wielkości. Niestety. K. jak Kraśnik, Krasnystaw, Krasnobród, Krasne (...). Miejsca narodzin setek talentów, z których większość*

została zmarnowana. Powody jak zwykle takie same: alkohol, narkotyki, seks bez zabezpieczeń, zasiedzenie w jednym miejscu, lenistwo (s. 127).

W przypadku powieści Radeckiego upodobanie do stylizacji czy pastiszu oraz wielość inspiracji kierować by mogły w stronę postmodernistycznych skojarzeń, co jest diagnozą tyleż oczywistą, co banalną. Pisarz jako polonista w naturalny sposób czerpie z literackiej tradycji, lecz zarazem dokonuje jej reinterpretacji z punktu widzenia współczesnego trzydziestolatka. W rezultacie powstał utwór hybrydyczny, łączący fabułę z rozbudowanymi dygresjami, oscylujący pomiędzy satyrą a publicystyką. Zdarza się, że w narratorskich solilokwiach pojawia się niepowstrzymany żywioł gadulstwa, przynoszący dużą porcję moralizowania, co nie zawsze brzmi przekonująco, choć niewątpliwie autorskie intencje są szlachetne. Szczególnie dotyczy to fragmentów, w których Radecki podejmuje znany już w antyku motyw upadku dawnych obyczajów i systemu wartości: *Martwa tradycja umarłego narodu, bo tamci Polacy odeszli bezpowrotnie w przeszłość. Sarmaci. Mości Panowie. Szlachta. Ziemiaństwo. Ułani. Skamandryci. Polacy. Przetrzebieni najpierw w trzydziestym dziewiątym, potem mordowani systematycznie przez sześć lat okupacji, z kulminacyjną masakrą w czterdziestym czwartym i dorżnięciem w katowniach ubecji. Oni. Którym zabrano ziemię, marzenia, godność, granice, życie. Oni. Potomkowie rycerzy spod Legnicy, zdobywców Moskwy, obrońców Wiednia i Warszawy. I my. Wiecznie milczący, wiecznie anonimowi. Tutejsi. Schamieni. Bez godności, bez głosu, bez refleksji, bez myśli. (...) Jestem Polakiem, bo mam polskie obowiązki. Nażreć się, nachlać, zapłacić podatki, kibicować naszym i potem krzyczyć „nic się nie stało” (s. 74).*

Takich tryad, mniej bądź bardziej patetycznych, jest w utworze kilka. W sensie kompozycyjnym pełnią one funkcję retardacyjną w stosunku do opowieści o losach „hardrockowej ekipy” oraz narratora-bohatera, czyli Pielgrzyma. Tutaj zaś język jest inny: mamy wręcz do czynienia z dużą liczbą wulgaryzmów, co zresztą koresponduje z obrazem przedstawionego świata. Poprzez łączenie takiej stylistyki z ironią *Wszyscy jesteście hipsterami* przypomina chwilami utwory Jerzego Pilcha, drwiącego komentatora współczesnego życia. Idąc tym tropem, trudno nie zauważyć, że Radecki podobnie jak autor *Pod mocnym aniołem* posłużył się formą quasi-autobiografii. Pielgrzyma łączą z pisarzem m.in. ten sam wiek i miejsce urodzenia, odbyte podróże, polonistyczne wykształcenie, poetyckie zacięcie. A co więcej, Radecki przypisał bohaterowi parę swoich wierszy.

Kilkakrotnie narrator powtarza, że należy do straconego pokolenia: *A całe nasze lęki, pragnienia oraz marzenia pewnie odejdą w niepamięć razem z nami. Zmarnowanym, zniszczonym pokoleniem, które miało być przyszłością tego kraju, a jest nikomu niepotrzebne* (s. 32). Zaznacza przy tym, iż chodzi o pierwszą generację dorastającą w Polsce po transformacji ustrojowej, a więc pokolenie testujące na sobie jej zdobycze: *Reforma edukacji, komórki, komputery, Internet, cyfrowe animacje Disneya i pornografia. (...) czuliśmy się jak królowie życia, śmiejąc się, plotąc różne głupstwa i mając śmiechawę ze wszystkiego, jak byśmy złapali Pana Boga za piętę* (s. 28). Pojawia się więc pytanie, czy mamy przed sobą tekst o kolejnej lost generation?

Bez wątplenia *Wszyscy jesteście hipsterami* wpisuje się fabularnie w ramy powieści inicjacyjnej, opartej na dwudzielnej strukturze biografii. Bohater przywołuje wyidealizowane w pamięci wspomnienie lat chłopięcych, by przeciwstawić je trywialnej teraźniejszości. W tę konwencję zazwyczaj wpisana jest katastrofa, gdyż rekonstrukcja przeszłości odbywa się nie po to, by napawać się beztróską dawnych lat, lecz by zbadać przyczyny obecnej klęski. Na takim życiowym etapie znajduje się Pielgrzym. Jako jedyny z „hardrockowej ósemki” pozostał w K., inni po studiach wyjechali do dużych miast bądź za granicę. Ma wprawdzie za sobą studencki epizod w Lublinie, o którym pisze: *Europejska stolica melancholii, nawet mimo obecności tysięcy studentów, jednocześnie błogosławieństwa i zmory tego*

miasta, żywiołu zabawy i bezrobocia (s. 129), ale z polonistyki relegowany został za pobicie wykładowcy, nadmiernego miłośnika kobiecych wdzięków. Wierny życzeniu zmarłej matki, tkwi w małomiasteczkowym marazmie, pracując jako robotnik, choć *kiedyś wszyscy wróżyli mi karierę tu czy za granicą* (s. 15). Co więcej, poczucie życiowej porażki pogłębia się poprzez świadomość utraty szansy na spełnienie jedynej miłości – do Lilli, koleżanki ze szkolnych lat. A przyczyną tego stanu rzeczy jest dogmatyzm, z jakim Pielgrzym traktuje młodzieńcze ideały.

Kiedyś życie było niezwykle proste, *mimo że te trunki śmierdziały, były tanie i niedobre, to w tym naszym piciu było wtedy coś pięknego. (...) Jeden miał więcej kasy – przeważnie wysepionej od rodziców, czasem w jakiś sposób zarobionej, to dawał więcej na składkę albo kupował potem chleb i kielbasę – żebyśmy się wszyscy najedli. Dzieliłiśmy się tym, co mieliśmy, po równo, jak pierwsi chrześcijanie* (s. 14). Pretekstem do rekonstrukcji owej przeszłości staje się telefon zza oceanu od dawno niewidzianego kolegi, Hasselhoffa. Pielgrzym otrzymuje polecenie zorganizowania w K. wieczoru kawalerskiego dla Klakiera, który żeni się jako pierwszy z całej ekipy. Impreza ma się odbyć w ulubionej knajpie sprzed lat o wdzięcznej nazwie – Czernobyl.

Fragmenty o wzlotach i upadkach Hasselhoffa, Klakiera, Żwirka, Psa, Kabanosa, Skały, Alfego oraz ich kolegów należą do najciekawszych w książce. Opowiedziane barwnym i częstokroć dosadnym językiem historie o rozpijaniu bomby, czyli taniej nalewki owocowej rozcieńczonej wodą, całonocnych melanżach, rodzinnych potyczkach, utraconych bądź przewrotnych karierach w firmach i korporacjach czy o problemach z dziewczynami pojawiają się w kontekście młodzieńczych deklaracji o dochowaniu wierności w przyjaźni. Radecki przytacza też takie oto męskie rozmowy o kobietach: *Otóż pojebana laska ma misję. Głęboko w coś wierzy, wydaje jej się, że cały świat powinien postępować tak jak ona, i chce ciebie zmienić w imię swojej wiary* (s. 224), a jednocześnie wskazuje na ogromną potrzebę miłości i opisuje dramaty, jakie wynikają z niedoceny uczucia.

Właśnie uczuciowe problemy Pielgrzyma stanowią ważny motyw organizujący fabułę książki. Autor wprowadza znany wątek miłosnego trójkąta, stawiając Pielgrzyma przed dylematem: miłość do Lilli czy przyjaźń z Kabanosem? Kiedyś bohater nie miał takich wątpliwości: *Przyjaźń uznawałem wtedy za wartość najważniejszą na świecie, coś ponad miłością, wiarą, a nawet nadzieją. (...) Po latach można to tylko skwitować uśmiechem* (s. 67). Owego dystansu Pielgrzym nabiera, obserwując sytuację miejscowego człowieka legendy, wiernego nonkonformistycznym ideałom z przeszłości. Kerry kiedyś walczył z komuną, później z klerem, następnie z systemem. *Obecnie – komentuje narrator – jest podstarzałym menelem i walczy z samym sobą, bo bariera pięciu piw jest dla niego nie do przekroczenia* (s. 52).

Nic więc dziwnego, że Pielgrzym podejmuje próbę „odnalezienia utraconego czasu” i wyrusza na spotkanie ze swoją wymarzoną „Prześliczną Rudowłosą” do stolicy, o której mówi: *Warszawo, Warszawo. Miałaś być stolicą wolności, a pożera cię chaos, który sama sobie stworzyłaś. Nieustanna walka słoika z autochtonem, naturszczyka z warszawką* (s. 133). Radecki w ciekawy sposób przedstawia hipsterski świat młodych ludzi zatrudnionych w korporacjach, unikając przy tym uproszczonych uogólnień. Wskazuje, że praca w korpo wynika wprawdzie z przymusu ekonomicznego, ale ma też swoje zalety, hipsterzy zaś znajdują się w sytuacji paradoksalnej: chcąc być antystemowi, stają się częścią systemu. Przy okazji daje też przykład ich socjolektu: *– I napierdalam taski, bo skedzul musi być gotowy! – No i mówię wtedy do niej – forwardnij mi ASAP briefa, bo muszę dać responsa zgodnie z timingiem. – Skanseluj to, proszę! Będziemy w touchu!* (s. 139).

Autor konfrontuje postawy życiowe Pielgrzyma i Lilli – kobiety, która robiąc karierę w korporacji, zachowała samodzielność intelektualną. To ona uświadamia bohaterowi, powołując się na *Przypadek* Kieślowskiego, że nic nie musi. A wła-

ściwie powinien wyrwać się z impasu, w którym tkwi. To ona wypowiada zdanie będące tytułem powieści, kiedy wyjaśnia, na czym polega bycie hipsterem: *bo w ludzkim tłumie chcemy być niepowtarzalni, jednocześnie pragnąc odnaleźć siebie. Jedni robią to przez ubiór, inni przez nawyki żywieniowe, jeszcze inni – słuchając dziwacznych zespołów muzycznych* (s. 141). Dodaje przy tym, że we współczesnym świecie naprawdę połączyć może ludzi tylko miłość i rodzina.

Radecki zatem nie nawołuje do zmiany rzeczywistości, tylko rekonstruuje jej niezbyt optymistyczny wizerunek. *Wszyscy jesteście hipsterami* – tak jak klasyczna powieść inicjacyjna – ukazuje młodość jako bezpowrotnie utraconą samoistną wartość. Świadczą o tym chociażby rozmowy w trakcie wieczoru kawalerskiego oraz wesela czy wspólne rozpicie „bomby”, która tylko na chwilę przywraca nastrój minionego czasu. Jednakże nie do końca zostaje rozstrzygnięty dylemat wyboru między męską przyjaźnią a miłością, na co wskazuje finalny dramatyczny list Kabanosa. Mimo to można uznać, że Pielgrzym, jak jego romantyczni poprzednicy, odbył podróż inicjacyjną, a rozpoznając swą sytuację egzystencjalną, radykalnie zmienił sposób funkcjonowania w świecie. Przecież wstęp do opowieści pisany jest z punktu widzenia warszawskiego hipstera. Otrzymałmy więc – przywołajmy tytuł zapomnianej powieści rosyjskiego romantyka Michaiła Lermontowa – obraz „bohatera naszych czasów”. To młody człowiek z prowincji, który potrafi zawalczyć o wielką miłość, przeżyć religijną epifanię, rozwijać oryginalne hobby (znajomość języka japońskiego), pokonać własne zahamowania i odnaleźć miejsce w świecie korporacji. A przy tym zachować pamięć o czasach, kiedy z przyjaciółmi łączyło go hasło: „jeden za wszystkich, wszyscy za alkohol”.

---

Daniel Radecki: *Wszyscy jesteście hipsterami*. Novae Res, Gdynia 2016, ss. 314.



Andrzej Strumiłło: *Krzyż św. Andrzeja*, olej na płótnie, 120 x 120 cm, 2000 r.

# plastyka

## W życiu trzeba pracować

Rozmowa z Andrzejem Strumiłłą – malarzem, rysownikiem, fotografikiem, rzeźbiarzem i ilustratorem książek

**Andrzej Strumiłło:** To jest dąb, który posadziłem, tam sosna kalifornijska, dalej miłorząb japoński, sekwoja, świerki wężzowe, a tu kłokoczka – dziś to już relik, rośnie na Roztoczu.

*Andrzej Strumiłło prowadzi mnie wokół drewnianego domu w Maćkowej Rudzie i opowiada o roślinach, drzewach i ogrodzie. Podziwiam także wielkie kamienie, które zdobią ogród, i piękne araby pasące się przed domem. Towarzyszą nam psy, przed którymi gospodarz chowa cukierki, bo potrafią odwinąć je z papierków i opróżnić salaterkę.*

**A. S.:** Dalej są stawy, które sam wykopałem. A teraz pokażę pani pracę. Tu odbywają się koncerty, wystawy, spotkania. Gościli u mnie muzycy z Filharmonii AUKSO, orkiestra Floripari z Wawelu, klezmerzy sejneńscy, nawet Krzysztof Penderecki siedział przy tym stole.

**Eliza Leszczyńska-Pieniak:** *Piękna sala.*

**A. S.:** Mój projekt. Przez sześć lat co rok budowałem jeden budynek w gospodarstwie, w międzyczasie pracowałem nad sztuką, scenografią, książkami...

**E. L.-P.:** *Ilustrowanie książek wynikało z pana wyboru?*

**A. S.:** Zacząłem ilustrowanie po podróży do Chin. Byłem tam w 1954 roku, zjeździłem cały kraj. Tak się złożyło, że Nasza Księgarnia chciała wydać *Przygody Li-Ta-Hai* i *Baśnie tybetańskie*. Szukali kogoś, kto zna ten obszar kulturowy. Uważałem, że trzeba maksymalnie wczuć się w klimat danego miejsca i oddać go w rysunku. W pewnym momencie stwierdziłem, że ilustracja stanowi poważne niebezpieczeństwo dla malarstwa sztalugowego, które było moim pierwszym zawodem, dlatego pracując nad książką, starałem się robić pastisze. Choć pewne nawyki, maniery, elementy języka osobistego można odnaleźć w tych ilustracjach. To jest zresztą moja dewiza – nie kontynuować w ilustracji swojego malarstwa, tylko oddawać koloryt epoki, kulturę, czas historyczny.

**E. L.-P.:** *Bliskie było panu szancerowskie myślenie o książkach?*

**A. S.:** Szancer nie zajmował się architekturą książki, on robił wkładki, które umieszczano w utworze literackim. Ja też zaczynałem od robienia ilustracji, które były umieszczane w tekście, ale z czasem zająłem się tworzeniem książek. To pozwoliło mi na decydowanie o najdrobniejszych szczegółach, bo one składają się na całość. Dla mnie książka jest tworem czasoprzestrzennym, funkcjonuje w ruchu. Jest rodzajem filmu, który rozwija się w miarę przekładania kart. Ilustracje nie mogą być traktowane osobno. Książka ma wygląd zewnętrzny i rytm wewnętrzny. Czasami zawiera mało rysunków, bo są drugorzędne, ale istotna jest kompozycja całości. Można spotkać dziś



książki bardzo odważne, robione z desek, ze szkła, zaskakujące i wielowarstwowe, jeśli chodzi o odbieranie bodźców. Nigdy tak daleko nie poszedłem, moje projekty nie były tak awangardowe.

**E. L.-P.:** *Miał pan jakiegoś mistrza w tworzeniu książek?*

**A. S.:** Robienie książek wynikało z prozaicznej konieczności. Chciałem zachować niezależność w sztuce, ale z czegoś trzeba było żyć. To był okres twardego reżimu, aparat państwowy domagał się od artystów, by chwalili pewne osoby i tworzyli dzieła propagandowe.

**E. L.-P.:** *To znaczy, że nie malował pan obrazów socrealistycznych?*

**A. S.:** Namalowałem parę obrazów, których może nie powinienem był malować. Studiowałem przez parę lat w pracowni Władysława Strzemińskiego. To był apostoł awangardy, propagator sztuki użytkowej. Uważał, że nie tylko malarstwo, ale także inne dziedziny sztuk wizualnych mogą służyć społeczeństwu.

**E. L.-P.:** *Sposób myślenia prezentowany przez Strzemińskiego wynikał z jego wiary w idee socjalistyczne?*

**A. S.:** Ale to był inny socjalizm od tego, który później wykształcił się w Polsce. Strzemiński w okresie rewolucji kontaktował się z Kazimierzem Malewiczem. Dużo rozmawiali o tym, że awangardowe myślenie społeczne powinno być wsparte awangardowym myśleniem w sztuce. To była młodzięcza naiwność, której w sferze ideologii uległo wiele osób.

**E. L.-P.:** *Strzemiński kształtował was także ideowo?*

**A. S.:** Nie, miał już wtedy za sobą różne doświadczenia, ale trzymał się awangardy. Wierzył w to, że służba artysty polega na kształtowaniu i formowaniu świata.

**E. L.-P.:** *A jakim był człowiekiem?*

**A. S.:** To oddzielna opowieść. Powiedział mi kiedyś, że jego babcia czy prababcia pochodziła ze Strumiłłów, tak jak mój ojciec pochodził z ziemi mińskiej. Przed I wojną światową poszedł do korpusu kadetów carskich tak jak mój stryj Karol. Nad Biebrzą w walce pod Osowem stracił rękę, nogę, a złośliwi mówią, że i oko. Trafił do lazaretu, gdzie opiekowała się nim Katarzyna Kobro. Wrócili razem do Polski. Jego program był totalny. Mawiał, że artystą jest ten, kto nie tylko namalował pejzaż, ale jest w stanie go uformować, rozumie przestrzeń, wie, gdzie posadzić drzewo, gdzie postawić dom. Myśli globalnie.



*Wies chińska, tusz na papierze, 1954 r.*



Świątynia Czojdzin Lamy, Ulan Bator, tusz na papierze, 1974 r.

**E. L.-P.:** *Był surowym profesorem?*

**A. S.:** Lubił rudowłose. Mówił na przykład „Halinko, ty jesteś najlepszą kubistką w Europie”. Oczywiście trochę żartuję, ale był ludzki. Miał wielką wiedzę na temat sztuki, analizował formę, rozwój świadomości widzenia. Kładł duży nacisk na kolorystykę, kompozycję, zjawisko światłocienia. Kiedyś rysowałem na zajęciach własne kolano na tle podłogi, Strzemiński spojrzal i powiedział: „Proszę pana, myśmy już przeszli kubizm, a pan wraca do renesansu”.

**E. L.-P.:** *Śledził wasze kariery?*

**A. S.:** On się wcześniej skończył. Miał bardzo ciężkie życie – dużo palił, mieszkał w warunkach ekstremalnie niehigienicznych, w ciasnym pokoju wśród niedopałków i pajęczyn. Relacje z Katarzyną Kobro były wówczas napięte. Był szaszczuty przez środowisko artystyczne i polityczne. Jego socjalistyczne ciągoty do postępu nie odpowiadały reżimowi komunistycznemu. Zarzucano mu kolaborację, a konserwatywne środowiska artystyczne nie rozumiały jego poglądów na sztukę i odrzucały je.

**E. L.-P.:** *Dlaczego porzucił pan pracownię Strzemińskiego i przeniósł się do Krakowa?*

**A. S.:** W Łodzi zlikwidowano malarstwo. Uczelnia miała przygotowywać studentów do tworzenia sztuki użytkowej. Miała być bliżej klasy robotniczej. A ja chciałem badać możliwości sztuk wizualnych poprzez malarstwo. Zajęcia u Strzemińskiego dużo mnie nauczyły, trafiłem do niego jako chłopak spod Nowogródka, z białoruskiej prowincji. Moim ideałem było malarstwo patriotyczne – Matejko, Grottger, zręczny Kossak. A Strzemiński pokazał mi, że jak odwrócimy Matejkę do góry nogami, zobaczymy potężny ładunek barokowej ekspresji, dynamizm podobny do tego, którym operował Rubens. Współpracowałem też ze Strzemińskim przy *Teorii linii greckiej*, robiłem rysunki, pomagałem mu je analizować, co zostało zaznaczone w przypisach artykułu opublikowanego w „Przeglądzie Artystycznym”. Mój profesor w Krakowie Eugeniusz Eibisch zakpił: „A ja myślałem, że Strumiłło to jakiś filozof grecki”. Dzięki temu byłem lepiej

poinformowany o losach sztuki awangardowej i problemach formy od kolegów z ASP. W 1947 roku zacząłem organizować na placu Szczepańskim odczyty o sztuce najnowszej.

**E. L.-P.:** *Słynna Grupa Samokształceniowa, do której należeli oprócz pana mi.in. Andrzej Wajda, Andrzej Wróblewski, Jan Tarasin...*

**A. S.:** Andrzej Wajda i Konrad Nałęcki odeszli dość wcześnie do szkoły filmowej. A Andrzej Wróblewski był rzecznikiem prasowym, teoretykiem grupy. Miał tendencje do wypowiedzi programowych, bo oprócz malarstwa studiował także historię sztuki na uniwersytecie. Pochodził z rodziny inteligentkiej, jego mama była doskonałym grafikiem wileńskim, ojciec został rozstrzelany przez Niemców. „Czynniki rządowe” zastanawiały się, jak nas użyć w swoim zaprzęgu, uczestniczyliśmy w paru wydarzeniach popieranym przez ministerstwo. Zamiast tradycyjnego aktu tworzonego z piłą albo malowaliśmy praczkę przy balii. Eibisch zrobił mnie swoim asystentem, bo



Z cyklu *Psalmy*: *Pośród lwów leżą, które pożerają synów ludzkich, zęby ich jak włócznie i strzały, język ich jak miecz ostry*, olej na płótnie, 180 × 120 cm, 1988 r.

wolał mieć człowieka niebezpiecznego bliżej siebie, potem proponował mi przeniesienie do Warszawy, ale nie zdecydowałem się ze względów mieszkaniowych. Wróciłem do Łodzi na uczelnię, w której sam zaczynałem. I zaraz wysłano mnie na przeszkolenie do Moskwy.

**E. L.-P.:** *To dopiero musiało być ciekawe doświadczenie.*

**A. S.:** Rzeczywiście, bo pożegnałem Stalina. Byłem przy jego trumnie tak jak tu przy tym stole. Mieszkaliśmy wtedy w Metropolu, hotel mieścił się między Kremlem a Salą Kolumnową gmachu Związków Zawodowych. Cały teren otoczyło wojsko, mogłem więc dołączyć do kolejki dyplomatów i gości, która utworzyła się, by pokłonić się Stalinowi. Widziałem jeszcze żywego Berię, Mołotowa, Malenkowa, Chruszczowa i innych ówczesnych wielmoż.

**E. L.-P.:** *Czego pan uczył się w Moskwie?*

**A. S.:** Niczego się nie uczyłem, pojechałem z ośmioosobową delegacją z różnych szkół wyższych w Polsce. To była wizyta instruktażowa. Pokazywali nam, jak wygląda radzieckie szkolnictwo. Wizytowaliśmy Akademię Leningradzką, odwiedziliśmy pracownie najwybitniejszych artystów i akademików.

**E. L.-P.:** *Jak to się stało, że w czasach, kiedy tak trudno było gdziekolwiek z Polski wyjechać, pan odbywał egzotyczne wyprawy? Chiny, Indie, Nepal, Tybet, Wietnam były wtedy nieosiągalnym marzeniem.*

**A. S.:** Izba Handlu Zagranicznego przygotowywała co roku mnóstwo wystaw propagujących nasz przemysł. Przygotowywałem dla niej projekty pawilonów. Zajmowałem się wystrojem wnętrza i tym wszystkim, co wiązało się z podaniem eksponatów – traktorów, węgla, maszyn przemysłowych. Miałem dużo szczęścia, bo rzeczoznawcą Izby był Ryszard Stanisławski, wielbiciel Strzeмиńskiego, późniejszy dyrektor Muzeum Sztuki w Łodzi. Moje pomysły miały coś z ducha Strzeмиńskiego, chętnie je wybierał. Ilustracja i wydawnictwo dały mi niezależność materialną i nie musiałem dbać o rynek dla swojego malarstwa.

**E. L.-P.:** *Ale pana pierwsza wyprawa do Chin w 1954 roku nie miała nic wspólnego z tymi projektami.*

**A. S.:** Komponowano delegację ludzi kultury na piątą rocznicę Chin Ludowych, w jej skład oprócz mnie weszli: Jan Kott – znany teatrolog, Stefania Wójtowicz – śpiewaczka, późniejsza działaczka Solidarności, Regina Smędzianka – pianistka, Tadeusz Bereza – pisarz, Jan Zarzycki – autor modnego wtedy filmu *Robinson warszawski*. Te nazwiska mówią same za siebie. Chińczycy przyjęli nas bardzo gościnnie. Objechaliśmy cały kraj od Mandżurii po Kanton i prowincję Yunnan. Zrobiłem wówczas około stu rysunków, pędzlem i piórkiem na chińskim papierze. Prace te pokazano w centralnym pawilonie Instytutu Sztuk Pięknych w Pekinie. Zachowała się księga gości, jest tam wpis rodziny cesarskiej, która zajmowała się wtedy sprzątaniem ulic. Poprosiłem, żeby mnie zawieźli do najlepszego chińskiego malarza. Chciałem zobaczyć, jak pracuje. Tak poznałem Qi Baishi, który był wtedy tak stary, jak ja teraz – miał dziewięćdziesiąt lat.

**E. L.-P.:** *Chińczycy pozwalali na takie kontakty? Czytałam w „Podróżach z Herodotem”, że Kapuściński podczas swojego wyjazdu do Chin nic prawie nie zobaczył, ciągle go pilnowali.*

**A. S.:** Kapuściński był w Chinach później. Nas też pilnowali, czuło się reżim, ale w obszarze sztuki wciąż jeszcze można było funkcjonować. Nie było tego „zamordyzmu”, on nastąpił kilka lat potem. Pamiętam pięknie zaopatrzone antykwariaty, zabytki, które później niszczone.

**E. L.-P.:** *Ale wróćmy do Qi Baishi.*

**A. S.:** Malował kwitnące kwiaty, a ja fotografowałem każdy etap jego pracy, ruch ręki i pędzla. Bo ruch wychodził z ramienia, pędzel trzymał pionowo, a pracował całym ciałem. Qi Baishi zadedykował mi ten obraz, a ja zwinąłem go w rulon i przywiozłem do Polski. Jak Andrzej Wawrzyniak organizował

Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie, przekazałem obraz do muzeum. I proszę sobie wyobrazić, że wpadł mi w ręce magazyn „ArtReview”, a tam piszą, że chińskie malarstwo współczesne osiąga wysokie ceny, a najbardziej ceniony jest Qi Baishi. Jedna z jego prac z kwiatami i tygrysem poszła za kilkanaście milionów dolarów. Chwyciłem za telefon i zadzwoniłem do muzeum. „Macie jeszcze Qi Baishi w swoich zbiorach?” „Oczywiście” – odpowiedziała pani dyrektor. „To pilnujcie, bo jest pewnie więcej warty niż cały budynek i reszta eksponatów” – zażartowałem. Proszę sobie wyobrazić, że miałbym te kilka czy kilkanaście milionów w kieszeni...

**E. L.-P.:** *Rzeczywiście, przeleciał panu koło nosa pokaźny majątek. I w tej sytuacji lepiej nie zastanawiać się, czy to kilka, czy kilkanaście milionów...*

**A. S.:** Przepadło. Opowiedziałem to jako anegdotę, ale wiele miałem w życiu takich niezwykłych sytuacji.

**E. L.-P.:** *A oprócz obrazu Qi Baishi przekazał pan kolekcję sztuki Nepalu, tyle że do Muzeum Etnograficznego w Krakowie.*

**A. S.:** Dokładnie 450 eksponatów. Zrobiono tam dwie sale z mojej kolekcji. Przeszedłem cały kraj na piechotę od granicy z Indiami do Tybetu i z powrotem. To był okres pierwszej polskiej zimowej wyprawy w Himalaje. Później odwiedziłem obóz Andrzeja Zawady. O tu może pani zobaczyć na fotografii mój namiot na wysokości 5 tysięcy metrów. Zrobiłem solidną dokumentację fotograficzną podczas tych wyjazdów. W sumie mam 30 tysięcy negatywów.

**E. L.-P.:** *Na zdjęciach można zobaczyć życie społeczne i obyczaje.*

**A. S.:** W mojej książce *Nepal* podzieliłem te fotografie według kategorii: Góry, Bogowie, Ludzie. Można obejrzeć ceremonie, ludzi przy pracy, kremację. A tu zdjęcie z klasztoru Pangboche, gdzie przechowują rękę i skalp Yeti. I jedno, i drugie udało mi się sfotografować. Wyjątkowo, kiedy klasztor wizytował angielski następca tronu, obejrzał tylko skalp. A ja miałem szczęście, bo główny przeor świętował wtedy swoje 15 wcielenie. Mnisi byli już podpici i za opłatą zgodzili się na te zdjęcia.

**E. L.-P.:** *Opracował pan około 200 książek, wśród nich jest wiele wydań albumowych, ale także katalogi, autorskie tomiki poetyckie. Z której książki jest pan najbardziej dumny?*

**A. S.:** Z *Księgi Wielkiego Księstwa Litewskiego*, bo zainicjowaliśmy ją wspólnie: Czesław Miłosz, Tomas Venclowa i ja. W liście intencyjnym wyjaśniamy, że taka książka jest potrzebna i wynika z nowego ładu w Europie. Trzeba powiedzieć, że byliśmy już zjednoczeni, chociaż w wąskim zakresie. Próbowaliśmy jedności między narodami, a co z tego wyszło, to już inna sprawa, ale próba była. Miłosz poszedł do nieba, Venclowa wyjechał do USA i musiałem sam zrealizować to, co postanowiliśmy.

**E. L.-P.:** *Znał pan Czesława Miłosza osobiście?*

**A. S.:** Miłosz był starszy ode mnie, należał do pokolenia mojej matki. Przyjaźniliśmy się. Jego brat Andrzej był żonaty z moją kuzynką Strumiłówną z Mińska. Czesława poznałem w Nowym Jorku, potem był u mnie w Maćkowej Rudzie. Podczas jednego z przyjazdów przywiózł mi swoje tłumaczenie *Psalmsów* i *Apokalipsy* wydane przez Palotynów w Paryżu, postanowiłem je zilustrować. Tak powstało 18 obrazów do *Psalmsów* i 12 obrazów do *Apokalipsy*.

**E. L.-P.:** *W „Księdze Wielkiego Księstwa Litewskiego” nie zabrakło ani Czesława Miłosza, ani Tomasa Venclovy.*

**A. S.:** Wykorzystałem ich archiwalne teksty.

**E. L.-P.:** *Zgromadził pan ponadto doskonały materiał ikonograficzny.*

**A. S.:** Pierwszorzędny. Pracowałem nad księgą przez trzy lata, odwiedziłem muzea na Litwie, Białorusi i w Polsce. To dzisiaj największa publikacja, jaką zrobiono o Wielkim Księstwie Litewskim z tekstami Białorusinów, Litwinów i Polaków. Próbuje pokazać historię tych trzech narodów z wnioskami, jakie płyną dla dnia dzisiejszego. Ten sam fakt jest tu prezentowany z różnych

punktów widzenia – na przykład bitwa pod Grunwaldem czy bitwa pod Kircholmem. Okazuje się, że te wydarzenia były różnie postrzegane przez nas i naszych sąsiadów.

**E. L.-P.:** *Odczuwa pan dziedzictwo Wielkiego Księstwa Litewskiego?*

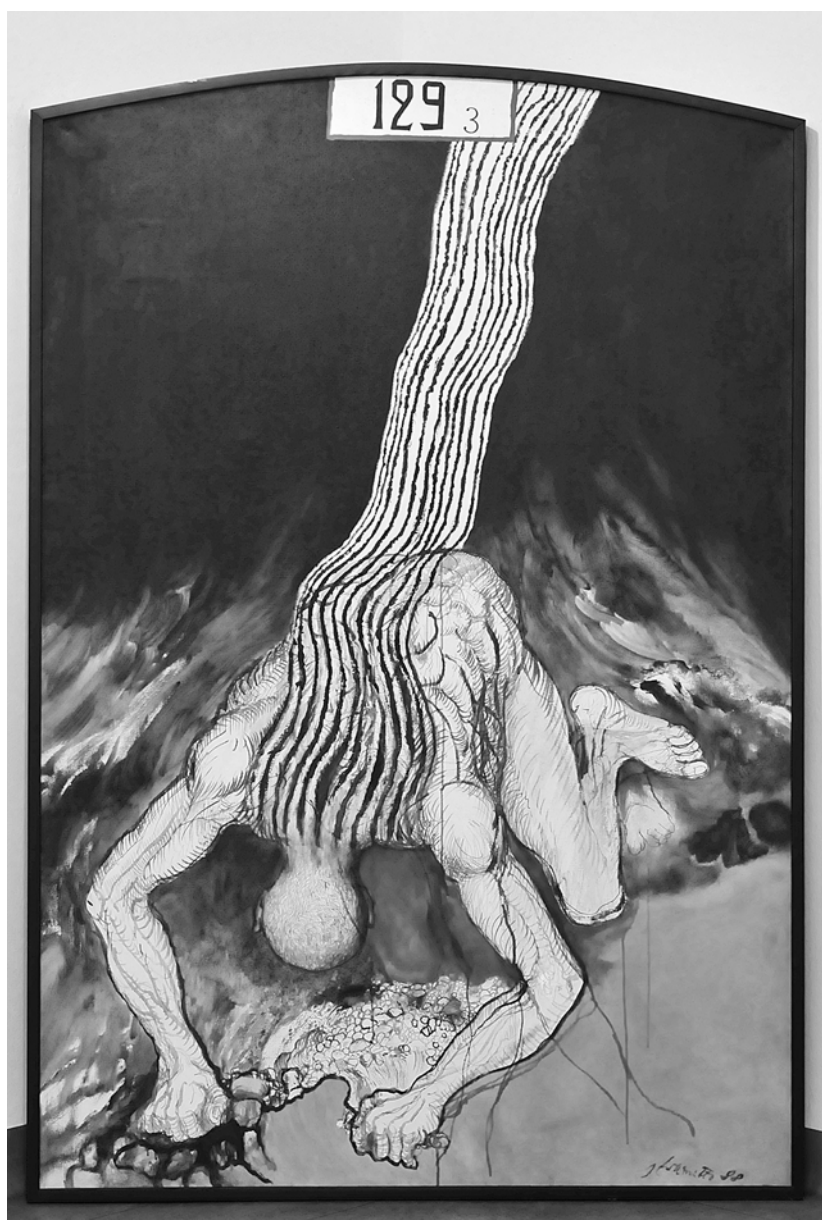
**A. S.:** Tak, inaczej nie stworzyłem takiej książki. To jest moja „idealna ojczyzna”. Rodzina ojca pochodzi z ziemi mińskiej, rodzina matki z północnej Wileńszczyzny. Dziadek miał zaścianek Sudaty, który na północy sąsiedował z Żułowem Józefa Piłsudskiego.

**E. L.-P.:** *Ukształtowała pana tamta tożsamość?*

**A. S.:** Mentalnie i psychologicznie jestem stamtąd.

**E. L.-P.:** *Jak to się stało, że rodzina przeniosła się do Łodzi?*

**A. S.:** Mój ojciec budował linie telekomunikacyjne na terenie wileńskiej dyrekcji Poczty. Skończył przed I wojną światową szkołę techniczną w Miń-



Z cyklu *Psalm*: *Po moim grzbiecie orali oracze, długie znaczyli bruzdy*, olej na płótnie, 180 × 120 cm, 1988 r.

sku. W 1944 roku został aresztowany przez Rosjan i osadzony w więzieniu w Nowogródku, tam trzymano go parę miesięcy bez sądu, a potem wysłano na katorgę do Republiki Komi. Bardzo cierpiał. Opuchł z głodu i chorób. Zmarł w 1945 roku, miał zaledwie 46 lat. Pisał do nas grypsy: „Kaziu, ratuj się, bierz dzieci, uciekaj do Polski. Niech się dzieci uczą”. Jechaliśmy z Nowogródka do Lublina przez miesiąc. Był mróz, w pociągu towarowym stał piecyk, a na słomie leżało kilkanaście osób.

**E. L.-P.:** *Było już po powstaniu warszawskim?*

**A. S.:** Tak, podczas powstania budowałem tory kolejowe w rosyjskim batalionie roboczym. Nie wzięli mnie do oddziałów frontowych, bo matka o rok zmieniła mi datę urodzenia. Uchowałem się dzięki temu. Do Łodzi jechałem na dachu pociągu. Taki był tłok, że nie można było wsiąść do wagonu. Kładłem się na dachu, jak pociąg przyspieszał, żeby mnie pęd nie zwiął. W Łodzi dostaliśmy pokój w schronisku Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, mieszkało tam jedenaście osób. Za darmo była zupa raz dziennie. Zacząłem wtedy gwałtownie podróżować, zachłysnąłem się wolnością. Jak mieszkaliśmy na Białorusi, nie mogliśmy opuszczać miejsca zamieszkania. Tam był nawet zakaz wypiekania białego chleba, był tylko razowiec. Jak moja młodsza siostra poszła w Lublinie po biały chleb, cały bochenek zjadła po drodze.

**E. L.-P.:** *Skąd wzięły się u pana te bogate i wielostronne zainteresowania artystyczne?*

**A. S.:** Nie wiem, jak byłem mały, mama czytała mi *Don Kichota*. Książka bardzo mi się podobała i zacząłem rysować rycerza i wiatraki. To były moje pierwsze rysunki. Grubo przedwojenne. Kiedy miałem 6 lat, posłano mnie do szkoły, ale po dwóch tygodniach przeniesiono mnie do drugiej klasy, bo w pierwszej nie miałem nic do roboty.

**E. L.-P.:** *Urwali panu spory kęs dzieciństwa.*

**A. S.:** Od początku miałem napęd, kiedy miałem 12 lat, zdałem do gimnazjum i byłem w harcerek drużynie przeciwlotniczej. Przed wybuchem wojny moje ręcznie robione plakaty wisiały na płotach Lidy. To była moja pierwsza praca zawodowa.

**E. L.-P.:** *To wcześniej pan zaczął. Teraz rozumiem, dlaczego wybrał pan malarstwo.*

**A. S.:** Moja mama martwiła się tym wyborem. Bo co to znaczy artysta? Humanista to też nic, ale chociaż kulturalny człowiek, już jakaś pozycja w życiu.

**E. L.-P.:** *W rodzinie nie było artystów?*

**A. S.:** Skąd! Żadnej cyganerii.

**E. L.-P.:** *Ale potem była dumna z pana sukcesów?*

**A. S.:** Myślę, że tak. Przekonała się, że coś jednak zrobiłem, że liczą się ze mną. Dostawałem nagrody, zostałem profesorem... Ale rozgadałem się, a pani przyjechała posłuchać o ilustracji.

**E. L.-P.:** *Nie tylko o ilustracji, ma pan tak bogatą biografię, że żal nie pytać o inne dziedziny.*

**A. S.:** I nie jestem takim ilustratorem, jakim chciałaby mnie pani widzieć. Teraz przede wszystkim maluję. Ostatnia moja praca użytkowa wiązała się z pobytem w Nowym Jorku. Byłem kierownikiem pracowni graficznej Sekretariatu Generalnego ONZ. Może nie robiłem tam klasycznej ilustracji, ale projektowałem plakaty, znaczki, symbole, dyplomy. Zrealizowałem w ciągu dwóch lat 3600 zamówień. To była ciężka praca, ale dała mi pogląd na sprawę świata. Dużo też fotografowałem, zrobiłem 11 tysięcy zdjęć Manhattanu. W Maćkowej Rudzie jest największa kolekcja zdjęć o tej tematyce w Polsce.

**E. L.-P.:** *A dlaczego wrócił pan do Polski?*

**A. S.:** Urodziłem się w Wilnie, stąd sentyment do północno-wschodniej Polski i tego pejzażu. Nie mogłem zamieszkać ani na Litwie, ani na Białorusi. Wybrałem Maćkową Rudę nad Czarną Hańczę, ale to stare siedlisko, zebrałem tu resztki ceramiki z X wieku, pamiątka po Jaćwingach. Chciałem

mieć swoją autonomiczną przestrzeń. Mam 20 hektarów z dojściem do rzeki, mogę sadzić drzewa, uprawiać rośliny. Mam małe dendrarium, konie arabskie, które pasą się przed domem.

E. L.-P.: *Miał pan podobno konia, którego przodek pozował Juliuszowi Kossakowi?*

A. S.: Obraz przez pewien czas wisiał u mnie w saloniku, ale ofiarowałem go do Janowa Podlaskiego. To była klacz Mlecha, którą Dzieduszycki przywiózł do swojego majątku w 1845 roku. Młody wówczas Kossak był u niego rezydentem i namalował klacz. Po długich perypetiach trafił do mnie jej portret podarowany przez rodzinę malarza.

E. L.-P.: *Nie żał było rozstawać się z obrazem?*

A. S.: Żał, ale co by było, gdyby mi go ukradli? Żyję, umrę i tyle..., a Mlecha, protoplastka wielu polskich koni, powinna być w odpowiednim miejscu.

E. L.-P.: *A jak nazywa się potomek Mlechy, który jest u pana?*



Kartka z Dziennika A4, papier, 2005 r.



A. S.: To Czarina, ma 27 lat, jest matką znakomitych arabów. Miała syna Czakamara, który był jednym z lepszych koni na Służewcu. Ostatnio krył ją ogier Etykiet, własność Charliego Watta, perkusisty The Rolling Stones. Po tym ogierze urodziła klaczkę, którą nazwałem na cześć muzyka – Czarla. Konie... miałem w szczycie hodowli piętnaście arabów, a teraz tylko cztery klacze. Dwie zażrebone, więc na wiosnę będą młode.

E. L.-P.: *To chyba piękne uczucie patrzeć, jak rosną?*

A. S.: Sam jestem weterynarzem-położnym. Odbieram wszystkie porody. Mam ich za sobą około trzydziestu. Jak koń się urodzi, trzeba zainteresować się łożyskiem, pępowiną, ssaniem, smółkę trzeba czyścić, lewatywę zrobić, dać selen.

E. L.-P.: *Kiedy pan to wszystko robi?*

A. S.: Długo żyję, a w życiu trzeba pracować.



*Sąd ostateczny*, olej na płótnie, 180 x 120 cm, 2009 r.

**E. L.-P.:** *Czuje się pan doceniony jako artysta?*

**A. S.:** Doceniony to jest ktoś, kto ma pieniądze. Gdybym miał sekretarkę, asystenta, stypendium państwowe, to czułbym się doceniony. A ja jestem samotnym człowiekiem walczącym o byt na pustkowiu. Kogo to obchodzi, że mam największe archiwum negatywów nowojorskich czy azjatyckich? To wielki kapitał. Władza nie zdaje sobie sprawy, z tego, co mam. Nie jest tego nawet ciekawa. Dopiero jeżeli znajdzie się człowiek, który zobaczy w tym interes, to zaczynają się jakieś działania.

**E. L.-P.:** *Brakuje ludzi, którzy zajmują się sztuką z potrzeby ducha?*

**A. S.:** Ja zajmuję się tym z potrzeby ducha.

**E. L.-P.:** *A jest pan szczęśliwy?*

**A. S.:** Myślę, że tak..., ale to jest sprawa delikatna. Trudno deklarować, że jest się szczęśliwym. Ale gdyby mi przyszło żyć jeszcze raz, zgodziłbym się na taki sam model istnienia.

**E. L.-P.:** *To już dużo.*

**A. S.:** Prawda? Udało mi się uratować z wojny, poznałem wielu ciekawych ludzi, byłem świadkiem radości i dramatów. Strzelano do mnie, ale nie trafiono. Żyję.

**Andrzej Strumiłło** – ur. 23 X 1927 roku w Wilnie. Jest artystą wszechstronnym, a także działaczem na rzecz kultury i ochrony krajobrazu północno-wschodniej Polski. Dzięki niemu powstało wiele publikacji i wystaw. Dzieciństwo spędzone w Świecinach nad Żejmianą, w Wilnie i Lidzie ukształtowało jego sposób widzenia świata. Studia pod kierunkiem Władysława Strzemińskiego (PWSSP w Łodzi) i Eugeniusza Eibischa (ASP w Krakowie) uformowały go jako artystę. Awangardowy sposób widzenia świata charakterystyczny dla Strzemińskiego i doświadczenia kolorystów wpłynęły na dojrzałe prace malarza.

Pierwsza wystawa indywidualna Andrzeja Strumiłły odbyła się w Pekinie (Instytut Sztuk Pięknych). Podczas podróży do Chin i kolejnych wypraw do Azji (Indie, Mongolia, Wietnam, Nepal, Japonia) artysta zgłębił kanony wschodniej sztuki malarzkiej, symbole i filozofię tego obszaru kulturowego, później twórczo przetwarzał je w autorskich działaniach. Wyprawy zostały bardzo dobrze udokumentowane, zdjęcia zrobione przez Strumiłłę prezentują zabytki kultury i architektury niedostępne dziś lub zniszczone.

Miał ponad sto wystaw indywidualnych w kraju i za granicą (m.in. w Warszawie, Wrocławiu, Krakowie, Szczecinie, Suwałkach, Pekinie, New Delhi, Ulan Bator, Hanoi, Tokio, Berlinie, Mediolanie, Pradze, Moskwie, Nowym Jorku). Jest autorem i współautorem prawie 200 książek. W 1982 r. wygrał otwarty konkurs na stanowisko kierownika Graphic Presentation Unit Sekretariatu Generalnego ONZ w Nowym Jorku. Konfrontacja ze światem nieograniczonej konsumpcji i doświadczenia płynące z podróży na Daleki Wschód sprawiły, że po dwóch latach pracy dla ONZ wrócił do Warszawy i postanowił osiedzić się na polskiej wsi. Mieszka w Maćkowej Rudzie nad Czarną Hańczą, gdzie hoduje konie i pracuje twórczo, a jego dom jest miejscem spotkań ludzi kultury oraz przestrzenią, w której odbywają się wydarzenia artystyczne.

Andrzej Strumiłło został uhonorowany wieloma odznaczeniami państwowymi i nagrodami za osiągnięcia artystyczne, propagowanie kultury polskiej za granicą oraz działalność społeczną, otrzymał m.in. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Medal „Gloria Artis”, Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki.

## Akumulacje. Kolekcja grafiki Tadeusza Mysłowskiego

Tadeusz Mysłowski – twórca intermedialny, malarz, grafik, rzeźbiarz, autor instalacji – od blisko pięćdziesięciu lat swoje życie dzieli między dwa kontynenty i między dwa miasta<sup>1</sup>. Noszący ślady pamięci miejsc peryferyjny Lublin, gdzie na Starym Mieście przyszły artysta wykonywał pierwsze szkice, jest dla niego wciąż równie ważny co tętniąca życiem, multikulturowa nowojorska metropolia, której rytmom poświęcił swoje dwa ostatnie obrazy *Boogie-Woogie* i *Victory Boogie-Woogie* jeden z wielkich mistrzów Mysłowskiego Piet Mondrian.

W ubiegłych latach transmigracyjnym podróżom artysty na linii Nowy Jork – Lublin towarzyszyły dziesiątki dzieł sztuki, które zdecydował się udostępnić i zaprezentować na wystawie w lubelskim zamku<sup>2</sup>, której wernisaż wstępnie zaplanowany został na 17 marca 2017 r. Gromadzona przez przeszło pół wieku kolekcja składa się przede wszystkim z prac graficznych współczesnych polskich autorów: Jana Berdyszaka, Henryka Berlewiego, Stanisława Drózdza, Stanisława Fijałkowskiego, Józefa Gielniaka, Jana Lebensteina, Jerzego Nowosielskiego, Romana Opalki, Jerzego Panka, Konrada Srzednickiego, Henryka Stażewskiego, Mieczysława Wejmana, a także rysunków, plakatów, fotografii oraz obiektów związanych z działaniami interdyscyplinarnymi<sup>3</sup>. Ważne miejsce zajmują w niej również dzieła twórców zagranicznych, którzy mieli wpływ na kształtowanie się wrażliwości artystycznej Mysłowskiego, m.in. Pieta Mondriana, Barnetta Newmana, Sol LeWitta, Agnes Martin, Josepha Albersa, Jaspera Johnsa czy Jeana Arpa.

Dla artysty będącego nieustannie w drodze kolekcja jest rodzajem akumulacji, kondensatem energii w procesie transmigracji, uniwersalną siłą, jaką daje możliwość kontemplowania dzieła sztuki w przestrzeni pracowni. Każde z nich jest nośnikiem jakiejś historii, znakiem wyznaczającym etap na drodze artysty prowadzącej od figuracji i poetyckiej metafory poprzez abstrakcję geometryczną do struktur bliskich kształtom organicznym i symbolicznego powrotu do figury ludzkiej.

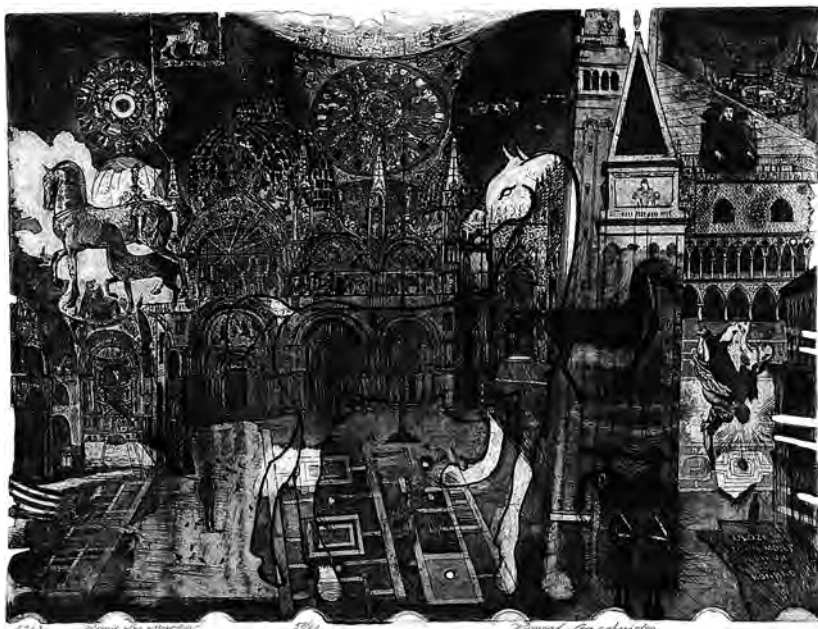
Na pomysł stworzenia własnej kolekcji Tadeusz Mysłowski wpadł w 1963 r. jeszcze jako student Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie – po zerwaniu afiszu *Wystawy popularnej* Tadeusza Kantora w Galerii Krzysztofory. Obecnie w zbiorze znajduje się blisko 200 prac, a jego trzon stanowi grafika, traktowana przez Mysłowskiego nie tylko jako jedna z dyscyplin artystycznych, ale jako medium będące najbardziej elementarnym sposobem wyrażania myśli, pierwotnym rodzajem pisma posługującego się uniwersalnymi znakami – linią i punktem. Pierwsze prace w kolekcji wiążą się z działalnością krakowskich profesorów grafiki Konrada Srzednickiego, Mieczysława Wejmana, Stanisława Wójtowicza oraz ich uczniów, twórców „krakowskiej szkoły grafiki”, kultywującej tradycję warsztatową, odwołującej się do realności przedmiotu i postaci ludzkiej ujmowanej metaforycznie.

Niekwestionowaną osobowością w krakowskiej akademii był profesor Konrad Srzednicki. Mysłowski wraz z Janem Pamulą został poproszony przez Srzednickiego o pomoc w odbijaniu *Koni świętego Marka*. *Kiedy po zrealizowaniu prośby profesora przyszedł moment zapłaty (...), bojaźliwie i nieśmiało zapytałem, czy byłoby możliwe zamiast pieniędzy otrzymać „Konie św. Marka”*. *Profesor bez wahania zgodził się na transakcję profesor – student, a ja najszczęśliwszy ze szczęśliwych*

<sup>1</sup> Sylwetkę twórczą Tadeusza Mysłowskiego przedstawiłmi piórem Lechosława Lameńskiego w „Akencie” nr 3 z 2009 r. (przyp. red.).

<sup>2</sup> Pierwszy pokaz kolekcji odbył się w 1999 r. w Konsulacie Generalnym Rzeczypospolitej Polskiej w Nowym Jorku.

<sup>3</sup> Tadeusz Mysłowski jest również właścicielem kolekcji krzesel, ikon designu XX w.



Konrad Srzednicki (1894-1993), *Konie św. Marka*, akwaforta, akwatinta, papier czerpany, 53 x 75 cm, 1963 r., sygn. i dat. oł. pod ryc. p.: Konrad Srzednicki, l.: 1963 r., kolekcja Tadeusza Mysłowskiego, fot. Piotr Maciuk

rolowałem ciepłą jeszcze grafikę spod niemieckiej prasy<sup>4</sup>. Kompozycja uważana za największe arcydzieło Srzednickiego stanowi kwintesencję poetyckiego, metaforycznego języka współlistniejącego z perfekcją warsztatową. Rolę artystycznego mentora Mysłowskiego przyjął profesor Stanisław Wójtowicz. Odslaniając przed przybyciem z Lublina arkana graficznego warsztatu, otworzył jego wrażliwość widzenia i na długie lata zaraził fascynacją drzeworytem. Po przerwie Mysłowski powróci do tej techniki i otrzyma w 2009 r. Grand Prix Międzynarodowego Triennale Grafiki w Krakowie za kompozycję *On i Ona. Odnowa*<sup>5</sup> wyobrażającą figury ludzkie będące częścią geometryczno-organicznego struktury. Nadmienimy tylko, że tuż przed wyjazdem do Paryża Mysłowski dostał od Stanisława Wójtowicza drzeworytniczą deskę z wpisaniem w kształt skrzypiec portretowym studium na awersie. Jest ona świadectwem przyjaźni krakowskiego mistrza, ale również trafną charakterystyką modela, który jawił się profesorowi jako barwny motyl fruający z kwiatka na kwiatek.

W kolekcji znajdują się dwie plansze cyklu uznawanego za jedno z najwybitniejszych dzieł sztuki polskiej i arcydzieło charakterystycznego dla szkoły krakowskiej nurtu metaforycznego. W *Rowerzyscie X* i *Rowerzyscie III* a Mieczysława Wejmana towarzyszące leżącemu mężczyźnie postaci kobiet pozostają obojętne wobec jego losu. Intelktualną refleksję artysty oscylującą wokół represyjnej rzeczywistości i osamotnienia człowieka we współczesnym świecie kontynuowali jego uczniowie, kolejni przedstawiciele krakowskiej szkoły grafiki: Stanisław Wejman, Jacek Gaj, Andrzej Pietsch.

Znakowość drzeworytów, które tak cenił Mysłowski u Wójtowicza, równie mocno pociągała go u Jerzego Panka. Jego cięte bezpośrednio na desce, syntetyczne, świadomie „prymitywne” kompozycje odwołują się często do zjawisk najprostszych, rodzimego folkloru, zwierząt wiejskich czy wreszcie charakteryzowanej z dystansem własnej twarzy. Z trudem zdobyte podczas wakacyjnego wyjazdu nad Sekwanę farby drukarskie Mysłowski postanowił podarować Pankowi,

<sup>4</sup> Notatki Tadeusza Mysłowskiego, 2015 r.

<sup>5</sup> Powiększone figury są od 2016 r. prezentowane we wnętrzu Centrum Spotkania Kultur w Lublinie.

by móc doświadczyć pracowni artysty, skąd wychodziły na pastwiska wielkich sal wystawowych całego świata chłopskie kozy<sup>6</sup>. Opuścił ją jako szczęśliwy posiadacz *Pastucha (Natan IV)* i ekslibrisów Józefa Matysioka. *Autoportret w białym kapeluszu* nabył od jednego ze znajomych Wójtowicza, spłacając grafikę w ratach ze środków stypendialnych.

W nowojorskiej pracowni, wśród fotografii mistrzów tworzących artystyczną rodzinę z wyboru wciąż wisi nadesłana z Bukowca fotografia Józefa Gielniaka<sup>7</sup>, którego twórczość wywarła na Mysłowskim ogromne wrażenie. Cykle *Sanatoriów*, *Improwizacji*, *Improwizacji dla Grażynki* noszą cechy osobistych, lirycznych wizji, w których artysta bada efemeryczną strukturę materii. Mysłowski urzeczony linorytami Gielniaka pragnie je „zdobyć za wszelką cenę”<sup>8</sup>. W odpowiedzi na swój list otrzymuje ekslibrisy Jerzego Panka, Jerzego Nowosielskiego i Wojciecha Siemiona. Późniejszą *Jesień w Bukowcu* zakupił w latach 80. od swojego przyjaciela Gerarda Jürgena Bluma-Kwiatkowskiego<sup>9</sup>.

Do kolekcji Mysłowskiego trafiły także dzieła stworzone przez członków Drugiej Grupy Krakowskiej, która po reaktywacji w 1957 r. skupiła wyraziste, dojrzałe osobowości. To monotypie Marii Jaremy i Jonasza Sterna, litografie Jana Tarasina, drzeworyt Jerzego Nowosielskiego oraz linoryty Tadeusza Brzozowskiego, Jerzego Tchórzewskiego i Janiny Kraupe-Świdorskiej. Zafascynowana filozofią Wschodu, buddyzmem zen, a także astrologią i ezoteryką artystka była również autorką horoskopów, które dwukrotnie opracowała dla swojego studenta – Tadeusza Mysłowskiego.

Punktem zwrotnym w twórczości Mysłowskiego stał się wyjazd do Nowego Jorku. Budowa miasta oparta na strukturze siatki krzyżujących się linii zmieniła wizualną percepcję rzeczywistości i zapoczątkowała poszukiwania syntezy i uniwersalizacji znaku plastycznego, który Mysłowski odnalazł w elementarnej formie malewiczowskiego krzyża oraz w przejętym od Pieta Mondriana<sup>10</sup> i Miesa van der Rohe schemacie kratownicy. Styczność z dziełami Mondriana przesądziła o ostatecznym zerwaniu z estetyzmem krakowskiej akademii i spowodowała Mysłowskiego do poszukiwania źródeł własnej sztuki w tradycji awangardy wschodnioeuropejskiej<sup>11</sup>. W 1957 r. na wystawie *Précurseurs de l'art abstrait et Pologne* w Galerie Denise René w Paryżu zaprezentowano najważniejsze dzieła artystów polskiej awangardy z Muzeum Sztuki w Łodzi, które pod koniec studiów wnikliwie analizował Mysłowski. Towarzyszący wystawie plakat autorstwa Mariana Bogusza z oryginalną litograficzną odbitką Strzemińskiego stał się symbolicznym znakiem zmiany dotychczasowego profilu zbioru, rozbudowanego pod wpływem transformowania koncepcji własnej sztuki o prace Henryka Berlewiego, Kazimierza Malewicza, Henryka Stażewskiego i Wacława Szpakowskiego. Wyjątkowe miejsce w części kolekcji poświęconej myśli konstruktywistycznej i abstrakcji geometrycznej zajmują dzieła Stażewskiego, którego Mysłowski odwiedził kilkakrotnie w jego słynnym mieszkaniu-pracowni. Podczas jednej z wizyt nestor polskiej awangardy podarował mu notatki zawierające uwagi na temat własnej sztuki<sup>12</sup>. W rękopisie związanym z pobytem w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą artysta odwołuje się do serii syntetycznych, „kreskowych” pejzaży; jeden z nich, wykonany w technice serigrafii w 1978 r., znajduje się w kolekcji Tadeusza Mysłowskiego. Do najważniejszych obiektów w jego zbiorze należy zakupiona od

<sup>6</sup> Notatki Tadeusza Mysłowskiego, 2016 r.

<sup>7</sup> O grafikach Józefa Gielniaka pisała w „Akcentie” Aleksandra Strzałkowska-Chojnacka (*Kosmiczny wymiar dmuchawców*, nr 4 z 1991 r.).

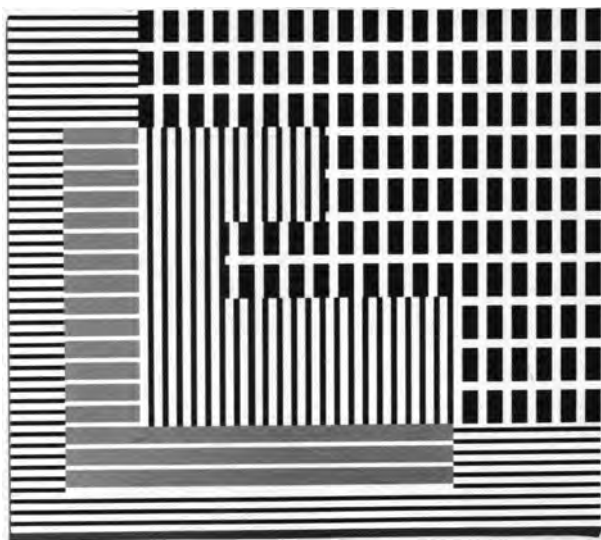
<sup>8</sup> Niedatowany list Tadeusza Mysłowskiego do Józefa Gielniaka, Muzeum Karkonoskie w Jeleniej Górze, MJG JG 691.55.

<sup>9</sup> Zob. Łukasz Marcińczak: *Poezja gimnastyczna*, „Akcent” 2015 nr 4; Anna Mazurek: *Muzeum uwolnionego słowa. O „księżdzie miasta” Gerharda Jürgena Bluma-Kwiatkowskiego*, „Akcent” 2015 nr 4 (przyp. red.).

<sup>10</sup> Dzięki przyjaźni ze spadkobiercą twórczości Mondriana Harrym Holtzmanem, który zorganizował jego przyjazd do Stanów, Mysłowski miał dostęp do pracowni holenderskiego artysty

<sup>11</sup> A. Turowski: *Między metafizyką przestrzeni a organiką. Transformacje kwadratu (w:) Tadeusz Mysłowski*, katalog wystawy, Muzeum Lubelskie w Lublinie, Lublin 2011, s. 14.

<sup>12</sup> List Tadeusza Mysłowskiego z 14.12.2016 r. do autorki. W kolekcji znajduje się 5 rękopisów Stażewskiego, 3 w języku polskim, 2 w angielskim.



Henryk Stażewski  
(1894-1988),  
*Kompozycja  
fakturowa*,  
serigrafia, papier,  
72 x 80 cm,  
1930/1977 r.,  
kolekcja Tadeusza  
Mysłowskiego, fot.  
Tadeusz Mysłowski

Zbigniewa Dłubaka<sup>13</sup> serigraficzna wersja *Kompozycji fakturowej*<sup>14</sup> Stażewskiego. Analogię między tą pracą a *Towards Organic Geometry* Mysłowskiego, wynikającą z wizualnego doświadczenia przestrzeni, stosowania zmiennych proporcji geometrycznych pól oraz rytmu powtarzalnych modułów, dostrzeżono, zestawiając oba dzieła w katalogu zorganizowanej we Francji wystawy *AVANT-GARDES POLONAISES hier et aujourd'hui*<sup>15</sup>.

Kolekcja Tadeusza Mysłowskiego, zapoczątkowana w okresie studiów, w znacznej mierze odwołuje się do idei artystycznej wymiany, która ewoluowała dzięki coraz częstszemu w latach 80. wizytom w Polsce związanym z realizacją planów wystawienniczych<sup>16</sup>. Wpłynęły one również na konkretyzację profilu zbioru rozbudowanego przede wszystkim o dzieła artystów odwołujących się do tradycji awangardy, osadzonych w nurcie sztuki abstrakcyjnej. Większość z prac jest wyrazem artystycznej wspólnoty myśli, podobnych refleksji dotykających formalnej konstrukcji dzieła czy wiary w możliwość zrozumienia i opisanie świata bez odwoływania się do mimetycznej funkcji sztuki. Aspekt wizualny dużej części prac wynika z przyjętej metody badawczej i obiektywizacji procesu twórczego. Są wśród nich odwołujące się do matematycznej interpretacji rzeczywistości kompozycje Ryszarda Winiarskiego, wykorzystującego w swoich drukach mechanizmy losowe Jana Pamuły, wczesna grafika Romana Opalki, w której artysta podobnie jak w obrazach liczonych posługuje się zbliżonym systemem zapisu. Do zagadnienia przestrzeni traktowanej jako autonomiczna idea dzieła sztuki odnoszą się m.in. Jan Berdyszak, Wojciech Krzywobłocki, Julian H. Raczko. Działania zmierzające do wywołania iluzji wzrokowej podejmują dwaj czołowi twórcy op-artu Richard Anuszkiewicz i Julian Stańczak, którzy kontynuowali studia na Wydziale Sztuki Uniwersytetu Yale w New Haven pod okiem klasyka abstrakcji geometrycznej Josefa Albersa.

Osobne miejsce w kolekcji należy do jednego z łódzkich uczniów i asystentów Strzezińskiego – Stanisława Fijałkowskiego. Ograniczoną do czerni i bieli, wykorzystującą zestaw elementarnych znaków grafikę Fijałkowskiego trafnie charakteryzuje Irena Jakimowicz jako obszar, w którym *spotykają się różne przeciwstawne siły – racjonalizm współlistnieje z intuicją, geometria ze zmysłowo-*

<sup>13</sup> Niedatowane notatki Tadeusza Mysłowskiego.

<sup>14</sup> *Kompozycja fakturowa*, ok. 1930-1931 r., olej, płótno, Muzeum Sztuki w Łodzi, MS/SN/M/40.

<sup>15</sup> *AVANT-GARDES POLONAISES hier et aujourd'hui*, katalog wystawy, Espace de l'art concret, Mouans-Sartoux, 31.10.2004-2.01.2005, s. 15. Na wystawie zaprezentowano prace K. Hillera, K. Kobro, T. Peipera, J. Przybosa, H. Stażewskiego, W. Strzezińskiego, W. Szpakowskiego, S. Drózdza, J. Flicińskiego, T. Mysłowskiego, R. Opalki.

<sup>16</sup> Ważną rolę w popularyzowaniu twórczości Tadeusza Mysłowskiego w Polsce odegrały wystawy organizowane przez Dorotę Folgę-Januszewską w Muzeum Narodowym w Warszawie i Krakowie oraz Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku.

ścią form organicznych, fizyczność z duchowością, (...) a wszystko to dzieje się na skrzyżowaniu rzeczywistości, myśli, symboli i zmienności zewnętrznego pejzażu<sup>17</sup>.

Serigrafia Gerarda Jürgena Bluma-Kwiatkowskiego, odwołująca się do koegzystencji dwóch idealnych figur geometrycznych: kwadratu i koła, to niejako manifest duchowego pokrewieństwa i bliskości poszukiwań obu artystów, których połączyła wieloletnia przyjaźń. W centrum poezji konkretnej – Hünfeld – Mysłowski włącza się w realizowany przez Bluma projekt *Otwartej książki*, anektujący przestrzeń miasta dla poezji wizualnej. W skład kolekcji wchodzi także prace najwybitniejszego polskiego konkretysty Stanisława Dróżdża odwołujące się do tekstów złożonych z szeregów cyfr naturalnych i znaków arytmetycznych, poddanych zasadzie przybywania wartości liczbowych.

Rodzajem artystycznej mapy, źródłem wiedzy i śladem drogi, jaką przebyła powojenna polska awangarda w dążeniu do autonomizacji dzieła sztuki, stała się dla Mysłowskiego teka *Konfrontacje*<sup>18</sup>, zawierająca katalogi cyklicznie organizowanych przez warszawską Galerię Krzywe Koło wystaw artystów awangardy.

Kolekcja Tadeusza Mysłowskiego ukazuje grafikę w szerokiej perspektywie czasowej, uwzględniając jej dynamiczne przemiany – najstarsze prace pochodzą z pierwszej ćwierci XX wieku, najnowsze to druki cyfrowe z 2014 r. Unaocznia różnorodność eksperymentów warsztatowych i pozwala obserwować grafikę nie tylko w kontekście transformacji samych procesów technicznych, ale również postaw i tendencji stylistycznych.

Jednym z obiektów otwierających lubelską prezentację będzie *Target* Jaspiera Johnsa, który jest pewnego rodzaju zaproszeniem do uczestnictwa w akcie twórczym. Mysłowski podejmuje dialog z dziełem Johnsa poprzez własną interwencję, wpisując w tarczę ikoniczną kratownicę ze znakiem krzyża. Udostępnienie kolekcji staje się analogicznym aktem – jest propozycją poszukiwania własnych sensów związaną z tworzeniem nowych narracji, których kolekcjoner nie chce zawłaszczać wyłącznie dla siebie.

Anna Halata

<sup>17</sup> I. Jakimowicz: *Pięć wieków grafiki polskiej*. Warszawa 1997, s. 251.

<sup>18</sup> *Teka Konfrontacje 1960. Malarstwo, rzeźba*. Galeria „krzywe koło”. Red. A. Wojciechowski. Warszawa 1960. Na tekę złożyły się katalogi wystaw M. Bogusza, T. Brzozowskiego, T. Dominika, S. Gierowskiego, B. Kierzkowskiego, J. Nowosielskiego, A. Szapocznikow, A. Ślesieńskiej, J. Tarasina, J. Tchórzewskiego, M. Więcek, R. Ziemińskiego.



Pracownia Tadeusza Mysłowskiego, Long Island City, Nowy Jork,  
fot. Tadeusz Mysłowski

# teatr

ALEKSANDRA PUCUŁEK

## „Lublin to ważne miejsce...”

### O drodze artystycznej Janusza Józefowicza

Jego debiutancki musical – uznawany za kultowy – do tej pory wystawiono już prawie dwa tysiące razy. Niedawno stworzył pierwszy na świecie spektakl muzyczny zrealizowany w technologii 3D. Jest choreografem, reżyserem i aktorem. Zanim jednak Janusz Józefowicz stał się wybitnym artystą, uczył się i mieszkał w Lublinie. To tutaj po raz pierwszy występował na scenie i tutaj – jak wspomina – podjął ważniejsze decyzje w życiu.

Lublin lat 70. nie różni się wiele od innych ówczesnych miast we wschodniej Polsce. Powstają tu kolejne osiedla, szare bloki z betonowej płyty, są pochody pierwszomajowe, a w sklepach, jak zawsze – kolejki. W budynku przy placu Wolności 4 od niedawna, dokładnie od 1966 roku, mieści się III Liceum Ogólnokształcące im. Unii Lubelskiej. Dobra szkoła z tradycjami – wspominają po latach uczniowie i nauczyciele. Powstała 7 października 1921 roku jako Państwowe Gimnazjum Żeńskie w Lublinie. Imię unii lubelskiej nadano jej prawdopodobnie w roku szkolnym 1922/1923 z inicjatywy Zofii Kwapiszewskiej, nauczycielki rysunków. Wraz z wybuchem II wojny światowej na mocy rozporządzenia władz niemieckich placówka formalnie przestała istnieć. Nauka odbywała się jednak na tajnych kompletach. Jawne lekcje wznowiono dopiero we wrześniu 1944 roku<sup>1</sup>. Po wielokrotnych zmianach siedziby szkoła w końcu znalazła się w samym centrum Lublina. Dziś III LO może się pochwalić wieloma znanymi wychowankami. Wśród nich są m.in. poetki Anna Kamieńska i Julia Hartwig, aktorka Bożena Adamek, pisarz Marcin Świetlicki, aktor i reżyser Jerzy Klesyk. W tej właśnie szkole naukę w 1974 roku rozpoczął Janusz Józefowicz.

Późniejszy artysta uczył się w klasie matematyczno-fizycznej (co ciekawe – jak większość słynnych absolwentów „Unii”). Jego wychowawczynią była nauczycielka fizyki Teresa Goworek. Józefowicz najbardziej interesował jednak język polski. Był ulubieńcem polonistki. Literatury i gramatyki uczyła go Anna Suszyna, wtedy świeżo upieczona magister filologii polskiej, później – dyrektorka szkoły w latach 1990-2010. Zapamiętała Janusza jako aktywnego, rezolutnego ucznia, który na lekcjach włączał się do każdej dyskusji. Zawsze miał coś do powiedzenia. Postawił na myślenie, improwizację.

– *Pracy chyba niewiele wkładał w naukę, ale ponieważ był inteligentny, to nie miał większych problemów w szkole* – wspomina Anna Suszyna. Dzisiaj nauczyciele określiliby go jako „zdolnego, ale leniwego”.

<sup>1</sup> Zob. *Historia szkoły*. [http://www.3lo.lublin.pl/Historia\\_szkoly,pl,site,73,0,73.html](http://www.3lo.lublin.pl/Historia_szkoly,pl,site,73,0,73.html) (27.09.2016).



## Było ich pięciu

W klasie go bardzo lubiano, miał duże poczucie humoru i wielu kolegów, ale najczęściej trzymał się z jedną grupą. Było ich pięciu: Krzysztof Zybura, obecnie emerytowany komendant Straży Pożarnej w Lublinie; Andrzej Kubicz, teraz notariusz; Zenon Dechnik, inżynier; Henryk Szyjdkuk i Cezary Morawski. Od pierwszej klasy trzymali się razem.

– *Śmieję się, że Józef, bo tak go nazywaliśmy, nieszczęśliwie dla siebie zaprzyjaźnił się właśnie z nami* – stwierdza Krzysztof Zybura. Z podstawówek cała grupa wyszła jako piątkowci uczniowie. W liceum z klasówek, kiedy trzeba było wykazać się wiedzą, dostawali czwórki, czasem piątki, potem jednak były dwójki za brak pracy domowej, wagary... i na koniec roku szkolnego na świadectwach mieli trójki. Grupa była lubiana przez nauczycieli, chociaż nieraz nastolatki dawali im się we znaki.

– *Pani Ania Suszyna miała zawsze stały zestaw pytań. Kiedyś wyrwała Józefa do odpowiedzi i spytała go o impresjonistów w muzyce francuskiej. Skoro graliśmy w tenisa cały poprzedni dzień, to wiadomo było, że nie wiedział. Klasa podpowiada: Claude Debussy, Janusz nie do końca usłyszał, ale pewny siebie mówi: „Collins, nie trafiłem, prawda?”.* Takie obce nazwisko przyszło mu do głowy. Była taka zasada, że jak sam nie wiedziałeś, to trzeba było przedłużać, żeby kolejni już nie byli pytani. Innym razem, na biologii, patrz – Janusz taki skulony. Pytam, co się dzieje, a on z nitki i zapalki zrobił sobie wędkę i w akwarium łowił rybki. Różne dziwne rzeczy robiliśmy, ale to był taki wiek – opowiada Krzysztof Zybura.

Jak nietrudno się domyślić, grupa chłopców z klasy matematyczno-fizycznej w szkole wiele czasu nie spędzała. Jeden z nich, Cezary, był mistrzem świata juniorów w tenisa ziemnego, więc na wagary chodzili głównie na korty tenisowe Wojewódzkiego Ośrodka Sportu, Turystyki i Wypoczynku w Lublinie przy Alejach Zygmuntońskich. Potem przychodzili grać też na miasteczko akademickie. Jeździli jeszcze nad Zalew Zemborzycki albo chodzili do Muszli Koncertowej w Ogrodzie Saskim. Później Józefowicz występował w tym miejscu z zespołem.

– *Pamiętam, jak nasza wychowawczyni mówiła, że jeśli będę miał więcej niż 100 godzin nieusprawiedliwionych, to nie dopuszczą mnie do matury. Miałem więcej, ale w końcu mi je jakoś darowała i maturę pisałem* – opowiada artysta. We wspomnieniach pojawia się także LSM – tam mieszkała jego ówczesna miłość. No i była jeszcze „Masza” – obecnie już nieistniejąca kawiarnia przy ul. Narutowicza. Można tam było wypić kawę, sok, usiąść w wygodnych sofach. W dodatku blisko do szkoły. Na polski jednak Józefowicz zazwyczaj przychodził.

– *Ale nieustannie spóźniał się na moje lekcje. Miałam zajęcia w jego klasie od 7.30 i po 10, 15 minutach zawsze było słycać puk, puk – wchodzi Józefowicz i mówi: „Ja bardzo przepraszam, ale wychowawca w bursie znowu zaspał”.* Rozbrajające to było niezwykle, bo mówił to za każdym razem – wspomina Anna Suszyna. W Lublinie obecny dyrektor Studia Buffo mieszkał w bursie przy Alejach Racławickich. Budynek zamykany był o godzinie 22. Pokój Józefowicza znajdował się na drugim piętrze. Kiedy Janusz się spóźnił, bo był gdzieś z kolegami, wchodził po rynnicy. Podobnie robili jego przyjaciele w czasie nocnych odwiedzin. W końcu rynna się urwała. Potem Józefowicz wyprowadził się z bursy i wynajął pokój na Kalinowszczyźnie.

– *Dlatego też Lublin jest tak ważny. Bo wtedy pierwszy raz „wyszedłem z domu”, od rodziców. Musiałem sam sobie tutaj radzić. Taka pierwsza wyprowadzka to bardzo istotny moment w życiu* – stwierdza Józefowicz nie pochodził z Lublina, jego rodzice mieszkali w Borzechowie, dlatego musiał wynająć stancję.

– *Zapamiętałam go jako ucznia, który barwnie i żywo opowiadał o wsi. Szczególnie przy omawianiu „Chłopów” zgłaszał się i mówił: „a u nas na*



Janusz Józefowicz pierwszy z prawej. Fot. archiwum

wsia to...”, więc byłam przekonana, że wychował się na wsi, i jego rodzice też. A potem dowiedziałam się, że jego mama jest dyrektorką szkoły, a tata kierownikiem ośrodka zdrowia – opowiada Anna Suszyńska.

### Spektakle w czasie żniw

Borzechów to niewielka wieś położona 30 km na zachód od Lublina. Długie pagórki pokryte szachownicą pól. Malowniczy obrazek, charakterystyczny dla tej części Lubelszczyzny. To tu w 1973 roku wraz z całą rodziną przyjeżdża jako nastolatek Janusz Józefowicz. Jego mama Władysława Kondracka-Józefowicz, polonistka i pedagog (ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu i Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Gdańsku), od lutego 1973 roku obejmuje posadę dyrektorki Szkół Gminnych w Borzechowie (obecnie jest tu Publiczna Szkoła Podstawowa im. Kazimierza Rasławskiego). Mama Janusza wcześniej pracowała w szkole podstawowej na Dolnym Śląsku w Górczycy i w Świeciu (obecnie województwo kujawsko-pomorskie) nad Wisłą. To tu, w przemysłowym mieście na Pojezierzu Pomorskim, urodził się i przez kilka lat wychowywał Janusz Józefowicz. W latach 60. i 70. Świecie zaczęło się dynamicznie rozwijać za sprawą nowo otwartych zakładów celulozy i papieru. Dziś jest jednym z czołowych ośrodków gospodarczych na Pomorzu – tu zlokalizowane są największe zakłady branży papierniczej w Polsce i jedne z największych w Europie.

W 1972 roku Józefowiczowie przyjeżdżają na Lubelszczyznę z poleceniem pracy. Najpierw Władysława Kondracka-Józefowicz przez rok uczy polskiego w Wierzchowiskach (kilka kilometrów od Borzechowa), potem zostaje dyrektorką Szkół Gminnych w Borzechowie, przemianowanych wkrótce na Zbiorczą Szkołę Gminną – uczęszczały tam dzieci m.in. z Kłodnicy, Dąbrowy i właśnie z Wierzchowisk.

Jest już po reformie wprowadzającej ośmioletni cykl nauczania, niespełna dziesięć lat wcześniej w Borzechowie oddano do użytku nowy budynek szkoły. Janusz razem z bratem kończą tu ósmą klasę. Ich ojciec jest kierownikiem ośrodka zdrowia. Rodzina Józefowiczów mieszka w budynku szkoły w lokalu dla pracowników.

– Miałem chyba 13 lat, jak tu przyjechaliśmy, nikogo tu nie znałem, siedziałem więc w książkach. Wiosną, jak przyszły roztopy, trudno było tutaj cokolwiek dojechać. To była prawdziwa wieś i byłem nią naprawdę

zafascynowany – wspomina Józefowicz. W wakacje nastoletni Janusz zorganizował w Borzechowie Nieobozową Akcję Letnią. Podczas żniw zbierał dzieci rolników i prowadził coś na wzór świetlicy. Przygotowywał występy taneczno-wokalne, spektakle, a po żniwach pokazywano je rodzicom. Dzięki tym akcjom długo utrzymywał, że będzie wiejskim nauczycielem. Chciał iść w ślady mamy.

– *Ta Nieobozowa Akcja Letnia bardzo mi się potem przydała. Kompletowanie obsady do „Metro” wyglądało trochę podobnie. Do tej pory dużo pracuję z młodzieżą; to, co robimy w teatrze, to wciąż jest taka nieformalna szkoła – stwierdza.*

Przygotowując *Metro*, reżyser i aktor przez rok szukał wykonawców. Przesłuchania odbywały się w Polsce i państwach sąsiednich. Liczyły się tylko umiejętności pokazywane na scenie przed autorami spektaklu, nie CV. Wśród kandydatów byli: absolwent weterynarii, przedszkolanka, optyk, mechanik. Józefowicz od podstaw wykształcił musicalowy zespół, w którym śpiewali m.in.: Edyta Górniak, Katarzyna Groniec czy Robert Janowski. Potem w Studio Buffo stworzył studio artystyczne „Metro”, gdzie dzieci i młodzież miały możliwość uczenia się m.in. tańca klasycznego, śpiewu, stepowania czy akrobatyki. Józefowicz prowadził również zajęcia choreograficzne w Berlinie, wykładał na berlińskiej Kunst-Forum. W latach 1999-2000 był wykładowcą w warszawskiej Akademii Teatralnej.

### „Zaśpiewam piosneczkę”

W latach 70. młodzi ludzie zasłuchiwali się w muzyce zagranicznych zespołów takich jak Deep Purple, Queen i Boney M. W Polsce triumfy popularności święcili Czesław Niemen, Urszula Sipińska, Anna Jantar. A we Wrocławiu w drugiej połowie lat 70. powstał Przegląd Piosenki Aktorskiej, który miał być przeciwagą dla tandetnej, propagandowej gierkowskiej rozrywki. To właśnie na XIX Przeglądzie Piosenki Aktorskiej w 1998 roku w dowód uznania za dokonania w dziedzinie teatru muzycznego Janusz Józefowicz otrzymał Dyplom Mistrzowski przyznany przez kapitułę nagrody im. Aleksandra Bardiniego. Spektakle muzyczne stanowiły już wtedy, także dzięki Józefowiczowi, ważną część repertuaru polskich teatrów. Były gatunkiem rozwojowym, wykorzystującym – zarówno w warstwie muzycznej, jak i słownej – elementy różnych historycznych stylistyk. Wchłaniały także aktualne zjawiska kulturowe, społeczne i muzyczne, o czym bardzo dobrze wiedział Józefowicz i czego *Metro* jest najlepszym przykładem. W owej historii grupy młodych ludzi, szukających szczęścia w życiu i możliwości spełnienia marzeń, odbijają się losy całego pokolenia. Nie da się w tym nie zauważyć podobieństwa do początków kariery samego Janusza Józefowicza.

Zanim dyrektor Studia Buffo doszedł do perfekcji w swoich muzycznych dziełach, jego pierwsze występy oklaskiwano w lubelskiej szkole. W liceum razem z grupą najbliższych kolegów założył zespół muzyczny. Józefowicz brał lekcje gry na akordeonie jeszcze w podstawówce, w ognisku muzycznym nauczył się grać na gitarze. Pozostali grali na gitarze, keyboardzie i śpiewali. Ćwiczyli w szkolnej świetlicy. Chętnie brali udział w akademiach. Czasem dołączała do nich Beata Kozidrak – uczyła się w klasie o rok niżej.

– *„No to ja zaśpiewam piosneczkę”. Zawsze tak Janusz odpowiadał, gdy proponowałam jego klasie udział w jakiejś akademii. On wtedy wstawał i bez względu na to, jaka to była uroczystość, mówił, że zaśpiewa piosneczkę – zauważa Anna Suszyna. Nastolatkiem przygotowawali przedstawienia na Dzień Kobiet, na święta narodowe, z gitarami jeździli na wycieczki szkolne. Janusz Józefowicz głównie wtedy śpiewał, czasem grał na gitarze. Gwoździem programu było zawsze *Tornero*.*

– *Józef spisał kiedyś tekst piosenki, oczywiście fonetycznie, i wszyscy to śpiewali, nie wiedząc o czym – wyjaśnia Krzysztof Zybura. Pokazy zawsze*

kończyły się aplauzem. Anna Suszyna zapamiętała Józefowicza śpiewającego i grającego w niewielkiej świetlicy szkolnej.

– *Widać było, że takie występy sprawiały mu przyjemność. Tu były jego początki jako artysty* – stwierdza dawna dyrektorka „Unii”. W zespole Józefowicz nie był liderem, dowodził tam inny Janusz (obecnie lekarz), który bardzo odpowiedzialnie podchodził do prób, w przeciwieństwie do swych kolegów.

– *Powtarzał, że musimy ćwiczyć, żeby to jakoś wyszło, bo obiecaliśmy występ, a Józek: „Znacie to?”. I zaczyna grać melodię z „Bolka i Lolka”* – wspomina Krzysztof Zybura. Według niego dopiero w drugim zespole Józefowicza wyszły na jaw jego zdolności organizatorskie, wodzowskie, o których w późniejszych latach jego kariery wiele w mediach mówiono, niekoniecznie pozytywnie. Trudno jednak bez takich umiejętności myśleć o realizacji szalonego pomysłu, jakim było wtedy założenie własnego teatru i wystawienie prywatnego musicalu. A Józefowiczowi te plany udało się zrealizować.

Początkowo próby do *Metra* odbywały się w Teatrze Dramatycznym w Warszawie. W związku z innymi przedstawieniami tancerze i aktorzy wybrani przez młodego reżysera mieli do dyspozycji salę jedynie w nocy, tuż przed premierą zespół praktycznie nie wychodził z teatru. Józefowicz był wymagający, od artystów oczekiwał umiejętności nie tylko aktorskich, ale też wokalnych i tanecznych. Jak wspominają jego koledzy, od siebie wymagał równie dużo. Po jakimś czasie dyrekcja odmówiła jednak wystawiania kolejnych jego przedstawień, więc reżyser i choreograf przeniósł *Metro* do Teatru Buffo. Scena była tu o wiele mniejsza, zabrakło miejsca na orkiestrę akompaniującą na żywo, należało zmniejszyć liczbę aktorów, okroić scenografię. Niewiele osób wierzyło, że to się uda. Mimo to spektakl wystawiono i tak grany jest tam do dzisiaj.

– *Józef naprawdę ciężko pracował, miał czas wyliczony co do minuty, do tego stopnia, że np. o 8.37 musiał być w Gdańsku w teatrze, potem o 12.20 wsiadał w samolot do Berlina, następnego dnia już wracał do Warszawy i miał kolejne próby. Tak funkcjonował kilkanaście lat* – wylicza Krzysztof Zybura.

A gdzie powstała druga kapela Józefowicza w czasów szkolnych? Późniejszy dyrektor Studia Buffo założył zespół w bursie, w której mieszkał. Zebrał pięć, sześć osób, ale liderem był on. Zafascynowała go wtedy perkusja. Przez kilka



Podczas próby do *Metra* (rok 1990). Fot. Wojciech Glinka



Klasa IVa z 1978 roku po 25 latach (Janusz Józefowicz szósty od lewej w górnym rzędzie). Fot. z archiwum Anny Suszyny

miesiące siedział popołudniami i wytrwale uczył się grać na tym instrumencie. Doszedł do poziomu profesjonalisty.

– Najgorsze było to, że do pracowni muzycznej w bursie miałem dostęp na okrągło. Brałem sobie klucze do niej i często wybierałem siedzenie przy perkusji zamiast chodzenie do szkoły. Zamykałem się tam i waliłem w te bębny – opowiada Janusz Józefowicz. Później na koncerty sprzęt muzyczny pożyczał jeszcze od Zespołu Szkół Chemicznych. Razem z kolegami z bursy występowali na weselach, miejskich imprezach i wiejskich zabawach pod Lublinem. W zależności od potrzeby Józefowicz grał na gitarze, perkusji, śpiewał.

– Dzięki temu zaczęliśmy zarabiać, i to całkiem dobrze jak na tamte czasy. Zapraszałem wtedy dziewczyny do Horteksu na rogu Lipowej i Racławickich na galaretkę z bitą śmietaną i bakaliami. Dzięki występom było mnie na to stać – wspomina Józefowicz.

## Nagroda Koziółka

Teatr Wizji i Ruchu Jerzego Leszczyńskiego powstał w 1969 roku. Najpierw swoją siedzibę miał w puławskim Domu Kultury, a potem w Lublinie. Jerzy Leszczyński, bazując na pantomimie klasycznej, wzbogacił ją o doświadczenia japońskiego teatru nō i hinduskiego kathakali. Artyści ćwiczyli też balet, modern dance czy akrobatykę. Dla grupy Leszczyńskiego muzykę komponowali: Józef Skrzek, Czesław Niemen czy Romuald Lipko z Budki Suflera (w 1982 roku na dziedzińcu zamku lubelskiego zaprezentowano spektakl *Burza* przy akompaniamencie tego właśnie zespołu). Z czasem, jak pisano, działalność Leszczyńskiego stała się jednym z najciekawszych zjawisk w zakresie teatru eksperymentalnego, teatru, w którym podstawowym środkiem wyrazu jest ludzkie ciało<sup>2</sup>.

Kiedy Leszczyński przeniósł się z Puław do Lublina, Józefowicz na chwilę porzucił muzykę i zapisał się do jego grupy. W zespole spędził dwa, trzy miesiące. Częste wyjazdy kolidowały ze szkołą i w końcu musiał zrezygnować.

– Pamiętam, jak kiedyś oświadczył mi, że on to chyba rzuca szkołę, bo chce poświęcić się tańcowi. Chodził właśnie wtedy do zespołu Jerzego Leszczyńskiego. Mocno przejęłam się tym, co powiedział. Rozmawiałam nawet z jego wychowawczynią, że może trzeba poinformować o tym rodziców Józefowicza, ale na szczęście szybko mu przeszło – mówi Anna Suszyna. Po tym, jak przy-

<sup>2</sup> Teatr Wizji i Ruchu. Oprac. J. Rutkowska. [http://teatrnn.pl/leksykon/node/2394/teatr\\_wizji\\_i\\_ruchu](http://teatrnn.pl/leksykon/node/2394/teatr_wizji_i_ruchu) (27.09.2016).

szy aktor i reżyser odszedł z grupy Leszczyńskiego, zapisał się do zespołu ludowego, a następnie do szkoły tańca towarzyskiego. Szybko zaczął tańczyć podczas turniejów. Na zajęciach tancerzom akompaniował Jerzy Słota, późniejszy członek grupy Vox.

– Pamiętam, że kiedy zdobyliśmy z Danusią Bachanowicz, moją partnerką, 2. czy 3. miejsce w konkursie tańca towarzyskiego o nagrodę Koziółka, pierwszy raz napisano o mnie w gazecie, w „Kurierze Lubelskim”. To był taki krótki wycinek, ale byłem z tego bardzo dumny – wspomina Józefowicz. Taniec towarzyski go pochłoniął. Wolny czas spędzał co prawda z kolegami, ale z wyjątkiem godzin, które przeznaczal na treningi i turnieje.

– On nawet mówił: „Cezary ma tenis, Zenek gimnastykę, ty też masz sport, a ja mam taniec”. Nie wstydził się mówić, że tańczy, to raczej my w pewnym sensie wstydziliśmy się, że nie robimy czegoś tak oryginalnego – tłumaczy Krzysztof Zybura. Razem ze swoją partnerką Józefowicz nieraz występował w szkole. W czasie studniówki oprócz programu kabaretowego i oczywiście Tornero dał krótki pokaz tańca towarzyskiego. To była jedna z jego pierwszych choreografii. Potem, już jako znany choreograf, stworzył oprawę taneczną do wielu spektakli, m.in. do polskich inscenizacji musicali *Piotruś Pan*, *Romeo i Julia*, a także do sztuk *Halka*, *Krakowiaczy* i *górale* oraz do opery Rogera Watersa *Ça Ira*.

## W kinie Kosmos

Rok 1978. W nieistniejącym już dziś kinie Kosmos grają musical *Hair*. A klasa matematyczno-fizyczna z „Unii” uczy się do matury.

– Wszyscy wiedzieli, co chcą dalej robić, ten idzie na prawo, ten na medycynę, a ja nie miałem bladego pojęcia – wspomina artysta. W końcu postanowił zdawać do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. Nieprzygotowany, na wariackich papierach, w pociągu uczył się jeszcze wiersza Władysława Broniewskiego i fragmentu *Ogniem i mieczem*. Na egzaminy kupił sobie nowy elegancki długopis i schował go w klapie marynarki. Atrament rozlał się, na koszuli została ogromna, fioletowa plama. Komisja wtedy szybko młodemu adeptowi podziękowała.

– Przypisaliśmy sobie tę zasługę, bo wybraliśmy mu marynarkę w taką pitkę. Śmiało się, że za prezentację nie zdał – opowiada Krzysztof Zybura.



W lenonkach, podczas wykonywania piosenki *All You Need Is Love* zespołu The Beatles. Koncert „Przebojowa noc – wieczór brytyjski” z 13 października 2007 roku.  
Fot. Daniel Michałkiewicz

Jeden z przyjaciół Józefowicza zdawał na prawo na Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, więc po nieudanym egzaminie na aktorstwo Józefowicz również postanowił spróbować. Egzamin zdał, ale z powodu zbyt małej liczby punktów ostatecznie nie został przyjęty (wtedy doliczano też punkty za pochodzenie). Jak teraz mówi: na szczęście.

– *Widać było, że szukał czegoś dla siebie. Prawo to było takie koło ratunkowe, żeby coś tam robić. Już wtedy czuł, że to nie jest to, więc to nie była dla niego krzywda. Nieraz mówił, że może być nauczycielem w Bieszczadach i uczyć dzieci. Myślę, że w tym mógłby się lepiej sprawdzić niż na prawie. Ale on czuł klimaty artystyczne* – stwierdza Krzysztof Zybur.

Kino Kosmos przy ulicy Leszczyńskiego przez lata było najbardziej popularnym i nowoczesnym kinem na Lubelszczyźnie. Jak już wspomnieliśmy, w 1978 roku grano tu m.in. musical *Hair* Miloša Formana.

– *Obejrzałem ten film, wyszedłem z kina, usiadłem na ławce w parku, oszołomiony kompletnie tym, co zobaczyłem, a potem poszedłem zobaczyć film jeszcze raz. Wtedy naprawdę zrozumiałem, co chcę robić w życiu. To było jakieś objawienie. Dla mnie to jedno z ważniejszych miejsc w Lublinie. Do tej pory wspominam ten moment* – opowiada Józefowicz. Jak się okazało, w tym samym roku w Koszęcinie na Śląsku pracownicy Telewizji Polskiej postanowili otworzyć dwuletnie studium taneczno-wokalne. Wymarzona kadra nauczycielska, autorytety z całej Polski. Pojawiło się krótkie ogłoszenie w gazecie. O jedno miejsce walczyło kilkadziesiąt osób. Józefowicz pojechał tam od razu, gdy tylko się dowiedział o takiej szkole. I dostał się. Do dziś uważa, że owo studium powstało jakby specjalnie dla niego, wcześniej w Polsce niczego takiego nie było. Tam mógł nauczyć się zupełnie nowych rzeczy. Były stepowanie, taniec klasyczny, śpiew, jazda konna.

– *Odwiedziliśmy go parę razy na Śląsku, widać było, że stał się tam gwiazdą szkoły* – wspomina Zybur.

## Powroty po latach

Gmach Domu Kultury Kolejarza przy ul. Kunickiego. To tu po latach wraca Janusz Józefowicz, absolwent nie tylko studium taneczno-wokalnego w Koszęcinie, ale też student Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. W Lublinie prezentuje swój spektakl dyplomowy *Złe zachowanie*, oparty na piosenkach legendy jazzu Thomasa Fatsa Wellera. 12 aktorów na scenie bez dekoracji, piosenki przeplatane skeczami i wierszami, żadnych efektów specjalnych. Studenci szkoły teatralnej pod kierunkiem Andrzeja Strzeleckiego po prostu tańczą, stepują i śpiewają. Publiczność i krytyka oszalała na punkcie przedstawienia. Jak później mówiono, spektakl Strzeleckiego, w którym grał Józefowicz, stał się prawdziwym przełomem w polskiej kulturze, pokoleniowym manifestem.

– *Oglądałem ten spektakl w Domu Kultury Kolejarza. Rzeczywiście był genialny. Potem rozmawialiśmy z Januszem i wspominaliśmy: „Pamiętasz, jak przychodziliśmy tutaj na koncerty ze szkoły? Marzyliśmy, że może kiedyś tu wystąpimy z naszym zespołem”. I Januszowi się udało* – mówi Krzysztof Zybur. Musical uznano za wydarzenie artystyczne roku. *Złe zachowanie* zyskało ogromną sławę, grane było w całej Polsce, w kilku krajach Europy oraz w Stanach Zjednoczonych. Większość aktorów występujących w spektaklu weszła potem w skład zespołu nowo powstałego Teatru Rampa, w którym Józefowicz został głównym choreografem.

Kiedy Janusz Józefowicz ukończył studium taneczno-wokalne na Śląsku, a potem szkołę aktorską w Warszawie, jego kariera potoczyła się w błyskawicznym tempie. Za rolę w przedstawieniu *Widok z mostu* na III Ogólnopolskim Przeglądzie Spektakli Dyplomowych Szkół Teatralnych w Łodzi artysta dostał nagrodę indywidualną. Od rządu amerykańskiego otrzymał także stypendium na staż dla choreografów z całego świata. Kiedy wrócił, założył



95-lecie III Liceum Ogólnokształcącego im. Unii Lubelskiej w Lublinie,  
2016 rok. Fot. z archiwum szkoły

własny teatr Studio Buffo. I przyszedł czas na realizację dawno zamierzonych planów. W 1991 roku powstało *Metro*, pierwszy polski musical wystawiony w Minskoff Theatre na Broadwayu i nominowany do broadwayowskiej Tony Award w kategorii najlepsza partytura teatralna. Józefowicz pracował w Berlinie, Nowym Yorku, Wiedniu, Tel Awiwie i Moskwie. Właśnie w Rosji w 2001 roku otrzymał Złotą Maskę dla najlepszego reżysera we wszystkich rodzajach sztuki teatralnej, a rosyjską wersję *Metra* uznano za najlepszy musical 2000 roku. Niedawno wraz z aktorami Studia Buffo przygotował *Politę* – pierwszy na świecie musical w 3D<sup>3</sup>. Zanim jednak przyszła sława, kariera, do Warszawy, gdzie teraz pracuje, Janusz Józefowicz przyjechał z Lublina.

– *Lublin to ważne miejsce, bo ten moment życia był ważny. To był moment dorastania, wchodzenia w ten wiek późnonastoletni i dorosły, moment decyzji. Tu wszystko się kształtowało. Te lata wspominam bardzo dobrze* – opowiada artysta.

We wrześniu 2016 roku Liceum Ogólnokształcące im. Unii Lubelskiej obchodziło 95-lecie istnienia. Okazji do wspomnień i rozmów zaczynających się od „a pamiętasz, jak...” nie brakowało. Zebrała się też klasa matematyczno-fizyczna – maturzyści z rocznika 1978. Janusz Józefowicz dzień później na deskach sali operowej Centrum Spotkania Kultur wystawiał wspomnianą *Politę*, więc większość jubileuszu spędził na próbach. Ale ze swoją klasą spotkał się już jakiś czas wcześniej. W 1998 roku hucznie obchodzili 20-lecie matury. Janusz przyjechał wtedy późno w nocy prosto ze spektaklu.

– *Bardzo chętnie wracam do Lublina, ale jak przyjechałem na rocznicę matury, to byłem przerażony. Byłem przekonany, że mamy 10-lecie, a tu w pewnym momencie zabawy towarzystwo uświadomiło mi, że minęło już 20 lat od matury. To był jakiś szok, że to już jest tyle lat. Bawiliśmy się do rana* – wspomina Janusz Józefowicz. Na koniec zabawy dawni uczniowie klasy matematyczno-fizycznej nad napisem „III LO im. Unii Lubelskiej” na budynku szkoły czerwoną pomadką pożyczoną od jednej z koleżanek napisali: „Anna Suszyna I love you”, i dodali swoje imiona i nazwiska. Następnego dnia Krzysztof Zybura miał przyjechać i to zmyć, tymczasem pomadka tak weszła w tynk, że napis było widać przez kilka lat, dopóki nie wyblakł.

– *Między innymi podpisał się Józefowicz. To był chyba najbardziej intrygujący autograf, jaki napisał kiedykolwiek* – stwierdza Anna Suszyna.

Aleksandra Puculek

<sup>3</sup> Zob. <http://studiobuffo.com.pl/artysta/view/4/JANUSZ-JOZEFOWICZ> (27.09.2016).



# socjologia

GRZEGORZ J. KACZYŃSKI

## U źródeł nowej socjologii, czyli Luigi Sturzo na tle epoki

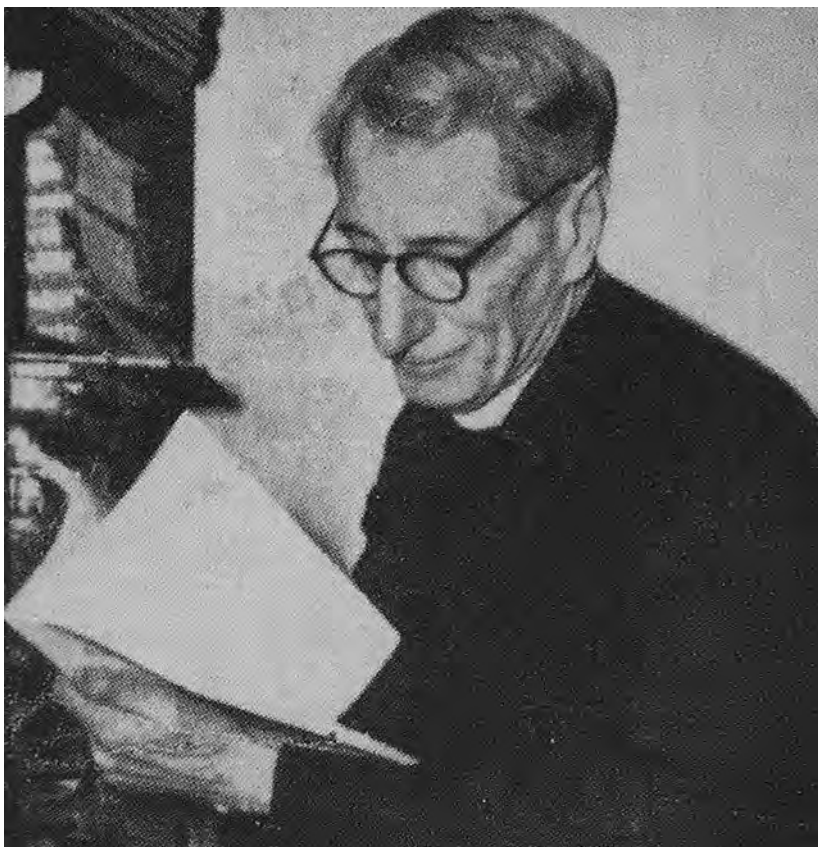
Dzięki nowatorskiej działalności społeczno-politycznej i rozległej twórczości intelektualnej Luigi Sturzo uzyskał we włoskiej i europejskiej świadomości zbiorowej pozycję osoby publicznej, nadal żywej w pamięci elity kulturalnej. Dzisiaj jest postacią wprawdzie mniej znaną, ale obecną w przestrzeni symbolicznej; ulice, place i skwery nazwane jego imieniem są niezmiennym komponentem toponomastyki włoskich miast. W 2009 roku, kiedy poczta włoska wydała znaczek poświęcony Sturzowi z okazji 50. rocznicy jego śmierci i kiedy ukazały się liczne artykuły komemoracyjne, jego wizerunek niewątpliwie odżył, aczkolwiek nie na długo.

Był księdzem, politykiem i socjologiem. A jeśli uwzględnimy współczesny mu kontekst życiowy, czyli społeczeństwo końca XIX i pierwszej połowy XX wieku, nie może dziwić fakt, że już sama kompozycja tych ról społecznych wzbudzała zdumienie, a niekiedy nawet dezaprobatę pewnych środowisk, ponieważ nie mieściła się w żadnych ówczesnych schematach. Być może zrozumienie tego rodzaju osobowości społecznej ułatwia znana typologia Znanickiego<sup>1</sup>, w świetle której należałoby przyjąć, że Sturzo jako ksiądz był „człowiekiem dobrze wychowanym”, jako polityk – „człowiekiem zabawy”, a jako socjolog – „człowiekiem pracy”. Natomiast chcąc wyróżnić pierwszorzędną więź integrującą te trzy komponenty jego osobowości społecznej, bez wahania należałoby wskazać – antycypując dalsze uwagi – głęboką wrażliwość humanitarną na kwestię godności osoby ludzkiej, sprawiedliwości i solidarności społecznej, autorytaryzmu instytucjonalnego i antagonizmu społecznego; wrażliwość, którą Sturzo przejawiał zarówno w działalności społeczno-politycznej, jak i w twórczości piśmienniczej.

\*\*\*

Luigi Sturzo urodził się w 1871 roku w Caltagirone (Sycylia) w zamożnej rodzinie o szlacheckich tradycjach. We wczesnej młodości wstąpił do seminarium duchownego, następnie, po otrzymaniu święceń kapłańskich, wyjechał na studia do Rzymu (Pontificia Universitas Gregoriana). Po powrocie do Caltagirone został profesorem filozofii i socjologii w miejscowym seminarium. Z tego okresu pochodzą pierwsze pisma Sturza podejmujące zagadnienia społeczne i ekonomiczne, a odnoszące się przede wszystkim do tzw. kwestii południowej (questione meridionale). Wielki, a właściwie decydujący wpływ na jego zainteresowania tą właśnie problematyką wywarła encyklika Leona

<sup>1</sup> F. Znanicki: *Ludzie teraźniejsi a cywilizacja przyszłości* [1934]. Warszawa 1974, ss. 141-303.



XIII *Rerum novarum* (1891) oraz osobista znajomość z Giuseppem Toniolą, socjologiem i działaczem społecznym o orientacji katolickiej. Już od samego zarania można było zauważyć, że w myśli społecznej Luigiego Sturza splatają się najściślej takie czynniki jak empatia i wrażliwość na los pokrzywdzonych, religijność, pragmatyzm, głębsza refleksja intelektualna i wola działania, aby otaczający świat uczynić sprawiedliwszym i bardziej ludzkim<sup>2</sup>.

Sturzo rychło włączył się też w życie polityczne, był bowiem przekonany, że jego idee reform społecznych i ekonomicznych pozostaną martwą literą, jeśli nie zostaną poparte konkretną działalnością. Inicjatywy Sturza odnalazły pozytywny oddźwięk społeczny – został wybrany na burmistrza miasta Caltagirone. W owym okresie snuł projekt utworzenia katolickiej partii politycznej, ale nie związanej instytucjonalnie z Kościołem. Niestety społeczny klimat wytworzony w środowisku katolickim dekretemi antymodernistycznymi Piusa X uniemożliwił realizację tego pomysłu. Wszelako udało się Sturzowi połączyć działalność polityczną z działalnością twórczą – w 1906 roku opublikował pracę *Syntezy społeczne*. W końcu jego działalność polityczna oparta na społecznej doktrynie katolickiej, zmierzającej do zintegrowania rozproszonych grup politycznych o podobnej orientacji, osiągnęła cel – w 1919 roku w Rzymie Sturzo wspólnie z najbliższymi współpracownikami założył Ludową Partię Polityczną (*Partito Popolare Italiano*, PPI). W okresie przedfaszystowskim PPI stała się jedną z najważniejszych partii Włoch.

Po marszu faszystów na Rzym i objęciu przez nich władzy w 1922 roku Sturzo i jego partia znaleźli się w opozycji. Po gwałtownych atakach Benita Mussoliniego i filofaszystów Sturzo zrzekł się w 1923 roku kierownictwa partii, a rok później udał się na emigrację i osiadł w Londynie. W podjęciu tak drastycznej decyzji swój udział miało również środowisko klerykalne

<sup>2</sup> Cytat z recenzji monografii autorstwa prof. Piotra Salwy.

związane czy to z jezuickim pismem „La Civiltà Cattolica”, czy to z Watykanem, szczególnie z kardynałem Gasparriem, ówczesnym sekretarzem stanu.

W okresie emigracji londyńskiej (1924-1940) Sturzo poświęcił się niemal bez reszty działalności twórczej. Opublikował w różnych językach między innymi: *Popolarismo e fascismo* (1923), *Pensiero antifascista* (1925), *La libertà in Italia* (1925), *Italia i faszyzm* (po angielsku, 1926); *Wspólnota międzynarodowa i prawo wojny* (po angielsku, 1926); *Cykl twórczy* (1932); *Essai de sociologie* (1935); *Kościół i państwo* (po francusku, 1937); *Polityka i moralność* (po angielsku, 1938); *Przyszłość demokracji* (po angielsku, 1938). Na międzynarodowym kongresie filozoficznym w Pradze w 1934 roku wygłosił odczyt pt. *Socjologia i historycyzm*.

W 1940 roku, po przystąpieniu Włoch do wojny po stronie hitlerowskich Niemiec, Sturzo przeniósł się do USA, gdzie przebywał do roku 1946. Tam dał się poznać jako socjolog i zdobył uznanie w środowisku akademickim. Nie tylko wykładał na wielu uniwersytetach, ale także wielu profesorów wykładało jego socjologię. Z tego okresu pochodzą następujące pisma: *Le guerre moderne e il pensiero cattolico* (po francusku, 1942); *La vera vita. Sociologia del soprannaturale* (po angielsku, 1943); *Del metodo sociologico* (1945); *Problemi spirituali del nostro tempo* (po angielsku, 1945).

Po zakończeniu wojny Sturzo, nakłoniony przez De Gasperiego, premiera pierwszego rządu powojennego i przywódcę Demokracji Chrześcijańskiej, która powstała na gruncie PPI, powrócił do Włoch w 1946 roku. Nie aprobował frakcji lewicowej o nastawieniu socjalistycznym, która coraz bardziej dawała o sobie znać w łonie partii. W swych pismach polemicznych w owym okresie wskazywał na podwójne zło społeczne: kapitalizm i statalizm; zarówno pierwszy, jak i drugi ogranicza jego zdaniem wolność jednostki i wprowadza autorytaryzm w imieniu metafizycznego społeczeństwa. W 1952 roku Sturzo został mianowany dożywotnim senatorem; w tym samym roku w Rzymie powstał Instytut Socjologii jego imienia. Luigi Sturzo zmarł w 1959 roku.

\*\*\*

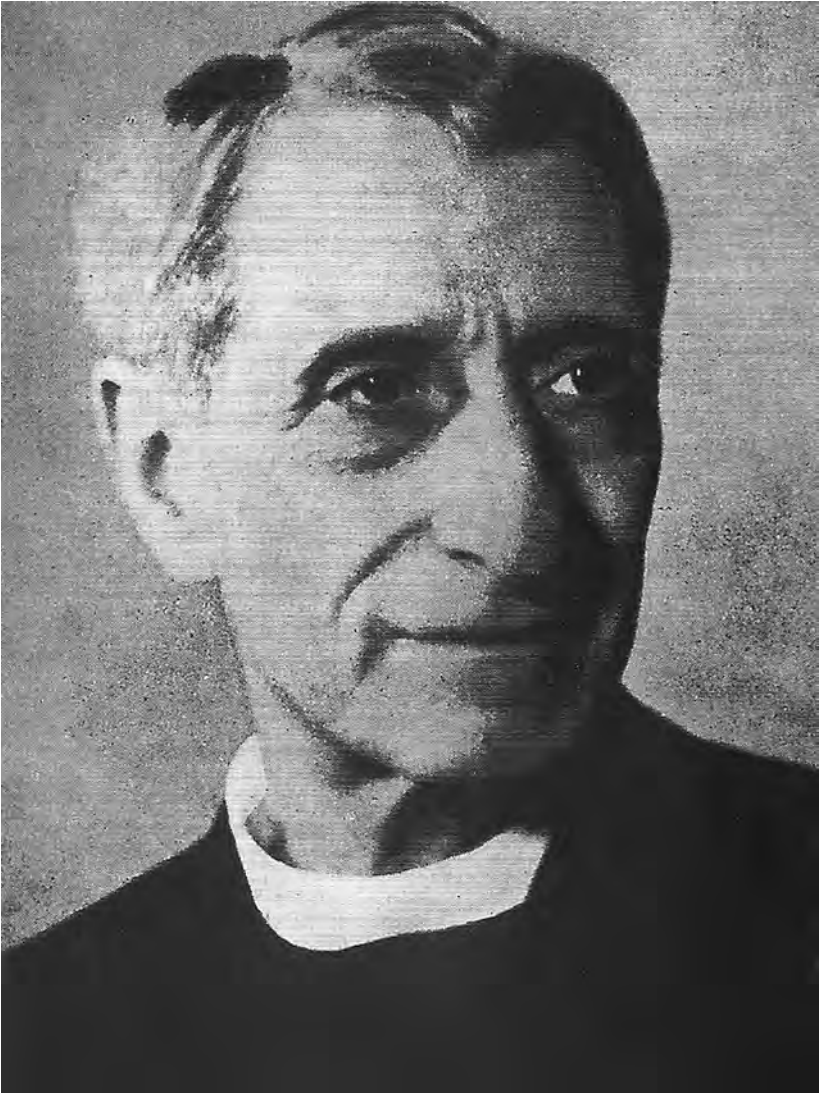
Sturzo jako socjolog nie uzyskał formalnego konsensusu akademickiego – może ze względu na głoszone idee polityczne, a może dlatego, że był księdzem. Wszelako już tylko ogólna znajomość jego spuścizny wystarczy, aby przyjąć pogląd, że właśnie w roli socjologa, roli mniej znanej, przejawiał w sposób szczególnie swoją osobowość intelektualną i twórczą. W rzeczy samej, im bardziej zgłębia się Sturzowską myśl socjologiczną, tym bardziej utrwala się to przekonanie. I w pewnym sensie sam Sturzo był tego zdania, kiedy w jednej z wypowiedzi autobiograficznych zestawiał swoje badania socjologiczne z zaangażowaniem politycznym: *Nie należy myśleć – pisał – że wszystko to nastąpiło bez tęsknoty i bez okresowych powrotów do badań. Ówczesne publikacje były okazjonalne w natłoku mojej działalności praktycznej, ale zawierały zawsze moje idee socjologiczne, które z biegiem czasu dojrzewały. Profesor Pareto w recenzji mojej publikacji „Indirizzi politici e riforma statale” (1923)<sup>3</sup> napisał, że nie była to książka polityczna i stronicza, lecz praca socjologiczna<sup>4</sup>. Również wówczas kiedy wybrałem wygnanie (a nie myślałem, że będzie tak długie<sup>5</sup>), z przyjemnością powróciłem do moich studiów. Wtedy uświadomiłem sobie, że trzydziestoletnie doświadczenie w życiu politycznym i społecznym okazało się pożyteczne, aby spojrzeć na teorie i fakty z większym poczuciem rzeczywistości, aby sprecyzować lepiej moją teorię socjologiczną, co było ukrytą działalnością w całym moim życiu<sup>6</sup>.*

<sup>3</sup> Sturzo nie pamiętał dobrze faktów – chodzi tu o jego pracę *Crisi economica e crisi politica* z 1920 roku (por. L. Sturzo: *Opera omnia*. Serie II, vol. III, ss. 132-162).

<sup>4</sup> V. Pareto: *L'economia e la sociologia nel discorso di don Sturzo*. „La Vita Italiana”, a. VIII, vol. XVI, fasc. XCV, 15 novembre 1920, ss. 393-394.

<sup>5</sup> Sturzo przebywał na wygnaniu 22 lata, od 1924 do 1946 roku.

<sup>6</sup> Cyt. za M. e L. Sturzo: *Itinerari alla santità*. A cura di S. Latora. Catania (bez daty wydania), s. 192.



Jak wiemy, Vilfredo Pareto nie należał do osób skłonnych do uprzejmych opinii; był autoreferencyjny<sup>7</sup>, dlatego warto przywołać fragmenty wspomnianej przez Sturza recenzji: *Są dwie części w tej pracy. Pierwsza opisuje zjawisko ekonomiczne i społeczne, druga przedstawia środki zaradcze na obecne zło. Zajmę się jedynie pierwszą częścią (...) dlatego, że moim zdaniem jest lepsza. (...) Kto zna nawet powierzchownie nauki ekonomiczne i społeczne, nie może powstrzymać się od uśmiechu, czytając przemówienia naszych najlepszych polityków, a także dumnych profesorów tych dyscyplin, które oddalone są od zdrowych racji popartych doświadczeniem, i to do tego stopnia, że często, w skrajnych przypadkach, są formą bajdurzenia. (...) Tego rodzaju przemówienia można usprawiedliwić jako sposób kierowania tłumem dla osiągnięcia upragnionych celów, ale nie można oczekiwać znalezienia w nich jakiegokolwiek wartości naukowej. Z tym nastawieniem (...) przystąpiłem do lektury pracy Sturza, ale już poczwąwszy od pierwszych wierszy, zostałem zaskoczony pewnością doktryn, naukowością we właściwym sensie tego terminu, które praca owa zawierała, i kontynuując lekturę, doszedłem do przekonania, że wiele*

<sup>7</sup> A. Kojder: Wstęp (w:) V. Pareto: *Uczucia i działania. Fragmenty socjologiczne*. Tłum. M. Dobrowolska, M. Rozpędowska, A. Zinserling. Warszawa 1994, s. IX.

idei należało ocenić jako doskonałe i dobre, natomiast niewiele należałoby kwestionować lub uznać za niedopracowane<sup>8</sup>.

Ponadto, last but not least, należy przypomnieć, że w owym okresie zajmowanie się socjologią oznaczało wystawienie się na nieufność znakomitej części środowiska akademickiego, w którym głos czołowego intelektualisty Benedetto Crocego był swego rodzaju dogmatem. Croce był koryfeuszem idealizmu i historyzmu (historycyzmu) i z takiej właśnie pozycji sformułował swój radykalny antysocjologizm. W 1902 roku napisał: *Społeczeństwo nie jest elementem oryginalnym, nie jest funkcją pierwotną, nie jest formą; jest po prostu wytworem umysłu ludzkiego. Dlatego też wszelkie domniemane socjologiczne badanie (o ile nie sprowadza się do badania historycznego) pozostaje integralną częścią filozofii umysłu i wszystkie nauki socjologiczne sprowadzają się do różnych nauk i teorii o charakterze filozoficznym, takich jak estetyka i teoria mowy, logika, teoria historii, ekonomia, etyka, teoria prawa (i inne, jeśli istnieją inne); to zaś, co w socjologii jest najważniejsze, sprowadza się dokładnie do teorii prawa i nauki ekonomicznej. Wzmocnijcie z jednej strony zmysł historyczny, a z drugiej zmysł filozoficzny (pojmując przez filozofię naukę o ideale, czyli wartości, tzn. umysle), a socjologia, która żyje dwuznacznością i która daje nam bądź trochę sofistycznie ujętej historii, bądź trochę filozofii wulgarnej i nieściślej, rozproszy się, jak mgła na słońcu*<sup>9</sup>.

Innymi słowy, w świetle przedstawionej przez Crocego krytyki socjologia nie miała podstaw, aby pretendować do miana nauki autonomicznej, ponieważ konkretny zespół współżycia ludzkiego, fakty społeczne, należą do historii, która je opisuje<sup>10</sup>. Stąd „prawdziwa socjologia jest historią”<sup>11</sup>. „Ochrzczona we Francji i bierzmowana w Anglii” jest pozbawiona własnego pryncypium.

Crocemu wtórował Antonio Gramsci, ale z pozycji całkowicie przeciwstawnej: Croce reprezentował idealizm, Gramsci – marksizm. Croce był niemal personifikacją filozofii ówczesnego społeczeństwa włoskiego – statycznego, zamkniętego i oligarchicznego. Rolę tę lakonicznie, ale niezwykle celnie, wyraził właśnie Gramsci słowami: *Funkcję Crocego można by porównać do funkcji papieża*<sup>12</sup>. Obaj badacze krążyli po filozoficznych antypodach, ale łączyła ich krytyka socjologii, która ówczesnie była identyfikowana z pozytywizmem. Croce i Gramsci (a w Polsce Stanisław Brzozowski) – jak lakonicznie zauważa Jerzy Szacki – *socjologię niepozytywistyczną byli skłonni uważać za contradictio in adjecto*<sup>13</sup>.

*Socjologia* – pisał Gramsci – *była próbą stworzenia metody nauki historyczno-politycznej związanej z pewnym systemem filozoficznym już opracowanym – mianowicie z pozytywizmem ewolucjonistycznym (...). Socjologia jest więc próbą „doświadczalnego” odkrycia praw ewolucji społeczeństwa ludzkiego, aby w tej dziedzinie można było „przewidywać” przyszłość z taką samą pewnością, z jaką przewiduje się, iż z żółdzia wyrosnie dąb*<sup>14</sup>. Znamienne jest, że tę opinię Gramsci wyraził w krytyce książki marksisty i komunisty (jak on sam) Nikołaja Bucharina *Popularny zarys socjologii* (1921)<sup>15</sup>. Bucharin był jednak klasycznym zwolennikiem pozytywistycznego marksizmu i dlatego przyjmował materializm historyczny – jako wyraz socjologii marksistowskiej.

<sup>8</sup> V. Pareto, *L'economia...*, dz. cyt., ss. 393-394.

<sup>9</sup> B. Croce: *Etudes relatives à la théorie de l'histoire en Italie*. „Rêvue de Synthèse Historique” 1902, nr 2 (cyt. za F. Znaniecki: *Wstęp do socjologii* [1922], Warszawa 1988, s. 168). Por. także: M. M. Buralgali: *Itinerari di una scienza. La sociologia in Italia tra Otto e Novecento*. Milano 1996, ss. 174-220.

<sup>10</sup> B. Croce: *Le livre de M. Stammler*. „Devenir Sociale” 1898, ss. 811-812.

<sup>11</sup> Z listu do Francesca Novatiego z 1897 roku (zob. P. Colonnello: *Croce e i vicini*. Genova 1984, ss. 118-127).

<sup>12</sup> A. Gramsci: *Il materialismo storico e la filosofia di Benedetto Croce*. Torino 1948, s. 247.

<sup>13</sup> J. Szacki: *Historia myśli socjologicznej*. Warszawa 2002, s. 244.

<sup>14</sup> A. Gramsci: *Uwagi krytyczne o „Popularnym zarysie socjologii”* (wyd. oryg. – *Note critiche su un tentativo di „Saggio popolare di sociologia”*) (w:) tegoż: *Pisma wybrane*. Warszawa 1971, ss. 106-107.

<sup>15</sup> N. Bucharin: *Teoria del materialismo storico. Manuale popolare di sociologia marxista*. Firenze 1977 (*Teoria materializmu historycznego*; wyd. oryg. w jęz. rosyjskim w 1921 roku, wydania polskie w latach 1927 i 1936).

Podsumowując – a do tej kwestii powrócimy jeszcze później – Croce był wprawdzie czołową, ale nie jedyną postacią swego rodzaju intelektualnej „dyktatury idealistycznej”, w której – jak trafnie zauważył Franco Ferrarotti<sup>16</sup> – dostrzega się niesłusznie głównego sprawcę stopniowego osłabienia socjologii aż do jej zniknięcia z kręgu akademickiego i ogólnie ze środowiska intelektualnego w latach 20., szczególnie po nastaniu reżimu faszystowskiego. Zdaniem Ferrarottiego powodów należy doszukiwać się również w socjologii włoskiej owych lat – w jej teoretycznej i metodologicznej słabości, która przejawiała się właśnie w pozytywizmie, a nierzadko jeszcze organicyzmie i darwinizmie społecznym. Autorzy prac, które bez wątpienia były pracami socjologicznymi, wyrastając ponad wskazane schematy (myślę głównie o pracach Gaetana Moski, Roberta Michelsa, Vilfreda Pareta), byli – rzecz można – poza wszelką dyskusją i nie wykazywali zainteresowania debatą o autonomii socjologii. *Mamy ważniejsze rzeczy do roboty, niż tracić czas na poszukiwanie, czy socjologia jest, czy też nie jest nauką autonomiczną* – zauważył en passant Pareto we wstępie do *Trattato di sociologia generale*<sup>17</sup>. W sumie, jeśli prawdą jest, że kultura i polityka nigdy nie żyły w dobrym sąsiedztwie, to okres faszyzmu ukazał tę kwestię w sposób nader jasny, a nawet tragiczny.

Jak już wiemy, życiową ambicją Sturza było „sprecyzowanie teorii socjologicznej”, ale w powyższym kontekście wydaje się dostatecznie zrozumiałe, dlaczego owe plany nie mogły znaleźć szerszego posłuchu i uznania. Ambicje socjologiczne włoskiego autora nie uzyskały oczekiwanego rezonansu środowiskowego również w okresie powojennym. Można to ująć lapidarnie, stwierdzając, że kiedy w 1924 roku Sturzo wyruszył na banicję, socjologii już nie było w instytucjonalnym krajobrazie włoskim, a kiedy w 1946 roku powrócił do kraju – jeszcze jej nie było. Ta tragiczna w sumie sytuacja socjologii we Włoszech w owym okresie, czyli w latach międzywojennych (tak samo zresztą jak w Niemczech), nie mogła być niedostrzeżona poza granicami tych krajów. Dostrzeżono ją również w Polsce, czego przykładem może być krótka uwaga Floriana Znanieckiego poczyniona w artykule z 1936 roku podczas omawiania kwestii politycznych i ideologicznych ograniczeń twórczości naukowej, a szczególnie w socjologii, powodowanych obawą przed naruszeniem ustalonego przez władze porządku: *Groźbę socjologii i socjologów dostrzegają już kierownicy autorytatywnych i obliczonych na długie trwanie struktur społecznych. Niedawno w Niemczech zamknięto instytuty i czasopiśma socjologiczne, zwinięto prawie wszystkie katedry i wyrzucono większość socjologów za granicę państwa; we Włoszech, mówiąc łagodnie, nie popiera się socjologii*<sup>18</sup>. Tę uwagę Znanieckiego należy uzupełnić, przypominając, że z okresu faszystowskiego, który okazał się zabójczy dla socjologii ogólnej i politycznej we Włoszech, wyszła obronną ręką tak zwana „socjologia katolicka”<sup>19</sup>, do której, mimo pozorów, nie można zaliczyć myśli Sturza z owych lat. Warto też dodać, że niektórzy uczeni włoscy, jak np. Corrado Gini, wybitny statystyk i ekonomista, uprawiali swego rodzaju „kryptosocjologię”, a mianowicie socjologię pod etykietką innych nauk społecznych<sup>20</sup>.

Powojenne środowisko akademickie miało do rozwiązania zbyt wiele kwestii politycznych i ideologicznych, aby zając się zmianą klimatu antysocjologicznego, który nadal dominował w owym okresie we Włoszech. Sam Sturzo pisał o tym w 1949 roku, niedługo po powrocie do kraju z wygnania: *Nie mogę ukrywać zaskoczenia i doznanej przykrości, kiedy zrazu po moim powrocie do ojczyzny zauważyłem, że nie było żadnego oficjalnego nauczania*

<sup>16</sup> F. Ferrarotti: *La situazione degli studi sociologici in Italia*. „Quaderni di Sociologia” 1955, nr 16, ss. 55-61.

<sup>17</sup> Cyt. za M. M. Buralassi: *Itinerari...*, dz. cyt., s. 119.

<sup>18</sup> F. Znaniecki: *Uczeni polscy i życie polskie* (w:) tegoż: *Społeczne role uczonych*. Warszawa 1984, s. 258 (pierwodruk – „Droga” 1936, nr 2-3, ss. 101-116; nr 4, ss. 255-271). Cytowany fragment kończy się nawiąsem z informacją o wycięciu dalszych słów przez reżimową cenzurę.

<sup>19</sup> Por. M. M. Buralassi, *Itinerari...*, dz. cyt., ss. 119-125.

<sup>20</sup> Tamże, ss. 125-133.

socjologii, które w wyniku podjętych prób likwidacji wydziałów nauk politycznych – na których socjologia powinna była stanowić część integralną programu studiów – nie mogło znaleźć innego schronienia niż tylko w postaci kilku godzin wykładów na statystyce lub ekonomii. (...) To wszystko sprawia wrażenie, że przesady przeciwko socjologii wcale nie ustąpiły. A brak, ponadto, pisma socjologicznego (nie dociekałem, czy stare czasopismo<sup>21</sup> zniknęło śmiercią naturalną, czy w wyniku zabójstwa) jest jasnym wskaźnikiem, że klasa intelektualna i uniwersytecka we Włoszech nie ujawnia zainteresowania takimi studiami<sup>22</sup>. Wiele lat później Franco Ferraroti zauważył lakonicznie, że socjologia była zawsze ubogą krewną innych nauk, szczególnie prawniczych<sup>23</sup>.

Co więcej, można by mówić o swego rodzaju „wykluczeniu” Sturza z socjologii<sup>24</sup>, które w konsekwencji spowodowało jego nieobecność poza granicami Włoch. On jeden z głównych autorów przewrotu antypozytywistycznego w obrębie socjologii, mocą paradoksu, nie wszedł do tomów historii myśli społecznej, w przeciwieństwie do Crocego i Gramsciego – zagorzałych przeciwników owej dyscypliny. Zdaniem Gianfranca Morry przyczyn tego należy doszukiwać się „w kolejach życia Sturza”, głównie w sensie politycznym, które zamgliły jego rolę socjologa w percepcji społecznej<sup>25</sup>. Stał się nawet postacią „niewygodną”<sup>26</sup>.

Na „wykluczenie” Sturza można spojrzeć w dwóch aspektach: socjologicznym i politycznym – zauważył Filippo Barbano, który na poparcie swej opinii przytacza odpowiednią dokumentację bibliograficzną<sup>27</sup>. Według Nicholasa Timasheffa socjologia Sturzowska, czyli nowa socjologia, choć winna była wzbudzić znaczną uwagę, minęła niemal niedostrzeżona, a powody tego milczenia były następujące: publikacja prac na wygnaniu i po angielsku, orientacja antypozytywistyczna, która zderzyła się z dominującymi tendencjami owego okresu (głównie w Ameryce), wrogi klimat polityczny dla nowych idei Sturza i w końcu wrażenie, które mogła wzbudzić lektura jego pism socjologicznych, że teoria ta była jedynie zakamuflowaną analizą zagadnień teologicznych w duchu filozofii tomistycznej<sup>28</sup>. Ponadto pewien wpływ miała też zapewne środowiskowa idiosynkrazja; jeśli prawdą jest, że to inni socjologowie stanowią główną przeszkodę, aby stać się znanym socjologiem – jak poucza jedna z myśli zebranych przez Andrzeja Kojdera<sup>29</sup> – Sturzo jest tu dobrym przykładem.

Jest to zjawisko o tyle paradoksalne, że grupa fundatorów powojennej socjologii we Włoszech zbierała się w swych początkach właśnie w Instytucie Luigiego Sturza w Rzymie<sup>30</sup>, gdzie odbył się International Congress of Social Sciences w 1967 roku, podczas którego omawiano sytuację socjologii na Zachodzie, w tym również we Włoszech. Jeszcze wówczas jej obraz nie był budujący – przede wszystkim utrzymywał się nadal wrogi do niej stosunek wśród sporej części środowiska profesorów uniwersyteckich; ewentualna instytucjonalizacja socjologii była przez nich postrzegana jako konkurencja wobec wydziałów prawniczych, ekonomicznych, nauk politycznych i innych o profilu humanistycznym<sup>31</sup>. Ponadto warto zauważyć, że kiedy socjologia

<sup>21</sup> „Rivista Italiana di Sociologia”, dal 1897 al 1921.

<sup>22</sup> L. Sturzo: *La società, sua natura e leggi* [1935]. Bologna 1960, s. XIV.

<sup>23</sup> F. Ferrarotti: *Introduzione alla sociologia*. Roma 1997, s. XV.

<sup>24</sup> F. Barbano: *Premessa* (w:) M. M. Burgalassi: *Itinerari...*, dz. cyt., s. 23.

<sup>25</sup> G. Morra: *Luigi Sturzo. Il pensiero sociologico*. Roma 1979, s. 49.

<sup>26</sup> Tenże: *Sociologo della libertà* (w:) M. Addio, A. Di Giovanni, E. Guccione, G. Morra, A. Palazzo: *Politica e sociologia in Luigi Sturzo*. Milano 1981, s. 168.

<sup>27</sup> F. Barbano: *Premessa*, dz. cyt., s. 25.

<sup>28</sup> N. S. Timasheff: *La sociologia di Luigi Sturzo*. Napoli 1966, s. 12; M. Vaussard: *Il pensiero politico e sociale di Luigi Sturzo*. Brescia 1966.

<sup>29</sup> A. Kojder: *Myśli o socjologii i socjologach*. „Informacja Bieżąca” 2007, nr 85, s. 35.

<sup>30</sup> 17 czerwca 1951 roku grupa współpracowników i przyjaciół Sturza podjęła decyzję o założeniu instytutu oraz fundacji jego imienia w Rzymie. Istituto di Luigi Sturzo di Roma został ustanowiony dekretem prezydenta Włoch Luigiego Einaudiego 25 listopada 1951 roku.

<sup>31</sup> F. Leonard: *Italian Sociology within the Framework of Contemporary Sociology* (w:) *Contemporary Sociology in Western Europe and America. Proceeding of the First International Congress of Social Sciences of the Luigi Sturzo Institute*. Roma 5-10 settembre 1967, s. 38.



włoska odrodziła się jako dyscyplina akademicka w 1968 roku, a konkretnie mówiąc: kiedy zaczęły powstawać pierwsze katedry socjologii, jej głównym układem odniesienia stała się socjologia amerykańska, a nie własna, nader długa i bogata tradycja, wskazywana nierzadko jako *prima sociologia*. Lata powojenne we Włoszech i w innych krajach zachodnich były okresem „amerykańskiego imperializmu socjologicznego” – przypomina Ferrarotti<sup>32</sup>. Powody tego stanu rzeczy były różne: polityczne, ideologiczne, ale także intelektualne, które wyraziły się w swoistej modzie uprawiania nauk społecznych, w tym również socjologii.

W tym kontekście warto nadmienić, że jakkolwiek Sturzo był zdania, iż socjologia winna stać się, jak każda inna nauka, przede wszystkim nauką teoretyczną, reprezentował typ uczonego raczej oddalonego od Weberowskiego modelu socjologii czystej, niezaangażowanej, który stał się z czasem jednym z wiodących paradygmatów włoskiej socjologii akademickiej (dlatego nie znalazły w niej miejsca socjotechnika – termin obcy temu środowisku – lub inne wersje socjologii praktycznej, takie jak inżynieria społeczna, technologia społeczna lub socjologia stosowana). Innymi słowy, wyobrażenia o roli socjologa – posłużmy się i tym razem użyteczną typologią zaproponowaną przez Znanieckiego – były i są zdominowane w socjologii włoskiej przez typ „uczonego erudyty”, a zatem typ, w którym, w ograniczonym stopniu, mieściłby się model „uczonego-twórcy”. Dla „uczonego praktyka”, czyli „socjologa-czynu”, w zasadzie nie było i nie ma tu miejsca. Potwierdzeniem tego jest fakt, że w klasyfikacji zawodów nie ma zawodu „socjolog”, co nie jest, jak wiadomo, specyfiką jedynie włoską. W osobowości Sturza jako uczonego odnajdujemy wszystkie trzy typy, z przewagą socjologa-czynu, socjologa

<sup>32</sup> F. Ferrarotti: *L'ultima lezione. Critica della sociologia contemporanea*. Roma-Bari 1999, s. 48.



zaangażowanego<sup>33</sup>. Te uwagi pasują do Sturza, był bowiem księdzem, politykiem i socjologiem zawsze, ale jego najlepsze prace socjologiczne pochodzą z okresu wygnania politycznego do Anglii i Stanów Zjednoczonych, które trwało 22 lata. Właśnie w owym okresie Sturzowska myśl socjologiczna wzbudziła zainteresowanie w amerykańskim środowisku akademickim, które odżyło w latach 60.<sup>34</sup>

*Historia instytucji i historia wielkich intelektualistów nadal podążają oddzielnie i pozostaną mało przenikalne na wymiar antropologiczny kultury i jej znaczenie społeczne* – zauważył Marco Fumaroli<sup>35</sup>. Jak już zaznaczyłem, Sturzo nie znalazł miejsca w akademii, w której do niedawna nie było też miejsca dla jego myśli socjologicznej. Mimo wszystko nie poszła ona w niepamięć. Co więcej, pozycja Sturza w pejzażu kulturalnym wykazuje pewne cechy paradoksalne – nie będąc szeroko znany, myśliciel ten należy do nielicznej grupy współczesnych autorów systematycznie publikowanych<sup>36</sup>, przede wszystkim w ramach bogatej już serii wydawniczej *Opera omnia*, dedykowanej mu przez Istituto Luigi Sturzo w Rzymie. Socjologia Sturza znalazła swoistą niszę intelektualną dzięki akademickim zwolennikom jego myśli. Także poza Włochami jego spuścizna intelektualna znajduje z wolna uznanie (w tym w Polsce)<sup>37</sup>. Filippo Barbano jest zdania, że w ostatnich latach mamy do czynienia ze zjawiskiem, które określa mianem „Sturzo-Renaissance”, co moim zdaniem jest raczej przejawem wishful thinking, aczkolwiek, prawdę mówiąc, nie brakuje sygnałów odradzania się akademickiego zainteresowania twórczością Sturza i – co ważne – przejawów uznania dla jego wkładu w rozwój tej dyscypliny<sup>38</sup>. Jeszcze do niedawna nie było żadnego śladu socjologii Sturza w monografiach poświęconych historii myśli socjologicznej, zarówno ogólnej, jak i włoskiej. W tym kontekście nietrudno więc nie docenić inicjatywy edytorskiej w postaci *sussidium* do historii myśli społecznej, w którym pośród ponad czterdziestu myślicieli odnajdujemy nie tylko Sturza, ale i innych socjologów włoskich, raczej zapomnianych, takich jak Corrado Gini czy Gaetano Mosca<sup>39</sup>. Nie mogę tu nie wspomnieć również o dwóch wyborach dzieł z ostatnich lat: przygotowanym przeze mnie, poświęconym socjologii integralnej Sturza<sup>40</sup> oraz pracy Augusta Gamuzzy zawierającej kolekcję tekstów Sturza dotyczących kwestii społecznych<sup>41</sup>. Wpisują się one, aczkolwiek nieintencjonalnie, w logikę motywacji wydania sześciotomowej serii, niemal kieszonkowej, *Dzieł wybranych Luigiego Sturza (Opere scelte di Luigi Sturzo)* w 1992 roku przez Instytut Luigiego Sturza w Rzymie. Pośród tych publikacji uwagę zwraca antologiczny tom IV *La sociologia fra persona e storia*, którego autorami są Achille Ardigò i Luigi Frudà<sup>42</sup>. Wszystkie wspomniane opracowania zostały włączone do uniwersyteckich programów i być może w jakiejś mierze przyczynią się do dywulgacji myśli socjologicznej Sturza w środowisku akademickim. Zwłasz-

<sup>33</sup> F. Znaniecki: *Uczeni polscy...*, dz. cyt., ss. 231, 241.

<sup>34</sup> Por. *Bibliografia degli scritti di e su Luigi Sturzo*. A cura di G. Cassiani, V. De Marco, G. Malgeri, *Introduzione* di G. De Rosa. Roma 2001, ss. 107-108, 116-118; F. Barbano: *Luigi Sturzo esiliato e la sociologia in America (w:) Università e cultura nel pensiero di Luigi Sturzo*. Atti del Convegno Internazionale di Studio, Roma, Istituto Luigi Sturzo, 28, 29, 30 ottobre 1999, Rubbettino, Soveria Mannelli 2001, ss. 133-158.

<sup>35</sup> M. Fumaroli: *Lo Stato culturale. Una religione moderna*. Milano 1993, s. 217.

<sup>36</sup> Por. *Bibliografia degli scritti di e su Luigi Sturzo*, dz. cyt.

<sup>37</sup> Por. J. Majka: *Katolicka nauka społeczna. Studium historyczno-doktrynalne*. Rzym-Lublin 1986, s. 270; S. De Seta: *Socjologiczne koncepcje Luigiego Sturzo*. Tłum. K. Pałęcki (w:) *Szkice z historii socjologii włoskiej*. Red. J. Mucha, Kraków 1987, ss. 125-139; M. Jeżowski: *Socjologia historyczna Luigiego Sturzo*. Lublin-Roma 2003; Z. Kobylńska: *Politica come servizio. Considerazioni sul pensiero politico-sociale di Luigi Sturzo*. Olsztyn 2011; Z. Kobylńska: *Pod prąd poprawności politycznej*. Stalowa Wola 2012; Z. Kobylńska: *Umoralić życie publiczne. Luigiego Sturza doktryna społeczno-polityczna*. Olsztyn 2012. W powyższych tomach autorzy podali obszerną bibliografię zarówno prac Sturza, jak i opracowań jego twórczości. Por. J. A. Gierowski: *Historia Włoch*. Wrocław 1985, ss. 528, 558, 570, 575, 607; L. Sturzo: *Wybór myśli o polityce*. Tłum. i red. Z. Kobylńska, Olsztyn 1997, oraz hasło „Sturzo Luigi” w opracowaniach encyklopedycznych: *Mala encyklopedia powszechna*. Warszawa 1959, s. 925; *Wielka encyklopedia powszechna*. Warszawa 1968, t. XI, s. 336. *Encyklopedia popularna*. Warszawa 1982, s. 746; *Nowa encyklopedia powszechna*. Warszawa 1997, t. VI, s. 93.

<sup>38</sup> M. M. Burgalassi: *Itinerari...*, dz. cyt., s. 34.

<sup>39</sup> *Sociologia: teorie e ricerche. Sussidio per la storia dell'analisi sociologica*. A cura di G. Pollini e A. Pretto. Milano 2009.

<sup>40</sup> L. Sturzo: *Scritti di sociologia integrale*. A cura di G. J. Kaczyński. Acireale-Roma 2013.

<sup>41</sup> Tenze: *Sulle questioni sociali*. A cura di A. Gamuzza. Acireale-Roma 2011.

<sup>42</sup> *Opere scelte di Luigi Sturzo. IV La sociologia fra persona e storia*. A cura di A. Ardigò e L. Frudà. Roma-Bari 1992.

cza że dzisiaj, co warto zaznaczyć, jest on w tym środowisku nieco bardziej znany, ale nadal mało czytany.

\*\*\*

Byłoby zapewne przesadą określenie myśli socjologicznej Sturza mianem systemu, niemniej jednak odnajdujemy w niej usiłowania zmierzające do całościowego i oryginalnego ujęcia zaproponowanych koncepcji ontologicznych, epistemologicznych i metodologicznych. I jest to powód wystarczający, jak się zdaje, aby ją przyjąć jako próbę sformułowania teorii socjologicznej, co zresztą pozostaje zgodne – jak już wiemy – z intencją samego autora. A ponieważ mamy do czynienia z propozycją socjologii humanistycznej, dlatego zrozumiałe jest, że odnajdujemy tu pewne zbieżności heurystyczne, poniekąd niezamierzone i incydentalne, z teoriami takich autorów jak Max Weber, Georg Simmel, Florian Znaniecki, Alfred



Schütz i wielu innych, czyli tych, którzy tak jak Sturzo odrzucili paradygmat pozytywistyczny i Durheimowski socjologizm. I chociaż sam Sturzo był przeciwnikiem koncepcji świadomości społecznej, rozumianej jako byt autonomiczny i ponadjednostkowy, nie przyjął orientacji skrajnego indywidualizmu, która jego zdaniem prowadzi do Hobbsowskiej wizji „społeczeństwa wilków”. Nawet jeśli nie przeprowadził żadnych badań empirycznych, odrzucił metodę klasycznej socjologii, „fotelowej” (armchair scientist), przesiąkniętej metafizyką i abstrakcjonizmem; owej socjologii przeciwstawił propozycję „nowej socjologii” opartej na badaniach historycznych i użytecznej dla praktyki społecznej. Sturzo posługiwał się określeniem „organizm społeczny”, ale w znaczeniu raczej metaforycznym niż klasycznym, był bowiem zdecydowanym antyorganicystą. Jego wizja historii społecznej jest wyraźnie dialektyczna, ale odrzucił kategorycznie materializm dialektyczny i historyczny Marksa. Jeden z pryncypiów socjologii Sturza stanowi uznanie świadomości jednostkowej za komponent centralny rzeczywistości społecznej; jest to jednak koncepcja na tyle oryginalna, że nie można w niej widzieć przejawu indywidualizmu metodologicznego i psycho-socjologizmu. Z tych i innych powodów socjologia Sturza, analogicznie do jego działalności społeczno-politycznej, znalazła szeroki i różnorodny oddźwięk: od zagorzałych i nierzadko bezkrytycznych zwolenników po przeciwników i zdecydowanych jej krytyków, nierzadko stronnicy i tendencyjne. Przykładem dość osobliwym w tym kontekście jest bez wątpienia Nicholas Timasheff, który nie szczędzi tej socjologii krytyki, ale w sumie ocenia ją jako jeden ze znakomitych i wzniosłych wkładów do socjologii humanistycznej, a jej autora włącza do grona „wielkich socjologów połowy dwudziestego wieku”<sup>43</sup>.

*Oryginalność teorii socjologicznej ks. Sturza* – pisze Maurice Vaussard – polega na dokonaniu głęboko przemyślanej syntezy pryncypiów obserwacji z pryncypiami rozumowania naukowego, które odnajdujemy zazwyczaj rozłączone w myśli większości współczesnych socjologów, oraz na zachowaniu elementów pozytywnych przy odrzuceniu dyskusyjnej i apriorystycznej koncepcji jednostki, będącej jej właściwym, a jednocześnie słabym komponentem<sup>44</sup>.

Tak czy inaczej, Sturzo pozostanie postacią szczególną i oryginalną wśród poprzedników współczesnej socjologii włoskiej, aczkolwiek nie należał on instytucjonalnie do środowiska akademickiego, tak zresztą jak wielu innych wielkich twórców myśli socjologicznej: Auguste Comte, Herbert Spencer,

<sup>43</sup> N. S. Timasheff: *Sociological Theory. Its Nature and Growth*. New York 1955, ss. 77, 292; por. ponadto tenże: *Don Luigi Sturzo's Contribution to Sociological Theory*, „The American Catholic Sociological Review” 1961, n. 22, Spring, ss. 11-32; tenże: *Don Luigi Sturzo's Sociological Theory* (w:) *Sociological Theory and Socio-Cultural Change*. Edited by E. Tiryakian. London 1963, ss. 265-281.

<sup>44</sup> M. Vaussard: *Il pensiero...*, dz. cyt., s. 77.

Karol Marks (Max Weber został profesorem socjologii dwa lata przed śmiercią). Co więcej, Sturzo nie pisał, tak jak oni, tylko dla akademii. W ostatnim swym tomie, zatytułowanym *O metodzie socjologicznej*, replikując na głosy krytyczne, zauważył: *Moje książki i szkice socjologiczne winny być postrzegane jako „próby” nowych poszukiwań i jako takie oceniane przez tych, którzy je studiują. Mam nadzieję, że „Szkic o metodzie socjologicznej” ukaże w lepszym świetle mój pięćdziesięcioletni żmudny wysiłek skierowany zawsze w tym celu*<sup>45</sup>.

Grzegorz J. Kaczyński

Fragmety monografii *Luigi Sturzo. Socjolog i humanista*, która ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Szczecińskiego „Minerwa”.

---

<sup>45</sup> L. Sturzo: *Del metodo sociologico* [1950] (w:) *Opera omnia*. Vol. XII. Bologna 1970, s. 86.

---

## Książki nadesłane

### Poezja

Elżbieta Wicha-Wauben: *Pejzaż z wędrowcami*. Wydawnictwo Werset, Lublin 2016, ss. 154.

*W zakolu Wilii. Antologia wierszy młodych twórców*. Wstęp Józef Szostakowski. Muzeum Władysława Syrokomli, Wilno 2016, ss. 119.

Florian Śmieja: *Dotykanie świata. Wiersze wybrane*. Wstęp Zbigniew Andres. Wybór i redakcja tomu Edward Zyman. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Toronto-Rzeszów 2016, ss. 435+13 nlb.

Janusz Drzewucki: *Rzeki Portugalii*. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2016, ss. 79. Biblioteka „Toposu”, t. 130.

Krzysztof Kuczkowski: *Kładka. Wiersze duchowe*. Wybór i układ Małgorzata Juda-Mieloch, Wydawca Republika Ostrowska, Ostrów Wielkopolski 2016, ss. 82.

Olga Kubińska: *Body Art*. Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2016, ss. 68.

Wojciech Dunin-Kozicki: *Układam kamienie, żeby leżały równo*. Wydawca Koziara Tararara – Jarosław Koziara, Lublin 2016, ss. nlb. 87.

Alicja Bykowska-Salczyńska: *Cno*. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Olsztyn 2016, ss. 85+2 nlb.

Piotr Machul: *Ultimatum*. Wstęp Bohdan Zadura. Miejski Dom Kultury, Radomsk 2016, ss. 59+3 nlb.

*Zieleni się drzewo pokoju. Poezja europejska w intencji powszechnej zgody / The tree of peace turns green. European poetry for universal harmony*. Wybór i redakcja Aleksandra Sołtysiak, Konrad Sutarski. Sulechów – Zielona Góra 2016, ss. 279.

Sławomir Matusz: *Te gości, których nie połamali*. Studio Sztuki i Reklamy, Sosnowiec 2016, ss. 66.

Arkadiusz Kremza: *Sterowania*. Instytut Mikołowski, Mikołów 2015, ss. 47.

Antoni Pawlak: *Walizka światła*. Instytut Mikołowski, Mikołów 2016, ss. 43.

Tomasz Pietrzak: *Pospół*. Instytut Mikołowski, Mikołów 2016, ss. 61.

## „Zawieszeni na końcu jakiejś gałązki...”

Listy Zygmunta Hertza  
do Jerzego Andrzejewskiego

Korespondencja Zygmunta Hertza i Jerzego Andrzejewskiego przechowywana jest w Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie. Zbiór obejmuje blisko 80 listów z lat 1960-1978<sup>1</sup>.

Zygmunt Hertz (1908-1979) – jeden z kilkorga założycieli Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (początkowo w Rzymie) – był odpowiedzialny za administracyjną stronę funkcjonowania tej placówki oraz paryskiej „Kultury”. Prywatnie mąż Zofii Hertz (z domu Neuding), „prawej ręki” Jerzego Giedroycia. Był – jak to określił Gustaw Herling-Grudziński – pisarzem „czysto prywatnym”. Nigdy nie pisał z myślą o szerszym gronie odbiorców, swoim talentem narracyjnym raczył wyłącznie adresatów listów, w tym m.in. Czesława Miłosza<sup>2</sup>, Marka Hłaskę, Agnieszkę Osiecką czy Konstantego Jeleńskiego.

Jerzy Andrzejewski (1909-1983) zadebiutował zbiorem opowiadań *Drogi nieuniknione* (1936). Był autorem cenionych i poczytnych powieści, m.in.: *Ład serca* (1938), *Ciemności kryją ziemię* (1957), *Bramy raju* (1960), *Miazga* (Warszawa 1979/1982, Londyn 1992 – pełna edycja). Utworem, który przyniósł pisarzowi największy rozgłos, był *Popiół i diament* (1948/1954), przeniesiony na ekran w 1958 roku przez Andrzeja Wajdę. W 1976 roku Andrzejewski był współzałożycielem KOR-u.

W publikowanym tu wyborze znajdują się listy z lat 1960-1961. Przy opracowywaniu tekstów wprowadzono zmiany w zakresie interpunkcji, zachowano natomiast charakterystyczny styl, właściwy językowi potocznemu (anakoluty, liczne wtrącenia, powtórzenia itd.). Podkreślenia i przekreślenia pochodzą od autorów listów. Fragmenty pominięte – ze względu na uwagi dotyczące osób żyjących lub rozliczeń finansowych między korespondentami – oznaczone zostały trzema kropkami ujętymi w nawias kwadratowy.

Kamila Łabno

[1.]

29 IX 1960

*Kochany Jerzy –*

*Dostałem list – i uczciwie muszę stwierdzić, że nie mówiłem świnia, bo nie pisałeś, bo nie jestem zdemoralizowany moimi korespondentami, przyjaciółmi,*

<sup>1</sup> *Spuścizna Jerzego Andrzejewskiego*. Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie (MLW), sygn. 1587, t. 10, k. 1-129.

<sup>2</sup> Z. Hertz: *Listy do Czesława Miłosza 1952-1979*. Warszawa 1992.

znajomymi etc. – są wszyscy tak nieregularni w pisaniu, że doszedłem do stanu myślowego mojego dowódcy dywizjonu z okresu wojny; uważał on, że wystarczyła mi wtedy świadomość, że Zosia<sup>3</sup> jest po bezpiecznej stronie, tj. somewhere in Italy, podczas kiedy jego żona, Irena, była w Polsce – wszystkie moje prośby o przepustki na dzień czy dwa zostawały załatwiane negatywnie przy oświadczeniu: „Nie wiadomo, co z Ireną, wiadomo, co z panią Zosią”, więc stosunki przez 2 lata były jak najgorsze. Kiedyś w 1945 roku wczesną wiosną, a może jeszcze zimą powiada: „Panie Zygmuncie, bierz pan jeepa i jedź pan do Rzymu”, co mnie tak zdziwiło, że oniemiałem, na co on mi powiada: „Zawsze panu odmawiałem wyjazdu, teraz sam z propozycją krótkiego urlopu do pana przychodzę. A wie pan dlaczego? Bo dotychczas pan mówił – ten Warchałowski<sup>4</sup> to wyjątkowa świnia, a teraz pan będzie mówił – ten Warchałowski świnia, ale czasami ma ludzkie odruchy”. Wytłuma- czyłem Ci na przykładzie.

Oczywiście zaraz zatelefonowałem do Jurka Lis.<sup>5</sup> o zabranie paczki dla Ciebie – weźmie! Ale wiesz, że jestem solidny i nie lubię nic robić, aby zbyć. Piszesz o kożuszku dla Marcina<sup>6</sup>, na miarę Fidiasza, tj. Pawła-Żałobnika. To żadna miara – Pawełkowe<sup>7</sup> kształty są kształtami nieco starszawego pyknika, podczas gdy Marcin jest – z tego, co mi mówiłeś – śledziowaty. Usiądź zaraz i napisz – jaka szerokość w plecach – mierzone na marynarce, a nie na jaki[ch]ś tam sweterkach, jaka długość od kołnierza w dół, jaka długość rękawa – inaczej wyjdzie z tego klops, bzdura i pretensje do mnie, a nie do siebie. Następnie napisz, o co chodzi – tu są śliczne koMżuszki – zewnątrz jakiś tam zamś, od wewnątrz imitacja kożuszka z nylonu. [...] Po dokładnym zapoznaniu się z Twoim listem widzę, że Marciniowi chcesz dać swoją oponę („Z carskich plec[ów] szuba”), a sam w tym kożuszku chcesz się periodycznie umieszczać. Więc niechaj Cię pani Marysia zmierzy.

Z pomysłem książki, znakomity pomysł – powsadzasz wszystkie niewykończone fragmenty nowel – chytry, chytry facet.

Wczoraj byliśmy u Czesiów<sup>8</sup>. Ogród cudo, Czesław w trepkach, szalenie kułacki, źle ogolony, w cieniu gruszy, bardzo humanitarny i szlachetny, Janka zakutana w domowe sprawy, a że piwnica cementowana, a strych brudny, a to a sio, bachory urocze i przyjemne, szczególnie Piotruś, który jest jakiś miękki i aksamitny. Spłynęli- śmy do nich po południu, wspaniałe owoce w ich ogrodzie, olbrzymie TRUSKAWKI, brzoskwinie, jabłka i wspomniane cieniste gruchy, wszystko w rozmowach o wy- jechać, nie jechać do Ameryki, że kupa forsy, ale że ogród i dom, i Francja, jechać do Ameryki, Piotruś jest przeciwny i takie głupie wałkowanie bzdur. [...] Byli mili, serdeczni i przyjacielscy. Właściwie jest dość normalny dramat: Czesław jest ten ważny, a ona w cieniu i na emeryturze, poświęcona dzieciom i kamieniczce. Za wszystko się płaci w tym życiu, żadnych gratisów – i za urocze dzieci, i za sadzik, za zdolnego nieznośnika męża.

Marek<sup>9</sup> podobno w Wiedniu czeka na papiery potrzebne mu do ślubu z Sonią<sup>10</sup> – bardzo mi się przypomina Jesienin i myślę, że to tak będzie. Opowiadał mi jeden specjalista od pieczarek, że są wspaniałe pieczarki dzikie rosnące na pastwiskach, ale przeniesione w warunki hodowlane giną. Nie wiem, [d]o kogo pisał o te doku- menty, myślę, że mu tego nikt nie załatwi, bo kobiety mu tego nie zrobią, a p[leno] t[itulo] przyjaciele też nie.

<sup>3</sup> Mowa o Zofii Hertz.

<sup>4</sup> Kapitan Stanisław Warchałowski.

<sup>5</sup> Chodzi prawdopodobnie o Jerzego Lisowskiego (1928-2004) – tłumacza polskiej literatury na język francuski, który od 1954 roku współpracował z pismem „Twórczość”, a od 1980 roku objął jego redakcję. Tłumaczył m.in. *Bramy rajy* Jerzego Andrzejewskiego.

<sup>6</sup> Marcin Andrzejewski, syn Jerzego.

<sup>7</sup> Chodzi zapewne o Pawła Hertzta (1918-2001) – poe- ę, eseistę, tłumacza, związanego m.in. z redakcją „Kuźnicy” i „Nowej Kultury”. Paweł Hertz tłumaczył utwory Fiodora Dostojewskiego, Lwa Tolstoja, Antoniego Czechowa. Pozostawał w bliskich kontaktach ze środowiskiem paryskiej „Kultury”.

<sup>8</sup> Czesław i Janina Miłoszowie.

<sup>9</sup> Marek Hłasko (1934-1969) – pisarz, autor powieści i opowiadań, m.in. *Następnego do rajy*, *Cmentarzy*, *Sowy*, *córki piekarza*, *Pięknych dwudziestoletnich*. Laureat nagrody literackiej paryskiej „Kultury” w 1957 roku.

<sup>10</sup> Sonja Ziemann (ur. 1926) – niemiecka aktorka, żona Marka Hłaski.

[...]

Bardzo śmieszny słownik polsko-włoski w „Szpilkach”. A propos Olimpiady i Rzymu. Wyobraź sobie, że Ojciec Święty jest pochodzenia włosciańskiego z okolic Żnina. Jego pra-pra-dziadek nazwiskiem Rąkała ożenił się z Żydówką i zmuszony był opuścić rodzinne strony, przenosząc się pod Wenecję, gdzie przyjął nazwisko Roncalli. Oczywiście rzeczą są nazwy miejscowości w tej okolicy, a mianowicie Rzym i Wenecja. Myślę, że nabędzie u naszych dzielnych sportowców kilka Szarotek i kilka sznurów bursztynów, z których jeden ofiaruje Pasqualinie, tej od Piusa XII.

Muszę na zakończenie wyrazić ogromne zdziwienie, że angielska publika tak czyta „Ciemności”. Zła kuchnia na tej wyspie i zły gust literacki. Fe!

Aha – teraz całkiem serio – czy do „Polityki” dochodzi „Kultura” i nasze książki. Posyłam Ci przez okazję tę samą 3: „Oko” Józia [Czapskiego], „Piotrusia” [Leo] Lipskiego<sup>11</sup> i nową książkę [Aldousa] Huxleya<sup>12</sup>. Na „Piotrusia” bardzo pluje, bo obrzydliwa tematyka, ale bardzo się podoba i Kottowi<sup>13</sup>, i Czesławowi. Można i tak – są ludzie, który mają upodo[b]anie do węży i jaszczurek, lubią garbate i ostry zapach potu.

Koniec, mój drogi – list kobylasty i myślę, że Cię ruszy sumienie.

Sciskam,

Zygmunt

PS Nie pisz nadawcy – po jaką cholere. I tak cenzura znakomicie funkcjonuje, po co mają robić foto[ko]pie. I tak Cię „poznam”.

Jarek jedzie 15 – zaraz podaj miarę!

[2.]

2 XI 1960

Mój kochany Jerzy – list przyszedł dziś rano – długi, miły i przyjacielski. Bardzo się nim ucieszyłem.

Zaczynam od spraw życiowych, konkretnych i sensownych, bo w sferze możliwości realizowania. Express oczywiście Ci załatwię – to będzie prezent gwiazdkowy, antycypowany. Załatwię w przyszłym tygodniu – bieżący jest istnym urwaniem głowy. Przekłety Lericci<sup>14</sup> nabrał wody do ust. Nawet przestałem wyczekiwać wiadomości z Rzymu – to są typowo włoskie kawały. W każdym razie liczę, że Romek<sup>15</sup> przyjedzie nie za długo – pojechał na trzy dni do Rzymu we wrześniu i ciągle tam siedzi. Po przyjeździe bez najmniejszych zahamowań wezmę od niego pieniądze – jako pożyczkę dla Ciebie, i kupię ten kożuszek. Enfin ludzie ludziom muszą pomagać (à propos – pamiętasz, że przyłożyliśmy się obaj dość przypadkowo do decyzji Romków – na pewno i bez nas coś by wyszło z tego, ale może wyszło właśnie dzięki nam? Kto to może wiedzieć). No i trzecia sprawa: Zosia jest na liście „klientek” wyprzedażowych u Rodiera. To najpiękniejsze francuskie materiały wełniane i raz do roku jest wyprzedaż za zaproszeniami. Kupujemy z Twoich pieniędzy oczywiście materiał dla Pani Marysi<sup>16</sup>, który jakoś wyślę przez okazję. Arika<sup>17</sup> ma być tutaj za 2 tygodnie i myślę, że zostanie do stycznia – idealna okazja. Telefonowała Zosia do Rodiera, powiedzieli, że w listopadzie jest sprzedaż i na pewno zawiadomią. Akceptujesz – wydatek 6-8 tysięcy st. franków? Jak Ci pisałem, napisałem do „Nowego Świata” – podpisałem moją dobrą znajomą za jej zgodą. Jak dotąd nie ma odpowiedzi (nie podałem swojego nazwiska, żeby nie zrobili jakiegos świństwo-głupstwa),

<sup>11</sup> Leo Lipski (1917-1997) – autor opowiadań *Dzień i noc* (1957) i powieści *Piotruś* (1960), wydanych nakładem Instytutu Literackiego.

<sup>12</sup> Aldous Huxley (1894-1963) – pisarz brytyjski. W 1960 roku nakładem Instytutu Literackiego ukazała się jego powieść *Nowy wspaniały świat poprawiony* w tłumaczeniu Jerzego Horzelskiego.

<sup>13</sup> Chodzi prawdopodobnie o Konstantego Jeleńskiego, którego określano mianem „Kot”. Istnieje również pewna doza prawdopodobieństwa, że autor miał na myśli Jana Kotta.

<sup>14</sup> Właśc. Lericci – włoski wydawca Jerzego Andrzejewskiego.

<sup>15</sup> Roman Polański (ur. 1933) – reżyser i producent filmowy. Na początku lat 60. przebywał we Włoszech ze swoją ówczesną żoną Barbarą Kwiatkowską.

<sup>16</sup> Maria Andrzejewska, żona Jerzego.

<sup>17</sup> Arika Madejska (1928-2004) – malarka, w 1963 roku osiadła w Paryżu.

ale jeśli jej nie będzie do 15 XI, napiszę od siebie, że moja znajoma ze zdumieniem stwierdziła, że nie dostała od nich odpowiedzi. Mam tam kogoś w redakcji, więc doskonale zaczepienie – w ten sposób materiał byłby zapłacony.

Widzę, że Twój budżet układa się następująco: stały dochód z „Polityki”, dorabianie jeżdżeniem po prowincji – razem na jako-tako. Dochodzi pensja z filmu, która się kończy za 2 miesiące i wtedy się pogorszy. Ale teoria ostatniej złotówki istnieje mimo awantury na St. Germain, która mnie śmieszy do dziś dnia, tak jak najgłupszy dowcip z wystawy maszyn do prania w jednej dużej stolicy, gdzie oglądające wystawę dwie panie patrzą pełne podziwu na te pralki w ruchu i jedna z nich powiada do drugiej: „Patrz Masza – śliczne te telewizory, ładne, białe, tylko program nudny!”. W chwilach najgorszego humoru ten zupełny idiotyzm działa jak Veramon w czasie bólu głowy. Każdy ma swoje fioły i chwala Panu Bogu! Zobaczysz, Jerzy, że jak się skończy film, to coś wpadnie. Przekonasz się (i nie rób najgłupszych min, jak to czytasz!). Historii z koszulą Marcina nie rozumiem: posilem o 41 – na pewno jest ten numer. A jak za duża, to chłopak zmężnieje i będzie jak znalazł. [...]

U mnie nic nowego. Ciągle to samo, żadnych sensacji, ustabilizowane życie na poziomie przyzwoitego domu bez wychodzenia, skromnego przyodziewku w szafie używanego na wyjście i kilku par flanelowych spodni na użytek domowy. Wiesz, jak jest – bo widziałeś. To, co piszesz o pracowitym patriotyzmie waszym i naszym – to jest trafne. Bardzo trafne: i ja mam poczucie beznadziejności tego wszystkiego, wiem, że wszystko jest funkcją jaki[ch]ś wysokich zarządzeń, funkcją takich czy innych interesów politycznych ni[e] mających nic wspólnego z[e] zwiększeniem zużycia mydła, lepszego mieszkania, wyższej stopy życiowej, pogodniejszego stosunku ludzi do ludzi. Ale co zrobić. Ja wlażem na tę drogę i z niej nie zejść, bo dokąd? Szczęście jest tylko szczęściem drobnych mieszczan, typu: radości psa, że się najadł, czy młodego chłopaka, czy dziewczyny, że się ze sobą przespałi. Może jako sklepikarz byłbym człowiekiem szczęśliwym, ale jak nie szczęśliwym, to zadowolonym z[e] zwiększającego się obrotu czy sprzedania worka cukru. Wydaje mi się, że najbardziej istotnym zadaniem ludzi tutaj jest staranie się o jakąś rozsądną użyteczność w stosunku do innych. Może to zatracca harcerstwem, może dziecinne – nie serio. Może – ale jako uzupełnienie codziennej rutyny bardzo dobre i chyba sensowne.

Historie o cybernetyce przekażę Czesiowi. Wyjechali w ogromnym popłochu – patrzałem na Jankę, którą lubię, której się nie boję. To, co o niej wiem, co z niej zostało z okresu bohaterskiego, jest dość dziwaczne. Życie wepchnęło ją z całą bezwzględnością w dwoje uroczych dzieci, w Czesława, który jest wartościowym człowiekiem, z którym się nie nudzi. Ale kłopoty o pranie gatek, reperację dachu, kupienie mięsa na obiad stępiły w niej rozmach życiowy. Widziałem ich na tydzień i dwa dni przez wyjazdem. Zupełna zapaść, bezradność. Myślę, że Ameryka ją przestawi – inna cywilizacja, większe udogodnienia życiowe, regularne dochody. Miałem list od Czesława – wynikałoby, że bardzo zadowolony. Myślę, że odejdzie od publicystyki – to dobrze, że przejdzie na rzeczy nie dorywcze, a większe. Nie wiem, jak się ułoży zapładnianie, ale ostatecznie to duży ośrodek inteligencki. Przez pierwszy rok będzie miał masę roboty, bo wszystko będzie musiał budować od początku – wykłady, seminaria, bo nie pójdzie na chałtury. Dodatkowym bodźcem – brak tytułu naukowego, więc gatunkiem będzie musiał to pokrywać. Wiemy obaj, że mulisko pracowite, więc da radę. Przepiszę ostatnią stronę Twego listu i mu pošlę, ale dopiero w przyszłym tygodniu. Wg mnie Czesławowie będą tu przyjeżdżali, ale nie będą tu na stałe. Mimo atrakcyjności Europy sprawa bezpieczeństwa, solidarności nowego społeczeństwa odegra swoją rolę, szczególnie że mają te dwa uroczne Słoneczniki. Antoni wlaż natychmiast w tamtejsze życie, pasjonuje się wyborami, Piotruś niezasymlowany, myślę, że Antek chciał mieć ojczyznę, a Piotruś swoją zostawił na razie w Montgeron.

Tutaj sprawa algierska w pełnym kotłowaniu. Oczywiście Polacy nie mają nic innego do roboty, jak tym się zajmować w publicystyce krajowej (Kijowski<sup>18</sup>, Niedźwiecka i inni). Czytam to z półuśmiechem – przedstawiam kraje i okoliczności – i wtedy jasno widzę przez kontrast, że to nie jest ich business, [s]tworzyło się jakieś dziwactwo, że jeśli ktoś nie jest po stronie FLN, to nie jest nowoczesnym, postępowym człowiekiem. Dlaczego? Uważam, że Algier, tak jak każdy kraj i jak każdy człowiek, chce mieć wolność – bardzo to popieram, ale to, co jest tym ideałem, prowadzi do następnego, nowego, innego terroru, do nowych nieszczęść.

Marek w Berlinie u Sonii. Wydaje mi się, że jeżeli teraz nic z niego nie wyskoczy, to można chłopca odpisać na straty w literaturze. To, co napisał, było bardzo dobre, prawie wszystko. Czytałem jego produkcję 4 lata temu i wierz mi, że zostały mi w głowie sytuacje, a nie ludzie, że nie widzę Kuby z „Pętli”, nie wiem, jak wygląda Agnieszka z „8-go dnia”, nie widzę szoferaków z „Następnego do raję”. Widzę śnieg i las, i niebo. Nie pamiętam bohaterów. To źle, że papier tak zbladł, że nie zostały cienie.

Zygmunt wyjechał do centrali na kilka miesięcy. Bardzo mi [go] brakuje – przy całym małpowaniu to dobry i porządny człowiek, mający wszystkie mózgowie szufladki na miejscu, dobrze kojarzący i przytomnie myślący. Byłem z nim zaprzyjaźniony i w ciągu tych pięciu czy sześciu lat przyjaźni ani razu mi nie nawalił. Sam wiesz, że to dużo. Zre[sz]tą ja jemu też, nieco sobie na do widzenia powiedzieliśmy. Będzie na pewno dojeżdżał. Zrobiło się pusto. Wiesz, że moje przyjaźnie to 3 osoby: Cześć, Zygmunt i Kot<sup>19</sup>. Jeden Kot został, pochłonięty przez swoje zajęcia, komplikacje życiowe, przedenerwowany i zagoniony.

Mówiliśmy o Tobie z Andrzejem<sup>20</sup>: rozmowa była długa, w La Reine Pedoque. On ma jakieś historie żołądkowe, nie pije, więc ja wydulczyłem butelkę czerwonego wina sam i bez jego współudziału, byłem nieprzyzwyczajonie sentymentalny. Mówiliśmy o Tobie jak najlepiej i jak najczulej. Oczywiście wino pomogło.

Stary Lisku – widzisz, że myślę? o okryciu Twego wątłego ciała szubą, i jak tylko Romek się objawi, to go wezmę za nie tyle głowę, co kieszeń. Miałem wiadomości z Rzymu, że ona [tj. Barbara] ciężko pracuje – studio 12 godzin, bo Clement improwizuje i musi mieć cały zespół na planie przez cały czas. Wieczorem 2 godziny lekcji francuskiego, potem się wkuwa roli. Dziewczyna jest na wielkiej trampolinie i jeśli w ciągu tych dwóch lat tego nie wykorzysta, to w najgorszym razie zdobędzie światowe doświadczenie i pójdzie na odwody do Warszawy. Ale myślę, że skok się uda – jest młoda, zdolna, pracowita i ładna. Zresztą mam do „dzieci” taki sam stosunek jak i Ty – bardzo je lubię i życzę im jak najlepiej. Ważne jest, żeby Romek się zaczął – dla mnie personalnie całkiem nieważne, bo wiem, że nie jest przyszytym mężem, eksploatującym Basię, ale dla jego samopoczucia i spojrzenia innych niezmiernie istotne.

Kończę tę długą epistołę, szczęśliwie jest okazja, więc list będziesz miał szybko, a Krystyna<sup>21</sup> paczkę Gauloisów dla Ciebie – upomnij się, bo jak tego zaraz nie zrobisz, to Irena na niej położy rękę, bo bardzo na nie pazerna.

Sciskam Cię najserdeczniej

Zygmunt

[dopiski:]

1) Możliwe, że do Ciebie zatelefonuje mój dobry znajomy Adam Czachnowski<sup>22</sup> w sprawie skompletowania „Kuźnicy”. Jeżeli możesz mu dać dobre rady, zrób to – on tę „Kuźnicę” obiecał (raczej ja go prosiłem więcęj, niż on obiecywał).

[...]

<sup>18</sup> Andrzej Kijowski (1922-1985) – krytyk literacki, prozaik, eseista. Od 1958 roku współpracownik miesięcznika „Twórczość”.

<sup>19</sup> Konstanty Jeleński (1922-1987) – eseista, krytyk literacki, krytyk sztuki. Współpracownik paryskiej „Kultury”. Prywatnie związany z Leonor Fini (1907-1996), argentyńską malarką włoskiego pochodzenia.

<sup>20</sup> Autor listu mógł mieć na myśli zarówno Andrzeja Drawicza, jak i Andrzeja Jareckiego.

<sup>21</sup> Chodzi prawdopodobnie o Krystynę Tarnowską (1917-1991) – tłumaczkę literatury, żonę Wacława Wagnera, serdecznego przyjaciela Zygmunta Hertza.

<sup>22</sup> Przyjaciół Zygmunta Hertza – miły, mądry facet, historyk, wicedyrektor Wydawnictw Szkolnych, z którym często się widuję (Z. Hertz: Listy..., dz. cyt., s. 239).



[3.]

18 XII 1960

Kochany Jerzy

Długi i fascynujący list dostałem: świetna proza. Czytałem go 3 razy. Wczoraj na zmęczono i niewyspanie, bo właśnie przyleciałem z Rzymu. Cóż to [za] szalona frajda latać Caravellą: – 100 minut i zmiana stolicy z pięknej na najpiękniejszą. W Rzymie generalnie rozczarowanie. Jedyne urok tego miasta, że odmładza, odmładza przez to, że patrzałem po raz pierwszy na nie 16 lat temu. Nic się nie zmieniło w budynkach – patrząc na nie, odmłodziłem się o te 16 lat. Na krótko – na czas patrzenia jedynie. Rzym nie poszedł mi na zdrowie psychiczne. Czuję tam obcy, stary, nie-wiadomo-po-co. Pisałem Ci bodaj o tym. Kłębowski małych samochodów na ulicach, wolny ruch uliczny, irytująco wolny, nie moje nerwy na to. Tłok na chodnikach – ludziska udający, bez przerwy udający – zamożność, beztroskę, zainteresowanie kobietami, sklepami. To banda biedaków w sztucznej biżuterii. Porobiłem trochę obserwacji. Świetnie rozwiązane plastycznie wnętrza nowoczesnych barów, doskonałe maszyny do kawy, tostów, wyciskania owoców. Kupy najrozmaitszych smakowitych knajpek czy sandwiczów, maślanych bułek z tym i owym. To biedny kraj – bary te są zapchane wyprasowanymi, wyglansowanymi tubylcami w okresie posiłków – cappuccino i sandwich – ot, i obiad zjedzony za głupie 200 lirów. Tego tu u nas nie [ma] – te kanapki to dla spienionych turystów czy turystek nie chcących tracić czasu na obiad, wystraszonych, że ich orzną w pierwszej knajpie za rogiem i kelner będzie miał jeszcze pretensje.

Sklepy pełne efektownej tandety, efektowniejsze niż w Paryżu, tańsze i stąd ta opinia o Włoszech wśród Polaków. Cena jest przecież najważniejsza, jeśli się jest z nędzarskiego kraju.

Było mi w tym Rzymie dziwnie źle i niezorganizowanie. Do tego sirocco co parę godzin, przegrzane hotele. Nie – starszankowie powinni jeździć co najmniej parami i doskonale to rozumiem, że gdy autocar zatrzymuje się koło Mena House w Cairo, skąd się już pieszo idzie do piramid, a z autocaru wywala się 50 czy 60 Amerykanek, to przypomina się Napoleon – „Czterdzieści wieków na was patrzy” – tylko Napoleon winien być zwróco[ny] do piramid, a nie do grupy turystek. Im starzej, tym stadniej.

W Rzymie Basia, miła, przyjemna, ładna i kojąca. Właściwie widywaliśmy się codziennie. Dziewczyna zaorana, zapracowana – po 12 godzin na planie w letniej sukieneczynie i malaturze. Wracała ledwo żywa – chodziliśmy do knajpy na jakieś parówki, jakąś kapustę, bo kto by we Włoszech jadł makaron – to się jada w Paryżu we włoskiej restauracji – ja nie, bo nie [!]ubię. Była Ola Śląska, zabrała dla Ciebie krawat od Basi i ode mnie Doriden i list. To wszystko już pewno masz u siebie.

I tak zeszło chyba osiem inercyjnych dni, z wybieraniem się codziennie, że już wracam, i nie wracałem, i to samo następnego dnia, i tak aż do końca, kiedy Basia dała pieniądze, które akurat wystarczyły do lotniska. Nie myślałeś, mój drogi, że zarażony Twoim paryskim bakcylem – „już za tydzień jadę”, siedziałeś miesiąc następny.

Na Pawła jestem wściekły – doskonale rozumiem to, że on siebie słyszy. Rozumiem – dobudowaliśmy teorię do praktyki przyszłości, podbudowaliśmy, skropiony Yardleyem i wytłumaczywszy sobie, „będziemy szukali nowych ideałów”, jak starzy krakowscy endecy z końca XIX wieku. Jedna niekonsekwencja w tym – sybarytyzm. Nie powinno się patrzeć tak, jak Paweł chce patrzeć – nie należy dobrać skarpeteczek i mydełka do ciała, właśnie z tego Zachodu. Myślę, że może tu i kompleks zawiedzionej miłości.

A więc w odwoływanie naczelnego wodza – czekają na Ciebie i się nie doczekają, bo przecież nie można się wiecznie huścić. I właściwie po co? I tak i bez tego przeżyjesz i dasz sobie radę.

Mnie to wszystko łatwo wypisywać. Nie mam tych problemów, siedzę poza tym, daleko na uboczu, widzę ludzi przyjeżdżających na wakacje, odpoczynek, lipne studia czy researche – ludzi chcących się podobać, czystych, miłych, gładkich. Nie widzę ich w wilczym życiu i w wilczych czasach – widzę ich wodzących się za rączkę,

flanujących po Champs Elysees – oglądających wystawy sklepowe. I ten sam milutki X tutaj, jest ostatnią kanałą tam. Mówię o tych powierzchownych znajomych.

Nie jestem zdziwiony tym całym kontredansem – jakoś to się zaklepie – ustąpimy dwa schodki, może trzy – postoiemy na nich, potem następne dwa – tak to będzie szło. Znowu raj dla pogodniaków-grafomanów, no i co z tego?

To, co piszesz o Fe[[trinellim, to się zbiega z moimi myślami – nigdy nie miałem na myśl K. – nie należy robić prowokacji, bo to nic nie daje prócz przyjemności zrobienia na złość na małą skalę. To może być na drugim planie – może, ale nie musi i na pewno – wiesz dobrze – nie będę Cię namawiał, co Ci napisałem przez Irenę bodajże. Z Ireną najczulsze rozmowy na Twój temat – ona chciałaby, żeby było tak, żeby u was można by. Tak jak Baliński marzy, żeby wszyscy jedli zupę, mieli całe skarpetki i żeby czytali z zachwytem jego liryczne wiersze. Wydaje mi się niemożliwe – nie czytanie tych liryków, ale marzenie Ireny w realizacji. Projekt Twojej książki to trochę Faustus, ale na pewno będzie lepsze.

Przeczytałem Twój list po raz piąty. Naprawdę wielka proza i Ty, stary idioto, [za]miast siadać i nareszcie Twego świńskiego ryja rozbudowywać, piszesz do mnie wrzuszające listy. Przecież mieć talent i umieć pisać – a u Ciebie jedno i drugie – to wielka rzecz, której zazdrościć należy. A straszne to, że się musi w tych dziwnych czasach być i w cuglach i na wąskim paseczku wyrysowanym przez tych, którzy mają władzę. To, co mi piszesz, że telefon nie dzwoni, że samotność – jakże to smutne w zestawieniu z tymi facetami z czystymi nogami, kołnierzykami, którzy właśnie przyjechali do ville lumiere na wczasy czy wywczasy – oni tu są mili i towarzyscy, i szlachetni. Tu, ale nie tam. Jakie to okropne, że facet tej miary co Czesław pisze dla kilku tysięcy – nie, dla kilkuset ludzi – kiedy ręka jego jest poza paraliżem – Ty mogący pisać dla tysięcy masz tę rękę paraliżowaną. Myślę, że z mego listu wyrozumiesz wszystko – podróże kształcą, a ja kupiłem w samolocie butelkę whisky i siedzę, i piszę, i popijam z zielonej szklanki – i trochę litery mi się mieszają i trochę sens skacze. Ale zrozumiesz. I będziesz wiedział, mój kochany Jerzy, jak bardzo mnie – dlaczego akurat mnie – też niejasne i niewiadome, ale na pewno mnie też tak zależy, żebyś wyskoczył z tego kredowego koła narysowanego wokół koguta. Będąc kogutem inteligentnym, wiesz, że ta kreda to bzdura, że to narysowane, a nie wybudowane.

[...]

Jerzy, odrzuć całkowicie troskę o pieniądze – nie warto, żebyś sobie tym głowę zaprzętał – naprawdę moja przyjaźń do Ciebie jest bezinteresowna, wiesz o tym najlepiej – mnie zależy na tym, żebyś pisał – umiesz to i lubisz-nie-lubisz, ale umiesz i prócz tego ta wielka, ogromna satysfakcja, że dasz sobie radę bez nich. Nie wiem, czy Ci się uda ugadać Jurka L[isowskiego] na tłumaczenie – nie jestem pewny, ale na pewno miałbym dobrego faceta na włoski, który robił „Rodzinną Europę”, na pewno postawię się na głowie tutaj, będę chodził i dlubał, i wydziobię. I właściwie dobrze, że telefon nie dzwoni, że wyobcowanie, wszyscy już sobie wszystko powiedzieli, wszystkie reakcje ludzkie mogłeś przewidzieć, żyjesz przecież w okresie doświadczeń i każdego eksperymentu rezultat jest z góry do przewidzenia. Dałem sobie słowo, że jutro poprawię błędy maszynowe, bo jednakże tej whisky za dużo, i to od pierwszej połówki, pierwszej strony.

Z przerażeniem myślę o świętach – najgorszy okres w roku. Od Janki olbrzymi list – zadowolona i się nie skarży. Rzeczywiście aż dziwno, kiedykolwiek do nich telefonowałem, a przynajmniej[!] 4 razy na tydzień trafiałem w zagięty głos właścicielki daczy pełen wyrzutów, że musi obiad gotować, a że kuchta nie przyszła, a że trawa źle rośnie, a że Czesław o coś tam zły i że forsy nie mają. W Ameryce jak nowa – dzieci chodzą do szkoły, zadowolone, świetni dentyści – wszystko jak najlepiej, do domu dowożą, lekko żyje. Bardzo jej użyczam – lubię Jankę i się jej nie boję, co podobno rzadkość a rzadkość. Nie ma słodkiego życia, ale kto je ma? Szczęśliwi episiejcy, bo utarg dobry i cukier cały poszedł, i odłożą w tym miesiącu 100.000 frs. Mimo to nie chciałbym mieć sklepu i tych przyjemności.

No, Jerzy – dobrych święt – trzymaj się i pozostań w Twoim fachu – nie miej sklepu z mąką i cukrem, miej swoje kłopoty i zmartwienia, samotności i zakręcenia – ogólną niemożność i kłopoty – wiesz dobrze, że ten bolesny pieprz i sól coś dają.

No, kończę moją szklankę i ten list, który dla odmiany pojedzie do Ciebie przez Londyn. Jakie to dziwne właściwie, że obaj po pięćdziesiątce i tak właściwie nie wiadomo dlaczego, jakoś zaprzyjaźniliśmy się ze sobą. I jakieś takie głupie sentymenty – Olę prosiłem, żeby Ci ten krawat kupiony w Rzymie osobiście oddała, bo na pewno Ci opowie, w którym sklepie na Piazza Barberini, w tym domu, gdzie się mieści najparszywszej linii lotniczej biuro, bo „Lotu”, i jak ona poszła tam na górę, to ten krawat akurat kupiłem, bo zresztą tam zawsze, jak jestem w Rzymie, kupuję. Potem z Basi ściągn[ą]łem za niego połowę, o tak sobie, żebyś i od niej coś tam miał, a Dorideny to była moja rzymska rezerwa, bo ten paskudny sirocco spać nie dawał i rano katz straszliwy, bo za dużo i w gardle suchość pustynna od Gauloisów ze starych stocków włoskich wysuszonych na pieprz, wiesz, taka suchość aż do połowy przelyku, hermetyczna jakaś, nieprzemakalna, nie dająca się zmyć wodą, kawą, mlekiem, sokiem owocowym. Nie, źle było w tym Rzymie!

I rzeczywiście kończę – a faceta, który zabiera, proszę, żeby na kopercie napisał swój adres, bo wraca, albo żeby swoją kartkę do Ciebie dorzucił z detalami, kiedy jedzie.

Sciskam Cię

Z.

[dopiski:]

Arika coś tam poszachrowała z tym alkoholem – już nie skleć, spóźniła pociąg i odprowadzający do nich na Czerniaków pojechali i rozpiłi, i ona w zamian spirytus przywiozła, ale też wypilem, tak że Bóg zapłać.

Przed chwilą dzwonił Romek, że [...] jedzie, więc on ten list weźmie. A katza nie mam – mimo poważnej wyrwy w zawartości butelki Black+White. Aha! Czy mogę Twój list posłać Czesiowi? Nie zrobię tego bez Twojego Feu vert.

[4.]

23 II 1961

Mój Drogi –

Zaczynam ślimaczyć list do Ciebie – nie wiem, kto go zabierze, ale to wszystko jedno – odejdzie za tydzień czy za miesiąc, nic się nie zmieni ani wskutek tego, że list się przeleży, ani na pewno nie zajdą żadne sensacje, że to, co piszę, będzie zdezaktualizowane. Będzie tak samo bez sensu jak wszystko. Zaczniemy od spraw realizowanych i najbardziej sensownych. Tak jak mi napisała p. G., powinno być trochę pieniędzy – kiedy, nie wiadomo, ale to parszywi włoscy wydawcy. Ci wyspiarze jeszcze zachowują jakąś przyzwoitość w handlu – może to skutek nietykalnego, jak im się wydaje, położenia geograficznego, może jakieś tradycje z okresu, kiedy Cromwell obcinał rączki czy nóżki – dość, że są jeszcze uczciwi. A może to skutek braku wyobraźni. W każdym razie pieniądze powinny przyjść. Pani Gr. wskazałem drogę komunikowania się z Tobą – przeze mnie – myślę, że tak lepiej. Jeśli pieniądze przyjdą, starać Ci się coś z tego wysłać, czy trzymać tutaj i wydawać na ciałko Twoje, Agnieszki, Pani Marysi czy Marcina? Oczywiście wysłałbym przez okazje. Jeśli przyjdą na czas, tj. przed wyjazdem Arika, to na pewno ją namówię na zabranie wszystkiego.

U mnie nic – humor raczej pod psem, bo w miarę starzenia się rozmaite bzdety, które mi jeszcze 10 lat temu mogły sprawić przyjemność, dziś spływają jak woda po gęsi. Wszystko razem dość jednakowe i dość monotonne. Spowszedniało mi sztuczne robienie napięć, pośpiechów, ważności jakichś spraw. Właściwie wszystko jest mało ważne i bez znaczenia, mam poczucie bezsily nas wszystkich i was wszystkich – jesteście zawieszani na końcu jakiejś gałązki, którą poruszają albo przypadki, albo jakieś decyzje pobierane na wysokości pnia, bez cienia możliwości z naszej strony, aby na nie

wpływać. Nie masz pojęcia, jak zazdrościsz ludziom, którzy cieszą się na pójście do kina, restauracji, których raduje kupno krawatu czy nowej pary zamszowych butów. Dobrze, że są jeszcze tacy, i myślę, że takich w krajach biednych musi być więcej – raduje kupno bułgarskiego zielonego groszku, soku owocowego czy zdobycie jaki[ch]ś ekstra pończoch. Tutaj groszek w każdym sklepie spożywczym i pończochy w nadmiarach.

Przeczytałem ostatnio książkę Paloczi-Horvatha<sup>23</sup>. Węgier z arystokratycznej rodziny, ogromnie z tego dumny, liberał, od 1947 w alianckiej propagandzie radiowej na sekcji węgierskiej – potem wraca na Węgry, obejmuje redakcję tygodnika i kończy w więzieniu, gdzie siedzi do 1954 r. Opis więzień i systemu więziennego niezmiernie plastyczny. Pamiętasz, interesowały Ciebie te sprawy w Paryżu – czy Ci wysłać książkę?

Myślę – mam na myśli Wasze środowisko – że i u was jest powszechna sztuczność stwarzania napięć. Przypuszczam, że jest to sprawa masowa, że napięcia stwarza się bezwiednie i nieświadomie i w ten sposób trzymacie się w atmosferze nerwów. Przez to życie pozornie pełniejsze, a praktycznie bardziej ożywione. Jeśli ktoś się z tego wyłączy – co jest dość trudne, bo powierzchnia styków ogromna – wpada w nudę i monotonię.

Właściwie dzieje się rzecz dość dziwaczna. Mieszkam poza zasięgiem – w innym kraju, w innym systemie, w innym kręgu cywilizacyjnym i już tak dziwnie los zrządził – nie wiem zresztą, czy los, może sam podstawiłem się pod niego, że moje zainteresowania są właśnie w dorzeczu Wisły, a nie Sekwany, że w gruncie rzeczy wielkie sprawy Algieru czy Kongo obchodzą mnie tak, jak turystę w[e] Florencji zmiana gabinetu włoskiego. Ale jeśli pomyślę, że interesując się skarpetkami, szelkami, lekarstwami w pudełkach równo i utylitarnie rozłożonymi na półkach – jak bardzo by mnie to nudziło. I właściwie jestem w pewnym sensie en carte – ani wy, ani ja nie możemy mieć wpływu na to, co się dzieje obok nas – że „jakoś” płyniemy na tej wodzie. Niektórzy mają złudzenia – może są w ten sposób szczęśliwsi, ale przeżywają upadki – rzadko iluzoryczne wzloty. Stworzyłem sobie jakąś – pewno bezsensowną – filozofię – fikcję użyteczności. Wydaje mi się, że będąc użyteczny na małym wycinku, coś to ludziom daje. Oczywiście bzdura – to są angielskie plasterki rozdawane współtowarzyszom wielkiej katastrofy kolejowej, dziecinada i harcerstwo. Z zazdrością patrzę na ludzi starających się gromadzić pieniądze, szukających dróg zaspokajania ambicji, mających kłopoty z dziećmi, wypełniających sobie życie rodziną. To wszystko jakoś poza mną.

Przed chwilą wróciłem z miasta – przesiedziałem z Ariką 2 godziny w zabawnej knajpcie, opowiadaliśmy sobie historię – wróciłem moją ciuchcią do domu – jutro zaczynam dzień o 6 rano.

Właściwie to, że niechętnie nastawienie do tego wszystkiego razem, może jest spowodowane ogromną ilością wrażeń, które człowiek odebrał, i to tych wrażeń najokropniejszych, najgorszych. Jak patrzę wstecz na ludzi, którzy przy mnie odwalili kitę z głodu czy chorób, jak patrzę na tak przerażające rzeczy, które widziałem – wywózka na przykład wsi Żabie, jak ciągnęły wozy i podwoły i wystraszeni, apatyczni ludzie i jak się zastanawiałem, czy [po] powrocie do Stanisławowa zastanę wszystkich na miejscu, a może już też w jaki[ch]ś wózkach czy podwodach jadących na dworzec, jak przypomnę sobie przewrócenie wszystkiego do góry nogami w 1939 r. – przecież to i tyle innych rzeczy to trochę za dużo jak na jedno pokolenie.

Jerzy – [...] wszystko się pokręciło, nie dokańczam listu [...].

Napisz przez Basię – do Czesia – nie psuj tej historii, która może za 100 lat być odgrzebaną [...]. Ściskam

Zygmunt

oprac. Kamila Łabno

Obszerniejszy wybór tej korespondencji opublikujemy wkrótce na stronie [www.akcentpismo.pl](http://www.akcentpismo.pl) w zakładce „Akcent w przestrzeni”.

<sup>23</sup> György Pálóczi-Horváth (1908-1973) – pisarz węgierski, autor m.in. autobiografii *The Undeclared* (1959).

# czytanie Petersburga

EWA DUNAJ

## Zwycięstwo

*Już po wyjściu z domu coś mnie tknęło. Najpierw znacznie większe niż normalnie korki. Podejrzenie dużo policji i żołnierzy. Młodzi mundurowi rozstawieni wzdłuż ulicy przy krawężnikach. Nie, żeby jakaś wojna, ale na pewno wielkie święto. Ale to przecież jeszcze cztery dni?*

*Wszystkie domy, skrzyżowania i place toną w dekoracjach. Pamiętam te motywy z najgłębszego dzieciństwa: pośród czerwonych wstęg i gigantycznych napisów gwiazdy, sierpy, młoty, portrety, koła zębate, kłosy, słońca, pistolety...*

*W pokoju nauczycielskim poinformowano mnie, że lekcje się nie odbędą, bo jest wielki koncert i należy od razu przejść na „trietij etaż”.*

*W „teatralnam zale”, w kilku rzędach poprzedzających jeszcze puste krzeselka, tkwili już sztywno usadzeni siwi mężczyźni w mundurach i siwe kobiety w szarych garsonkach, wszyscy z rzędami ogromnych medali i gwiazd na piersiach. Pod sceną gorączkowo kłębiła się obsługa akademii – nauczycielki i pracownicy techniczni z laptopami i mikrofonami, ustawiający dźwięk i przesuwający projektory. Otwarte pianino zapowiadało przyszłe wzruszenia. Cienkim strumyczkiem do sali wpływali uczniowie poszczególnych klas, poubierani w mundurki udekorowane pomarańczowo-czarnymi kokardami (od orderu gregorijskiego). Jak się później okazało – kolejno mieli występować wszyscy.*

*Usiadłam w kąciku sali, blisko okna, z obawy przed zaduchem wynikającej z przeszłych, dotkliwych doświadczeń.*

*Sceniczna dekoracja była jak zwykle oszczędna, a jej rolę przy poszczególnych numerach pełnić miały – także jak zwykle – przezroczka. Tym razem jednak zamiast kwiatów i baloników przygotowano zdjęcia rzucających się do boju żołnierzy z otwartymi ustami, fotografie dzieci witających kwiatami kolumny wojskowe, strzelających czołgów i kałachów, portrety bohaterów „wojny ojczyznianej”, szczupłutkich „synów pułku” otoczonych opiekuńczymi ramionami „kamandirów”, wreszcie – obrazy pomników i cmentarzy. Po bokach sceny na udrapowanym czerwonym aksamicie przypięto złote wieńce laurowe, emblematy pułkowe, herby Rosji i Petersburga oraz dwie daty: 1941 i 1945 – początek i koniec wojny. I jeszcze rzędy kartonowych ptaków (odlatujących? wracających?), które – jak się później okazało – stanowiły ważny motyw w prezentowanych wierszach, scenkach rodzajowych i pieśniach.*

*Potem było już tylko gorzej. Wiersze, w których powtarzało się nieustannie: „chwała sałdatam”, „rodina – mać twaja”. Pieśni z refrenami „twaja wajna” albo „dieta wajny”. Tłuści i nieurodziwi chłopcy o twarzach naznaczonych trądzikiem, źle zestrojonymi głosami śpiewający, że teraz „samalioty”, a „diuwuszki patom”. Ogromny kłęb siatki maskującej udającej grób żołnierski i skrywającej odsłoniętą później wielką, czerwoną gwiazdę, wokół której*

zgrupowała się grupka młodzieży z plecakami. Najwidoczniej udawali turystów, a potem stali długo i nieruchomo, odgrywali nudną, statyczną scenę, markując patriotyczną zadumą i wzruszenie, aby wreszcie ułożyć pęki nie wiadomo skąd zmaterializowanych czerwonych goździków. Powagę piosenki o dzieciach wojny zakłócił niezamierzony komizm – jedna z pieśniarek uległa widać w przeddzień święta jakiejś kontuzji i miała chudą rączkę zawieszoną na temblaku, wyglądała więc jak prawdziwe, uszkodzone „dziecko wojny”. Zastanawiałam się, czy rzeczywiście jeden numer gorszy jest od drugiego, czy może w obiektywnej ocenie przeszkadza mi negatywne nastawienie. Przez ten rok, pracując w szkole, chciałam, żeby moje maluchy były szczęśliwymi dziećmi, którym ojczyzna kojarzy się ze spokojem i dostatkiem, a nie wojną.

Obserwowałam twarze młodych śpiewaków, recytatorów i aktorów. Niektóre były znudzone, ale większość wykonawców uczestniczyła w akademii z żarliwością i zapalem wyrastającym znacznie ponad zwyczajne uczucie zadowolenia z aplauzu publiczności. Myślałam, dlaczego współczesne programy wychowawcze (nie tylko rosyjskie) zostały zredukowane do dwóch, pozornie skontrastowanych ze sobą, ale w swej istocie tożsamy, bo ogłupiających, modeli. Pierwszy – to kult najprymitywniejszej konsumpcji („skóra, fura i komóra”, gangsta rap), a drugi to nacjonalizm i kult wojny, udający „świętą miłość kochanej Ojczyzny”. Pustka ideowa i apoteoza siły ubrane w kostium kiczowatego piękna lub patriotyzmu i moralnej słuszności. W jednym i drugim wypadku – przerażająca jest dziecięca bezbronność, łatwość poddawania się manipulacji ze strony dorosłych.

Ale dopiero jeden z ostatnich występów dopełnił miary mojego przygnębienia. Uroczę maleńtasy (sześć- i siedmiolatki) odśpiewały z wielkim przejęciem wszystkie osiem zwrotek „Katuszy”. Z tą pieśnią Armia Czerwona biła się z polskim wojskiem w 1920 roku, co zawsze wspominał mój dziadek. Było mi wstyd i przykro. Nawet najstarsze z zapamiętanych szkolnych akademii, w których uczestniczyłam jako dziecko (lata 60.) nie dostarczały mi takich przeżyć – tam były co prawda jeszcze socjalizm i internacjonalizm, czerwone sztandary i przyjaźń, praca i nauka dla społeczeństwa, ale nie było tak wprost artykułowanego kultu wojny, walki, siły, zabijania, zwyciężania. Pomyślałam ze współczuciem o tych dzieciach. Ale jednocześnie, niezależnie nawet od świadomości, poczułam, że odtąd już nie będę mogła ich lubić, już nie będę czuła do nich sympatii, już nie będę dla mnie dziećmi, tylko – dziećmi-potencjalnymi żołnierzami.

Tymczasem sala śpiewała „Katuszę” gromkim chórem – ta pieśń zjednoczyła uczniów, nauczycieli i kombatantów. I emocje nie opadały już do końca. Kolejne pieśni także śpiewano wspólnie (przynajmniej refreny), rytmicznie klaszcząc do taktu. Po każdym numerze młodych artystów oklaskiwano na stojąco. Wreszcie jedna z kobiet żołnerek wstała z wielkim pękiem czerwonych goździków w rękę i zwróciła się do sali. Dziękowała za piękne wiersze i piękne pieśni, mówiła o wielkiej wartości, jaką stanowiło zwycięstwo. A na koniec – niczym w parodii rysunku Banksy’ego (który to rysunek sam był parodią) – wzniosła do góry kwiaty i trzykrotnie ryknęła: „Ura! Ura! Ura!”. A cała sala dzieciaków krzyczała wraz z nią.

Ewa Dunaj

# bez tytułu

LESZEK MĄDZIK

## Niebo i piekło

*Przed laty niektóre moje wędrówki, tak ze Sceną Plastyczną KUL, jak i te związane z wystawami czy warsztatami, prowadziły na Bliski Wschód – do Egiptu, Iranu, Libanu czy Syrii. Podczas jednej z ostatnich w owym czasie takich wypraw dotarłem do Damaszku. Po warsztatach, które poprowadziłem na tamtejszym uniwersytecie, zaproponowano mi wyjazd z wystawą w głąb kraju. Podróż samochodem miała trwać długo, spodziewałem się, że dzięki temu będę mógł nasycić wzrok widokami terenów przyległych do drogi.*

*Choć wyruszyliśmy o poranku, skwar już dawał o sobie znać i zanosilo się na jego eskalację. Gdziekolwiek ludzkie sylwetki rzucały długi cień na piaskowej ziemi, a pojawiające się drzewa i krzewy skłaniały do pytań, czym ludzie gaszą pragnienie. Niespodzianką w czasie jazdy w tej wypalanej przestrzeni była burza piaskowa, która nadeszła nagle, zaciemniając prawie całkowicie niebo. Ławice piasku poderwanego z ziemi uniemożliwiały dalszą podróż. Z minuty na minutę dzień zamienił się w noc. Pomimo zamkniętych okien samochodu piasek wdzierał się do środka. Trąba piaskowa uderzyła w dach pojazdu i swoim dźwiękiem spotęgowała poczucie zagrożenia życia.*

*Tak jak zniecka mrok się pojawił, tak nieoczekiwanie ustąpił miejsca światłu. Po paru godzinach jazdy, urozmaiconych atrakcjami natury, na horyzoncie pojawiły się kontury miasta, które było celem wyprawy. Piaskowy kolor domów zlewał się z gruntem o podobnej barwie. Przedmieścia Aleppo witały nas wczesnym popołudniem.*

*Tu skwar był jeszcze większy. Nagrzane mury i ulice oddawały ciepło niebiosom. Spokój miasta był niezakłócony. Dostrzegłem otwarte kawiarnie, a na ich tarasach sylwetki mężczyzn. Miasto jakby senne, leniwe zapowiadało zbliżającą się sjęstę. Nieco dynamiki wprowadzały psy i przeciągające się koty. Powietrze w tej strefie jest rozgrzane do czerwoności – zmusza do szukania cienia. Tylko on dawał szansę zejścia z nagrzanego patelni. W sercu miasta była galeria, w której następnego dnia otwierałem wystawę fotografii. Budynek miał grube mury, zatem we wnętrzu panował chłód. Potęgowała go ceramiczna posadzka, dając wytchnienie po całodziennym eskapadzie. Przestrzeń przeznaczona na wystawę była dość duża, co pozwoliło na ekspozycję wszystkich prac.*

*Noszę w sobie obraz tamtych dni, życzliwe rozmowy, serdeczne przyjęcie i charakterystyczny spokój tego miasta, przerywany od czasu do czasu dziecięcymi okrzykami i śmiechem...*

Leszek Mądzik

# namiętności

MAREK DANIELKIEWICZ

## Nie opuszczaj mnie...

Profesor PWST im. L. Solskiego w Krakowie Józef Opalski przygotował w Teatrze Miejskim im. W. Gombrowicza w Gdyni nowy spektakl *Café Luna*. Jest to kolejny przykład dobrej współpracy reżysera z Anną Burzyńską. Profesor Burzyńska jest nie tylko pedagogiem i autorką prac naukowych. Opublikowała m.in. powieść *Fabulant. Powiastka intertekstualna* (Kraków 1997) oraz tomy dramatów: *Nicland. Cztery sztuki teatralne* (Kraków 2004) i *La mayoria de los suicidios ocurre en domingo / Hombres al borde de un ataque de nervios* w przekładzie na język hiszpański Joanny Bielak i Xaviera Farrégo (Madryt 2006). Jej sztuki zostały przetłumaczone m.in. na niemiecki, francuski, hiszpański, kataloński, włoski, słowacki, czeski, bułgarski i były wystawiane na deskach teatrów polskich i zagranicznych.

Po spektakularnym sukcesie dramatu *Niżyński. Zapiski z otchłani* (2013) w krakowskim Teatrze im. J. Słowackiego ten profesorski tandem pozytywnie zaskakuje nas przedstawieniem lekkim i na pierwszy rzut oka prostym, ale nie ma nic trudniejszego od prostoty. Tym razem Józef Opalski prezentuje piosenki z filmów Pedra Almodóvara, a Anna Burzyńska pisze zaskakująco śmieszne dialogi.

Czekałem na ten moment, gdy wybrzmiał pierwsze takty pieśni Chaveli Vargas z filmu *Kwiat mego sekretu* (1995), a tu zamiast kanonicznej wersji usłyszałem niekanoniczny pastisz – modlitewną prośbę o mężczyznę. Trzy kobiety na kolanach proszą o swoją drugą połowę. Inwokacja jest zbiorowa, chociaż pożądanie silnie zindywidualizowane. Nie padają więc słowa Chaveli Vargas, wyśpiewane głosem kobiety, która wypila hektolitry alkoholu:

*Usiądźmy nad flaszką wina,  
a kiedy błysnie dno... Pójdziemy sobie...  
Chcę widzieć jak mnie zapominasz,  
gdy ptaki twoich rąk,  
odfruną z powiek.  
Tej nocy nie będę cię prosić byś pozostał.  
Chcesz iść, to idź.  
Tak trudno żyć bez miłości...  
(...)*

Kiedy trzy aktorki (Beata Buczek-Żarnecka, Olga Barbara Długońska i Elżbieta Mrozińska) wykonują swój rytualny śpiew o odwiecznej potrzebie mężczyzny, to z mroku wyłania się drag queen Ricardo (Rafał Kowal). Przyznaje: Kowal dobrze śpiewa, ale daleko jego nogom do nóg Beaty Buczek-Żarneckiej.



Mam od lat na Facebooku znajomego z Buenos Aires, jest argentyńskim drag queen, przybrał pseudonim Diego Neón. Jest sławny.

Kiedys zapytał mnie o samopoczucie. Odpowiedziałem mu szczerze. Tu jest Europa Wschodnia, ja się nie czuję, ja bytuję na skraju załamania nerwowego, jak wielu poetów. Moja odpowiedź zbiła go z tropu, bo spodziewał się zwyczajowego, jankeskiego OK. A dla mnie OK może być tylko w teatrze na dobrym spektaklu, bo w życiu codziennym brzmi jak szyderstwo.

Przyznaję, że poczułbym się bezradny w towarzystwie trzech aktorek, które wmawiałyby mi, że jestem tym jedynym, wymarzoną, niepowtarzalnym macho. Nie dziwię się biednemu barmanowi Manolo (Maciej Sykała), że snuje się po scenie zrezygnowany. W zetknięciu z żywiołem kobiecości każdy mężczyzna traci na wadze i znaczeniu w sensie dosłownym i przenośnym. I również o tym jest spektakl Opalskiego i Burzyńskiej – o bezradności i śmieszności, wreszcie o niezbędności kiczu, który nas czyni bardziej ludzkimi potworami.

Ostatni film hiszpańskiego reżysera *Julieta* (2016) jest o toksyczności miłości. Almodóvar to specjalista od komplikacji uczuciowych rodem z tragedii greckiej. Ekstaza w łóżku – tego się nie da moralnie wytrzymać, chyba że pod łóżkiem, czyli w pozycji komicznej.

Wie o tym doskonale Almodóvar, tworząc swój campowy świat, wiedzą Burzyńska i Opalski, miksując rzeczywistość teatralną na polską modłę.

*Julietę* autor *Złego wychowania* (2004) kończy przejmującym śpiewem Chaveli Vargas. Jest to kolejny, tym razem pośmiertny hołd oddany tej brazylijskiej artystce. Ze śmiercią Vargas, przyjaciółką Fridy Kahlo, odeszła ostatnia wielka artystka XX wieku, która za miłość i sztukę płaciła prawie tak samo jak każdy p r a w d z i w y mężczyzna – sobą. Jej gwiazda zajaśniała właśnie dzięki Almodóvarowi. Świat dowiedział się o jej wielkości w momencie, gdy inni artyści żegnali się ze sceną i nierzadko ze światem. Trochę to trwało – pogarda, upokarzania, wyzyk. Ale opłaciło się. Chavela Vargas w 2012 roku, w 93. roku życia i śmierci wstąpiła w mit.

W *Drżącym cielem* (1997) Wiktor, syn prostytutki z madryckiego domu schadzek, opuszcza więzienie i rozpoczyna poszukiwanie dawnej miłości, jakby wierzył, że stara miłość nie rdzewieje. Tymczasem każde uczucie z czasem rozsypuje się w proch; dziewczyna jest, ale już kogoś innego. Żadna siła nie jest w stanie wskrzesić wygasłej namiętności. Namiętność może trwać jedynie w dziele sztuki.

W *Café Luna* kobiety kapitulują w obliczu n i e d o s k o n a ł e g o m ęż - c z y z n y. Trudno, może być niedoskonały, niech będzie jakikolwiek, byleby był. W tych okolicznościach idealnie brzmią słowa piosenki z wczesnego filmu Almodóvara *Prawo pożądania* (1987). W pamięci obraz młodego Antonia Banderasa w roli Antonia Beniteza chorobliwie zakochanego w Pablu Quintero, reżyserze teatralnym. Ten związek również kończy się tragicznie. Myślę, że jest to najlepszy przykład, że dla miłości można i warto umrzeć. Ale zanim zabierze nas kostucha, spróbujmy zaśpiewać ukochanej osobie: *Nie opuszczaj mnie, podejdź, przytul mnie...*

Marek Danielkiewicz

---

Anna Burzyńska: *Café Luna* (2016), reż. Józef Opalski, kier. muzyczne i aranżacje Piotr Salaber; realizacja nagrań Chris Aiken. Prapremiera 1 października 2016 r. na Małej Scenie Teatru Miejskiego im. W. Gombrowicza w Gdyni.

JAROSŁAW SAWIC

## OB. WIEŚ Z LUBLINA – RZECZ O WIESŁAWIE M. PAWŁOWSKIM

Publikacja *Rzeczpospolitej alkoholskiej\** – pierwszej książki poetyckiej Wiesława M. Pawłowskiego, poety, kompozytora i gitarzysty związanego od 20 lat z Lublinem – jest dobrą sposobnością do zaprezentowania jego sylwetki artystycznej. A dla mnie wiąże się z osobistą satysfakcją, bo z Wieśkiem przyjaźnię się od kilkunastu lat i wiem, ile przeszkód musiał pokonać, żeby wreszcie ten tom wydać. Świetnie, że się udało (a może nawet, nomen omen, połało).

Pawłowski (ur. w 1960) zadebiutował w 1982 roku na łamach „Trybuny Opolskiej”. W następnym roku założył wraz z Ryszardem Sidorkiewiczem, Leszkiem Bąkiem i Jerzym Kareckim grupę poetycką „Kolumbowie rocznik 60”. Nazwa grupy, nawiązująca naturalnie do książki *Kolumbowie. Rocznik 20*, definiowała tożsamość pokoleniową młodych poetów ze Śląska. Stan wojenny był dla nich – z zachowaniem należytych proporcji – doświadczeniem analogicznym do tego, jakie przeżywało pokolenie Romana Bratnego w czasie II wojny światowej: spowodował kryzys wartości i poczucie egzystencjalnego zagrożenia (oraz zagubienia). Zbiór *Rzeczpospolita alkoholska*, zawierający w dużej mierze wiersze napisane w latach 80., jest bardzo osobistym świadectwem tego okresu. A także przejmującym wyznaniem człowieka, którego „boli każdy dzień” istnienia.

*Podstawową funkcją poezji Wiesława M. Pawłowskiego jest brak zgody na rzeczywistość, bunt przeciw jej mechanizmom* – czytamy we fragmencie recenzji Urszuli Gierszon zamieszczonej na rewersie okładki tomu. – *Krzyk szarpiący szarą tkankę bylejakości społeczeństwa i swojej w nim egzystencji, ale nie jest to odrzucenie – raczej kontestacja.*

Ta „szara tkanka bylejakości” przenika u Pawłowskiego świat poetycki. Jego dominującą cechą jest nawet nie tyle brzydota (choć autor chętnie sięga po estetykę turpizmu i to bardziej w duchu Wojaczka niż Grochowiaka), ile monotonia powtarzających się zdarzeń i ubóstwo przedmiotów – w rzeczywistości owej znajdujemy głównie akcesoria związane ze spożywaniem „miodu powszedniego”, a jej percepcja zostaje zredukowana do analizy stanów alkoholicznych. Dzień jest tu „rozlany na kieliszki” (*Parcie do przodu*), rodzinę tworzą „matka – gorzałka” i „ojciec – dzban piwa” (\*\*\*) *szynkwac mi domem...*), głowa to „butelka pełna bulgocącego mózgu” (*Sytuacja krytyczna*), a flaszka wódki ulega antropomorfizacji i staje się ofiarą, na którą czyhają zapijaczeni oprawcy (doskonały wiersz *Ofiara*). Następuje konsekwentna degradacja i trywializacja wartości, procesów

\* Wiesław M. Pawłowski: *Rzeczpospolita alkoholska*. [Wydanie Wiesław M. Pawłowski] Lublin 2016, ss. 77 + 1 nłb.

społecznych i indywidualnych uczuć. W *Rzeczpospolitej alkoholskiej* rewolucja dokonuje się w przestrzeni miejskich szaletów (\*\*\*) *pewnej bezsennej nocy...*), alegoria objawia swą uniwersalną prawdę w codziennym chodzeniu do ubikacji (*Parabola*), a miłość „umiera w ramionach kurwy” (*Chwile*) lub pozostawia po sobie „tylko smród” (\*\*\*) *nie rozkładasz przede mną...*).

W rzeczywistości zarysowanej w ten sposób deheroizacja narodowych mitów i symboli, którą akcentuje sam tytuł tomu, nie nosi zazwyczaj cech jakiejś programowej demaskacji, ale wynika w sposób naturalny ze struktury świata przedstawionego. Mit Polski mocarstwowej po prostu rozplywa się w kraju położonym „od vistuli po baltic” (przypominam, że były to marki peerelowskich wódek). Choć w zbiorze znajdziemy też wiersze świadomie ukierunkowane na – zacytujmy Herberta – „rozważania o problemach narodu” (*Neodada narodowa, Na dwoje babka wróżyła*).

Tak ujętą problematykę – nie jedyną, ale dominującą – oddaje Pawłowski w sposób oryginalny i sugestywny. Język Wieśka jest oszczędny – daleki od rozbuchanych barokowo-delirycznych figur, jakimi posługuje się np. w swej alkoholowej prozie Jerzy Pilch. Wiersze z *Rzeczpospolitej alkoholskiej* są lapidarne, z założenia „odpoetyzowane”, ubogie w metafory i porównania. Obfitują za to w elipsy, neologizmy i kalambury. Bardzo interesująca jest zwłaszcza warstwa słowotwórcza, inspirowana – jak przyznaje sam autor – poezją Ryszarda Milczewskiego-Bruna (np. „politycznie potyliczny ze mnie człek”, „chleon zawodowiec”, „skok w niż”, „kurewstwo za konia”). I podobnie jak u Milczewskiego niektóre wiersze oparte są w całości na grze słów (*Żonie na – za piętnaście lat, Męgliwe, Ty nie*). Ciekawe rezultaty osiąga też Pawłowski, łącząc wulgaryzmy z archaizmami i neologizmami.

Czy można zatem określić *Rzeczpospolitą alkoholską* mianem manifestu nihilisty? W wymiarze egzystencjalnym zapewne tak, bo czytelnym credo wielu wierszy jest wyznanie niewiary w sens istnienia. Taki charakter ma np. otwierające tom, nieco różewiczowskie *Jutro*:

*jutro nie istnieje  
jak bóg czy komunizm  
jest tylko dzisiaj  
ziemniak do garnka  
łyżka do zupy  
kieliszek na apetyt*

czy puenta wiersza *Odejście* – 22:30:

*nawet śliny nie warte  
takie życie – plecak zapakować  
trzeba kijem się podeprzeć i...  
do nieba w drogę – może przyjmą*

Trzeba jednak podkreślić, że pozornie nihilistyczny stosunek autora do świata wartości i uczuć nie jest ich negacją, a raczej nacechowaną sarkazmem i ironią diagnozą stanu rzeczy. I zarazem przejmującym wołaniem o pomoc. Nie przypadkiem jedyny ratunek dla „pomiotu lirycznego” (pozwolę tu sobie na typową dla Wieśka grę słów) stanowi miłość (frazja *jeno ciebie mi trzeba / gdym jest nad przepaścią czy wiersz* \*\*\*) *nie potrafię zapisać miłości...*). Co ważne, mimo iż w tomie znalazło się również kilka wierszy wyraźnie słabszych, to jako całość *Rzeczpospolitą alkoholską* czyta się bardzo dobrze. Wynika to i z przejrzystego, spójnego konceptu i z doskonałych, popartowych ilustracji Krzysztoffa Skaina Maya, które nadają każdemu z liryków walor odrębnej minipowieści.

Łącznikiem między poezją a drugim obszarem działalności artystycznej Pawłowskiego, czyli muzyką, jest wiersz *Noc będzie*. Ta zaskakująco pogodna alegoria śmierci to jedyny utwór w tomie będący zarazem tekstem piosenki:

*gdy będę umierał  
przyjdzie po mnie śmierć  
to oczywiste*

*będzie to piękna dziewczyna  
będzie miała rozpuszczone włosy  
delikatny makijaż  
trochę biżuterii  
ubrana będzie według *journal de paris**

Wiesiek ma w repertuarze ponad 100 autorskich kompozycji oraz pokaźną ilość pieśni Bułata Okudźawy, George'a Brassensa, Boba Dylana, Jacques'a Brela i Leonarda Cohena (wykonuje je niemal zawsze w polskich tłumaczeniach). Występował na wspólnych recitalach z czołowymi lubelskimi bardami, m.in. z nieodżałowanym Marcinem Różyckim, Ryszardem Borkowskim i Arturem Targońskim. Grał koncerty z Kazimierzem Grześkowiakiem i Marcinem Świetlickim. Mimo to trudno autora *Rzeczpospolitej alkoholskiej* zaliczyć do klasycznych przedstawicieli poezji śpiewanej (choć posiada wszystkie atrybuty temu gatunkowi przynależne: brodę, akustyczną gitarę, lekko schrypnięty głos), bowiem w odróżnieniu od monochromatycznych – zarówno pod względem problematyki, jak i środków poetyckich – wierszy, stylistyka jego piosenek jest bardzo różnorodna i bogata.

Słychać to doskonale na dwóch płytach, jakie Pawłowski nagrał na żywo z własnym zespołem Banda Ob. Wiesia w kawiarni artystycznej „Hades”: *Koncertie* (2000) i *Ja żyję!!!* (2002). Owszem, nie brak na nich klasycznych, poetyckich ballad (*Nic nowego, Rogacz*) i ukłonów w stronę Brassensa (*Jestem mały miś*). Ale na płytach znajdziemy również utwory tak różne, jak pastisz muzyki ska (*Marsz krasnali*), pastorałkę do tekstu Dudy-Gracza (*Portret Kazimierza Grześkowiaka sprzeniewierzony acz tęskliwy*) czy uroczą miniaturę z grechutowską melodyką i przewrotnym tekstem (*Sen o miłości*). Jednak tym, co decyduje o specyfice i odrębności muzyki Pawłowskiego, są bluesy. Dwa z nich mogą bez cienia przesady zaliczyć do najlepszych adaptacji tego gatunku, jakie powstały na polskim gruncie. Są to: *Rzecz o chodzeniu po ulicach* – dynamiczny, akustyczny blues z niesamowitą partią harmonijki ustnej w wykonaniu Bartosza Łęczyckiego, jednego z największych wirtuozów tego instrumentu w Europie, oraz *Kiedy idę przez sen* – nastrojowa, swingująca ballada, której aura przypomina Doorsowskie *Riders on the Storm*. Na obydwu albumach zwraca też uwagę pełna polotu i precyzji gra zespołu (są to dwa różne składy). Oprócz harmonijki Łęczyckiego (klasa sama w sobie!) warto wyróżnić partie saksofonu Janusza Winiarskiego (*Koncert*) i jazzujący fortepian Bartłomieja Abramowicza (*Ja żyję!!!*). Co ważne, teksty piosenek Pawłowskiego, choć w swej wymowie równie gorzkie jak wiersze, są mniej dosadne, kreślone bardziej stonowanymi barwami niż utwory z *Rzeczpospolitej alkoholskiej*. Dlatego jego płyty można śmiało polecić odbiorcom, dla których lektura tomu mogłaby się okazać przeżyciem nazbyt drastycznym.

I już na sam koniec – mimo wieloletniej przyjaźni nigdy alkoholu z autorem *Rzeczpospolitej alkoholskiej* nie piłem, bo Ob. Wieś od kilkunastu lat jest abstynentem. Ale publikacja książki to chyba dobra okazja, więc... „ruszaj się, Wiesiek, idziemy na piwo; niechybnie brakuje tam nas!”

Jarosław Sawic

## Odszedł Tadeusz Chabrowski (1934–2016)

21 grudnia 2016 roku w szpitalu na Manhattanie zmarł Tadeusz Chabrowski, wybitny poeta, mieszkający od 55 lat w USA, który swe utwory ogłaszał m.in. na łamach „Akcentu”. To wielka strata zarówno dla kultury polskiej, jak dla wieloetnicznej kultury amerykańskiej.

Urodził się w 1934 roku w Złotym Potoku koło Częstochowy. Studiował w Instytucie św. Pawła w Krakowie; w 1960 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Rok później wyjechał do USA, oddelegowany do amerykańskiej prowincji paulinów w Doylestown, gdzie zakonnicy wznosili sanktuarium maryjne, tzw. amerykańską Częstochowę. Kontynuował studia filozoficzne w Uniwersytecie Katolickim w Dublinie (1965-1966) oraz polonistyczne w Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie w Londynie. W 1967 r. wystąpił z zakonu i zawarł związek małżeński. W latach 1969-1970 uczył religii, łaciny i literatury we Friends Academy College w Pensylwanii, a następnie był doktorantem Uniwersytetu Temple w Filadelfii. Jako stypendysta Fundacji Kościuszkowskiej studiował podyplomowo literaturę i filozofię w Uniwersytecie Warszawskim. Potem kontynuował naukę na Fordham University oraz New York City Technical College. Wreszcie osiadł na stałe w Nowym Jorku, gdzie po zdobyciu odpowiednich kwalifikacji otworzył zakład optyczny, który stał się po pewnym czasie ważnym miejscem kontaktowym rozbudzonej intelektualnie nowojorskiej Polonii. Od 1983 r. wydawał z żoną miesięcznik pt. „The Voice. Polish-American Media”. W 1998 r. Józef Gębski poświęcił pocię film dokumentalny pt. *Nostalgia Brooklynu*.

Debiutował w 1960 r. wierszami na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Publikował również m.in. w „Nowym Wyrazie”, w paryskiej „Kulturze”, w londyńskich „Wiadomościach”, „Kontynentach – Nowym Merkuriuszu”, „Oficynie Poetów”, „Przeglądzie Katolickim”, irlandzkim „The Leader” i amerykańskim „The Polish Review” oraz – od pewnego czasu systematycznie – w „Akcentcie”. Pierwszą książką poetycką Tadeusza Chabrowskiego był tom *Madonny* wydany w Londynie nakładem Oficyny Poetów i Malarzy w 1963 r. Pełny wykaz tytułów jego 18 zbiorów wierszy i dwóch powieści zawiera nota biograficzna na końcu tego numeru „Akcentu”, a wewnątrz tomu czytelnicy



znajdą fragment kolejnej powieści autobiograficznej, którą pisał prawie do końca swoich dni. Poeta otrzymał Nagrodę Fundacji Kościelskich (dwukrotnie) i wiele innych nagród polskich i międzynarodowych, w tym – jesienią 2016 r. – Medal Wschodniej Fundacji Kultury „Akcent”.

Fot. B. Wróblewski

Tadeusz Chabrowski odbiera medal  
Wschodniej Fundacji Kultury  
z rąk profesora Jerzego Święcha  
i ambasadora Andrzeja Jaroszyńskiego,  
20 września 2016 r.  
Fot. J. Bojarski



Jego imponujący dorobek literacki, chociaż interpretowany i komentowany przez znakomitych krytyków i badaczy literatury, ciągle jeszcze otwiera pole do dalszych studiów i komentarzy. Trudno przecenić rolę Tadeusza Chabrowskiego w pielęgnowaniu żywych źródeł polskiej mowy – mimo oddalenia od kraju pisał polszczyznę szlachetną, nawiązującą do najlepszych tradycji, a jednocześnie iskrzącą najświeższymi skojarzeniami. Jego liryka pozostanie w historii literatury, a niektóre cechy jego pisarstwa mogą być wzorcem dla poetów młodszych pokoleń.

Doskonale godził pracę literacką z wrażliwym i radosnym wypełnianiem obowiązków ojca i dziadka. Symptomatyczny jest pod tym względem ostatni list (datowany 29 listopada), który od niego otrzymałem: *Cały dzień był burzliwy, najpierw z Łukaszkiem, jak wracał z tatą z parku, by przy okazji zdemolować mój ogródek i emeryckie mieszkanie. Robi to w rozpędzie, nie zawsze da się go wyhamować. Za godzinę pojawiła się Toni z maluchami, Łukasz znowu pobił wszystkie rekordy, rozsypując kredki na podłogę i zrywając magnetyczne obrazki i zabawki z lodówki i frontowych drzwi. Chloe w tym czasie zakreskowała na zielono papierowy talerzyk. (...) Jutro Toni zdaje egzamin z „real estates”, a ja mam z Tomkiem odwiedzić dzieciaki do szkoły. (...) Od dwóch tygodni nie czuję się najlepiej. Jutro idę na prześwietlenie płuc w związku z gorączką, która mi dokucza. Jestem więc niemrawy i śpiący. Ale wiadomość od Ciebie, że wiersze zostały opublikowane po litewsku, smakowała jak miętowy landrynek. (...)*

We wzruszającym felietonie po jego śmierci na łamach „Dużego Formatu” (z 9 stycznia 2017 r.) Mariusz Szczygieł napisał: *Lubiłem jego wiersze o tym, czy w przypadkowej stercie odpadków, gumowych rur, gaźników i świec zapłonowych można znaleźć dowód na istnienie Wiekuistego. O tym, że religię można połączyć z przemysłem, cnotę z metalem i szkłem, a długie kazania z maszynką do prucia wełny. O tym, że czasami drażni krzykiem swoją przepoń, aby Bogu powiedzieć, że jest potrzebny jak Picasso, Monet i Dostojewski. O tym, że jego zastrzeżenia pod adresem wieczności są bardzo poważne, bo co jeśli w pewnym momencie znudzi się jej trwanie? Przecież on, wydobyty raz z niebytu, nie chciałby wracać do nicości.*

Jestem pewien, że nie wrócił do nicości. Wrócił do Tego, któremu się nigdy nie sprzeniewierzył, mimo poplątania życiowych ścieżek. *Nie z nicości przecież przychodzimy i nie w nicość wrastamy, zaręczają i poeta, i mistyk – stwierdził Waław Oszajca po lekturze tomu *Nitka nieskończoności*. Wiersze z tego tomu (opublikowanego przez Chabrowskiego na kilka miesięcy przed śmiercią) porównał ks. Oszajca z *Traktatem teologicznym* Czesława Miłosza, pisząc, że obaj starzy poeci *zabiegają w swej twórczości o to samo – by żyć światem rzeczywistym, a nie fantasmagoriami. Przy czym ów świat rzeczywisty, w odróżnieniu od świata urojonego, cechuje się tym, że posiada axis, oś, absolutny punkt odniesienia, który nadaje sens ludzkiemu życiu*<sup>1</sup>.*

Tadeuszu, będzie Cię nam bardzo brakowało!

Bogusław Wróblewski

<sup>1</sup> „Akcent” 2016 nr 4, s. 121.

## noty o autorach

**Bogusław Bakuła** – ur. 1954 w Warszawie. Historyk literatury polskiej, slawista. Kierownik Zakładu Komparatystyki Literackiej i Kulturowej w Instytucie Filologii Polskiej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Autor książek: *Oblicza autotematyzmu (autorefleksyjne tendencje w polskiej prozie po roku 1956)* (1991), *Człowiek jako dzieło sztuki. Z problemów metarefleksji artystycznej* (1994), *Skrzydło Dedala. Szkice, rozmowy o literaturze i kulturze ukraińskiej lat 50.-90. XX wieku* (1999), *Historia i komparatystyka. Szkice o literaturze i kulturze Europy Środkowo-Wschodniej w XX wieku* (2000), *Antylatarnik oraz inne szkice literackie i publicystyczne* (2001). Współautor *Słownika polskich spisowatelů* (Praha 2000) oraz *Encyklopediji sučasnoji Ukrajinny* wydanej przez Akademię Nauk Ukrainy. Redaktor bądź współredaktor wielu tomów monograficznych, m.in.: *Porównanie jako dowód. Polsko-ukraińskie relacje kulturalne, literackie, historyczne 1890-1999* (2001), *Polska – Ukraina: partnerstwo kultur* (2003), *Transformacja w kulturze i literaturze polskiej 1989-2004* (2007), *Drogi do wolności w kulturze Europy Środkowej i Wschodniej 1956-2006* (2007), *Przeszłość w kinie Europy Środkowej i Wschodniej po roku 1989* (2008), *Radio Solidarność. Podziemne rozgłoszenie oraz audycje radiowe i telewizyjne w Polsce 1982-1990* (2008), *Теорія літератури в Польщі. Антологія текстів. Друга половина XX – перша половина XXI століття* (Kijów 2008), *Literatura i kino w Europie Środkowo-Wschodniej* (2009), *Die parallele polnische Literatur 1976-1989. Brennpunkte Kommunismus, Geschichte und Identität. Forschungstelle Osteuropa* (Bremen 2011), *Václav Havel. Człowiek, pisarz, filozof, polityk* (2014), *Dyskurs postkolonialny we współczesnej literaturze i kulturze Europy Środkowo-Wschodniej: Polska, Ukraina, Węgry, Słowacja* (2015), *Comparisons and contexts. Essays on Central-Eastern European literature and culture* (2015). Naczelný redaktor periodyku poświęconego komparatystyce literackiej „Porównania”, redaktor serii literackiej „Slavia Occidentalis”. Kierował międzynarodowymi projektami naukowymi dotyczącymi relacji literackich i kulturalnych polsko-ukraińskich, polsko-czeskich, postkolonialnych zagadnień w Europie Środkowej i in. Jego prace i eseje przełożono na język angielski, rosyjski, francuski, niemiecki, ukraiński, białoruski, rumuński, czeski, słowacki. W 2003 r. Kijowski Uniwersytet Sławistyczny przyznał mu doktorat honoris causa za wkład w dialog polsko-ukraiński i badania nad ukraińską literaturą.

**Urszula Małgorzata Benka** – ur. 1953 we Wrocławiu. Poetka, eseistka, prozaiiczka, tłumaczka literatury francuskiej i angielskiej. Ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Wrocławskim, studiowała też psychologię; w 1993 r. uzyskała tytuł doktora nauk humanistycznych. Autorka zbiorów poetyckich: *Chronomea* (1977), *Dziwna rozkosz* (1978), *Perwersyjne dziewczynki* (1984), *Nic* (1984), *Ta mała Tabu* (1991), *Córka nocy* (1995), *Kielich Orfeusza* (2003), *Janckorońsko* (2013), tomu prozy *O* (1999, 2014) oraz wyróżnionego przez Fundację Kultury cyklu esejów *Psychomitopolityka* (2004). Otrzymała stypendium Saksońskiej Fundacji Kultury za wydany w Niemczech tom miniatur prozatorskich *Die Bestie und die Seele* (1997). Była także stypendystką rządu francuskiego, Europejskiej

Organizacji Niezależnych Intelktualistów w Paryżu oraz dwukrotnie Ministerstwa Kultury w Polsce. Przed laty publikowała w „Akcencie” stały felieton zatytułowany „Dziwadła kulturowe”. Karl Dedecius zamieścił jej utwory w najważniejszej w Niemczech antologii *Panorama poezji polskiej*. Tłumaczona także na angielski, chiński, chorwacki, czeski, fiński, francuski, rosyjski, szwedzki. Mieszka we Wrocławiu.

**Tadeusz Chabrowski** – ur. 1934 w Złotym Potoku koło Częstochowy, zm. 2016 w Nowym Jorku. Studiował w Instytucie św. Pawła w Krakowie. W roku 1961 wyjechał do USA, przez lata mieszkał w Nowym Jorku, gdzie do przejścia na emeryturę pracował jako optyk. Debiutował w 1960 r. w „Tygodniku Powszechnym”. W Londynie nakładem Oficyny Poetów i Malarzy ukazały się jego *Madonny* (1963) i *Lato w Pensylwanii* (1965). Następne zbiory wierszy: *Drzewo mnie obeszło* (1973), *Wiersze* (1975), *Nowy drewniany rower* (1993), *Panny z wosku* (1992), *Miasto nieba i ziemi* (1994), *Zakwitną wieczorem* (1996), *Gałąź czasu. A Branch of Time* (1996), *Kościół pod słońcem* (1998), *Zielnik Sokratesa* (2005), *Muzy z mojej ulicy* (2006), *Dusza w klatce* (2006), *Mnisi, czyli nierymowane strofy o cnotach* (2008), *Poezje wybrane* (2009), *Magister Witalis* (2011), *Vermont* (2013), *Dom w chmurach* (2016), *Nitka nieskończoności* (2016). Opublikował także powieści *Skrawki białego habitu* (2010) i *Białe nieszpory* (2012). Dwukrotnie laureat Nagrody Fundacji Kościelskich. Publikował w paryskiej „Kulturze”, londyńskich „Wiadomościach” i warszawskiej „Więzi”; od wielu lat związany z „Akcentem”. Był ojcem Tomka i dziadkiem Łukasza i Chloe.

**Anna Frajlich** – ur. 1942 w Kattatałdyk w Kirgiskiej SRR, gdzie w czasie II wojny światowej przebywali jej rodzice, którzy pochodzili ze Lwowa. Po zakończeniu wojny zamieszkała z rodziną w Szczecinie. Następnie przeniosiła się do Warszawy, gdzie ukończyła filologię polską na UW. Wyemigrowała z Polski wraz z mężem i synem w 1969 r., a w 1970 r. osiadła w Nowym Jorku. Proces ten ilustruje korespondencja Felicji Bromberg, Anny Frajlich i Władysława Zająca wydana w tomie *Po Marcu – Wiedeń, Rzym, Nowy Jork* (2008; omówienie w „Akcencie” 2008 nr 4). Poetka, prozaiczka, literaturoznawczyni. Debiutowała w 1958 r. jednocześnie w Warszawie w „Naszym Głosie” – polskim dodatku do żydowskiego pisma „Folks Sztyme” i w „Głosie Szczecińskim”. W latach 60. związana z Forum Poetów „Hybrydy”. Na emigracji publikowała wiersze, eseje i artykuły w londyńskich „Wiadomościach”, w paryskiej „Kulturze”, a także w nowojorskim „Przeglądzie Polskim” i „Tygodniku Nowojorskim”. Przez kilka lat współpracowała z Radiem Wolna Europa, przygotowując materiały kulturalne. Pierwszy tom poetycki *Aby wiatr namalować* wydała w 1976 r. w Londynie, w oficynie Stanisława Gliwy. Kolejne to: *Tylko ziemia* (1979), *Indian Summer* (1982), *Który las* (1986), *Drzewo za oknem* (1991), *Between Dawn and the Wind – Pomiedzy świtem i wiatrem* (1991 i 2006, przekład i oprac. Reginy Grol), *Ogrodem i ogrodzeniem* (1993), *Jeszcze w drodze* (1994), *W słońcu listopada* (2000), *Znów szuka mnie wiatr* (2001), dwujęzyczne francuskie wydanie *Le vent, a nouveau me cherche* (2003 i 2012, przekład Alice Catherine Carls), *Łodzią jest i jest przystanią* (2013); dwa pierwsze tomy zostały wznowione w jednym woluminie w 2016 r. przez Wydawnictwo Forma ze Szczecina. W 2007 r. w wydawnictwie Rodopi (Amsterdam/Nowy Jork) ukazała się jej monografia *The Legacy of Ancient Rome In The Russian Silver Age* obrazująca dziedzictwo starożytnego Rzymu w srebrnym wieku rosyjskiej poezji. W Polsce ogłosiła także zbiór opowiadań *Laboratorium* (2010) oraz zbiór esejów *Czesław Miłosz. Lekcje* (2011). Od ponad 30 lat prowadzi zajęcia z literatury polskiej XIX i XX wieku oraz języka polskiego na Columbia University (doktorat ze slawistyki obroniła w New York University), interesuje się literaturą w ujęciu komparatystycznym. Opublikowała eseje i prace naukowe na temat twórczości Wisławy Szymborskiej, Czesława Miłosza, Henryka Grynberga, Józefa Wittlina



i Michała Choromańskiego. Jej zaangażowanie w kulturalne życie emigracji ilustruje korespondencja ze Stefanią Kossowską, ostatnią redaktorką londyńskich „Wiadomości”: *Definicja szczęścia. Listy do Anny Frajlich 1972-2003* (Archiwum Emigracji w Toruniu, 2007). Od lat 90. stale współpracuje z pismami w Polsce: „Akcentem”, „Migotaniami”, „Kurierem”; jej wiersze ukazywały się także w „Tygodniku Powszechnym”, „Kwartalniku artystycznym”, „Odrze”, „Więzi”, „Pograniczach” oraz w wielu antologiach i – w przekładzie Rossa Ufberga – w kilku pismach anglojęzycznych, takich jak „Habitus” czy „Modern Poetry in Translation”. Eseje publikowane były w „Plusie Minusie” (pod red. Elżbiety Sawickiej), w „Dekadzie” oraz w tomach zbiorowych: *Rodzina Europa. Pięć minut później* (2011), *Obecność. Wspomnienia o Czesławie Miłoszu* (2013), *Szekspiromania. Księga dedykowana pamięci Andrzeja Żurowskiego* (2013). Laureatka Nagrody Fundacji Kościelskich (1981) oraz nagrody Fundacji Władysława i Nelly Turzańskich (2003). Uhonorowana tytułem Ambasadora Szczecina (2008). Odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej (2002).

**Krzysztof Guzowski** – ur. 1962 w Zamościu, filozof personalista, teolog, profesor KUL, gdzie wykłada od roku 1998, a od 2005 kieruje założoną przez siebie Katedrą Personalizmu Chrześcijańskiego. Zaangażowany w pracę międzynarodowych stowarzyszeń myślicieli personalistów – we Włoszech, Hiszpanii i Peru. Jako poeta debiutował utworami, które zostały nagrodzone w Konkursie im. Bolesława Leśmiana w Zamościu i umieszczone w almanachu *Pojmowanie słońcem* (1982). Opublikował m.in. zbiory wierszy: *Figury* (1987), *Obrazy* (1995), *Ogrody* (1999), *Wyspy* (2001) i *Oczy* (2011), a także trzy książki naukowe i dwa zbiory esejów popularyzujących myśl chrześcijańską. Spośród polskich personalistów kontynuuje dzieło Karola Wojtyły, Wincentego Granata i Czesława Bartnika. Jest członkiem rad naukowych kilku czasopism zagranicznych (Włochy, Hiszpania) i krajowych.

**Anna Hałata** – ur. 1973 w Lublinie. Absolwentka historii sztuki Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i Podyplomowego Studium Konserwacji Zabytków Architektury i Budownictwa przy Politechnice Krakowskiej. Kustosz w Muzeum Lubelskim. Artykuły dotyczące kultury ziemiańskiej i architektury rezydencjonalnej Zamojszczyzny publikowała m.in. w „Spotkaniach z Zabytkami”, „Zamojskim Kwartalniku Kulturalnym” oraz materiałach sesji naukowych w Kozłowie i Kielcach. Autorka tekstów do katalogów poświęconych twórczości grafików związanych z Lublinem, współorganizatorka konkursu *Grafika i Rysunek Roku*, kuratorka wystaw indywidualnych w Muzeum Lubelskim realizowanych jako część projektu prezentującego sztukę najnowszą, m.in.: *Andrzej Węclawski. Alfabet znaków* (2009), *Krzysztof Szymanowicz. Przestrzeń pamięci* (2010-2011), *Stanisław Bałdyga, Barbara Sosnowska-Bałdyga. Dialog* (2011), *Zbigniew Liwak. Oswajanie samotności* (2012), *Grzegorz Dobiesław Mazurek. Cyfra kontra punkt. Mitologia rzeczywistości* (2013), *Toshio Yoshizumi. Energia materii* (2013), *Zofia Kopel Szulc, Henryk Szulc. Dwugłos o sztuce* (2015), współkuratorka wystawy *Pankiewicz i po... Uwalnianie koloru* (2016).

**Grzegorz Jerzy Kaczyński** – ur. 1943 w Sarnowej Górze, miejscu zwycięskiej bitwy z bolszewikami w 1920 r. upamiętnionej na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Od ponad trzydziestu lat mieszka we Włoszech. Ukończył studia socjologiczne, religioznawcze i afrykanistyczne w Warszawie; ukształtował się w tradycji „szkoły Znanickiego” i antropologii Malinowskiego w środowisku Uniwersytetu Warszawskiego; tam doktoryzował się pod kierunkiem Józefa Chałasińskiego (1976), a następnie uzyskał habilitację (1999), mieszkając już we Włoszech. W latach 1972-1987 pracował w Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. W latach 1973-1981 był sekretarzem zespołu koordynującego ogólnopolskie badania nad społeczeństwami i kulturami pozaeuropejskimi, kierowanego przez

prof. Chałasińskiego i prof. Michałowskiego. Odbył staże naukowe w London School of Economics, International African Institute (Londyn), w Ecole Pratique des Hautes Etudes – Sorbonne, gdzie uczył się na wykładach C. Lévi-Straussa (Paryż), w Istituto Italo-Africano i w Università „La Sapienza” (Rzym). Od 1982 r. wykłada socjologię i antropologię na uniwersytetach włoskich oraz – w roli profesora wizytującego – poza Włochami. W latach 2011-2012 był koordynatorem europejskiego projektu badawczego *Social Mindedness In Learning community* (SMILEY). Jest członkiem wielu redakcji czasopism oraz towarzystw naukowych, polskich, włoskich i międzynarodowych. Opublikował ponad sto prac naukowych różnorodnych, w tym 17 książek. Wiele jego prac poświęconych polskiej tradycji kulturowej i myśli naukowej zostało włączonych do programów studiów uniwersyteckich we Włoszech. Od lat działa w środowisku polonijnym; jest założycielem i prezesem stowarzyszenia „Dagome”; był prezesem Związku Polaków we Włoszech (2008-2009), obecnie pełni funkcję wiceprezesa. W 1979 r. otrzymał Nagrodę Sekretarza Naukowego PAN za pracę *Bunt i religia w Afryce Czarnej* (Ossolineum); został odznaczony m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej (2014). Do 2013 r. był profesorem socjologii Uniwersytetu Katańskiego (Università di Catania), a do 2016 r. profesorem Uniwersytetu Szczyńskiego. Od 2013 r. mieszka w Mediolanie.

**Tomasz Kłusek** – ur. 1992 w Janowie Lubelskim. W rodzinnym mieście ukończył Liceum Ogólnokształcące im. Bohaterów Porytowego Wzgórza. W 2011 r. został laureatem (pierwsze miejsce ex aequo) XXIII Olimpiady Filozoficznej. Studiował filologię polską, filozofię i socjologię na UMCS w Lublinie. Obecnie doktorant w Zakładzie Estetyki Wydziału Filozofii i Socjologii UMCS. Publikował w „Akcentie”, „Twórczości” i „Colloquia Communia”. Zainteresowania: związki między filozofią a literaturą, estetyka i socjologia sztuki (zwłaszcza literatury).

**Jan Koby** (pseudonim) – ur. 1952 w Poznaniu. Ukończył wyższą uczelnię techniczną, lecz w wyuczonym zawodzie nie podjął pracy. Zajął się fotografią artystyczną, reportażową i reklamową i osiągnął w tej dziedzinie znaczące sukcesy. Miał kilkanaście wystaw indywidualnych i zbiorowych, uczestniczył w światowej wystawie zorganizowanej na 150-lecie fotografii przez World Council of Professional Photographers oraz firmę Kodak, eksponowanej w ponad 100 krajach (3 fotografie reprezentujące Polskę). Nadal czynny na niwie kultury, aktualnie bardziej jako działacz i edukator. Próby pisania podjął dopiero w ostatnich latach. Prezentowane na łamach „Akcentu” opowiadania są jego debiutem literackim.

**Henryk Kozak** – ur. 1945 w Krasnej (gm. Huszlew), dzieciństwo i młodość spędził w Sitniku k. Białej Podlaskiej. Ukończył historię na UMCS. Mieszka w Lublinie od czasu studiów, choć w wierszach ciągle wraca na Podlasie (stałe współpracuje z „Podlaskim Kwartalnikiem Kulturalnym”). W latach 1990-1995 jako gasterbeiter zwiedził Europę, Izrael i USA. Debiutował wierszem w „Kamieniu” w 1967 r. Opublikował siedemnaście zbiorów wierszy (pierwszy pt. *W krajobrazie łagodnych słów*, 1973) i dwie powieści. Otrzymał m.in. Nagrodę im. J. Czechowicza, J. Łobodowskiego, A. Kamińskiej oraz honorową nagrodę Sławy Przybylskiej „In Arte Libertas”. Tłumaczony na języki rosyjski, rumuński, serbski, ukraiński i węgierski. Jego lirykę wysoko cenili najwybitniejsi poeci „nurtu chłopskiego” – Tadeusz Nowak.

**Eliza Leszczyńska-Pieniak** – ur. 1974 w Zamościu. Absolwentka teatrologii Uniwersytetu Jagiellońskiego i podyplomowych studiów humanistycznych PAN, nauczycielka języka polskiego w III Liceum Ogólnokształcącym im. C. K. Norwida w Zamościu. Stała współpracowniczka „Akcentu”. Artykuły, wywiady i reportaże publikowała także m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Przeglądzie Powszechnym”,

„Przekroju” i „Tygodniku Zamojskim”; od 2003 r. współpracuje z „Zamojskim Kwartalnikiem Kulturalnym”. Laureatka II nagrody i wyróżnienia w Konkursie Dziennikarskim im. Mirosława Dereckiego w 2005 r., I nagrody w Konkursie im. Macieja Szumowskiego (2008) i II nagrody w Ogólnopolskim Konkursie na Reportaż im. Zbyszka Nosala (2013). Mieszka w Zamościu.

**Kamila Łabno** – ur. 1989 w Tarnowie. Absolwentka historii i politologii. Doktorantka w Instytucie Historii Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie. Pod kierunkiem naukowym prof. Mariusza Wołosa przygotowuje rozprawę doktorską poświęconą życiu i działalności współtwórczyni paryskiej „Kultury” oraz Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte, zatytułowaną: *Zofia Hertz (1910-2003). Życie na miarę „Kultury”*. Stypendystka Jerzy Peterkiewicz Educational Foundation (Paryż, 2014) oraz Fundacji z Brzeźnia Lanckorońskich (Londyn, 2016). Publikowała m.in. w „Archiwum Emigracji”, „Nowym Filomacie”, „Res Gestae”, „Tarnowskich Studiach Teologicznych”.

**Piotr Łopuszański** – ur. 1966 w Lille (Francja). Po przyjeździe do Polski maturę uzyskał w warszawskim liceum im. Stefana Batorego (jego praca maturalna została wyróżniona w konkursie „Życia Warszawy”). Studiował na Uniwersytecie Warszawskim filozofię, polonistykę i historię sztuki. Dyplom z filozofii otrzymał w 1993 r. na podstawie pracy o koncepcjach estetycznych Bolesława Leśmiana. Od 1991 r. zajmuje się publicystyką kulturalną i historyczną. Ogłosił pominięte w edycjach książkowych teksty publicystyczne Leśmiana, odnalazł dotyczące go nieznane dokumenty. Analizował także twórczość Konwickiego, Prusa, Przesmyckiego, Holoubka, Stryjeńskiej, Potockiego i in. Pisał o Witkacym, Tadeuszu Żeleńskim (Boyu) oraz Carlu Gustavie Jungu. Ogłaszał eseje poświęcone różnym zagadnieniom z zakresu literatury i kultury XX w. Interesuje się ponadto historią sztuki, psychologią, obyczajami, filmem polskim, architekturą Warszawy, literaturą młodzieżową z czasów PRL, muzyką i fotografią. Publikował m.in. na łamach „Akcentu”, „Cogito”, „Focusa” i „Focusa Historii”, „Kuriera Warszawskiego”, magazynu „Gazety Wyborczej”, „Magazynu Literackiego”, „Mówią Wieki”, „Pamiętnika Literackiego”, „Perspektyw”, „Przeglądu Artystyczno-Literackiego”, „Stolicy”, „Sztuki i Filozofii”, „Tekstów Drugich”, „Twórczości”, „Tygodnika Literackiego”, „Tygodnika Solidarność”, „Zamojskiego Kwartalnika Kulturalnego” oraz „Życia Warszawy”. Pracował w redakcjach „Focusa Historii”, „Perspektyw”, „Wiadomości” TVP, „Życia Warszawy”. Współpracuje z Polskim Radiem. Opublikował książki: *Sławni ludzie. Życie – myśli – anegdota* (1996, 1997), *Leśmian* (2000), *Zofia i Bolesław Leśmianowie* (2005), *Bolesław Leśmian. Marzyciel nad przepaścią* (2006), *Pan Samochodzik i jego autor* (2009), *Gustaw Holoubek. Filozof bycia* (2010), *Warszawa literacka w PRL* (2015), *PRL w stylu pop* (2016). W 2001 r. był stypendystą Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

**Piotr Machul** – ur. 1972 w Puławach. Ukończył polonistykę i dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim. Jest też absolwentem Akademii Praktyk Teatralnych przy Teatrze Gardzienice Włodzimierza Staniewskiego. Jako poeta debiutował w „Akencie” 1997 nr 4. Wiersze publikował także w „Arteriach”, „Kartkach”, „Tece Puławskiej”, „Twórczości” i „W drodze”. Niedawno ukazał się jego debiutancki tom poetycki *Ultimatum*. Laureat Nagrody Głównej VIII Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Janusza Różewicza (2016). Dwukrotnie nominowany do Nagrody Głównej OKP im. Jacka Biereżina (2014, 2015). Pracuje jako dziennikarz. Mieszka w Warszawie.

**Eda Ostrowska** – ur. 1959 w Sławatyczach. Absolwentka bibliotekoznawstwa UMCS. Autorka kilkunastu książek, m.in.: *Ludzie, symbole i chore kwiaty* (1981), *Oto stoję przed tobą w deszczu ciała* (1983), *Małmazja* (1988), *Letycja u miecznika*

(1990), *Psalmy* (1990), *Nie znalazłam Chrysta* (2003), *Wierszownik* (2007), *Echolalie* (2012), *Ptak w tak-taku (widowisko poetycko-muzyczne)* (2013), *Edessy (poemat sowizdrzalski)* (2015). Otrzymała m.in. Nagrodę Artystyczną Młodych im. Stanisława Wyspiańskiego (1989), trzykrotnie nagrodę im. Józefa Czechowicza, nagrodę w IX Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Edwarda Stachury (1995). W 2011 r. została laureatką XVII Konkursu Poetyckiego im. Anny Kamińskiej za tom *Śmiech i łaska*, zaś w 2012 r. zbiór *Dojrzałość piersi i pieśni* został nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia. W 2016 r. uhonorowana główną nagrodą w V Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Józefa Czechowicza za całokształt twórczości poetyckiej. Stypendystka Miasta Lublin 2017.

**Wacław Oszajca SJ** – ur. 1947 w Żwiartowie (pow. Tomaszów Lubelski), teolog po Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, ksiądz katolicki, jezuita. Okresowo przebywał i pracował w Niedrzwicy Kościelnej, Lubartowie, Łabuniach, Kaliszu, Gdyni, Poznaniu, Toruniu, Jastrzębiej Górze, a od 1995 r. w Warszawie. W latach 80. duszpasterz akademicki Politechniki Lubelskiej i przewodniczący Lubelskiego Komitetu Pomocy Internowanym i Represjonowanym. Autor ponad 20 książek, głównie poetyckich, m.in. *Zamyśl* (1979), *Z głębi cienia* (1981), *Listy ze strajku* (1983), *Łagodność domu* (1984), *Naszyjnik umiłowanego* (1984), *Ty za blisko, my za daleko* (1985), *Mnie się nie lękaj* (1989), *Powrót Uriasza i inne wiersze* (1992), *Juda przyjdzie ostatni* (1992), *Z dnia na dzień* (1994), *Zebrane po drodze* (1998), *Reszta większa od całości* (2003), *Odwrocona perspektywa* (2009), ale także eseistycznych, m.in. *Przy świecy i ogarku. Rozmowy, eseje, szkice* (1995), *Msza w kolorach tęczy* (2003), *Niemszalne kazania* (2010), *Z Biblią przez cały rok. Opowieści dla dzieci* (2011), *Uwierz Mu na słowo* (2015), przekładanych na niemiecki, włoski, rosyjski, ukraiński, węgierski. Autor scenariuszy dla Teatru Polskiego Radia: *Przyszli za późno, czyli w samą porę* (2008), *Czyściec Judy* (2010), *Ekspres Warszawa – Suwałki* (2010). Członek jury Nagrody Literackiej Nike w latach 2003-2005 i Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O Liść Konwalii” im. Zbigniewa Herberta, przewodniczący jury Konkursu Poetyckiego „Rytm nieskończoności” im. Jacka Kaczmarskiego. Tłumacz, publicysta, komentator i dziennikarz prasowy, radiowy i telewizyjny. Stale współpracuje z „Akcentem”, „Sceną”, „Tygodnikiem Powszechnym”, „W drodze”, „Życiem Duchowym” i Polskim Radiem. Były redaktor naczelny miesięcznika społeczno-kulturalnego jezuitów „Przegląd Powszechny”. Emerytowany wykładowca na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW, obecnie wykłada na Papieskim Wydziale Teologicznym „Collegium Bobolanum”. Przyznano mu m.in. nagrody im. Józefa Czechowicza III stopnia (1984) i I stopnia (1991) oraz im. Świętego Brata Alberta – Adama Chmielowskiego (2010), a także Medal „Zasłużony dla Tolerancji” (2000), Medal Wschodniej Fundacji Kultury „Akcent” (2004), Złoty Krzyż Zasługi (2005), Odznakę Honorową „Zasłużony dla Województwa Lubelskiego” (2009), Odznakę Honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej” (2010), Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski (2011) i Odznakę Polskiego Towarzystwa Stwardnienia Rozsianego „Ambasador SM” (2012). Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Współzałożyciel Wschodniej Fundacji Kultury „Akcent” (1994) i członek jej Rady Programowej. Jest miłośnikiem pieszych wędrówek, zwłaszcza po Tatrach.

**Aleksandra Puculek** – ur. 1992 w Ostrowcu Świętokrzyskim. Absolwentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej oraz filologii polskiej ze specjalizacją teatrologiczną na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. Dziennikarka „Gazety Wyborczej” w Lublinie. Od 2013 r. współpracuje z portalem internetowym „Dziennik Teatralny”, gdzie recenzuje spektakle teatralne. Organizatorka Studenckiego Ogólnopolskiego Festiwalu Teatralnego „Kontestacje” oraz wolontariuszka wielu festiwali i wydarzeń kulturalnych w Lublinie. W 2016 r. została laureatką IV edycji Stypendium im. Leopolda Ungera.

**Malgorzata Południak** – ur. 1973, pochodzi z Wielkopolski. Na stałe mieszka w Irlandii. Redaktorka kwartalnika literacko-artystycznego „sZAFa”, serwisów ArtPub Kultura i Galeria. Felietonistka kwartalnika „elewator”. Autorka tomów wierszy *Czekając na Malinę* (2012), *Liczby nieparzyste* (2014), *Mullaghmore* (2016).

**Rafał Rutkowski** – ur. 1988 w Warszawie, absolwent filologii polskiej i kulturoznawstwa KUL, autor zbioru poetyckiego *Linie papilarne* (2006) oraz tomu *Chodź spać do rzeki* (2015) wyróżnionego w XII Konkursie Literackim „Złoty środek poezji” w Kutnie na najlepszy debiut poetycki roku. Wiersze publikował na łamach „Akcentu”, „dwutygodnika.com”, „Helikoptera”, „Odry”, „Opcji”, „Wakatu”, „Zeszytów Poetyckich”. Laureat projektu *Półw 2014* oraz lubelskiej nagrody kulturalnej „Żurawie”, stypendysta Miasta Lublin. Uczestnik licznych festiwali literackich i laureat konkursów poetyckich, m.in. OKP „O Granitową Strzałę”, „Autoportret jesienny” w Krotoszynie. Prowadzi cykl spotkań „Przystanek poetów” w Centrum Kultury w Lublinie. Mieszka w lubelskiej Kamienicy Cudów.

**Łukasz Suskiewicz** – ur. 1977 w Częstochowie. Prozaik. Z wykształcenia prawnik. Autor książek: *Egri Bikaver* (2009), *Zależności* (2015), *Mikroelementy* (2016). Opowiadania publikował na łamach m.in. „Akcentu”, „Frazy”, „Kresów”, „Opowieści”, „Twórczości”, „Tygla Kultury” oraz w antologiach współczesnych polskich opowiadań Wydawnictwa Forma (2008, 2011, 2014) i tomie *Przewodnik po zaminowanym terenie. Helikopter – antologia tekstów z lat 2011-2015* (2016). Mieszka w Częstochowie.

**Jerzy Szymik** – ur. 1953 w Pszowie na Górnym Śląsku, kapłan archidiecezji katowickiej, teolog i poeta. Jest profesorem nauk teologicznych, wykłada teologię dogmatyczną. W latach 1986-2008 związany z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim, gdzie był m.in. kierownikiem Katedry Chrystologii (1997-2005). Od 2005 r. pracownik Zakładu Teologii Dogmatycznej WTL Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, od 2014 r. Katedry Teologii Dogmatycznej i Duchowości WTL UŚ; od 2007 r. jako profesor zwyczajny. W latach 2004-2014 członek watykańskiej Międzynarodowej Komisji Teologicznej. Od 2015 r. członek Komitetu Nauk Teologicznych PAN. Od 1991 r. stały współpracownik „Gościa Niedzielnego”. Autor 60 książek naukowych, poetyckich, eseistycznych; ostatnio m.in. *Teologia na usługach wiary, bliższa życiu... w 30 lat później* (2011), *Chodzi o Boga* (2012) *Hilasterion* (2014), *Teologia i my* (2014), *Theologia benedicta*, t. I-III (2010-2015), *Poezja i teologia* (2009-2016). Promotor 21 doktoratów, 195 magisteriów. Specjalizuje się w chrystologii, metodologii teologii, teologii kultury, teologii J. Ratzingera/Benedykta XVI. Laureat nagród naukowych, m.in. Rektora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (2001), Rektora Uniwersytetu Śląskiego (2013, 2016), nominowany do nagrody „Totus” w dziedzinie kultury chrześcijańskiej (2010). Laureat nagrody dziennikarskiej „Ślad” (2005), srebrnego medalu Zasłużony Kulturze „Gloria Artis” Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP (2006), nagrody „Feniks” w kategorii nauk kościelnych za trylogię *Theologia benedicta* (2016). Mieszka w Pszowie i Katowicach.

**Jan Władysław Woś** – ur. 1939 w Warszawie, od 1967 przebywa za granicą, od 1987 posiada obywatelstwo włoskie. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, studia specjalistyczne w zakresie filozofii i łaciny średniowiecznej w Mediolanie, Louvain, Bonn, Heidelbergu, Pizie, Neapolu. Historyk, badacz stosunków polsko-włoskich, wydawca źródeł do historii Polski i dziejów Kościoła, bibliofil, kolekcjoner, profesor historii Europy Wschodniej na uniwersytetach w Pizie i Wenecji, a w latach 1987-2008 na uniwersytecie w Trydencie (założył Towarzystwo Kulturalne Włochy-Polska i Centrum Dokumentacji Historii Europy Wschodniej działające przy tym uniwersytecie). Uczestnik wypraw naukowych do Afryki

i w dorzecze Amazonki. Członek wielu towarzystw naukowych. Z rąk kard. Józefa Glempa otrzymał medal „Zasłużonemu dla archidiecezji warszawskiej” (1998); odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1999); Polski Uniwersytet na Obczyźnie w Londynie nadał mu tytuł doktora honoris causa (2002). Autor ponad 700 artykułów, recenzji i książek w języku włoskim, francuskim, niemieckim, hiszpańskim, angielskim, polskim i japońskim. Po włosku napisał m.in. *Polska. Studia historyczne (La Polonia. Studi storici*, Piza 1992), *Św. Wojciech i św. Stanisław – patroni Polski* (Trydent 1997, edycja francuska Paryż 1998), *Silva rerum. Wokół historii Europy Wschodniej i relacji włosko-polskich* (Trydent 2001), „*Florenza bella tutto il vulgo canta*”. *Testimonianze di viaggiatori polacchi* (Trydent 2006), *Per la storia delle relazioni italo-polacche nel Novecento* (Trydent 2008). Jako prozaik debiutował w „Akcencie” 2009 nr 1. W 2011 r. nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego ukazał się jego tom *Ze wspomnień ucznia Liceum Kołłątaja w Warszawie (1954-1958)*, a w 2016 r. nakładem wydawnictwa Anagram tom wspomnień *Na drogach Europy* obejmujący okres prawie 60 lat. W 2012 r. w Lublinie został opublikowany zbiór jego opowiadań z dwoma tekstami autobiograficznymi (*Symposium w Cassino i inne opowiadania*). Od września 1955 r. prowadzi dziennik, którego fragmenty publikowane były w „Akcencie”, „Odrze” i „Twórczości”.

---

### W następnych numerach:

- Roch Sulima: *Życie podług słowa. O metodzie prozy Wiesława Myślińskiego*;
- Aleksandra Jasińska-Kania: *Pamięć o Lublinie. Niecodzienna codzienność lubelskiej Polski Ludowej*;
- Andrzej Busza: *Egzystencjalne peregrynacje Andrzeja Buszy*;
- Jarosław Cymerman: *Weryfikacja. Przypadek teatralny z 1946 roku*;
- Proza Joanny Clark, Jana Henzla, Bogdana Kolomiychuka, Ewy Mazur, Doroty Nowakówny, Bogdana Nowickiego, Marzeny Tyl, Miłosza Waligórskiego, Pauliny Wojciechowskiej, Bohdana Zadury;
- Wiersze Anny Augustyniak, Michała Czoryckiego, Mariana J. Kawalki, Jana Klimeckiego, Marka Kusiby, Ewy Mazur, Rafała Mieczysławskiego;
- Rzymskie wspomnienia Adama Broża;
- *Zima w Canberze* – fragmenty dziennika ambasadora Andrzeja Jaroszyńskiego;
- Wizerunek księdza w kulturze polskiej w XXI wieku – część trzecia;
- Tadeusz Szkołut o Leszku Kołakowskim;
- Jan Lewandowski o Bronisławie Mironie Seniuku;
- Dobrosław Bagiński wokół *Prostego przyrzędu do robienia znaku krzyża* Tomasa Opani;
- Eseje Jarosława Sawica o Budce Suflera oraz o jazzie na Litwie;
- Jarosław Wach o twórczości Wiesława Myślińskiego;
- Omówienia nowych książek poetyckich i literaturoznawczych.

# contents and summaries

Anna Frajlich: *poems* / 7

Janusz Koby: *stories* / 10

These three stories are an epic debut of an acclaimed painter and cultural activist. The narrator of the first story regularly visits his infirm mother. All his visits look alike – accusations and reproaches from a bitter woman collapsing into hysterical anger prevent a serious conversation about the past. A particularly frustrating memory concerns the narrator's beloved dog Bary, taken away by the parents of a teenage protagonist while he was on holiday. The narrator of the second story comes to the hospital to visit his father who is paralysed after the recurrent stroke. Standing at his father's bedside, the narrator recalls the most painful scenes from their lives, harm, humiliation and lies, such as his father's work for the communist Secret Service, to which he never confessed. The bedridden old man is afraid of one thing: that his son will send him away to the nursing home, just as he once did with his own father. The narrator guesses his father's anxiety and assures him that he will stay at home. In the third story, the narrator receives a call from his ex-wife. Even though the connection gets broken, a few words spoken by his ex-wife are enough to trigger a wave of bitter memories and presumptions about the purpose of the call.

Tomasz Klusek: *Destiny and Rebellion. On the Writings of Bogdan Madej* / 19

The protagonist of the sketch, Bogdan Madej (1934-2002), was a writer, translator and journalist associated with Lublin. In his short stories and novels he strongly exhibited the realities of a Polish province and in his later works he appealed to personal experiences. He also wrote a novel of a parabolic character *Piękne kalalie* (*Beautiful Kalalias*). The author would raise difficult ethical topics and the issues of fate and destiny. Madej was never indifferent to social issues, which caused that his best-known texts were rejected by the censors. Therefore, they could only appear in Paris in the library of "Culture". The original works of Madej – a self-taught writer, who in his youth suffered persecution for political reasons and had to do physical work – differs from the achievements of writers of his age: the representatives of the generation of "Modernity" and the so-called small realists. The most important in Madej's prose is a kind of rebelliousness understood as fidelity to the truth. In the words of Henryk Bereza cited by Klusek: *Bogdan Madej writes in his own way ... His words carry no surprise, but ... they are the true words that mean what they mean.*

Eda Ostrowska: *Facetiae* / 31

Łukasz Suskiewicz: *Circles* / 36

The story presents the intertwined fate of the three generations of men: the narrator, his father and grandfather. The events have been grounded in a historical perspective. The story revolves around the pre-war (economic emigration to France) and the war fate of the eldest of the protagonists. The grandfather unwittingly participates in the chaos of the war, which had left its stamp on him. The narrator is pondering upon the issue of identity, intertwining life stories and genetic atavism determining human behaviour and choices regardless of the changing historical and social contexts.

Małgorzata Południak: *poems* / 42

Urszula M. Benka: *The Discreet Charm of Conspiracy* / 46

According to the author of the essay (who for a long time has been researching the role of the myths in culture), conspiracy theories, so popular today, are aimed at taming the world and providing meaning to human existence. What makes them different from the scientific statements and hypotheses is, among others, the freedom of association and the rejection of objectivity. They also differ from mythical stories in the strict sense by avoiding reflection on the opinions of other people and the complex nature of existence. This creates a simplified, flawed view of reality, dominated by the vision of ominous forces threatening the well-being of individuals and communities.

Rafał Rutkowski: *poems* / 53

Tadeusz Chabrowski: *Blaise. Epilogue* / 57

One of the final fragments of an autobiographical novel which Tadeusz Chabrowski had been writing until the last days of his life. The author was born in 1934 in Złoty Potok near Częstochowa. He studied at the Institute of St. Paul in Cracow. In 1961 he moved to the USA. After 16 years, he left the Pauline monastery, got married and lived to see his son and grandchildren. For years he had lived in New York, where until his retirement he worked as an optician. He is known primarily as a poet and author of several volumes of poetry, yet he also published two novels. In the featured fragment Chabrowski describes his wife's struggles with malignant tumour, subsequent visits to the doctors, medical examinations and chemotherapy. He accompanies his beloved Sophie at every step and tries to cope with the daily affairs, which had previously been dealt with by his wife. While watching over her, he reads, among others, Denis Diderot's *Jacques the Fatalist*, the correspondence of Michel Houellebecq and Bernard-Henri Lévy, and Karel Čapek's *The Factory for the Absolute*. Seeking respite in his readings, he sometimes refers critically to these texts and engages in the debates with them, as well as with God, when he asks in a dream: *So why now, when the days are getting shorter, and memory full of holes as a sieve is failing, God spreads darkness over our heads, tormenting the body already half-alive?*

Henryk Kozak: *poems* / 68

Piotr Łapuszański: *Life for an Ideal. Zenon Przesmycki (Miriam)* / 73

An essay evoking the figure of "Miriam" – Zenon Przesmycki (1861-1944), translator, cultural activist, explorer, editor of Cyprian Kamil Norwid's works, founder and editor-in-chief of the famous magazine



“Chimera.” Przesmycki was highly esteemed in his era due to the extraordinary knowledge of global trends, a great literary taste, faithfulness to ideals, and the willingness to provide assistance to talented young artists. He also contributed to the development of Polish art in the interwar period through his political activity – first, as an undersecretary of state in the Ministry of Culture and Fine Arts, and later as a Minister of Culture and Fine Arts in the government of Ignacy Jan Paderewski and Leopold Skulski. Even though Przesmycki often met with unfair criticism, he went down in history as one of the most distinguished participants of the Polish artistic life in the first decades of the twentieth century.

Jan Władysław Woś: *Fortuitous Business* / 84

Jan Władysław Woś – researcher of Polish-Italian relations, publisher of the sources for the history of Poland and the history of the Church, bibliophile and professor emeritus of the history of Eastern Europe at the universities of Pisa, Venice and Trento – for several years has been publishing interesting stories in “Accent.” In *Fortuitous Business* Manny the Twig, a notorious brawler, finds a hanged man in the basement. He cuts him off, notifies the family of his suicide and just in case takes along the rope: strong, hemp – “may come in handy.” A few days after the funeral the godmother of the dead man visits Manny and asks him for a piece of the rope as a keepsake. With time, it turns out that the woman (in accordance with the old, but still alive superstition) sells tiny pieces of the rope as talismans of good luck. Having learned of this practice, Manny goes to the Warsaw bazaar to trade “talismans protecting their owners from all kinds of misfortunes, ensuring success in love and business.” Despite the exorbitant price, the talismans are very popular. Manny sells all pieces of rope in one day, but that does not mean the end of his business ...

Piotr Machul: *poems* / 89

Bogusław Bakuła: Stefan Grabiński – Polish, Ukrainian or Central European writer / 91

In recent times the works of Stefan Grabiński (1887-1936) quite unexpectedly trigger a lot of emotions. In view of the increasing attempts to integrate his writings in the scope of Ukrainian literature, the author of the sketch proves that geo-poetic aspect of Grabiński’s literature is not based on his Ukrainian origin, but on the specific selection of components acquired from literary works of ancient and contemporary Central European writers. Because of this fact and due to many factors indicating Grabiński’s relationships with Polish culture, talking about his Ukrainity is an intellectual overstatement.

## INSIGHTS

### The Image of the Priest in the Polish Culture of the 21<sup>st</sup> Century. Part II

Łukasz Janicki: *Introduction* / 100

Wacław Oszejca SJ: *In the Service of the Church* / 101

Rev. Krzysztof Guzowski: *Where to Find the Truth?* / 103

Rev. Jerzy Szymik: *Image and Piety* / 105

The second part of the survey “The image of the priest in the Polish culture in the first fifteen years of twenty-first century,” carried out by “Accent”

among the clergy who cooperate with the journal. The responses indicate how the respondents assess the image of priests projected in movies, books, press, news and communications media; what they think about priests' writing activity; what is new in the message of Pope Francis' preaching and what tasks in relation to culture face the Catholic Church today.

## REVIEWS

### Not only analytically

Elżbieta Tabakowska: *Lens with a Variable Focal Length* [Aneta Wysocka „Fakty – język – podmiotowość. Stylistyczne osobliwości reportażu Ryszarda Kapuścińskiego” (“Facts – Language – Subjectivity. Stylistic Distinctiveness of Ryszard Kapuściński's Reportage”)]; Wojciech Kaliszewski: *Stanislaus Augustus and the People of his Era* [„Pamiętniki Stanisława Augusta i ich bohaterowie” (“Memoirs of Stanislaus Augustus and their Characters”)]; Jan Lewandowski: *Estonian-Polish Affinities* [Jaan Kaplinski „Ojcu” (“To my Father”)]; Ewa Dunaj: *An Important Talk about Poetry* [Zbigniew Chojnowski „Kanon prywatny. Książki poetyckie 1981-2015” (“Private Canon. Books of Poetry 1981-2015”)]; Bogdan Rogatko: *Love Dialogue in the Letters of Wisława Szymborska and Kornel Filipowicz* [Wisława Szymborska, Kornel Filipowicz „Najlepiej w życiu ma twój kot. Listy” (“The Best Life is your Cat's. Letters”)] / **108**

Reviews of recently published academic books, essays and documentaries, seen against the background of the most important phenomena of contemporary culture.

### Prose writers, prose writers...

Edyta Ignatiuk: *Spiritual Hoarseness, Spiritual Fatness* [Jacek Dehnel “Krivoklat”]; Małgorzata Szlachetka: *Two Warsaws and a Sharp Cut of a Knife* [Szczepan Twardoch „Król” (“King”)]; Marcin Klimowicz: *Melancholic Consciousness* [Miłosz Waligórski „Kto to widział” (“Who Saw”)]; Tomasz Klusek: *Longing for the Simplest Values* [Stanisław Weremczuk „Ciemność” (“Darkness”)]; Ewa Duaj: *Pain and Delight* [Jadwiga Mizińska „Wróż” (“Fortune-Teller”)]; Wiesława Turżańska: *One for All, All for Alcohol* [Daniel Radecki „Wszyscy jesteśmy hipsterami” (“We are all Hipsters”)] / **125**

Discussions of the latest books of prose written by literary scholars and critics. They contain detailed analyses and provide a description of the major contemporary literary trends and phenomena.

## ART

### *In Life You've Got to Work. Interview with Andrzej Strumiłło* / **143**

An interview with Andrzej Strumiłło, born in 1927 in Vilnius. He is a painter, draftsman, photographer, sculptor and book illustrator, as well as cultural activist and advocate for a protection of the landscape in the North-East of Poland. He was a student of Władysław Strzemiński (Academy of Fine Arts in Łódź) and Eugeniusz Eibisch (Academy of Fine Arts in Cracow), whose avant-garde view of the world formed him as an artist. His artistic sensibilities were heavily influenced by the trips to China, India, Mongolia, Vietnam, Nepal and Japan. During his travels he thoroughly studied the canons of the Eastern art of painting as well as the symbols and philosophy of this cultural region, and then he processed

them creatively in his artistic performances. These expeditions have been meticulously documented. The photos taken by Strumiłło feature cultural monuments and architecture which nowadays are either inaccessible or destroyed. In 1982 he won the competition for the position of a manager of the Graphic Presentation Unit in the United Nations General Secretariat in New York. The confrontation with the world of unlimited consumption and the experience of traveling to the Far East meant that after two years of working for the UN, Strumiłło returned to Warsaw and decided to settle in the Polish countryside. He lives in Maćkowa Ruda on the Black Hańcza river, where he breeds horses and works on his artistic endeavours, and his home is a site of cultural events and a meeting place for the artists.

Anna Hałata: *Accumulations. A Collection of Graphics by Tadeusz Mysłowski* / 154

Tadeusz Mysłowski is an intermedia creator, painter, graphic artist, sculptor and installation artist, who for nearly fifty years has divided his life between two continents and two cities: Lublin and New York. For over half a century he has been collecting works of art, which are mainly graphic works of the contemporary Polish artists: Jan Berdyszak, Henryk Berlewi, Stanisław Dróżdż, Stanisław Fijałkowski, Józef Gielniak, Jan Lebenstein, Jerzy Nowosielski, Roman Opałka, Jerzy Panek, Konrad Szrednicki, Henryk Stażewski, Mieczysław Wejman, as well as drawings, posters, photographs and objects associated with the interdisciplinary actions (eg. chairs). Equally important in Mysłowski's collection are the works of foreign artists who have had influence on his artistic sensitivity, including Piet Mondrian, Barnett Newman, Sol LeWitt, Agnes Martin, Josef Albers, Jasper Johns and Jean Arp. Tadeusz Mysłowski's collection shows graphic art in a broad time perspective, taking into account its dynamic changes – the oldest works date back to the first quarter of the twentieth century and the latest are the digital printings of 2014. The collection demonstrates a variety of artistic experiments and allows to observe graphic art not only in the context of the technical processes evolution, but also through tracing the progression of attitudes and stylistic trends.

## THEATRE

Aleksandra Puculek: *"Lublin is an Important Place ..."* On the Artistic Path of Janusz Józefowicz / 159

A sketch devoted to Janusz Józefowicz – a well-known choreographer, actor, stage designer and director, as well as artistic director of Studio Buffo Theatre and creator of the cult musical "Metro." On the basis of documents, statements by the artist himself as well as his friends and teachers, the author writes about the early years of Józefowicz: the days when he went to Unia Lubelska High School at the early stage of his developing career.

## SOCIOLOGY

Grzegorz J. Kaczyński: *At the Root of the New Sociology, or Luigi Sturzo against the Background of the Period* / 168

A presentation of Luigi Sturzo (1871-1959) – an Italian Catholic priest, sociologist and politician, founder of the Italian Christian Democratic Party and senator. As an opponent of fascist tendencies, in the 1930s Sturzo had to leave Italy and until 1946 he lived in exile. During this time, and after

returning to Italy, he presented an original vision of social sciences. He criticized both the positivist concepts, as well as some ideas which inspired the representatives of the so-called anti-positivist turn. Sturzo strongly rejected the founding ideas of Marxist thought. He advocated humanist sociology, stressed the importance of individual consciousness, which, in his opinion, is a central component of social reality.

## ARCHIVES

“Perched on the Edge of a Branch ...” Letters by Zygmunt Hertz to Jerzy Andrzejewski / 179

The choice of letters sent from Paris in the years 1960-1961 by Zygmunt Hertz to Jerzy Andrzejewski in Poland. Much of the correspondence deals with the information about the news concerning Czesław and Janina Miłosz, Marek Hłasko, Roman Polański and his first wife Barbara Kwiatkowska, as well as issues related to literature. In addition, Hertz tells Andrzejewski about everyday matters (purchases made for him in western stores, financial settlements, meetings with people arriving from Poland) and shares his concerns of personal and existential nature. These letters are an interesting testimony to the bond between the two correspondents, and, most importantly, allow for a better understanding of the political and moral context of the days when Polish literature developed in parallel in two distinct environments: in the country and abroad.

## READING PETERSBURG

Ewa Duaj: *Victory* / 188

Victory Day, commemorating the end of World War II, is pompously celebrated in Russian schools. Unfortunately, these carefully orchestrated academies are primarily a tool of intrusive propaganda. The formation of patriotism among young people based on the cult of the “great patriotic war” leads to a mindless adoption by the younger generation of the patterns reminiscent of the infamous tradition originating in the USSR. Is this a new installment of “souls’ engineering”?

## NO TITLE

Leszek Mądzik: *Heaven and Hell* (essay) / 189

## PASSIONS

Marek Danielkiewicz: *Do Not Leave Me ...* (essay) / 191

## NOTES

Jarosław Sawic: *Ob. Wieś from Lublin – a Note on Wiesław M. Pawłowski* / 193

A discussion of the debut collection of poems by Wiesław M. Pawłowski and a presentation of the figure of the author – musician, poet, one of the founders of the poetic group “Columbuses of the 1960” and founder, guitarist and vocalist of Banda Ob.Wiesia. Most of the crude and non-metaphorical poems featured in the volume *Republic of Alcohol* were written in the 1980s. His verse talks about the dullness of the degraded world taken over by alcohol. The author, however, is not a nihilist. Even

though he depicts the harsh reality with sarcasm and irony, he has never abandoned the faith in love, which is the only force capable to provide meaning to existence.

### *Tadeusz Chabrowski (1934-2016) / 196*

Tadeusz Chabrowski was born in 1934 in Żłoty Potok near Częstochowa. He studied at the Institute of St. Paul in Cracow. In 1961 he moved to the USA. After 16 years, he left the Pauline monastery, got married and lived to see his son and grandchildren. For years he had lived in New York, where until his retirement he worked as an optician. He is known primarily as a poet and author of several volumes of poetry, yet he also published two novels.

### **Notes about the authors / 198**

---

#### **Książki nadesłane**

Lechosław Lameński: *Zatrzymani w kadrze. Eseje o współczesnych artystach lubelskich*. Wydawnictwo KUL, Lublin 2016, ss. 442.

Grzegorz Filip: *Pomiędzy*. Powieść. Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 2016, ss. 347.

Dariusz Bitner: *Wciąż jesień, czyli inne majaki cynamonowe*. Wydawca Print Group, Szczecin 2016, ss. 276+4 nlb.

Błażej Torąński: *Knebel. Cenzura w PRL-u*. Wydawnictwo Zona Zero, Warszawa 2016, ss. 278.

Piotr Wojciechowski: *Strych świata*. Wydawnictwo Wielka Litera, Warszawa 2016, ss. 236+3 nlb.

Wojciech Ligęza: *Bez rutyny. O poezji Wisławy Szymborskiej i Zbigniewa Herberta*. Instytut Myśli J. Tischnera, Kraków 2016, ss. 329.

Janusz Drzewucki: *Środek ciężkości. Szkice o współczesnej liryce polskiej*. Instytut Mikołowski, Mikołów 2016, ss. 361.

Bogdan Rogatko: *Kraków literacki. Impresje i listy do poetek*. Posłowie Gabriela Matuszek. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Kraków 2016, ss. 193+3 nlb.

Miłosz Waligórski: *Małe prozy*. Obrazy Anna Waligórska. Akademia Sztuk Pięknych, Gdańsk 2016, ss. 103.

Natalia Fiedorczyk: *Jak pokochać centra handlowe*. Wydawnictwo Wielka Litera, Warszawa 2016, ss. 285.

Abram Topor, Roland Topor, Nicolas Topor: *Planeta*. Tłumaczenia L. Ratajczyk, G. Kozłowski, J. Giszczak, A. Taborska. Instytucja Kultury Ars Cameralis, Katowice 2016, ss. 142.

„Dwa światy” *Leśmianowi*. V Zamojskie Biennale Sztuki pt. „Dwa światy”. Wstęp Elżbieta Gnyp, Krzysztof Marek Bąk, Lodovico Gierut. Zamojskie Towarzystwo „Renesans”, Zamość 2016, ss. 65.

*Ogród Białego Kruka*. Red. Jan Gurba i Zbigniew Józwick. Lubelskie Towarzystwo Miłośników Książki, Lublin 2016, t. 3, ss. 157.

---

---

## Informujemy Czytelników, że sprzedaż AKCENTU prowadzą m.in. księgarnie:

Salon sprzedaży „Empik”  
ul. Lipowa, Galeria „Plaza”  
20-024 Lublin, tel. 81 534-36-98

Księgarnia „U Hieronima”  
ul. Narutowicza 4 (WBP im. H. Łopacińskiego)  
20-950 Lublin, tel. 81 528-74-09

Księgarnia – Antykwariat  
ul. Jasna 7a  
20-071 Lublin, tel. 813-078-887

Księgarnia „Ezop”  
Krakowskie Przedmieście 62  
20-076 Lublin, tel. 81 532-56-15

Galeria ZPAP  
Krakowskie Przedmieście 62  
20-076 Lublin, tel. 81 532-68-57

Ośrodek Informacji Turystycznej  
ul. Jezuicka 1/3  
20-113 Lublin, tel. 81 532-44-12

Księgarnia „Szkłarnia”  
ul. Peowiaków 12 (Centrum Kultury)  
20-400 Lublin, tel. 81 466-61-34

Księgarnia Naukowo-Techniczna „Tales”  
Krakowskie Przedmieście 39  
20-076 Lublin, tel. 506-689-834

Księgarnia Lectura  
ul. Lubelska 30  
22-100 Chełm, tel. 82 565-04-64

M. Grynder. Gdańska Księgarnia Naukowa  
ul. Łągiewniki 56  
80-855 Gdańsk, tel. 58 301-41-22

Księgarnia Literacka Stefan Zielski  
plac Konstytucji 3 Maja 3  
10-414 Olsztyn, tel. 89 533-62-24

Garmond Press S.A. Biuro Handlowe  
ul. Nakielska 3, 01-106 Warszawa  
tel. 22 836-70-08, sprzedaż internetowa

R. Szczechura – Księgarnia „Wrzenie Świata”  
ul. Gałczyńskiego 7  
00-362 Warszawa, tel. 22 828-49-98

Główna Księgarnia Naukowa im. B. Prusa  
ul. Krakowskie Przedmieście 7  
00-068 Warszawa, tel. 22 826-18-35

Księgarnia LEXICON Maciej Woliński  
ul. Dereniowa 2/96  
02-776 Warszawa, tel. 22 648-41-23

Księgarnia prowadzi sprzedaż wysyłkową „Akcentu”.

Księgarnia Akademicka  
Al. Wojska Polskiego 69  
65-625 Zielona Góra, tel. 68 326-35-20 w. 220

---

### Tu do nabycia m.in. numery:

**z 2012:** 1 – John Cage – artysta przelomu, o twórczości H. Krall, T. Różewicza, O. Tokarczuk i J. Dehnela; 2 – Najnowsza proza H. Krall, o rozmowach Miłosza z Bogiem, Latawicz i Balcerzan – poetycki duet; 3 – R. Kapuściński o „nowym dziennikarstwie”, rozmowa z A. Osiecką; 4 – *Ejdetyka lustra*, o lubelskiej etnolingwistyce, *Ars poetica dzisiejszej Ukrainy* + suplement: *Lublin – miasto poetów. Część 1*.

**z 2013:** 1 – najnowsza proza Wiesława Myśliwskiego, sny ukraińskich poetów, ironia i harmonia Stasysa Eidrigevičiusa; 2 – historie alternatywne, *Kafka, jakiego nie chcemy znać*, panorama rosyjskiego rocka u schyłku komunizmu; 3 – *Emigracyjna odyseja w listach*, nowe przekłady Kawafisa, malarstwo Stanisława Baja; 4 – *Do czego Bóg używa mistyków*, wokół biografii Wisławy Szymborskiej, *Lwów – mit wielokulturowości*, Basia Stępnia-Wilk – śpiewająca poetka + suplement: *Lublin – miasto poetów. Część 2*.

**z 2014:** 1 – A. Nasiłowska o J. J. Szczepańskim, Kim był Jan Parandowski?, W. Białasiewicz o S. Kisielewskim, *Jazz w Mistrzu i Małgorzacie*, Żarty i metafory Edwarda Lutyczyna; 2 – Bohdan Zadura: *Doktorzy*, A. Mazurek o poezji K. Sutarńskiego, E. Błotnicka-Mazur o plakatach Leszka Mądziaka, 40 lat Budki Suflera, *Nowa jakość w prozie Wiesława Myśliwskiego*; 3 – E. Balcerzan o wyklejankach Wisławy Szymborskiej, nowa powieść Jacka Dehnela, J. Szperkowicz o Włodzimierzu Wysockim; 4 – *Anioł z Pietrasanta*. O *rzeźbach Igora Mitoraja*, E. Antoniak-Kiedos o liryce M. Danielkiewicza, współczesna poezja serbska.

**z 2015:** 1 – niepublikowane teksty Władysława Panasa i wspomnienia o autorze w 10. rocznicę śmierci, wiersze W. Oszajcy, G. Wróblewskiego, A. Augustyniak, A. Zińczuk, przestrzeń w grafikach Sławomira Plewko; 2 – Wasyl Machno: *Listy i powietrze*, E. Gaudasińska ilustruje wiersze Zbigniewa Herberta, o początkach polskiego jazzu i o filmach w Kosowie; 3 – Hanna Krall rozmawia o łowieniu... życia, Dominik Opolski: *Rondo*, A. Kochańczyk o Herlingu-Grudzińskim; 4 – wiersze U. Koziół, K. Kuczkowskiego, K. Lisowskiego, K. Sutarńskiego, *Muzeum uwolnionego słowa* – Anna Mazurek i Łukasz Marcińczak o poezji konkretnej, Maksymilian Snoch – wizjoner i esteta.

**z 2016:** 1 – proza B. Jonuškaitė i V. Vornaua, Sterna-Wachowiak o J. J. Szczepańskim, *Czary Franciszka Maśluszczaka*, Szczepreszyn – stolica języka polskiego, Klusek o Olczaku; 2 – Ligęza o Szymborskiej, Bartmiński o etycznej sile polszczyzny, wiersze poetów litewskich, Kovács o Rydzu-Śmigłym, proza Jacka Łukasiewicza; 3 – Bralczyk w rozmowie z Janickim, *Kulturalne stolice świata* – cz. I, Kochańczyk o dziennikach pisarzy, Prymas Glemp w wspomnieniach J. W. Wosia, Janusz Stanny – malarz snów; 4 – wiersze Oszajcy, Jeżyny, Chabrowskiego, *Europa Środkowa od środka*, *Kulturalne stolice świata* – cz. II, Riabczuk o współczesnej Ukrainie, malarstwo Ryszarda Lisa.

„Akcent” można nabyć również w sieci Ruch, Pol Perfect, Garmond Press oraz Kolporter.  
Zainteresowani zakupem archiwalnych numerów mogą się zwracać bezpośrednio do redakcji „Akcentu”.

---

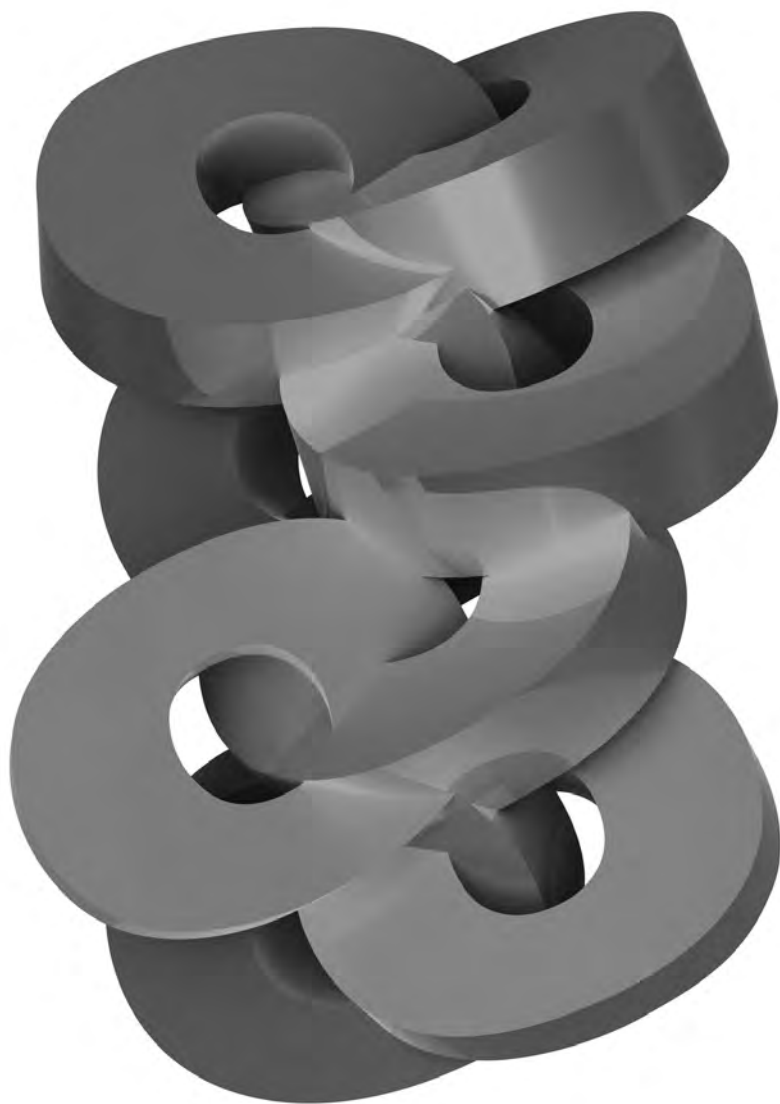
**„Akcent” można zaprenumerować m.in. w sieci „Ruch” S.A.  
i kupić w salonach prasowych i kioskach tej firmy. Oto niektóre adresy:**

Augustów	3-Go Maja 4	Piotrków Tryb.	Wojska Polskiego 24
Biała Podlaska	Sidorska 100	Piotrków Tryb.	Słowackiego 123
Białystok	Upalna 68 A	Płock	Morykoniego 2
Białystok	Mieszka I 8	Płock	Sienkiewicza 42
Białystok	Sitarska 9	Płock	Kobylińskiego 2
Białystok	Fabryczna 18	Poznań	Wrocławska/Podgórna
Bielsko-Biała	Warszawska 28	Poznań	Garbary
Brodnica	Duży Rynek	Poznań	Keplera 1
Bydgoszcz	Kruszwicka 1 Real	Poznań	Fredry/Kościuszki
Bydgoszcz	Magnuszewska 6 (Salon)	Przemysł	Mickiewicza 3
Bytom-Szombierki	Wyzwolenia 125	Przemysł	Kamienny Most
Chorzów	Wolności 8	Puławy	Centralna 10
Chorzów	Wolności 42	Pułtusk	Świętojańska 6
Ciechanów	Warszawska 62	Radzyń Podlaski	Ostrowiecka 5 A
Częstochowa	Kościuszki/Lelewela 16	Rybnik	Plac Wolności
Garwolin	Senatorska	Rzeszów	Zygmuntowska 10
Gdańsk	Dragana 17/18	Sanok	Rynek 16
Gdańsk	Sikorskiego/Cienista	Siedlce	Młynarska 10
Janów Lubelski	Wesoła 9	Słupsk	Mochackiego
Jarosław	Jana Pawła II 16	Szczecin	Pl. Hołdu Pruskiego 8
Jasło	Lwowska 24 H	Szczecin	5-Go Lipca 4
Kalisz	Narutowicza	Szczytno	Plac Juranda
Katowice	Chorzowska 111	Tarnów	Lwowska 2
Katowice	Pl. Oddz. Młodz. Powstań.	Tarnów	Krakowska 33
- Dworzec PKP		Tomaszów Lubelski	Króla Zygmunta 1
Kędzierzyn Koźle	Pamięci Sybiraków 1	Tomaszów Lubelski	Zamojska 9
Kielce	Radomska	Toruń	Fałata 41a
Kłodzko	Rodzinną 42	Toruń	Dąbrowskiego 8-24
Konin	Szeligowskiego	Toruń	Kujawska 10
Konin	Dworcowa	Trzebinia	Kościuszki
Koszalin	Zwycięstwa/Traugutta	Wałbrzych	Broniewskiego 12/14
Leszno	Rynek 30	Warszawa	Radarowa 4
Lublin	Krakowskie Przedmieście 27	Warszawa	Al. Jerozolimskie 144
Lublin	Gabriela Narutowicza 11	Warszawa	Słowackiego/Potockiej
Lublin	Jana Sawy 1a	Warszawa	Długa 1
Lublin	Bursztynowa 17	Warszawa	Puławska 1
Łosice	Rynek 30	Warszawa	Ostrobramska 75 C
Łódź	PKP Widzew	Warszawa	Marszałkowska 81
Łódź	Zachodnia 6	Warszawa	Krańskiego 24
Łódź	Wróblewskiego 67	Warszawa	Złota 59
Łódź	Broniewskiego 59	Warszawa	Grochowska (Uniwersam) 207
Łódź	Piłsudskiego 124	Warszawa	Kopińska 2/4
Maków Mazowiecki	Moniuszki 4a	Warszawa	Żwirki I Wigury 1
Maków Podhalański	nr 29-31	Warszawa	Słowackiego 15/13
Mińsk Mazowiecki	Pl. Stary Rynek 5	Włocławek	Toruńska 51
Mragowo	Królewiecka 29	Włocławek	Pl. Wolności - Wysepka
Ostrołęka	Kopernika 24a	Wrocław	Kielbańska 7
Ostróda	Czarneckiego 20/3	Wrocław	Kościuszki 11
Ostrów Maz.	Mieczkowskiego 23	Wrocław	Pl. Solny 6/7a
Pabianice	Grota Rowckiego 19	Zamość	Rynek Wielki 10
Pabianice	Wiejska 1/3	Zamość	Zamoyskiego 5/15
Piekary Śl.	Heneczka	Zgierz	Witkacego 1/3
Piekary Śl.	Wyszyńskiego	Zgorzelec	Kościuszki
Piła	Budowlanych	Żelechów	Rynek



**„Akcent” rozprowadzany jest także  
w prenumeracie firm Pol Perfect, Garmond Press i Kolpolter**



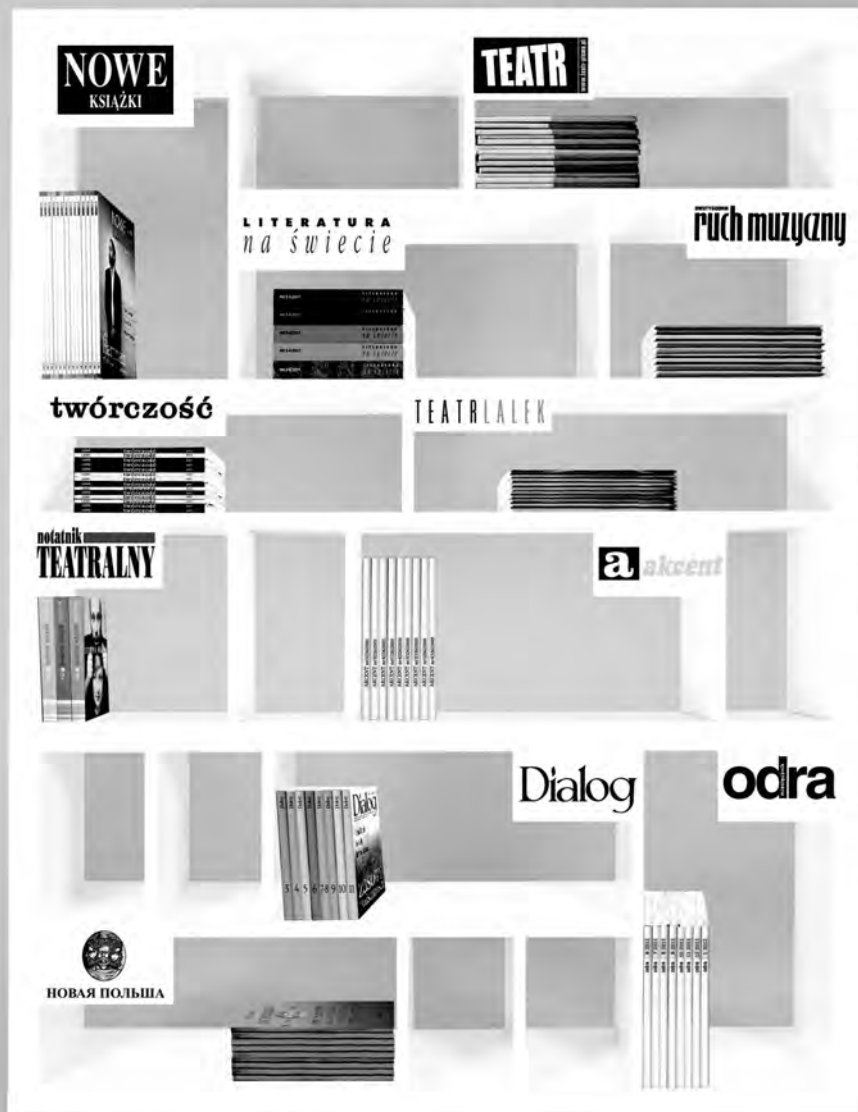


**O.pl**  
Polski Portal Kultury





# z najwyższej półki



Instytut Książki Dział Wydawnictw  
al. Niepodległości 213, 02-086 Warszawa, tel. +48226082374, tel./fax +48226082488  
e-mail: [czasopisma@instytutksiazki.pl](mailto:czasopisma@instytutksiazki.pl)  
[www.instytutksiazki.pl](http://www.instytutksiazki.pl)

Sztuka to najwyższy wyraz  
samouświadomienia ludzkości  
/.../  
Dzieło sztuki – mikrokosmos  
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



**Cena 10 zł** (VAT 5%)  
NR INDEKSU 352071  
PL ISSN 0208-6220

